

A person wearing a red hooded garment and a white mask with eye cutouts. They are holding a red rope with both hands. The background is dark red.

# JEFFERY DEAVER

## MAG

Prószyński i S-ka

Deaver Jeffrey - Mag

Tytuł oryginału: THEVANISHEDMAN

Dedykuję TK

W opinii iluzjonistów sztuczka magiczna składa się z efektu i metody. Efektem jest to, co dostrzega publiczność..

metoda zaś to tajemnica ukryta za efektem,

pozwalająca mu zaistnieć. Peter Lamont i Richard Wiseman, „Teoria magii”

Część I

Efekt

Sobota, 17 kwietnia

Doświadczony iluzjonista pragnie oszukać raczej

umysł niż oko. Marvin Kaye, „Podręcznik twórczej magii”

1

Pozdrawiam was, szacowni widzowie. Witajcie. Witajcie na naszym przedstawieniu.

Mam nadzieję, że się wam spodoba. W ciągu najbliższych dwóch dni czeka was wiele niespodzianek. Zatrąszą się o to nasi prestidigitatorzy, magicy, iluzjoniści. Mam nadzieję, że ich czary porwą was i zachwycą.

Pierwsza sztuczka pochodzi z repertuaru artysty, o którym wszyscy słyszeli: Harry'ego Houdiniego, najwybitniejszego specjalisty od uwalniania się z więzów w Ameryce, a kto wie, czy nie na świecie. Houdini występował przed koronowanymi głowami Europy i amerykańskimi prezydentami. Niektóre z jego wyczynów były tak niebezpieczne, że nikt nie próbował powtórzyć ich po przedwczesnej śmierci tego wybitnego artysty.

Dziś zaprezentujemy numer, podczas którego ryzykował uduszenie. Nazywa się: „Leniwy Kat”,

Nasz artysta leży na brzuchu, z rękami skrępowanymi na plecach klasycznymi kajdankami Darbys. Kostki nóg ma związane; biegnie od nich sznur, kończący się zadzierzgniętą na szyi pętlą. Każda, naturalna przecież próba wyprostowania ugiętych w kolanach nóg powoduje zaciskanie się pętli i rozpoczyna straszny proces duszenia.

Dlaczego sztuczka ta nazywa się „Leniwy Kat”? Ponieważ w jej trakcie nieszczęśnik sam się dusi.

Podczas wielu niebezpiecznych numerów Houdiniego na scenie obecni byli asystenci z nożami i kluczami. Czekali, gotowi uwolnić go z więzów, gdyby nie potrafił uczynić tego sam. W jego występach często uczestniczył lekarz.

Dziś jednak nie podejmujemy żadnych środków ostrożności. Sukces musimy osiągnąć w ciągu maksimum czterech minut. Ceną za nieudaną próbę jest śmierć.

Zacniemy dosłownie za chwilę, teraz pora na pewną radę.

Nie zapominaj, drogi widzu, że decydując się uczestniczyć w riaszym przedstawieniu, przekraczasz granice rzeczywistości.

To, co według swego najgłębszego przekonania widzisz, zapewne w ogóle nie istnieje. To, co masz za iluzję, może okazać się trudną do zaakceptowania, ale prawdą.

Ktoś dobrze ci znajomy, z którym się do nas wybrałeś, może okazać się kimś zupełnie obcym.

Ktoś zupełnie ci obcy, przypadkiem zauważony na widowni, może wiedzieć o tobie aż za wiele. To, co wydaje ci się bezpieczne, może okazać się śmiertelnie groźne. A niebezpieczeństwa, przed którymi usiłujesz się bronić, mogą być tylko zwodniczymi tropami, wiodącymi do jeszcze gorszych

niebezpieczeństwo.

Podczas tego przedstawienia nikomu nie możesz wierzyć. Nikomu nie możesz zaufać.

No cóż, szacowny widzu, prawda jest taka, że podczas naszego przedstawienia nie powinieneś wierzyć w nic.

I nie powinieneś wierzyć nikomu.

A teraz unosi się kurtyna, przygasają światła, cichnie muzyka, słychać tylko bicie serc czekających na występ.

Zaczyna się przedstawienie.

Dom wyglądał na nawiedzony, a w każdym razie nawiedzany. Często. Był pokryty patyną czasu, mroczny, utrzymany w pseudogo-tyckim stylu, zwieńczony attyką i miał wiele zamkniętych okien. Pochodził z epoki wiktoriańskiej, niegdyś mieściła się w nim szkoła z internatem, później szpital dla umyślowo chorych, w którym pacjenci o zbrodniczych skłonnościach umierali po nędznym życiu.

Manhattańska Szkoła Muzyczna i Operowa bez trudu mogła ugościć kilkadziesiąt duchów. I jeden z nich z całą pewnością nie zamierzał opuścić jej murów. Zapewne nadal unosił się nad ciałem młodej dziewczyny, leżącej na brzuchu w niewielkim, ciemnym korytarzyku przed małą salą koncertową. Jej szeroko otwarte oczy były nieruchome, lecz jeszcze nie zeszkłone, krew na policzku nie zdążyła zaschnąć.

Dziewczyna miała wyjątkowo jasną skórę, ale bardzo ciemną twarz... ciemną, a właściwie siną z powodu zaciśniętej na szyi pętli i sznura, łączącego szyję ze związanymi w kostkach nogami.

10

Wokół ciała leżały: pokrowiec na flet, rozrzucone nuty i duży kubek kawy Starbuck. Rozlana kawa zaplamiła jej džinsy i zieloną koszulkę z napisem „Izod”, pozostawiła też plamę w kształcie przecinka na marmurowych płytkach podłogi.

Morderca pochylał się nad ciałem i przyglądał mu uważnie. Nie spieszył się, uważał, że nie ma takiej potrzeby. Zawczasu sprawdził, że w weekendy nie ma zajęć, a był przecież sobotni ranek. Uczniowie ćwiczyli wprawdzie w specjalnych salach, znajdowały się one jednak w przeciwległym skrzydle budynku. Pochylił się jeszcze niżej, zmrużył oczy. Bardzo chciał

zobaczyć uchodzącą z ciała esencję, duszę, może ducha... ale nic nie dostrzegł.

Wyprostował się, zamyślony. Myślał o tym, co jeszcze może zrobić ze spoczywającą u jego stóp, nieruchomą postacią.

Jest pan pewien, że to był krzyk?

Oczywiście... to znaczy, właściwie nie - odparł ochroniarz. -

Nie krzyk. Jakiś okrzyk, hałas, jakby ktoś się zdenerwował. Trwało to sekundę czy dwie, a potem ucichło.

Czy ktoś jeszcze coś słyszał? - kontynuowała przepytывanie Dianę Franciscovich, funkcjonariuszka patrolu z dwudziestego posterunku.

Ochroniarz, tęgi i ciężko oddychający, spojrział na wysoką, ciemnowłosą policjantkę, potrząsnął głową, zacisnął i rozluźnił pięści. Wytarł ciemne dłonie o niebieskie spodnie mundurowe.

-

Wzywamy wsparcie? - spytała Nancy Ausonio, równie niedoświadczona jak jej partnerka, niższa od niej, jasnowłosa.

Tego Franciscovich robić nie chciała, ale też do końca nie wiedziała, jak postępować.

Policjanci patrolu pieszego w tej części Upper West Side mieli do czynienia przede wszystkim z

wypadkami samochodowymi, kradzieżami sklepowymi i kradzieżami samochodów, by nie wspomnieć już o ściskaniu za rączkę i pocieszaniu nieszczęsnych ofiar wypadków samochodowych. Coś takiego zdarzyło im się po raz pierwszy; dwóm młodym policjantkom na porannej sobotniej zmianie. Ochroniarz zauważył je i przywołał gestem.

Chciał, żeby sprawdziły, kto krzyczał, a właściwie, kto podniósł głos ze zdenerwowania.

Wstrzymajmy się - odparła spokojnie. Sprawdźmy, o co chodzi.

Moim zdaniem ktoś krzyczał gdzieś tam, za rogiem korytarza - powiedział ochroniarz, wyciągając rękę. Ale sam nie wiem.

Trochę tu strasznie - wtrąciła Ausonio. Może i denerwowała się bardziej od koleżanki, ale sprawdzała się jako partnerka. Potrafiła wskoczyć między bijących się mężczyzn dwukrotnie większych od niej.

- Chodzi o dźwięki, rozumie pani? - dodał ochroniarz. - Trudna sprawa... ro znaczy trudno powiedzieć, skąd dobiegają.

Ale Dianę Franciscovich nie zważała na jego słowa. Myślała raczej o tym, co powiedziała jej partnerka. Trochę tu strasznie, powtórzyła w myślach.

Ochroniarz poprowadził je korytarzem. Ciągnął się bez końca i był ciemny, nie znalazły nic niezwykłego, później mężczyzna zwolnił.

Dianę ruchem głowy wskazała mu ostatnie drzwi.

Co tam jest? - spytała.

Nie ma powodu, by studenci dziś tam wchodzili. To tylko...

Policjantka popchnęła drzwi.

Za drzwiami znajdował się korytarz prowadzący do wejścia do Sali Koncertowej. A przy drzwiach leżało ciało młodej kobiety, skrępowane, z pętlą na szyi i kajdankami na przegubach dłoni. Nad ciałem stał brodaty, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna o brązowych włosach. Spojrzał na nie, zaskoczony.

Nie! - krzyknęła Ausonio.

O, Chryste! - jęknął ochroniarz.

Obie policjantki wyciągnęły broń. Franciscovich wymierzyła w mężczyznę i ze zdziwieniem stwierdziła, że nawet nie drży jej dłoń.

-  
Stój! Nie ruszaj się! Wyprostuj się, cofnij, ręce wysoko!

- Jej głos nie był niestety tak pewny jak ręka.

Mężczyzna posłusznie wykonał jej polecenia.

- Połóż się na podłodze. Twarzą w dół! Cały czas mam widzieć twoje ręce.

Ausonio przesunęła się w stronę dziewczyny... i w tym momencie Franciscovich dostrzegła, że wzniesiona nad głowę prawa dłoń mężczyzny zaciśnięta jest w pięść.

- Otwórz

prawą...

Pufl

Korytarz wypełniło jaskrawe światło. Wydobywało się z zaciśniętej pięści, trwało to dosłownie moment, potem zgasło... ale ją oślepiło. Ausonio zamarła, Dianę cofnęła się, przesunęła w bok, zmrużyła oczy, przesuwając lufę glocka w lewo i w prawo, rozpaczliwie próbując coś zobaczyć. Była przerażona. Wiedziała, że morderca zamknął oczy w odpowiedniej chwili, że teraz zaatakuje, że musi

mieć pistolet lub chociaż nóż...

- Gdzie, gdzie, gdzie?! - krzyknęła.

Powoli odzyskiwała wzrok. Nie musiała pytać. Chmura dymu powoli znikąca. Dianę dostrzegła, jak zabójca wbiega do sali koncertowej i zatrząskuje za sobą drzwi. Usłyszała łomot; najwyraźniej barykadował je krzesłami albo dosunął stół?

Ausonio przykłęka obok ciała dziewczyny. Przecięła pętlę na szyi nożem, obróciła ją na wznak, rozpoczęła udzielanie pierwszej pomocy.

Czy są tu jakieś inne wyjścia? - krzyknęła Dianę do ochroniarza.

Jedno! Z tyłu za rogiem. Po prawej!

Okna?

Nie!

Hej! - krzyknęła do partnerki, biegnąc. - Pilnuj tych drzwi.

-

Jasne! - odkrzyknęła Ausonio i przycisnęła usta do bladych warg ofiary.

Z sali koncertowej dobiegał głośny hałas - zabójca wzmacniał barykadę. Pędziła co sił w nogach, skręciła w prawo ku wejściu, które wskazał jej strażnik, wzywając pomocy przez radionadajnik. Nagle przed nią, w końcu korytarza, pojawiła się jakaś postać. Zatrzymała się, wymierzyła broń, zapaliła potężną halogenową latarkę...

- O Jezu! - jęknął wiekowy woźny, puszczając szczotkę. Dianę Franciscovitch podziękowała Bogu za to, że palec trzymała na osłonie spustu.

Widział pan kogoś wychodzącego przez te drzwi?

Co się...?

Widział pan kogoś czy nie?

Nie, proszę pani.

Jak długo pan tu jest?

Bo ja wiem? Dziesięć minut?

Znów łomot. Zabójca wzmacniał barykadę. Policjantka odesłała woźnego do głównego korytarza, gdzie był ochroniarz, po czym przysunęła się do bocznych drzwi. Trzymając lufę glocka w górze, delikatnie nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Przywarła do ściany; nie chciała, by sprawca trafił ją, strzelając przez drewno. Widziała tę sztuczkę w serialu

„Nowojorscy gliniarze”, choć możliwe, że instruktor z akademii też o tym wspominał.

Kolejny łomot.

- Nancy? Jesteś tam? - szepnęła do mikrofonu Franciscovich.

Nie żyje - usłyszała odpowiedź Nancy Ausonio, która nie mogła powstrzymać drżenia głosu. -

Próbowałam... ale ona nie żyje.

Nie uciekł tędy. Jest nadal w sali. Słyszysz mnie?

Cisza, a po chwili:

Próbowałam, Dianę. Naprawdę próbowałam.

Zapomnij o niej. Oprzytomnij. Dasz radę?

Jasne. Nic mi nie jest. Naprawdę. Poprosiłam o wsparcie.

Dorwijmy go.

-

Nie! Trzymamy go tam, póki nie pojawi się oddział szturmowy. To do nas należy.

Uważaj. Nie podchodź do drzwi. I na litość boską uważaj.

W tym momencie mężczyzna z sali koncertowej krzyknął:

- Mam zakładnika! Mam tu dziewczynę. Jeśli spróbujecie wejść, zginie!  
O, Jezu!

-

Hej, ty! - krzyknęła Franciscovich. - Nikt nie ma zamiaru ni gdzie wchodzić. Nie bój się! I nie skrzywdź zakładniczki!

Czy tak wygląda procedura? - zastanowiła się. W tej chwili nie mógł jej pomóc ani serial telewizyjny, ani pobrane w akademii nauki. Słyszała, jak Nancy wzywa centralę i informuje ją, posługując się kodem, że bandyta zabarykadował się z zakładnikiem.

-

Spokojnie! - krzyknęła. - Może pan...

Przerwał jej donośny huk wystrzału. Podskoczyła jak wyrzucona na brzeg ryba.

- Co

się dzieje? Czy to ty? - spytała przez radio.

Nie - odpowiedziała jej partnerka. - Myślałam, że ty.

Nic ci nie jest?

Nie, nic. Powiedział, że ma zakładniczkę. Jak sądzisz, za strzelił ją?

-

Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? - krzyknęła Dianę. Gdzie jest to cholerne wsparcie!

- Dianę, słuchaj - szepnęła po chwili Nancy. - Musimy wejść. Może coś jej się stało? Może jest ranna? - Przerwała, by po chwili krzyknąć:

-

Hej, ty tam, w środku! - Żadnej odpowiedzi. - Hej, ty!

Nic.

- Może popełnił samobójstwo? - powiedziała do mikrofoi Franciscovich.

A może wystrzelił, byśmy pomyślały, że popełnił samobójstwo a tymczasem spokojnie na nas czeka?

I nagle wrócił do niej ten koszmary obraz: stare, brudne drzwi prowadzące na korytarz przed salą koncertową, słabe światło padające na twarz ofiary, siną i zimną jak zimowy zmierzch.

Przecież wstąpiła do policji, by powstrzymać jednych ludzi od krzywdzenia innych, a jeśli to się nie uda, to przynajmniej chwycić sprawców.

Musimy wejść, Dianę - szepnęła Nancy Ausonio.

Chyba tak. Dobrze. Wchodzimy. - Mówiła szybko, za szybko, myślała i o rodzinie, i o tym, że kiedy strzela się z pistoletu samo powtarzalnego, trzeba koniecznie podtrzymać jedną dłoń drugą.

- Uprzedź ochroniarza, że będziemy potrzebowały światła!

- Włącznik jest na zewnątrz - powiedziała po chwili Ausonio.

- Kiedy

krzyknę, przekreśli go. - Dianę usłyszała przez radio, jak jej partnerka głęboko wciąga oddech, a potem mówi:

Gotowa. Wchodzimy na trzy. Ty liczysz.

Jasne. Raz... zaraz, zaczekaj. Będę na twojej drugiej godzi nie. Nie postrzel mnie.

Rozumiem, druga godzina. Ja...

Ciebie będę miała po lewej.

No, to zaczynamy.

Raz... - Franciscovich chwyciła klamkę lewą ręką. - Dwa. -

Położyła palec na spuście, a nie osłonie spustu. Palec oparła na drugim spuście - tak w glocku skonstruowany był bezpiecznik. -

Trzy! - wrzasnęła tak głośno, że Nancy musiała ją usłyszeć nawet bez radia. Wpadła do dużej kwadratowej sali, w której właśnie rozblęły światła.

- Stój! - krzyknęła... lecz nikogo nie dostrzegła. Przykucnęła. Dostała gęsiej córki, zżerały ją nerwy. Omiotła pomieszczenie lufą pistoletu. Powiodła po sali wzrokiem, ale nie dostrzegła ani przeciwnika... ani zakładniczki.

Zerknęła na partnerkę. Nancy Ausonio zachowała się identycznie.

- Gdzie? - szepnęła.

Dianę potrząsnęła głową. Widziała około pięćdziesięciu składanych drewnianych krzeseł, ustawionych w równe rzędy. Kilka z nich leżało tu i tam, ale morderca nie próbował

zbudować z nich barykady. Po prawej stronie znajdowała się niska scena z poobijanym fortepianem, kolumnami głośnikowymi, zwojami kabli. Widziały dosłownie wszystko. Ale na sali nie było nikogo. - Co się stało, Nancy? Powiedz mi, co się stało! Nancy Ausonio nie odpowiedziała. Kiedy jej przyjaciółka się rozglądała, obróciła się dookoła, nerwowo wpatrywała w cienie

15  
i sprawdzała pod krzesłami, choć widziała już, że nikogo nie zobaczy.

Trochę tu strasznie.

Sala była zamkniętym sześcianem. Bez okien. Przewody ogrzewania i klimatyzacji miały niespełna dwadzieścia centymetrów średnicy. Drewniany dach; nie wyłożono go specjalnymi płytkami, by poprawić akustykę. Pod scenę nie prowadziło żadne wejście. I było tylko dwoje drzwi: główne, przez które weszła Nancy, i przeciwpożarowe, których użyła Dianę.

-  
Gdzie? - spytała cichutko Franciscovich.

Nancy wyszeptała coś w odpowiedzi, ale nie dało się tego zrozumieć. Wyraz jej twarzy mówił jasno: Nie mam zielonego pojęcia.

-  
Hej, wy! - rozległ się donośny bas, dobiegający z korytarza.

Obie policjantki odwróciły się jak na komendę, z bronią gotową do strzału. - Przyjechała karetka i mnóstwo glin.

Mówił oczywiście ochroniarz, który przezornie krył się za framugą.

Dianę Franciscovich, czując, jak wali jej serce, wezwała go do środka.

Czy jest... hm... to znaczy, czy go macie?

Jego tu nie było - odparła drżącym głosem Nancy Ausonio.

Co? - Ochroniarz bardzo ostrożnie wysunął głowę i rozejrzał się szybko po sali.

Są tu jakieś drzwi w podłodze czy coś takiego?

Nie. Nic takiego. Naprawdę go nie ma?

Dianę Franciscovich usłyszała głosy zbliżających się policjantów oraz sanitariuszy, a także brzęk ich sprzętu, ale nie mogła się poruszyć, dołączyć do kolegów. Obie policjantki stały jak sparaliżowane pośrodku sali, zastanawiając się, jakim cudem mordercy udało się uciec skądś, skąd nie było drogi ucieczki!

2

Słucha muzyki. - Nie słucham muzyki. Jest włączona, ot co!

Muzyka, tak? - burknął do siebie Lon Sellitto, wchodząc do sypialni Lincolna Rhyme'a. - Co za zbieg okoliczności!

Bardzo polubił jazz - powiedział Thom do tęgiego detektywa. - Muszę przyznać, że mnie tym zaskoczył.

Jak już powiedziałem - w głosie Rhyme'a brzmiał upór - pracuję, a muzyka po prostu gra sobie w tle. O co właściwie chodzi z tym zbiegiem okoliczności?

Młody opiekun, ubrany w białą koszulę i ciemne spodnie, do których dobrał sobie ciemnofioletowy krawat, wskazał płaski ekran monitora komputerowego, ustawiony przed szpitalnym łóżkiem Flexicair.

Nie, nie pracuje. Chyba że nazwiemy pracą wpatrywanie się godzinami w jedną stronę książki. Gdybym ja tak pracował, już dawno by mnie wyrzucił.

Polecenie, odwróć stronę.

Komputer rozpoznał głos Rhyme'a i wykonał jego' rozkaz, wyświetlając na monitorze kolejną stronę „Przeglądu Kryminali-stycznego”.

- Chcesz mnie przepytac ze składu pięciu najpopularniejszych egzotycznych trucizn, znalezionych ostatnio w laboratoriach terrorystów w Europie - spytał Rhyme zgryźliwie Thoma. - Może się założymy o parę dolców?

-

Nie. Mam sporo do zrobienia. - Thom miał na myśli trudną pracę opiekunów, którzy muszą troszczyć się o rozmaite potrzeby sparaliżowanych pacjentów.

17

-

Wrócimy do tego za chwilę. - Kryminalistyk wsłuchał się w szczególnie udany riff trąbki.

- Nie.

Załatwimy to od razu. Przepraszam na chwilę, Lon.

-

Jasne, nie ma sprawy. - Ubrany w wymięty garnitur, tęgawy Sellitto posłusznie wyszedł z sypialni Rhyme'a, znajdującej się na drugim piętrze jego nowojorskiego mieszkania w Central Park West, i zamknął za sobą drzwi.

Podczas gdy Thom wykonywał swe obowiązki, Lincoln Rhyme słuchał muzyki i myślał: Zbieg okoliczności?

Pięć minut później Sellitto został zaproszony do sypialni.

Kawy? - spytał uprzejmie Thom.

Jasne. Przydałaby się. Jest cholernie wcześnie jak na pracę w sobotę.

Thom wyszedł cicho z pokoju.



No i jak ci się podobam, Lincoln? - Policjant wykręcił piru-eta. Poły marynarki zawirowały w powietrzu. Wszystkie jego gar nitury miały jedną cechę wspólną: zrobione były z beznadziejnie wygniecionego materiału.

Co to, pokaz mody? - spytał Rhyme, mając w pamięci

sformułowanie „zbieg okoliczności”. I powrócił myślą do na grania. Jakim cudem udało się komuś zagrać na trąbce tak...

gładko? Jakim cudem wydobył on taki dźwięk z blaszanego instrumentu?

Zrzuciłem osiem kilo - chwalił się tymczasem policjant. -

Rachel wzięła mnie na dietę. Problemem jest tłuszcz. Rezygnujesz z tłuszczów i zdumiewające, jak szybko tracisz na wadze!

Tłuszcz, oczywiście. Mam nieodparte wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą. Więc... - Mogło to oznaczać tylko jedno: przejdź

wreszcie do rzeczy.

Dziwna sprawa. Pół godziny temu w szkole muzycznej przy twojej ulicy znaleziono zwłoki. Prowadzę tę sprawę i cholernie przydałaby mi się pomoc.

Szkoła muzyczna. A ja słucham muzyki. Zastrany zbieg okoliczności.

Sellitto przedstawił w skrócie najważniejsze fakty. Zamordowana uczennica. Mordercę prawie udało się ująć na miejscu zbrodni, ale jednak uciekł, choć nie miał którejdy.

Muzyka to matematyka. To Rhyme, naukowiec z krwi i kości, potrafił zrozumieć. Muzyka jest logiczna, ma doskonałą strukturę. I, jak mu się zdawało, sięga nieskończoności. Dźwięki można łączyć ze sobą na niezliczone sposoby. Kompozytor nigdy się nie 18

znudzi. Ciekawe, jakie to uczucie, gdy się komponuje. Jak to się właściwie robi?

Lincoln Rhyme był pewien, że brak mu zdolności twórczych. Kiedy miał jedenaście, może dwanaście lat, uczył się grać na fortepianie. Zakochał się w pannie Blakely na zabój, ale lekcje te to była strata czasu. Jedyne, co z nich pamiętał, to stroboskopowe zdjęcia wibrujących strun, które zrobił na jakiś konkurs naukowy.

Słyszałeś, co mówiłem, Linc?

Opowiadałeś o sprawie. Dziwnej sprawie.

Sellitto przeszedł do szczegółów i jakoś udało mu się przyciągnąć uwagę słuchacza.

Musi być jakieś wyjście z tej sali - powiedział policjant. -

Ale nie może go znaleźć nikt ani ze szkoły, ani z naszego zespołu.

Jak tam miejsce zbrodni?

Praktycznie nadal dziewicze. Może Amelia by się rozejrzała?

Rhyme zerknął na zegar.

Będzie zajęta jeszcze przez jakieś dwadzieścia minut.

Żaden problem. - Sellitto poklepał się po okazałym brzuszku, jakby sprawdzał, czy rzeczywiście schudł. - Wywołam ją.

Mam numer jej pagera.

Nie przeszkadzajmy Amelii.

A dlaczego? Co takiego robi?

Och, coś niebezpiecznego. - Rhyme znów skoncentrował się na jedwabistym tonie trąbki.

Przyciskała twarz do mokrych cegieł ściany starej czynszówki i czuła ich zapach. Dłonie jej się pociły, skóra pod ognistorudymi włosami przykrytymi czapką policyjną strasznie swędziała. Nie

poruszyła się nawet wówczas, gdy prześlizgnął się do niej umundurowany funkcjonariusz i - jak ona - przyłgnął policzkiem do ściany.

- W

porządku, sytuacja wygląda następująco - powiedział, ru chem głowy wskazując na prawo. Wyjaśnił, że tuż za rogiem ka mienicy jest pusta działka, pośrodku której stoi samochód, rozbi ty kilka minut temu wskutek kraksy po długim policyjnym pościgu.

Da się nimjechać? - spytała Amelia Sachs.

Nie. Uderzył w duży pojemnik na śmieci i dokonał żywota.

Przestępców było trzech. Uciekali, ale jednego dopadliśmy. Dru gi siedzi w samochodzie, uzbrojony w jakąś cholernie wielką strzelbę myśliwską. Zranił policjanta z patrolu.

19Co z nim?

Draśnięcie.

Macie drania w zasięgu strzału?

Nie. Jest w tamtym budynku. - Wskazał na zachód.

Trzeci sprawca? - spytała Amelia.

Mężczyzna westchnął.

-

Niech to diabli. Udało mu się uciec na pierwsze piętro tego budynku. - Kiwnął głową w stronę kamienicy, do której ściany oboje się tulili. - Zabarykadował się, ma zakładniczkę. Kobieta w ciąży.

Amelia Sachs słuchała. Przeszła z nogi na nogę w nadziei, że choćby w ten sposób uda jej się zmniejszyć dokuczający artre-tyczny ból. A bolało jak diabli. Z plakietki na piersi mężczyzny odczytała jego nazwisko.

-

Wilkins, jak uzbrojony jest ten od zakładniczki? - spytała.

- W

broń krótką nieznanego typu.

-

A gdzie nasi?

Wilkins wskazał dwóch policjantów, ukrytych za ścianą po przeciwległej stronie placu.

-

Jest jeszcze dwóch z przodu. Pilnują tego, który wziął za kładniczkę.

- Czy

ktos wezwał jednostkę ratownictwa?

-

Nie mam pojęcia. Straciłem krótkofalówkę, kiedy zaczęła się strzelanina.

- Masz

kamizelkę kuloodporną?

- Skądże. Kiedy się zaczęło, regulowałem ruch na skrzyżowa niu. To co robimy?

Amelia Sachs włączyła krótkofalówkę na określonej częstotliwości.

Miejsce przestępstwa pięć-osiem-osiem-pięć do dyżurnego.

Tu kapitan siedem-cztery - usłyszała po krótkiej chwili.

-Mów.

Dziesięć-trzyście na placu na wschód od sześć-zero-pięć Delancey. Ranny policjant. Potrzebne

wsparcie, karetki i jed nostki ratownictwa, natychmiast. Dwóch podejrzanych, obaj uzbrojeni, jeden z zakładnikiem. Przyślijcie negocjatora.

Zrozumiałem pięć-osiem-osiem-pięć. Helikopter do obser wacji?

Nie przysyłać! Jeden z podejrzanych uzbrojony w daleko siężny karabin. Chętnie strzela do policjantów.

Wyślemy wsparcie jak najszybciej. Ale... Secret Service 20

zamknęła pół śródmieścia. Wiceprezydent jedzie z lotniska Ken-nedy'ego. Będzie opóźnienie.

Załatwiał sprawę według własnego uznania. Bez odbioru.

- Zrozumiałam, bez odbioru.

Wiceprezydent, pomyślała Amelia Sachs. Właśnie stracił mój głos.

Wilkins potrząsnął głową.

Nie możemy podprowadzić negocjatora do mieszkania.

Przynajmniej póki ten facet siedzi w samochodzie.

Spokojnie. Pracuję nad tym.

Powoli podeszła do narożnika kamienicy, wychyliła głowę, zerknęła na samochód. Tani model sportowy, podrasowany, z maską wbity w pojemnik na śmieci i otwartymi drzwiczkami. Widziała siedzącego w środku uzbrojonego mężczyznę. Pracuję nad tym...

- Hej, ty, w samochodzie! - krzyknęła. - Jesteś otoczony! Rzuć broń, bo otworzymy ogień!

Pospiesz się!

Mężczyzna obrócił się i wymierzył broń w jej stronę. Natychmiast się wycofała. Wezwała przez radio dwóch policjantów, kryjących się po przeciwnej stronie placu.

-  
Czy w samochodzie są zakładnicy? - spytała.

- Nie

ma.

Jesteście pewni?

Tak - odpowiedział jeden z nich.

Rozumiem. Macie go na muszce?

Musielibyśmy strzelać przez drzwi.

Nie. Nie próbujcie żadnych sztuczek. Znajdźcie sobie lepsze pozycje, tylko nie wejdźcie mu pod lufę.

Zrozumiałem.

Widziała, jak rozsunęli się na boki, okrążyli samochód. Już po chwili jeden z nich zameldował:

Jestem na czystej pozycji. Mam strzelać?

Czekaj - powiedziała Amelia i krzyknęła: - Ty, w samocho dzie! Z karabinem! Za dziesięć sekund otwieramy ogień. Rzuć broń, rozumiesz? - Następnie powtórzyła to samo po hiszpańsku.

- Pieprz

się!

A więc zrozumiał.

- Dziesięć sekund. Liczymy. - A dwóm policjantom przekazała przez radio: - Dajcie mu dwadzieścia. Potem zacznijcie strzelać.

Nim upłynęło dziesięć sekund, mężczyzna odrzucił karabin i wyszedł z samochodu.

Nie strzelać! Nie strzelać! - krzyczał.

Ręce do góry. Podejdz do rogu budynku. Jeśli opuścisz ręce, zginiesz.

Gdy mężczyzna podszedł do nich, Wilkins skuł go i obszukał. Amelia przykucnęła obok podejrzanego.

Kim jest ten gość w środku? - spytała.

Nie mam zamiaru kapować...

Ależ masz zamiar, masz. A to dlatego, że kiedy go wyciągnie my, a uwierz mi, że to tylko kwestia czasu, idziesz siedzieć za za bójstwo. Powiedz mi, czy twój kumpel wart jest czterdziestu pięć lat w Ossining?

Przesłuchiwany tylko westchnął.

-

Daj spokój! - warknęła Amelia. - Nazwisko, adres, rodzina, ulubione danie, panięńskie nazwisko matki, krewni... założę się, że umiesz nam pomóc.

Mężczyzna puścił farbę. Amelia zapisywała wszystko, słowo w słowo. Nagle zatrzeszczała krótkofalówka. Na miejscu pojawił się negocjator i jednostka ratownictwa. Wręczyła swe notatki Wilkinsowi.

- Przekaż je negocjatorowi - poleciła.

Odczytała zatrzymanemu jego prawa. Nie miała pojęcia, czy dobrze poradziła sobie w tej sytuacji. Czy niepotrzebnie naraziła czyjeś życie? Czy powinna osobiście sprawdzić stan ранego policjanta?

Pięć minut później zza rogu wyszedł kapitan. Uśmiechał się szeroko.

-

Ten drugi zwolnił zakładniczkę. Nic jej się nie stało. Mamy wszystkich trzech. Nasz człowiek został tylko draśnięty.

Podeszła do nich policjantka; spod czapki wysunęły jej się jasne włosy.

-

Patrzcie, co mamy. Sporą premię - rzekła wesoło. -W jednej ręce trzymała wielką plastikową torbę pełną białego proszku, w drugiej fajki do cracku i inny sprzęt.

Kapitan przyglądał się tej zdobyczy z wyraźnym zadowoleniem. Tymczasem Amelia spytała: Gdzie to znaleźliście? W samochodzie?

Tak, ale nie sprawców. Przesłuchiwałam potencjalnego świadka. Pocił się i był jakiś taki nerwowy. Więc przeszukałam jego wóz. A oto rezultaty.

Gdzie stal ten wóz?

W garażu.

22

- Poprosiła pani o nakaz?

-

Nie. Tak jak mówiłam, zachowywał się nerwowo, a ja do strzegłam róg tej torby. To jest uzasadniony powód.

-

Nie. - Amelia Sachs potrząsnęła głową. - Przeszukanie było nielegalne.

Nielegalne? W zeszłym tygodniu zatrzymaliśmy faceta za przekroczenie prędkości, znaleźliśmy w bagażniku kilogram trawki, no i załatwiliśmy go bez pudła.

Na ulicy wygląda to inaczej. Prawo do prywatności w pojeździe poruszającym się po drodze

publicznej jest znacznie ograniczone.

Do aresztowania potrzebne jest wyłącznie uzasadnione podejrzenie. Ale jeśli ten sam samochód znajduje się na terenie prywatnym, to nawet gdy widzicie narkotyki, potrzebujecie nakazu.

Przecież to szaleństwo - próbowała się bronić dziewczyna. -

Miał trzysta gram czystej koki. Facet jest handlarzem, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ci z Narkotyków pracują miesiąca mi, by dopaść kogoś takiego jak on.

Jest pani tego pewna, funkcjonariuszko? - spytał kapitan.

Całkowicie.

Co radzisz, Sachs?

Skonfiskować kokainę, porządnie nastraszyć właściciela, przekazać wszystkie jego dane ludziom z Narkotyków. - Zerknęła na policjantkę. - A pani przydałby się ponowny kurs przeszu kiwania i zatrzymywania.

Policjantka próbowała się spierać, ale Amelia nie zwracała już na nią uwagi. Przyglądała się pustemu placowi, na którym stał wbity w pojemnik na śmieci samochód. Zmrużyła oczy.

Funkcjonariuszko... - Kapitan zaczął coś mówić.

Jego też zignorowała i spytała Wilkinsa:

Powiedział pan: „Trzech sprawców”?

-Tak.

Skąd pan wie, że było ich trzech?

Tyłu obrabowało jubilera.

Wyszła na plac, wyciągając broń.

Proszę przyjrzeć się samochodowi, którym uciekali - warknęła.

Jezu! - zdumiał się Wilkins.

Otwarte były wszystkie drzwi. Tym samochodem uciekało nie trzech, lecz czterech sprawców!

Amelia Sachs przykucnęła i wymierzyła w jedyne miejsce, w którym można się było ukryć: krótką, kończącą się ślepo alejkę z pojemnikiem na śmiecie.

23

-  
Uwaga! - krzyknęła, nim jeszcze dostrzegła ruch.

Policjanci wokół niej przykłękli na widok wielkiego mężczyzny w podkoszulku, uzbrojonego w strzelbę, który wybiegł z alejki i próbował uciec na ulicę. Amelia szybko wzięła go na muszkę.

- Rzuć broń!

Mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem z uśmiechem uczynił taki ruch, jakby pragnął w nią wycelować. Sachs też się uśmiechnęła.

-  
Pif, paf! Dostałeś - powiedziała wesoło.

„Przestępca” roześmiał się i z podziwem potrząsnął głową.

- Dobra

jesteś - przyznał. - Już myślałem, że cię mam. Zarzu cił strzelbę na ramię i spokojnie podszedł do grupy przyjaciół -

policjantów, stojących obok starej czynszówki. „Podejrzany”, ten z samochodu, odwrócił się; Wilkins szybko zdjął mu kajdanki.

„Zakładniczka”, grana przez policjantkę Latynoskę, która z całą pewnością nie była w ciąży,

przyjaciółka Amelii Sachs od wielu lat, klepnęła ją serdecznie po ramieniu.

- Zrobiłaś świetną robotę, ratując mi tyłek - powiedziała z po dziwem.

Amelia była z siebie dość zadowolona. Mimo to zachowała powagę, jak studentka, która właśnie z wyróżnieniem zdała trudny egzamin.

Ponieważ, szczerze mówiąc, tak właśnie było.

Amelia Sachs postawiła sobie nowy cel. Jej ojciec, Herman, przez całe życie był gliniarzem, który pieszo patrolował ulice. Amelia miała teraz jego stopień. Była z tego zadowolona i do niedawna uważała, że może spokojnie poczekać na awans jeszcze parę lat. Ale wszystko zmieniło się po jedenastym wrześniu. Uznała, że powinna robić więcej dla swojego miasta.

Złożyła więc podanie o awans do stopnia detektywa sierżanta.

Żadna jednostka do walki z przestępczością nie przyczyniła się do utrzymania porządku w mieście w takim stopniu, jak detektywi Departamentu Policji Nowego Jorku. Ich tradycja wywodzi się od równie twardego jak inteligentnego Thomasa Byrnesa, którego mianowano szefem podupadającego Biura Detektywów w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Byrnes posługiwał się groźbami, biciem, ale i subtelną dedukcją; udało mu się kiedyś rozbić złodziejski gang dzięki przesłedzeniu losów wstążki, z której drobne włókno znaleziono na miejscu przestępstwa. Pod jego natchnionym przewodnictwem detektywi biura, uzyskawszy przydomek Nieśmiertelnych, radykalnie zmniejszyli 24

przestępczość w mieście, które rządziło się prawem pięści rodem wprost z Dzikiego Zachodu.

Herman Sachs zbierał policyjne pamiątki. Tuż przed śmiercią podarował córce jeden z najcenniejszych eksponatów w tej kolekcji: mocno zniszczony notes, w którym sam Byrnes prowadził zapiski o wszczętych przez biuro dochodzeniach. Kiedy Amelia była młoda (a w pobliżu nie było matki), czytał jej fragmenty zapisków, a potem oboje wymyślali na ich podstawie najbardziej fantastyczne historie.

„12 października 1883. Znaleziono drugą nogę! Pojemnik na węgiel Slaggardy'ego. Pięć punktów. Oczekuję, że Cotton Williams natychmiast przyzna się do winy”.

Biorąc pod uwagę prestiż biura (i bardzo przyzwoite zarobki), może się wydawać dziwne, że kobiety miały tam większe szansę na awans niż w jakimkolwiek innym oddziale nowojorskiej policji. Jeśli Thomasa Byrnesa przyjęli za wzór mężczyźni, kobiety, w tym także Amelia, podziwiały Mary Shanley. Służąca w latach trzydziestych Shanley była policjantką twardą i bezkompromisową. Powiedziała kiedyś: „Wolno ci nosić broń, więc równie dobrze możesz jej używać”, co też czyniła często i skutecznie. Po latach walki z przestępczością w śródmieściu przeszła na emeryturę jako detektyw pierwszego stopnia.

Amelia Sachs pragnęła jednak czegoś więcej niż stopień detektywa, oznaczającego przecież wyłącznie specjalność zawodową. Chciała osiągnąć odpowiednio wysoki stopień służbowy.

W policji nowojorskiej, jak w większości policji na świecie, detektywem zostaje się dzięki wiedzy i doświadczeniu. Ale żeby awansować do stopnia sierżanta, przechodzi się morderczy potrójny egzamin: pisemny, ustny i, tak jak ona teraz, terenowy; symulację autentycznego zdarzenia, podczas której sprawdzano umiejętności praktyczne oraz działanie w sytuacjach stwarzających zagrożenie dla życia.

Kapitan, bardzo spokojny, cichy i doświadczony, przypominający Lawrence'a Fishburna, był głównym egzaminatorem i cały czas robił notatki.

- W porządku, funkcjonariuszko - zwrócił się do niej z uśmiechem - przygotujemy ocenę i

włączymy ją do pani akt. Pozwolę sobie jednak powiedzieć coś nieoficjalnie. - Zajrzał do notesu. - Ocena zagrożenia cywilów i policjantów doskonała. Prośby o wsparcie zgłaszane właściwie i w odpowiednich momentach. Rozmieszczenie sił praktycznie uniemożliwiało sprawcom ucieczkę z miejsca, w którym zostali zatrzymani, jednocześnie minimalizując zagrożenie z ich strony. Ocena nielegalnego przeszukania właściwa, Bardzo podobało mi się, jak zdobyta pani od zatrzymanego informacje przydatne negocjatorowi. Nie pomyśleliśmy, by uczynić to częścią ćwiczenia, ale naprawimy ten błąd. I wreszcie: nie podejrzewaliśmy nawet, że dzięki obserwacji samochodu ustalili pani istnienie czwartego sprawcy. Zaplanowaliśmy, że postrzeli on funkcjonariusza Wilkinsa, dzięki czemu moglibyśmy sprawdzić, jak poradzi sobie pani w sytuacji „ranny policjant” i jak zorganizuje zatrzymanie uciekającego bandyty. -

W tym momencie kapitan porzucił oficjalny ton i uśmiechnął się szeroko. - Najważniejsze, że dorwała pani sukinsynów! Proszę, proszę...

Egzamin ustny i pisemny ma już pani za sobą, prawda?

Tak jest. Rezultaty będą znane na dniach.

Moja grupa dokona oceny i wyśle ją do komisji z rekomen dacją. Spocznij.

Tak jest!

Podszedł do niej policjant grający ostatniego złego faceta, tego ze strzelbą. Był to przystojny Wioch o mięśniach boksera, sprawiający wrażenie, jakby urodził się i wychował w dokach Brooklynu. Policzki i brodę pokrywał mu ciemny, krótki zarost. Na smukłym udzie miał

kaburę z wielkim, chromowanym pistoletem, a jego łobuzerski uśmiech omal nie skłonił

Amelii do zasugerowania, by przejrzał się w kolbie i wreszcie przyzwoicie ogolił. - Muszę ci coś powiedzieć... brałem udział w kilkunastu egzaminach praktycznych, ale ten był najlepszy, mała.

Roześmiała się, zaskoczona tym, jak ją nazwał. W policji, począwszy od patroli po narożne gabinety na Police Plaża, nie brakowało oczywiście jaskiniowców, lecz na ogół patrzyli oni na kobiety z góry, jak ognia unikając seksualnych przytyków. Słów „mała” czy „słodziutka”

nie słyszała z ust gliniarza co najmniej od roku.

Pozostańmy przy „funkcjonariuszko”, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Ależ skąd. - Przystojniak roześmiał się. - Uspokój się, egzamin skończony.

O co panu chodzi?

Kiedy powiedziałem „mała”, to nie była ani część egzaminu, ani oceny. Nie musisz tego traktować... no, oficjalnie albo coś.

Powiedziałem tak, bo zrobiłaś na mnie wrażenie. I jesteś... no wiesz. - Uśmiechnął się szeroko. Bił od niego blask co najmniej taki, jak od jego pistoletu. -

Nie szastam komplementami, wiesz?

Jeśli już zdarzy mi się coś takiego powiedzieć, to jest to duża rzecz!

Jesteś... no wiesz.

Hej, nie wściekłaś się na mnie, prawda?

Skądże znowu. Ale pan będzie mówił do mnie „funkcjona riuszko”, a ja do pana „funkcjonariuszu”.

Przynajmniej tak będę ci mówiła w oczy.

- Przecież nie chciałem nikogo urazić! Ładna z ciebie dziew czyna. A ja jestem facetem, więc... przecież wiesz, jak to jest.

Więc.

- Więc? - spytała, odwracając się.

Przystojniak zastąpił jej drogę. Zmarszczył brwi.

Poczekaj! Nie najlepiej to wyszło. Słuchaj, postawię ci piwo.

Jak mnie lepiej poznasz, to na pewno polubisz.

Ja bym na to nie stawiał - zażartował jeden z jego przyja ciół. Włoch odwrócił się i zrobił obraźliwy gest, ale przyjacielsko, bez złośliwości.

Dokładnie w tym momencie odezwał się pager Amelii. Zerknęła na wyświetlacz, na którym pojawił się najpierw numer telefonu Rhyme'a, a potem słowo PILNE.

Czas na mnie.

Nie wypijemy piwka? - Przystojniak skrzywił twarz w tea tralnym grymasie.

Nie mam czasu.

To daj mi chociaż swój telefon.

Amelia złożyła z palców pistolet i wymierzyła w niego.

-

Pif, paf- powiedziała i pobiegła do swego żółtego camaro.

3

To jest szkoła? Amelia szła mrocznym korytarzem, ciągnąc za sobą wielką czarną walizę na kółkach, w której mieścił się sprzęt do badania miejsca zbrodni. Czowała wyraźnie zapach pleśni i starego, wilgotnego drewna. Pajęczyny przy wysokim suficie skleiły się w jedną zbitą masę.

Jak ktoś mógł się tu uczyć muzyki? Dom był jak z powieści Annę Rice, które tak lubiła czytać jej matka.

- Trochę tu strasznie - powiedział jeden z towarzyszących jej policjantów i wcale nie żartował, a przynajmniej nie do końca.

W podwójnych drzwiach przy końcu korytarza czekało na nich sześciu gliniarzy, czterech patrolowych i dwaj w cywilnych ubraniach. Sellitto, jak zwykle zaniedbany i w wygniecionym garniturze, stał z opuszczoną głową, w wielkiej łapie ściskając notatnik.

Rozmawiał z ochroniarzem, ubranym w mundur równie brudny i zaplamiony jak ściany i podłoga. Przez otwarte drzwi dostrzegła mroczne wnętrze, w środku leżało nieruchomo coś niezwykle - przynajmniej w tym miejscu - kolorowego. Ciało ofiary.

- Potrzebujemy lamp - zwróciła się do technika kryminalis-tycznego. Ten skinął głową i poszedł do samochodu, ruchomego laboratorium badania miejsca zbrodni, zaparkowanego dwoma kołami na chodniku przed wejściem do szkoły. Było to duże kombi, załadowane sprzętem do zbierania, zabezpieczania i przechowywania dowodów, znalezionych na miejscu przestępstwa. Ekipa kryminalistyczna dojechała tu szybko, ale nie tak szybko jak Amelia, która w swym camaro z 1969 roku osiągnęła średnią prędkość stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

W tej chwili Amelia Sachs przyglądała się zwłokom jasnowłosej dziewczyny, stojąc jakieś trzy metry od nich. Ciało leżało na wznak, z uniesionym brzuchem; skrępowane ręce ukryte były pod nim. Nawet z tej odległości, mimo słabego oświetlenia, Sachs widziała głębokie rany od sznura na szyi oraz krew na wargach i brodzie, prawdopodobnie od przegryzionego języka, co można uznać za normalne przy śmierci przez uduszenie.

Pierwsze spostrzeżenia: brak obrączki, w uszach kolczyki w kolorze szmaragdu, zniszczone sportowe buty. A także: brak śladów rabunku, napastowania seksualnego, znęcania się.

Kto z naszych był tu pierwszy?



My - odpowiedziała wysoka dziewczyna o ciemnych włosach, ruchem głowy wskazując niższą, jasnowłosą partnerkę. Są dząc z plakietek z nazwiskiem na mundurach, brunetka nazywała się „D. Franciscovich”, blondynka „N. Ausonio”. Po oczach obu łatwo było poznać, że są zaniepokojone. Franciscovich nerwowo stukała palcami po kaburze służbowego pistoletu, Ausonio co chwila zerknęła na ciało. Prawdopodobnie było to ich pierwsze morderstwo.

Obie złożyły jasne, spójne zeznania. Opowiedziały o sprawcy, o oślepiającym błysku światła, o ucieczce mężczyzny, o barykadzie. I o niepojętym zniknięciu sprawcy.

Słyszaliście, jak powiedział, że ma zakładnika?

Słyszaliśmy - potwierdziła Ausonio. - Ale doliczyliśmy się wszystkich, przebywających wówczas na terenie szkoły. Jesteśmy pewne, że blefował.

Ofiara?

-  
Świetlana Rasnikow. Lat dwadzieścia cztery. Studentka.

Sellitto przerwał przesłuchiwanie ochroniarza.

Bedding i Saul rozmawiają ze wszystkimi, którzy byli tu dziś rano - powiedział.

Kto wchodził do środka? - spytała Amelia.

Te dwie funkcjonariuszki. - Sellitto gestem głowy wskazał

młode policjantki. - Potem dwóch sanitariuszy i dwóch lekarzy pogotowia. Wycofali się, gdy tylko zrobili swoje... a niewiele mieli do roboty.

Także ochroniarz - przypomniała mu Ausonio. - Ale tylko na chwilę. Wyprowadziliśmy go prawie natychmiast.

Świetnie. Świadcówie?

Na korytarzu był woźny - przypomniała sobie Nancy Ausonio.

Ale nic nie widział - wtrąciła jej partnerka.

Muszę obejrzeć podeszwy jego butów - wyjaśniła Amelia.

- Zebrać materiał porównawczy. Czy któraś z was mogłaby go znaleźć?

Jasne - odparta Nancy i natychmiast udała się na poszukiwania.

Z jednej ze swych czarnych walizek Amelia Sachs wyjęła zapinaną na zamek błyskawiczny, przezroczystą plastikową torbę. Wyjęła z niej biały kombinezon, włożyła go, rude włosy przykryła kapturem, po czym naciągnęła rękawice. Był to standardowy strój wszystkich kryminalistów z nowojorskiej policji. Zapobiegał zanieczyszczeniu badanego terenu mikrośladowymi, fragmentami włosów, komórkami łuszczonej się skóry. W komplecie były buty; Amelia zawsze pamiętała jednak, by nałożyć na nie gumowe opaski, dzięki którym jej ślady różniły się zarówno od śladów sprawcy, jak i ofiary.

Podłączyła krótkofalówkę motoroli, nałożyła słuchawki, poprawiła mały mikrofon na cienkim drucie. Wywołała podłączenie do naziemnej linii telefonicznej i już wkrótce, bo ten skomplikowany system komunikacyjny instalował się naprawdę szybko, usłyszała w słuchawkach cichy głos Lincolna Rhyme'a.

Sachs, jesteś tam?

Owszem. Wygląda to dokładnie tak, jak mówiłeś: policjantki zagoniły go w pułapkę bez wyjścia, a on znikł, jakby się rozpułynał w powietrzu.

A teraz chcą, żebyśmy go dla nich znaleźli? - Rhyme zachichotał. - Już taki nasz los, że

naprawiamy popełniane przez innych biedy. Poczekaj chwilkę. Polecenie, ścisz muzykę.

Jeszcze...

tak.

Technik, który szedł z Amelią mrocznym korytarzem, powrócił z lampami na trójnogach.

Ustawiła je w korytarzu, a następnie ostrożnie przekroczyła próg i znalazła się na miejscu przestępstwa.

Diskusje, jak prawidłowo badać miejsce zbrodni, toczą się praktycznie bez przerwy.

Oficerowie śledczy w zasadzie zgadzają się, że im mniej ludzi, tym lepiej, ale nadal zespoły przeszukujące są na ogół kilkuosobowe. Lincoln Rhyme przed wypadkiem pracował niemal wyłącznie sam i nalegał, by Amelia także prowadziła przeszukiwanie sama. Praca w zespole nie sprzyja skupieniu, poza tym policjant jest mniej uważny; choćby podświadomie zakłada, że jeśli on czegoś nie znajdzie, wyręczą go koledzy.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego jeden przeszukujący lepiej się sprawdza niż kilka osób.

Rhyme doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że na miejscu zbrodni tworzy się makabryczna więź. Policjant przeszukujący je samotnie szybciej nawiąże psychiczny związek z ofiarą i sprawcą, dzięki czemu łatwiej mu będzie określić, które dowody są ważne i gdzie ich szukać.

Amelia bez wysiłku osiągnęła ten trudny stan umysłu. Przyjrzała się uważnie bezwładnemu ciału, leżącemu na podłodze obok taniego drewnianego stolika. W pobliżu ciała dostrzegła kubek, z którego wylała się kawa, rozsypane nuty i srebrny element fletu, który dziewczyna składała zapewne, gdy morderca zarzucił jej pętlę na szyję. W zaciśniętej dłoni trzymała fragment instrumentu. Czyżby zamierzała użyć go jako broni? A może w ostatnich chwilach życia czepiała się po prostu tego, co znajome?

Stoję przy ciele, Rhyme - powiedziała do mikrofonu, robiąc zdjęcia aparatem cyfrowym.

Mów.

- Leży na wznak, ale odpowiadające na wezwanie policjantki znalazły ją leżącą na brzuchu. Próbowaly dziewczynę reanimować. Obrażenia odpowiadają założonej koncepcji śmierci przez uduszenie. - Amelia Sachs ostrożnie obróciła ciało z powrotem na brzuch. - Ręce skrepowane czymś wyglądającym na staro świeckie kajdanki. Nie rozpoznaję ich. Zegarek stłuczony. Zatrzymał się dokładnie na ósmej rano. Nie wygląda to na przypadek, -

Objęła wąski nadgarstek dziewczyny ręką w rękawiczce. Tak, zegarek został zgnieciony. -

Rhyme, sprawca na niego nadepnął. To

był dobry zegarek, Seiko. Dlaczego go zniszczył, zamiast po prostu ukraść?

-  
Dobre pytanie. Może mamy tu coś... a może nie?

Doskonały opis kryminalistycznego rozumowania, pomyślała Amelia.

-  
Jedna z policjantek przecięła pętlę na szyi. Pozostawiła węzeł.

Policjanci nie powinni przecinać węzłów przy zdejmowaniu więzów z szyi ofiar uduszenia; mogą one przekazać mnóstwo informacji o tych, którzy je wiązali.

Amelia Sachs użyła rolki pokrytej warstwą samoprzylepną, by zebrać mikroślady; zdaniem ekspertów odkurzacze, przypominające te domowe, zasysały za wiele zwykłych śmieci.

Większość zespołów badających miejsca przestępstw preferowała urządzenia podobne do tych, jakimi oczyszcza się sierść psów.

Zdobyte dowody zapakowała do torebek, po czym używając zestawu do badania zwłok, zebrała próbki włosów ofiary oraz brudu z paznokci.

- Idę po siatce - powiedziała do mikrofonu. To określenie, stworzone przez samego Lincolna Rhyme'a, określało jego ulubiony sposób badania miejsca zbrodni. Siatka to metoda najdoskonalsza: tam i z powrotem w jednym kierunku, tam i z powrotem pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Po tym samym terenie, pamiętając, by badać nie tylko ziemię lub podłogę, lecz także, gdy to konieczne, ściany i sufit.

Amelia Sachs rozpoczęła badanie. Szukała porzuconych lub upuszczonych przedmiotów, zbierała mikroślady naklejone na wałek, robiła elektrostatyczne zdjęcia śladów butów i fotografie cyfrowe. Zawodowi fotografowie policji mieli wkrótce uwiecznić miejsce zbrodni centymetr po centymetrze, ale wywołanie i udostępnienie ich zdjęć trochę trwało, a Lincoln Rhyme nalegał, by choć część materiału mieć do dyspozycji natychmiast.

-  
Hej! - zawołał Sellitto.  
Obróciła się w kierunku, z którego dobiegał głos.

Tak się właśnie zastanawiałem... Nie wiemy przecież, gdzie znikł ten dupek. Ściągnąć ci wsparcie?

Nie - odparła, ale w myśli podziękowała mu, że przypomniał jej o tym jakże ważnym fakcie: mordercę, zbiegłego z miejsca zbrodni, po raz ostatni widziano właśnie tutaj, w pomieszczeniu, które miała przeszukać. Wspomniała kolejny aforyzm Rhyme'a:

„Szukaj w skupieniu, lecz uważaj na tyłek”. Dotknęła kolby glocka, przypominając sobie, gdzie dokładnie jest, na wypadek gdy

by musiała szybko po niego sięgnąć (pod kombinezonem kabura przesuwała się nieco do góry), i wróciła do poszukiwań.

Uwaga, mam coś - powiedziała Rhyme'owi chwilę później. -

Znalezione w korytarzu, jakieś dziesięć metrów od ciała. Fragment czarnej tkaniny. Jedwabnej. W każdym razie przypomina jedwab. Leży na części fletu ofiary, musiała więc należeć albo do niej, albo do sprawcy.

W korytarzu nie znalazła nic więcej, weszła więc do sali koncertowej, nadal trzymając dłoń na rękojeści glocka. Odprężyła się na chwilę; przekonała się, że nie ma tu miejsca, w którym mógłby skryć się sprawca, nie ma ukrytych drzwi ani zamaskowanych wejść. Gdy jednak zaczęła chodzić po siatce, poczuła się niewyraźnie.

Trochę tu strasznie.

- Rhyme, dziwna sprawa...

- Nie słyszę cię, Sachs...

Oczywiście. Czowała się tak niepewnie, że mówiła szeptem.

- Widzę spalone nici, zawiązane wokół przewróconych krzesel. Także coś, co wygląda na zapalnik. Czuję zapach po spalonych azotanach i siarce. Policjantki, które pierwsze się tu pojawiły, twierdzą, że sprawca strzelał, ale nie jest to zapach prochu bezdymnego. Czuję coś innego. Aha. Mam małą spaloną petardę.

Może to był ten strzał, który słyszały dziewczyny? Chwileczkę...

jest coś jeszcze, pod krzesłem. Niewielki zielony układ scalony, z dołączonym do niego głośnikiem.

Niewielki? - spytał kwaśno Rhyme. - Metr jest niewielki w porównaniu z kilometrem, a kilometr niewielki w porównaniu ze stu kilometrami.

Przepraszam. Ma jakieś pięć na dwanaście centymetrów.

Całkiem spory w porównaniu z dziesięciocentówką, nie uwa żasz.

Zrozumiałam, co chcesz mi powiedzieć, i bardzo ci za to dziękuję, pomyślała Amelia. Zebrała w sali koncertowej, co mogła, i wyszła przez drugie drzwi, przeciwpożarowe. Zbadała elektrostatycznie i sfotografowała odciski butów, które tam znalazła. Na zakończenie wzięła próbki kontrolne do porównania ze śladami pozostawionymi na ciele ofiary i w miejscach, po których mógł poruszać się sprawca.

Mam wszystko, Rhyme - zameldowała. - Wracam za pół go dziny.

Znalazłaś sekretne drzwi i podziemne przejścia, o których wszyscy opowiadają z takim zapalem?

-Nie.

-

Doskonale. Wracaj do domu.

Wyszła z sali, pozostawiając ją fotografom i patologom. Przy drzwiach spotkała się z funkcjonariuszkami Franciscovich i Au-sonio.

- Znalazłyście woźnego? - spytała. - Muszę zdjąć próbki z je go butów.

Nancy Ausonio potrząsnęła głową.

- Musiał odwieźć żonę do pracy. Zostawiłam informację w administracji, ma się z nami skontaktować.

Jej partnerka powiedziała bardzo poważnie.

- Hej,

proszę pani, my... rozmawialiśmy, Nancy i ja. Nie chcemy, żeby łobuzowi udało się uciec. Jeśli możemy się na coś przydać, wystarczy powiedzieć.

Amelia Sachs doskonale je rozumiała.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecała.

Zatrzeszczała motorola Sellitta. Przyłożył ją do ucha, chwilę słuchał w milczeniu, po czym powiedział:

- Chłopcy Twardziele meldują, że zakończyli przesłuchiwanie świadków.

Sachs i Sellitto dołączyli do nich w korytarzu. Jeden z Twar-dzieli był wysoki, drugi niski, jeden miał piegi, drugi czystą, gładką cerę. Obaj detektywi z Dużego Gmachu specjalizowali się w „przeczesywaniu”, czyli wyszukiwaniu i przesłuchiwaniu świadków po dokonaniu przestępstwa.

Rozmawialiśmy z siedmioma osobami.

Plus ochroniarz.

Nie było wśród nich wykładowców.

Tylko studenci.

Mimo że tak do siebie niepodobni, ci dwaj policjanci nazywani byli „bliźniakami”. Doskonale „podwajali” zarówno świadków, jak i sprawców, ale traktowanie ich oddzielnie sprawiało kolegom zbyt wiele kłopotów. Woleli przyjmować po prostu, że mają do czynienia z jedną osobą, wówczas przynajmniej dawało się ich bez trudu zrozumieć.

Nie zdobyliśmy żadnych istotnych informacji.

Po pierwsze, większość przesłuchiwanym strasznie się bała.

I miejsce nie sprzyja nawiązywaniu kontaktów - jeden z „bliźniaków” wskazał pajęczyny

zwisające z brudnego sufitu, poplamionego starymi zaciekami.

Ofiary nikt dobrze nie znał. Przyjechała dziś rano i poszła do sali koncertowej z przyjaciółką.

Ta...

Ta przyjaciółka nie zauważyła nikogo. Rozmawiały jakieś pięć minut. Rozstały się około ósmej.

A więc - powiedział Rhyme, który słuchał tej rozmowy przez radio - sprawca czekał na nią w sali.

Ofiara - kontynuował niższy z dwóch jasnowłosych detekty wów - przyjechała z Gruzji...

To znaczy z rosyjskiej Gruzji, a nie tej naszej, od drzew morelowych\*.

...jakieś dwa miesiące temu. Uchodziła za samotniczkę.

Konsulat skontaktuje się z jej rodziną.

\* W języku angielskim Gruzja to Georgia.

Studenci siedzieli w salach ćwiczeń rozrzuconych po całym budynku. Nikt nic nie słyszał.

Mąż, przyjaciel, przyjaciółka? - Amelia doskonale pamiętała pierwsze przykazanie śledztwa w sprawie zabójstwa: sprawca

zazwyczaj zna ofiarę.

Jej koledzy o nikim takim nie słyszeli.

Jak można dostać się do budynku? - spytał Rhyme. Amelia Sachs przekazała jego pytanie.

Wyłącznie przez drzwi frontowe - odpowiedział ochroniarz.

- Mamy oczywiście wyjścia przeciwpożarowe, ale nie da się ich otworzyć od środka.

Więc sprawca musiał przejść obok pana?

I wpisać się. No i został nagrany przez kamerę.

; Sachs spojrzała w górę.

- Mają tu kamerę systemu bezpieczeństwa, ale obiektywu nikt nie czyścił od wieków.

Podeszli do stanowiska ochrony. Ochroniarz wcisnął kilka przycisków i odtworzył nagranie.

Bedding i Saul wytypowali siedem osób i - jak zwykle jednogłośnie - zgodzili się, że jednej nie było wśród przesłuchiwanym: brązowowłosego, starszego mężczyzny w dżinsach i obszernej kurtce.

-

To on - powiedziała Franciscovich. - To morderca.

Nancy Ausonio potakująco skinęła głową.

Na niewyraźnym, drżącym nagraniu widać było, jak mężczyzna wpisuje się do książki wejść i odchodzi. Kiedy składał podpis, strażnik patrzył na książkę i nie widział jego twarzy.

Nawet pan na niego nie zerknął? - zdziwiła się Amelia.

A po co? - Ochroniarz najwyraźniej uznał, że powinien się jakoś bronić. - Kiedy się wpiszą, to ich wpuszczam. Dlaczego nie?

Taką mam pracę. Przede wszystkim pilnuję, żeby nikt nie wy niósł nic na zewnątrz.

Przynajmniej mamy jego podpis, Rhyme - ucieszyła się Sachs. -1 nazwisko. Bez wątplenia fałszywe, ale próbka pisma to też coś. Gdzie się podpisał? - spytała ochroniarza, biorąc księgę wejść dłonią w lateksowej rękawiczce.

Przewinęli taśmę i obejrzeliby jeszcze raz od początku. Morderca wpisał się czwarty w kolejności, ale w czwartej rubryce widniało imię kobiety!

- Obejrzyjcie to jeszcze raz - poradził Rhyme. - Policzcie wpisujących się ludzi.

35

Postąpili zgodnie z tą radą. Wpisało się dziewięć osób: ośmioro studentów, w tym ofiara, oraz

morderca.

Weszło dziewięcioro, Rhyme. Ale wpisanych mamy tylko ósmioro.

Jak to możliwe? - zdziwił się Sellitto.

Spytajcie strażnika, czy jest pewien, że sprawca się wpisał

- polecił Rhyme. - Może tylko udawał?

I to pytanie zostało przekazane.

-

Tak, jestem pewien. - Odpowiedź padła bez wahania. - Niezawsze patrzę im w oczy, ale zawsze spoglądam na wpisy.

Taką mam pracę.

Amelia Sachs tylko potrząsnęła głową i wbiła kolejny paznokieć w stwardniałą skórę kciuka.

- No

cóż, przywieź mi książkę wejść ze wszystkim, co zebrałaś.

Przyjrzymy się temu razem - zdecydował Rhyme.

W rogu holu stała młoda Azjatka. Kulila się. Niecierpliwie wyglądała przez szybę, czekając na autobus, który miał ją wywieźć z tego okropnego miejsca. Obróciła się, zauważyła Amelię.

Słyszałam waszą rozmowę - powiedziała. - Mówiliście...

a przynajmniejtak mi się zdawało... więc mówiliście, że nie wie cie, czy wyszedł ze szkoły po tym, jak... po tym, co się stało. Myśli pani, że ciągle może tu być?

Nie, nie sądzę. Chodziło nam raczej o to, że nie wiemy, jak się wydostał.

-Ale jeśli tego nie wiecie, to skąd pewność, że w ogóle uciekł? Może gdzieś się tu przyczaił i czeka na następną... ofiarę? Nie macie przecież zielonego pojęcia, gdzie jest.

Amelia próbowała uśmiechem dodać jej odwagi.

- Będziemy trzymać w okolicy mnóstwo policjantów, póki nie dowiemy się, co tu naprawdę zaszło. Nie masz się o co martwić.

Lecz jednocześnie myślała: Masz rację, dziewczyno. On ciągle może tu być i czekać na następną ofiarę. Rzeczywiście, nie mamy zielonego pojęcia, gdzie jest w tej chwili.

A teraz, szacowni widzowie, ogłaszam krótką przerwę. Cieszcie się wspomnieniem

„Leniwego Kata”, rozkoszujcie marzeniami o tym, co nastąpi wkrótce. Rozluźnijcie się. Na drugi akt nie będziecie musieli długo czekać.

Mężczyzna szedł Broadwayem, po Upper West Side Manhattanu. Przy rogu którejś z poprzecznych ulic zatrzymał się, jakby nagle coś sobie przypomniał. Zręcznie skrył się w cieniu budynku. Z futerału przy pasie wyjął telefon komórkowy i podniósł go do ucha. Mówił

coś, uśmiechając się od czasu do czasu, jak to ludzie, rozmawiający przez komórki. Rozglądał się przy tym dookoła, niedbale i jakby przypadkowo, co też nie było bynajmniej zachowaniem niezwykłym.

W rzeczywistości mężczyzna ten wcale nie rozmawiał przez telefon. Sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, po tym jak opuścił szkołę muzyczną.

Malerick wyglądał zupełnie inaczej niż wówczas, gdy pół godziny wcześniej wychodził z budynku szkoły. Był teraz gładko ogolonym blondynem ubranym w dres do joggingu i sportową koszulkę polo. Gdyby któryś z przechodniów przyjrzał mu się bliżej, zauważyłby pewnie kilka charakterystycznych szczegółów: blizny wyraźnie widoczne nad kołnierzykiem koszuli i zrośnięte dwa palce lewej ręki, mały i serdeczny. Ale nikt nie przyglądał mu się bliżej. A to dlatego, że

zachowywał się zupełnie naturalnie; naturalny był zarówno wyraz jego twarzy, jak i ruchy. Wszyscy iluzjoniści doskonale wiedzą, że naturalne zachowanie czyni cię niewidzialnym.

Nikt go nie śledził. Zadowolony Malerick ruszył przed siebie niespiesznie i skręcił w ocienione drzewami uliczkę. Widział tylko kilku biegaczy i dwóch, może trzech mieszkańców wracających do domów z „Timesem” pod pachą i papierowymi torbami z delikatesów, marzących o kawie, a może także niespiesznym seksie w weekendowy poranek.

Wszedł po schodach do mieszkania, które wynajął kilka tygodni wcześniej. Mieszkania w mrocznym, cichym budynku, tak różnym od jego domu i studia na pustyni niedaleko Las Vegas. Okna jego mieszkania wychodziły na podwórko z tyłu.

Jak już mówiłem, kolejny akt wkrótce się rozpocznie.

Na razie, szanowni widzowie, poplotkujcie sobie o iluzjoniście, którego właśnie oglądaliście, porozmawiajcie z sąsiadami, spróbujcie domyślić się, co jeszcze was czeka.

Kolejny występ będzie wymagać od naszej gwiazdy zupełnie innych umiejętności, lecz mogę wam obiecać, że wstrząśnie wami tak jak „Leniwy Kat” albo nawet bardziej.

Te słowa - a także wiele innych - pojawiały się w umyśle Malericka niejako automatycznie.

„Szacowni widzowie...”. Do swej wyobrażonej widowni przemawiał bezustannie. Czasami słyszał nawet brawa, krzyki i śmiechy, a od czasu do czasu zdumione, przepełnione strachem westchnienia. Słyszał szum słów, wypowiedzianych z teatralną manierą przez mocno umalowanego konferansjera lub staroświeckiego iluzjonistę, słyszał monolog, skierowany do widzów, przekazujący im informacje konieczne do zrozumienia kolejnego numeru, do nawiązania kontaktu, a czasami służący rozproszeniu ich uwagi, nazywany „zagadywaniem”.

Po pożarze Malerick zerwał kontakty z ludźmi, ze społeczeństwem. Zastąpili mu je „szacowni widzowie”, którzy stopniowo stali się jego najwierniejszymi przyjaciółmi. Zagadywanie wypełniło wkrótce cały jego czas, całe dni i całe noce; wydawało mu się czasami, że może wręcz doprowadzić go do szaleństwa. Lecz jednocześnie sprawiało mu ogromną przyjemność: Dobrze było wiedzieć, że nie został sam mimo tragedii sprzed trzech lat.

Widzowie pozostali mu wierni.

W mieszkaniu czuć było tanie werniksy i dziwny, intensywny zapach wydzielany przez tapety i podłogę. Lokal był ledwo umeblowany, i to jak najtaniej: tandetne kanapy i krzesła, surowy pokój jadalny ze stołem, zastawionym w tej chwili dla jednej osoby. Ale i sypialnie... w sypialniach z trudem znalazłoby się odrobinę wolnego miejsca. Wypełniały je przedmioty niezbędne iluzjoniście: rekwizyty, kostiumy, liny, stroje, lateksowe formy, peruki, bele materiałów wraz z maszyną do szycia, farby, zestawy do makijażu, układy scalone, przewody, baterie, bawełna strzelnicza, zapalniki, narzędzia ciesielskie i setki innych podobnych przedmiotów.

Malerick zaparzył herbatę ziołową. Usiadł przy stole w jadalni i popijał ją, jedząc przy tym owoce i niskokaloryczny batonik. Stwarzanie iluzji jest aktywnością fizyczną, iluzjonista zależy od sprawności swego ciała. Zdrowe odżywianie się i ćwiczenia są konieczne do osiągnięcia sukcesu.

Poranek okazał się bardzo owocny. Pierwszego statystę zabił wyjątkowo łatwo. Z rozkoszą wspominał, jak dziewczyna zeszywniała w szoku i zmoczyła się, gdy stanął za nią i zarzucił

jej sznur na szyję. Do ostatniej chwili nie wiedziała, że przez pół godziny czekał w kącie, okryty czarnym jedwabiem. I to zaskakujące wejście policji: owszem, wstrząsnęło nim, ale jak każdy dobry iluzjonista Malerick umiał radzić sobie z niespodziankami. Zawczasu przygotował drogę ucieczki i wykorzystał ją wręcz perfekcyjnie.

Skończył śniadanie, zaniósł kubek do kuchni, wymył go dokładnie i ustawił na suszarce. We wszystkim, co robił, był bardzo, bardzo metodyczny. Jego mistrz, iluzjonista o raczej gwałtownym temperamencie, ale jednak dokładny i całkowicie pozbawiony poczucia humoru, wiedział, jak uczyć dyscypliny.

Przeszedł do największej sypialni. Włożył do magnetowidu kasetę z nagraniem przedstawiającym miejsce, w którym miał wykonać kolejny numer. Oglądał je kilkanaście razy, zapamiętał z wszystkimi szczegółami, ale postanowił obejrzeć wszystko jeszcze raz.

Mentor wbił mu do głowy - czasami w trakcie tych nauk nie żałował rzemienia - szacunek dla reguły sto do jednego, ćwiczysz sto minut dla jednej minuty występu.

Nie odrywając oczu od telewizora, Malerick przyciągnął przykryty aksamitem stolik iluzjonisty. Nie patrząc na ręce, spróbował prostych sztuczek karcianych: szufladki, fałszywego przekładania na trzy kupki, rozdania asów. Potem przyszedł czas na bardziej skomplikowane: ukrycie asa Stanleya, słynnej tajemnicy sześciu kart Maldo i kilku innych, z których część była dziełem wielkiego aktora i mistrza sztuczek karcianych Ricky'ego Jaya, a część - Caldiniego.

Nie pominął także sztuczek karcianych z repertuaru młodego Harry'ego Houdiniego. Houdini zasłynął jako mistrz wyzwalań

się z więzów i jako taki jest pamiętany, w rzeczywistości był jednak znakomitością w każdej dziedzinie magii. Umiał wywołać „zniknięcie” nie tylko asystentów, lecz także słoni, ale nie zaniebyszał magii nazywanej „drobną”. Wywarł wielki wpływ na życie Malericka. Gdy po raz pierwszy Malerick zaczął występować, jeszcze jako nastolatek, przyjął nawet sceniczny pseudonim „Młody Houdini”. Druga część nazwiska, którego używał obecnie, nie tylko miała przypominać mu poprzednie życie, życie sprzed pożaru, ale była także hołdem dla Houdiniego, który urodził się na Węgrzech jako Erik Weisz. Z kolei jeśli chodzi o Mai, łatwo było uznać, że pochodzi także od iluzjonisty, słynnego Ma-xa Breita, występującego pod pseudonimem Malvini. Ale podejrzenie to okazałoby się błędne. W rzeczywistości Malerick użył trzech liter składających się na łacińskie słowo oznaczające zło, opisujące doskonale rodzaj jego ulubionej magii.

Bardzo uważnie obserwował film, notując w pamięci rozkład okien i miejsca, w których mogliby pojawić się świadkowie, a także możliwe kryjówki; wszyscy iluzjoniści są mistrzami w ukrywaniu się. Cały czas ćwiczył kartami, przesuwając się z sykiem niczym rozżłoszczony wąż. Króle i walety, królowe i dzokery, blotki i figury spływały rzeką na aksamitne sukno stołu, po czym zaprzeczając pozornie prawom grawitacji, wracały w jego mocne dłonie i znikwały, jakby ich nigdy nie było. Gdyby ktoś obserwował to improwizowane przedstawienie, zapewne potrząsnąłby głową z niedowierzaniem niemal całkowicie przekonany, że ten tu człowiek zaprzecza rzeczywistości, że nikt oprócz niego nie jest zdolny tego dokonać.

W rzeczywistości było jednak odwrotnie. Proste sztuczki karciane, które Malerick wykonywał jako zwykłe ćwiczenie, niewiele lub nawet nic nie miały wspólnego z magią, a jeszcze mniej z cudami. Służyły ćwiczeniu sprawności rąk i wprowadzenia w błąd widzów, a rządziły nimi proste reguły fizyczne.

O tak, szacowni widzowie, to, co widzieliście, i to, co jeszcze zobaczycie, jest bardzo, ale to bardzo rzeczywiste.

Tak rzeczywiste jak ogień palący ciało.

Tak rzeczywiste jak pętla zaciśnięta na szyi dziewczyny.

Tak rzeczywiste jak wskazówki zegara przesuwające się powoli i zatrzymujące na godzinie, o



której wystąpi nasza kolejna gwiazda magii.

-Cześć!

Młoda kobieta usiadła przy łóżku mamy. Przez okno widziała wypielegnowany ogród, w którym królował potężny dąb. Pień dębu oplatały macki powoju układające się w kształty, które odczytywała inaczej każdego dnia każdego miesiąca, podczas każdej wizyty. Dziś anemiczne pnącze nie było jednak ani smokiem, ani stadem ptaków, ani żołnierzem, lecz zaledwie rośliną rozpaczliwie próbującą przetrwać w wyjątkowo niesprzyjającym jej środowisku wielkiego miasta.

- Jak

się czujesz, mamuśko.

Mówiła tak do mamy od czasu wakacji, które całą rodziną spędzili w Anglii. To wówczas Kara nadała przydomki wszystkim najbliższym: tata został Jego Królewskością, mama Królową Mamuśką, ona - Królewskim Dzieciakiem.

-

Doskonale, kochanie. A jak życie ciebie traktuje?

p - Średnio. Hej, podoba ci się? - Wyciągnęła dłonie, pokazując matce palce o krótkich paznokciach polakierowanych na głęboką Oerń koncertowych fortepianów.

-

Świetnie, kochanie. Różowy kolor trochę mi się znudził. Jest taki przerażająco konwencjonalny.

Kara wstała. Poprawiła matce poduszkę. Usiadła i napiła się kawy z wielkiego kubka Starbucks. W swym niedługim życiu uzależniła się wyłącznie od kawy, ale było to uzależnienie poważne, nie wspominając już o tym, że raczej kosztowne. Tego ranka piła '(już trzeci kubek.

Włosy przycięte miała po chłopięcemu. Dziś były rudobrazo-we, choć w ciągu jej kilkuletniego pobytu w Nowym Jorku zmieniały kolor niemal codziennie i ogarnęły już całe widzialne przez człowieka spektrum. Niektórzy mówili o nich „elfie”, ale tego określenia nie znosiła. Dla niej były po prostu praktyczne. Dzięki tej fryzurze Kara brała prysznic, a po kilku minutach mogła już wyjść z domu, co stanowiło dar losu dla kogoś, kto z zasady nie kładł się spać przed trzecią w nocy i kogo nie sposób było zaliczyć do rannych ptaszków.

Kara miała na sobie elastyczne spodnie i choć mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt - pantofle na płaskich obcasach. Ciemno-fioletowa bluzka z krótkimi rękawami nie kryła mocnych mięśni ramion. Studiowała na uczelni, w której nauki polityczne i huma-| nistyczne uważano za znacznie ważniejsze niż wychowanie fizyczne, ale po zdobyciu dyplomu zapisała się do Gold's Gym i nie tylko biegała po sztucznej bieżni, lecz także dźwigała ciężary. Po mieszkance Greenwich Village - dzielnicy cyganerii - z ośmioletnim stażem, która dobiegała trzydziestki, można się było spodziewać barwnych tatuaży i co najmniej kilku kolczyków w różnych miejscach. Ale w ten sposób nie zdobiła ciała.

Zapamiętaj, mamuśko. Jutro występuję. W jednym z tych pomniejszych przedstawień pana Balzaca. Wiesz przecież.

Oczywiście, pamiętam.

Ale tym razem będzie inaczej. Tym razem pozwoli mi wystąpić bez asystenta. To będzie mój występ. Tylko mój.

Doprawdy, kochanie?

Daję słowo.

Przed otwartymi na korytarz drzwiami przeszedł powoli pan Geldter.

- Dzień dobry - powiedział.

Kara skinęła głową. Pamiętała, że kiedy jej mama pojawiła się w Stuyvesant Manor, jednym z najlepszych w mieście domów dla osób starszych, natychmiast połączono jej nazwisko z nazwiskiem tego wdowca i plotkowano na potęgę.

- Myślą, że jesteśmy parą - szepnęła teraz jej matka.

A jesteście? - spytała Kara, myśląc o tym, że najwyższy czas, by po pięciu latach wdowieństwa mama znalazła sobie wreszcie przyjaciela.

Oczywiście, że nie - syknęła starsza pani, naprawdę wściekła. - Co ty sugerujesz.

Ta wymiana zdań doskonale definiowała mamę Kary. Odrobina śmiałości wydawała się jej całkiem w porządku, ale istniała - wytyczona najzupełniej arbitralnie - linia, po której przekroczeniu stajesz się Wrogiem przez duże W, choćbyś była ciałem z ciała i krwią z krwi.

Dziewczyna pochyliła się. Z zapałem opowiadała, co planuje na jutro. Mówiąc, przyglądała się matce, skórze jej twarzy, przedziwnie gładkiej jak na siedemdziesięciolatkę, różowej niczym u zdrowego niemowlęcia, włosom właściwie siwym, ale z wieloma grubymi, kruczymi pasmami. Zaangażowany przez dom opieki stylistą ułożył je w stylowy kok.

W każdym razie na widowni będzie kilku moich przyjaciół i byłoby wspaniale, gdybyś mogła przyjechać.

Spróbuję.

Kara, podniecona własną opowieścią, siedząca na krawędzi fotela, nagle zdała sobie sprawę, że mocno zaciska pięści, aż cała zeszywniała z napięcia. Oddychała płytko, głośno.

Spróbuję.

Zamknęła oczy, do których napłynęły czyste, srebrne łzy. Niech to wszyscy diabli! Spróbuję.

Nie, nie, nie, to nie tak, pomyślała gniewnie. Przecież jej matka nigdy nie powiedziała by „spróbuję”. To do niej zupełnie nie pasowało. Mogła oczywiście powiedzieć: „Będę na miejscu, słodziutka. W pierwszym rzędzie”, mogła powiedzieć zimno, wręcz odpychająco:

„Nie, jutro nie mogę. Dlaczego nie uprzedziłaś mnie wcześniej?”. Ale starsza pani nigdy nie mówiła „spróbuję”. Kiedy była z tobą, to całym sercem, kiedy przeciwko tobie, należało się strzec.

Tylko że teraz nie była człowiekiem, lecz w najlepszym razie tiemowlęciem, śniącym z otwartymi oczami.

Rozmowa, którą Kara toczyła przed chwilą, odbyła się wyłącznie w jej wyobraźni. Och, oczywiście to, co sama mówiła, było bardzo rzeczywiste. Ale słowa mamy: „Doskonale, kochanie”, „Jak życie traktuje ciebie” i „Spróbuję”, Kara wymyśliła od początku do końca.

Nie, mama nie powiedziała dziś ani słowa. Wczoraj także. I przedwczoraj też. Leżała pod ocienionym przez bluszcz oknem, śniąc na jawie. Takie dni zdarzały się coraz częściej, ale bywały inne, kiedy ożywiona wygadywała przerażające nonsensy, co dowodziło tylko sukcesów niewidzialnej armii, podbijającej jej mózg, ogniem i mieczem niszczącej resztki rozsądku. „Ale zdarzały się jeszcze gorsze chwile. Czasami, bardzo rzadko, jej matka zachowywała się bardzo przytomnie i choć na ogół trwało to krótko, budziło wielkie nadzieje.

Gdy Kara godziła się z rzeczywistością, przygotowywała na najgorsze, akceptowała fakt, że matka, jaką znała, odeszła na zawsze, mama jakimś cudem wracała, jakby nigdy nie doznała wylewu krwi do mózgu. I nadzieja, którą Kara tak troskliwie pielęgnowała, pryskała jak bańka mydlana. Czowała się niczym maltretowana żona, której brutalny mąż okazuje czasem odrobinę czułości. W takich chwilach powtarzała sobie, że stan mamy z pewnością się poprawia.

Lekarze twierdzili, że nie ma najmniejszej szansy na poprawę. Ale... lekarzy nie było przecież

przy łóżku jej matki, gdy przed kilkoma miesiącami obudziła się i powiedziała do córki:

- Cześć, słodziutka. Zjadłam ciasteczka, które mi wczoraj przyniosłaś. Dodałaś do nich orzeszków hikory, tak jak lubię. Niech diabli wezmą kalorie. - Roześmiała się jak nastolatka.

1

- Jak się cieszę, że przyszałaś. Zaraz opowiem ci, co wczoraj wieczorem pani Brandon wyczyniała z pilotem telewizora.

Zdumiona Kara patrzyła na nią, mrugając oczami. Niech to diabli, ale przecież wczoraj naprawdę przyniosła matce ciasteczka z orzechami i naprawdę dodała do nich orzeszki hikory, i tak, szalona pani Brandon z czwartego piętra ukradła pilota i wykorzystując odbicie od okien sąsiedniej sali, wysyłała sygnały do pokoju pielęgniarek, przez dobre pół godziny zmieniając kanały i poziom dźwięku, aż wszyscy uznali, że w budynku zagnieździł się złośliwy duch. I proszę! Któż by nie uwierzył, że jej prawdziwa mama, wesoła i energiczna, żyje gdzieś, uwięziona w pułapce chorego ciała, tu, w pokoju 492... i zapewne wydostanie się kiedyś z pułapki!

Lecz nazajutrz ta sama kobieta przyglądała się jej podejrzliwie i pytała ją jak nieznajomą: „Co pani tu robi i czego chce?”. Gdyby nie chodziło o matkę, lecz rachunek za elektryczność na dwadzieścia dwa dolary i piętnaście centów, miałaby przynajmniej czek na dowód, że taki rachunek przyszedł i że go zapłaciła. Ale na tę niezwykłą chwilę przytomności mamy nie miała żadnego dowodu.

Dotknęła ramienia matki: gładkiego, różowego, ciepłego. Poczowała to, co czuła zawsze: trzy wzajemnie sprzeczne życzenia - by ta kobieta wyświadczyła jej przysługę i wreszcie umarła, by wyzdrowiała i znów była taka jak niegdyś albo by ją samą coś uwolniło od straszego ciężaru tych dwóch sprzecznych pragnień.

Zerknęła na zegarek. Spóźni się do pracy, jak zawsze. Pana Balzaca z pewnością to nie uszczęśliwi. Dopiła kawę, wyrzuciła kubek i wyszła na korytarz.

Gruba Murzynka w białym stroju pielęgniarki powitała ją, unosząc dłonie.

Kara! Jak długo tu jesteś? - spytała z szerokim uśmiechem na szerokiej twarzy.

Jakieś dwadzieścia minut.

Gdybym wiedziała, tobym do was wpadła - Jaynene wes tchnęła. - Jest przytomna?

Nie. Przez cały czas spała.

Tak mi przykro.

Czy wcześniej coś mówiła?

Owszem. Takie tam... nie potrafię powiedzieć, czy miała kontakt z rzeczywistością, czy nie.

Chyba miała... piękną mamy pogodę, prawda? Jeśli się obudzi, weźmiemy ją z Sephie na spacer.

Lubi spacerować. Potem zawsze się lepiej czuje.

Muszę wracać do pracy. - Kara znów zerknęła na zegarek.

-Aha, słuchaj, jutro mam przedstawienie. W sklepie. Pamiętasz, gdzie to jest?

Jasne, że pamiętam. O której?

Czwartej. Wpadniesz?

Kończę wcześniej. Będę, nie martw się. A potem wypijemy trochę tych brzoskwiniowych margerit. Jak ostatnim razem.

-

Masz to jak w banku. Pete przyjdzie?

Czarnoskóra pielęgniarka spojrzała na nią spod oka.

-

Dziewczyno, to nic osobistego, ale ten facet oglądałby cię w niedzielę wyłącznie wtedy, gdybyś występowała w przerwie meczu Jetów albo Steelerów i pokazywałaby to kablówka.

Kara uśmiechnęła się.

- Bóg

cię wysłucha - powiedziała z nadzieją.

5

sto lat temu finansista, który odniósł skromny sukces, mógłby nazwać to miejsce domem.

Albo właściciel małego sklepu z artykułami męskimi, ulokowanego w luksusowym punkcie, na przykład w pobliżu Czternastej Ulicy. Albo polityk związany z Tammany Hali\*, biegły w starożytnej sztuce bogacenia się na urządach państwowych.

Obecny właściciel domu na Central Park West nie miał pojęcia, z czym kojarzy się taka posiadłość, ani się tym nie przejmował. Wiktoriańskie meble i pomniejsze dzieła dekadentckiej sztuki przełomu wieków, które dekorowały kiedyś to wnętrze, w najmniejszym nawet stopniu nie przemawiały do Lincolna Rhyme'a. Podobało mu się to, co widział teraz: proste, ale mocne stoły, komputery, przeróżne urządzenia, w tym miernik gradientu gęstości, gazowy chromatograf sprzężony ze spektrometrem masowym, mikroskopy, plastikowe pudełka we wszystkich możliwych kolorach, pojemniki, probówki, dzbanki, termometry, butle gazowe, gogle, zamknięte szczelnie pudła o dziwnych kształtach wyglądające tak, jakby schowano w nich dziwne i nietypowe instrumenty muzyczne.

No i oczywiście wszędzie pełno było kabli. Przewody i kable dosłownie rządziły bardzo ograniczoną przestrzenią pokoju, niektóre zebrane w wiązki i podłączone do odpowiednich urządzeń, lecz w większości znikające w otworach,

\* Organizacja demokratów założona w 1789 roku jako bractwo, powszechnie kojarzona z lobbieniem i korumpowaniem urzędników państwowych.

bezwzględnie wywierconych w utwardzonych przez lata gipsowych ścianach budynku.

Lincoln Rhyme obywatel się w zasadzie bez kabli i przewodów. Postępy techniki, wykorzystującej podczerwień i fale radiowe, umożliwiły podłączenie mikrofonu przy jego wózku - i przy łóżku na wyższym piętrze - do urządzeń kontroli środowiska i komputerów.

Swój inwalidzki wózek, Storm Arrow, prowadził lewym serdecznym palcem operującym touchpadem MKTV, lecz wszystkie inne polecenia, od odbierania połączeń telefonicznych, przez pocztę elektroniczną, do wyświetlania obrazów z mikroskopu na monitorach komputerów, mógł wydawać, używając wyłącznie głosu.

W ten sam sposób kontrolował nowy odbiornik Harmon Kar-don 8000, dzięki któremu słuchał właśnie pięknego jazzowego solo na trąbce.

Muzyka nagle umilkła. Zastąpił ją łomot kroków na schodach I w przedpokoju. Wśród gości była Amelia Sachs, jej się spodziewał; jak na tak wysoką dziewczynę stąpała zdumiewająco lekko. Rozpoznał także niezmiennie platfusowaty, ciężki krok Łona Sel-litto.

-

Sachs - burknął, kiedy oboje weszli do jego pokoju. - Czy miejsce zbrodni było duże? Wielkie?

-

Nie. - Amelia zmarszczyła brwi. - Dlaczego pytasz?

Rhyme przyglądał się szarym kontenerom na butelki mleka, w których umieszczono ślady zebrane przez nią i wielu innych policjantów.

- Tak się właśnie zastanawiałem. Bo przeszukanie tego szczególnego miejsca przestępstwa zabrało ci sporo czasu. Nie mam pretensji, w porządku, możesz używać koguta w prywatnym samochodzie. Po to je robią, wiesz? Syren także nikt jeszcze nie zakazał.

Kiedy Rhyme'owi groziła nuda, robił się złośliwy. Nuda była jednym z jego najgorszych wrogów.

Amelia Sachs uodporniła się jednak na humory kryminalistyka. Wydawało się wręcz, że jest w wyjątkowo dobrym nastroju.

- Mamy tu całkiem niezłą tajemnicę, Rhyme - powiedziała JIWesoło. - Albo i kilka tajemnic.

Lincoln Rhyme pamiętał, że Sellitto, opisując morderstwo, Biżył słowa „dziwaczne”.

- Mogłabyś opowiedzieć mi, co się stało? Zrelacjonowała mu krótko prawdopodobny przebieg wyda-JMeń, łącznie z tajemniczą ucieczką przestępcy z miejsca zbrodni.

- Odpowiadające na wezwanie funkcjonariuszki usłyszały dobiegający z sali koncertowej huk strzału i zdecydowały się wejść do środka. Dokonały tego jednocześnie przez dwoje drzwi, tylko przez nie można było wejść do sali. Ale sprawca znikł. Sellitto przerzucił kartki notatnika.

- Policjantki z patrolu twierdzą, że ma około pięćdziesiątki, jest średniego wzrostu, średniej budowy ciała, brak znaków szczególnych z wyjątkiem brody, włosy brązowe. W korytarzyku przy drzwiach przeciwpożarowych był dozorca. Twierdzi, że nikt nie wchodził do sali ani z niej nie wychodził, ale mógł cierpieć na „amnezję świadków”. Szkoła ma nam dać jego adres i numer telefonu. Przesłucham go i spróbuję odświeżyć mu pamięć.

A ofiara? Mamy motyw?

Nie była napastowana seksualnie. Nie została okradziona

- powiedziała Sachs.

- Dosłownie przed chwilą rozmawiałem z „bliźniakami” - do dał Sellitto. - Nie miała chłopaka, ani przedtem, ani teraz. Brak kogoś, kto mógłby mieć do niej jakieś pretensje.

Czy tylko studiowała? - spytał Rhyme. - Czy może studiowała i pracowała jednocześnie?

Zdaje się, że zarabiała na boku graniem. Szkoła spróbuje dowiedzieć się gdzie.

Lincoln Rhyme poprosił swego pomocnika, Thoma, by pełnił funkcję jego sekretarza. Swym jakże eleganckim charakterem pisma Thom notował informacje grubym pisakiem na jednej ze znajdujących się w laboratorium wielkich białych tablic. Przerwało mu jednak pukanie do drzwi. Thom bezszelestnie znikł z laboratorium.

- Mamy

gościa - oznajmił po chwili.

- Gościa? - zirytował się Rhyme. Nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki. Na szczęście okazało się, że to tylko żart. Do pokoju wszedł Mel Cooper, szczupły, łysiejący technik, którego

Rhyme, wówczas szef laboratorium kryminalistyki nowojorskiej policji miejskiej, spotkał przed laty na północy stanu, gdzie razem pracowali nad sprawą kradzieży z włamaniem, połączonej

z porwaniem. Cooper nie zgodził się wówczas z jego analizą pewnej szczególnej odmiany ziemi i, jak się okazało, miał rację. Zaimponował tym Rhyme'owi, który po cichu sprawdził

jego wykształcenie i kompetencje. Okazało się, że tak jak on, Cooper jest członkiem elitarnego Międzynarodowego Towarzystwa Identyfikacyjnego, gromadzącego ekspertów w identyfikacji ludzi po mikrośladach, analizie DNA, badaniu miejsca przestępstwa i badaniach zębów. Mając tytuły naukowe z matematyki, fizyki i chemii organicznej, Mel Cooper był także ekspertem w dziedzinie

analizy dowodów fizycznych.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego, Rhyme zaczął na niego naciskać, proponując mu przenosiny do wielkiego miasta, i oczywiście odniósł sukces. Bardzo cichy i spokojny technik kryminalistyki, będący jednocześnie mistrzem tańca towarzyskiego, pracował w laboratorium nowojorskiej policji w Queens, ale często współpracował z Rhyme'em, gdy był on konsultantem toczącego się śledztwa.

Mel Cooper przywitał się z obecnymi, po czym nasadził na czubek nosa grube okulary a la Harry Potter i przyjrzał się krytycznie zgromadzonemu w skrzynkach na mleko materiałowi.

Przypominał szachistę zasiadającego do pojedynku z trudnym przeciwnikiem.

Co my tu mamy? - powiedział cicho, jakby do siebie.

Tajemnice - odparł Rhyme. - Jeśli wierzyć Sachs, same tajemnice.

No to sprawdźmy, czy uda się nam uczynić je nieco mniej tajemniczymi.

Sellitto jeszcze raz streścił przebieg zdarzeń. Cooper naciągnął gumowe rękawiczki i zaczął przyglądać się przeróżnym torbom oraz słojom. Rhyme zatrzymał swój wózek tuż obok niego.

A to? - spytał nagle. - Co to takiego? - Patrzył na zielony układ scalony z dołączonym do niego głośnikiem.

Znalazłam go w sali koncertowej - wyjaśniła Sachs. - Nie mam pojęcia, co to takiego, ale zostawił go podejrzany. Dowodzą tego ślady jego butów.

Układ wyglądał jak część komputera, co wcale nie zdziwiło Rhyme'a. Przestępcy z upodobaniem wykorzystywali najnowsze zdobycze techniki. Rabusie bankowi uzbroili się w słynnego powtarzalnego colta .45 z 1911 roku niemal nazajutrz po tym, jak pojawił się na rynku, chociaż przeznaczony był wyłącznie dla wojska, a posiadanie go przez cywilów uznano za nielegalne. Radia, telefony szyfrujące, broń maszynowa, celowniki laserowe, systemy GPS, technologia komórkowa, sprzęt do inwigilacji oraz dekodery komputerowe trafiały w ręce przestępców na ogół wcześniej niż do funkcjonariuszy sił prawa i porządku.

Rhyme pierwszy zgodziłby się z opinią, że są zagadnienia, na których najzwyczajniej w świecie się nie zna. Ślady w postaci elementów komputera, telefonów komórkowych i różnych dziwnych urządzeń, produktów zaawansowanej technologii, które nazywał

„dowodami NASDAQ”, natychmiast przekazywał ekspertom.

- Zwieźcie to Gellerowi do śródmieścia - polecił.

W swym Biurze Przepływów Komputerowych FBI zatrudniało utalentowanego młodego człowieka, który kilkakrotnie udzielił im nieocenionej pomocy. Rhyme wiedział, że jeśli ktokolwiek potrafi powiedzieć, czym jest zielona płytkę, skąd pochodzi i do czego służy, to tym kimś jest właśnie Geller.

Amelia Sachs podała torebkę Sellitcie, a ten natychmiast przekazał ją funkcjonariuszowi w mundurze, który miał być posłańcem. Ale kandydatka na sierżanta nowojorskiej policji zatrzymała chłopaka. Dopilnowała, by prawidłowo wypełnił formularz łańcucha dowodów, dokumentującego drogę potencjalnego dowodu od miejsca przestępstwa na salę sądową.

Sprawdziła wpis i wysłała młodego człowieka w drogę.

Jak ci poszedł egzamin praktyczny? - przypomniał sobie po niewczasie Rhyme.

Dobrze. - Amelia zawahała się, a potem dodała: - Zdaje się, że dałam im popalić.

Udało jej się zaskoczyć Rhyme'a. Jego najbliższa współpracowniczka na ogół niechętnie przyjmowała pochwały innych i jeszcze nigdy w jego obecności nie chwaliła się sama.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że sobie poradzisz - powie dział.

Sierżant Sachs. - Lon Sellitto uśmiechał się szeroko. - Brzmi nieźle.

Teraz przyszedł czas na badanie znalezionych w szkole urządzeń pirotechnicznych: zapalników i petardy. Amelia domyśliła się przynajmniej jednego. Wyjaśniła, że jej zdaniem zabójca ustawił krzesła na dwóch tylnych nogach, utrzymując je w tej pozycji za pomocą cienkich bawełnianych nici. Do nici tych przywiązał zapalniki, od których zajęły się ogniem.

Mniej więcej po minucie pojawiał się płomień, przepalał nić i krzesła przewracały się na podłogę z hałasem, który wezwane policjantki wzięły za dowód jego obecności w sali koncertowej. Zapalnik także zdetonował petardę, której wybuch uznały za odgłos wystrzału.

Da się prześledzić coś z tych rzeczy? - spytał Sellitto.

Zapalniki są typowe, nie da się dzięki nim dotrzeć do produ centa. Petarda została oczywiście zniszczona. Nic nam to nie da. -

50

Cooper tylko potrząsnął głową. Rzeczywiście, ze swojego miejsca Rhyme doskonale widział to, czym dysponowali: małe skrawki papieru i kawałek spieczonego metalu zapalnika.

Cienkie, w stu procentach bawełniane nici także okazały się nie do wyśledzenia.

Nie zapominajmy o błysku - przypomniała im Sachs, prze glądając notatki. - Kiedy te dwie policjantki zobaczyły mordercę nad ciałem ofiary, kazały mu podnieść ręce i w jednej jego dłoni coś błysnęło. Jak flara. Światło było tak jaskrawe, że oślepiło obie policjantki.

Jakieś ślady?

Nic nie znalazłam. Dziewczyny powiedziały mi, że po prostu rozpląnął się w powietrzu.

No to idziemy dalej. Ślady stóp?

Cooper wywołał bazę danych nowojorskiej policji, którą w wersji nieelektronicznej stworzył sam Lincoln Rhyme w czasach, gdy kierował wydziałem kryminalistyki. Przez kilka minut wpatrywał się w monitor, po czym powiedział:

Wsuwane półbuty Ecco. Rozmiar, zdaje się, dziesięć.

Mikroślady? - spytał Rhyme.

Amelia podała technikowi kilka torebek. Były w nich strzępy taśmy oklejającej wałek, którym przejechała po miejscu przestępstwa.

- Były przy śladach jego stóp i przy ciele - wyjaśniła.

Cooper wziął torebki i ostrożnie, jeden po drugim, rozłożył

kwadratowe kawałki taśmy na oddzielne szkiełka, tak by próbki nie zanieczyściły się wzajemnie. Ślady na większości odpowiadały wziętej przez Amelię próbce kontrolnej, co oznaczało, że nie pozostawił ich ani sprawca, ani ofiara, lecz po prostu naturalnie pojawiały się na miejscu. Ale znalazły się też włókna tkaniny obecne tylko tam, gdzie sprawca przeszedł, i na przedmiotach, których dotknął.

-

Obejrzyjmy je pod mikroskopem.

Cooper przeniósł je szczypcami na szkiełka podstawowe, które wsunął do mikroskopu binokularnego, standardowo używanego do badania włókien, po czym wcisnął przycisk.

Obraz, który widział bezpośrednio, pojawił się jednocześnie na wielkim, płaskim monitorze komputera, na którym mogli go obserwować wszyscy obecni.

Na ekranie widzieli grube szare zwoje.

Włókna są w kryminalistyce dowodami szczególnej wagi. Zrzedę wszystkim dlatego, że stosuje się je powszechnie, że przenoszą się z osoby na osobę i że łatwo je sklasyfikować.

Ogólnie dzielą się na dwie kategorie: naturalne i wyprodukowane przez człowieka. Rhyme natychmiast się zorientował, że te nie są pochodnymi wiskozy i nie bazują na polimerach, a więc muszą być naturalne.

Są naturalne - potwierdził Mel Cooper - ale jakiego rodzaju?

Przyjrzyj się bliżej strukturze komórek. Założę się o wszystko, że są ekskrementalne.

Exskrementalne? - zdumiał się Sellitto. - To od ekskrementów. Mówiąc po prostu, gówna?

Od ekskrementów jak jedwab na przykład. Substancji wydalanej przez jedwabniki, czyli po twojemu: robaki. Ufarbowanej na szaro. Matowej. Co masz na innych szkiełkach, Mel?

Substancja na innych szkiełkach była identyczna z tą, którą już obejrzel.

Sprawca ubrany był na szaro?

Nie - odpowiedział Sellitto.

- Ofiara

też nie - uzupełniła Amelia.

Kolejna tajemnica.

-

Aha! - Cooper ani na chwilę nie odrywał wzroku od okularu mikroskopu. - Możliwe, że mamy tu włos.

Na monitorze pojawiło się brązowe pasmo, nabrało ostrości.

Ludzki. - Rhyme bezbłędnie wyłapał setki łusek. We włosie zwierzęcym byłyby ich najwyżej dziesiątki. - Ale fałszywy.

Fałszywy? - zdumiał się Sellitto.

No przecież - odparł niecierpliwie Rhyme. - To, co widzisz, to nie korzeń, ale klej. Z całą pewnością nie jest to włos sprawcy, ale pewnie warto byłoby umieścić go w naszej bazie danych?

A więc nie ma brązowych włosów? - spytał Thom.

Interesują nas fakty i tylko fakty - odparł Rhyme. - Zapisz, że podejrzany nosi najprawdopodobniej brązową perukę.

Tak jest, bwana.

Cooper kontynuował sprawdzanie. Okazało się, że ha dwóch próbkach znajdują się drobiny ziemi i jakiś materiał roślinny.

- Sprawdźmy najpierw te rośliny, Mel - poprosił Rhyme.

Podczas swej pracy w Nowym Jorku Lincoln Rhyme przywiązywał niezmierną wagę do dowodów pochodzenia geologicznego, roślinnego i zwierzęcego. Tylko jedna ósma miasta znajdowała się przecież na kontynencie północnoamerykańskim, siedem ósmych położone było na wyspach. Oznaczało to, że minerały, flora i fauna są specyficzne dla poszczególnych dzielnic, a czasami nawet ulic, i łatwo przypisać poszczególne substancje do określonych miejsc.

Chwilę później na monitorze pojawiła się czerwona gałąź i fragment liścia.

O, doskonale - powiedział Rhyme.

Co w tym takiego doskonałego? - zdziwił się Thom.

Doskonale się składa, bo to jest rzadka roślina. Czerwona hikora. Bardzo trudno spotkać ją w mieście. W tej chwili do gło wy przychodzą mi zaledwie dwa miejsca - parki Riverside i Central. I... no proszę! Widzicie tą małą niebieskozieloną masę?



Gdzie? - spytała Amelia.

Musisz pytać? Przecież każdy by ją zauważył. - Rhyme cier piał strasznie, tak bardzo chciałby podbiec, stuknąć palcem w monitor. - Na dole po prawej.

A tak, widzę.

I co o tym myślisz, Mel? Porosty, prawda? Założyłbym się, że to tarczownica, konkretnie *Parmelia conspersa*.

Niewykluczone. - Mel Cooper formułował swe opinie znacz nie rozważnie. - Ale istnieje wiele gatunków porostów.

Ale niewiele niebieskozielonych i szarych - odparł sucho Rhyme. - Bardzo niewiele. A ten powszechnie spotyka się w Central Parku. Już dwa ślady łączą się z parkiem, bardzo dobrze.

A teraz przyjrzyjmy się ziemi.

Cooper wsunął kolejne szkiełko. Obraz, który oglądał przez okular i który jednocześnie pojawił się na monitorze: ziarna ziemi wielkie jak asteroidy, niczego nie wyjaśnił.

- Przepuść próbkę przez CG/SM - polecił Rhyme.

Chromatograf gazowy sprzężony ze spektrometrem masowym służył do analizy chemicznej. Pierwszy rozkłada badaną próbkę na składniki, drugi określa charakter każdego z nich. Na przykład biały proszek, sprawiający pozornie wrażenie jednolitego, można rozdzielić na wiele substancji chemicznych, na przykład sodę oczyszczoną, arsenik, puder dla dzieci, fenol i kokainę. Działanie chromatografu porównuje się czasem do wyścigów końskich: substancje startują w urządzeniu wspólnie, lecz ponieważ przesuwają się z różną szybkością, zaczynają się rozdzielać. U wylotu spektrometr porównuje każdą substancję z innymi zgromadzonymi w wielkiej bazie i w ten sposób identyfikuje.

Analiza Coopera wykazała, że zebrana przez Amelię ziemia utwardzona jest olejem. Z bazy danych dostali informację, że

jest to olej mineralny, nie roślinny ani zwierzęcy, i to wszystko. Brak szczegółowych danych.

- Wyślijcie to do FBI - polecił Rhyme. - Może ich ludzie wi dzieli przedtem coś takiego. - Zajrzał do następnej torebki, zmarszczył brwi. - To jest ta czarna tkanina, o której wspomnia łaś?

Amelia Sachs skinęła głową.

W rogu korytarza - powiedziała. - Tam gdzie udusił dziewczynę.

Ciekawe, czy należała do niej? - zastanawiał się na głos Cooper.

- Może - odparł Rhyme. -Ale załóżmy, że przyniósł ją morderca.

Technik ostrożnie rozwinął materiał i przyjrzał mu się uważ nie.

-

Jedwab - orzekł. - Obrębiony ręcznie.

Rhyme przyglądał mu się ciekawie. Płachta materiału dawała się zwinąć w małą kulkę, a jednak wcale nie była taka mała, miała mniej więcej metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia.

-

Z analizy przebiegu czasu wynika, że musiał czekać na nią w tym korytarzu - powiedział. - Założę się, że stanął w kącie i przykrył się tą płachtą. Był dosłownie niewidzialny. Pewnie za brałby ją ze sobą, ale pojawiły się policjantki, więc musiał błyskawicznie uciekać.

Co musiała czuć ta biedna dziewczyna, kiedy zabójca pojawił się przed nią znikąd, jakby dzięki magii, i zarzucił jej pętlę na szyję?

Cooper znalazł kilka małych plamek na obrazie, coś przykleiło się do tkaniny. Umieścił je pod

mikroskopem i obraz niemal natychmiast ukazał się na monitorze. Powiększone, przypominały porwane kawałki sałaty w kolorze ciała. Dotknął jednego cienkim manipulatorem. Materiał okazał się sprężysty.

Co to jest, do jasnej cholery - zirytował się Sellitto.

Jakiś rodzaj gumy - powiedział pewnie Lincoln Rhyme. -

Strzęp balonu? Nie, na to jest za gruba. Popatrz tylko na ten slajd, Mel. Coś na niej rozsmarowano. Także w kolorze ciała.

Przepuść to przez chromatograf, dobrze?

Podczas gdy czekali na wyniki badania, zadzwonił dzwonek do drzwi wejściowych. Thom poszedł wpuścić gościa i po chwili wrócił z kopertą w rękę.

Daktyloskopia - oznajmił.

Ach, świetnie! - ucieszył się Rhyme. - Mamy odciski palców.

Przepuść je przez AFIS, Mel, dobrze?

54

Potężny, obsługiwany przez FBI serwer automatycznego systemu identyfikacji odcisków palców, ulokowany w Wirginii Zachodniej, przeszukiwał cyfrowe obrazy odcisków palców w całym kraju, korzystając z federalnych i stanowych baz danych. Rezultaty poszukiwań otrzymywało się najpóźniej po kilku godzinach, a często po kilku minutach, jeśli udało się uzyskać odciski czyste i wyraźne.

- Jak

wyglądają? - spytał Rhyme.

- Wydają się całkiem czyste. - Amelia podała mu zdjęcia. Na większości widać było zaledwie odciski częściowe, ale znalazł się wśród nich także dobry, pełny odcisk całej lewej dłoni. Rhyme od razu zauważył, że zabójca miał zdeformowaną lewą rękę: palce mały i serdeczny były zrosnięte i pokryte gładką skórą, bez odcisków. Lincoln Rhyme wiedział to i owo z patologii, lecz nie potrafił powiedzieć, czy jest to wada wrodzona, czy też skutek rany.

Co za ironia, pomyślał. Morderca ma uszkodzony lewy serdeczny palec, a ja - poniżej szyi - tylko nim mogę poruszać. Nagle zmarszczył brwi.

- Powstrzymaj

się z badaniem na minutkę, Mel. Chodź, Sachs.

Chcę przyjrzeć się im bliżej.

Amelia podeszła do niego. Oboje z napięciem wpatrywali się w fotografie.

Zauważyłaś może coś niezwykłego? - spytał Rhyme.

Nie. Właściwie nie, ale... zaraz, chwileczkę. - Amelia roze śmiała się. - Są identyczne! - Szybko przejrzała przyniesione zdjęcia. - Wszystkie jego palce są identyczne! Ta mała blizna wszędzie jest w tej samej pozycji!

Musiał włożyć coś w rodzaju rękawiczek - powiedział Cooper. - Z naniesionymi na nie odciskami palców. Nigdy czegoś takiego nie widziałem... chyba że w telewizji.

Kim do cholery był sprawca?

Na monitorze komputera pojawiły się rezultaty badań chromatografu i spektrometru.

- W

porządku, mamy czysty lateks... a to co? - Chwila milczenia. - Komputer identyfikuje to jako alginian. Nigdy nie słyszałem...

- Zęby.

- Co? - zdziwił się Cooper.

-

Proszek mieszany z wodą. Dentyści robią z niego formy. Koronki i tak dalej. Może nasz sprawca był niedawno u dentysty?

Technik uważnie wpatrywał się w monitor.

Mamy też bardzo drobne ślady oleju rycynowego, glikolu propylenowego, alkoholu cetylowego, miki, tlenku żelaza, dwutlenku tytanu, smoły węglowej i neutralnych barwników.

Niektóre z tych substancji można znaleźć w zestawach do makijażu - powiedział Rhyme. Pamięta! sprawę, w której udało mu się powiązać zabójcę z miejscem zbrodni dzięki temu, że zapi sał on na lustrze obsceniczny tekst szminką do ust, po której śla dy znaleziono na jego rękawie. Przy tej okazji Rhyme mocno podszkolił się w kosmetykach.

Ofiary? - Cooper zwrócił się do Amelii Sachs.

Nie. Sprawdziłam. Nie używała kosmetyków.

Dobra, zapiszmy na tablicy. Zobaczmy, czy ma to jakieś znaczenie.

Zgarbiony nad stołem Mel Cooper przyglądał się tymczasem sznurowi - narzędziu zbrodni, leżącemu na porcelanowej powierzchni stołu laboratoryjnego.

Czarny rdzeń owinięty splecioną białą tkaniną. Tu i tu widzę sploty. Jedwab, lekki i cienki, więc chociaż są to w istocie dwie liny, mają grubość jednej.

Po co takie sztuczki? - zdziwił się Rhyme. - Czy dzięki splotowi ta lina jest mocniejsza?

Łatwiejsza do rozwiązania? Trudniejsza do rozwiązania? O co tu chodzi?

Nie mam pojęcia.

Coraz więcej tajemnic - szepnęła teatralnie Amelia Sachs.

Rhyme najchętniej rozzłościłby się na tę uwagę... ale, niestety, musiał się z nią zgodzić.

Owszem - przytaknął, wytrącony z równowagi. - To dla mnie coś nowego. No dobra, do roboty. Chcę zobaczyć dla odmiany coś zwykłego, normalnego, coś, czego będziemy mogli użyć.

Węzeł?

Zadzierzgnięty przez eksperta, ale nie rozpoznaję go - powiedział Cooper.

Wyślijcie zdjęcie do FBI. Aha... mamy kogoś w Muzeum Marynarki? Parę razy pomogli nam z węzłami - przypomniała mu Amelia. - Im też wyśle to zdjęcie. E-mailem.

W tym momencie zadzwonił Tobe Geller, specjalista od przestępstw komputerowych z centrali FBI w Nowym Jorku.

Dostarczyłeś mi niezłej rozrywki, Lincoln - rzekł bez wstępów.

Wyobraź sobie, jak mnie to cieszy. Może masz do powiedzenia coś, co przydałoby się nam, nie tobie?

Geller, młody chłopak o kręconych włosach, nie przejmował się ironicznymi uwagami. Nie wtedy, gdy miał do czynienia z czymś, co choćby z daleka przypominało komputer.

To w gruncie rzeczy urządzenie do cyfrowego zapisu audio.

Fascynujący drobiazg. Twój sprawca nagrał coś, zachował nagranie na twardym dysku, po czym zaprogramował odtworzenie go z określonym opóźnieniem. Nie wiemy, co to było. Napisał program, który wymazał wszystkie dane.

To był jego głos - burknął Rhyme. - Kiedy policjantki usłyszały, jak mówi, że ma zakładniczkę, słyszały nagranie. Użył też

krzesel, żeby myślały, że nadal jest w środku.

Dla mnie trzyma się to kupy - przyznał Geller. - W układzie był głośnik, mały, ale świetnie przenoszący niskie i średnie tony.

Ludzki głos mógł naśladować bez problemu.

Na dysku nic nie zostało?

Niestety. Nic a nic.

Niech to diabli! Chciałbym mieć próbkę głosu.

Przykro mi, ale tego się nie da zrobić.

Wściekły Rhyme tylko westchnął i umilkł. Na Amelię Sachs spadł ciężar podziękowania Toby'emu Gellerowi za jego pomoc i zakończenia rozmowy.

Zespół zabrał się następnie do badania zegarka ofiary, zmiążdżonego z powodów, których żadne z nich nie potrafiło dociec. Nie znaleźli niczego przydatnego, stwierdzili tylko, że zatrzymał się mniej więcej w godzinie śmierci ofiary. Zdarzało się, że sprawcy uszkodzali zegarki lub zegary na miejscu przestępstwa, przedstawiając je przedtem, by zmylić ekipy dochodzeniowe, ale nie w tym wypadku. Kolejna zagadka.

Coraz bardziej tajemnicze to wszystko.

Thom zapisywał ich uwagi na białej tablicy. Tymczasem Rhyme nie mógł oderwać wzroku od książki wejść.

-

Brak nazwiska - mówił sam do siebie. Podpisało się dziewięć osób, ale mamy tylko osiem nazwisk. Potrzebny nam ekspert. - Umilkł na chwilę, a następnie zwrócił się do swego komputera. - Polecenie, telefon - powiedział do mikrofonu. - Zadzwoń Kincaid, przecinek, Parker.

na monitorze pojawił się kod 703, oznaczający Wirginię, po czym rozległ się charakterystyczny dźwięk wybieranego numeru.

Dzwonek. I dziecinny głos dziewczynki.

Rezydencja Kincaidów?

Ach, no tak. Czy Parker jest w domu.

Przepraszam, a kto dzwoni?

Lincoln Rhyme. Z Nowego Jorku.

Proszę poczekać.

Chwilę później odezwał się głos jednego z najsławniejszych w kraju specjalistów od dokumentów pisanych.

Cześć, Lincoln. Nie odzywałeś się przez miesiąc czy dwa, jeśli dobrze pamiętam.

Mnóstwo roboty. A ty czym się zajmujesz, Parker?

Och, jak zwykle wpadam w kłopoty. Omal nie spowodowałem międzynarodowego skandalu dyplomatycznego. Brytyjski Instytut Kultury w Waszyngtonie poprosił mnie o potwierdzenie autentyczności notatnika króla Edwarda, który kupili od prywatnego kolekcjonera. Mam nadzieję, że usłyszałeś mnie dobrze: kupili. Rozumiesz, co to znaczy, prawda, Lincoln?

Rozumiem. To znaczy, że również zapłacili.

Sześćset tysięcy.

Całkiem okrągła sumka. Aż tak im na nim zależało?

Och, były tam naprawdę smakowite wzmianki o Churchillu i Chamberlainie. Oczywiście nie takie, jak myślisz.

Oczywiście. - Rhyme zawsze okazywał wyjątkową cierpliwość do tych, którzy mogli mu pomóc i

nie wystawiali za to rachunku.

- Obejrzałem go, no i co mogłem zrobić? Zakwestionowałem jego autentyczność.

Łagodne określenie, biorąc pod uwagę, że wyszło z ust najwybitniejszego w kraju eksperta od badań dokumentów pisanych. W rzeczywistości oznaczało po prostu fałszerstwo.

-

Och - mówił dalej Kincaid. - Jakoś to przeżyją, choć o ile so bie przypominam, nie zapłacili mi jeszcze za ekspertyzę... Nie, kochanie, nie dekorujemy ciasta, kiedy jeszcze jest ciepłe. Czemu...? Bo ja tak powiedziałem.

Samotny ojciec, Kincaid, stał kiedyś na czele wydziału badania dokumentów pisanych w centrali FBI w Nowym Jorku. Odszedł ze służby i założył własną firmę. Chciał mieć czas dla dzieci.'

-Jak tam Margaret? - powiedziała do mikrofonu Amelia Sach.

To ty, Amelio?

Nikt inny. Wszystko w porządku. Od paru dni jej nie widziałem. W środę zabraliśmy Robbiego i Stephanie do Planet Play i właśnie

miałem pobić ją w laserowego berka, kiedy odezwał się pager.

Musiała wykopać komuś drzwi i dokonać aresztowania, w Panamie czy Ekwadorze. No dobra, mówcie, o co chodzi.

Prowadzimy sprawę i oczywiście potrzebujemy pomocy.

W największym skrócie wygląda to tak: na wideo mamy nagrane, jak facet podpisuje się w księdze wejść u ochrony. W porządku?

Jasne. Chcecie, żebym zanalizował wam charakter pisma? tym problem. Nie ma czego analizować. Nie mamy pisma, pis znikł? No właśnie.

A jesteście pewni, że ten wasz sprawca nie udawał tylko, że się podpisuje?

Jesteśmy. Ochroniarz widział, jak pióro zostawia ślad na pa pierze.

Pozostały jakieś ślady?

Nie.

incaid roześmiał się, ale dość ponuro.

Sprytne. Nie zostawił dowodu, że w ogóle wszedł do budynku, a potem ktoś inny wpisał się w tym samym miejscu i straciliście szansę na zdobycie jakichkolwiek śladów.

Zostało coś na karcie leżącej bezpośrednio pod tą, na której się podpisywał?

Rhyme zerknął na Coopera. Technik podświetlił spodnią kartę silnym, skośnym światłem - ta metoda sprawdzała się lepiej niż posypywanie strony grafitowym proszkiem i była już w powszechnym użytku - po czym potrząsnął głową. Nic.

Nic - powiedział do telefonu Lincoln Rhyme. - Więc... jak on to zrobił?

Proste. Użył po prostu, jak to nazywam fachowo, ex-laxu.

Znikającego atramentu. Znikający atrament z fenoloftaleiną.

Był powszechnie dostępny, nim jego produkcji zakazał Urząd do spraw Żywności i Leków. Pigułka rozpuszczona w alkoholu two rzy niebieski atrament. Ma zasadowe pH. Pisziesz coś tym atramentem, lecz tekst wystawiony na działanie powietrza znika.

Przestaje być niebieski.

Jasne. - Rhyme nieźle znał podstawowe zasady chemii. -

Dwutlenek węgla zmienia odczyn na kwasowy i po sprawie.

Właśnie. Po prostu nie ma już fenoloftaleiny. To samo można zresztą zrobić z tymoloftaleiną, z

wodorotlenkiem sodu.

Czy takie rzeczy kupuje się w jakimś specjalnym miejscu.

Hmm... niech się zastanowię... Skarbie, chwileczkę, tatuś rozmawia przez telefon... nie, w porządku, cisteczka w piecyku zawsze wyglądają tak, jakby piekły się mocniej z jednej strony.

Zaraz przyjdę... Lincoln? No więc chciałem ci powiedzieć, że teo retycznie ten znikający atrament to wspaniały sposób, ale kiedy jeszcze pracowałem w Biurze, nigdy nie zetknąłem się z przestępca albo nawet szpiegiem, który posługiwałby się znikającym atramentem. To tylko taka sztuczka. Może służyć co najwyżej za bawianiu ludzi.

Zabawianiu ludzi, pomyślał ponuro Rhyme, patrząc na tablicę, do której przypięto fotografie zwłok nieszczęsnej Swietłany Rasnikow.

Gdzie ktoś może znaleźć coś takiego? - powtórzył pytanie.

Najpewniej w sklepach z zabawkami lub specjalistycznych, dla prestidigitatorów.

Interesujące.

W porządku, dziękuję. Pomogłeś nam, Parker. Naprawdę.

Wpadnij w odwiedziny! - krzyknęła Amelia Sachs.

- I przyprowadź ze sobą dzieciaki.

Rhyme skrzywił się przeraźliwie.

- Może jeszcze zaprosisz ich przyjaciółki i przyjaciół. Najlepiej całą szkołę...

Amelia uciszyła go ze śmiechem.

Rozmowę telefoniczną zakończono. Lincoln Rhyme był po niej w jeszcze gorszym humorze niż wcześniej.

- Im

więcej się dowiadujemy, tym mniej wiemy - burknął pod nosem.

Bedding i Saul zadzwonili z informacją, że w szkole Świetłana była bardzo lubiana i najwyraźniej nie miała wrogów. Jej praca także nie powinna nikogo do niej zrazić: wynajmowano ją, by śpiewała z dziećmi na ich przyjęciach urodzinowych.

Z biura patologa przyszła paczka: plastikowa torba na dowody rzeczowe ze starymi kajdankami, które sprawca założył na dłonie ofiary. Zgodnie z poleceniem Rhyme'a pozostały nieotwarte; by je zdjąć, zmiażdżono przeguby dziewczyny. Patolog został zawczasu poinformowany, że wiercenie w zamku mogłoby zniszczyć istotne dla sprawy dowody.

-

Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział z zastano wieniem Cooper. - Chyba że w filmach.

Rhyme skinął głową. Kajdanki były prawdziwym antykiem, ciężkim, zrobionym z nierówno obrobionego żelaza.

Technik zbadał zamek; próbował wszystkiego, ale nie znalazł żadnych śladów. Na ich korzyść działał jednak fakt, że kajdanki są takie stare, ponieważ ograniczało to źródła, z których mogły pochodzić. Rhyme polecił Cooperowi sfotografować je i wydrukować zdjęcia, które mogliby pokazać handlarzom.

Sellitto przyjął kolejne zgłoszenie. Słuchał przez chwilę, sprawiając wrażenie zdumionego.

Nieemożliwe... Jesteście pewni?... Tak, oczywiście. - Przerwał

rozmowę, spojrzał na gospodarza.

Nie wierzę własnym uszom - przyznał. - To niemożliwe.

Ale co? - Rhyme nie miał ochoty na kolejne tajemnice.

Dzwonił administrator szkoły. Nie zatrudniają woźnego.-

Ale policjantki z patrolu widziały go na własne oczy - zaprotestowała Amelia Sachs.

Wynajmują ludzi do sprzątan. Nikt z nich nie pracuje w weekendy, tylko w dni powszednie, wieczorem. I nikt nie przy pomina woźnego, którego widziały te dziewczyny.

Nie było woźnego?

Sellitto gorączkowo przeglądał notatki.

Stał tuż pod tymi drugimi drzwiami. Zamiatął...

O, do diabła! - przerwał mu Rhyme. - To on! - Spojrzał na detektywa. - Ale wyglądał zupełnie inaczej niż sprawca, prawda?

Sellitto znów zajrzał do notesu.

61

Około sześćdziesiątki, łysy, ubrany w szary kombinezon.

Szary!

Nooo... tak.

Stąd włókno! Jedwabne włókno. Włożył kostium!

O czym ty mówisz? - zdumiał się Cooper.

Nasz facet zabił dziewczynę. Zaskoczyła go interwencja policjantek, toteż oślepił je i wbiegł do sali koncertowej. Założył za

palniki, włączył magnetofon cyfrowy... wszystko po to, żeby my ślały, że nadal jest w środku. Przebrał się w kombinezon woźnego i wybiegł drugimi drzwiami.

Ale nie zrzucił przecież przepoconej bluzy jak jakiś magik zrzucający łańcuchy - zauważył tęgi detektyw. - Jakim cudem udało mu się tego dokonać? Znikł z pola widzenia na... ile? Co najwyżej minutę.

Doskonale. Jeśli masz jakieś inne wyjaśnienie, chętnie wy słucham. Byle nie zakładało boskiej interwencji.

Daj spokój. Do jasnej cholery, przecież tego się nie da zro bić!

Nie da, nie da! - Rhyme uśmiechnął się cynicznie. Podjechał

wózkiem bliżej białej tablicy, na której Thom powiesił wydruki zdjęć cyfrowych, zrobionych przez Amelię na miejscu zbrodni.

Fotografię śladów stóp. - To może porozmawiamy o dowodach! -

Przyjrzał się dokładnie śladom butów sprawcy, a potem tym zdję tym w korytarzu, w miejscu, gdzie policjantki zauważyły woźne go. - Buty! - powiedział głośno.

-

Takie same? - spytał detektyw.

Amelia także podeszła do tablicy.

Ano, takie same - przytaknęła. - I rozmiar ten sam. Dziesiątka.

Chryste! - Sellitto znów zaczął masować się po brzuchu.

No dobra, co tu mamy? - spytał retorycznie Lincoln Rhyme. -

Sprawca ma czterdzieści parę do pięćdziesięciu paru lat. Średniej budowy ciała, średniego wzrostu, gładko ogolony, dwa zdeformowa ne palce, prawdopodobnie notowany, bo ukrywa odciski palców.

Tylko tyle! - Nagle przerwał, zamyślił się. - Nie, nie tylko tyle. Wie my więcej. Miał ze sobą

ubranie na zmianę. Miał zabójczą broń...

jest doskonale zorganizowany. Zechce powtórzyć swój wyczyn.

Amelia Sachs skinęła głową. Tymczasem Rhyme przyglądał się schludnym, czytelnym notatkom swego opiekuna i próbował znaleźć odpowiedź na jedno najważniejsze pytanie: co właściwie łączy wszystkie te fakty.

62

Czarny jedwab. Makijaż. Zmiana kostiumów. Przebrania. Błysk jaskrawego światła.

Pirotechnika.

Znikający atrament.

. Sądzę, że nasz chłopak jest niezłym iluzjonistą - powiedział powoli.

Amelia skinęła głową. m\* To ma sens - przyznała. Sellitto zgodził się z nią natychmiast.

Dobra. Może? To co teraz robimy?

To akurat wydaje mi się oczywiste - prychnął Rhyme. -

Znajdujemy własnego.

-

Kogo? - zdziwił się detektyw.

pfe- Iluzjonistę, oczywiście.

- Powtórz.

Przecież zrobiła to osiem razy! Ilfc Znowu?

Mężczyzna tylko skinął głową.

„Trzy chustki”, sztuczka wymyślona i doprowadzona do perfekcji przez słynnego iluzjonistę i nauczyciela, Harlana Tarbella, bawi widownię aż do dziś. Polega na rozdzieleniu trzech różnokolorowych i pozornie beznadziejnie splątanych chusteczek. Tę szczególną sztuczkę trudno jest wykonać idealnie, lecz Kara czuła, że do tej pory szło jej całkiem nieźle.

David Balzac chyba był jednak innego zdania. |p» Monety brzęczały - powiedział z westchnieniem. Była to bardzo ostra krytyka; oznaczała, że sztuczka wykonana została niezdarnie i widzowie nie daliby się na nią nabrać.

Starszy, tęgawy mężczyzna o gęstych siwych włosach, z kocią bródką poźółkłą od tytoniu, westchnął rozpaczliwie i potrząsnął głową.

-

A ja sądziłam, że poszło dobrze, gładko. Tak mi się wydawało.

-

Bo nie jesteś widzem. Ja nim jestem. Próbuj jeszcze raz.

Znajdowali się na małej estradzie, na zapleczu sklepu „Dym i Lustra”, który Balzac kupił po tym, jak dziesięć lat temu zakończył karierę iluzjonisty światowej sławy. W swoim ponurym lokalu, gdzie wiecznie panował bałagan, sprzedawał

magiczne akcesoria, wynajmował kostiumy i rekwizyty. Co tydzień organizowano f także darmowe występy iluzjonistów amatorów dla klientów i sąsiadów. Półtora roku temu Kara, robiąca na zlecenie korekty dla magazynu „Self”, zebrała się wreszcie na odwagę i postanowiła spróbować swych sił na scenie; tak późno, bo reputacja pana Balzaca po prostu ją przerażała. Starzejący się mistrz obejrzał jej występ. Zaprosił ją do biura. Niskim, nieco ochryłym, lecz w gruncie rzeczy przyjemnym głosem oznajmił zaskoczonej dziewczynie, że ma potencjał. Że może zostać wielką iluzjonistką... pod warunkiem że będzie miała dobrego nauczyciela. zaproponował jej, by zaczęła



pracować w jego sklepie. Wówczas on zostanie jej nauczycielem i mentorem.

Kara przed wieloma laty przeniosła się ze Środkowego Zachodu do Nowego Jorku. Poznała miasto wystarczająco dobrze, by zrozumieć, co może oznaczać słowo „mentor”... zwłaszcza gdy mentorem atrakcyjnej dziewczyny ma zostać czterokrotny rozwodnik, czterdzieści lat od niej starszy. Ale z drugiej strony, Balzac był wybitnym iluzjonistą, występował regularnie u John-ny'ego Carsona, przez lata prowadził własny show w Las Vegas. Objechał świat kilkanaście razy, znał dosłownie wszystkich wybitniejszych kolegów po fachu. Magia stanowiła życiową pasję Kary, a to była jej życiowa szansa. Toteż w końcu się zgodziła.

Podczas pierwszej próby była czujna, gotowa ostro zareagować na wszelkie aluzje o damsko-męskim podtekście. I lekcja okazała się dla niej nieznośna... choć z zupełnie innych powodów.

Można powiedzieć, że Balzac rozerwał ją po prostu na strzępy. Po godzinie krytykowania dosłownie każdego elementu przedstawienia spojrzął na bladą, zalaną łzami twarz dziewczyny.

- Powiedziałem, że masz potencjał! - warknął. - Nie powiedziałem, że jesteś dobra. Jeśli szukasz kogoś, kto prawilby ci komplementy, znalazłaś się w złym miejscu. I co teraz?

Uciekasz z płaczem do mamusi czy próbujemy jeszcze raz?

Spróbowali jeszcze raz.

Tak rozpoczął się dwuipółletni związek mistrza i ucznia, w którym miłość przeplatała się z nienawiścią. Kara ćwiczyła codziennie, aż do wczesnych godzin rannych.

Przyjaciele pytali ją często, skąd wzięła się u niej miłość do magii iluzjonistycznej, wręcz przechodząca w obsesję. Prawdopodobnie spodziewali się jakiejś wersji żywca wyjętej z telewizyjnego filmu tygodnia: nieszczęśliwe dzieciństwo, znęcający się nad dzieckiem rodzice, tępi nauczyciele, a w najgorszym razie opowieści o cichej szarej myszce, uciekającej w krainę fantazji przed strasznym światem i okrutnymi koleżankami. Dostawali jednak historię normalnej, szczęśliwej dziewczyny: skautki zbierającej w szkole najlepsze oceny, gimnastyczki potrafiącej piec doskonałe ciasteczka, gwiazdy szkolnego chóru. Na ścieżkę magii Kara wkroczyła cicho i niewinnie: podczas pobytu u dziadków w Cleveland poszła na występy Penna i Tellera. Miesiąc później raczej niespodziewanie całą rodziną pojechali do Las Vegas na zjazd projektantów i wytwórców turbin, na który ojciec dostał zaproszenie. Tam zobaczyła latające tygrysy i buchające płomienie. Wystarczyło.

W drugiej klasie gimnazjum imienia JFK założyła Klub Magii. Wszystkie pieniądze zarobione pilnowaniem dzieci wydawała na poświęcone tej sztuce magazyny, objaśniające jej tajemnice kasety wideo oraz gotowe zestawy do interesujących sztuczek. Wkrótce sprzątała ogródki i odgarniała śnieg w zamian za wizyty w cyrku Big Apple i Cirque du Soleil, jeśli tylko pojawiły się w promieniu stu kilometrów.

Co nie oznacza, że nic nie motywowało jej do marszu tą trudną drogą. Nie. Miała motywacje: zaskoczone i zachwycone twarze widzów, choćby byli to tylko krewni, zgromadzeni na obiedzie w Święto Dziękczynienia (w tym przedstawieniu nie zabrakło ani błyskawicznych zmian kostiumów, ani nawet lewitującego kota, choć bez zamaskowanej dziury w podłodze; ojciec nie zgodził się na cięcie parkietu w dużym pokoju), lub koledzy na szkolnym przedstawieniu, którzy zmusili ją do dwóch bisów, a na zakończeniu urządzili jej owację na stojąco.

Ale David Balzac... ooo, praca z nim była czymś zupełnie, ale to zupełnie innym. W ciągu ostatniego półtora roku były chwile, kiedy wierzyła, że bezpowrotnie utraciła talent, jeśli w ogóle kiedyś go miała! Lecz gdy już zamierzała zrezygnować, Balzac uśmiechał się powściągliwie, kiwał głową, a czasami zdarzało mu się nawet powiedzieć: „To było dobre”.

W takich chwilach jej świat znów stawał się piękny.

A tymczasem jej spokojny niegdyś i uporządkowany świat rozpadał się jak domek z kart.

Coraz więcej czasu spędzała w sklepie. Katalogowała książki, inwentaryzowała towar, prowadziła księgowość, była webmasterem strony [www.smokeandmir-rors.com](http://www.smokeandmir-rors.com). Balzac płacił mało, Kara potrzebowała pieniędzy, przyjmowała więc te prace, do których jej magisterium z filologii angielskiej mogło być choć odrobinę przydatne. Najczęściej Przygotowywała treści dla stron [www](http://www) poświęconych magii i teatrowi. Mniej więcej rok temu stan jej matki bardzo się pogorszył. Niemająca rodzeństwa Kara wszystkie wolne chwile spędzała przy jej łóżku.

65

Prowadziła bardzo wyczerpujący tryb życia.

Na razie jednak jakoś sobie radziła. Jeszcze kilka lat i pan Balzac z pewnością pozwoli jej występować. Pobłogosławi ją na drogę, wspomocze swymi rozległymi kontaktami i wszystko będzie dobrze.

Trzymaj się, dziewczyno, jak powiedziałyby Jaynene, a dojedziesz na grzbiecie galopującego konia, dokąd zapragniesz.

Jeszcze raz wykonała numer Tarbella z trzema chusteczkami. David Balzac strzepnął popiół z papierosa wprost na podłogę. Marszczył czoło.

Lewy palec wskazujący trochę wyżej.

Widział pan węzeł?

Gdybym nie widział - warknął Balzac - to z jakiego powodu kazałbym ci unieść palec. Jeszcze raz.

Jeszcze raz. I pieprzony palec wskazujący pieprzonej lewej ręki wyżej. Odrobinę.

Kolorowe chustki rozdzieliły się i wzleciały w powietrze jak flagi.

-Aha.

Nie była to dokładnie pochwała, ale Kara nauczyła się cieszyć nawet z takiego „Aha”.

Zeszła ze sceny. Stała za ladą w zastawionej towarem części sklepowej. Pora zinwentaryzować dostawę z piątkowego popołudnia. Balzac tymczasem wrócił do komputera.

Na swą stronę pisał artykuł o Jasperze Maskelynie, brytyjskim iluzjoniście, który podczas drugiej wojny światowej stworzył specjalny oddział, walczący z Niemcami w Afryce Północnej i używający technik iluzjonistycznych. Pisał z pamięci, bez notatek, bez książek.

Davidowi Balzacowi trzeba było przyznać jedno: jego znajomość magii była tak szeroka, jak cierpliwość krótka.

- Słyszał pan, że w mieście jest Cirque Fantastique? - krzyknęła. - Pierwsze przedstawienie dziś wieczorem.

Stary iluzjonista prychnął cicho.

- Wybiera

się pan? Sądzę, że powinniśmy pójść.

Cirque Fantastique, groźny konkurent starszego i większego Cirque du Soleil, należał do nowej generacji cyrków. Łączył tradycyjne numery z wiekową tradycją commedia dell'arte, współczesną muzyką i tańcem, teatrem awangardowym i magią uliczną. David Balzac należał jednak do starej szkoły: Vegas, Atlantic City, „The Late Show”.

-  
Dlaczego trzeba poprawiać coś, co działa doskonale? -

prychnął.

66

Kara kochała jednak Cirque Fantastique i była zdecydowana wyciągnąć mistrza na przedstawienie. Nim jednak zdołała przemyśleć sobie argumenty, które skłoniłyby go do towarzyszenia jej wieczorem, otworzyły się drzwi. Do sklepu weszła ładna, ruda policjantka, spytała o właściciela.

To ja. Nazywam się David Balzac. W czym mogę pomóc?

Prowadzę sprawę, w której podejrzany jest ktoś o umiejętnościach iluzjonisty. Rozmawiamy z właścicielami sklepów handlujących magicznymi akcesoriami, w nadziei że uzyskamy pomoc.

Chodzi pani o jakieś oszustwo, prawda? - spytał Balzac.

W jego głosie słychać było urazę i Kara podzielała to uczucie.

W przeszłości magię często wiązano z oszustami: zręcznymi dłońmi kieszonkowców czy gładkimi szarlatanami taką czy inną

sztuczką przekonującymi zrozpaczone rodziny, że mogą nawiązać kontakty z duchami ukochanych zmarłych.

Okazało się jednak, że policjantka przyszła w sprawie innego przestępstwa. Spojrzała najpierw na Karę, a następnie na Balzaca.

-

Nie - odparła. - Chodzi mi o morderstwo.

Mam listę części przedmiotów, których ślady odkryliśmy na miejscu zbrodni - powiedziała Amelia. - Zastanawiam się, czy to pan je sprzedał.

Balzac wziął od niej kartkę papieru i zaczął czytać, a policjantka rozejrzała się dookoła. Sklep „Dym i Lustra” był pomalowaną na czarno jaskinią w okolicy manhattańskiego Chelsea, w dzielnicy fotografów. Pachniał stęchlizną i chemikaliami, także plastikiem; petrochemicznym odorem wydzielanym przez setki kostiumów, ciasno wiszących na wieszakach. Brudne szklane szafki, co najmniej w połowie popękane i sklezione taśmą, kryły talie kart, magiczne różdżki, fałszywe monety i zakurzone pudełka z zestawami do prostych sztuczek. W kącie stała pełnowymiarowa kopia potwora z filmu „Obcy - ósmy pasażer Nostromo”, a obok niego maska i kostium Diany („Bądź Księżniczką Przyjęcia”; zupełnie jakby nikt tu nie wiedział, że księżniczka Diana nie żyje!). Właściciel postukał palcem w listę, a potem wskazał na półki.

- Nie

sądzę, żebym mógł pani pomóc. Niektóre z tych rzeczy sprzedajemy, to fakt. Podobnie jak wszystkie sklepy z magicznymi akcesoriami w mieście. A także sporo sklepów z zabawkami.

Uwagi Amelii nie umknął istotny fakt: Balzac poświęcił liście zaledwie kilka sekund.

-

Co pan powie o tym? - Wskazała mu wydruk zdjęcia staro świeckich kajdanek.

Mężczyzna zerknął na nie bez zainteresowania.

-

Bardzo mi przykro, ale nie wiem nic o eskapologii, sztuce uwalniania się z więzów.

Co to za odpowiedź ?!

-

Czy chce mi pan wmówić, że ich pan nie rozpoznaje?

- Właśnie.

\* Ale to bardzo ważne. - Amelia próbowała go trochę przycisnąć-

Młoda kobieta o uderzająco niebieskich oczach, z pomalowanymi na czarno paznokciami, przyjrzała się zdjęciu znacznie uważniej.

ElfDarbys - powiedziała. Jej szef obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Umilkła, ale tylko na chwilę. - Regulaminowe kajdanki Scotland Yardu z dziewiętnastego wieku. Używają ich specjaliści od uwalniania się z więzów. Były ulubionymi kajdankami Houdiniego.

- Wie pani, gdzie je można dostać?

Mężczyzna zakołysał się niecierpliwie na swym biurowym krześle. i' — Skąd mielibyśmy wiedzieć? Przecież powiedziałem już pani, że w tej dziedzinie nie mamy żadnego doświadczenia.

Dziewczyna przytaknęła skinieniem głowy. p- Z pewnością znajdziecie gdzieś muzeum eskapologii, tam mogliby wam powiedzieć - podsunęła uprzejmie.

-

Kiedy zrobisz inwentaryzację - właściciel zwrócił się do swej pracownicy niezbyt uprzejmym tonem

- chcę, żebyś wypełniła zamówienia. Wczoraj wieczorem, po twoim wyjściu, przyszło ich kilkanaście.

Amelia po raz drugi podała mu listę.

- Powiedział pan, że sprzedajecie niektóre z tych produktów.

Macie listę klientów.

- Mówiłem o podobnych produktach. Nie, nie prowadzimy list klientów.

Po jeszcze paru pytaniach pan Balzac w końcu przyznał, że mają listy z kilku ostatnich dni: zamówienia pocztowe i ze sprzedaży internetowej. Dziewczyna sprawdziła je i okazało się, że ostatnio nikt nie kupił niczego z listy.

- Bardzo mi przykro - powiedział Balzac. - Żałuję, że nie mogliśmy pani pomóc.

- Wie pan, ja też bardzo żałuję. - Amelia pochyliła się i spojrzała mu w oczy. - Bo, rozumie pan, ten facet zabił kobietę i uciekł, używając magicznych sztuczek. Obawiamy się, że spróbuje ponownie. Pan Balzac skrzywił się, udając, że strasznie go to poruszyło. - Okropne - przyznał. - Wie pani, radzę spróbować w „Magii eatrze” na East Side. To znacznie większy sklep niż nasz.

-

Jeden z naszych policjantów jest tam w tej chwili.

- Ach,

więc to tak!

Amelia milczała przez długą chwilę; bardzo jej zależało, by to milczenie wydało się obojętne.

No cóż - rzekła w końcu - jeśli komuś z państwa coś się przy pomni, byłabym wdzięczna za telefon. - Na jej twarzy pojawił

się służbowy uśmiech, uśmiech sierżanta („Pamiętajcie, stosunki ze społecznością są równie ważne jak śledztwa kryminalne”).

Życzę szczęścia, pani władzo - pożegnał ją Balzac.

Dziękuję.

Dziękuję, ty apatyczny sukinsynu.

Skinęła dziewczynie na pożegnanie, zauważyła w jej dłoniach kartonowy kubek.

Zna pani jakieś miejsce w okolicy, gdzie można się napić dobrej kawy?

Róg Piątej i Dziewięćdziesiątej - usłyszała w odpowiedzi.

Mają też doskonałe bajgle - dodał Balzac. Zrobił się jakby uprzejmiejszy teraz, gdy już nic nie ryzykował i nie musiał się szczególnie wysilać.

Amelia Sachs wyszła ze sklepu, skręciła w stronę Piątej Alei, znalazła kawiarnię, weszła, zamówiła cappuccino. Oparła się o wąski bar mahoniowy, zapatrzyła na ulicę za popstrzoną przez muchy szybą. Ulicą przechodzili typowi mieszkańcy Chelsea: sprzedawcy ze sklepów z ubraniami, fotografowie z asystentkami, bogaci yuppie, którzy kupili tu sobie wielkie strychy w starych domach, młodzi kochankowie, starzy kochankowie; w kawiarni paru dziwaków stukąło w klawisze notebooków.

W drzwiach kawiarni pojawiła się także sprzedawczyni ze sklepu z akcesoriami magicznymi.

- Cześć - powiedziała. Włosy miała ciemnokasztanowate, przez ramię przerzuciła mocno zniszczoną torbę ze sztucznej skóry zebry. Zamówiła dużą kawę, dopełniła kubek cukrem i przysiadła się do policjantki.

Tam, jeszcze w sklepie, Amelia zapytała o kawę tylko dlatego, że w pewnym momencie dziewczyna spojrzała na nią błagalnie. Wydawało się, że ma coś do powiedzenia... ale nie chciała, by słuhał tego szef.

Kara wypiła wielki łyk kawy.

-

Z Davidem jest taka sprawa, że...

-

Nie lubi pomagać?

Zmarszczyła brwi.

- No, tak. To dobre określenie. Nie ufa niczemu, co istnieje poza jego światem i nie chce mieć z tym nic wspólnego. Bał się, że zostaniemy świadkami czy coś takiego. A tymczasem ja nie powinnam się odrywać...

\_ Od czego?

Nauki zawodu.

Bp-Magii?

Właśnie. On jest bardziej moim mentorem niż szefem.

Jak pani na imię?

-

Kara. To pseudonim sceniczny, nie prawdziwe imię - słowom tym towarzyszył bolesny uśmiech - ale jest lepszy niż imię wybrane przez rodziców.

Amelia uniosła brwi w niemym pytaniu.

- Lepiej, żeby to pozostało tajemnicą.

- Niech będzie. Dlaczego tam, w sklepie, tak na mnie spojrzałaś?

David miał rację w sprawie listy. Większość tych rzeczy można kupić w dziesiątkach sklepów i setkach miejsc w Internecie.

Ale kajdanki Darbys? One są naprawdę rzadkie. Warto byłoby skontaktować się z Muzeum Houdiniego i Eskapologii w NowymOrleanie. Jest najlepsze na świecie. Wyzwalanie się z więzów to

jedna z moich specjalności. Ale jemu o tym nie mówię. - To „jemu” wypowiedziane było z autentycznym szacunkiem. - David...

on zawsze ma swoje zdanie. Proszę mi opowiedzieć o tym morderstwie.

W normalnych warunkach Amelia Sachs z przesadną wręcz ostrożnością przekazywała osobom postronnym informacje dotyczące toczącego się śledztwa. Ale potrzebowała pomocy tej dziewczyny, więc powiedziała jej w skrócie wszystko, co wiedziała o samym morderstwie i o ucieczce sprawcy

-  
Jakie to straszne - szepnęła Kara.

Bp Owszem, potworne.

- A jeśli chodzi o to, jak znikł, to powinna pani coś wiedzieć. Zaraz... jak mam się do pani zwracać? Pani władzo? A może detektywie czy jakoś tak.

- Amelia wystarczy. - Przypomniał jej się egzamin praktyczny- Pif, paf. To było miłe wspomnienie.

Kara wypłała kolejny łyk kawy, uznała, że nie jest wystarczająco słodka, przekręciła wieczko pojemnika z cukrem i wsypała do kubka całkiem sporą porcję. Amelia obserwowała jej zręczne dłonie, a potem spojrzała na swe paznokcie, z których dwa były obgryzione i otoczone obwódka krwi. Tymczasem paznokcie Kary były elegancko wymanikiurowane i polakierowane; odbijały się w nich, w miniaturze, wiszące nad ich głowami lampy. Serce jej drgnęło - tak doskonały manikiur, tak doskonała samokontrola - ale Amelia Sachs szybko je uspokoiła.

Wiesz, kto to taki iluzjoniści? - spytała Kara.

David Copperfield. -Amelia wzruszyła ramionami. - Houdini.

Copperfield tak, Houdini nie. Houdini specjalizował się w eskapologii. Jakby to powiedzieć... iluzjoniści różnią się od magików uprawiających sztuczki, małą magię, jak my ją nazywamy.

To jest jak... - Położyła na dłoni ćwierćdolarówkę, resztę za kawę.

Zamknęła dłoń, a kiedy ją otworzyła, monety nie było.

Amelia patrzyła na nią z uśmiechem. Gdzie znikła ta ćwiartka, do diabła?

To jest właśnie sztuczka. Iluzjonista wykorzystuje duże przedmioty, ludzi, zwierzęta. To, co zrobił morderca, to klasyczny numer, który nazywamy „Znikającym człowiekiem”.

Mów dalej.

Na ogół iluzjonista znika z zamkniętego pokoju. Widzowie widzą, jak wchodzi do środka, taki pokój stawia się na scenie, tylną ścianę widzą dzięki stojącym za nią wielkim lustrom. Słyszą, jak uderza w ściany. Asystent przewraca ściany, a iluzjonisty niema. A potem jeden z asystentów odwraca się i wszyscy widzą, że

to właśnie on.

Jak to się robi?

W tylnej ścianie pokoju są drzwi. Iluzjonista okrywa się dużym kawałkiem czarnego jedwabiu, żeby nie było go widać w lustrze i wychodzi przez nie zaraz po tym, jak wszedł do środka.

W jedną ze ścian wbudowany jest głośnik, dzięki któremu widzowie wierzą, że on nadal jest w środku, no i urządzenie imitujące

uderzenia w ściany. Kiedy iluzjonista wydostanie się z pokoju, pod jedwabiem przebiera się w kostium asystenta.

Amelia skinęła głową.

- O,

właśnie. Było dokładnie tak. Dasz nam krótką listę ludzi, którzy znają ten numer.

-

Bardzo mi przykro, ale należy on do tych prostszych.

Znikający człowiek.

Amelia Sachs przypomniała sobie, jak szybko zabójca zmienił kostium, jak błyskawicznie udało mu się stać starszym człowiekiem. No i pamiętała oczywiście wyraźną niechęć Davida Balzaca i zimny, niemal sadystyczny błysk w jego oczach, gdy zwracał się do asystentki.

Muszę cię o to spytać, Karo. Gdzie on był dziś rano?

Kto?

Twój szef.

Tu. To znaczy tam, gdzie ma sklep. Mieszka piętro wyżej...

zaczeka]! Chyba nie myślisz, że miał z tym coś wspólnego?

Takie pytania po prostu musimy zadawać - powiedziała wy mijajaco Amelia. Ale Karę jej pytanie raczej rozbawiło, niż poru szyło. Roześmiała się całkiem szczerze.

Słuchaj, wiem, że nie jest przesadnie sympatyczny i ma...

charakter. No wiesz, temperament. Ale nigdy nikogo nie skrzywdził.

Policjantka skinęła głową. Nieobowiązująco.

Ale wiesz, gdzie był o ósmej rano?

Oczywiście. W sklepie. Wstał wcześniej, bo w mieście jest któryś z jego przyjaciół, przygotowuje przedstawienie i chciał

coś pożyczyć. Dzwoniłam powiedzieć, że się spóźnię.

No tak. Jeszcze jedno pytanie.

Możesz zwolnić się z pracy? Na krótko.

Ja? Ależ skąd, niemożliwe. - Dziewczyna roześmiała się krótko, zawstydzona. - Miałam szczęście, że udało mi się wyślizgnąć ze sklepu na tę rozmowę. Już nie mówię, że w sklepie jest do zrobienia z tysiąc różnych rzeczy, ale potem czekają mnie trzy-cztery godziny prób z Davidem. Jutro mam pokaz. Nie pozwoli mi odpoczywać w dzień przed pokazem.

Amelia spojrzała prosto w jej czyste, niebieskie oczy.

- My

naprawdę się boimy, że ten człowiek będzie dalej zabił jał.

Kara spuściła wzrok na lepki bar, przy którym siedziały.

Nie pozwoli mi. Nie znasz Davida.

Wiem tylko jedno: nie pozwolę, by ktoś został skrzywdzony,, jeśli mogę temu zapobiec.

Dziewczyna dopiła kawę. Obracała kubek w palcach.

- Używa naszych sztuczek, żeby zabijać ludzi - szepnęła.

Amelia Sachs nie odezwała się. Uznała, że milczenie jest jej najlepszym sprzymierzeńcem. Decyzja wreszcie zapadła.

Moja mama jest w domu opieki. Czasami biorą ją do szpitala, czasami wypuszczają. Pan Balzac o tym wie. Chyba mogę mu

powiedzieć, że muszę sprawdzić, jak się czuje.

Twoja pomoc naprawdę się nam przyda.

Niech będzie. - Kara tylko machnęła ręką. - Żeby chora matka służyła za wymówkę, by wyrwać się z pracy... Bóg mnie za to nie pokocha.

W tym momencie Amelia spojrzała na doskonale wypielęgnowane paznokcie.

- To

już będzie ostatnie pytanie - obiecała. - Co się stało z tą ćwiartką?

Zajrzyj pod swój kubek.

Nieemożliwe!

Nie! Nie ma mowy!

A jednak podniosła kubek. I dostrzegła leżącą pod nim monetę.

-

Jak to zrobiłaś? - spytała zdumiona.

Kara uśmiechnęła się enigmatycznie. Gestem głowy wskazała ekspresy.

Weźmy sobie po jednej na drogę. - Wzięła monetę. - Orzeł: ty płacisz, reszka - ja. Trzy próby.

Zgoda? - Rzuciła monetę, zła pała ją.

Jasne.

Dziewczyna otworzyła dłoń i przyjrzała jej się z zaciekawieniem.

Wystarczą dwie z trzech?

Oczywiście.

Wyciągnęła dłoń, podstawiła ją Amelii pod nos. Leżały na niej trzy monety, dwie dziesiątki i piątka. Po ćwierćdolarówce nie pozostał żaden, nawet najmniejszy ślad. I wszystkie orłem do góry.

- Wygląda na to, że ty stawiasz.

L incolnie, poznaj Karę.

Rhyme od razu dostrzegł, że dziewczyna została uprzedzona, ale mimo to najpierw zamrugła ze zdumienia, a potem posłała mu Spojrzenie. Znał je równie dobrze jak towarzyszący mu Uśmiech. Spojrzenie mówiło: „Tylko nie gap się na jego ciało”, Uśmiech zaś: „Och, pan jest sparaliżowany, wcale tego nie zauważyłam”.

Widział, że dziewczyna będzie liczyć sekundy dzielące ją do chwili, gdy uwolni się od jego obecności.

Kara zrobiła kilka energicznych kroków w głąb pokoju - laboratorium miejskiego domu Lincolna Rhyme'a.

- Cześć. Amelia poprosiła, żebym pomogła wam w tej waszej sprawie, śledztwie, czy jak to nazywacie. Miło was poznać.

Ale nadal wpatrywała się w oczy Rhyme'a. Jedno można było jej jednak przyznać - nie pochyliła się lekko do przodu, co sygnalizowało zbyt późno powstrzymaną ochotę na podanie mu dłoni... i przerażenie tak strasznym faux pas.

W porządku, Kara, nie martw się. Możesz powiedzieć kalece, co myślisz, i wynieść się stąd w diabły.

Uśmiechnął się do niej dokładnie tak, jak ona uśmiechała się do niego: samymi ustami, i oświadczył uprzejmie, że bardzo się cieszy, mogąc ją poznać.

Twierdzenie to wcale nie było nieszczerze, przynajmniej pod względem zawodowym. Jak się okazało, Kara była jedynym iluzjonistą, który wpadł w ich sieć. Nikt z pracowników sklepów tej branży w mieście nie udzielił im żadnych przydatnych informacji, wszyscy mieli alibi na czas zbrodni.

Przedstawiono jej Łona Sellitta i Mela Coopera. Thom zrobił to, co robił zawsze w podobnej sytuacji, czy gospodarzowi się podobało, czy nie. Zaoferował poczęstunek.



-  
To nie jest kościelne spotkanie po nabożeństwie - burknął pod nosem Rhyme.

Kara odparła „dziękuję”, ale Thom nalegał.

- Dostanę kawę? - spytała w końcu dziewczyna.

- Już się robi.

Czarną. Z cukrem. Dużo cukru, jeśli to możliwe.

Doprawdy... - zaprotestował Rhyme.

Zrobię dla wszystkich - oznajmił Thom. - Zaparzę dzbanek.

Mam też bajgle.

Bajgle? - ożywił się natychmiast Sellitto.

W wolnym czasie mógłbyś otworzyć restaurację - warknął

Rhyme. - Tam dopiero zaopiekowałbyś się gośćmi!

Jakim wolnym czasie? - odciął się Thom zza kuchennych drzwi.

Rhyme zwrócił się do Kary:

Sachs powiedziała mi przed chwilą, że dysponujesz informacjami, które mogłyby nam pomóc.

Chyba tak, chociaż nie jestem pewna.

- I znów to spojrzenie

na jego twarz. Znów Spojrzenie. Tym razem znacznie uważniejsze. Och, na litość boską, powiedz coś. Zapytaj, jak to się stało?

Czy boli? Jak to jest sikać w rurkę?

Hej, jak go nazwiemy? - spytał Sellitto, stukając w białą ta blicę. Póki nie ustalono tożsamości „nieznanego sprawcy”, poli cjanci chętnie nadawali mu przydomek. - Może „Czarodziej”?

Nie, to zbyt łagodne określenie. - Rhyme spojrzał na zdjęcia ofiary. - Lepiej będzie „Mag”. - Zaskoczył sam siebie, że słowami nigdy przecież nie szło mu najlepiej.

- Niech

będzie. - Sellitto zapisał to słowo dość niechlujnie.

Mag.

Dobrze, a teraz spróbujmy tak go zaczarować, by się przed nami pojawił.

Opowiedz im o „Znikającym człowieku”.

Dziewczyna przeczesła dłonią przycięte po chłopięcemu włosy. Opowiedziała o iluzjonistycznej sztuczce do złudzenia przypominającej to, czego dokonał ich Mag w szkole muzycznej. Dodała także wypowiedzianą już wcześniej, a bardzo dla nich nieprzyjemną myśl: Ten numer znają prawie wszyscy, którzy liczą się w branży.

- Pokaż nam jakoś, jak robi się takie rzeczy - poprosił Rhyme. chodzi mi o technikę iluzjonistów. Żebyśmy wiedzieli, czego oczekiwać, gdyby namierzył kogoś jeszcze. Pan chce, żebym puściła farbę?

|Co puściła?

HjfaFarbę - powtórzyła Kara, a potem wyjaśniła: - Każda magiczna sztuczka składa się z efektu i metody. Efekt widzi widownia. No, rozumie pan: lewitująca dziewczyna, monety spadające przez gruby blat stołu. Metoda to mechanizm, którym posługują się magicy, by osiągnąć efekt: struny podtrzymujące dziewczynę, zgarnięcie monet i w tej samej chwili wyrzucenie identycznych z ukrytej szuflady pod blatem.

Efekt i metoda, pomyślał Rhyme. Podobnie przecież sam postępuję. Efektem jest złapanie

sprawcy, kiedy wydaje się to niemożliwe. Metoda to nauka i logika, które nam to umożliwiają. Kara mówiła dalej:

- Puszczenie farby oznacza w naszym języku zdradzenie metody. Właśnie to robiłam, wyjaśniając wam, jak się wykonuje ten numer. To dość poważna sprawa. Pan Balzac, mój mentor, dosłownie poluje na magików puszcających publicznie farbę i zdradzających metody innych.

Thom wtoczył do pokoju tacę. Nalał kawy tym, którzy chcieli. Kara osłodziła swoją i piła ją szybko, choć Rhymowi kawa wydawała się tak gorąca, że wręcz nienadająca się do picia.

Zerknął na butelkę osiemnastoletniego macallana stojącą na półce regału na książki po przeciwnej stronie pokoju. Thom dostrzegł jego spojrzenie.

- Przed południem? Nawet o tym nie marz - powiedział twardo.

Sellitto podobnym, pełnym pożądanego spojrzeniem obrzucił bajgle. Ale zjadł tylko połówkę.

Bez sera śmietankowego. Widać było, że z każdym kęsem cierpi coraz bardziej.

Wraz z Karą przejrżeli całą sporządzoną przez Amelię listę. Wiadomości nie były najlepsze: większość tych rzeczy można było kupić w dosłownie setkach różnych miejsc. Sznur służył

do numeru ze zmieniającą kolor liną, sprzedawał go FAO Schwarz oraz sklepy z akcesoriami magicznymi w całym kraju. Węzeł był wynalazkiem Houdiniego, stosowanym przez niego, gdy zamierzał Przeciąć sznur; skrepowani nim nie mogli się wyswobodzić. BP'l bez kajdanków ta dziewczyna nie miała żadnej szansy ~ powiedziała cicho Kara.

s

Czy jest czymś wyjątkowym? Ten węzeł? Nie - odparła natychmiast. - Zna go każdy, kto choćby pobieżnie zapoznał się z karierą Houdiniego.

Olej rycynowy w makijażu, mówiła dalej, oznacza, że sprawca używał bardzo dobrych i trwałych profesjonalnych kosmetyków teatralnych, a lateks pochodził, czego Rhyme domyślił

się wcześniej, najprawdopodobniej z gumowych nakładek na palce, zresztą bardzo popularnych wśród prestidigitatorów. Alginian - jej zdaniem - nie miał nic wspólnego z gabinetem dentystycznym, lecz raczej służył jako forma do lateksu, może nakładek na palce, a może łysiny, której potrzebował do wcielenia się w woźnego. Znikający atrament należało uznać za ciekawostkę, choć bywał jeszcze używany przez iluzjonistów, przynajmniej od czasu do czasu.

Tylko kilka spraw było tu naprawdę interesujących - tłumaczyła Kara. Na przykład układ scalony (który nazwała sztuczką, rekwizytem ukrytym przed widownią). Ale ten układ sprawca sporządził własnoręcznie. Kajdanki Darbys także należały do rzadkości. Rhyme natychmiast polecił, by ktoś skontaktował się z muzeum, o którym wspomniała dziewczyna.

Amelia zasugerowała, by wciągnąć w sprawę dwie młode policjantki, Francisco-vich i Ausonio, które pierwsze znalazły się na miejscu zbrodni i już zgłosiły się do pomocy. To zadanie wydawało się wręcz wymarzone dla pełnych entuzjazmu nowicjuszek. Lincoln Rhyme się zgodził, a Sellitto załatwił formalności z szefem patrolu.

A jak wygląda ta sprawa z jego ucieczką? - spytał Sellitto.

- Jakim cudem udało mu się tak szybko przebrać za woźnego?

Nazywamy to magią proteańską - wyjaśniła Kara. - Szybka zmiana wyglądu. To jedna z tych rzeczy, które studiuję od lat. Sto suję jej elementy w moich przedstawieniach, ale są tacy, którzy zajmują się tylko tym. Rezultaty bywają doprawdy zdumiewające. Kilka lat temu widziałam Arthura Brachettiego. Wykonywał

trzydzieści-czterdzieści zmian w ciągu jednego przedstawienia, a niektóre z nich zajmowały mu

mniej niż trzy sekundy.

Trzy sekundy?

Tak, właśnie tak. Ale powiedzmy sobie, że ci ludzie nie tylko szybko zmieniają kostiumy, lecz są także aktorami. Po każdym przebraniu chodzą inaczej, inaczej się trzymają, inaczej mówią. Przygotowują się ze sporym wyprzedzeniem. Kostiumy mogą z siebie zdzierać, bo one trzymają się na zatrzaski albo rzepy. Większość z szybkich zmian polega właściwie na tym, żeby się szybko rozebrać. A kostiumy robione są przeważnie z jedwabiu albo nylonu, bardzo cienkie, więc można wkładać jeden na drugi, ja sama pod scenicznym strojem noszę do pięciu warstw.

-

Jedwab? - zdziwił się Rhyme. - Znaleźliśmy włókna szarego jedwabiu. Policjantki, które pierwsze pojawiły się na miejscu, poinformowały nas, że woźny miał na sobie szary kombinezon.

Stary, zniszczony, taki jakby... matowy.

Kara skinęła głową.

- Miał wyglądać jak bawełna lub len. Nie błyszczyć. Mamy składane kapelusze, pokrowce na bury, teleskopowe parasolki, specjalne torby sklepowe, mnóstwo rekwizytów, które można ukryć na ciele. No i oczywiście peruki.

Najważniejsze w odmienianiu twarzy - mówiła dalej - są brwi. Zmień je i twarz odmieniona jest w sześćdziesięciu, siedemdziesięciu procentach. Potem dodajemy „protezy”, nazywane także „dodatkami”: paski z lateksu, podkładki przyklepane klejem charakteryzatorskim i tak dalej. Jeśli zajmujesz się takimi szybkimi zmianami, musisz bardzo dokładnie studiować budowę twarzy różnych ras i płci. Prawdziwy artysta szybkiej zmiany doskonale wie, jakie proporcje ma twarz kobieca, a jakie męska, i potrafi zmienić płeć w ciągu kilku sekund.

Badamy także psychologiczne reakcje na twarze i mowę ciała, więc możemy być piękni, obrzydliwi, przerażający, sympatyczni, bezradni w zależności od tego, czego potrzebujemy akurat w tej chwili.

Ten wykład magii był jak dotąd bardzo interesujący, ale Rhyme miał pewne wątpliwości.

- Potrafisz

wskazać nam coś, co ułatwiłoby jego złapanie?

Kara potrząsnęła głową.

Nie umiem znaleźć niczego, co naprowadziłoby was na jakiś szczególny sklep albo osobę. Ale mam pewne ogólne sugestie.

Więc podziel się nimi.

Według mnie wygląda to tak. Fakt, że użył zmieniającej kolor liny i nakładek na palce, świadczy, że zna magię zręcznej ręki. To z kolei oznacza, że jest sprawnym kieszonkowcem, że potrafi ukryć przy ciele pistolety, noże, tego rodzaju rzeczy. Potrafi doskonale kraść ludziom kluczyki do samochodu, portfele, no, rozumiecie.

Potrafi także błyskawicznie zmieniać wygląd; nie trzeba chyba tłumaczyć, jak wielkie ma to dla was znaczenie. Ale najważniejsze

jest coś innego; „Znikający człowiek”, zapalniki i fajerwerki, znikający atrament, czarny jedwab, ten błysk światła świadczy o tym,

że jest to iluzjonista wyćwiczony w magii klasycznej.

W tym momencie wyjaśniła różnice między małą magią zręcznej ręki a iluzjonistami posługującymi się dużymi przedmiotami.

-  
Dlaczego ma to być dla nas ważne?

Kara skinęła głową.

Ponieważ iluzja to coś więcej niż techniki fizyczne. Iluzjonista studiuje psychologię widowni i tworzy swe przedstawienie tak, by ją oszukać. Nie tylko oczy, także umysły. Najważniejsze jest nie to, by widzowie śmiali się, ponieważ znikła ćwierćdola-rówka, lecz to, by wierzyli w głębi serca w coś, podczas gdy prawdziwe jest coś zupełnie innego. O tym musicie pamiętać.

Cały czas, w każdej chwili.

O czym właściwie? - zdziwił się Rhyme.

Zbijanie z tropu. Pan Balzac twierdzi, że to serce i dusza magii iluzjonistycznej. Słyszeliście może powiedzenie, że ręka jest

szybsza niż oko? No więc to nieprawda. Oko zawsze jest szybsze.

Iluzjonista oszukuje oko tak, by nie widziało, co robi dłoń.

Chodzi o zmylenie, odwrócenie uwagi, tak? - spytał Sellitto.

Po części tak. Odwrócenie uwagi polega na tym, by widzowie widzieli to, co chcesz, a nie widzieli tego, czego nie powinni.

Jest mnóstwo zasad, które pan Balzac wbijał mi do głowy. Na przykład taka, że widzowie nie widzą tego, co jest dla nich wiadome, za to zwrócą uwagę na wszystko, co nowe. Nie zwrócą uwagi na serię podobnych ruchów, ale natychmiast zauważą, jeśli któryś się od nich różni. Nie przyciąga ich uwagi to, co nieruchome, ale natychmiast zwrócą uwagę na ruch. Chcesz uczynić coś niewidzialnym? Pokaż to parę razy, a widzowie znudzą się i chętnie zajmą czymś innym. Mogą patrzeć ci na ręce i nie widzieć, co na prawdę robisz. I wtedy się ich oszukuje.

Ale do rzeczy. Ten człowiek będzie was mylił na dwa sposoby. Po pierwsze, fizycznie. - Kara podeszła do Amelii. Spojrzała na swą prawą rękę. Podniosła ją i wskazała ścianę. Zmrużyła oczy. Po czym nagle opuściła rękę. - No i widzicie? Patrzyliście na rękę i miejsce, które wam wskazałam. To bardzo naturalna reakcja. Więc prawdopodobnie nikt nie zauważył, co trzymam w drugiej dłoni.

Amelia Sachs drgnęła. Opuściła wzrok i oczywiście Kara zdążyła wyciągnąć jej glocka z kabury. Z tym ostrożnie - ostrzegła, doprowadzając się do porządku.

A teraz spójrzcie tam, w róg - poleciała dziewczyna, wskazując właściwe miejsce prawą ręką.

Ale tym razem wszyscy obecni,

łącznie z Rhymem, uważnie obserwowali jej lewą dłoń.

Złapaliście mnie, co? - Kara roześmiała się wesoło. - Tylko nie zauważyliście, że stopą przesuwam to coś białego, co stoi za stołem.

Nocnik - wyjaśnił uprzejmie Rhyme. Nie spodobało mu się, że znów został oszukany, ale miał wrażenie, że zdobył co naj mniej punkt lub dwa, wymieniając nazwę tego szczególnego na czynia.

Naprawdę? - Kara nie sprawiała wrażenia zszokowanej. -

Niech będzie, ale to nie był tylko nocnik, lecz przede wszystkim odwrócenie uwagi. Kiedy tak się w niego wpatrywaliście, zrobiłam coś drugą ręką. Czy to ważne? - spytała Amelię, wręczając jej pojemnik z gazem łzawiącym.

Amelia Sachs skrzywiła się i spojrzała na swój policyjny pas, sprawdzając, czego w nim brakuje, po czym umieściła pojemnik we właściwym miejscu.

- Więc wiecie już, jak wygląda fizyczne odwrócenie uwagi. Jest całkiem łatwe. Z psychiką to już zupełnie inna sprawa. Widzowie nie są przecież głupi. Wiedzą, że zamierzamy ich oszukać. W końcu

przyszli na przedstawienie właśnie po to, żeby ich oszukiwano.

Więc próbujemy wyeliminować albo przynajmniej zredukować po dejrzenia widowni. Najważniejsze w psychicznym odwróceniu uwagi jest to, by zachowywać się możliwie najnaturalniej. Zachowujesz się tak, jak spodziewają się tego widzowie, i mówisz to, co spodziewają się usłyszeć. Ale pod tą maską możesz nawet popeł

nić... - zamilkła, nagle zdając sobie sprawę, że omal nie wypowie działa słowa, doskonale opisującego to, co dziś rano spotkało młoda studentkę szkoły muzycznej. - W każdym razie - kontynuowała

-jeśli zrobisz coś nienaturalnego, widzowie rzucą się na ciebie jak sfora wygłodzonych psów. Na przykład: zapowiem, że mam zamiar czytać ci w myślach. - Kara przyłożyła dłoń do skroni Amelii Sachs i na chwilę przymknęła oczy. Następnie odstała o krok i podała policjantce kolczyk, który wyciągnęła z jej lewego ucha.

Przecież nic nie poczułam!

Ale widzowie od razu się zorientują, jak to zrobiłam, ponieważ ważny dotyk przy czytaniu w myślach, w które i tak praktycznie nikt nie wierzy, nie jest czymś naturalnym. Ale jeśli powiem, że częścią sztuczki jest wypowiedzenie na ucho słowa, którego nikt nie może usłyszeć - pochyliła się i szepnęła coś do ucha Amelii

~ to ten ruch jest zupełnie naturalny.

Ale nadal mam kolczyk! - Na wszelki wypadek osłoniła ucho dłonią.

- Bo

zniknął ci nie kolczyk, tylko naszyjnik. Jeśli mi nie wierzysz, to sprawdź.

Nawet Lincoln Rhyme był pod wrażeniem talentu dziewczyny... a poza tym bawiła go speszona mina Amelii, która ciągle traciła osobiste dobre. Sellitto śmiał się radośnie jak dziecko, a Mel Cooper nawet nie udawał, że zajmuje się dowodami. Policjantka rozglądała się dookoła bezradnie. Spojrzała na Karę. Dziewczyna pokazała jej pustą prawą rękę.

- Zniknął ci naszyjnik - powtórzyła.

Rhyme nie miał zamiaru dać się wywieść w pole.

A ja zauważyłem coś dziwnego. Lewą dłoń zaciskasz w pięść i przesuwasz za nogę, co nawiasem mówiąc, nie jest wcale takie naturalne. Zakładam więc, że naszyjnik trzymasz w lewej dłoni.

Och, pan jest naprawdę dobry - powiedziała Kara i nagle roześmiała się wesoło. - Ale nie w śledzeniu ruchu. - Otworzyła lewą dłoń, również pustą.

Rhyme się skrzywił.

- Trzymałam lewą pięść za nogę dlatego, że była to najważniejsza zmyłka. Wiedziałam, że pan to zauważy i na niej skupi uwagę. Nazywamy to „zmuszaniem”. Zmusiłam pana, by pan uznał, że rozszyfrował moją metodę. Gdy tylko nabrał pan pewności, że się udało, pański umysł zamknął się na wszystkie inne możliwe wyjaśnienia tego, co się stało. Sprawiałam, że patrzyliście na moją lewą rękę i dzięki temu miałam okazję wsunąć na naszyjnik do kieszeni munduru właścicielki.

Amelia Sachs posłusznie wyjęła go z kieszeni na piersi kurtki mundurowej.

Cooper zaczął bić brawo. Lincoln Rhyme chrząknął tylko, ale była to niewątpliwa pochwała.

Kara skinęła głową w stronę tablicy.

- Morderca

postąpi właśnie tak. Zmyłka za zmyłką. Będziecie pewni, że wiecie, o co mu chodzi, ale to tylko część jego planu. Użyje przeciw wam wszystkich waszych podejrzeń i całej waszej inteligencji

dokładnie tak, jak ja to zrobiłam. W rzeczywistości jest jeszcze gorzej: żeby jego sztuczki działały, musi

mieć wasze podejrzania i waszą inteligencję. Pan Balzac powtórza, że najlepsi iluzjoniści przygotowują sztukę tak perfekcyjnie, że w rzeczywistości wskazują na metodę, na to, co i jak chcą osiągnąć, ale my im nie wierzymy. Patrzymy w innym kierunku. Kiedy to się zdarzy, to koniec. Wy przegraliście, on wygrał.

Wzmianka o Davidzie Balzacu, czyli mentorze, najwyraźniej wstrząsnęła Karą. Dziewczyna zerknęła na wiszący na ścianie zegar i skrzywiła się lekko.

- Muszę wracać. Za długo nie ma mnie w sklepie.

Amelia podziękowała jej szczerze, a Sellitto podjął się znaleźć samochód, którym odwiózłby ją do pracy.

Nie chcę, żeby zatrzymał się pod sklepem. Nie chcę, żeby David wiedział, gdzie byłam. Aha! Jest jedna rzecz, którą mogliście zrobić. Do miasta przyjechał cyrk. Cirque Fantastique.

Wiem, że mają w programie szybkie zmiany. Obejrzyjcie sobie, jak to działa.

Rozstawili namiot dosłownie po przeciwnej stronie ulicy, w Central Parku - wtrąciła Amelia.

Wiosną i latem w parku organizowano wiele dużych imprez na otwartym powietrzu. Lincoln Rhyme i Amelia Sachs „uczestniczyli” kiedyś w koncercie Paula Simona, po prostu siedząc w otwartym oknie sypialni Rhyme'a.

Ach, to oni przez całą noc grali tę straszną muzykę!

Nie lubisz cyrku, Lincolnie? - zdziwił się Sellitto.

Oczywiście, że nie lubię cyrku! A kto lubi? Fatalne żarcie, klauni i akrobaci ryzykujący życie na oczach dzieci... Ale... -

Spojrzał na Karę. - To bardzo konstruktywny pomysł. Dziękuję ci. Ktoś z nas powinien wcześniej na to wpaść - zakończył sucho, obrzucając współpracowników oskarżycielskim spojrzeniem.

Patrzył, jak dziewczyna zarzuca na ramię okropną czarno--białą torbę. Ucieka przed nim, ucieka w świat bez kalek, zabiera ze sobą Spojrzenie i Uśmiech...

Zaczekaj - powiedział, zaskakując sam siebie.

Kara odwróciła się zdumiona.

Chciałbym, żebyś z nami została.

-Co?

Żebyś pracowała z nami przy tej sprawie. Przynajmniej dziś.

Mogłabyś towarzyszyć Lonowi lub Amelii, kiedy będą rozmawiać z ludźmi z cyrku. A poza tym znajdziemy pewnie kolejne magiczne tropy.

Och, nie. Naprawdę nie mogę. Już i tak z trudem wyrwałam się ze sklepu. Nie mogę poświęcić wam więcej czasu.

jl - Twoja pomoc bardzo by się nam przydała - nalegał Rhyme. - O sprawcy niemal nic nie wiemy. Mamy same powierzchowne informacje.

- Poznałaś pana Balzaca - Kara zwróciła się wprost do Amelii.

In nomine Patri...

Wiesz, Linc... - Lon Sellitto zawahał się - lepiej nie angażować cywilów do współpracy w toczącym się śledztwie. Są na to nawet odpowiednie paragrafy.

A czy przypadkiem nie zdarzyło ci się kiedyś zaangażować wróżki? - spytał sucho Rhyme.

Odczep się! Zrobił to ktoś z szefostwa.

Potem był ten twój tropiący pies i...

Nie „ja” i nie „mój”, przyjmij to wreszcie do wiadomości.

Nie, ja nie angażuję cywilów... wyjąwszy ciebie. Przez co natych miast wpadam w gówna.

W policyjnej robocie nie da się unikać gówna. - Rhyme spojrzał na Karę. - Proszę. To bardzo ważne. Naprawdę.

Dziewczyna zawahała się.

- Naprawdę sądzicie, że dalej będzie zabijał?

-

Nie mamy wątpliwości.

Kara skinęła głową.

- Wylecę z pracy, ale przynajmniej przysłużę się dobrej sprawie - rzekła filozoficznie. I nagle roześmiała się wesoło. - Wiecie,

że Robert-Houdin zrobił kiedyś coś bardzo podobnego?

-Kto?

Słynny francuski iluzjonista i magik. On też pomagał policji, a ściśle mówiąc, francuskiej armii. Kiedyś, nie pamiętam kiedy, w każdym razie w dziewiętnastym wieku, byli tacy algierscy ekstremiści, marabuci. Próbowali skłonić miejscowe plemiona do walki przeciw Francuzom. Twierdzili, że dysponują nadnaturalnymi mocami. Rząd Francji wysłał go do Algierii na coś w rodzaju

magicznego pojedynku, żeby udowodnił tubylcom, że Francuzi mają lepszą magię, no wiecie, większą moc. I udało mu się. Wypadł lepiej niż marabuci. -

Zawahała się chwilę. - Ale zdaje się,

że omal przy tym nie zginął.

Nie obawiaj się - pocieszyła ją Amelia. - Już ja dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

Kara przyjrzała się tablicy.

Robicie tak przy każdej sprawie? To znaczy zapisujecie, ja kie macie dowody i czego się dowiedzieliście?

Oczywiście - potwierdziła Amelia.

Mam pewien pomysł. Większość magików specjalizuje się w jakiejś określonej dziedzinie. A wasz Mag już połączył szybką zmianę z iluzją w wielkiej skali. To niezwykle. Zapiszmy sobie jego techniki. To pomoże zmniejszyć liczbę podejrzanych.

-

Jasne - ucieszył się Sellitto. - Profil sprawcy. Doskonały pomysł.

Kara znów się skrzywiła.

Tylko potrzebujemy kogoś, kto zastąpiłby mnie w sklepie.

Pan Balzac musi wyjść z tym swoim przyjacielem... o Boże, to musię nie spodoba. -

Rozejrzała się dookoła. - Czy jest tu jakiś tele

fon, z którego mogłabym skorzystać? Taki specjalny?

Jak to specjalny? - spytał Thom.

Prywatny. Żeby nikt nie słyszał, jak kłamię szefowi.

Ach, taki? - Opiekun Rhyme'a objął ją i poprowadził do drzwi. - Do tego celu używam telefonu w korytarzu.

## Miejsce zbrodni w szkole muzycznej

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szcze gólnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw: nieznany.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzić rodzinę, przyjaciół, studentów, pracowników pod kątem ewentualnego motywu.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na urodzinowych przyjęciach dziecięcych.

- Układ scalony z podłączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane zniszczone.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja robota.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popu larne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-  
Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

-  
Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost Parmelia conspersa pochodzą najpraw dopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80m x 1,20m. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wysledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

- Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki na palec.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu. Używane przy ma kijazu teatralnym

Ślady alginianu.

Używany jako forma do lateksowych „dodatków”.



- Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czar nym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

- Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

Użył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

Sprawca będzie używał „zmyłek” przeciwko ofiarom i policji.

Fizycznych (odwrócenie uwagi).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikają cy człowiek”. Zbyt popularny, by go wyśledzić.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańska (szybkiej zmiany). Będzie używał

różnych kostiumów, nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysi nę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być w dowolnym wieku, każdej płci i rasy.

Idąc, wyczuwały wiele zapachów: bez, dym z wózków handlarzy preclami i grillów, na których rodziny smażyły kurze udka i żeberka, olejek do opalania.

Amelia Sachs i Kara z każdym krokiem zbliżały się do białego namiotu Cirque Fantastique, beztriosko deptając wilgotną trawę Central Parku.

Na jednej z ławek Kara zauważyła całującą się parę.

Jest więcej niż twoim szefem? - spytała.

Lincoln? Tak, więcej.

To widać. Jak się spotkaliście?

Była taka sprawa... seryjny porywacz. Kilka lat temu.

To chyba trudne. Bo jest...

Nie, nietrudne - przerwała jej Amelia. Odpowiedziała zgod nie z prawdą.

Lekarze nic nie mogą dla niego zrobić?

Istnieje możliwość operacji. Ciągłe się zastanawia. Ale ryzy ko jest duże, a prawdopodobieństwo sukcesu minimalne. W ze szłym roku zdecydował, że jednak nie spróbuje i na razie jest bardzo zadowolony. Można powiedzieć, że wstrzymaliśmy pro jekt. Może kiedyś zmieni zdanie? Zobaczymy.

Mam wrażenie, że niezbyt podoba ci się ten pomysł.

Nie podoba. Duże ryzyko, mały zysk. Ja na co dzień operuję pojęciem kalkulacji ryzyka. Powiedzmy, że bardzo chcesz złapać Sprawcę, masz na niego papiery. To znaczy nakazy. Wiesz, gdzie mieszka. Czy wykopujesz drzwi, nie wiedząc, czy śpi albo czy są z nim przyjaciele z parą MP5 wcelowanych w drzwi? Czy czekasz na wsparcie, choć wiesz, że może uciec? Czasami warto skorzy stać z okazji, a czasami nie. Po prostu nie jestem pewna, czy warto. Ale jeśli on się zdecyduje, będę z nim. W ten sposób współpracujemy.

Potem opowiedziała Karze, że Rhyme jest w trakcie leczenia, polegającego na elektronicznej stymulacji mięśni oraz intensywnej fizykoterapii. U niektórych pacjentów taka kuracja działała cuda, poza tym jest nieinwazyjna, co minimalizuje ryzyko. W odróżnieniu od operacji.

Po paru latach może dojść do znaczącej poprawy. Kiedy on się do czegoś przykłada, to na sto

dziesięć procent. - Amelia przerwała. Rzadko rozmawiała o Lincolnie z obcymi. Ale z Karą coś ją jednak łączyło, więc dodała: - Nie lubi, kiedy o tym mówię, ale czasami nic nie robi, tylko ćwiczy. Znika. Nie kontaktuje się ze mną dzień, nawet dwa.

Inny rodzaj „Znikającego człowieka”.

No właśnie. - Policjantka uśmiechnęła się. Milczały przez chwilę. Amelia zastanawiała się, czy Kara nie oczekuje od niej czegoś więcej. Może opowieści o przewyciężaniu trudności, ja kichś szczegółów o życiu paralytyka. O reakcjach ludzi, kiedy po jawiał się publicznie. Może nawet wzmianki o sytuacjach intymnych? Ale jeśli dziewczyna interesowała się szczegółami, nie poruszyła tego tematu. Amelia wyczuwała w jej zachowaniu nie ciekawość, lecz raczej zazdrość.

W tych sprawach nie miałam ostatnio wiele szczęścia.

Z nikim się nie spotykasz?

Nie jestem pewna - odparła po namyśle Kara. - Nasze ostatnie spotkanie było takie romantyczne: francuskie grzanki i mi moży. U mnie. Drugie śniadanie w łóżku. Obiecał, że jutro do mnie zadzwoni.

I nie zadzwonił?

Nie zadzwonił. Och, i może powinnam dodać, że to śniadanie jedliśmy trzy tygodnie temu.

A ty... zadzwoniłaś do niego?

Mowy nie ma. Piłka jest po jego stronie kortu.

Bardzo dobrze. - Duma i siła to bliźnięta syjamskie. Amelia Sachs wiedziała o tym z własnego doświadczenia.

Kara roześmiała się nagle.

-

Jest taka stara sztuczka Williama Elswortha Robinsona. Sza lenie popularna. Nazwał ją „Jak pozbyć się żony albo maszyna rozwodowa”. Bardzo to do mnie pasuje. Wręcz idealnie. Powodu ję, że chłopaki znikają szybciej niż ktokolwiek. - Wiesz, oni do skonałe potrafią znikać sami z siebie.

- Większość facetów, których spotykam, pracując w piśmie i w sklepie, interesują dwie rzeczy. Pierwsza to noc na sianie. Druga to coś wręcz przeciwnego: małżeństwo i domek na przedmieściu. Ktoś ci się kiedyś oświadczył?

-

Jasne. Bywa strasznie, choć oczywiście wszystko zależy od tego kto.

-

Dobrze mówisz, siostrze. Nocka na sianie albo ślub i domek na przedmieściu... jedno i drugie jest dla mnie mniej więcej ta kim samym problemem. Nie chcę ani tego, ani tego. Z dwojga złe go wolę już raczej tęnockę, od czasu do czasu. W końcu żyjemy w prawdziwym świecie.

A co z mężczyznami w twoim zawodzie?

Nie biorę ich pod uwagę. Magicy... nie, wykluczone. Konflikt interesów, rozumiesz? Twierdzą, że lubią silne kobiety, ale szczerze mówiąc, nie znoszą kobiet w tym interesie. Stosunek kobiet do mężczyzn w zawodzie jest jak jeden do stu. Chociaż ostatnio to się jakby zmieniało na lepsze. Zdarzają się słynne kobiety -

iluzjonistki. Księżniczka Tenko, Japonka, ona jest po prostu wspaniała. Ale to świeża sprawa. Dwadzieścia, trzydzieści lat te dziewczyna mogła być co najwyżej asystentką. - Zerknęła spod oka na Amelię. - Trochę tak jak w policji, prawda?

- Nie jest tak źle jak niegdyś. Przynajmniej nie w moim pokoleniu. Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte... to wtedy kobiety przełamywały lody. Wtedy było najgorzej. Ale ja też brałam

baty... Nim przeniesiono mnie do badania miejsca zbrodni, byłam w patrolu...

Jak to?

Patrol to po prostu łażenie po ulicach. Kiedy wypadło nam HelTs Kitchen, kobietę przydzielano do jakiegoś doświadczonego gliniarza - mężczyzny. Czasami trafiałam na tępego twardziela, który nie znosił towarzystwa kobiet. Po prostu go nienawidził. Przez całą zmianę nie odzywał się do mnie ani słowem. Osiem godzin razem na ulicy i ani słowa. Odmeldowujemy się na lunch, siedzę w barze, przyglądam się klientom. Gość siedzi pół metra ode mnie, czyta dział sportowy w gazecie i wzdycha, bo musi tracić czas z kobietą.

- Wróciły wspomnienia. - Pracowałam z Siedem-Pięć...

-Co?

- Siedemdziesiąty Piąty komisariat. Ale gliniarze nie mówią po prostu Siedemdziesiąty Piąty.

Jeśli chodzi o liczby, to prawie zawsze jest Siedem-Pięć albo Siedemdziesiąt Pięć. To jak Macy. Jest na ulicy trzy-cztery.

89

Jasne.

W każdym razie szefa zmiany akurat nie było, zastępował go sierżant ze starej szkoły. Więc właściwie zaczynam służbę na Siedem-Pięć i na tej zmianie jestem jedyną kobietą. Idę na odprawę i co widzę? Podpaski, chyba z tuzin, przyklepione do katedry.

Nie!

Właśnie, że tak. Szef normalnie nie pozwoliłby na taki dowcip, ale gliniarze pod wieloma względami są jak dzieci. Rozrabia ją, póki dorośli nie każą im przestać

Na filmach się tego nie widzi.

Filmy produkuje Hollywood, nie komisariat Siedem-Pięć.

Co zrobiłaś z tymi podpaskami?

Poszłam do pierwszego rzędu. Poprosiłam faceta, siedzącego naprzeciw katedry, żeby ustąpił mi miejsca. Bo, tak przy okazji, to było moje miejsce. Och, wszyscy śmieli się tak głośno, aż cud, że niektórzy nie popuścili w gacie. Usiadłam spokojnie i notowałam to, co mówił sierżant, rozumiesz: nakazy, stosunki ze społecznością, miejsca, w których najłatwiej spotkać dilerów.

Po kilku minutach śmiech ucichł, Zawstydzili się. Nie ja, tylko oni.

Wiedziałaś, kto to zrobił?

Oczywiście.

Doniosłaś na niego?

Nie. Rozumiesz, to właśnie jest najgorsze, gdy jesteś gliniarzem kobietą. Trzeba przecież pracować z tymi ludźmi. Trzeba czuć, że są, że cię osłonią, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie można z nimi walczyć cios za cios. Jeśli do tego doszło, to przegrałaś.

Mieć jaja, żeby walczyć... nie, to wcale nie jest najważniejsze.

Przede wszystkim trzeba wiedzieć, kiedy walczyć i jak.

Duma i potęga.

-

To chyba trochę jak z nami - powiedziała Kara z namysłem.

- W moim zawodzie. Ale jeśli jesteś dobra, jeśli przyciągasz wiązki, to w końcu dostaniesz angaż. Tylko... obowiązuje paragraf 22. Nie udowodnisz, że jesteś dobra, jeśli cię nie zaangażują. a nie udowodnisz, że ludzie zapłacą, by cię zobaczyć, jeśli nie masz angażu.

Były już blisko wielkiego lśniącego namiotu. Amelia widziała, jak oczy dziewczyny rozbliły. Chciałabyś pracować w takim cyrku, prawda?

O Boże, pewnie. Dla mnie to jest jak niebo. Cirque Fantastique, występy w NBC i HBO. -

Zamilkła, rozejrzała się dookoła

i westchnęła. - Pan Balzac uczy mnie wszystkich starych sztuczek

- to jest bardzo ważne. Trzeba je znać na pamięć. Ale - ruchem głowy wskazała namiot - magia zmierza w tym kierunku. David Copperfield, David Blaine, aktorstwo, magia uliczna... to takie seksowne.

Powinnaś starać się o przesłuchanie.

Ja? Chyba żartujesz. Nie jestem gotowa i jeszcze długo nie będę. Trzeba być najlepszym.

Chodzi ci o to, że musisz być lepsza od mężczyzn?

Nie. Muszę być lepsza od wszystkich, mężczyzn i kobiet.

Dlaczego?

Dla widzów. Pan Balzac powtarza jak zarysowana płyta; „Je steśmy to winni widzom”; „Każdy oddech, który bierzesz na scenie, jest długiem spłacanym widzom”; „Iluzja nie może być po prostu w porządku, musi wstrząsnąć”; „Jeśli choćby jedna osoba na widowni zorientuje się, jak to zrobiłaś, poniosłaś klęskę”;

„Jeśli wahałaś się o ułamek sekundy za długo, zepsułaś efekt i poniosłaś klęskę”; „Jeśli choć jedna osoba ziewnie podczas twojego występu lub zerknie na zegarek, poniosłaś klęskę”.

Przecież nikt nie może być doskonały przez cały czas.

Musi - oświadczyła Kara zdziwiona, że ktoś może być innego zdania.

Stały tuż przy wejściu do Cirque Fantastique. W lśniącem oślepiającą bielą namiocie odbywały się próby przed wieczornym przedstawieniem. Wszędzie widać było artystów; niektórzy mieli na sobie kostiumy, inni dzinsy i podkoszulki.

-

Ojejejej... - westchnęła Kara. - Rozglądała się dookoła sze roko otwartymi oczami dziecka.

Amelia drgnęła; nad nią i nieco z tyłu rozległ się donośny trzask, do złudzenia przypominający wystrzał. Podniosła wzrok na powiewające na wietrze wielkie dziesięcio-, a może nawet dwunastometrowe flagi. Na jednej wypisana była nazwa cyrku, na drugiej wymalowano postać w kraciastym kostiumie, wyciągającą dłonie, zapraszającą do wejścia.

Twarz miała zasłoniętą Półmaską, czarną, o nosie jak kartofel i groteskowych rysach. Nie Dyl to przyjemny obraz, natychmiast nasuwał skojarzenia z Magiem, który także krył się pod kostiumami, za maskami.

Jego plany i motywy także są nieznane.

Kara zerknęła na Amelię i zorientowała się, na co patrzy.

Arlecchino. Arlekin. Wiesz coś o komedii dell'arre?

. -Nie.

To włoski teatr. Narodził się gdzieś chyba w szesnastym wieku i przetrwał kilka stuleci.

Cirque Fantastique wykorzystuje jego elementy. -Wskazała mniejsze flagi, na których wyobrażono inne postaci w maskach. Haczykowate nosy, przesadnie wygięte brwi, wysokie kości policzkowe... wyglądało to trochę niesamowicie i niezbyt przyjemnie. -W komedii dell'arte występowały ściśle zdefiniowane postaci. Aktorzy nosili maski wskazujące, który gra którą postać.

To były komedie? - Amelia wysoko uniosła brwi na widok jednej szczególnie demonicznej

maski.

My nazwalibyśmy to chyba czarną komedią. Arlekin na przykład wcale nie był taką świetlaną postacią. Nie wiedział, co to moralność, obchodziło go tylko jedzenie i kobiety. Pojawiał się i znikał, skradał i zaskakiwał. A Pulcinella? Prawdziwy sadysta.

Robił naprawdę wstętne dowcipy wszystkim, nawet swym ko chankom. Był też lekarz, który truł ludzi. Głos rozsądku reprezen towała kobieta, Kolumbina. - Kara westchnęła. - W komedii dell'arte podoba mi się także to, że tę rolę grała właśnie kobieta.

Nie jak w Anglii, gdzie kobietom nie wolno było występować w teatrze.

Flaga znów strzeliła ostro. Arlekin wydawał się wpatrywać nad ramieniem Amelii w coś dalekiego i dla niej niewidocznego. Zupełnie jakby widział zbliżającego się Maga; przywoływało to niepokojące doświadczenie z przeszukiwania miejsca zbrodni w szkole.

Nie, nie mamy pojęcia, kim jest i gdzie może być.

Odwróciła się w samą porę, by dostrzec podchodzącego do nich strażnika, który zwrócił uwagę na policyjny mundur.

- Mogę w czymś pomóc, pani władzo?

Amelia prosiła o rozmowę z dyrektorem. Strażnik wyjaśnił, że dyrektora nie ma, może więc zechce porozmawiać z jego asystentką. Chwilę później podeszła do nich kobieta, niska, drobna, czarnowłosa, przypominająca Cygankę i najwyraźniej zaaferowana.

-

W czym mogę pomóc? - spytała uprzejmie z akcentem, którego nie potrafiły rozpoznać.

Amelia Sachs przedstawiła się i wyjaśniła:

- Prowadzimy

śledztwo w sprawie popełnionych w tej okolicy

morderstw. Chciałam spytać, czy wśród waszych artystów są spe cjaliści od szybkich zmian i iluzjoniści?

Kobieta wyraźnie się zaniepokoiła.

- Oczywiście - odparła natychmiast. - Irina i Vlad Kłodo ja.

\_ proszę to przeliterować.

Kiedy zapisywała imiona i nazwisko, Kara skinęła głową.

Jasne, słyszałam o nich. Kilka lat temu występowali w Cyr ku Moskiewskim.

Ma pani rację - potwierdziła kobieta.

Byli tu cały ranek?

Tak. Skończyli próbę jakieś dwadzieścia minut temu. Potem poszli na zakupy.

Jest pani pewna, że przez cały czas byli na miejscu?

Tak. Osobiście nadzoruję próby.

A może wie pani o kimś, kto ma wprawę w iluzji i magii proteańskiej, choć nie występuje na scenie?

Nie, nie znam nikogo takiego.

Dobrze. Oto co zrobimy. Przed cyrkiem ustawimy kilku na szych funkcjonariuszy. Będą tu za jakieś piętnaście minut. Jeśli dowie się pani o kimś, kto nagabuje waszych artystów lub wi dzów, lub choćby zachowuje się podejrzanie, proszę natychmiast im to zgłosić. - Na ten pomysł wpadł Rhyme.

Uprzedzę wszystkich, oczywiście. Czy może mi pani powie dzieć, o co właściwie chodzi?

Mężczyzna mający pewne umiejętności iluzjonisty popełnił dziś rano morderstwo. Z tego, co wiemy, nie ma to żadnego związku z waszym przedstawieniem, ale wolimy się zabezpieczyć.

Asystentka dyrektora jeszcze raz zapewniła, że udzieli im wszelkiej pomocy, i odeszła, wyraźnie wytrącona z równowagi. Zapewne żałowała swego ostatniego pytania.

Wiesz coś o tych ludziach? - spytała Amelia, gdy wychodziły z cyrku. Ukraińcach?

Tak. Możemy im ufać?

Są małżeństwem. Mają dzieci, które podróżują wraz z nimi.

Należą do najlepszych w świecie specjalistów od szybkich zmian.

Nie wyobrażam sobie, by mieli coś wspólnego z morderstwem.

Amelia zadzwoniła do Rhyme'a. Telefon odebrał Thom. Podała mu imiona i nazwisko Ukraińców oraz przekazała wszystko, czego się dowiedziała.

Niech Mel albo ktoś sprawdzi ich w urzędzie imigracyjnym i w Departamencie Stanu.

Zrobione - odparł krótko Thom.

Rozłączyła się. Wyszły z parku i ruszyły na zachód. Przed oczami miały sinobiałe chmury, na czystym niebie wyglądające niczym siniec. Flaga znów trzasnęła ostro; rozbawiony Arlekin wabił ludzi, zapraszał do swego niesamowitego świata.

Odprężyliście się, szacowni widzowie?

Odпочęliście? To dobrze, ponieważ nadszedł czas drugiego występu. Być może nie słyszeliście nigdy o P. T. Selbicie, ale jeśli byliście kiedyś w cyrku lub wdzieliście iluzjonistę na żywo, lub chociaż w telewizji, znacie prawdopodobnie część ze sztuczek, które ten Anglik upowszechnił na początku dwudziestego wieku.

Początkowo Selbit występował pod swym prawdziwym nazwiskiem: Percy Thomas Tibbles, szybko jednak się zorientował, że miano tak przyziemne nie pasuje do artysty, którego największym atutem są nie karciane sztuczki, znikające gołębie i lewitujące dzieci, lecz sadomasochistyczne przedstawienia, szokujące - a więc i przyciągające - widzów na całym świecie.

Selbit - tak, jego sceniczny pseudonim pochodził od nazwiska czytanego wstak - wymyślił słynną „Poduszkę do igieł”: pokazywał ludziom dziewczynę przeszywaną osiemdziesięcioma czterema ostrymi szpikulcami. Inny stworzony przez niego numer to „Czwarty wymiar”: ku przerażeniu widzów przygniatał dziewczynę ciężką skrzynią. Jedną z mych ulubionych jest sztuczka Selbita z 1922 roku. Jej nazwa, szacowni widzowie, mówi wszystko: „Bożek krwi, czyli miażdżenie dziewczyny”.

Dziś mam zamiar przedstawić państwu zmodernizowaną wersję najsłynniejszego chyba numeru Selbita, przedstawianego na całym świecie. Poproszono go nawet o pokazanie go podczas pokazowych manewrów Gwardii Królewskiej na londyńskim hipodromie. Znanego pod nazwą...

Nie, nie...

Nie, szacowni widzowie. Nie zaspokoję waszej ciekawości, na razie nie zdradzę nazwy tej sztuczki. Ale coś wam powiem: kiedy Selbit miał ją w programie, kazał asystentom wylewać fałszywą krew do rynsztoka przed namiotem. By zainteresować potencjalnych widzów.

Strategia ta okazała się bardzo skuteczna.

Życzę wam dobrej zabawy.

Mam nadzieję, że będzie dobra.

Ale znam jedną osobę, której z pewnością się nie spodoba.

Jak długo spałem, spytał sam siebie młody człowiek. Przedstawienie skończyło się o północy, potem pili w „White Horse” Bóg wie jak długo, do domu wrócił o trzeciej, przez czterdzieści minut... nie, raczej godzinę... rozmawiał z Braggiem. A kanalizacja zaczęła cholernie dudnić mniej więcej o wpół do dziewiątej.

Więc... jak długo spałem?

Matematyka nie była mocną stroną Tony'ego Calverta. Uznał, że to nawet lepiej. Kto chciałby wiedzieć, jak bardzo jest zmęczony? Dobrze chociaż, że pracował na Broadwayu, a nie przy reklamówkach, bo wtedy wstawało się czasem i o szóstej rano. Popołudniowy angaż w Teatrze Gielguda był dobrą rekompensatą za to, że musi pracować w soboty i niedziele.

Przyjrzał się narzędziom swego fachu i uznał, że przyda mu się więcej maści maskującej tatuaże. Dziś miał twardego chłopaka o kamiennej szczęce, a damy z Teaneck i Garden City mogłyby mieć pewne wątpliwości co do szczerości uczuć przystojniaka do modnej gwiazdeczki, gdyby na jego potężnym bicepsie odczytały: KOCHAM CIĘ NA WIEKI, ROBERCIE.

Calvert zamknął sporą żółtą walizeczkę na kosmetyki, podszedł do drzwi i zerknął w wiszące przy nich lustro. Musiał przyznać, że wygląda znacznie lepiej, niż się czuje. Na twarzy nadal miał resztki opalenizny ze wspaniałej lutowej wyprawy do St Thomas. Smukłe, muskularne ciało nie zdradzało, że w żołądku przelewały się litry piwa (na miłość boską, przyhamuj po czwartym piwie. Halo, czy ktoś mnie słyszy? Czy to dla ciebie nie za trudne?). Zdradzały go tylko mocno przekrwione oczy, no ale to można poprawić bez większych problemów.

Charakteryzator zna

95

tyś sposobów na sprawienie, by stary wyglądał jak młody, brzydal jak grecki bóg, a człowiek śmiertelnie zmęczony jak ktoś, kto właśnie obudził się po długim, orzeźwiającym śnie. Jemu wystarczyły krople do oczu, a po nich odrobina pudru pod oczami.

Nałożył skórzaną kurtkę, zamknął drzwi swego mieszkania w East Village i zaczął schodzić po schodach. Teraz, kilka minut przed południem, w budynku panowała cisza. Większość ludzi, jak sądził, poszła na spacer, ciesząc się pierwszym w tym roku prawdziwie pięknym wiosennym weekendem, albo nadal odsypiała wczorajsze szaleństwa.

Jak zawsze wyszedł tylnym wyjściem, prowadzącym na alejkę między dwoma budynkami.

Ruszył w stronę odległego o kilkanaście metrów chodnika, gdy nagle w jednym z odchodzących z alejki, kończących się ślepo korytarzy dostrzegł jakiś ruch.

Zatrzymał się, zerknął w mrok, zmrużył oczy. Zwierzę. O Boże, czy to szczur?

Nie, to nie był szczur, lecz kot, najwyraźniej ranny. Calvert gorączkowo rozejrzał się dookoła, ale alejka była pusta.

Biedny kotek.

Tony Calvert nie był miłośnikiem zwierząt domowych, ale zeszłego roku opiekował się terierem sąsiadów i pamiętał, jak właściciel powiedział mu, oczywiście na wszelki wypadek, że weterynarz Bilba ma gabinet tuż za rogiem, na St Marks. Mógłby odnieść tam kota po drodze do metra. Może wzięłaby go siostra? Adoptowała dzieci, więc mogłaby i kota.

Stanie w alejce nie było najlepszym wyjściem, zwłaszcza w tej okolicy, ale Calvert nie miał wątpliwości, że jest tu zupełnie sam. Szedł po bruku tak cicho, jak tylko potrafił, nie chcąc przestraszyć zwierzęcia. Kot leżał na boku, miaucząc rozpaczliwie.

Czy może wziąć go na ręce? Czy nie zostanie podrapany? Pamiętał z wykładów, że koty mogą przenosić choroby. Ale ten wyglądał na zbyt słabego, by zrobić mu krzywdę.

- Co ci się stało, biedaku? - spytał cichym, kojącym głosem. - Ktoś cię skrzywdził?

Kucnął powoli, postawił walizeczkę z kosmetykami na bruku, ostrożnie wyciągnął rękę, obawiając się, że kot może zaatakować. Dotknął go i natychmiast cofnął dłoń. Zwierzę było wynędzniałe do ostatnich granic - czuł kości tuż pod skórą - i zimne jak lód. Czyżby zdechło?

Nie! Przecież nadal poruszało łapą i nawet znowu miauknęło!

Zebrał się na odwagę i dotknął go jeszcze raz. Hej, zaraz, przecież to coś pod skórą to wcale nie były kości, tylko jakieś pręty, wyczuł nawet metalowe pudełko.

Co jest, do kurwy nędzy? Występował w „Ukrytej kamerze”? A może jakiś kretyń robi sobie głupie dowcipy?

Podniósł wzrok i trzy metry dalej zobaczył kogoś, faceta czającego się jak do skoku.

Westchnął ze zdumienia, cofnął się...

Ależ nie! To on był tym facetem. Oglądał samego siebie w lustrze umieszczonym w rogu, przy końcu mrocznego korytarzyka. Wyraźnie widział swą zdumioną twarz, szeroko rozwarte, nieruchome oczy. Rozluźnił się i nawet roześmiał, lecz nagle zmarszczył brwi.

Wydawało mu się, że przewraca się, pada, lecz to tylko lustro pochyliło się, obróciło i roztrzaskało, padając na bruk.

A zza lustra zaatakował go brodaty mężczyzna w średnim wieku, trzymający w ręku kawałek metalowej rury.

-

Nie! Pomocy! - krzyknął, cofając się. - O Boże! Boże!

Rura zatoczyła łuk. Mierzyła wprost w jego głowę.

Lecz Calvert zdążył chwycić walizeczkę. Cisnął nią w napastnika, parując cios. Poderwał się na nogi i pobiegł. Facet próbował go ścigać, ale poślizgnął się na bruku, upadł ciężko na jedno kolano.

- Masz

forse! Bierz! - krzyknął Calvert, wydobywając portmonetkę z kieszeni i ciskając ją za siebie. Mężczyzna zignorował ten prezent. Wstał. Blokował mu drogę prowadzącą na ulicę, jedyną szansą była ucieczka do mieszkania.

O Jezu! O Panie!...

-

Ratunku! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Klucze! - pomyślał. Wyjmij klucze. Wyciągnął je z kieszeni, jednocześnie oglądając się przez ramię. Miał zaledwie dziesięć metrów przewagi. Jeśli nie otworzy drzwi za pierwszym razem, zginie.

Nawet mu do głowy nie przyszło, by zwolnić. W pełnym pędzie uderzył w metalowe drzwi i cudem trafił kluczem w zamek za pierwszym razem. Obrócił go błyskawicznie. Wskoczył do środka, wrywając klucz z zamka i zatrzasnąwszy drzwi; zamek zaskoczył automatycznie.

Serce biło mu mocno, oddychał ciężko, był przerażony, ale nie tracił panowania nad sobą. Z

kim miał do czynienia. Bandytą? Kimś nienawidzącym gejów? Narkomanem? Przecież to nie ma znaczenia! Nie pozwolę, by coś takiego uszło temu fiutowi na sucho. Pobiegł korytarzem do swego mieszkania. I znów udało mu się błyskawicznie otworzyć drzwi. Zamknął je za sobą na zamek. Popędził do kuchni, złapał słuchawkę, wykręcił 911. Natychmiast usłyszał kobiecy głos.



Pogotowie policji i straży pożarnej.

Mężczyzna! Właśnie zaatakował mnie mężczyzna. Jest... jest gdzieś tam!

Czy jest pan ranny?

Nie, ale przyślijcie policję. Natychmiast.

Czy on jest z panem?

Nie, zamknąłem się w mieszkaniu. Ale nadal może być

w alejce. Musicie się pospieszyć!

Co się stało? Skąd ten powiew, który poczuł na twarzy? Przecież wie! Przeciąg! Ktoś otworzył drzwi jego mieszkania!

- Proszę pana, czy jest pan na linii? Czy...

Calvert obrócił się i wrzasnął głośno. Brodaty mężczyzna stał może metr od niego. Spokojnie wrywał z gniazdka sznur telefonu. Drzwi! Jakim cudem udało mu się otworzyć drzwi?

Calvert cofnął się, jak mógł najdalej, do lodówki. Nie miał dokąd uciec.

- Czego...? - spytał. Napastnik miał blizny na szyi i zdeformowaną lewą dłoń. - Czego pan ode mnie chce?

Mężczyzna nie odpowiedział. Niespiesznie rozejrzał się dookoła, zatrzymał wzrok na kuchennym stole, potem na dużym drewnianym stoliku do kawy, stojącym w pokoju gościnnym. Najwyraźniej znalazł to, czego szukał. Obrócił się uśmiechnięty i kiedy uderzył

kawałkiem rury, zrobił to jakby mimochodem.

Podjechali z wyłączonymi syrenami. Dwa radiowozy, po dwóch policjantów w każdym.

Sierżant wyskoczył z pierwszego z nich, nim samochód zdążył zahamować. Od odebrania rozmowy na numer 911 minęło zaledwie sześć minut. Mimo że została przerwana, centrala wiedziała, z którego budynku i mieszkania wzywano pomocy. Dzwoniący miał zainstalowany identyfikator numeru.

Sześć minut. Przy odrobinie szczęścia zastaną ofiarę żywą i w dobrym zdrowiu. Jeśli nie dopisze im szczęście, przynajmniej sprawca będzie w mieszkaniu szukał czegoś, co warto by ukraść.

Uruchomił motorolę.

- Sierżant cztery-pięć-trzy-jeden do centrali. Jestem dziesięć--osiemdziesiąt-cztery na miejscu napadu na Dziewiątej Ulicy.

98

Przyjęte, cztery-pięć-trzy-jeden. Zespół medyczny jedzie na miejsce. Ranni?

Jeszcze nie wiem. Wyłączam się.

Potwierdzam, cztery-pięć. Bez odbioru.

Wysłał jednego z ludzi na tyły budynku, by krył wyjście przeciwpożarowe oraz wychodzące na tę stronę okna. Drugi pozostał przy drzwiach frontowych. Trzeci wraz z sierżantem wszedł do

środku.

Jeśli wszystko dobrze się ułoży, sprawca wyskoczy przez okno i złamie nogę w kostce.

Sierżant nie miał ochoty ścigać dupków i przewracać ich na ziemię, nie w ten piękny letni dzień.

Byli w Alfabetycznym Mieście, zawdzięczającym swą nazwę biegnącym z północy na południe alejom A, B i C. Tu liczyło się, jak szybko zdobędziesz heroinę i kiedy weźmiesz szprycę. Jasne, sytuacja się poprawiała, ale ciągle jeszcze było to jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na

Manhattanie. Obaj gliniarze, podchodząc do drzwi wejściowych, wyciągnęli broń.

I znów: jeśli dopisze im szczęście, sprawca będzie uzbrojony wyłącznie w nóż. Albo, jak to się sierżantowi zdarzyło w zeszłym tygodniu, kiedy starł się z narkomanem naćpanym crackiem, w chińskie pałeczki i pokrywkę kosza na śmieci jako tarczę.

No i los rzeczywiście się do nich uśmiechnął. Nie musieli szukać kogoś, kto wpuściłby ich do kamienicy. Na ulicę wychodziła właśnie starsza pani, uginająca się pod ciężarem torby z zakupami, z której wyglądał ogromny ananas. Uprzejmie przytrzymała drzwi policjantom, choć widać było, że jest bardzo zdziwiona. Wbiegli do środka, odpowiadając na jej gorączkowe pytania typowym policyjnym: „Nie ma się czym przejmować, proszę pani”.

Teraz, jeśli szczęście dopisze...

Mieszkanie 1J znajdowało się na parterze, z tyłu. Sierżant stanął po lewej stronie drzwi, jego partner po prawej. Uniósł pistolet, skinął głową. Sierżant uderzył w drzwi wielką pięścią.

Otwierać! Policja!

Żadnej odpowiedzi.

Policja!

Nic.

Chwycił za klamkę. A jednak mieli szczęście! Drzwi nie były zamknięte na zamek. Otworzył je, ale obaj z partnerem czekali chwilę, przytuleni do ściany. Wreszcie sierżant uznał, że może bezpiecznie zajrzeć do środka.

99

- O Chryste Wszechmogący - szepnął na widok tego, co zobaczył pośrodku dużego pokoju.

Zupełnie zapomniał, co znaczy słowo „szczęście”.

Sekretem magii proteańskiej, czyli szybkiej zmiany, jest sztuka odmienienia swego wyglądu dzięki kilku prostym zabiegom przy jednoczesnym odwróceniu uwagi publiczności.

A żadna zmiana nie mogła być bardziej radykalna niż przekształcenie się w siedemdziesięcioletnią starowinkę.

Malerick wiedział, że policja pojawi się błyskawicznie. Toteż po krótkim przedstawieniu w mieszkaniu Calverta przywdział jeden z kostiumów przewidzianych do ucieczki: niebieską sukienkę z wysokim kołnierzem i siwą perukę. Podciągnął specjalne, elastyczne dżinsy, rozwinął halkę. Zerwał brodę, na policzki nałożył grubo róż. Pokreślił brwi. Kilka muśnięć cienkim pędzlem zanurzonym w sjenie stworzyło na policzkach zmarszczki siedemdziesięcioletki. No i oczywiście zmiana butów.

A skoro mowa o zmyłce - znalazł plastikową torbę. Jej dno wyłożył gazetami, wsadził do niej kawałek metalowej rury wraz z bronią potrzebną w tym numerze, a na wierzchu położył

wielki, świeży ananas, który wziął z kuchni Calverta. Gdyby spotkał kogoś, wychodząc z budynku, ten ktoś zapewne spojrzałby na niego, ale zapamiętałby przed wszystkim właśnie ananasa.

Teraz, z odległości jakichś czterystu metrów, nadal ubrany w kobiecy strój przystanął i oparł się o ścianę domu, jakby chciał tylko odpocząć, zaczerpnąć oddechu. Następnie znikł w ciemnej alejce. Jednym pociągnięciem zerwał z siebie sukienkę zapinaną na cienkie rzepy.

Wraz z peruką trafiła pod szeroką na trzydzieści centymetrów taśmę otaczającą mu brzuch, ściskającą rekwizyty i czyniącą je praktycznie niewidzialnymi pod koszulą.

Spuścił nogawki dżinsów, z torby, którą miał w kieszeni, wyjął zmywacz i usunął nim makijaż: róż, brwi i zmarszczki. Rezultat tych zabiegów sprawdził w lusterku kieszonkowym.

Waciki ze zmywaczem włożył do torby z ananasem. Rozejrzał się, zobaczył zaparkowany pod

zakazem zatrzymywania się samochód. Otworzył bagażnik, wrzucił do niego torbę.

Policja nigdy nie przeszukuje bagażników zaparkowanych samochodów, a ten pewnie od-holuja przed powrotem właściciela.

Wrócił na ulicę, poszedł do jednej ze stacji linii metra West Side.

/ co sądzicie o mym tajemnym przedstawieniu, szacowni widzowie?

Sam musiał uznać je za sukces, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że poślizgnął się na tym cholernym bruku i asystent zdołał odgrodzić się od niego parą zamkniętych drzwi.

Ale kiedy dotarł do tylnych drzwi kamienicy, w której mieszkał Calvert, miał już w rękę odpowiednie wytrychy.

Przez lata studiował szlachetną sztukę pokonywania zamków. Była wśród pierwszych, których nauczył go jego mentor. Włamywacz używa dwóch narzędzi: klucza dynamometrycznego, wsuwanego w zamek i utrzymującego napięcie na znajdujących się w nim zawleczkach, i właściwego wytrycha, wysuwającego zawleczki z zamka i umożliwiającego jego otwarcie.

Odsuwanie ich, jednej po drugiej, jest jednak procesem czasochłonnym, Malerick opanował więc w mistrzowskim stopniu technikę nazywaną „skrobaniem”. Polega ona na szybkim poruszaniu wytrychem tam i z powrotem. Skrobanie jest skuteczne wyłącznie wówczas, gdy włamywacz doskonale wyczuwa właściwą kombinację zapadek cylindra i wywierany na nie nacisk. Używając narzędzi długości zaledwie kilku centymetrów, w niespełna trzydzieści sekund Malerick otworzył dwa zamki: do drzwi wejściowych domu i do drzwi mieszkania Calverta.

Czy to wydaje się wam niemożliwe, szacowni widzowie.

Przecież na tym polega praca iluzjonisty: czynić niemożliwe możliwym.

Przed wejściem do metra kupił „New York Timesa”. Przerzucając kartki, rozglądał się dyskretnie, sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi. Jak poprzednio, nikt go śledził. Zbiegł po schodach na stację. Prawdziwie ostrożny artysta może odczekałby nieco dłużej, dla pewności, lecz on musiał złapać najbliższy pociąg. Nie miał czasu. Następny numer należał do naprawdę trudnych - Malerick zawsze stawiał sobie bardzo wysokie wymagania - dlatego musiał dobrze się do niego przygotować.

Nie ośmieliłby się rozczarować publiczności.

11

Wygląda to bardzo źle, Rhyme - powiedziała do mikrofonu Amelia, stojąc w drzwiach prowadzących do mieszkania 1J. om stał w sercu Alfabetycznego Miasta.

Zaraz po wyjściu Kary Lon Sellitto poleci! wszystkim telefoni-:om z centrali, by natychmiast informowali go o każdym popeł-ionym w Nowym Jorku morderstwie. Kiedy poznał pewne szcze-óły tej sprawy, uznał, że mają do czynienia z dziełem Maga. ednym z tropów był tajemniczy sposób, w jaki sprawca dostał ię do mieszkania ofiary, drugim, znacznie ważniejszym, zegarek zgnieciony identycznie jak u nieszczęsnej dziewczyny ze szkoły luzyczne j.

Inna była przyczyna śmierci i właśnie do niej odnosiły się Iowa Amelii Sachs. Podczas gdy Sellitto komenderował detek-ywami i policjantami patrolu, zgromadzonymi w korytarzu, achs przyglądała się nieszczęsnej ofierze, Anthony'emu Cal-ertowi. Leżał na wznak na okazałym stoliku do kawy, stojącym ióśrodku dużego pokoju. Rozłożone ręce i nogi przywiązane dał do nóg stołu. Przecięto go na pół przez żołądek, aż do krę-;oslupa.

Opisała tę ranę Rhymowi.

To się zgadza - powiedział Lincoln Rhyme głosem wypra-lym z wszelkich emocji.

Z czym zgadza?

Zgadza się z magicznymi metodami. Najpierw liny, teraz wzięcie na dwoje.- Usłyszała, jak krzyczy głośno do kogoś, prawdopodobnie do Kary: -To jest magiczna sztuczka, prawda?

Przepiłowywanie kogoś na połowy? - Po chwili powiedział do niej: - Mówi, że to klasyczny trik iluzjonisty.

102

Dopiero teraz Amelia zdała sobie z tego sprawę. Widok zwłok wstrząsnął ją tak, że początkowo się nie zorientowała.

Klasyczny trik iluzjonisty.

Ale siowo „okaleczenie” znacznie lepiej opisywało to, co miała przed oczami.

Nie wolno ci się angażować, powiedziała sobie. Sierżant musi patrzeć na wszystko chłodnym okiem.

Nagle przez głowę przeleciała jej pewna myśl i nie było to nic przyjemnego.

-

Rhyme, czy sądzisz...

-Co?

Czy sądzisz, że żył, kiedy sprawca zaczął go ciąć? Ręce ma przywiązane do nóg stołu. Leży na wznak.

Ach! Myślisz o tym, że może coś dla nas zostawił? Jakiś trop pomocny w ustaleniu tożsamości sprawcy? Niezły pomysł.

Nie. Myślę o bólu.

O tym? Aha.

O tym. Aha.

Analiza krwi to wykaże.

W tym momencie Amelia Sachs zauważyła na skroni Calverta ślad po uderzeniu tępym narzędziem. Rana ta nie krwawiła, co sugerowało, że serce przestało bić wkrótce potem, gdy uszkodzona została czaszka.

-

Nie, Rhyme. Jestem prawie pewna, że cięcie wykonane zostało post mortem.

Usłyszała w słuchawce głos Lincolna przekazujący Thomo-wi, co ma zapisać na tablicy.

Mówił coś jeszcze, ale na to nie zwracała już uwagi. Widok zwłok bardzo ją poruszył, spowodował wstrząs, którego skutki trwały nadal. Ale przecież sama chciała wykonywać tę pracę. Owszem, potrafi nie przejmować się trupami, muszą się tego nauczyć wszyscy gliniarze badający miejsca zbrodni, i wkrótce przestanie się przejmować i tym. Ale nadal sądziła, że tam, gdzie przeszła śmierć, moment skupienia i ciszy jest więcej niż odpowiedni.

Nie, nie motywowała jej żadna forma duchowości, po prostu nie chciała, by jej serce stwardniało na kamień, co w tym zawodzie zdarza się aż za często.

Rhyme coś do niej mówił.

Co? - spytała odruchowo.

Pytałem, czy widzisz broń.

Nie. Ale nie rozpoczęłam jeszcze przeszukania.

103

Do stojącego w drzwiach Sellitta dołączyli sierżant i funkcjonariusz w mundurze.

- Rozmawiałem z sąsiadami - powiedział policjant. Wskazał na ciało i zachłusnął się.

Zapewne nigdy nie był w jatce. - Opisywali ofiarę jako miłego, spokojnego sąsiada. Wszyscy go lubili. Gej, ale nie mieszał się w żadne rozróby. Ostatnio nie miał partnera.

Sachs skinęła głową.

Wygląda na to, że nie znał zabójcy - powiedziała.

Uznaliśmy to przecież za skrajnie nieprawdopodobne - usłyszała w odpowiedzi. - Mag organizuje to sobie zupełnie inaczej.

Diabli wiedzą jak.

Jak zarabiał na życie?

Charakteryzator i stylistka jednego z teatrów na Broadwayu.

W alejce znaleźliśmy walizeczkę. No, wie pani: spreje do włosów, zestawy do makijażu, pędzelki. Wychodził do pracy.

Amelia Sachs zastanawiała się przez chwilę, czy ten nieszczęsny młody człowiek nie pracował także dla agencji fotograficznych, a jeśli tak, to czy zetknęła się z nim, gdy była modelką agencji Chantelle z Madison Avenue. W odróżnieniu od większości zawodowych fotografów i księgowych wielkich agencji charakteryzatorzy traktowali modelki jak ludzi.

Księgowy mówił na przykład: „No dobrze, pomalujmy ją, zobaczymy, jak będzie wyglądała”, a charakteryzator potrafił na to odpowiedzieć: „Przepraszam, nie wiedziałem, że to sztacheta”.

Detektyw pochodzenia azjatyckiego z piątego posterunku, który zajmował się tą częścią miasta, pojawił się w drzwiach. Trzymał w ręku telefon komórkowy.

Jak się wam podoba? - spytał pogodnie.

Co ma się podobać - prychnął Sellitto. - Może wiecie, jakim cudem udało mu się uciec? Ofiara zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście. Wasz patrol musiał

być na miejscu w dziesięć minut.

Sześć - poprawił go detektyw.

Podjechaliśmy bez sygnału i przede wszystkim obstawiliśmy wszystkie wyjścia - dodał sierżant. - Kiedy weszliśmy do środka, ciało było jeszcze ciepłe. Trzydzieści sześć i pół stopnia. Zorganizowaliśmy przeszukanie od drzwi do drzwi, ale nie natrafiliśmy na żaden ślad sprawcy.

Świadcowie?

Sierżant skinął głową.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, w holu była jedna osoba, staruszka. Wpuściła nas do środka.

Porozmawiamy z nią, kiedy wróci. Może coś widziała.

\_ Wyszła? - spytał Sellitto.

-Tak.

A niech to diabli! - warknęła Sachs.

Przecież nic się nie stało - zdziwił się policjant. - Przy każdym dych drzwiach zostawialiśmy wizytówkę. Któraś z nich z pewno ściągnęła do niej trafi. Zadzwoni do nas, nie ma obaw.

Nie zadzwoni - westchnęła Sachs. - Bo to był sprawca.

Ona? - spytał sierżant piskliwym, drżącym głosem. Śmiał się.

Nie „ona” - poprawiła go Amelia. - Sprawca tylko wyglądał jak bezbronna starsza pani.

-

Hej, funkcjonariuszko - wtrącił Lon Sellitto. - Nie popadajmy w paranoję. Facet nie zdążyłby

przecież przeprowadzić operacji zmiany płci.

- Ale

zdążyłby cię o tym przekonać. Pamiętaj, co mówiła Kara. Poruczniku, to był on...

a może ona? Chce się pan założyć?

W słuchawce usłyszała głos Rhyme'a.

-

O to nie mam zamiaru się zakładać, Sachs.

Sierżant sprawiał wrażenie oburzonego.

- Przecież miała z siedemdziesiątkę albo coś koło tego! - za protestował. - Niosła torbę z zakupami. Na wierzchu był wielki ananas.

- Proszę spojrzeć - powiedziała Amelia, wskazując na ku chenny blat, na którym leżały dwa duże, ostro zakończone liście, a obok nich karteczka na gumce ze znakiem Dole i przepisami na dania ze świeżymi ananasami.

O, cholera. Mieli go! Prawie się o nich otarli

-

W torbie z zakupami miał prawdopodobnie narzędzie zbrodni - usłyszała w słuchawce głos Rhyme'a.

Powtórzyła to coraz bardziej ponuremu detektywowi z piątki.

- Nie

przyjrzał się pan twarzy tej kobiety, prawda? - spytała sierżanta.

- Prawdę mówiąc, nie. Po prostu na nią zerknąłem. Wyglądała na, jak to się mówi? Zrobioną? Pokrytą tym... moja babcia tego używała, ale nie pamiętam...?

Różem - podsunęła mu Sachs.

Właśnie. I miała namalowane brwi. W każdym razie szybko ją... szybko go znajdziemy. Z pewnością nie jest daleko.

I - Znow zmieniał wygląd - odezwał się głos Rhyma'a. - Stare ubranie wyrzucił prawdopodobnie gdzieś niedaleko.

105

Sachs zwróciła się od Azjaty.

- Przebrał się - wyjaśniła krótko. - Obecny tu sierżant może dać panu opis stroju staruszki.

Powinniście jak najszybciej sprawdzić pojemniki na śmieci, boczne alejki i tak dalej.

Pozbądźcie się niepotrzebnego już kostiumu najszybciej, jak będzie mógł.

Detektyw obejrzał ją od stóp do głów. Wzrok miał co najmniej chłodny. Co gorsza Sellitto spojrzał na nią ostrzegawczo. Uświadomiło jej to, że ważną częścią procesu stawania się sierżantem jest nieudawanie, że jest się sierżantem, gdy się nim jeszcze nie zostało. Ale Lon autoryzował przeszukanie i detektyw wydał odpowiednie polecenia przez krótkofalówkę.

Następnie Amelia włożyła swój kombinezon Tyveka i zbadała miejsce zbrodni: mieszkanie, korytarz i alejkę (tam znalazła najdziwniejszy ślad, jaki zdarzyło jej się dotychczas spotkać; czarnego elektrycznego kota - zabawkę). Na końcu zajęła się najgorszą częścią swej pracy: ciałem ofiary. Wreszcie skończyła. Sellitto zatrzymał ją, gdy szła do samochodu. - Poczekaj chwilę - powiedział, odwieszając telefon. Najwyraźniej właśnie skończył jakąś rozmowę.

Sądząc z jego miny, nie była to rozmowa przyjemna. - Mam spotkanie z kapitanem i szefem departamentu w sprawie naszego Maga. Chciałem cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Dodają nam kogoś do zespołu. Podjedź po niego, dobrze?

Jasne. Ale dlaczego mamy powiększać drużynę?

Ponieważ mamy dwa trupy w cztery godziny i żadnego pie przonego podejrzanego - warknął Sellitto. - A to oznacza, że szar że nie są szczęśliwe. Oto pierwsza lekcja sierżanta, wbij ją sobie do głowy: kiedy szarże nie są szczęśliwe, ty nie jesteś szczęśliwa.

Most Westchnień.

Tak nazywano piesze przejście, łączące sądy kryminalne z Centralnym Aresztem Miejskim, znajdującym się przy Centre Street w śródmieściu Manhattanu.

Most Westchnień... szli nim wielcy mafiosi, wynajmujący morderców i mający na sumieniu setki zabójstw, choć sami nigdy nikogo nie skrzywdzili. Szli nim przerażeni młodzi chłopcy, których jedyną winą było przywalenie kijem bejsbolowym dupkom, którzy krzywdzili ich siostry czy kuzynki. Szli nim roztrzęsieni narkomani, mordujący turystów dla czterdziestu dwóch dolców, bo, człowieku, potrzebowałem cracku, potrzebowałem hery, nie rozumiesz, człowieku, naprawdę potrzebowałem...

106

po tym samym moście szła teraz Amelia Sachs. Jej celem był areszt, który nieformalnie nadal nazywano Grobowcami; odziedziczył on tę nazwę po starym więzieniu miejskim, które znajdowało się kiedyś po drugiej stronie ulicy. Tu, wysoko nad najwyższym centrum miejskiej władzy podała nazwisko, oddała w depozyt glocka (swą nieoficjalną broń, sprężynowiec przezornie zostawiła w samochodzie) i weszła do zabezpieczonej poczekalni.

Hałaśliwe drzwi elektryczne zamknęły się za nią z trzaskiem.

Kilka minut później z sąsiedniego pokoju przesłuchań wyszedł mężczyzna, na którego czekała. Dobiegał czterdziestki, był szczupły i wysportowany, o lekko przerzedzonych kasztanowatych włosach. Miał szczerą twarz, do której doskonale pasował beztroski uśmiezek. Ubrany był w niebieską koszulę, dzinsy i czarną sportową kurtkę.

- Cześć, Amelio - przywitał się. - Więc to ty zawieziesz mnie do Lincolna?

- Cześć, Roi.

Detektyw Roland Bell rozpiął kurtkę. Dostrzegła jego służbowy pas. On także, zgodnie z zasadami, zdeponował broń, ale przy pasie miał dwie puste kabury. Pamiętała, że kiedy pracowali wspólnie, często wymieniali się opowieściami o „wbijaniu gwoździ” (tak na południu określano strzelanie). Dla niego było to hobby, dla niej sport wyczynowy.

Dołączyli do nich dwaj mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą znajdowali się w sali przesłuchań. Pierwszy z nich ubrany był w garnitur. Znała tego detektywa, Luisa Martinez, cichego, spokojnego człowieka o bardzo uważnym spojrzeniu. Drugi miał na sobie typowy strój sobotni: luźne spodnie khaki, czarną koszulkę Izod i spłowiałą wiatrówkę.

Przedstawiono go Amelii jako Char-lesa Grady'ego, ale oczywiście znała go, choć tylko z widzenia. Ten zastępca prokuratora generalnego był sławą w nowojorskim środowisku prawniczym. Szczupły, w średnim wieku, z dyplomem Harvardu, pozostał w biurze prokuratora na długo po tym, gdy jego rówieśnicy umknęli na lepsze pastwiska. „Pitbull” i

„twardziel” były standardowymi określeniami, którymi opisywała go prasa. Cieszył się względami Rudolpha Giulianiego, a jednak -w odróżnieniu od byłego burmistrza - nie miał

ambicji politycznych. Wystarczało mu, że jako zastępca prokuratora może poświęcić się swej największej pasji, którą sam określał jako „pakowanie za kratki złych facetów”.

I był w tym dobry. Cholernie dobry. Jego procent wygranych spraw należał do najlepszych w

historii miasta.

Bell był na miejscu ze względu na bieżącą sprawę Grady'ego. Stan wystąpił przeciw czterdziestopięcioletniemu agentowi ubezpieczeniowemu, mieszkającemu w małym miasteczku na północ od Nowego Jorku. Andrew Constable mniej znany był z wypisywania polis właścicielom domów, a bardziej z tego, że dowodził lokalną grupą fanatyków, nazywających się Zgromadzeniem Patriotów. Oskarżano go o spiskowanie w celu popełnienia morderstwa oraz przestępstwa wynikające z uprzedzeń rasowych, a jego sprawę przesunięto tu z powodu wniosku o zmianę miejsca rozprawy.

W miarę jak zbliżała się jej data, Grady zaczął odbierać pogroźki. Grożono mu nawet śmiercią. Kilka dni temu zadzwoniono do niego z biura Freda Dellraya, agenta FBI, który często współpracował z Rhyme'em i Sellittem. Gdzie teraz podziewał się Dell-ray, nie wiedział nikt, dostał jakąś tajną, antyterrorystyczną misję, ale jego przyjaciele dowiedzieli się, że przygotowany jest zamach na życie Grady'ego. W nocy z czwartku na piątek lub w piątek rano włamano się do jego biura. W tym momencie zapadła decyzja o wciągnięciu w sprawę Rolanda Bella.

Bell był cichym, spokojny mężczyzną pochodzącym z Karoliny Północnej. Oficjalnie współpracował z Łonem Sellitto w sprawach zabójstw i innych poważnych przestępstw. Ale...

dowodził także nieoficjalną grupą nowojorskich detektywów znaną jako SWAT. Nie miała on jednak nic wspólnego z oddziałem, o którym wiedzą wszyscy oglądający telewizję; w tym wypadku skrót oznaczał po prostu Saving the Witness Ass Team\*. Bell mówił sam o sobie:

„Mam swego rodzaju talent do trzymania przy życiu ludzi, których inni ludzie chcą widzieć martwych”. Oznaczało to pracę na dwa etaty: oprócz normalnych spraw, którymi zajmował się z Sellittem, Bell zajmował się także szczegółami ochrony tych, którzy jej potrzebowali.

Lecz teraz, gdy Grady otrzymał ochronę, a śródmiejskie szarże -nieszczęśliwe śródmiejskie szarże - zdecydowały, że grupę zajmującą się Magiem należy wzmocnić przyzwoitym napastnikiem, logicznym posunięciem było wyznaczenie do tej roli właśnie Bella. - A więc tak wygląda Andrew Constable - powiedział z namysłem Grady, zwracając się do Bella i ruchem głowy wskazując

Dosłownie: Grupa Ratująca Świadkom Tyłki.

108

brudne okienko do pokoju przesłuchań. Sachs podeszła do szyby, zajrzała do środka i zobaczyła chudego, bardzo dystygowanego dżentelmena w pomarańczowym kombinezonie, siedzącego przy stole z opuszczoną głową i kiwającego nią od czasu do czasu. \_

Spodziewałeś się kogoś takiego? - pytał dalej Grady.

-

Raczej nie - odparł Bell ze swym charakterystycznym, połu dniowym akcentem. - Myślałem, że będzie bardziej prowincjonalny, chłopski, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A ten gość ma doskonale maniery. Muszę ci szczerze powiedzieć, Charles, że nie sprawia wrażenia winnego.

- Pewnie,

że nie. - Grady skrzywił się. - Ciężko będzie uży

skąć skazanie. - Roześmiał się, lecz bez wesołości. - Ale za to mi przecież płacą te wielkie pieniądze.

Grady zarabiał mniej niż młody prawnik na stażu w firmie na Wall Street.

- Są jakieś nowe informacje w sprawie włamania do twojego biura? - spytał Bell. - Masz może wstępny raport z oględzin miejsca zbrodni? Chciałbym go przejrzeć.



- Będzie gotowy lada chwila. Dopilnuję, żeby ci go przysłało.

Wynikło jeszcze coś i muszę się tym zająć. Ale zostawiam me dziewczęta i chłopców z tobą i twoją rodziną. Nie martw się.

Wystarczy, że zadzwonisz.

Dziękuję, detektywie - powiedział Grady i dodał: - Córka kazała cię pozdrowić. Dobrze by było, żeby spotkała się z twoimi chłopcami. A my chętnie poznalibyśmy twoją przyjaciółkę. Przy pomnij mi, gdzie mieszka.

Lucy? W Karolinie Północnej.

I też pracuje w policji, nie myślę się?

- Tak.

Pełni obowiązki szefa w metropolii Tanner's Corner.

Luis zauważył, że Grady robi krok w kierunku drzwi i natychmiast znalazł się przy jego boku.

- Zaczekaj

sekundkę, bardzo cię proszę, Charles. - Wyszedł

z zabezpieczonego terenu, odebrał broń od strażnika zajmujące go się depozytami, dokładnie przyjrzał się korytarzowi i przejrzał ściem.

W tej chwili Amelia usłyszała dobiegający z za jej pleców cichy głos.

- Proszę pani...

Była w tym głosie szczególna intonacja, wykształcona przez Pokolenia wykorzystywania niewolniczej pracy i służby publicznej. Obróciła się i zobaczyła Andrew Constable'a, stojącego obok

wielkiego strażnika. Constable był wysokim mężczyzną, trzymającym się bardzo prosto. Miał szpakowate, gęste, wijące się włosy. Obok niego stał także jego niski, krępy prawnik.

Czy należy pani do zespołu opiekującego się panem Gradym?

Andrew - ostrzegł go prawnik.

Więzień skinął głową. Przyglądał się Amelii, ironicznie unosząc brew.

To nie moja sprawa - odparła lekceważąco Sachs.

Doprawdy? Pragnę powiedzieć pani to, co powiedziałem de tektywowi Bellowi. Mówię szczerze: nic nie wiedziałem o groź

bach pod adresem pana Grady'ego. - Popatrzył na Bella, który obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem. Pozujący na prowincjusza gliniarz lubił czasami sprawiać wrażenie twardziela, a czasami faceta pełnego rezerwy, ale nigdy w konfrontacji z podejrzanym. Zimne spojrzenie powinno wystarczyć, jak teraz.

Musicie wykonywać swoją pracę, doskonale to rozumiem.

Proszę jednak, by uwierzyła pani, że za nic nie skrzywdziłbym pana Grady'ego. Jednym z fundamentów, na których opiera się nasz kraj, jest gra fair. - Zaśmiał się. - Przeciwników pobiję w sądzie. Bez wątplenia dzięki obecnemu tu mojemu błyskotliwemu przyjacielowi. - Gestem głowy wskazał prawnika i od razu spoj rzał na Bella. - Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy, de tektywie. Zastanawiałem się... czy ciekawi pana, co moi patrioci robili w Canton Falls?

Mnie?

Och, nie chodzi mi przecież o wszystkie te bzdury z domnie maną konspiracją. Chcę pana zainteresować naszą prawdziwą działalnością.

Daj spokój, Andrew - zaniepokoił się prawnik. - Zawsze le piej trzymać język za zębami.

Przecież tak sobie po prostu rozmawiamy, Joe. No to jak, detektywie?

O co panu właściwie chodzi, proszę pana? - spytał sztywno Bell.

Jeśli spodziewał się aluzji do swego południowego akcentu i jakichś rasistowskich sugestii, natychmiast się rozczarował. W odpowiedzi usłyszał:

-

O prawa stanów, prawa pracownicze, uprawnienia rządów stanowych przeciw uprawnieniom rządu federalnego. Powinien pan obejrzeć sobie naszą stronę w Internecie, detektywie. -

110

Znów zabrzmiał ten irytujący śmiech. - Ludzie spodziewają się swastyk, dostają Thomasa Jeffersona i George'a Masona.

Bell nie odpowiedział. Zapadła cisza, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej krępująca. Nagle Constable potrząsnął głową i uśmiechnął się z zażenowaniem.

Wybacz mi, Panie... czasami nie potrafię się powstrzymać.

Idiotyczne kazanie. Wystarczy parę osób i zobaczcie, co się dzieje. Gadam dłużej, niż ludzie mogą znieść.

Idziemy - powiedział strażnik.

Skoro trzeba - odparł więzień. Skinieniem pożegnał się z Amelią i Bellem. Odszedł korytarzem, pogrążony kajdanami, które założono mu na nogi. Adwokat pożegnał się z prokuratorem

- dwaj przeciwnicy, którzy mogą się jednak szanować - i opuścił

zabezpieczone pomieszczenie. Po chwili w jego ślady poszli Amelia Sachs, Bell i Grady.

Nie sprawił na mnie wrażenia potwora - powiedziała Amelia. - O co go właściwie oskarżono?

Tajni agenci jednostki antyterrorystycznej, rozpracowujący handel bronią na północy stanu, trafili na coś, za czym, przynajmniej ich zdaniem, stoi Constable. Jego ludzie zamierzali podob

no ściągać policję stanową w odległe zakątki okręgu fałszywymi telefonami pod dziewięćset jedenaście. Jeśli trafiliby na czarne go, mieli go porwać, rozebrać do naga i zlinczować. Mówiło się też coś o kastracji.

Amelia, która w trakcie swej długiej i trudnej kariery w siłach prawa i porządku spotkała się z wieloma przestępstwami sprawiającymi wrażenie groteskowych, spojrzała na niego, zdumiona tą wstrząsającą informacją.

- Mówisz

poważnie?

Grady skinął głową.

A to tylko tak na dobry początek. Lincze były, zdaje się, częścią ich wielkiego planu. Mieli nadzieję, że jeśli zamordują w ten sposób wystarczająco wielu gliniarzy i ściągną na siebie uwagę mediów, Murzyni wzniedną coś w rodzaju buntu. Co skłoni białych do zemsty i wymazania czarnych z powierzchni ziemi. Mieli na dzieję, że Latynosi i Azjaci dołączą do czarnych i oni również zostaną zmieceni przez białą rewolucję.

Teraz? W naszych czasach?

A tak. Nieźle, co?

Bell skinął głową Luisowi.

-

Jest teraz pod twoją opieką. Uważaj.

111

- Możesz spać spokojnie - powiedział detektyw.

Grady i jego potężny ochroniarz opuścili strzeżony korytarz. Sachs i Bell odebrali broń z depozytu. Kiedy szli mostem Westchnień w stronę gmachu sądów karnych, Amelia w skrócie opowiedziała Bellowi o Magu i jego ofiarach.

Bell skrzywił się na wzmiankę o potwornych szczegółach śmierci Anthony'ego CaWerta.

Motyw? - spytał.

Nieznany.

Wzór?

Jak wyżej.

Jak wygląda sprawca? - spytał Bell.

To raczej delikatna sprawa.

Naprawdę nic nie wiecie?

-

Naszym zdaniem to mężczyzna, biały, średniego wzrostu i średniej budowy ciała.

Nikt mu się bliżej nie przyjrzał, co?

Wręcz przeciwnie. Całkiem sporo ludzi widziało go z bliska.

Tylko... za pierwszym razem był ciemnowłosym brodatym facetem około pięćdziesiątki, potem łysym woźnym pod sześćdziesiątkę, a potem starszą panią po siedemdziesiątce.

Bell czekał, aż Amelia się roześmieje, pewien, że to po prostu żart. Ale nie usłyszał śmiechu.

Nie bujasz? - upewnił się.

Obawiam się, że nie, Rolandzie.

Jestem dobry - powiedział Bell, potrząsając głową i postu kując w pistolet, wiszący w kaburze na prawym biodrze. - Ale po trzebieję celu.

To się o niego pomódl, pomyślała Amelia.

Ślady z miejsca drugiej zbrodni dotarły wreszcie na miejsce.

Mel Cooper rozkładał torebki i próbówki na stołach laboratorium w domu Rhyme'a.

Sellitto powrócił właśnie z burzliwego spotkania w sprawie Maga. Zastępca komisarza i burmistrz domagali się od niego szczegółowych informacji o postępach w sprawie, ale postępów żadnych nie było.

Cirque Fantastique przekazał informacje o ukraińskich iluzjonistach, tyle że nic z nich nie wynikało. Dwaj przydzieleni do cyrku policjanci węszyli tu i tam, ale nie dostrzegli niczego podejrzanego.

Sachs wkroczyła do pokoju w towarzystwie jak zwykle zrównoważonego i spokojnego Rolanda Bella. Kiedy Łonowi Sellitcie nakazano dołączenie do zespołu jeszcze jednego detektywa, Lincoln Rhyme natychmiast zaproponował właśnie Bella. Podobał mu się pomysł

współpracy z dobrym gliniarzem znającym ulice i doskonale strzelającym. Ron świetnie potrafił wesprzeć Amelię

w polu.

Wszyscy się przywitali, tych, którzy się nie znali, przedstawiono sobie. Bellowi nie wspomniano o Karze, która widząc jego pytające spojrzenie, powiedziała:

-

Jestem jak on. - Wskazała głową Rhyme'a. - Kimś w rodzaju konsultanta. Konsultantki.

- Miło panią poznać - odparł uprzejmie Bell i zrobił wielkie Oczy, widząc, jak dziewczyna

przesuwa między palcami trzy mo tety jednocześnie.

Sachs i Mel Cooper natychmiast zabrali się do pracy nad dowodami, a Rhyme spytał: 113  
Kim był ten facet? No, ofiara.

Anthony Calvert. Trzydzieści dwa lata. Nieżonaty... a raczej bez stałego partnera.

Jakieś związki z dziewczyną ze szkoły muzycznej?

Nic na to nie wskazuje - odparł Sellitto. - W każdym razie Bedding i Saul nic nie znaleźli.

Czym się zajmował? - spytał Cooper.

- Był charakterizatorem na Broadwayu.

A pierwszą ofiarą była studentka szkoły muzycznej, pomyślał Rhyme. Dziewczyna i mężczyzna o orientacji homoseksualnej. Mieszkali gdzie indziej, obracali się w zupełnie innych środowiskach. Co może wiązać te morderstwa?

- Jakieś podteksty seksualne? - spytał.

Ponieważ w pierwszym morderstwie niczego takiego nie znaleziono, odpowiedź go nie zdziwiła.

-

Nie - odparła stanowczo Sachs. - Chyba że sprawca zabiera ze sobą do łóżka wspomnienia. I podnieca go coś takiego. - Pode szła do tablicy i przykleiła na niej cyfrowe zdjęcia zwłok.

Rhyme podjechał bliżej. Bez emocji przyglądał się temu straszemu obrazowi.

Chory popapraniec. - Głos Sellitta również nie zdradzał żad nych uczuć.

A broń? - spytał Bell.

Wygląda na piłę - odparł Cooper, który od jakiegoś czasu studiował zbliżenia ran.

Bell, który i w Karolinie, i w Nowym Jorku widział niejedno, potrząsnął głową.

- Twardy facet - powiedział tylko.

Rhyme, który ciągle przyglądał się zdjęciom, uświadomił sobie nagle, że słyszy dobiegający z tyłu dziwny dźwięk, coś jakby przerywany świst. Odwrócił głowę. Za nim stała Kara, oddychając ciężko. Ona też przyglądała się zdjęciom zwłok Calverta. Stała nieruchomo, raz po raz nerwowo przeczesywała dłonią krótko przycięte włosy, przerażonego wzroku nie mogła oderwać od okropnych zdjęć. W oczach miała łzy. Wargi jej drżały. Nagle odwróciła się od tablicy.

- Czy...? - spytała Amelia, ale dziewczyna tylko podniosła rękę, uciszając ją tym gestem.

Oddychała głęboko.

Widząc malujący się na jej twarzy ból, Rhyme był pewien, że sięgnęła kresu, nie wytrzyma, że to już koniec. Jego życiu i pracy przy badaniu miejsca zbrodni nieodłącznie towarzyszyły tego rodzaju przerażające widoki, jej nie. Ryzyko i niebezpieczeństwa zawodu iluzjonisty były czysto iluzoryczne. Od cywilów nie moż-na wymagać, by dobrowolnie narażali się na coś tak potwornego. Szkoda, wielka szkoda. Rozpaczliwie potrzebowali pomocy tej dziewczyny. Ale ten wyraz panicznego strachu na jej twarzy; nie, nie wolno narażać jej na kolejne próby. Przez głowę przeleciała mu nawet myśl, że Kara może zwymiotować.

Amelia zrobiła krok w jej stronę, ale Lincoln Rhyme potrząsnął głową. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że tracą ją... i że muszą pozwolić jej odejść.

Nie wiedział nawet, jak bardzo się myli.

Kara odetchnęła po raz ostatni, niczym nurek tuż przed wskoczeniem do wody... i spojrzała na tablicę, gotowa stawić czoło strachowi. Nie, nie traciła panowania nad sobą, po prostu dostosowywała się do nowej rzeczywistości.

Tym razem obejrzała zdjęcia bardzo dokładnie.

P.T. Selbit - powiedziała, ocierając oczy.

To nazwisko? - upewniła się Amelia.

Dziewczyna skinęła głową.

-

Pan Balzac wykonywał niektóre z jego numerów. Był to ilu zjonista z początku dwudziestego wieku. Pokazywał właśnie to, co widać na zdjęciach. „Przepiłowanie dziewczyny”. Kładł asy stentkę na wznak, krępował rozłożone ręce i nogi. I piłował. Jedy na różnica polega na tym, że w tym wypadku asystentem był

mężczyzna. - Zawahała się i poprawiła, zmieszana. - To znaczy, za miast dziewczyny wziął mężczyznę i zamordował - poprawiła się niezręcznie.

Czy to jest sztuczka dla wtajemniczonych? - spytał Rhyme.

Nie. Wręcz przeciwnie. Jest nawet bardziej znana niż „Zni kający człowiek”. Zna ją każdy, kto ma jakieś pojęcie o historii magii.

Spodziewał się tak rozczarowującej odpowiedzi, mimo to polecił: „Thom, umieść to w profilu sprawcy”, po czym zwrócił się do

Amelii Sachs:

-

A teraz powiedz nam, co właściwie przydarzyło się temu Calvertowi.

- Wygląda na to, że opuścił budynek tylnymi drzwiami. Zda niem sąsiadów zawsze tamtędy wychodził do pracy. Mijał ślepa alejkę, kiedy zobaczył to. - Wskazała czarnego kota w plastiko wej torebce. - Zabawkę.

Kara obejrzała go sobie dokładnie.

- Automat - orzekła. - Robot. Coś takiego nazywamy „udawanym”.

-Jak?

- Udawanym. To rekwizyt, ale widzowie mają myśleć, że jest prawdziwy. Jak nóż z chowanym ostrzem albo kubek z podwójnym dnem.

Przycisnęła guzik i kot nagle się poruszył, a potem bardzo przekonująco zamiauczał. Głos znów zabrała Amelia.

Ofiara musiała zobaczyć w alejce kota. Podeszła do niego, sądząc zapewne, że jest ranny. Mag miał ją teraz w ślepym za ułku.

Skąd pochodzi ten kot? - spytał Rhyme.

-

Sing-Lu Manufacturing w Hongkongu. Sprawdziłem ich stronę. Można kupić go w setkach sklepów w kraju.

Lincoln Rhyme westchnął. Sformułowanie „zbyt popularny, by wysledzić źródło” wydały mu się nagle tematem przewodnim tej sprawy.

Calvert podszedł do kota i przykucnął, by sprawdzić, co mu się stało - kontynuowała Amelia. - Sprawca ukrywał się gdzieś i...

Lustro - przerwał jej Rhyme, patrząc na Karę, która ener gicznie skinęła głową. - Wystarczy dobrze ustawić lustro i ktoś, kto jest za nim, może całkowicie zniknąć.

Oczywiście. Sklep, w którym pracowała Kara, nazywał się przecież „Dym i Lustra”.

- Coś jednak poszło nie tak - głos zabrał Lon Sellitto. - Ofierze udało się uciec. I tu dochodzimy

do czegoś niesamowitego. Mam nagranie z taśmy telefonu 911. Calvert dostał się nie tylko do domu, ale nawet do swojego mieszkania i zadzwonił pod numer alarmowy. Powiedział, że zgubił napastnika przed domem i że drzwi są zamknięte. W tym momencie rozmowa została przerwana. Mag jakimś cudem zdołał dostać się do środka. Może okno? Sachs, sprawdźcie wyjście przeciwpożarowe? Sprawdziłam. Okno było zamknięte od środka. Ale i tak powinnaś je przebadać. "- Nie dostał się do środka w ten sposób. Nie miał czasu. Czyli musiał dysponować kluczami ofiary - podsumował au torytatywnie kryminalistyk. Nie było na nich żadnych śladów, choćby ukrytych - odparła Amelia. - Znalazłam tylko te, które zostawiła ofiara. •

- Musiał - powtórzył z uporem Rhyme

\_ Wcale nie musiał - wtrąciła nieoczekiwanie Kara. - Użył wytrychów.

\_ Niemożliwe! - zaprotestował Rhyme. - Może był tam wcześniej, zrobił odcisk zamka...

Sachs, powinnaś wrócić, sprawdzić,

czy-

- Użył wytrychów - powtórzyła dziewczyna. Jej głos brzmiał

bardzo pewnie. - Gwarantuję.

Rhyme potrząsnął głową.

- Przeszedł przez dwoje drzwi w sześćdziesiąt sekund? Nie ma mowy.

Kara westchnęła ciężko.

Bardzo przepraszam, ale tak, przeszedł przez dwoje drzwi w sześćdziesiąt sekund. A może zabrało mu to mniej niż minutę?

Załóżmy, że nie. - Gdyby mógł, Rhyme machnąłby ręką. -

A teraz...

- A

może założymy, że mógł?! - Dziewczyna najwyraźniej straciła cierpliwość. - Słuchajcie, nie możemy tak po prostu przejść nad tym do porządku dziennego. To bardzo ważna sprawa. Coś nam o nim mówi. Zamknięte drzwi nie są dla niego żadną przeszkodą.

Rhyme spojrzał na Lona Sellitto.

- Pracowałem w wydziale do spraw kradzieży i w swojej karierze złapałem paru włamywaczy.

Żaden z nich nie przeszedłby przez te zamki tak szybko.

- Pan Balzac kazał mi pracować nad włamaniami dziesięć godzin w tygodniu - zaprotestowała Kara. - Nie mam ze sobą narzędzi, ale gdybym je miała, weszłabym tu z ulicy w trzydzieści sekund, a jeśli mają blokadę, to w sześćdziesiąt. A nie umiem przecież skrobać zamka.

Gdybym umiała, ten czas można by skrócić o połowę. Dobra, rozumiem, kochacie te swoje wykresy i dowody, ale szkoda czasu Amelii. Po co ma szukać czegoś, czego nie ma? Wm Jesteś pewna? - spytał Sellitto.

-

Na sto procent.

Amelia Sachs spojrzała na Rhyme'a, Zgodził się z opinią dziewczyny niechętnie, choć prywatnie sprawiło mu wielką przyjemność, że okazała ducha walki, zadośćuczyniło to zarówno Spojrzeniu, jak i Uśmiechowi. Skinął głową i polecił Thomowi:

-  
Wpisz na tablicy, że nasz sprawca jest mistrzem włamywaczy.

-  
Nie sposób powiedzieć, czym sprawca uderzył ofiarę. Ślad Wskazuje na tępe narzędzie. Może kawałek rury? W każdym razie Narzędzie zabrał ze sobą.

Przyszedł raport z daktyloskopii. Z miejsc, których Mag mógł dotknąć, i z bezpośredniego otoczenia ciała zdjęto osiemdziesiąt dziewięć oddzielnych śladów. Rhyme natychmiast dostrzegł, że niektóre z nich wyglądają dziwnie. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że pochodzą z nakładek na palce. Innych już nie oglądał.

W substancjach, które Sachs znalazła na miejscu zbrodni, odkryto mikroślady tego samego oleju mineralnego, który pojawił się w szkole muzycznej, oraz lateksu, makijażu i algininu.

Detektyw Kaun z posterunku piątego zatelefonował z informacją, że poszukiwania stroju, w którym sprawca zbiegł z miejsca zbrodni, nie przyniosły żadnych rezultatów. Rhyme podziękował mu i poprosił o kontynuowanie poszukiwań. Policjant obiecał, że ich nie przerwą, ale powiedział to z tak fałszywym entuzjazmem, że nie było żadnych wątpliwości: już je przerwano.

Powiedziałaś, że zmiażdżył zegarek ofiary? - spytał Amelię Rhyme'a.

Aha. Dokładnie w południe, parę sekund po.

A pierwszą ofiarę zabił o ósmej. Wygląda na to, że pracuje na czas. Pewnie wybrał już kolejną ofiarę, która ma zginąć o szes następną.

Zostały niespełna trzy godziny.

Z lustrem też nie mieliśmy szczęścia - oznajmił Cooper. -

Nie znamy producenta. Nazwa była zapewne na ramie i została zatarta. Jest kilka odcisków, ale przykrytych śladami tych nakładek, więc należą pewnie do sprzedawcy albo nawet wytwórcy.

Ale i tak przepuszczę je przez AFIS.

Mam buty - oznajmiła Sachs, wyjmując torbę z kartonowe pudełka.

Sprawcy?

Prawdopodobnie tak. Ecco, jak w szkole. I rozmiar się zgadza. Dziesiątka.

- Zostawił je. Dlaczego? - zdziwił się Sellitto.

Rhyme pokręcił głową.

Prawdopodobnie domyśla się, że wiemy, jakie buty nosi, i boi się, że policjanci zauważą je u staruszki.

Mamy kilka dobrych śladów we wgłębieniu na czubkach i pomiędzy podeszwą i butem - oznajmił Mel Cooper. Wyskrobał ziemię, burknął „mnóstwo tego” i pochylił się z uwagą.

Nie był to bynajmniej róg obfitości, ale na potrzeby badań kryminalistycznych materiału rzeczywiście nie brakowało. I mógł im dostarczyć nieocenionych informacji.

118

\_ Pod mikroskop, Mel - pośpieszył technika Rhyme. -Sprawdźmy, co tu właściwie mamy.

Głównym instrumentem laboratorium kryminalistycznego jest właśnie mikroskop.

Udoskonalano go wielokrotnie, ale w zasadzie nie różni się niczym od małego, mosiężnego urządzenia wynalezione przez Holendra, Antoniego van Leeuwenhoek, w XVI wieku.

Oprócz starego skaningowego mikroskopu elektronowego Rhyme miał jeszcze dwa.

Pierwszym z nich był Leitz Orthoplan, starszy model, ale ulubiony Rhyme'a, wyposażony w

potrójny okular; przez dwa obserwator oglądał próbkę, w trzecim znajdowała się kamera.

Z kolei drugi właśnie przygotowywał Cooper, był to mikroskop stereoskopowy, którego używał do badania włókien z miejsca popełnienia pierwszego morderstwa. Tego rodzaju mikroskopy dają niewielkie powiększenie, można ich jednak z powodzeniem używać do badania przedmiotów trójwymiarowych, na przykład owadów czy materiału roślinnego.

Obraz spod mikroskopu pojawił się na ekranie komputera.

Badający dowody studenci pierwszego roku kryminalistyki zazwyczaj natychmiast włączają największe powiększenie. W rzeczywistości nie jest to wcale konieczne; w tej dziedzinie najlepsze rezultaty uzyskuje się przy powiększeniach niewielkich. Mel Cooper zaczął od czterokrotnego, poprzestał na trzy-dziesiętkrotnym.

-

Wyostrz, wyostrz - ponaglił go Rhyme.

Technik obrócił delikatnie pokrętko powiększenia. Obraz rozmył się na chwilę, a potem pojawił, ostry i czysty.

-

No dobra, obejrzyjmy to - powiedział Rhyme.

Cooper minimalnie przesunął stolik przedmiotowy za pomocą pokręteł regulacyjnych. Przez ekran przesunęły się setki przeróżnych kształtów, niektóre ciemne, inne czerwone lub zielone, jeszcze inne przezroczyste. Jak zawsze, gdy oglądał obraz spod mikroskopu, Rhyme czuł się jak podglądacz. Obserwował przecież świat, który nie miał pojęcia, że może być obserwowany.

Świat bardzo, ale to bardzo ciekawy.

Włosy - powiedział. - Zwierzęce. - Odróżniał je od ludzkich Po liczbie łusek.

Jakie to zwierzę? - spytała Sachs.

Powiedziałbym, że pies - odparł Mel. Lincoln Rhyme skinął

głową. Technik połączył się telefonicznie z policyjną bazą zwierzęcych włosów i już po chwili miał przed sobą rezultaty badań. - Mam dwie rasy. Nie, trzy. Owczarek niemiecki albo coś takiego. I dwie długowłose: seter angielski i briard.

Cooper zatrzymał obraz, przedstawiający brązową masę ziaren, patyczków, rurek.

To dłuższe to co? - spytał Sellitto.

Włókna? - wysunęła przypuszczenie Sachs.

Rhyme zerknął na monitor.

- Powiedziałbym, że wyschnięta trawa. W każdym razie jakieś rośliny. Sprawdź to, Mel.

Nie musieli czekać długo na wyniki badań chromatograficzno--spektrometrycznych. Na monitorze pojawił się wykres z rezultatem analizy: barwniki żółci, stercobilina, urobilina, indolina, azotany, skatol, merkaptany, siarkowodór.

-Ach!

Co „ach!”? Co to znaczy? - dopytywał się Sellitto.

Polecenie, mikroskop jeden.

Na komputerowym monitorze znów rozbłysnął poprzedni obraz.

- Przecież to oczywiste. Martwa materia bakteryjna, częściowo przetrawione włókna i trawy. Gówno. Och, przepraszam za brzydkie słowo. - Rhyme uśmiechnął się sarkastycznie. - Psia kupka. Nasz Mag wdepnął w coś, w co nie powinien był wdepnąć.

Była to dobra nowina. Włosy i fekalia stanowiły niezłe dowody i jeśli znajdą ślady podobnej



substancji na podejrzanym, w jakimś określonym miejscu lub w samochodzie, będzie można wnioskować, że istnieje związek między nimi a Magiem.

Z systemu AFIS nadzorowanego przez FBI przyszła informacja o znalezionych na lustrze odciskach palców. „Brak pozytywnej identyfikacji”. Nikogo to nie zdziwiło.

- Mamy

coś jeszcze? - spytał Rhyme.

-  
Nie - odparła natychmiast Amelia. -To wszystko.

Kryminalistyk przyglądał się kartom dowodów, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Thom otworzył i po chwili wrócił w towarzystwie funkcjonariusza w mundurze. Chłopak zatrzymał się w progu, onieśmielony, jak wielu podobnych do niego młodych ludzi wkraczających w królestwo słynnego Lincolna Rhyme'a.

Szukam detektywa Bella - powiedział cicho. - Podobno tu go znajde.

To ja.

Mam raport z miejsca przestępstwa. Z włamania do biura pana Charlesa Grady.

120

- Dziękuję, synu. - Bell odebrał kopertę z rąk posłańca. Dzieciak zerknął z zachwytem na Rhyme'a i wyszedł, pożegnany przy-Kaznym skinieniem głowy.

Detektyw przejrzał zawartość koperty. Wzruszył ramionami. \_ To nie moja działka. Hej, Lincoln, a może ty mógłbyś na to ierknąć?

-

Jasne. Wyjmij zszywki i połóż to na czytniku. Thom ci pomoże. A o co chodzi? Czy dotyczy to jakoś sprawy Constable'a?

Roland Bell przedstawił krótko problem z włamaniem do biu-Grady'ego. Tymczasem Thom skończył rozkładać kartki na ządzeniu do czytania. Lincoln Rhyme pogрузyl się w lekturze. -

Polecenie, przewróć stronę - powiedział w pewnym momencie i czytał dalej.

Włamania dokonano w najprostszy możliwy sposób: stłuczono szybkę w drzwiach między korytarzem a sekretariatem, po czym otwarto drzwi od środka. Drzwi między sekretariatem a gabinetem prokuratora były masywne, drewniane, zaopatrzone w dwa zamki; włamywacz sobie z nimi nie poradził.

Badający miejsce przestępstwa znaleźli coś interesującego: włókna na biurku i wokół niego.

Raport wymieniał tylko ich kolory: większość białych, kilka czarnych, zaledwie jedno czerwone... i nic więcej. Były także dwa kawałki złotej folii. Stwierdzono też, że do włamania doszło po zakończeniu pracy przez sprzątaczkę, tak więc prawdopodobieństwo, że zebrane materiały pochodziły od sekretarki lub kogoś, kto miał prawo odwiedzać biuro prokuratora, było minimalne. Najwyraźniej pozostawił je włamywacz. Kryminalistyk doczytał raport do końca. • To wszystko? - spytał zdziwiony. Na to wygląda - odparł Bell. Rhyme chrząknął

znaczaco. Polecenie, telefon. Peretti, przecinek, Vincent. To Lincoln Rhyme zatrudnił go przed laty jako specjalistę do badania miejsca przestępstwa. Peretti bez wątpienia miał talent, ale prawdziwym geniuszem błysnął na zupełnie innym polu: w trudniejszej i znacznie bardziej ezoterycznej sztuce departa-nientalnej polityki, którą, w odróżnieniu od Rhyme'a, uprawiał 2 ogromnym zapalem, z jakim nigdy nie podchodził do badań. %ł teraz szefem zespołu do badania miejsc przestępstw.

Po pokonaniu biurokratycznych przeszkód kryminalistykowi udało się wreszcie porozmawiać z nim osobiście.

121

Jak się masz, Lincoln.

Nieźle. Vince, słuchaj...

Badasz sprawę tego Maga, prawda? I co tam?

Niewiele. Vince, słuchaj, dzwonię do ciebie w zupełnie innej sprawie. Jest tu u mnie Roland Bell. Pokazał mi raport z włama nia do biura Grady'ego...

Aha, sprawa Constable'a. Pogrożki wobec Grady'ego. Pamię tam. Co mogę dla ciebie zrobić?

Przejrzałem ten raport. Można go uznać co najwyżej za wstępny. Potrzebuję trochę więcej informacji. Na miejscu znale ziono jakieś włókna. Chcę znać skład każdego z nich, długość, przekrój, temperaturę barwową, używane pigmenty, stopień zu życia...

Poczekaj chwilę, wezmę pióro. - Chwila milczenia. - No, mów.

Potrzebuję także elektrostatyki wszystkich odcisków stóp i fotografii wzorów na podłodze. Chcę też wiedzieć, co było na biurku sekretarki, na szafce i na regałach. Co było na każdej po wierzchni, każdej półce i każdej ścianie. Wraz z dokładnym umiejscowieniem.

Czyli wszystko, czego dotykał sprawca? W porządku. Zaraz...

Nie, Vince. Chodzi o wszystko, co możecie znaleźć w sekreta riacie. Wszystko. Zbadajcie spinacze. Zbadajcie pajęczyny na górnej szufladzie biurka. Zdjęcia dzieci sekretarki. Nie obchodzi mnie, czy on tego dotykał, czy nie!

Dopilnuję, żeby ktoś się tym zajął. - Peretti nagle nabrał re zerwy.

Rhyme nie widział powodu, by Wielki Sze f nie miał się tym zająć osobiście. Przecież on sam właśnie tak by postąpił, nawet wtedy, gdy kierował IRD, choćby po to, by dopilnować, że praca jest wykonana szybko i dobrze.

Jako konsultant mógł jednak naciskać tylko do pewnego stopnia.

Bardzo ci dziękuję, Vince.

Drobiazg - odparł Peretti lodowatym tonem i przerwał roz mowę.

Rhyme spojrział na Bella.

- Nic

więcej nie mogę zrobić, Rolandzie, przynajmniej póki nie dostanę tych informacji - rzekł przepraszająco.

Włókna, jakieś uzbrojone grupy wsioków z zapadłej prowincji... same tajemnice. Ale w tej chwili niech kto inny zajmie się

122

akurat tymi tajemnicami. On miał aż za dużo własnych... i o wiele za mało czasu. Godziny zapisane na kartach dowodów rzeczowych, te odczytane ze zmiażdżonych zegarków, przypominały mu, że mają niespełna trzy godziny, by zatrzymać Maga, nim dokona następnego morderstwa.

# MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyska wicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw: nieznany.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na przyjęciach urodzinowych dla dzieci.

- Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane zniszczone.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrupowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Spraw dzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici wiążące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapiery. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

123

Włókna z jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa*, pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wysledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki na palce.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używany jako forma do lateksowych „dodatków”.

- Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

- Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

- Użył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

Żadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

- Sprawca

uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzenie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowodów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

- Zegarek

zmiądzony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Znaleziono alginian.

Pozostawił buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Profil iluzjonisty

- Będzie używał „zmyłek” przeciwko ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał

różnych kostiumów, nylonowych i jedwabnych, nakładek imitują cych łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych.

Może być w dowolnym wieku, każdej płci i każdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przepiłowanie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

124

13

U progu XX wieku na Manhattanie żyło ponad sto tysięcy koni. Ponieważ już wówczas ziemia na wyspie była cenna, stajnie budowano w „wieżowcach”, za które uważano wówczas budynki trzy- lub czterokondygnacyjne.

Jedna z takich stajen istnieje nadal: Akademia Jeździecka Hammerstead na Upper West Side.

Od swych narodzin trwa w oryginalnym budynku, postawionym w 1885 roku. Powyżej poziomu ziemi znajdują się setki boksów dla koni prywatnych właścicieli i do wynajmowania oraz padoki do pokazów. Tak wielka i ruchliwa stajnia może wydawać się reliktem w XXI wieku na Manhattanie, warto jednak sobie uświadomić, że od dziesięciu kilometrów doskonale utrzymanych ścieżek jeździeckich w Central Parku dzieli ją zaledwie kilka przecznic.

Akademia jeździecka opiekuje się dziewięćdziesięcioma końmi, licząc konie prywatnych właścicieli i wynajmowane do jazd. Jednego z tych wynajmowanych prowadziła właśnie po stromej rampie stajenna, rudowłosa nastolatka. Klientka już na niego czekała.

Na widok wysokiego, kapryśnego konia o łaciatym zadzie ap-paloosy Cheryl Marston poczuła ten sam co każdej soboty dreszcz radości.

Cześć, Donny, dobry konik - przywitała swego ulubieńca imieniem, które sama mu wymyśliła; oficjalnie nazywał się on Don Juan di Middleburg. „Koń na dziewczyny” - powtarzała często i nie był to tylko żart. Pod mężczyzną Donny boczył się, rżał,

nie chciał iść. Wobec Cheryl zachowywał się jednak jak prawdziwy dżentelmen.

Do zobaczenia za godzinę - powiedziała do rudej dziewczyny, wskakując na siodło. Lekko ściągnęła wodze, ścisnęła łydkami boki zwierzęcia, czując grę jego potężnych mięśni.

Posłuszny woli jeźdźca wierzchowiec zrobił krok do przodu. Znaleźli się na Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, ostrożnym stępem kierowali się w stronę Central Parku. Podkute kopyta stukały głośno po asfalcie, ludzie obracali się, patrząc z podziwem na wysokiego konia i siedzącą swobodnie w siodle dziewczynę o szczupłej, poważnej twarzy, ubraną w bryczesy, czerwoną jeździecką kamizelkę, z czarnym, krytym aksamitem toczkiem na głowie i spływającymi spod niego splecionymi, bardzo jasnymi włosami. Kiedy znaleźli się w Central Parku, Cheryl Marston spojrzała na południe. Na horyzoncie majaczyły wysokie budynki biurowe śródmieścia. W jednym z nich spędzała pięćdziesiąt godzin tygodniowo, praktykując prawo korporacyjne. Przez głowę mogło przelecieć jej teraz z tysiąc myśli związanych tylko z pracą, pomysłami i projektami, które jeden z jej partnerów wciąż nazywał „najważniejszymi w świecie”. Ale w tej szczególnej chwili właściwie zapomniała o pracy, która schodziła na dalszy plan, kiedy Cheryl siedziała w siodle, kiedy panowała nad jedną z najcudowniejszych stworzonych przez Boga istot. Na twarzy czuła powiew ciepłego, pachnącego ziemią powietrza. Kłusowała po ciemnych alejkach, przyglądała się kwitnącym wcześniej żonkilom, forsycjom i bzm. Pierwszy piękny wiosenny dzień.

Przez pół godziny krążyła wokół zbiornika wodnego, ciesząc się tym, co jest duszą jazdy konnej: połączeniem dwóch doskonale się uzupełniających istot, z których każda jest silna i inteligentna na

swój sposób. Przez chwilę rozkoszowała się krótkim, niespiesznym galopem, po czym, gdy pojawiły się ostrzejsze skręty ścieżki w mniej uczęszczanej, północnej części parku, bliżej Harlemu, przeszła w kłus. Przejazdźka była wspaniała. Póki nie zdarzyło się nieszczęście.

Nie była pewna, jak to się właściwie stało. Zamierzała właśnie Przejść do stępa, ponieważ ścieżka skręcała ostro i zwężała się między dwiema wielkimi kępami krzaków, kiedy wyleciał z nich gołąb i uderzył konia w łeb. Donny zarżał żałośnie i tak gwałtownie stanął, że Cheryl omal nie przekoziółkowała nad jego łbem. Zaraz potem wspiął się i jeźdźcowi zagroził upadek w tył.

Cheryl puściła wodze. Jedną ręką chwyciła się grzywy, drugą łęku siodła. Od brukowanej powierzchni ścieżki dzieliło ją dwa i Pół metra.

127

Cmoknęła uspokajająco, położyła się na końskiej szyi, poklepała ją łagodnie.

-

Wszystko w porządku, Donny. Uważaj...

Ale przerażony koń nadal próbował stawać dęba. Czyżby ptak zranił mu oczy? Martwiła się o Donny'ego, lecz nagle po-czuła strach. Po bokach ścieżki widziała ostre kamienie. Jeśli koń nadal będzie się wspinał, w każdej chwili może stracić równowagę na nierównym podłożu i przewrócić się, może nawet przygniatając jeźdźca. Jej przyjaciele wielokrotnie spadali z koni; przy zwykłym upadku poważne kontuzje właściwie się nie zdarzały, ale gdy koń walił się na jeźdźca, groziły poważne obrażenia.

Donny! - zawołała przerażona. Ale koń znów stanął dęba, tańczył na tylnych nogach i powoli, nieuchronnie schodził ze ścieżki.

Jezu! Nie, nie...

Wiedziała już, że sobie nie poradzi. Podkowy stukały o kamienie, czuła drżenie potężnych mięśni; Donny także się bał, on też czuł, że traci równowagę. Zarżał przeraźliwie.

Lada chwila zwierzę złamie nogę. Być może upadek potrzaska jej żebra...

Już czuła ból. I nie tylko swój, także konia.

Nagle, znikąd, pojawił się mężczyzna w dresie do joggingu. Spojrzał na konia zdumiony.

Zrobił jeden, bardzo szybki krok, zdołał chwycić ogłowie.

- Cofnij

się, człowieku! Nie opanuję go...!

A jeśli Donny kopnie go w głowę?

Ale... działa się tu coś dziwnego.

Niewysoki, bardzo szczupły mężczyzna nie patrzył na nią, lecz wprost w orzechowe oczy wierzchowca. Wymawiał słowa, których nie słyszała. I Donny zaczął się uspokajać. Nie do wiary! Już się nie wspinał. Stanął pewnie. Nadal płoszył się i drżał, podobnie jak jej serce, ale najgorsze chyba minęło. Mężczyzna przyciągnął do siebie wielki łeb, powiedział jeszcze kilka słów, po czym cofnął się o krok i wreszcie na nią spojrział.

- Nic

się pani nie stało? - spytał uprzejmie.

Chyba nic. - Marston wyprostowała się w siodle, odetchnęła głęboko, dotknęła piersi. -Tylko... to się zdarzyło tak szybko.

A co się właściwie stało?

-  
Ptak go spłoszył. Uderzył go w pysk. Być może nawet w oczy-Mężczyzna dokładnie obejrzał konia.

\_ Niczego nie widzę. Zapewne dobrze będzie pokazać go we-teryнарzowi, ale nie ma żadnych widocznych ran.

A pan? Pan mu coś mówił. Czy pan...?

Czy rozmawiam z końmi? - Mężczyzna roześmiał się, ale wstydlіwie spuścił wzrok. Wolał chyba patrzeć raczej w oczy koń niż atrakcyjnej kobiety. - Skądże znowu. Ale sam dużo jeżdżę i chyba mam dar uspokajania przestraszonych zwierząt.

- Byłam pewna, że przewróci się lada chwila.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej wstydlіwie.

Szkoda, że nie znam słów, które uspokoiłyby panią - powie dział cicho.

Co dobre dla mojego konia, jest dobre i dla mnie. Doprawdy nie wiem, jak panu dziękować.

Pojawił się kolejny jeździec. Mężczyzna sprowadził Donny'ego ze ścieżki, otwierając drogę kasztanowatej klaczy. Przy okazji dokładnie przyjrzał się appeloosie.

Jak się nazywa? - spytał.

Don Juan.

Wypożyczony z Hammerstead czy może należy do pani?

Wypożyczam go, ale traktuję jak swojego. Jeżdżę na nim co sobota.

Ja też czasami biorę stamtąd konia. Jaki on piękny.

Marston uspokoiła się i mogła już dokładnie przyjrzeć się człowiekowi, który ją uratował.

Uznała go za przystojnego pięćdziesięcioletniego. Nosił krótką, wypielęgnowaną brodę i miał krzaczaste brwi, stykające się nad wydatnym nosem. Na szyi i piersi dostrzegła blizny po poparzeniu, zauważyła także zdeformowaną lewą rękę. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Liczyło się coś innego i znacznie ważniejszego: lubił konie i najwyraźniej się na nich znał.

Trzydziestoosmioletnia Cheryl Marston, rozwódka od czterech lat, zorientowała się nagle, że oboje przyglądają się sobie z zainteresowaniem.

Mężczyzna zaśmiał się cicho. Spojrzał w ziemię.

- Myślałem... - zaczął, ale zamilkł. Zamiast mówić, poklepał

Donny'ego po szyi.

Cheryl spojrzała na niego, unosząc brew.

O czym pan myślał?

No cóż, skoro wkrótce odjedzie pani w zachodzące słońce 1 pewnie nigdy się nie spotkamy... - mężczyzna najwyraźniej zbierał się na odwagę - ...to może nie uzna pani za nietakt, jeśli zaproszę panią na filiżankę kawy.

- Ależ skąd! - Wypadało powiedzieć jednak coś więcej, zaznaczyć własne stanowisko. - Ale mam zamiar dojechać moją godzi-nę. Zostało mi jeszcze dwadzieścia minut. Wie pan, jak to jest, jeśli spadniesz, musisz wsiąść i tak dalej. Może pan poczekać?

Dwadzieścia minut? Doskonale. Zobaczymy się w stajniach.

Świetnie. - Cheryl uśmiechnęła się. - Aha, zapomniałam spytać. Jeździ pan po angielsku czy w stylu westernowym?

Przyznaję szczerze, że na oklep. Nawet zarabiałem w ten sposób na życie.

- Doprawdy?

Gdzie?

Mężczyzna uśmiechnął się tym swoim charakterystycznym, zawstydzonym uśmiechem.

- Może pani wierzyć albo nie, ale... w cyrku.

Cichy sygnał komputera Mela Coopera poinformował o nadejściu e-mailu. - Mamy informacje od naszych przyjaciół z Dziewiątego i z Pensylwanii - powiedział i przystąpił do odszyfrowywania mailu. Zabrało mu to zaledwie chwilę. - To analiza oleju - oznajmił. - Jest dostępny w handlu detalicznym. Nazwa firmowa: Tack--Pure. Używa się go do konserwowania siodeł, ogłowia, skórzanych worków na paszę i innych produktów związanych z końmi i jazdą konną. Konie...

Rhyme zawrócił wózek i spojrzął na wypisane na tablicy dowody rzeczowe.

Nie, nie, nie...

Co się stało? - zdumiała się Amelia.

- Odchody na butach Maga... - Nie rozumiem? - Nie były psie, lecz końskie! Spójrzcie tylko na te pozostałości roślinne! O czym ja wtedy myślałam, do cholery! Psy są mięsożerne! Nie jedzą trawy i siana! No dobrze, spokojnie, zastanówmy się... Ziemia, porosty oraz inne dowody wskazują na Central Park. Włosy także. Znacie ten teren? Psi wybieg? Jest częścią Parku?

- I to niedaleko nas. Znajduje się dosłownie po drugiej stronie ulicy - oznajmił Lon Sellitto. -

Mnóstwo ludzi wyprowadza tam swoje pieski.

Kara! Czy Cirque Fantastique ma konie? pie. Zrezygnowali ze wszystkich numerów ze zwierzętami. Hpfo to przynajmniej nimi nie musimy się martwić. O co mu chodzi? Psi wybieg... czy nie styka się z nim ścieżka jeździecka? W porządku, wiem, że to nieuprawnione wnioskowanie, ale... czy Mag nie obserwował przypadkiem jeźdźców? Jego celem może być jeden z nich. Być może nie następnym, ale lepiej dmuchać na zimne, założmy więc, że tak jest. Przecież to nasz jedyny pewny trop!

Gdzieś tam są chyba stajnie - powiedział niepewnie Sellitto; Chyba nawet je widziałam - wtrąciła Sachs. - Zdaje się, że pochodzą z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Sprawdźcie to wszystko - polecił Rhyme. - i wyślijcie tam-ludzi.

Amelia Sachs spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia pięć druga. Po południu. Westchnęła z ulgą.

No, przynajmniej mamy trochę; czasu. Prawie dwie i pół go dziny do następnego zabójstwa.

No i dobrze - ucieszył się Sellitto. - Wyślę do parku zespoły obserwacyjne. Pod stajnie też. Wystarczy, że pojawią się za godzi nę. Mamy mnóstwo czasu.

W tym momencie Rhyme zauważył, że Kara marszczy brwi.

O co ci chodzi? - spytał niecierpliwie.

Nie jestem pewna, czy mamy aż tyle czasu - rzekła z namy słem dziewczyna.

Dlaczego? '

Przecież mówiłam wam o zmyłkach)

Nie obawiaj się, pamiętam.

Zmyłki mogą dotyczyć czasu. Widownię myli się także w ten sposób, że każe się jej wierzyć, iż coś ma się zdarzyć kiedyś, kie dy zdarza się akurat teraz. Powiedzmy, że iluzjonista powtarza numer w regularnych odstępach czasu. Widzowie podświadomie oczekują, że cokolwiek ma się stać, stanie się tylko podczas ko lejnego interwału. Ale on świadomie skraca ten interwał. Nikt te go nie widzi, no i iluzjonista zaskakuje wszystkich, kiedy wresz cie robi, co zamierzał zrobić. Zmyłka w czasie działa, ponieważ iluzjonista robi wszystko, by interwał dawał się łatwo rozpoznać.

Na przykład miażdży zegarki ofiar - wtrąciła Amelia.



No właśnie.

- Więc... nie uważasz, żebyśmy mieli wolne aż do czwartej?

Kara tylko wzruszyła ramionami.

Trudno powiedzieć. Może Mag zabija troje ludzi co cztery godziny, a czwartą ofiarę zamorduje godzinę później? Kto wie?

Czyli nic nie wiemy - oświadczył stanowczo Rhyme. – Powiedz mi. Kara, co przychodzi ci do głowy? Co zrobiłabyś na jego miejscu?

Kara roześmiała się, wyraźnie zakłopotana. Miała wczuć się w rolę mordercy! Zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała:

On już wie, że znaleźliście zegarki. Wie, że nie jesteście głupi. Nie musi już wbijać wam niczego do głowy. Gdybym była nim, nie czekałabym do czwartej. Wręcz przeciwnie, próbowałabym dopaść ofiarę jak najszybciej.

Mnie to wystarcza - powiedział Rhyme. - Zapomnijmy o eki pach śledczych i gliniarzach po cywilnemu. Lon, dzwoni po Haumanna. Ekipa medyczna musi być w parku już, natychmiast.

Świecąc i dzwoniąc.

- Możemy go spłoszyć, Lincoln. Prowadzi własną operację ja-tajniak.

- Musimy

zaryzykować. Grupie ratowniczej powiedz, że szukamy... a kto do cholery wie, kogo szukamy? Dajcie im najlepszy

gólny opis, jaki mamy.

Pięćdziesięcioletni zabójca. Sześćdziesięcioletni woźny. Sie-idziesięcioletnia staruszka, lei Cooper oderwał wzrok od monitora.

- Mam

stajnię - oznajmił. - Akademia Jeździecka Hammer-ead.

Bell, Sellitto i Sachs jak na komendę ruszyli w stronę drzwi.

Chcę iść z wami - powiedziała Kara.

Nie! - zaprotestował natychmiast Rhyme.

Może być coś, co tylko ja zauważę. Zręczna ręka, może szyb-i zmiana gdzieś w tłumie. To moja specjalność, rozumiecie?

Nie! To zbyt niebezpieczne. Nie angażujemy cywilów do operacji taktycznych. Takie mamy zasady.

Nic mnie nie obchodzą wasze zasady! - Dziewczyna pochyliła się, spojrzała mu w oczy. - Mogę pomóc!

KtKara...

Uciszyła go jednym spojrzeniem na tablicę dowodów rzeczowych, na zdjęcia Tony'ego Calverta i Swietłany Rasnikow. Następnie spojrzała Rhyme'owi wprost w oczy. Przypomniała mu tym chłodnym spojrzeniem, że nie wpraszała się tutaj, lecz on ją zaprosił, on ją wciągnął

w ten ohydny świat, że zmienił ją z niczego nieświadomego przechodnia w kogoś, kto potrafi patrzeć na coś tak potwornego bez zmruczenia oka.

- W

porządku - zgodził się Rhyme i zwracając się do Amelii Sachs, dodał: -Trzymaj ją przy sobie. I

uważaj.

Była ostrożna, zauważył Malerick, co wydawało się naturalne w zachowaniu kobiety, spotykającej na Manhattanie nieznanego mężczyznę. Nawet jeśli ten mężczyzna był najwyraźniej nieśmiały, przyjacielski i wiedział, jak opanować znarowionego konia.

Ale Cheryl Marston powoli się odprężyła. Z wyraźną przyjemnością chłonęła jego opowieści z czasów, gdy jeździł na oklep w cyrku. Zadbaj oczywiście o to, by ozdobić je malowniczymi szczegółami, mającymi zainteresować ją do tego stopnia, by przestała myśleć.

Stajenna i dyżurny weterynarz Hammerstead zbadali Don-ny'ego i orzekli, że nic mu się nie stało. Malerick i jego kolejna, niczego nieświadoma ofiara poszli spacerkiem do restauracji tuż za rogiem, na Riverside Drive.

Kobieta rozmawiała przyjacielsko z Johnem (to było jego al-ter ego na tę randkę).

Opowiadała mu o swym życiu w mieście, o tym, jak będąc dzieckiem, zakochała się w koniach, tych, które były niegdyś jej własnością, i tych, które wypożyczała, o planach kupienia letniego domu w Middleburgu w Wirginii. Od czasu do czasu Malerick wtrącał

krótkie komentarze dotyczące koni; wiele informacji wyławiał z jej wypowiedzi, resztę czerpał z własnej wiedzy, nabytej podczas pracy w cyrku i nauki. Zwierzęta były zawsze ważnym elementem jego profesji. Usypiano je, powodowano, że znikwały, zmieniano jeden gatunek w inny. W dziewiętnastym wieku pewien iluzjonista wymyślił efektowną sztuczkę polegającą na natychmiastowej przemianie kury w gęś. Metoda była tak prosta, że aż prostacka: gęś wkraczała na scenę w kostiumie kury, sporządzonym tak, by umożliwić szybką przemianę. W czasach nieznanego pojęcia „polityczna poprawność” zwierzęta nawet uśmiercano, a potem wskrzeszano, choć rzadko działa się im krzywda; w końcu tylko bardzo kiepski iluzjonista musi zabić zwierzę, by widzowie uwierzyli, że naprawdę nie żyje, a poza tym zawsze pozostaje delikatna kwestia wygórowanych cen.

Swoją sztuczkę z Central Parku, której użył, by zwabić Cheryl Marston, Malerick zapożyczył z repertuaru Howarda Thurstona, popularnego iluzjonisty z początków dwudziestego wieku, specjalizującego się właśnie w numerach ze zwierzętami. Ale jego technika nie spotkałaby się z aprobatą tego wybitnego artysty, który traktował zwierzęta co najmniej tak jak asystentów - ludzi, a częściej wręcz jak członków rodziny. Mag nie był aż tak ludzki. Gołębia złapał ręką.

Następnie położył go na plecach i tak

134

długo głaskał go po szyi i skrzydłach, aż udało mu się zahipnotyzować ptaka. Gdy Cheryl Marston zbliżyła się na odpowiednią odległość, cisnął ptakiem w łeb Donny'ego. To, że koń zaczął szajec i stawać dęba z bólu i strachu, nie miało nic wspólnego z gołę-bieni) tylko z małym generatorem dźwięku ustawionym na częstotliwość, której człowiek nie słyszy, a która przeraża konia. Wyskakując z krzaków, by „ocalić” amazonkę, wyłączył generator, a gdy chwycił ogłowie, zwierzę już się uspokajało.

Cheryl czuła się w jego towarzystwie coraz bezpieczniej. I nic dziwnego, cały czas dowiadywała się przecież, jak wiele mają ze sobą wspólnego.

W każdym razie jej tak się wydawało.

Tę iluzję wywołało użycie technik mentalistycznych. Mentalizm nie był najmocniejszą stroną Malericka, ale i tę umiejętność opanował w stopniu ponadprzeciętnym.

Mentalizm nie ma oczywiście nic wspólnego z telepatycznym odczytywaniem czyichś myśli, jest kombinacją technik fizycznych i psychicznych używanych do rozpoznawania faktów.

Malerick stosował się w tej chwili do zasad szkoły najlepszych mentalistów: czytał z ciała, nie z myśli. Obserwował najdrobniejsze, niemal niezauważalne ruchy towarzyszącej mu kobiety, zmiany wyrazu twarzy i gesty, następujące po jego komentarzach. Dowiadywał się z nich, kiedy jego towarzyszka jest innego zdania, a kiedy on trafia w dziesiątkę. Wspomniał na przykład o przyjacielu, który niedawno przeżył koszmar rozwodu, i bez trudu się dowiedział, że ona też jest rozwiedziona i mocno przy tym oberwała. Skrzywił się więc i oznajmił, że i on przeszedł piekło rozpadu małżeństwa: żona znalazła sobie kochanka i porzuciła go. Wpadł w depresję, z której właśnie się wydobywał, powoli i z wielkim wysiłkiem.

- Oddałam łódź - powiedziała przygnębiona Cheryl. - Tylko po to, by pozbyć się wreszcie sukinsyna. Śliczny ośmiometrowy jacht.

Malerick z wielkim powodzeniem używał także „twierdzeń Barnuma”, służących mu doskonale do przekonania kobiety, że mają ze sobą znacznie więcej wspólnego, niż może się jej wydawać. Klasycznym ich przykładem jest „badanie” widza przez mentalistę, który mówi:

„W zasadzie jest pan ekstrawertykiem, ale bywają chwile, kiedy staje się pan nieśmiały”. Na pozór stwierdzenie to wydaje się bardzo głębokie, ale przecież daje się je zastosować do większości ludzi.

Rozmowa, jak tego pragnął, zeszła na temat związków uczuciowych. Zarówno „John”, jak i Cheryl nie mieli dzieci. Oboje kochali koty, ich rodzice się rozwiedli, uwielbiali tenis. Ach, co za podobieństwa!

Już prawie czas, pomyślał Malerick. Ale nie zamierzał się spieszyć. Nawet jeśli policja ma jakieś pojęcie o tym, do czego zmierza, z pewnością oczekuje następnej zbrodni o szesnastej, a w tej chwili było zaledwie parę minut po drugiej. A jednak, z powodów czysto osobistych, bardzo pragnął zaprezentować następną sztuczkę tak szybko, jak to tylko możliwe.

Możecie sądzić, szacowni widzowie, że świat iluzji i świat rzeczywisty nigdy się nie przenikają, ale to nieprawda.

Nie potrafię zapomnieć Johna Mulhollanda, znanego prestidigitatora i wydawcy poświęconego magii magazynu „Sphinx”. Mul-holland zaskoczył wszystkich, informując o wcześniejszym zakończeniu kariery, zarówno cyrkowej jak i edytorskiej. Działo się to w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Nikt nie wiedział, jakie były motywy tej nieoczekiwanej decyzji. I wówczas zaczęły krążyć plotki. Plotki, że zaczął pracować dla amerykańskiego wywiadu i uczy szpiegów technik podawania narkotyków w sposób tak subtelny, że nawet najbardziej paranoiczny komunista nie zorientuje się, iż przyjmuje szklaneczkę czegoś znacznie mocniejszego, niż się spodziewał.

Spójrzcie na moje dłonie, szacowni widzowie. Szczególnie dokładnie przyjrzyjcie się palcom. Widzicie coś? Nie. Oczywiście, że nie. Lecz jesteście w błędzie, z czego prawdopodobnie doskonale zdajecie sobie sprawę.

Użył jednej z najlepszych i najtrudniejszych technik. Ujął łyżeczkę lewą ręką, uderzył nią w stół. Cheryl opuściła wzrok na powierzchnię stołu na mniej niż sekundę, ale i ta chwila wystarczyła, by wsypać do jej filiżanki kapsułkę pozbawionego smaku i zapachu proszku.

Ręką, w której trzymał łyżeczkę, sięgał tymczasem po cukierniczkę.

John Mulholland byłby z niego dumny.

Po kilku minutach widać już było wyraźnie, że narkotyk wywołuje pożądane efekty. Cheryl z trudnością skupiała wzrok, a także chwiała się lekko. Ale nie zdawała sobie sprawy, że dzieje się z

nią coś złego. Na tym polegała przewaga flunitrazepanru - czyli słynnego środka oszałamiającego na randki, występującego w nancuu P°d nazwą rohypnol - nad jego konkurentami: ofiara nie miała pojęcia, że go jej podano. Aż do następnego ranka. Cheryl Marston nie miała jednak doczekać następnego

ranka.

Malerick spojrział na nią i uśmiechnął się szeroko.

\_ Chcesz zobaczyć coś fajnego? - spytał.

-

Fajnego? - spytała Cheryl niezbyt przytomnie. Poderwała

»adając głowę i uśmiechnęła się szeroko.

„John” zapłacił rachunek.

Kupiłem łódkę - oznajmił.

Roześmiała się, zachwycona.

Łódkę? Kocham łódki! A jaką?

Żaglową. Jacht. Dwunastometrowy. Kiedyś pływaliśmy po dobnym, razem z żoną - powiedział i posmutniał nagle. - Dostała ją w ramach ugody rozwodowej.

John, nie, chyba żartujesz! - Cheryl roześmiała się niezbyt przytomnie. - Przecież my też mieliśmy jachcik. Z mężem. I mu siałam mu go oddać, także w ramach ugody!

Naprawdę? - Malerick wstał. - Hej, mam pomysł. Zejdźmy nad rzekę. Pokażę ci łódź.

Cała przyjemność po mojej stronie. - Cheryl Marston wstała, zachwiała się...

Podtrzymał ją za ramię, przeprowadził przez drzwi. Miał wrażenie, że przygotował właściwą dawkę. Kobieta chętnie wykonywała jego polecenia, zapominała o tym, co wcześniej mówiła i co on mówił, ale nie wyglądało na to, by miała stracić przytomność, nim zaprowadzi ją w krzaki nad rzeką Hudson. Szli w stronę Riverside Park. Mówiłeś coś o łodziach? Mówiłem.

Ja i mój były mieliśmy kiedyś łódź. Wiem. Opowiadałaś mi o tym. Naprawdę? - Cheryl roześmiała się nieprzytomnie. |r Poczekaj chwilę. Wezmę coś z samochodu. Zatrzymał się przy kradzionej mazdzie, z tylnego siedzenia Wyjął ciężką torbę. Gdy ją poruszył, rozległ się brzęk metalu. Cheryl Marston obserwowała go, nawet chciała o coś zapytać, ale natychmiast zapomniała o co.

- Chodźmy w tę stronę. - Malerick poprowadził ją do końca ulicy. Przeszli kładką dla pieszych i zeszli na zarośnięty krzakami Pas ziemi nad brzegiem rzeki.

137

Mag wyrwał ramię z jej uścisku, objął ją mocno. Pod palcami czuł pierś kobiety, poczuł ciężar jej głowy na ramieniu.

Popatrz tylko. - Cheryl Marston wskazała drżącą dłonią na Hudson. Na jej błękitnych wodach kołysały się łodzie żaglowe i motorówki.

Moja też tam jest - powiedział.

Naprawdę? - Cheryl roześmiała się i szepnęła, że to nie prawdopodobne, bo ona i jej były też mieli łódkę. Ale po rozwo dzie przypadła jemu.

15

Akademia jeździecka była okruchem Nowego Jorku, przeniesionym z przeszłości w teraźniejszość.

Amelia poczuła przede wszystkim ostry zapach stajni. Zatrzymała się przy wejściu. Przez wielki łuk bramy zajrzała do środka. Dostrzegła konie i siedzących w siodłach jeźdźców, wyglądających

bardzo godnie w czarnych bryczesach, czarnych lub czerwonych marynarkach jeżdżeckich, krytych aksamitem toczkach.

Przy wejściu do stajni stało z pół tuzina policjantów mundurowych z pobliskiego dwudziestego komisariatu. Znacznie więcej funkcjonariuszy pod dowództwem Rona Sellitto rozstawiono wzdłuż tras jeżdżeckich parku. Wszyscy szukali nieuchwytnego Maga.

Amelia i Bell udali się natychmiast do biura. Detektyw błysnął złotą odznaką przed oczami siedzącej za biurkiem zaskoczonej kobiety. Nad jego ramieniem zobaczyła mundurowych przy wejściu i poczuła się bardzo niepewnie.

Tak, proszę pana? Czy coś się stało?

Czy do siodeł i innych jeżdżeckich akcesoriów skórzanych używacie państwo oleju Tack-Pure?

Kobieta spojrzała na asystenta, który energicznie skinął głową.

Oczywiście, proszę pana. W dużych ilościach.

Jego ślady wraz ze śladami końskiego nawozu znaleźliśmy dziś na miejscu zbrodni - wyjaśnił Roland Bell. - Naszym zda niem sprawca może śledzić któregoś z waszych pracowników lub klientów.

Niemożliwe! Kto?

Tego niestety nie jesteśmy pewni. Nie wiemy także, jak wy gląda, znamy tylko kilka szczegółów. Jest średniego wzrostu i średniej budowy ciała. Ma mniej więcej pięćdziesiąt lat. Biały. Być może nosi brodę. Włosy najprawdopodobniej brązowe, ale to też tylko przypuszczenie. Zdeformowane palce lewej ręki. Bardzo prosimy, by porozmawiała pani z pracownikami oraz stałymi klientami, jeśli jacyś teraz tu są. Być może znają kogoś, kto odpowiada temu opisowi. Albo kogoś, kto ich zdaniem może stanowić jakieś zagrożenie.

- Oczywiście. -Ale kobieta chyba nadal nie bardzo wiedziała, czego się od niej oczekuje. - Zrobię, co mogę. Naprawdę.

Bell przywołał kilku mundurowych funkcjonariuszy patrolu.

- Rozejrzemy

się! - krzyknął i znikł w przepastnym, pachnącym trocinami wnętrzu ujeżdżalni.

Sachs skinęła głową. Wyjrzała przez okno, sprawdzając, co robi Kara. Siedziała sama w nieoznaczonym samochodzie Rona Sellitto, zaparkowanym tuż za jej camaro. Jedną sprawę Amelia postawiła twardo: nie miała zamiaru dopuścić, by dziewczynie stała się krzywda.

Robert-Houdin pokazał lepsze sztuczki niż marabuci. Choć, o ile pamiętam, omal go nie zabili.

Nie martw się. Dopilnujemy, by nic takiego się tobie nie przytrafiło.

Spojrzała na zegarek. Czternasta. Wezwała centralę, poprosiła o połączenie z Rhyme'em.

Niemal natychmiast usłyszała głos kryminalistyka.

Sachs, zespół Łona nie znalazł w Central Parku nic podej rzanego. A ty?

Szefostwo rozmawia z pracownikami i jeźdźcami tu, w aka demii. Roland i jego zespół przeszukują stajnie.

W tym momencie dostrzegła kobietę, z którą rozmawiała, otoczoną grupą pracowników, niespokojnych i jakby zmieszanych. Młoda dziewczyna o okrągłej buzi i płomiennorudych włosach nagle podniosła dłoń do ust. Energicznie skinęła głową.

-  
Rhyme, zaczekaj chwilę. Zdaje się, że coś tu mam.

Kobieta skinęła na policjantkę. Amelia podeszła i ruda dziewczyna powiedziała:

Nie wiem, czy to ważne, ale chyba mogę wam pomóc.

Jak ci na imię.

Tracey? - przedstawiła się tak, jakby zadawała pytanie.

- Jestem tu stajenną.

Mów, proszę.

No, dobrze. Więc... co sobota jeździ tu jedna pani. Cheryl Marston.

słuchawce krótkofalówki Amelii Sachs rozległ się krzyk \_ Czy zawsze o tej samej porze? Spytaj,

czy ona jeździ zawsze o tej samej porze?!

Amelia przekazała jego pytanie.

Och tak, oczywiście - przytaknęła Tracey. - Pani Marston jest lepsza niż szwajcarski zegarek. I jeździ u nas od lat.

Ludzie o uregulowanym trybie życia są najłatwiejszym celem

- rozległ się w słuchawkach głos Rhyme'a. - Niech mówi dalej.

Wiesz o niej coś więcej, Tracey.

Wróciła dziś z jazdy... bo ja wiem, pół godziny temu? Podała mi wodze Don Juana, to jej ukochany koń. Poprosiła o weteryna rza, chciała, żeby go obejrzał, bo jakiś ptak uderzył go w łeb, przestraszył i w ogóle. Kiedy tak oglądałyśmy konia, powiedziała, że z krzaków wyskoczył facet, uspokoił go i w ogóle uratował jej życie. Don był w porządku, ale ta pani Marston cały czas opowiadała o tym facecie, że taki interesujący i w ogóle, że zna się na koniach, właściwie to z nimi rozmawia i zaprosił ją na kawę. Rozumie pani? Widziałam go przy wejściu, jak na nią czekał. I tu właśnie jest coś dziwnego. Widziałam go. Pomyślałam sobie: Co jest nie tak z jego lewą ręką? Tak jakoś ją ukrywał, rozumie pa ni? Ale widziałam ją i dla mnie to wyglądało tak, jakby miał tyl ko trzy palce.

To on! - Amelia niemal krzyknęła. - Wiesz może, dokąd wy bierali się na tę kawę?

Dziewczyna wskazała na zachód, w stronę przeciwną do parku.

Zdaje się, że gdzieś tam - powiedziała nieśmiało.

Opis. Weź jego opis! - krzyknął w słuchawce podniecony głos Rhyme'a.

Tracey nie potrafiła podać dobrego opisu. Broda i takie dziwne brwi. „Jakby zrosnięte” - powiedziała.

Jeśli chcesz zmienić twarz, najważniejsze są brwi. Zmień brwi i twarz zmienia się w sześćdziesięciu procentach.

Ubranie? - spytała Amelia.

Wiatrówka, adidas. Aha, miał spodnie do joggingu.

Kolor?

Wiatrówka i spodnie ciemne. Granatowe, może czarne.

Wrócił Bell na czele mundurowych.

- Nie

znaleźliśmy nawet psa z kulawą nogą - burknął, zniechęcony.

Za to ja coś mam - oznajmiła Sachs. Opowiedziała pokrótce o amazonce i brodatym mężczyźnie pod pięćdziesiątkę. - Spoj rzała na dziewczynę.

Jesteś pewna, że przedtem nie znała tego faceta?

Nie ma mowy. Z panią Marston znamy się kawał czasu. Ciąg.

le powtarzała, że nie ma zamiaru spotykać się z mężczyznami.

Nie ufała im. Jej były rzucił ją i przy rozwodzie zabrał żaglówkę.

Przyjaciele, najlepsi iluzjoniści stosują sztuczkę nazywaną „rutynowaniem”. Innymi słowy przygotowują występ perfekcyjnie, zwłaszcza pod względem tempa, w ten sposób budują napięcie.

Trzeci numer. Najpierw iluzja z udziałem zwierząt, w tym naszego wspaniałego Donny'ego, przeprowadzona w Central Parku. Potem zwolniliśmy tempo, używając klasycznych zręcznych rąk, przy czym wspomogliśmy się mentalizmem.

Pora na sztukę wyzwalań się z więzów.

Za chwilę zobaczycie sztukę z repertuaru Harry'ego Houdinie-go, zapewne najświetniejszą.

On ją wymyślił. Skrępowanego i zaczepionego za stopy, zanurzano go w wąskim zbiorniku wypełnionym wodą. Musiał zgiąć się w pasie, uwolnić kostki i otworzyć zbiornik, mając na to zaledwie chwilę. Gdyby mu się nie udało, musiałby utonąć.

Zbiornik był, rzecz jasna, specjalnie przygotowany. Pręty, które pozornie miały wzmocnić szkło i zabezpieczyć przed pęknięciem, wyposażone były w uchwyty ułatwiające sięgnięcie kostek. Zamki łańcuchów na kostkach i pokrywy zbiornika wyposażone były w odblokowujące je natychmiast przyciski.

Nasze odtworzenie tego fenomenalnego numeru nie uwzględnia zabezpieczeń, o czym nie muszę chyba nikogo upewniać. Nasz artysta zdany jest tylko na siebie. No i uwzględniłem jeszcze kilka pikantnych szczegółów. Oczywiście, mając na uwadze waszą rozrywkę.

A teraz, z całym szacunkiem dla wielkiego Houdiniego, „Tortura wodna”!

Malerick, gładko ogolony, ubrany w kombinezon khaki naciągnięty na biały podkoszulek, obwiązywał łańcuchami bezwładne ciało Cheryl Marston. Najpierw skrępował jej kostki, potem pierś i ramiona.

Przerwał na chwilę, rozejrzał się dookoła. Gęste krzaki ogradzały ich zarówno od drogi, jak i od rzeki. W pobliżu nikogo nie dostrzegł.

Znajdowali się w tej chwili nad brzegiem rzeki Hudson, tuż obok małego jeziora, które kiedyś było zapewne zatoczką dla niewielkich łodzi. Osunięcie ziemi w połączeniu z nagromadzeniem kamieni odcięło zatoczkę od głównego nurtu bardzo dawno temu, tworząc śmierdzący stawek, mający najwyżej trzy metry średnicy. Przy jego brzegu pozostało gnijące molo z zardzewiałym dźwigiem, służącym kiedyś do wyciągania łodzi na brzeg. Malerick zarzucił linę na blok, złapał jej koniec i obwiązał nim łańcuchy krępujące stopy Cheryl Marston.

Specjaliści od wyzwalań się z więzów po prostu kochają łańcuchy. Łańcuchy wyglądają imponująco, cudownie kojarzą się z przemocą, sprawiają wrażenie znacznie solidniejszych niż liny i jedwabne sznury. No i są ciężkie, dzięki czemu przytrzymują pod wodą występującego artystę.

-

Nie, nie, nieeee... - szepnęła oszołomiona kobieta.

Głaszcząc ją po głowie, Malerick sprawdził łańcuchy. Założył

je prawidłowo. Houdini napisał kiedyś: „Być może zabrzmie to dziwnie, ale odkryłem, iż im bardziej imponująco wyglądają więzy w oczach widowni, tym łatwiej, jak się okazuje, można się z nich wyzwolić”.

Wielki Houdini napisał prawdę, Malerick wiedział to z własnego doświadczenia. Ciężkie łańcuchy, grube liny oplatające ciało nieszczęsnego iluzjonisty nie stanowiły dla niego żadnego zagrożenia, chociaż zwiększały dramatyzm sytuacji. Zabezpieczenia pozornie słabsze, węzły jakby

prostsze, były de facto znacznie trudniejsze. Jak na przykład te.

-

Nieeee... - szepnęła oszołomiona Cheryl. - Boli... Proszę... Co ty...

Malerick zakleił jej usta taśmą samoprzylepną. Następnie rozstawił nogi, mocno chwycił linę i ciało jęczącej cicho prawniczki, ciągnięte za stopy, powoli zbliżało się do brudnej wody.

Tego pięknego wiosennego popołudnia na centralnym dziedzińcu West Side College, położonym pomiędzy Siedemdziesiątą Dziewiątą a Osiemdziesiątą Ulicą, odbywał się festyn i targi rzemiosła artystycznego. Wokół kłębiły się tłumy, wytropienie mordercy i jego ofiary z góry skazane było na niepowodzenie.

Tego pięknego wiosennego popołudnia klienci wypełniali dziesiątki pobliskich restauracji i kawiarni, a w każdej z nich, w tej właśnie chwili, Mag mógł sugerować Cheryl Marston, żeby gdzieś z nim pojechała albo żeby razem pojechali do niej.

Tego pięknego wiosennego popołudnia w pięćdziesięciu alejkach przecinających przecznice znalazłyby się setki mrocznych pustych miejsc, doskonałych do popełnienia zbrodni.

Sachs, Bell i Kara krążyli po ulicach, przyglądali się tłumom na targach i ulicom, zaglądali w mroczne alejki. I w ogóle wszędzie, gdzie - ich zdaniem - mogliby coś znaleźć.

Ale nie znaleźli niczego.

Lecz po kilku pełnych rozpaczy minutach później nastąpił przełom.

Dwójka policjantów oraz Kara weszli do kawiarni „Ely's” i oczywiście natychmiast rozejrzeli się dookoła. Nagle Amelia mocno chwyciła Rolanda za ramię. Wskazała kasę i leżący obok niego toczek oraz poplamiony skórzany palcat.

Amelia Sach podbiegła do kasjera, śniadego mężczyzny, przypuszczalnie z południa Europy.

Czy te przedmioty pozostawiła tu kobieta?

No... tak, owszem. Jakies dziesięć minut temu.

Była z mężczyzną?

Tak.

Mężczyzna miał brodę i ubrany był w dres do joggingu?

Tak, to on. Kobieta zostawiła toczek i ten bat pod stołem.

Wie pan, dokąd poszli? - spytał Bell.

Co się dzieje? Czy to...

Gdzie! - Amelia Sachs niemal krzyczała.

No dobrze już, dobrze, słyszałem, że chce pokazać jej łódź.

Ale mam nadzieję, że raczej zabrał ją do domu.

Co ma pan na myśli? - spytała Amelia.

Ta kobieta sprawiała wrażenie chorej. Pewnie dlatego zapo mniała kasku i bacika.

Jak to „chora”?

Z trudem trzymała się na nogach, pan to rozumie, prawda?

Może była pijana? Ale u mnie zamówili wyłącznie kawę. Kiedy wchodziła, nic jej nie dolegało.

Podał jej narkotyk - powiedziała Amelia, zwracając się do Bella.

Narkotyk? - zdumiał się mężczyzna. - Hej, o co tu chodzi?

Przy którym stoliku siedzieli?

Wskazał im stolik, zajęty w tej chwili przez cztery kobiety, posilające się i rozmawiające, co czyniły dość głośno.



-  
Przepraszam panie - powiedziała bez wstępów Amelia

Sachs i szybko przyjrzała się zarówno stolikowi, jak i podłodze wokół mego. Nie znalazła żadnych widocznych śladów.

- Musimy

ją odnaleźć - rzekła do Bella

-Jeśli rzeczywiście wspomniał łodzie, chodźmy na zachód Nad Hudson.

Sachs skinęła głową, wskazując stolik, przy którym siedział Mag i jego kolejna ofiara.

-

To miejsce przestępstwa - poinformowała. - Nie przemywajcie stołu, me zamiatajcie podłogi. Gości proszę przenieść do innego stolika - poleciła szefowi kawiarni, wskazując cztery przestraszone panie, które udało się jej skutecznie uciszyć Wybiegła na ulicę, wprost w promienie ciepłego słońca

Zobaczyła, że jej mąż płacze. Żałował, że musi zakończyć małżeństwo. Zakończyć małżeństwo tak, jak wynosi się śmiecie. Zakończył małżeństwo tak, jak wyprowadza się psa.

Przecież to było pieprzone małżeństwo. Nasze małżeństwo. Nie coś, co można zakończyć ot, tak sobie.

Ale Roy pojmował to zupełnie inaczej. Nabita asystentka analityka ryzyka ubezpieczeniowego spodobała mu się bardziej od żony.

Do nosa znów napłynęła jej obrzydliwa, brudna woda. Cheryl zaczęła się dławić.

Powietrza! Powietrza! Potrzebuję powietrza! Cheryl Marston zobaczyła ojca i matkę sprzed wielu lat. Pod-toczyli pod choinkę rowerek, prezent od świętego Mikołaja wprost z bieguna północnego. Popatrz, kochanie, święty Mikołaj przygotował nawet różowy kask, specjalnie dla ciebie. Ochroni twą śliczną małą główkę.

Ach...

Obwiązana łańcuchami, Cheryl kaszłała i krztusiła się. Zwisła głową w dół i wynurzyła się z brudnej, ohydnej kałuży. Powoli obracała się dookoła. Lina, krępująca jej kostki, przerzucona była przez ramię starego dźwigu.

Ból głowy narastał w miarę, jak krew spływała pod czaszkę. Przestań, przestań, przestań! - krzyczała w myślach. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Pamiętała, jak Donny staje dęba, jak ktoś jej pomaga, taki miły mężczyzna, potem pili kawę w greckiej restauracji, rozmawiali, zdaje się, o łodziach, a potem świat się zamazał i pozostał już tylko niemądry śmiech.

I łańcuchy. I ta straszna woda.

Sympatyczny mężczyzna patrzy na nią z sympatycznym zainteresowaniem. Obserwuje jej śmierć.

Nie pojmowała, jak mógł być taki wstrętny. Jak ktoś tak wielkodusznie traktujący konie może tak okrutnie postępować z nią. Tego nie da się po prostu zrozumieć. Przecież wiemy o sobie wszystko. Rozwiedzeni, bezdzietni, konie, koty, łodzie... prawdziwa duchowa wspólnota. A teraz zataczała kręgi nad brudną wodą; obróciła się i nie mógł już widzieć jej błagalnego spojrzenia, ona zaś patrzyła na zamglony, daleki drugi brzeg Hudsonu, brzeg New Jersey.

Obróciła się powoli, przed oczami znów miała jeżyny i bzy.

I jego.

Popatrzył na nią z góry, skinął głową i zwolnił linę. Głowa Cheryl zbliżyła się do tafli ohydnej

stawku. Kobieta zgięła się w pasie, jakby próbowała uniknąć zanurzenia we wrzątku. Ale jej własny ciężar wraz z ciężarem łańcuchów nieuchronnie ściągał ją w dół.

Szarpała się, potrząsała głową, na próżno próbowała wyzwolić się z okrutnych więzów.

Widziała zielonobrązową wodę odbijającą promienie słońca i uciekające w panice owady.

Nagle przed jej oczami pojawił się były mąż, Roy. Tłumaczył jej, tłumaczył i tłumaczył, dlaczego rozwód jest najlepszą z rzeczy, jakie mogły się jej przytrafić. Patrzył na nią, wycierał krokodyle łzy i powtarzał, że tak jest lepiej, że teraz będzie szczęśliwsza. Posłuchaj, mówił, mam coś dla ciebie. Otworzył drzwi, za którymi stał nowiutki rowerek Schwinn z kółkami przy tylnym kole i ozdobną kierownicą, na której wisiał różowy kask, mający chronić jej śliczną główkę.

Cheryl poddała się. Wygrałeś, pomyślała. Wygrałeś. Idź sobie z tą swoją cholerną dziewczyną, zabierz tę swoją cholerną łódź. Tylko puść mnie, pozwól mi odejść w spokoju.

Odetchnęła przez nos. W jej płuca wpłynęła łagodna śmierć.

- Tam! - krzyknęła Amelia Sachs. Wraz z Rolandem Bellem biegli mostkiem dla pieszych w stronę gęstego zagajnika na brzegu Hudsonu. Na rozpadającym się molo, które przed laty służyło zapewne do cumowania łodzi, a później oddzielone zostało pasem ziemi od głównego nurtu, stał mężczyzna. Mnóstwo było tu zarośli i drzew, a także śmieci. Woda strasznie cuchnęła.

147

Mężczyzna w białej koszuli i spodniach khaki trzymał linę przerzuconą przez blok przytwierdzony do ramienia zardzewiałego dźwigu. Nie widzieli, co znajduje się na drugim końcu liny, za-nurzonym w wodzie.

-

Hej, ty! - krzyknął Bell.

Mężczyzna miał brązowe włosy, ale ubrany był inaczej, niż wynikało to z opisu, nie nosił brody i nie miał gęstych, zrosniętych brwi. Amelia Sachs nie widziała, czy ma zniekształconą lewą dłoń.

Czy miało to jakieś znaczenie?

Mag potrafił być mężczyzną. Mag potrafił być kobietą. ( Mag potrafił być niewidzialny.

Podbiegli bliżej. Mężczyzna spojrział na nich z ulgą.

- Tutaj! - krzyknął. - Ratunku! W wodzie jest kobieta. Bell i Sachs zostawili Karę na estakadzie i ruszyli pełnym biegiem, omijając krzaki.

• - Nie ufaj mu - krzyknęła Amelia do partnera. . - To jasne - odkrzyknął Roland Bell.

Mężczyzna ciągnął z wysiłkiem. Nad powierzchnią wody pojawiły się stopy, a za chwilę nogi w ciemnych spodniach. Stopy, nogi i ciało nieprzytomnej kobiety, owinięte łańcuchami. O

Boże!

- pomyślała Amelia. Topił ją! Oby biedaczka jeszcze żyła.

Biegli szybko; Roland Bell wzywał przez radio wsparcie i karetkę. Ludzie po wschodniej stronie przejścia zatrzymywali się i z niepokojem przyglądali wydarzeniom.

- Pomóżcie mi! - krzyknął mężczyzna. - Sam nie dam rady jej wyciągnąć. - Oddychał ciężko, widać było, że zaczyna brakować mu sił. - Chciał ją zabić. Okręcił łańcuchem i wepchnął pod wodę. Och!

Amelia Sachs wyciągnęła broń i wymierzyła mu w pierś. - O co chodzi? - spytał mężczyzna wstrząśnięty. - Przecież próbuję jej pomóc! - Spojrział w dół, na telefon komórkowy w pokrowcu

przy pasie. -To ja zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście. Nadal nie widziała jego lewej ręki, ukrytej pod prawą.

Ręce - powiedziała krótko. - Niech pan nie puszcza liny.

Chcę widzieć je przez cały czas.

Przecież nic nie zrobiłem. - Mężczyzna dyszał ciężko i brzmiało to raczej dziwnie. Chyba nie ze zmęczenia. Może cho rował na astmę?

Bell ominął ją, uważając, by nie stanąć na linii strzału, chwycił ramię dźwigu i obrócił je w kierunku brzegu. Wziął skrepowaną kobietę w ramiona, a na brzegu mężczyzna powoli popuszczał linę, aż ciało spoczęło na błotnistym brzegu. Leżało tam, bezwładne i sine.

Detektyw zerwał taśmę zaklejającą usta ofiary uwolnił ją z łańcuchów, zastosował sztuczne oddychanie i masaż serca.

- Proszę się nie zbliżać - powiedziała Amelia, zwracając się do rosnącej grupki ludzi, zainteresowanych zamieszaniami. - Czy jest tu lekarz?

Nikt nie odpowiedział. Spojrzała na ofiarę, dostrzegła, że porusza się, usłyszała jęk. Tak!

Znaleźli ją w samą porę! Lada chwila odzyska przytomność, zidentyfikuje napastnika.

Rozejrzała się i coś zwróciło jej uwagę. Nieco z boku leżała sterta lśniącego, granatowego materiału. Dostrzegła rękaw, zamek błyskawiczny. To mogła być kurtka dresu, przygotowana do szybkiej zmiany.

Mężczyzna powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. Jak zareagował? Skrzywił się lekko?

Chyba tak, ale wcale nie była tego taka

pewna.

- Proszę pana - powiedziała stanowczo - póki nie dowiemy się, co tu się naprawdę wydarzyło, jestem zmuszona nałożyć panu kajdanki. Proszę wyciągnąć ręce...

Nagle rozległ się przeraźliwy męski głos:

-

Hej tam, z tej strony! Gość, dresy, strzeli!

Ludzie krzyknęli, rzucili się na ziemię. Amelia przykucnęła, obróciła się w prawo. Szukała celu.

- Rolandzie,

uwaga!

Bell padł na ziemię. W wyciągniętej dłoni trzymał SIG-a. Ale... nigdzie nie widzieli mężczyzny w dresie do joggingu.

Być może...

O, nie! - pomyślała Amelia. Tylko nie to! Ale była na siebie wściekła! Zrozumiała, że dała się nabrać. Na prostą cyrkową sztuczkę: bruchomówstwo!

Odwróciła się błyskawicznie... akurat by oślepiła ją wisząca przez chwilę w powietrzu ognista kula, wybuchająca w dłoni mężczyzny, który z takim zapałem ratował Cheryl Marston.

Amelio! - krzyknął Bell. - Nic nie widzę. Gdzie on jest?

Nie wiem...!

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Mag, rozległo się kilka szybkich strzałów. Gapie rozbiegli się w panice, a policjanci skierowali broń w stronę, skąd padły strzały. Jednak gdy odzyskali wzrok, okazało się, że zabójca znikł. Pozostała po nim tylko rozwiewająca się chmura dymu, oczywiście z petard.

Nagle Sachs dostrzegła Maga: przeszedł przez mostek dla pieszych i znajdował się już po jego drugiej stronie. Ruszył środkiem ulicy, ale dostrzegł pędzący w jego stronę migający światłami radiowóz na sygnale. Wbiegł po schodach prowadzących do gmachu szkoły i znikł

w tłumie odwiedzających targi rzemiosła z szybkością i zręcznością jadowitej żmii, uciekającej w wysoką trawę.

Byli wszędzie. Policjanci. Dziesiątki policjantów.

Szukali go.

Po biegu oddychał ciężko, bolała go klatka piersiowa. Oparł się o zimny wapień ściany jednego z budynków uczelni.

Przed sobą miał teren targów: duży plac, na którym kłębił się tłum ludzi. Spojrzał przez ramię, na zachód, w kierunku, z którego przybiegł. Tędy nie ucieknie, za dużo policji. Po południowej i północnej stronie wznosiły się betonowe budynki. Okna były zamknięte, nie widział żadnych drzwi. Wolna pozostała wyłącznie droga na wschód, przez wielki jak boisko futbolowy dziedziniec, wypełniony stoiskami i tłumem odwiedzających.

Ruszył w tę stronę. Nie ośmielił się biec.

Iluzjoniści doskonale wiedzą, że szybki ruch przyciąga uwagę.

Natomiast ten, kto umie poruszać się wolno, jest niewidzialny.

Spojrzał na wystawione na sprzedaż towary, przychylnie skinął głową niezłemu gitarzyście, roześmiał się z wygłupów obwieszonego balonikami klauna. Robił to, co wszyscy.

Ci, którzy się wyróżniają, przyciągają uwagę.

Ci, którzy wtopią się w otoczenie, stają się niewidzialni.

Ruszył na wschód. Jakim cudem zdołali mnie znaleźć? - pytał sam siebie. Oczywiście spodziewał się, że w ciągu dzisiejszego dnia policja odkryje ciało martwej, utopionej kobiety, lecz okazało się, że gliniarze potrafili działać zdumiewająco szybko. Zupełnie jakby przewidzieli, co zrobi, jakby skądś wiedzieli, że dokona porwania w tej części miasta, może nawet w samej akademii jeździeckiej.

Jakim cudem?

i Jeszcze kilka kroków.

Mijał stoiska, minął budkę ze słodyczami i pokrytą czerwono--biało-niebieskim płótnem scenę, na której występował zespół di-xielandowy. Już widział wyjście: schody prowadzące z placu na Broadway. Od wolności dzieliło go najwyżej piętnaście metrów.

Dziesięć...

I wówczas dostrzegł migające światła. Wydawały się tak jasne jak błysk pirowaty, który umożliwił mu ucieczkę przed rudowłosą policjantką. Pod wyjście podjechały cztery radiowozy, hamując z piskiem opon. Wskoczyło z nich kilku umundurowanych funkcjonariuszy. Dokładnie obejrzel schody, ale pozostali przy samochodach. Jednocześnie przybywali policjanci po cywilnemu. Na jego oczach wchodzili po schodach, dołączali do odwiedzających targi tłumów.

Malerick wiedział już, że jest otoczony. Odwrócił się spokojnie i ruszył w kierunku środka placu.

Tajniacy powoli przesuwali się na zachód. Legitymowali mężczyzn około pięćdziesiątki, gładko ogolonych, noszących lekkie koszule i luźne spodnie. Czyli tych, którzy wyglądali dokładnie tak jak on w tej chwili. Ale... także pięćdziesięciolatków brodatych i inaczej ubranych. Co oznaczało, że policjanci wiedzą o stosowanych przez niego technikach szybkiej zmiany.

Nagle dostrzegł coś, czego bał się najbardziej. Policjantka o stalowym wzroku i płomiennorudych

włosach, która próbowała aresztować go przy dźwigu, pojawiła się przy zachodnim wejściu na plac. Bez wahania weszła w tłum.

Malerick obrócił się, opuścił głowę. Bardzo dokładnie studiował wystawione na stoisku obok tandetne ceramiczne rzeźby. Co mam zrobić? - zastanawiał się w panice. Pod ubraniem, które miał na sobie, pozostał jeszcze tylko jeden kostium do szybkiej zmiany. Tylko jeden.

Ruda policjantka dostrzegła kogoś podobnie jak on zbudowanego i ubranego. Podeszła do tego mężczyzny, obejrzała go dokładnie, po czym odwróciła się i znów wbiła wzrok w tłum.

Dołączył do niej szczupły, brązowowłosy glina, który udzielił Cheryl Marston pierwszej pomocy. Rozmawiali przez chwilę. Była z nim dziewczyna, ale nie sprawiała wrażenia policjantki. Miała krótkie, rudofioletowe włosy i wydawała się raczej szczupłą. Ona także przyglądała się tłumowi. Szepnęła coś policjantce, która odeszła w innym kierunku.

Dziewczyna trzymała się drobnego gliny; oboje zaczęli przeczesywać tłum.

Malerick nie miał wątpliwości, że prędzej czy później go znajdą. Wiedział, że musi uciec z terenu targów, nim na miejscu zjawi się jeszcze więcej policjantów. Dostrzegł rząd plastikowych toalet; wszedł do jednej z nich i w trzydzieści sekund dokonał zmiany.

Wychodząc, uprzejmie przytrzymał drzwi starszej pani, ale ta odwróciła się i uciekła w poszukiwaniu toalety, z której nie korzystał przed nią motocyklista z kucykiem i wielkim od piwa brzuchem, w czapce Pennzoil na głowie, ubrany w wytłuszczoną koszulę Harleja-Davidsona z długimi rękawami i brudne czarne dżinsy. Podniósł leżącą na ziemi gazetę, zwinął ją i wziął w lewą rękę, by ukryć w ten sposób zdeformowane palce. Poszedł w stronę wschodniej części placu. Oglądał naczynia z barwionego szkła, kubki i misy, ręcznie robione zabawki, kryształ, płyty CD. Jeden z policjantów przyglądał mu się przez chwilę, ale zaraz poszedł

swoją drogą.

Malerick był coraz bliżej wschodnich schodów.

Schody prowadzące na Broadway miały może trzydzieści metrów szerokości. Policji udało się je zablokować praktycznie całe. Gliniarze zatrzymywali wszystkich dorosłych, zarówno mężczyzn jak i kobiety, i sprawdzali dokumenty. Szczupły policjant i ruda dziewczyna wyraźnie się do niego zbliżali. Podeszli właśnie do stoiska ze słodyczami. Kobieta szeptała coś do ucha mężczyzny.

Czyżby już go zauważyli?

Nagle poczuł wściekłość... ledwo nad nią zapanował. Przecież tak dokładnie zaplanował przedstawienie! Każdy najmniejszy ruch, każdy najdrobniejszy gest miał służyć jutrzejszemu finałowi! W ten weekend miał dokonać najwspanialszego iluzjonistycznego przedstawienia w historii. I nagle świat wokół niego zaczął się walić. Pomyślał o tym, jak bardzo rozczarowany będzie jego mentor. Pomyślał, że zawiódł swych szacownych widzów. I nagle zorientował się, że drży mu dłoń, w której trzymał mały olejny obrazek Statuy Wolności.

To niedopuszczalne - odpowiedział mu gniew.

Odłożył obraz, odwrócił się, znieruchomiał i... aż westchnął ze zdumienia.

Rudowłosą policjantkę dzielił od niego zaledwie krok. Na szczęście patrzyła w inną stronę.

Natychmiast skupił uwagę na sprzedawcy i z wyraźnym brooklyńskim akcentem zaczął dopytywać się o parę tanich kolczyków. Kątem oka obserwował dziewczynę i widział, jak rzuciła na niego okiem, a potem obróciła się i powiedziała do mikrofonu radiostacji: 153

# A

- Pięć-osiem, osiem-pięć. Proszę o połączenie telefoniczne z Lincolnem Rhyme'em. - Słuchała przez chwilę, po czym znów rozległ się jej głos: - Jesteśmy na targach. Tak, musi tu być. Nie mógł się wydostać przed zamknięciem terenu. Znajdziemy go.

Jeśli będziemy zmuszeni, sprawdzimy wszystkich, ale z pewno ścią go znajdziemy.

Malerick odszedł powoli. W tej chwili wątpił, czy znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji.

Odwrócenie uwagi. Tak, chyba tylko to mu pozostało. Wystarczyło odwrócić uwagę policji na pięć sekund, tylko tyle czasu potrzebował, by przerwać kordon i spokojnie zniknąć w tłumie na Broadwayu.

Tylko... co właściwie może zrobić? Nie ma już petard imitujących strzały z broni palnej.

Podpalić jedno ze stanowisk targowych? Nie, w ten sposób nie uda mu się wszcząć paniki, przynajmniej na tę skalę, jakiej potrzebował.

Znów poczuł gniew... i strach.

I nagle usłyszał głos swego mentora sprzed lat. Był jeszcze chłopcem, gdy jako asystent popełnił na scenie błąd, omal nie psując numeru. Po występie iluzjonista wziął go na stronę.

Malerick pamiętał, że miał łzy w oczach. Stał zawstydzony, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

I wtedy mentor zapytał go:

Co to jest iluzja?

Iluzja to nauka i logika - odparł natychmiast, tak jak go nauczono. Równie automatycznie potrafił odpowiedzieć na setki pytań.

Tak. Nauka i logika. I jeśli coś się zdarzy, jeśli spaprzesz coś sam, spaprze twój asystent albo choćby i Bóg Wszechmogący, mu siesz natychmiast opanować sytuację. Pomiędzy wystąpieniem trudności a reakcją na nie nie może upłynąć choćby sekunda.

Nie wpadaj w panikę. Obserwuj widownię. Zmień nieszczęście w triumf.

Te słowa sprzed lat natychmiast go uspokoiły. Potrząsnął głową, układając kucyk i rozejrzał się dookoła. Wiedział, że znajdzie drogę ucieczki.

Nie wpadaj w panikę. Obserwuj widownię.

Zmień nieszczęście w triumf.

Amelia Sach zerknęła na stojących obok niej ludzi: ojca i matkę z dwójką znudzonych dzieci, motocyklistę w koszuli Harleya, dwie Europejki targujące się o biżuterię. Zauważyła także Bella, stojącego po drugiej stronie placu, przy bufetach. Ale... gdzie znikła Kara? Przecież miała się trzymać blisko któregoś z nich. już chciała pomachać do detektywa, gdy obok przeszło kilka osób, zasłoniło jej widok i straciła go z oczu. Natychmiast ruszyła w tamtym kierunku, rozglądając się dookoła. Uświadomiła sobie, że nagle ogarnął ją nieokreślony niepokój. Zupełnie jak w szkole muzycznej, choć przecież dzień był piękny, słoneczny, a wokół kręciły się tłumy ludzi; sceneria w niczym nie przypominała mrocznej, ponurej, pustej szkoły.

Trochę tu strasznie.

Wiedziała, na czym polega problem. Policjanci patrolu albo „mają czucie”, albo go nie mają.

W policyjnym żargonie „mieć czucie” oznaczało związek z patrolowanym terenem, rozumienie go. Nie wystarczyło znać ludzi i wiedzieć, gdzie znajduje się każda, choćby najciemniejsza alejka; „czucie” oznaczało rozumienie rytmu i języka ulicy, instynktowną orientację w tym, jakich przestępców można spotkać i gdzie, jak działają, co można zrobić, by ochronić upatrzoną ofiarę,

którą możesz przecież być ty.

Jeśli policjant nie czuł swojego rewiru, nie powinien go patrolować i tyle.

Amelia Sachs zrozumiała w tej chwili, że po prostu nie czuje Maga. Być może siedzi w wagonie metra linii numer dziewięć i bezpiecznie jedzie do śródmieścia, być może stoi tuż obok. Nie potrafiła tego wyczuć. Nie wiedziała.

W tej właśnie chwili ktoś przeszedł bardzo blisko, tuż za jej plecami. Poczowała na karku jego oddech czy może muśnięcie cienkiego materiału. Obróciła się szybko, bardzo przestraszona, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu. Doskonale pamiętała, z jaką łatwością Kara najpierw odwróciła jej uwagę, a potem pozbawiła ją broni.

Kilka osób znajdowało się wprawdzie dość blisko, ale to chyba żadna z nich nie minęła jej przed chwilą.

A może jednak?

Od grupy oddalał się kulejący mężczyzna. Nie mógł przecież być Magiem.

A może?

Pamiętaj, że Mag może całkowicie odmienić swój wygląd w ciągu kilku sekund.

Obok niej stali: starsze małżeństwo, motocyklista z kucykiem, trójka nastolatków i wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna

155

w uniformie ConEd. Nie wiedziała nic, była całkowicie zagubiona, bała się o siebie i wszystkich dookoła.

Nie czuła...

I nagle rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk. A potem głos:

-  
Ratunku! Luuudzie! Tutaj! O Boże, ktoś jest ranny.

Amelia wyciągnęła pistolet z kabury i ruszyła w stronę szybko rosnącej grupki ludzi.

Wezwijcie doktora!

Co się stało?

Boże! Nie patrz, kochanie, nie patrz!

Po wschodniej stronie placu, niedaleko stoiska ze słodyczami, zebrał się tymczasem prawdziwy tłum. Ludzie z przerażeniem patrzyli na kogoś leżącego u ich stóp. Amelia przywołała przez radio karetkę. Przepychała się pomiędzy ludźmi.

- Proszę mnie przepuścić...

Dotarła do leżącego bezwładnie ciała i stanęła, jakby wrosła w ziemię.

- O

Boże, nie... - szepnęła.

Patrzyła na najnowszą ofiarę Maga. Kara leżała w kałuży krwi, pokrywającej jej fioletową bluzkę i bruk. Głowę miała odchyłoną, niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w błękitne niebo.

Otępiąła Amelia uniosła policyjne radio do ust. O Boże, nie...

Wypadł lepiej niż marabuci. Ale zdaje się, że omal przy tym nie zginął.

Nie martw się. Już ja dopilnuję, by nie spotkało cię nic podobnego.

Nie dopilnowała. Tak bardzo przejęła się Magiem, że zupełnie zapomniała o dziewczynie.

Nie, nie, Rhyme, trafia się śmierć, z którą nie sposób się pogodzić. O tej tragedii miała już zawsze pamiętać.

A potem, nagle, pomyślała: na żałobę po Karze przyjdzie jeszcze czas. Przyjdzie czas na wyrzuty, przyjdzie czas na konsekwencje popełnionych błędów. Teraz musi zacząć kombinować. Musi na powrót stać się gliniarzem. Mag jest gdzieś blisko. I Mag nie ucieknie.

Jesteś na miejscu przestępstwa, powiedziała sobie, i wiesz, co masz robić.

Po pierwsze: odciąć wszystkie drogi ucieczki.

Po drugie: zamknąć miejsce przestępstwa.

Po trzecie: zidentyfikować, ochronić i przesłuchać świadków/

Obróciła się, spojrzała na policjantów; chciała przekazać im polecenia, ale nim zdążyła powiedzieć choć słowo, rozległ się głos w policyjnym radiu: „Radiowóz cztery-siedem do wszystkich funkcjonariuszy z wezwania dziesięć-dwadzieścia-cztery nad rzeką. Podejrzany opuścił teren po wschodniej stronie targów. W tej chwili jest na West Endzie, dochodzi do ulicy siedem-osiem, idzie na północ, piechotą. Ubrany w dżinsy, niebieską dżinsową koszulę z logo Harleya-Davidsona, ciemne włosy, kucyk, czarna czapka 157

bejsbolówka. Nie widzę broni... znika mi w tłumie... wzywam wsparcia patrolu i dostępnych radiowozów.

Motocyklista! Zrzucił strój biznesmena i dokonał szybkiej zmiany. Zabił Karę, by wprowadzić ich w błąd, a potem prześlizgnął się przez oka sieci, gdy policjanci rzucili się na pomoc ofierze.

Stałam niespełna metr od Maga!

Policjanci zgłaszali się na wezwanie, podejmowali pościg za podejrzanym, który, jak się wydawało, zyskał sporo czasu. Amelia dostrzegła Rolanda Bella: patrzył na ciało Kary, marszczył brwi, podniósł do ucha motorolę i słuchał komunikatów, które i ona mogła słyszeć.

Wymienili spojrzenia i oboje jednocześnie wykonali głowami ruch w stronę, w którą miał ruszyć pościg. Sachs stanowczo poleciła najbliższemu policjantowi patrolu zabezpieczyć miejsce przestępstwa, którego ofiarą padła Kara, wezwać patologa i znaleźć świadków.

Ale... - zaprotestował młody, choć już łysiejący mężczyzna, najwyraźniej niezbyt szczęśliwy, że wydaje mu rozkazy funkcjonariusz z tym samym stopniem.

Żadne ale.. - przerwała mu, nie mając ochoty na dyskusje o stopniach, nie w tej chwili. - Potem możesz poskarżyć się swojemu sierżantowi.

Jeśli facet powiedział coś jeszcze, to go nie słyszała. Ignorując przenikliwy, artretyczny ból, zbiegła schodami po dwa stopnie, za pędzącym przed nią ile sił w nogach Rolandem Bellem.

Tak zaczął się pościg za zabójcą Kary.

Jest szybki.

Ale ja jestem szybszy.

Weteran patrolu z sześcioletnim stażem, Lawrence Burkę, wybiegł z Riverside Park na West End Avenue, zaledwie pięć metrów za uciekającym podejrzanym, głupim dupkiem w koszuli z naszytym emblematem Harleya-Davidsona.

Omijał przechodniów, przedzierał się przez osłonę... tak jak w szkolnej reprezentacji, ścigając napastnika, któremu udało się przejąć podanie.

No i tak jak wówczas, Długonogi Larry zbliżał się do niego nieubłaganie.

Dostał wezwanie nad Hudsonem, dziesięć-dwadzieścia cztery, przestępstwo z użyciem broni, i był w drodze na miejsce, kiedy odebrał informację o pościgu za podejrzanym. Wykonał w tył zwrot i okazało się, że patrzy mu w oczy.



Kolejny cholerny motocyklista. \_ Hej, ty! Stój!

Ale motocyklista nie zamierzał się zatrzymywać. Ominął go zerabnym zwodem i popędził na północ. Wyglądało to na powtórkę meczu z Liceum Woodrowa Wilsona z okazji rocznicy szkoły, siedemdziesięciometrowy pościg za Chrisem Broderickiem i rozpaczliwy rzut, który zatrzymał go o nędzne pół metra przed linią przyłożenia. Teraz też Larry włączył czwarty bieg i ruszył za podejrzanym. Burkę nie wyciągnął z kabury pistoletu służbowego. Broni wolno użyć tylko wobec sprawcy uzbrojonego, stanowiącego zagrożenie dla policjanta lub przypadkowych przechodniów. Wówczas można go powstrzymać wszelkimi środkami, ale strzelenie komuś w plecy fatalnie wygląda podczas przesłuchania, bez którego nie obywa się po użyciu broni, by już nie wspomnieć o rozmowach kwalifikacyjnych do awansu.

- Hej, i tak przegrałeś, sukinsynu - sapnął funkcjonariusz Burkę.

Motocyklista skręcił w przecznicę prowadzącą na wschód. Obejrzał się przez ramię w panice.

Długonogi gliniarz nieuchronnie skracał dystans.

Facet skręcił w lewo, w alejkę. Larry pokonał łuk znacznie zgrabniej od pana Harleya. I ciągle się go trzymał.

Gdzieś policjanci otrzymywali sieci lub paralizatory, lecz nowojorska policja nie była aż tak zaawansowana technologicznie. Zresztą w tym wypadku nie miało to żadnego znaczenia. Larry Burkę był sprawnym futbolistą. Umiał nie tylko biegać, lecz także zatrzymywać napastnika. Gdy dzielił go od niego co najwyżej metr, rzucił się do przodu.

Pamiętał nawet, że trzeba mierzyć wysoko i że to ciało gracza przeciwnej drużyny ma służyć za materac przy lądowaniu.

Jezu Przenajświętszy - sapnął harleyowiec. Poślizgnęli się po asfalcie i obaj wylądowali w górze śmieci.

Niech to szlag! - sapnął Burkę, który przejechał po asfalcie, zdzierając skórę z łokci. - Och, ty skurwielu!

Nic nie zrobiłem! Dlaczego mnie gonisz?

Zamknij się.

Funkcjonariusz Burkę założył podejrzanemu kajdanki, a ponieważ facet wydawał się dziwny i kompletnie popieprzony, specjalną plastikową linką spętał mu także nogi w kostkach.

Zgodnie z regulaminem i mocno. Potem przyjrzał się otartym, krwawiącym łokciom.

159

- O

że ty - syknął przez zęby. - Straciłem przez ciebie metry skóry. Boli jak cholera, skurwysynu.

- Przecież nie zrobiłem nic złego. Poszedłem na targi i tylko...

Burkę splunął na bruk. Kilka razy odetchnął szybko i głęboko.

-

Czego nie zrozumiałeś? - spytał wkurzony. - „Zamknij się”. - Nie mam zamiaru powtarzać... o cholera, jak piecze.

Przeszukał zatrzymanego, znalazł portfel i przejrzał jego zawartość. Nie znalazł ani prawa jazdy, ani kart kredytowych, niczego, co umożliwiłoby identyfikację. Tylko gotówkę.

Dziwne. Ani śladu broni, ani śladu narkotyków; co z niego za motocyklista?

- Może mnie pan straszyć, proszę bardzo. Chcę adwokata. Po dam pana do sądu! Człowieku, jeśli sądzisz, że zrobiłem coś złe go, to bardzo się mylisz.

Młody policjant nie przejął się tą przemową. Podwinął podkoszulek zatrzymanego i dopiero teraz naprawdę się zdziwił. Piers i brzuch motocyklisty pokrywały blizny po jakiejś bardzo poważnej ranie. Wyglądały strasznie. Zaskoczył go także pas, do którego można było wiele schować; takie z żoną nosili w czasie wakacji w Europie. Spodziewał się, że znajdzie w nim trawkę, ale się rozczarował. Mężczyzna ukrył tam spodnie od dresu do joggingu, sweter z golfem, luźne spodnie, białą koszulę i telefon komórkowy. Oraz - co wyglądało szczególnie dziwnie - zestaw do makijażu. A wszystko to zwinięte luźno, jakby zależało mu na tym, by udawać grubasa.

Bardzo dziwne...

Burkę raz jeszcze odetchnął głęboko, wciągając w płuca ohydłą mieszankę zapachów - moczu i śmieci. Wcisnął przycisk motoroli.

Patrol pięć-dwa-jeden-dwa do centrali, ująłem podejrzanego z wezwania dziesięć-dwa-cztery. Ranni?

Brak.

Tylko łokieć cholernie mnie piecze.

Lokalizacja.

Półtorej przecznicy na wschód od West Endu. Czekaście.

Sprawdzą najbliższą przecnicę.

Wyszedł z alejki, podał nazwę ulicy. Pozostało mu tylko czekać, aż pojawią się jego koledzy po fachu. Dopiero teraz zaczął się uspokajać, a jednocześnie rozumiał, jak świetnie mu poszło. Nie musiał użyć broni. Facet leży i kwiczy. Panu Bogu dzięki i---rany, ależ to wspaniałe uczucie! Podobnie czuł się tylko wtedy,

160

kiedy udało mu się zatrzymać Chrisa Brodericka, który padając na brzuch na linii pierwszego jardu, pisnął cienko jak dziewczyna. Przeleciał całe boisko, nie mając zielonego pojęcia, że Długonogi Larry goni za nim i że go dogoni, choć w ostatniej chwili.

- Słuchaj... dobrze się czujesz? - Bell delikatnie dotknął ra mienia Amelii. Ale śmierć Kary wstrząsnęła policjantką do tego stopnia, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Tylko skinęła głową.

Ignorując ból kolan, spowodowany poprzednim wysiłkiem, wraz z Rolandem Bellem pobiegła do miejsca, gdzie zgodnie ze swym meldunkiem radiowym policjant patrolu Bell zatrzymał mordercę.

Czy Kara miała przyjaciela? - pomyślała. Rodzeństwo? O Boże, będą musieli zawiadomić rodziców!

Nie, nie my!

Ja będę musiała to zrobić, zdecydowała. To mój błąd. To ja poprosiłam ją o pomoc.

Zrozpaczona do tego stopnia, że aż zrobiło jej się niedobrze, biegła w stronę alejki. Bell zerknął na nią, odetchnął głęboko. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

Cóż... przynajmniej udało im się złapać Maga.

W głębi serca żałowała jednak, że to nie ona go aresztowała. Żałowała, że to nie ona stanęła z nim twarzą w twarz, trzymając w dłoni broń. Być może użyłaby glocka przed radiotelefonem; w końcu wystarczyłoby postrzelić go w ramię. W filmach rana ramienia to tylko drobne utrudnienie, ugryzienie komara; w najgorszym razie bohater przez kilka dni nosi rękę na temblaku. W rzeczywistości rana ramienia, nawet z broni małego kalibru, zmienia życie człowieka na długo. Czasami na zawsze.

Ale... zabójcę złapano. Będzie oskarżony o wielokrotne morderstwo. Musiała się tym zadowolić.

Nie martw się, nie martw, nie martw...

Kara...

Amelia Sachs uświadomiła sobie, że nie zna nawet jej prawdziwego imienia.

To mój sceniczny pseudonim, ale jego głównie używam. Jest lepszy niż imię, które byli łaskawie nadać mi rodzice.

Takie drobne, nieważne wspomnienie spowodowało, że łzy napłynęły jej do oczu.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że Bell coś do niej mówi.

-

Amelio... hmm... jesteś z nami?

161

Odpowiedziała mu krótkim skinieniem głowy.

Skęcili za rogiem Osiemdziesiątej Ósmej, przy której policjant patrolu złapał Maga. Oba końce ulicy zostały zablokowane przez policyjne radiowozy. Bell dokładnie przyjrzał się ulicy, po czym zerknął w mroczną alejkę.

To tu - powiedział, wyciągając rękę. Gestem nakazał kilku policjantom, zarówno umundurowanym, z patrolu, jak i detektywom po cywilnemu, by poszli z nimi.

Dobra, bierzmy go - poleciła cicho Sachs. - Boże, mam nadzieję, że nic się nie stanie.

Zatrzymali się u wylotu mrocznej alejki. Zajrzeli do środka i zatrzymali się, zdumieni. Nie dostrzegli nikogo.

Przecież to ta ulica - powiedział z wahaniem Bell.

Powiedział: Osiemdziesiąta Ósma, prawda? - spytała Amelia. - Przecznicą na wschód od West Endu. Jestem pewna, że to właśnie powiedział.

Pamiętam - przytaknął detektyw.

No to jesteśmy na miejscu. - Sachs spojrzała w górę i w dół

ulicy. - Nie ma tu żadnej innej alejki.

Nadbiegli jeszcze trzech policjanci.

- Zabłądziliśmy czy co? - spytał jeden z nich, rozglądając się dookoła. - Przecież to nie może być tu.

Bell podniósł radio do ust.

- Patrol

pięć-dwa-jeden-dwa, zgłoś się.

Brak odpowiedzi.

- Patrol

pięć-dwa, na której jesteś ulicy. Potwierdź Osiemdziesiątą Ósmą.

Amelia Sachs weszła w alejkę. I poczuła na sercu wielki ciężar.

-

Och, tylko nie to - szepnęła.

Obok rozgrzebanych śmieci znalazła leżące na bruku otwarte kajdanki, a obok nich przecięte plastikowe więzy.

Otworzył kajdanki i zdołał się jakoś uwolnić! - krzyknęła, rozglądając się dookoła.

Znikli gdzieś czy co? - zdumiał się jeden z policjantów.

Gdzie Larry? - krzyknął drugi.

Może ściga uciekiniera? - spytał ktoś, raczej niepewnie.

- I może jest poza zasięgiem?

Może? - powtórzył Bell, wyraźnie zaniepokojony. Motorole psuły się niezwykle rzadko, a odbiór radiotelefonów w mieście był na ogół lepszy niż większości telefonów komórkowych.

Bell zgłosił wezwanie, dziesięć-trzydzieści dziewięć, uciekający podejrzany, policjant zaginiony lub w pościgu. Spytał centralę, czy mieli jakieś informacje od Burke'a i okazało się, że nie dostali żadnych. I nikt nie informował o strzałach w okolicy.

Amelia Sachs spenetrowała wstępnie alejkę, szukając tropów mogących wskazać, w którym kierunku zbiegł morderca i co mógł zrobić z ciałem funkcjonariusza Burke'a, jeśli jakimś cudem udało mu się odebrać policjantowi broń i go zabić. Ale ani ona, ani Bell nic nie znaleźli, dosłownie nic. W końcu dołączyli do grupy policjantów stojących u wylotu alejki.

Co za straszny dzień. Dwie ofiary, a jeszcze nie minął ranek. No i Kara, oczywiście.

A teraz jeszcze zaginął funkcjonariusz policji.

Zdjęła z ramienia mikrofon radiotelefonu SP-50. Czas połączyć się z Rhyme'em. O, Boże, nie chcę o tym rozmawiać. Wywołała centralę i poprosiła o przekierowanie rozmowy. Kiedy czekała na połączenie, ktoś ją pociągnął za rękaw.

Obróciła się. Westchnęła zaskoczona, puściła mikrofon, który bezwładnie kołysał się przy jej boku.

Przed nią stały dwie osoby. Jedną z nich był łysiejący policjant, któremu zaledwie dziesięć minut temu wydawała rozkazy. Drugą była... Kara! Kara w policyjnej kurtce!

Dziewczyna przyjrzała się alejce i spytała: No i gdzie się podział?

162

Nic ci nie jest? - spytała Amelia niepewnym, drżącym głosem. - Co... co się właściwie stało?

- Stało? - Kara wyraźnie się zdziwiła, widząc jej zdumione spojrzenie. - Oczywiście, nic mi nie jest. - Czy... czy ty naprawdę o niczym nie wiedziałaś?

Łysiejący glina spojrzał na Sachs, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Przecież próbowałem wyjaśnić, o co chodzi - tłumaczył.

-

Ale pani uciekła, nim zdążyłem otworzyć usta.

-

Co wy...? - Głos zawiódł Amelię Sachs. Była tak zaskoczona

- i

czuła tak wielką ulgę - że przez chwilę nawet nie oddychała.

- Byłaś pewna, że naprawdę mnie zabił - szepnęła Kara.

- O

Boże!

Podszedł do nich Bell. Kara kiwnęła głową, wskazując Amelię.

Ona nic nie wiedziała.

O czym?

O naszym planie. Czyli o mojej fałszywej śmierci.

Twarz Bella wykrzywił grymas zdumienia.

O Boże! Więc sądziłaś, że ona naprawdę nie żyje?!

Łysiejący policjant z patrolu znów spróbował włączyć się w rozmowę.

Chciałem jej wszystko powiedzieć - tłumaczył. - Ale najpierw gdzieś znikła, a kiedy już ją

znalazłem, kazała mi zabezpieczyć miejsce zbrodni, wezwać lekarza i ucieka.

Rozmawiałam z Rolandem. - Kara uznała, że pora na wyjaśnienia. - Wyszło nam, że Mag może zrobić coś naprawdę złego, podpalenie albo nawet kogoś zabić. No wiesz, po to, żeby nas zmylić i uciec. Postanowiliśmy wykonać własną zmyłkę.

164

- Chodziło o to, żeby wykurzyć go z tłumu - dodał Bell. - Kupiliśmy trochę keczupu, Kara wylała go na siebie i zaczęła wrzeszczeć.

Dziewczyna rozchyliła policyjną kurtkę. Miała pod nią bluzkę na ramiączkach, zaplamioną na czerwono.

- Martwiłem się trochę, że kilka osób na targach mocno się przestraszy... - ciągnął detektyw. Rzeczywiście.

...ale uznaliśmy, że to i tak lepiej, niż gdyby Mag miał do kogoś strzelić albo zakłuć nożem. -1 Bell dodał dumnie: -To był jej pomysł. Powiedzielibym, że doskonały.

Zaczynam go wyczuwać - dodała jeszcze Kara.

Jezu! -Amelia trzęsa się na całym ciele. -To było takie rze czywiste.

-  
Ma talent dziewczyna. - Bell pokiwał głową z uznaniem.

Amelia przytuliła ją, następnie odsunęła się i powiedziała surowo:

-  
Od tej pory masz trzymać się blisko mnie. Albo przynajmniej informować o swoich pomysłach. Ciągle jeszcze za młoda jestem na atak serca.

Czekali jakiś czas, ale nie dostali żadnej informacji o tym, by podejrzanego zauważono w okolicy. Roland Bell podjął wreszcie decyzję.

- Amelio,  
zostań i przeszukaj teren. Ja przesłucham ofiarę.

Może dowiemy się od niej czegoś interesującego? Spotkamy się na targach.

Samochód do badania miejsc przestępstw stał przy Osiemdziesiątej Ósmej ulicy. Podeszła do niego, zaczęła wyjmować konieczny sprzęt. Zaskoczył ją głos z wiszącej przy pasie słuchawki. Włożyła ją do ucha, poprawiła mikrofon.

Pięć-osiem-osiem-pięć. Powtórz.

Sachs, co się dzieje, do cholery? Słyszałem, że go macie, a potem zniknął.

Pokrótkie nakreśliła Rhyme'owi sytuację i wyjaśniła, jak zawierzano wykurzyć Maga z zatłoczonego placu.

Pomysł Kary? Udawała martwą? Hmmm... - Takie chrząknięcie było jednym z największych komplementów, jaki padał z ust Lincolna Rhyme'a.

Ale sprawca znikł - kontynuowała Amelia. - I nie możemy znaleźć funkcjonariusza, który go aresztował. Może go ściga, ale nie mamy z nim łączności. Roland przesłuchuje uratowaną przez kobietę. Mamy nadzieję, że się od niej czegoś dowiemy?

165

W porządku. Rozejrzyj się na miejscu, dobrze?

Miejscach - poprawiła go Amelia. - Kawiarnia, teren wokół stawu i alejka, gdzie w tej chwili jestem. Za dużo tego, do cholery!

Im więcej, tym lepiej - odparł Rhyme. - Zwiększa to szansę znalezienia czegoś użytecznego.

Rhyme miał oczywiście rację.

Trzy miejsca przestępstwa dostarczyły wartościowych dowodów. Choć... Amelii trudno było je zbadać i to z raczej niezwykłego powodu. Otóż w każdym z nich czuć było obecność Maga, przynajmniej jako upiora. Upiora stale obecnego, czającego się gdzieś blisko.

Nieruchomiała co chwila, szukała dłonią kolby glocka, a nawet odwracała się, sprawdzając, czy morderca nie czai się za jej plecami.

Szukaj starannie, ale oglądaj się przez ramię.

Tak naprawdę nikogo nie zauważyła. Tylko, że... Świetlana Ra-snikow też nie widziała mordercy, zrzucającego czarną tkaninę i skradającego się ku niej w cieniu.

Terry Calvert nie widział go, kiedy wszedł w alejkę zwabiony miauczeniem zabawki udającej kota, gdyż zabójca ukrywał się za fałszywym lustrem.

Nawet Cheryl Marston nie widziała Maga, choć przecież patrzyła wprost na niego. Dla niej był sympatycznym, atrakcyjnym mężczyzną; ani jej w głowie powstało, że szykuje dla niej tak straszną śmierć.

Sachs przeszła po siatce we wszystkich trzech miejscach, zrobiła zdjęcia cyfrowe i oddała pole ekipie medycznej oraz fotografom. Następnie wróciła na teren targów, gdzie spotkała się z Rolandem Bellem. Detektyw zdołał porozmawiać z kobietą, nim odwieziono ją do szpitala.

Nie mogli oczywiście polegać na tym, co Mag jej mówił („Kupa śmierdzących łgarstw” - określiła to dobitnie Cheryl), ale przynajmniej mieli teraz dobry opis sprawcy, w tym charakterystycznych blizn. Marston pamiętała także, że zatrzymał się przy samochodzie, rozpoznała markę, pamiętała także kilka pierwszych znaków numeru rejestracyjnego. To była dobra wiadomość. Istnieją setki sposobów, by skojarzyć samochód ze sprawcą lub ze świadkiem. Lincon Rhyme nazywał samochody „generatorami dowodów”.

Wydział Komunikacji poinformował, że odpowiadająca opisowi ciemna mazda 626 przed tygodniem skradziona została z lotniska w White Plains. Sellitto natychmiast skontaktował się ze wszystkimi agendami policyjnymi z prośbą, by rozpoczęły poszukiwania tego właśnie wozu, a jednocześnie wysłał patrol na poszukiwania wokół miejsca przestępstwa, choć nikt się nie łudził, by udało się znaleźć Maga w tak prosty sposób.

Bell kończył opowieść o ciężkich przeżyciach Cheryl Marston, kiedy przerwał mu funkcjonariusz patrolu, przyjmujący zgłoszenie centrali.

Detektyw Bell? Proszę mi przypomnieć, co to był za samo chód. Ten, który miał prowadzić morderca.

Ciemna mazda. FET dwa-trzy-siedem.

To ta! - powiedział policjant do mikrofonu, a potem na użytek Bella i Sachs dodał: - Właśnie dostałem wiadomość. Nasz ra diowóz dostrzegł ją na Central Park West. Pojechali za nim i wie pan co? Przeskoczył krawężnik i wjechał do parku! Nasi próbo wali powtórzyć tę sztuczkę, ale zawiesili się na nasypie i musieli przerwać pościg.

CPW i co dalej? - spytała natychmiast Sachs.

Chyba Dziewięćdziesiąta Druga.

Prawdopodobnie ucieka teraz pieszo - powiedział Bell.

Będzie uciekał pieszo - poprawiła go Amelia. - Ale najpierw zechce odskoczyć od pościgu. - Wskazała skrzynki z zebranymi przez siebie dowodami. - Zabierz je do Rhyme'a - krzyknęła i

dziesięć sekund później siedziała już za kierownicą camaro, słu chając basowego pomruku potężnego silnika. Założyła rajdowe szelki, mocno docisnęła parciane pasy.

- Amelio, czekaj! - krzyknął Bell. - Pomoc jest już w drodze. W odpowiedzi usłyszał tylko przeraźliwy pisk opon. W powietrze wzbijała się chmura niebieskiego dymu z bezlitośnie palonych goodyearów.

Camaro wyjechał na Central Park West poślizgiem. Pomknął na północ. Amelia skupiła się wyłącznie na uniknięciu zderzenia z przechodniami, poruszającymi się w ślimaczym tempie kompaktowymi samochodzikami i rolkarzami.

I jeszcze te matki z dziećmi w wózkach. Były dosłownie wszędzie! Boże, czy te dzieciaki nie powinny siedzieć w domach i spać?!

Wystawiła na dach policyjnego koguta, którego podłączyła do gniazda zapalniczki. Docisnęła gaz, prawą ręką uderzając w klakson w rytm migającego niebieskiego światła.

Nagle zobaczyła przed sobą szarą smugę.

167

O, cholera! Wcisnęła hamulec, unikając zderzenia z facetem który w tej właśnie chwili zdecydował się zawrócić. Camaro zatrzymał się kilka centymetrów od samochodu, który pewnie mogłaby sobie kupić... ale za dwuletnią pensję.

Znów przyspieszyła. Wspaniały, stary produkt General Motors odpowiedział chętnie i błyskawicznie. Udało się jej jakoś utrzymać prędkość poniżej osiemdziesiątki do chwili, gdy na ulicy, gdzieś w okolicach Dziewięćdziesiątej zrobiło się jakby luźniej. I wówczas w zaledwie kilka sekund przyspieszyła do stu piętnastu.

W słuchawce motoroli, leżącej na siedzeniu pasażera, rozległy się jakieś szумы i trzaski.

Jedną ręką założyła ją na głowę.

Co jest? - krzyknęła do mikrofonu, nie próbując już nawet udawać, że stosuje przyjęte w policji standardy komunikacji.

Amelia? Tu Roland. - Bell także zarzucił procedury.

Mów.

Posłaliśmy za tobą nasze samochody.

A on, gdzie jest? - spytała, przekrzykując ryk silnika.

Chwileczkę... aha, wyjechał z parku na Central Park North.

Otarł się o ciężarówkę i ucieka dalej.

W którą stronę?

To było... zaraz! Niespełna minutę temu. Jedzie na północ.

Rozumiem.

Ucieka do Harlemu? - zdziwiła się Amelia. Z tej części miasta można było wyjechać kilkoma drogami, wątpiła jednak, by Mag wybrał którąś z nich, ponieważ prowadziły na mosty, a przejazd przez większość był płatny. Przy bramce łatwo byłoby go złapać.

Najprawdopodobniej porzuci samochód w jakimś spokojnym miejscu i ukradnie następny.

W słuchawkach rozległ się inny głos.

Sachs, mamy go!

Gdzie, Rhyme?

Skręcił na zachód w Sto Dwudziestą Piątą. Zbliża się do Piątej Alei.

Jestem przy Jeden-Dwa-Pięć, skrzyżowanie z Adam Clayton Powell. Spróbuję go zablokować. Potrzebuję wsparcia!

Pracujemy nad tym. Jak szybko jedziesz?

Szczerze mówiąc, nie patrzę na prędkościomierz.

- Szczerze

mówiąc, dobrze robisz. Nie odrywaj wzroku od drogi-

Migając światłami, z dłonią na klaksonie, Amelia przejechała ruchliwe skrzyżowanie na Sto Dwudziestej Piątej. Obróciła camaro w miejscu o dziewięćdziesiąt stopni, blokując dwa prowadzące na zachód pasy. Wyskoczyła na drogę z pistoletem w dłoni. Kilka samochodów zatrzymało się na pasach prowadzących na wschód.

Amelia krzyczała do kierowców: „Uciekajcie! Akcja policji. Opuśćcie samochody. Kryjcie się!”. Kierowcy, kurierzy w mundurkach McDonalda, bez wahania dostosowali się do jej poleceń.

W ten sposób zablokowane zostały wszystkie pasy Sto Dwudziestej Piątej.

Do wszystkich! Kryjcie się!

O, kurwa!

Dobrze powiedziane!

Spojrzała w prawo. Czterech chłopaków z jakiegoś młodzieżowego gangu, wiszących na poręczy z łańcucha, najwyraźniej zainteresowało się austriackim pistoletem oraz antykiem z Detroit i ładną rudą babką. Większość przypadkowych gapiów skorzystała z rady Amelii i znalazła sobie jakąś osłonę, ale ta czwórka została na miejscu i najwyraźniej świetnie się bawiła. Pewnie myśleli, że na ich oczach kręca film z Wesleyem Snipesem.

Pojawiła się mazda, przeskakująca z pasa na pas, pędząca na zachód, na zaimprovizowaną blokadę. Mag nie zauważył, że ją założono, i minął jedyną ewentualną drogę ucieczki w bok.

Wcisnął hamulce, samochód zarzucił, ale kierowca zdołał go zatrzymać. Za sobą miał śmieciarkę, odcinającą mu drogę odwrotu. Śmieciarze błyskawicznie zorientowali się, co się dzieje, i zwiali, zostawiając blokujący drogę samochód.

Amelia spojrzała na nastolatków.

- Padnij! - krzyknęła.

Uśmiechnęli się kpiąco i zupełnie ją zignorowali.

Wzruszyła ramionami, oparła ręce na dachu camaro, zgrała muszkę i szczerbinę, mierząc w przednią szybę nadjeżdżającego samochodu.

A więc miała go wreszcie jak na widelcu. Miała Maga. Widziała go; jego twarz i niebieską koszulę harleyowca. Fałszywy kucyk Pod czarną czapką powiewał w lewo i w prawo. Mag rozpaczliwie szukał drogi ucieczki.

Ale nie miał gdzie uciekać.

-

Hej, ty! Kierowco mazdy! Wsiądź z samochodu i połóż się na ziemi!

Żadnej odpowiedzi.

-

Sachs - odezwał się w słuchawce głos Rhyme'a. - Czy mo żesz...

169

Amelia zdarła słuchawki z głowy. Cały czas mierzyła w głowę kierowcy.



Masz broń, więc równie dobrze możesz jej użyć.

Tak, słyszała w głowie słowa Mary Shanley. Odetchnęła głęboko i natychmiast się uspokoiła.

Broń trzymała wymierzoną wprost w głowę podejrzanego, nieco wyżej, nieco w lewo; poprawka na siłę ciężenia i lekki wiosenny wiatr.

Kiedy strzelasz, istniejesz tylko ty i cel. Wiązą was niewidzialne więzy, niewidzialna energia światła. Zdolność trafienia w cel zależy wyłącznie od tego, skąd ta energia pochodzi. Jeśli biegnie z głowy, możesz trafić w to, w co mierzysz, lecz jeśli biegnie z serca, prawie zawsze trafiasz. Ofiary Maga: Tony Calvert, Świetlana Rasnikow, Cheryl Marston, policjant Larry Burke, udzieliły jej swej energii. Wiedziała, że nie może chybić.

No... - pomyślała. No już, ty sukinsynu. Jedź. Spróbuj, czy ci się uda.

Dawaj...!

Potrzebuję powodu, choćby najdrobniejszego...!

Samochód ruszył, bardzo powoli. Palec policjantki dotknął nie osłony, lecz samego spustu.

Mag jakby to wyczuł. Zahamował natychmiast.

- Jedź... jedź... - szepnęła Amelia Sachs.

Doskonale wiedziała, co zrobić w tej sytuacji. Jeśli spróbuje tylko przejechać obok niej, przestrzeli koło lub uszkodzi chłodnicę z wiatraczkiem i będzie próbowała wziąć go żywcem, ale jeśli ruszy na nią lub będzie chciał przejechać przez krawężnik, narażając na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi, zabije go bez wahania.

Hej, babka! - krzyknął jeden ze stojących na chodniku na stolatków.

Załatw sukinsyna! - wrzasnął drugi.

Daj mu popalić.

Nie musicie mnie namawiać, chłopcy. Jestem gotowa, mam ochotę i mogę...

Uznała, że jeśli zbliży się do niej jeszcze o trzy metry, zacznie strzelać, niezależnie od szybkości, z jaką będzie jechał. Silnik beżowej mazdy ryknął i ucichł. Dostrzegła, choć może tylko tak jej się wydawało - że samochód drgnął.

Trzy metry. Proszę. To tak niewiele.

Silnik znów ryknął... i ucichł.

Zrób to! - pomyślała Amelia. Błagalnie.

170

I nagle dostrzegła, jak za mazdą przystaje wielki żółty autobus. Wypełniony dziećmi.

Odjeżdżał od krawężnika, próbował łączyć się do ruchu; kierowca nie podejrzewał nawet, co tu się dzieje. Autobus zatrzymał się ukosem pomiędzy mazdą a śmieciarką.

Nie...

Nawet celny strzał niósł poważne niebezpieczeństwo; po trafieniu w cel pocisk mógł przecież rykoszetować, trafić niewinnych ludzi.

Amelia Sachs zdjęła palec ze spustu, uniosła broń, kierując lufę w powietrze. Przez przednią szybę obserwowała kierowcę. Widziała, jak porusza głową: zerknął w górę, zerknął w prawo.

Obserwował autobus w lusterku wstecznym. A potem doznała wrażenia, że Mag patrzy wprost na nią. I że uśmiecha się, wie, że

nie będzie strzelała.

Opony mazdy zapiszczały głośno; przeraźliwy dźwięk poniósł się ulicą. Samochód popędził przed siebie, nabierając prędkości, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt... aż do dobrych

osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Mag pędził wprost na policjantkę i na jej camaro, o wiele jaskrawsze i bardziej żółte niż szkolny autobus, samą swą obecnością dający przestępcy osłonę.

W chwili gdy Mag zdecydował się ruszyć, Amelia Sachs wskoczyła na chodnik. Postanowiła spróbować strzału pod kątem. Uniosła broń, wymierzyła w jego głowę z wyprzedzeniem około półtora metra. Niestety, w tle miała dziesiątki witryn sklepo-fiWych, mieszkania, ludzi na chodniku. Ryzyko oddania choćby jednego strzału było nie do przyjęcia.

Ale kibice nie zamierzali odpuścić.

Hej, suko, załatw skurwiela!

Na co czekasz?

Amelia opuściła broń. Przygarbiona, rozczarowana, patrzyła, jak mazda zbliża się do jej camaro.

Nie! Nie! Tylko nie to!

Pamiętała, jak ojciec kupił jej ten wspaniały sportowy samochód z 1966 roku. Wówczas był to wrak, kupa złomu. Wspólnymi siłami zrekonstruowali silnik i zawieszenie, wymienili skrzynię biegów oraz odchudzili go, dzięki czemu jego osiągi stały się wręcz niebotyczne.

Tylko camaro i miłość do pracy w policji były tym, co ojciec przekazał jej na zawsze.

Dziesięć metrów przed camaro Mag obrócił kierownicę ostro w lewo, kierując się wprost na klęczącą Amelię, a gdy odskoczyła, skontrował i znów ruszył wprost na jej wóz. Wpadł w poślizg, samochód niebezpiecznie zbliżył się do krawężnika. Pod ostrym kątem uderzył

camaro w drzwi po stronie pasażera i prawy błotnik, obracając je i popychając w kierunku przeciwległego chodnika-Entuzjastycznie nastawieni chłopcy rozbiegali się w panice.

Amelia rzuciła się w bok. Wylądowała na betonie, na czworakach; artretyczny ból omal nie pozbawił jej przytomności. Camaro stał tuż obok, maskę opuszczoną miał ku ziemi, tył wzniesiony,

172

oparty na starym blaszanym pomarańczowym koszu na śmieci, który wtoczył mu się pod podwozie.

Mazda w dzikich poślizgach dobiła do chodnika po drugiej stronie ulicy. Amelia poderwała się na równe nogi, ale nie pofatygowała się nawet, by wymierzyć w uciekający samochód.

Spojrzała na swojego camaro. Prawa strona była mocno zgnieciona, pas przedni także, ale oderwany błotnik nie blokował koła. Tak, prawdopodobnie mogła jeszcze złapać Maga.

Wskoczyła za kierownicę, przekręciła kluczyk w stacyjce, wrzuciła pierwszy bieg. Ryknął silnik, obrotomierz skoczył na pięć tysięcy, ale samochód stał jak wmurowany w ziemię. Co się stało. Czyżby skrzynia...?

Wychyliła się przez okno. No tak, jej antyk miał napęd na tylne koła, które teraz obracały się w powietrzu. Camaro wisiał na tym nieszczęsnym koszu! Sachs westchnęła, uderzyła pięściami w kierownicę. Niech to diabli. Mazda dojeżdżała już do trzeciej przecznicy. Mag nie uciekał za szybko, jego samochód też ucierpiał. Nadal miała szansę go dorwać.

Tylko że do tego jej cholerny samochód musi stanąć na kołach!

Powinna...

Nagle stary camaro drgnął i zaczął przesuwać się to w przód, to w tył.

Jedno spojrzenie w lusterko wsteczne wyjaśniło sprawę. Trzej jej młodociani wielbiciele zrzucili kurtki mundurowe z demobilu i usiłowali teraz zepchnąć samochód z przeszkody.

Czwarty, najwyższy i najmocniej zbudowany, powoli podszedł do okna od strony kierowcy.

Pochylił się i uśmiechnął szeroko, błyskając złotym zębem, wyraźnie rzucającym się w oczy na tle ciemnej twarzy.

- Cześć!

Amelia skinęła głową i spojrzała mu wprost w oczy.

Chłopak obejrzał się na kumpli.

-

Hej wy, czarnuchy, pchnijcie pieprzoną brykę. Bo na razie to tylko bijecie konia.

- Odpierdol

się - padła elegancka odpowiedź, najwyraźniej nieurazająca nikogo z obecnych.

- Słuchaj, dziewczyno, zepchniemy cię, nie ma strachu. Czym chciałaś załatwić tego skurwiela?

~ Glockiem. Czterdziestką. Chłopak zerknął na jej kaburę. ~ Cudo. Dwudziestkatrójka? C?

173

Nie. Pełnowymiarowy.

Kapitałna zabawka. Ja mam smittiego. - Odchylił bluzę wyglądającą tak, jakby wyciągnął ją ze śmietnika. Trochę przekor nie, ale bardziej z dumą pokazał obtartą metalową rękojeść samopowtarzalnego smith&wesson. - Ale kiedyś zdobędę takie go glocka jak ten twój.

Co my tu mamy, pomyślała Amelia. Uzbrojony nastolatek. Ciekawe, co w tej sytuacji zrobiłby prawdziwy sierżant?

Tył samochodu spadł z kosza. Koła stały pewnie na asfalcie. Można jechać. Niech i tak będzie. Cokolwiek powinien zrobić w tych okolicznościach prawdziwy sierżant, nie miało już dla niej znaczenia. Ważne jest „czucie”.

- Dzięki, panowie - powiedziała i dodała groźnie: - A ty uwa żaj. Jeśli kogoś tym skrzywdzisz, ja cię poszukam. Rozumiesz?

Chłopak pożegnał ją wesołym błyskiem złotego zęba. Sprzęgło, pierwszy bieg, ryk silnika, czarny ślad spalonej gumy na asfalcie. Setka w osiem sekund.

-

Szybciej, szybciej, szybciej! - szeptała do siebie Amelia, wpatrzona w niemal niewidoczny błysk jasnego brązu. Chevrolet kołysał się niebezpiecznie i drżał, jednak jechał mniej więcej prosto. Udało jej się nawet nałożyć na głowę słuchawki z mikro fonem na pająku, wywołać centralę, zameldować o pościgu za sprawcą i zażądać wsparcia.

Błyskawiczne przyspieszenia, gwałtowne hamowania - zatłoczonych uliczek Harlemu nie projektowano z myślą o szybkich policyjnych pościgach. Ale Mag napotykał przecież po drodze te same przeszkody, a nie był ani w połowie tak dobrym kierowcą. Odległość między samochodami zmniejszała się, choć powoli. I nagle Mag skręcił na szkolne podwórko, na którym kilka dzieciaków grało w koszykówkę do jednego kosza, a kilka innych objało o mur piłki do softballu. Tłoku tu nie było; na bramie wisiała kłódka i ci, którzy pragnęli sportowych rozrywek, musieli przeciskać się przez dziury w ogrodzeniu z wciągniętymi brzuchami, przybierając najbardziej nieprawdopodobne pozy, albo ryzykować wspinaczkę na siatkę sześciometrowej wysokości.

Takie ogrodzenie nie mogło jednak zatrzymać samochodu. Wystarczyło lekko przycisnąć pedał. Zerwany łańcuch wyleciał w powietrze, brama otwarła się z trzaskiem, dzieciaki uciekały spod kół, niektóre w ostatniej chwili. Mazda popędziła w kierunku ogrodzenia po przeciwnej stronie.

174

Amelia Sachs wahała się przez ułamek sekundy, ale nie zdecydowała się powtórzyć tego wyczynu; nie w samochodzie po wypadku i wśród dzieciaków. Okrążyła przecznicę, modląc się, by złapać mazdę po przeciwnej stronie szkolnego boiska. Weszła w zakręt poślizgiem i z całej siły wcisnęła hamulce.

Ani śladu jasnobrażowej mazdy. Ani śladu Maga.

Przecież nie mógł uciec! Zniknął jej z oczu na jakieś dziesięć sekund, kiedy objeżdżała podwórko i budynek szkoły. Jediną drogą ucieczki była krótka, ślepa alejka, kończąca się gęstwiną krzaków i młodych drzewek. Dalej, po wysokim nasypie, biegła Harlem River Drive, a za nią znajdowało się brudne, zaśmiecone, błotniste zejście do rzeki.

A więc udało mu się zwiać... a ona za jedyny dowód pościgu miała samochód, którego blacharka będzie kosztowała pięć tysięcy dolców. Jak dobrze pójdzie.

Zatrzeszczało policyjne radio.

-

Do wszystkich jednostek w sąsiedztwie Adam Clayton Powell i Jeden-Pięć-Trzy. Informuję: mamy dziesięć-pięć-cztery.

Wypadek samochodowy, prawdopodobnie ranni.

- Informuję, że pojazd wpadł do rzeki Harlem. Powtarzam, pojazd wpadł do rzeki Harlem.

A może to on ?

Zgłaszam się do zbadania miejsca przestępstwa, pięć-osiem-

-osiem-pięć. Dotyczy dziesięć-pięć-cztery. Znacnie markę pojazdu?

Mazda albo toyota, nowy model, beżowa.

W porządku. Centrala, moim zdaniem to pojazd podejrzane go z pościgu w Central Parku. Jestem dziesięć-osiem-cztery na scenie. Koniec.

Potwierdzam, pięć-osiem-osiem-pięć, bez odbioru.

Sachs podjechała do końca ślepej alejki i zaparkowała na chodniku. Wysiadała z samochodu, gdy obok pojawiła się karetka pogotowia i furgonetka jednostki ratowniczej. Obie przetoczyły się powoli przez krzaki, po śladzie zostawionym przez mazdę. Poszła za nimi, starając się omijać gruz i śmieci.

Gdy znaleźli się na drodze, Amelia dostrzegła przede wszystkim szopy i szałas bezdomnych, głównie mężczyzn. We wszechobecnym błocie więcej było śmieci, resztek urządzeń domowych i rdzewiejących szkieletów samochodów niż krzaków.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, iż Mag spodziewał się zna-kźć za krzakami drogę, dlatego wjechał w nie z dużą szybkością. Siady opon wskazywały na ostre hamowanie, które we wszech-175 obecnym błocie spowodowało niekontrolowany poślizg. Samochód rozbił kilka szałasów, by wreszcie spaść do wody ze zrujnowanego pomostu.

Dwóch policjantów pomagało mieszkańcom zniszczonych szałasów wydostać się ze szczątków domostw - na szczęście nikt nie został ranny - reszta obserwowała rzekę w nadziei znalezienia kierowcy. Amelia porozumiała się Rhyme'em i Sellitem. Detektywa poprosiła, by zgłosił żądanie priorytetu i jak najszybciej przysłał jej ruchome laboratorium badania miejsca przestęp-stwa.

-

Dorwali go, prawda, Amelio? Powiedz mi, że go dorwali

- błagał Sellitto.

Sachs spojrzała na pokrytą tłustymi plamami oleju i błyszczącą warstewką benzyny, marszczącą się na lekko falującej powierzchni rzeki.

- Przepadł bez śladu - powiedziała krótko.

Zakończyła rozmowę, podeszła do grupki rozmawiającej z ożywieniem po hiszpańsku, mijając po drodze strzaskaną toaletę i cuchnące torby ze śmieciami. Mężczyźni trzymali wędkę; w tym miejscu często łowiono na dżdżownice okonie i lufary. Było oczywiste, że wędkarze pili, ale najwyraźniej z umiarem, bo wypowiadali się dość zrozumiale. Samochód szybko pokonał krzaki, po czym wpadł do rzeki. Wszyscy widzieli za kierownicą mężczyznę w czapce i byli pewni, że nie wyskoczył.

Sachs porozmawiała także z Carlosem i jego przyjacielem, mieszkańcami zdemolowanego przez mazdę szałas. Obaj byli dość pijani, a poza tym podczas wypadku siedzieli „w domu” i nic nie widzieli. Carlos popadł nawet w wojowniczy nastrój i twierdził, że miasto jest mu coś winne za zniszczoną „własność”. Dwaj inni świadkowie, którzy podczas wypadku grzebał w plastikowych torbach w poszukiwaniu puszek i butelek, potwierdzili opowieść wędkarzy.

Podjeżdżały kolejne samochody policyjne. Pojawiła się nawet telewizja z wycelowanymi obiektami kamer w zrujnowany szałas i policyjną motorówkę, z której zeskakiwali do wody dwaj płetwonurkowie.

Teraz, kiedy działania ratunkowe przeniosły się na rzekę, Amelia Sachs mogła zająć się brzegiem. W camaro nie miała wprawdzie odpowiedniego sprzętu, ale zawsze wozila ze sobą żółtą taśmę i odgrodziła teren, który zamierzała zbadać. Kiedy kończyła, nadszedło ruchome laboratorium do badania miejsc zbrodni. Amelia wezwała centralę, która z kolei połączyła ją z Rhyme'em.

Słuchaliśmy komunikatów. Nurkowie nic nie znaleźli?

Nie sądzę.

A więc udało mu się uciec?

Świadkowie twierdzą, że nie. Zamierzam przyjrzeć się bliżej brzegowi. By nie zapeszyć.

Nie zapeszyć? - zdziwił się Rhyme.

Jasne. Ciężko się napracuję, a nurkowie z pewnością znajdą ciało i okaże się, że tylko traciłam czas.

Przecież i tak odbędzie się dochodzenie...

Rhyme, to był żart!

Jasne, oczywiście, ale ten facet nie nastraja mnie do śmiechu. Zaczynaj siatkę.

Amelia posłusznie zniosła jedną z walizek ze sprzętem pod taśmę i otwierała ją, kiedy usłyszała zaniepokojony głos:

- Mój

Boże, co tu się dzieje! Czy nikomu nic się nie stało?

Przez tłumek zebrany wokół ekipy telewizyjnej przedarł się Latynos o imponująco bujnej czuprynie, w dzinsach i sportowej marynarce. Z wielkim niepokojem spojrzał na zrujnowany szałas, a następnie, całkiem nieoczekiwanie, pobiegł w jego kierunku.

-

Hej! - krzyknęła Amelia, ale mężczyzna jej nie usłyszał. Zanurkował pod żółtą taśmę i pobiegł w kierunku szałas po śladach mazdy, zapewne zdeptując i niszcząc wszystkie pozostałości po tym, co Mag mógł wyrzucić z samochodu lub co mogło wypaść podczas wypadku. A nawet ewentualne odciski stóp mordercy, jeśli udało mu się wyskoczyć z samochodu, czego nie potwierdzali świadkowie.

Nauczyła się już podejrzewać wszystkich, więc od razu spojrzała na lewą rękę faceta. Nie, nie miał zrosniętych palców, więc Magiem być nie mógł. Lecz kim w takim razie był? I co do cholery

robił na jej miejscu przestępstwa?

Tymczasem mężczyzna rozrzucał na boki resztki szalasu, szperał wśród potrzaskanych desek, dykty, kawałków blachy falistej, ciskając nimi przez ramię.

Hej, ty, wynoś się stąd! - krzyknęła.

Przecież ktoś tu może być!

Jest pan na miejscu przestępstwa! - Amelia była już naPrawdę wściekła. -To zabronione!

~ Przecież ktoś tu może być! - powtórzył mężczyzna.

177

-

Nie, nie, nie! Sprawdziliśmy. Nie ma nikogo. Nikomu nic się nie stało! Hej, człowieku, słyszysz, co do ciebie mówię? Czy ty mnie słyszysz?

Może ją słyszał, może nie, w każdym razie dla niego nie miało to żadnego znaczenia. Nadal energicznie grzebał w szczątkach szalasu. Po co on to robił? Ubrany był dobrze, miał złotego role-xa; pijany Carlos z pewnością nie był żadnym jego krewnym.

Przypomniała sobie jedną z najsłynniejszych modlitw gliniarza: „Boże, chroń mnie przed zatroskanymi obywatelami”. Skinęła ha dwóch stojących najbliżej policjantów patrolu.

-

Zabierzcie go! - rozkazała.

Latynos nie stracił nic z rozpierającej go energii.

-

Sanitariusze! Potrzebni są sanitariusze! - krzyczał. - Tam mogą być dzieci!

Amelia z obrzydzeniem przyglądała się interweniującym mundurowym, radośnie zdeptującym to, co pozostało z miejsca przestępstwa. Złapali intruza pod pachy, poderwali go na równe nogi. Próbował się wyrwać, zawołał do Amelii: Pani władzo, nazywam się Victor Ramos! Ja tu jestem u siebie, a ty nie! Może nic to pani nie obchodzi, ale...!

Skujcie go. I usuńcie. -Troska o kontakty ze społecznością mi lokalnymi musi kiedyś ustąpić wymaganiom śledztwa kryminalnego. Zwłaszcza w takim wypadku.

Policjanci postąpili według rozkazu. Wyprowadzili wściekłego, czerwonego na twarzy i przeklinającego faceta z ogrodzonego taśmą terenu.

Mamy go aresztować? - spytał jeden z nich.

Nie. Po prostu trzymajcie go z dala ode mnie - odparła Sachs. Ta odpowiedź wywołała wśród gapiów wesołość i wybuchy śmiechu.

Widziała, jak mężczyzna zostaje doprowadzony do jednego z radiowozów i usadzony na tylnym siedzeniu. Był kolejną przeszkodą na trudnej drodze mającej doprowadzić do znalezienia mordercy-kameleona.

Następnie przebrała się w kombinezon i uzbrojona w cyfrowy aparat, torebki na dowody, w butach podklejonych gumowym1 paskami, wkroczyła na siatkę, zaczynając od zrujnowanej

„posiadłości” Carlosa. Nie spieszyła się, pracowała bardzo uważnie. P° tak ciężkim dniu, po wyczerpującym psychicznie pościgu samochodowym, niczego nie przyjmowała już na wiarę.

Rzecz jasna Mag mógł pływać piętnaście metrów pod powierzchnią brudnej wody. Ale równie dobrze mógł w tej chwili bezpiecznie wychodzić na przeciwległy brzeg rzeki.

Nie zdziwiłoby jej nawet, gdyby okazało się, że jest już daleko, daleko stąd i tropi kolejną ofiarę.

Wielebny Ralph Swensen przebywał w mieście od kilku dni. Była to jego pierwsza wizyta w

Nowym Jorku; w tej chwili nie miał żadnych wątpliwości: nigdy nie przyzwyczai się do tego miasta.

Wielebny był mężczyzną chudym, łysiejącym, nieco nieśmiałym. Miał pod opieką kongregację z miasteczka odległego o setki kilometrów, tysiąc razy mniejszego od Manhattanu i w porównaniu z nim zacofanego. Wyglądając przez okno swego domu, widział

hektary kołyszących się na wietrze łąk, na których pasło się dorodne bydło. Tu przez zakratowane okno taniego hoteliku, leżącego na granicy Chinatown, dostrzegał tylko ceglana ścianę, na której szarym sprajem mazano na ogół nieprzyzwoite wyrazy.

Kiedy w swym miasteczku szedł ulicą, ludzie mówili: „Dzień dobry, wielebny” albo „Doskonałe kazanie, Ralph”. Tu słyszał: „Daj dolca”, „Mam AIDS” albo po prostu „Zrób mi loda”.

Ostatnie kilka godzin zmarnował, próbując czytać starą Biblię, której egzemplarze znajdowały się w każdym pokoju nędznego hoteliku. W końcu poddał się. Zrezygnował.

Ewangelia według św. Mateusza, choć niezwykle zajmująca nawet jako opowieść, nie umywała się do dźwięków, które wydawali pod jego oknem męska prostytutka i jej, czy też jego, partner wyjący z bólu lub rozkoszy, lub - najprawdopodobniej - z obydwu powodów.

Wielebny doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że powinien traktować jako zaszczyt to, iż wysłano go na misję do Nowego Jorku, lecz czuł się jak święty Paweł, wykpiwany i wyśmiewany przez niewiernych Greków i mieszkańców Azji Mniejszej. - Ach, ach, ach, tak, tu, tu... O tak, tak, mocniej, mocniej... Niech i tak będzie. To już koniec. Nawet święty Paweł

nie miał do czynienia z takim zepsuciem. Recital miał zacząć się za kilka godzin, ale wielebny Swensen postanowił wyjść z hotelu wczesnej. Przyczesał włosy, znalazł okulary, do teczki wrzucił Pismo Święte, brudnopis kazania, nad którym pracował, i plan miasta. Uszedł

do recepcji. Na kanapie siedziała kolejna prostytutka. Kometa... w każdym razie tak mu się wydawało. »Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”.

Wielebny poczuł, jak ściska mu się żołądek. Potruchtał w kie runku drzwi, wpatrzony w podłogę, przerażony i lada chwila oczekujący oferty. Ale prostytutka, mężczyzna czy kobieta, uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Piękny wieczór, prawda, ojcze?

Zdumiała go tak, że po prostu musiał odpowiedzieć jej uśmiechem.

-

Tak, bardzo piękny - odparł, w ostatniej chwili powstrzymując się od dodania „moje dziecko”; a przecież w ciągu całej swej kariery duchownego nigdy nie zwracał się tak do nikogo. - Życzę miłego dnia - zakończył niezręcznie.

Pośpiesznie wyszedł na ulice nowojorskiej Lower East Side. Przystanął na chodniku.

Taksówki przemykały przed hotelem w jedną i w drugą stronę, młodzi Azjaci i Latynosi potracali się na chodniku, z rur wydechowych autobusów tryskały chmury gorącego, gryzącego dymu o metalicznym posmaku, chińscy dostawcy na poobijanych rowerach lawirowali wśród tłumów z nadludzką zręcznością, a wszystko to było tak strasznie męczące!

Zdenerwowany duchowny postanowił, że do kościoła, w którym ma się odbyć koncert, pójdzie pieszo. Zdążył przejrzeć plan miasta i wiedział, że to daleko, ale długi marsz z pewnością pozwoli opanować trawiący go niepokój. A przy okazji pogapi się na wystawy, zje obiad, popracuje nad kazaniem.

Próbował zorientować się, w którą stronę powinien ruszyć, gdy nagle poczuł, że ktoś go

obserwuje. Zerknął w lewo, w przylegającą do budynku hotelu alejkę. Stał w niej szczupły mężczyzna o brązowych włosach, ubrany w kombinezon, na pół ukryty za pojemnikiem na śmiecie; w rękę trzymał coś, co wydawało się niedużą skrzynką z narzędziami. Przyglądał mu się uważnie, chyba nieprzypadkowo. Nagle wycofał się w cień, jakby zaniepokoiło go, że został dostrzeżony.

Wielebny Swensen zacisnął dłoń na uchwycie teczki. Czy nie popełnił błędu, opuszczając za wcześnie bezpieczne schronienie hotelu, choćby tak ohydne? Roześmiał się cicho.

Spokojnie powiedział sam do siebie. Ten człowiek był pewnie stróżem, może nawet pracował dla hotelu? Pewnie zaskoczył go widok gościa w duchownej sukni. Nic dziwnego, w takim miejscu?

A poza tym, pomyślał jeszcze wielebny, jestem duchownym i wcale tego nie ukrywam. A duchowni po prostu muszą się cieszyć choćby odrobiną szacunku, nawet w tej współczesnej Sodomie.

W jednej sekundzie jest tu, w następnej znika. Przecież szkarłatna piłeczka w żaden sposób nie mogła wyparować z wyprostowanej prawej ręki Kary, by znaleźć się za jej uchem.

A jednak.

Teraz dziewczyna wyrzuciła ją w powietrze. Przecież z całą pewnością nie mogła zniknąć w locie... i odnaleźć się pod jej lewym łokciem.

A jednak i to okazało się możliwe.

Jakim cudem? - spytał sam siebie Rhyme.

Kara i Lincoln Rhyme znajdowali się w tej chwili na parterze domu kryminalistyka, w pokoju pełniącym funkcję laboratorium. Czekali na Amelię i Rolanda Bella. Mel Cooper ustawiał dowody na stołach laboratoryjnych, z głośników płynęły dźwięki jazzowego fortepianu, a Kara zaimprovizowała dla gospodarza własny minipokaz sztuczek zręcznościowych.

Dziewczyna stała przy oknie, ubrana w jeden z czarnych podkoszulków Amelii, przechowywanych na wszelki wypadek w szafce na piętrze. Thom spierał plamy krwi grupy Heinz 57 z jej koszulki na ramiączkach; pozostałości po numerze iluzjonistycznym z targów rzemiosła.

- Skąd je wzięłaś? - spytał Lincoln Rhyme, gestem głowy wskazując piłeczki. Nie widział, by wyjmowała je z torebki lub choćby kieszeni.

Odpowiedziała mu uśmiechem, że je „zmaterializowała”. Był to> zdaniem Rhyme'a, kolejny trik, w którym lubowali się magicy; przekształcanie strony biernej w czynną.

-

Gdzie mieszkasz? - spytał.

- W

Village.

Rhyme skinął głową. Ta nazwa budziła wspomnienia.

-

Kiedy jeszcze byłem żonaty, większość naszych przyjaciół mieszkała w Village. I na SoHo, TriBeCa.

- Nieczęsto przechodzę na północ od Dwudziestej Trzeciej.

Rhyme roześmiał się.

Za moich czasów to Czternasta była granicą strefy zdemili-taryzowanej.

Wygląda na to, że nasza strona wygrywa - zażartowała dziewczyna. Piłeczki pojawiały się i



znikały, pojawiały się i znikały, przelatywały z ręki do ręki, aż pokaz magii zamienił się w po kaz zonglerki.

A twój akcent? - spytał Rhyme.

Mówię z akcentem?

Niech ci będzie. Intonacja. Melodia głosu...

Prawdopodobnie Ohio. Środkowy Zachód.

Ja też - przyznał Rhyme. - Illinois.

Ale ja przeprowadziłam się do miasta, mając osiemnaście lat. Chodziłam do szkoły w Bronxville.

Sarah Lawrence. Teatrologia.

Filologia angielska.

Spodobało ci się tu i zostałam?

Szczerze mówiąc, spodobało mi się tu, kiedy wreszcie wydo stałam się z przedmieść. Potem, kiedy umarł tata, mama przeprowadziła się do miasta, by być bliżej mnie.

Córka i owdowiała matka... zupełnie jak Sachs. Ciekawe, pomyślał Rhyme, czy Kara miała podobne problemy z matką. Ostatnio co prawda panie zawarły traktat pokojowy, ale z dzieciństwa Amelia zapamiętała matkę jako kobietą gwałtowną, ulegającą nastrojom i nieprzewidywalną. Rosę nie pojmowała, dlaczego jej mąż chciał być gliniarzem i tylko gliniarzem, i dlaczego córka wolała być kimkolwiek, byle nie kimś, kogo wymarzyła sobie mama. W ten sposób doprowadziła do sojuszu córki i taty, co tylko pogorszyło sytuację.

Amelia wyznała Rhyme'owi, że kiedy robiło się naprawdę źle, oboje uciekali do garażu - wszechświata, który był tak cudownie przewidywalny. Jeśli silnik nie odpalał, to tylko dlatego, że naruszono zasady doskonale zrozumiałego, rzeczywistego świata; albo zapłon był źle ustawiony, albo po prostu puściła uszczelka.

Silniki, zawieszania i skrzynie biegów nie cierpią na melodramatyczne wahania nastrojów, nie wygłaszają niezrozumiałych

182

oskarżeń, a jeśli nawet dostają ataków złego humoru, to przynajmniej nie winią nikogo za swe błędy.

Rhyme kilkakrotnie miał okazję spotkać się z Rosą Sachs. W jego opinii była to kobieta urocza, rozmowna, może nieco ekscentryczna, ale z całą pewnością dumna z córki. Wiedział

jednak, że przeszłość nigdy nie wróci, dotyczyło to również stosunków między matką i córką.

Czy to dobre? - spytał. - Że jesteście tak blisko siebie?

Brzmi to jak scenariusz serialu komediowego napisanego w piekle, co? Ale nie, nie jest tak źle. Mama jest w porządku. To po prostu... no, mama. Matki już takie są. Na zawsze.

Gdzie mieszka?

W domu opieki, na Upper East Side.

Choruje?

Nic poważnego. Już jej lepiej. - Nie myśląc nawet o tym, co robi, Kara przetoczyła piłeczkę po wierzchu dłoni, chwyciła w palce, zacisnęła je. - A kiedy wyzdrowieje, wyjedziemy do Anglii.

Tylko ona i ja. Londyn, Stratford, Cotswolds. Byłam tam kiedyś z rodzicami. Spędziłam w Anglii najwspanialsze wakacje w życiu.

I tym razem to ja będę prowadzić po złej stronie drogi i pić ciepłe piwo. Wtedy nie mogłam.

Miałam trzynaście lat. Zna pan Anglię?

- Jasne.

Kiedyś często współpracowałem ze Scotland Yardem.

Zapraszali mnie nawet na wykłady. Nie byłem tam od.... no, od wielu lat.

-

Magia i iluzje zawsze popularniejsze były w Anglii niż tutaj.

Mają tak wspaniałą historię! Chciałabym pokazać mamie, gdzie stał Egyptian Hali. Sto lat temu dla nas, zajmujących się magią, było to prawdziwe centrum wszechświata. Potraktowałabym to niemal jak pielgrzymkę. Rozumie mnie pan?

Rhyme skinął głową. Zerknął na drzwi. Ani śladu Thoma.

Zrobiłabyś mi przysługę? - spytał.

Oczywiście.

Potrzebuję lekarstwa.

Kara spojrzała na stojące na półce butelki i buteleczki.

-

Nie. To lekarstwo stoi na półce z książkami.

Ach tak, rozumiem. Które?

To ostatnie. Macallan, osiemnastoletni. I chyba byłoby lePiej, gdybyś przygotowała je jak najciszej - dodał szeptem.

No, to rozmawia pan z właściwą osobą. Robert-Houdin powiedział kiedyś, że iluzjonista musi wykazać się trzema cechami:

zręcznością, zręcznością i zręcznością.

183

W jednej chwili w szklaneczce znalazła się spora porcja ciemnej, jakby przydymionej whisky, nalana bezgłośnie i nieomal nie widocznie. Choćby Thom stał tuż obok Kary, z całą pewnością njezorientowałyby się, co się stało.

- Poczęstuj się - zaproponował kryminalistyk.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Wskazała kubek, w którym pozostało już bardzo niewiele kawy.

-

To moja trucizna - oświadczyła wesoło.

Rhyme z przyjemnością pociągnął łyk szkockiej. Przytrzymał ją w ustach, czując miłe pieczenie, odchylił głowę i przełknął. Przez cały czas nie spuszczał wzroku z dłoni Kary, wyczyniających tak nieprawdopodobne rzeczy z czerwonymi piłeczkami. Kolejny łyk.

Podoba mi się to.

-Co?

Idea stojąca za iluzjonizmem.

Nie bądź taki cholernie rzewny, upomniał sam siebie Rhyme. Kiedy sobie popijesz, zawsze stajesz się taki cholernie rzewny. Ale te wyrzuty nie powstrzymały go przed trzecim łykiem.

Czasami rzeczywistość bywa trudna do zniesienia, co nie wątpliwie zauważyłaś - wyjaśnił. Nie udało mu się niestety po wstrzymać spojrzenia, którym obrzucił swe kalekie ciało. Pozało wąż zarówno tego spojrzenia, jak i swych słów, próbował nawet zmienić temat, ale Kara nie miała zamiaru się nad nim uzalać.

Wie pan, czasami nie jestem nawet pewna istnienia rzeczy wistości.

Rhyme zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

No, bo... czy większość naszego życia nie jest iluzją?

Jak to?

Wszystko, co się zdarzyło w przeszłości, pozostaje we wspo mnieniach, prawda?

Prawda.

A wszystko, co czeka nas w przyszłości, to kwestia wyobraź

ni. I pamięć, i wyobraźnia należą raczej do sfery iluzji niż rzeczy wistości; wspomnienia są niewiarygodne, a na temat przyszłości możemy tylko spekulować. Jediną rzeczą całkowicie realną jest krótki moment terażniejszości, chwila przechodząca z wyobraźni we wspomnienia. I widzi pan? Większość naszego życia jest iluz ryczna.

Na te słowa Rhyme roześmiał się cicho. Był naukowcem prz zwyczajonym do posługiwania się logiką, bardzo pragnął znale

184

jakąś dziurę w tej teorii, ale... nie potrafił. Uznał, że Kara ma rację. On sam spędzał wiele czasu, wspominając życie przed wypadkiem. Wiele myślał także o tym, co zdarzyło się później. No i oczywiście próbował wyobrazić sobie, co będzie. Czy podda się operacji, o której myślał od wielu lat? Czy kiedyś będzie jeszcze chodzić? A przynajmniej poruszać rękami? Czy odbije się to na jego związku z Amelią.

I jego zawód... pracując nad każdą sprawą, bezustannie przeszukiwał zasoby pamięci, korzystał ze swej wspaniałej wiedzy kryminalistycznej i tego, czego nauczył się przy wcześniejszych sprawach. Jednocześnie musiał się oczywiście uciekać do wyobraźni, oceniając, gdzie może być podejrzany i co może jeszcze zrobić.

Wszystko, co się zdarzyło w przeszłości, pozostaje we wspomnieniach. A wszystko, co czeka nas w przyszłości, to kwestia wyobraźni.

- Skoro

przełamaliśmy lody - powiedziała Kara, słodząc kawę

- muszę ci się do czegoś przyznać. Pora na kolejny łyk whisky.

-Tak?

- Kiedy

zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam sobie...

Ach tak! Pamiętał doskonale. Spojrzenie. Dobrze znane i popularne Spojrzenie: „Byle dalej od kaleki”. Podawane z Uśmiechem. Od tego gorsza była tylko jedna rzecz: przepraszenie za Spojrzenie i za Uśmiech.

Kara wahała się przez chwilę, zawstydzona. I nagle powiedziała:

- Kiedy

zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam, że jesteś wspaniałą iluzją.

-

Ja? - Rhyme zdumiał się niewymownie.

Dziewczyna skinęła głową.

- Zajmujesz

się tym, jak cię widzą ludzie. Jak cię widzą w rze

czywistości. Patrzą na ciebie i dostrzegają kalekę... o to chodzi, prawda?

- Polityczna

poprawność każe mówić o takich jak ja „niepełnosprawny”. Osobiście podoba mi się określenie „popieprzony”.

Kara roześmiała się wesoło.

- Ludzie

widzą, że nie możesz się ruszać. Prawdopodobnie są dą, że masz kłopoty z głową. Że jesteś upośledzony.

Cała prawda i tylko prawda. Ci, którzy spotykali go po raz Pierwszy, często mówili głośniejsz i wolniej niż normalnie, wyjaś-niali także rzeczy oczywiste najprostszymi słowami, jak dziecku.

185

(Thom reagował ze wstrętem, gdy w tym momencie Rhyme uda-wal debila i nieszczęśnik w panice uciekał z pokoju).

-

Widzowie natychmiast cię oceniają - mówiła dalej Kara. -

I nabierają przekonania, że nie mogłeś być sprawcą iluzji, którą przed chwilą widzieli. Połowę z nich obchodzi tylko twój stan zdrowia, druga połowa nawet cię nie widzi. I wówczas masz ich w garści. W każdym razie zobaczyłam cię po raz pierwszy w wózku inwalidzkim; nie wyglądałeś najlepiej, najwyraźniej miałeś za sobą ciężkie chwile. A ja nie okazałam ci sympatii, nie spytałam „Jak leci?” i inne takie. Nie powiedziałam nawet „Bardzo mi przykro”. Myślałam tylko: „O, cholera, świetnie prezentowałby się na scenie”. Było to raczej chamskie i chyba się zorientowałeś.

Rhyme był po prostu zachwycony.

Wierz mi - powiedział - nie za bardzo podobają mi się wyraży współczucia i nie lubię być traktowany jak dziecko. Twoje chamstwo cenię sobie znacznie wyżej.

Naprawdę?

Słowo honoru.

Kara uniosła kubek kawy.

Za słynnego iluzjonistę, Człowieka Unieruchomionego!

Miałby kłopoty z magią zręcznej ręki - zakpił Rhyme.

Trzasnęły otwierane drzwi. Usłyszeli głosy zbliżających się Sachs i Sellitta. Rhyme uniósł brew. Pochylił głowę nad słomką.

Przyglądaj mi się uważnie - szepnął. - To mój najlepszy nu mer. Nazywa się „Zniknięcie dowodu obciążającego”.

Po pierwsze i najważniejsze... czy uznajemy, że zginął? Że śpi sobie z rybkami? - spytał Lon Sellitto.

Sachs i Rhyme wymienili spojrzenia i jednocześnie odpowiedzieli: -Nie.

Wiecie, jak groźna jest ta rzeka? - zdziwił się tęgi detektyw.

- Spróbujcie pójść się w niej wykapać i nikt już nigdy nie zoba czy was żywych.

Pokaż mi jego zwłoki, a uwierzę - powiedział stanowczo Rhyme.

Jedną okoliczność uznał za pocieszającą. Choć minęła szesna sta, czyli od śmierci ostatniej ofiary upłynęły ponad dwie godzi-ny, nie dostali informacji o zniknięciu lub uprowadzeniu.

Wpa\*\*-ka, która omal nie zakończyła się schwytaniem mordercy, ora1 konieczność pływania w brudnej rzece zapewne go przestraszyły-186

Wiedział już, że policja depcze mu po piętach; może skłoni go to do zaprzestania ataków. A przynajmniej do przyczajenia się na jakiś czas. Wydatnie zwiększyłoby to szansę Rhyme'a i całego ze-spotu na odkrycie jego kryjówki.

-

Co z Larrym Burkiem? - spytał Rhyme.

Sellitto potrząsnął głową.

-

Szuka go kilkanaście osób. I ochotnicy: wolni od służby policjanci i strażacy, wiesz, jak to jest. Duchowny dotrzymuje towarzystwa rodzinie.

Burmistrz wyznaczył nagrodę. Ale muszę powiedzieć, że nie najlepiej to wygląda.

Podejrzewam, że

znajdziemy go w bagażniku tego samochodu, który wylądował

w rzece.

-

Jeszcze go nie wydobyli?

-

Jeszcze go nawet nie znaleźli. Nurek powiedział, że woda jest czarna jak noc, a przy tym prądzie tonący samochód mógł

przepłynąć nawet kilometr, nim osiadł na dnie.

Rhyme miał do powiedzenia coś jeszcze.

- Powinniśmy założyć, że ma broń Burke'a i jego policyjne radio. Lon, musimy zmienić częstotliwość. Nie może się dowiedzieć,

co mu szykujemy.

Jasne. - Detektyw zadzwonił do centrali i wszystkie połączenia w sprawie Maga przeniesiono na specjalną miejską sieć operacyjną.

No, to wracamy do dowodów. Co właściwie mamy, Sachs?

Z greckiej restauracji nic. - Amelia skrzywiła się z niechęcią. - Poprosiłam właściciela, by odgrodził miejsce i nikogo tam nie wpuszczał, ale najwyraźniej mnie nie rozumiał. Albo nie chciał zrozumieć. Kiedy wróciliśmy, okazało się, że obsługa sprzątnęła stół i wymyła podłogę.

Co z jeziorkiem? Z tym, przy którym go dopadłaś?

To i owo znaleźliśmy - przyznała Sachs. - Tak jak przedtem oślepił nas bawełną strzelnicą, następnie odpalił kilka petard.

Najpierw pomyśleliśmy, że strzela.

Cooper przyjrzał się resztkom petard.

Identyczne z poprzednimi. Nie znajdziemy źródła.

Rhyme skinął głową.

Co jeszcze?

Łańcuchy. Dwa kawałki.

Zawiązał je wokół ramion i kostek Cheryl Marston i zapiął na łańcuchy, takie jak przy psiej smyczy. Cooper i Rhyme obejrzyli to bardzo dokładnie. Nie znaleźli żadnych oznaczeń producenta. Podobnie na sznurze i taśmie samoprzylepnej użytej jako knebel. Sportowa torba, którą morderca zabrał z samochodu i w której prawdopodobnie trzymał łańcuchy i sznur, nie miała nazwy producenta i nic się o niej nie dowiedzieli oprócz tego, że pochodzi z Chin.

Gdyby dostali odpowiednią liczbę ludzi, moglibyśmy przeszukać tanie sklepy i przepytac ulicznych handlarzy; w ten sposob odkrywano czasem pochodzenie tego rodzaju rzeczy. Ale w wypadku taniej torby przeprowadzenie poszukiwan na taką skalę bylo po prostu niemożliwe.

Cooper odwrócił torbę na lewą stronę, trzymając ją nad porcelanowym blatem stołu laboratoryjnego. Rytmicznie postukiwał w dno, by strząsnąć to, co mogło do niego przylgnąć.

W pewnym momencie w powietrze uniosła się chmurka białego pyłu. Technik przeprowadził jego analizę. Okazało się, że to flunitraze-pan.

- Specjalność tych, którzy gwałcą na pierwszej randce - wyjaśniła Karze Amelia.

W torbie znaleźli także grudki lepkiej substancji. Jej ślady pozostały również na zamku błyskawicznym i uchwytach.

-

Nie wiem, co to takiego - przyznał Cooper.

Z pomocą przyszła im Kara.

Parafina. Używamy jej do przylepiania do siebie przedmiotów czasowo, na scenie. Być może przylepił sobie otwartą kapsułę

kapsułę do wnętrza dłoni. Sięgnął nad kubkiem z jej kawą czy co tam piła i wsypał do środka jej zawartość.

A źródło parafiny? - Rhyme uśmiechnął się cynicznie.

Niech zgadnę. Nie do wyśledzenia?

Bardzo mi przykro. - Kara westchnęła.

W torbie Cooper znalazł także kilka drobin metalu i okrągłą czarną plamę, zupełnie jak ślad po butelce, z której wyciekała na przykład farba. Badania mikroskopowe wykazały, że metalem był najprawdopodobniej mosiądz o niezwykłym składzie. Lincolnowi Rhyme'owi nic to nie mówiło.

- Wyślijcie zdjęcia naszym przyjaciołom z Biura - polecił.

Cooper sfotografował próbki, skompresował zdjęcia i wysłał kodowaną pocztą elektroniczną do Waszyngtonu.

Czarne plamy okazały się nie farbą, ale tuszem, nie udało się go jednak zidentyfikować w bazie danych. Nie miał żadnych cech, j szczególnych.

- A to co takiego? - spytał Rhyme, patrząc na torbę, w której znajdował się kłęb jakiegoś granatowego materiału.

188

W tym wypadku mieliśmy szczęście - przyznała Amelia

Sachs. - To wiatrówka, którą Mag miał na sobie podczas porwania Marston. Zgubił ją podczas ucieczki.

Identyfikacja? - Rhyme miał nadzieję, że znajdą nazwyki producenta lub przynajmniej pralni.

Mel Cooper rozpoczął badania. Zabrały mu trochę czasu, ale rezultat okazał się rozczarowujący.

Niemożliwa.

Oto co znaleźliśmy w kieszeniach - powiedziała Amelia.

Na pierwszy ogień poszła przepustka prasowa jednej z wielkich sieci kablowych. Reporter CTN nazywał się Stanley Saferstein, zdjęcie przedstawiało mężczyznę szczupłego, brązowowłosego, brodatego. Sellitto zadzwonił do sieci, poprosił do telefonu szefa ochrony.

Okazało się, że Saferstein jest ich starym, cenionym pracownikiem, szefem działu reportażu.

Przepustkę skradziono mu w zeszłym tygodniu, podczas konferencji prasowej w śródmieściu lub

zaraz po niej. Złodziej przeciął kieszeń tak sprawnie, że dziennikarz nic nie poczuł.

Zdaniem Rhyme'a Mag zaopatrzył się w nią, bo był trochę podobny do mężczyzny na zdjęciu: chudy, pod pięćdziesiątkę, brodaty.

Przepustka została, oczywiście, unieważniona, ale szef ochrony przyznał, że „facet, który by ją pokazał, prawdopodobnie zostałby wpuszczony do środka. Strażnicy i policja znają nasze logo”.

Sprawdź mi go - powiedział do Coopera Rhyme, kiedy skończyła się rozmowa. -WVICAP i NCIC. Saferstein, Stanley.

Jasne. Ale dlaczego?

Bo tak mówię.

Rhyme nie zdziwił się, że przeszukanie baz danych nic nie dało. Nie wierzył, by dziennikarza i Maga coś łączyło, ale przy tym szczególnym sprawcy nie był skłonny do podejmowania nawet najmniejszego ryzyka.

W kieszeni kurtki znaleźli także plastikowy klucz do pokoju hotelowego. To znalezisko szczególnie uszczęśliwiło Rhyme'a, mimo iż na kluczu nie było nazwy hotelu, tylko rysunek normalnego klucza i strzałka wskazująca gościowi, którą stroną ma włożyć kartę w zamek.

Kryminalistyk założył, że na pasku magnetycznym zapisano informacje zarówno o hotelu, jak i o pokoju.

Cooper znalazł na nim napis: „APC Inc., Akron, Ohio”. Z bazy danych nazw firmowych dowiedział się, że APC oznacza American Plastic Cards i że firma produkuje setki plastikowych kart identyfikacyjnych oraz kluczy. W ciągu paru minut połączyli się telefonicznie z jej dyrektorem, którego Rhyme wyobraził sobie jako młodego człowieka w koszuli z krótkimi rękawami, niemającego nic przeciw pracy w sobotę i odbieraniu telefonów. Kiedy wyjaśniono mu sytuację, opisano klucz i spytano, dla ilu hoteli w Nowym Jorku pracuje jego firma, dyrektor odpowiedział:

Ach, APC-42. Nasz najpopularniejszy model. Robimy je dla wszystkich większych systemów. lico, Saflok, Tesa, Ving, Sar-gent... i nie tylko.

Mógłby nam pan powiedzieć, na zamówienie jakich hoteli zrobiliście ten egzemplarz?

-.. Obawiam się, że musicie zacząć dzwonić i pytać, kto używa szarych APC-42. Oczywiście mamy gdzieś interesujące was informacje, ale ja po prostu nie wiem, jak się do nich dokopać.

Spróbuję znaleźć szefa działu sprzedaży lub jego asystenta. Zajmie WŁ trochę czasu. Dzień, może nawet dwa?

- Uuuch - westchnął Sellitto. JP

I było to najlepsze podsumowanie sytuacji. Rhyme zdecydował, że nie będzie czekał na wyniki działań APC. Poleciał Sellitcie, by przekazał klucz Beddingowi i Saulowi, którzy zapewne szybciej od firmy dowiedzą się, kto i w jakim CJ9 lu używał tego popularnego egzemplarza APC-42, po prostu przeczesując Manhattan. Zarówno przepustkę prasową jak i klucz zbadano też pod kątem obecności odcisków palców, ale i tu rezultat był negatywny.

Znaleziono tylko jakieś zamazane smugi i ślady nakładek na opuszki palców.

W bluzie dresu Maga było coś jeszcze. Rachunek z restauracji, Riverside Inn w Bedford Junction, stan Nowy Jork. Wynikało z niego, że trzeciego kwietnia, czyli dwa tygodnie temu, przy stoliku numer dwanaście zjadły lunch cztery osoby. Menu: indyk kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nikt nie pił alkoholu. Amelia Sachs potrząsnęła głową.

Gdzie do diabła jest Bedford Junction?

Zdaje się, że na samej północy stanu - powiedział Mel Cooper.

-

Na rachunku mamy numer telefonu - zauważył spokojnie Roland Bell. - Wystarczy do nich zadzwonić. Spytać którąś z kelnerek, czy może jakaś czwórka stałych gości zajęła dwunastego stolik. A jeśli nie, to może któraś pamięta dania, jakie zamawiać-

Nic to pewnie nie da, ale... kto wie?

- Jaki to numer? - spytał Sellitto. Bell mu go przedyktował.

190

Niewiele to dało, bardzo niewiele, czego Rhyme zresztą oczekiwał. Zarówno właściciel, jak i kelnerki nie miały pojęcia, kto odwiedził ich lokal w ową sobotę.

Cieszymy się wielkim powodzeniem - zacytował Sellitto, wznosząc oczy do nieba.

To mi się bardzo nie podoba - powiedziała nagle Amelia Sachs.

A co takiego?

Dlaczego jadł lunch z trzema osobami?

A tak, to ważne - ożywił się Bell. - Jakaś specjalna okazja?

A może z kimś pracuje?

Bardzo wątpię. - Sellitto wzruszył ramionami. - Seryjni morderyci niemal zawsze są samotnikami.

Nie jestem tego taka pewna - zaprotestowała Kara. - Proste sztuczki, magia uliczna... oni rzeczywiście pracują sami. Ale nie zapominajcie, że Mag jest iluzjonistą. A iluzjoniści potrzebują wsparcia. Wzywają ochotników z widowni. Mają asystentów i ludzie o tym wiedzą. No i nie zapomnijmy o współnikach. Wspólnicy to ci, którzy pracują dla iluzjonisty, ale widzowie nie mają o tym pojęcia. Mogą udawać pomocników, widzów, ochotników.

Podczas prawdziwego, dobrego przedstawienia nikt nie wie, kto jest kim.

Chryste! - pomyślał Rhyme. Ten sprawca był cholernie groźny sam w sobie. Szybkie zmiany, wyzwalanie się z więzów, iluzje. Założenie, że współpracuje z asystentami, czyniło go sto razy groźniejszym.

Zapisz to, Thom - warknął.

Sprawdźmy jeszcze raz to, co znaleźliśmy w alejce, w której aresztował go Burkę.

Pierwszym dowodem były policyjne kajdanki.

- Uwolnił się z nich w kilka sekund. Musiał mieć kluczyk - po wiedziała Sachs. Ku wściekłości policjantów większość kajdanek dawała się otworzyć typowymi kluczami, które za parę dolarów każdy mógł kupić w policyjnym sklepie.

Rhyme podjechał do stołu laboratoryjnego, by obejrzeć je dokładniej.

- Obróć... podnieś... tak, mógł użyć klucza, ale w zamku widzę świeże zadrapania. Powiedziałbym, że raczej otworzył je wytry-

~ Ale Burkę z pewnością go przeszukał - zaprotestowała Ame-la- - Gdzie schował wytrych?

191

Gdziekolwiek. We włosach, w ustach...

W ustach? - powtórzył Rhyme. - Oświetl kajdanki ALS, Mel.

Cooper założył gogle i wykonał polecenie.

-

Tak, mam drobne smugi i plamki wokół zamka - potwierdził.

Rhyme wyjaśnił Karze, że w ten sposób można wykryć niewidoczne w normalnym świetle ślady



płynów ustrojowych, przede wszystkim śliny.

- Houdini

robił to prawie zawsze - wyjaśniła Kara. - Czasami pozwalał komuś z widzów sprawdzić, że nic nie ma w ustach.

Potem, tuż przed numerem, całował się z żoną. Twierdził, że to na szczęście, ale tak naprawdę żona w ten sposób przekazywała mu wytrych.

-

Ale Mag miał dłonie skute za plecami - zaprotestował Sellitto. - Jak w ten sposób sięgnąć przegubami dłoni do twarzy?

-

Och! - Kara roześmiała się wesoło. - Specjalista od wyzwała nia się z więzów przeniesie skute ramiona zza pleców do przodu w trzy, cztery sekundy.

Cooper sprawdził ślady śliny. Do płynów ustrojowych niektórych ludzi przenikają przeciwciała, co pozwala ustalić między innymi grupę krwi. Niestety, okazało się, że grupy krwi Maga nie da się określić w ten sposób.

Sachs znalazła także cienkie odłamki ostrego metalu.

A tak, to kolejne z naszych narzędzi - wyjaśniła Kara. - Piła ostra jak brzytwa. Prawdopodobnie użył jej, by przeciąć te pla stikowe pętle na kostkach.

Ją także ukrył w ustach? Czy to nie jest zbyt niebezpieczne?

Nie. Wielu z nas chowa w ustach igły albo żyłki, jeśli ktoś tego wymaga. Przy odrobinie praktyki niczym to nie grozi.

W reszcie zebranych przez Amelię w alejce śladów były też drobiny lateksu i mikroślady substancji używanych do makijażu, identycznych z tymi, które znaleźli wcześniej. A także pozostałości po oleju Tack-Pure.

A nad rzeką? W miejscu, gdzie wpadł do niej samochód?

Znalazłaś coś? - pytał Rhyme.

Ślady opon w błocie. - Przykleiła na tablicy przygotowane przez Coopera wydruki zdjęć z aparatu cyfrowego. - Pełen do brych chęci obywatel całkowicie zdeptał miejsce przestępstwa.

Pół godziny łąziłam w błocie. Jestem pewna, że nie wyskoczył z mazdy i niczego z niej nie wyrzucił.

A co z ofiarą? Z tą Marston? Miała coś do powiedzenia-

- zwrócił się Sellitto do Bella.

192

Detektyw streścił pokrótce przebieg przesłuchania.

Prawniczka, pomyślał Rhyme. Dlaczego wybrał właśnie ją? Niech to diabli. Według jakiego wzoru Mag dobierał sobie ofiary? Studentka szkoły muzycznej, charakteryzator, prawniczka?

- Jest rozwiedziona - mówił dalej Bell. - Były mąż mieszka w Kalifornii. Rozwód nie przebiegał w przyjaznej atmosferze, ale nie sądzę, by facet był zamieszany w sprawę.

Poprosiłem policjantów z Los Angeles, żeby wykonali parę telefonów. Ma alibi na dziś i na lunch w Bedford, ten sprzed kilku tygodni. Nie figuruje w bazach NCIC i VICAP.

Cheryl Marston opisała Maga jako mężczyznę szczupłego, silnego, brodatego, z bliznami na szyi i piersi.

- Aha,

potwierdziła także, że ma zdeformowaną dłoń, tak jak podejrzewaliśmy. „Połączone palce”, tak powiedziała. Nie podał

żadnego adresu ani informacji o miejscu, gdzie mieszka. Przed stawiał się jako John. Cwaniak, nie.

Czyli wszystko na nic, doszedł do wniosku Rhyme. Następnie Bell objaśnił, jak Mag nawiązał znajomość z ofiarą i co się stało później.

- Coś z tego brzmi znajomo? - zwrócił się kryminalistyk do Kary.

Mógł zahipnotyzować gołębia lub mewę, rzucić ptakiem w konia i zastosować coś, by konia spłoszyć. Kiedy przestało to działać, wierzchowiec się uspokoił. Z pewnością wyglądało to tak, jakby miał na niego jakiś wyjątkowy wpływ.

Ale co to było? - spytał Rhyme. - Mogłabyś skierować nas na jakiś trop, wskazać producenta?

Nie. Prawdopodobnie sam robi swoje gadżety. Na przykład treserzy używają elektrod albo prętów pod napięciem, by lwy ry czały na życzenie. I tak dalej. Ale dziś rzecznicy praw zwierząt już do tego nie dopuszczają.

Bell tłumaczył dalej, co się stało, kiedy Marston i Mag poszli na kawę.

Zdziwiła ją jedna rzecz. Twierdzi, że miała wrażenie, jakby czytał w jej myślach. - Następnie dokładnie opowiedział o tym, jak bardzo zdumiała Cheryl wspólnota ich losów.

Mowa ciała - rzekła Kara. - Najpierw coś mówił, a potem obserwował jej reakcję. W ten sposób wiele się o niej dowiedział.

Takie podejście nazywa się „sprzedawaniem lekarstwa”. NaPrawdę dobry mentalista wiele dowiaduje się o człowieku ze zwykłej, pozornie niewinnej rozmowy.

193

A kiedy rozluźniła się w jego towarzystwie, dobrze się poczuła, podał jej narkotyk i zabrał nad staw. Topił ją głową w dół.

To odmiana „Tortury wodnej”. Jeden z najsłynniejszych nu merów Houdiniego - wyjaśniła Kara.

Jak udało się Magowi uciec znad stawu? - spytał Amelię Rhyme.

- Początkowo nie byłam pewna, że to on - przyznała Amelia. I Dokonał szybkiej zmiany. Miał na sobie inne ubranie. I - tu zerknęła na Karę - jego brwi wyglądały zupełnie inaczej. Nie widziałam dłoni, nie potrafiłam powiedzieć, czy jest zdeformowana.

Potem udało mu się nawet wytrącić mnie z równowagi bruchomówstwem. A przecież patrzyłam mu wprost w twarz. I niczego nie zauważyłam.

- Założę się, że wybrał słowa bez „b”, „m” i „p” - powiedziała Kara. - Żebyś nie widziała ruchu warg. -1 pewnie bez „f” i „w”.

- Masz

rację. Zdaje się, że było to coś takiego: „Hej tam, z tej strony! Gość, dresy, strzeli”. Doskonale naśladował slang czarnych.

-Amelia skrzywiła się. - Obejrzałam się tam, gdzie patrzył... wszy scy się obejrzeli. A potem błysk mnie oślepił. Petardy też mnie zmyliły, byłam pewna, że ktoś strzela. Zupełnie mnie zaskoczył.

Rhyme dostrzegł na jej twarzy wyraz obrzydzenia. Amelia winiła przede wszystkim siebie.

Kara znacznie lepiej rozumiała sytuację.

- Nie bierz tego do siebie. Ludzi najłatwiej oszukać przez słuch. Nawet na scenie rzadko tego próbujemy. To po prostu tania sztuczka.

Amelia tylko wzruszyła ramionami. Nie potrzebowała pociechy.

- Oślepił mnie i Rolanda. Potem skorzystał z okazji i uciekł na targi rzemiosła. - Kolejny grymas niesmaku. - Piętnaście minut później znów go zobaczyłam. Jako motocyklistę w koszuli Harleya. Niech to szlag... przecież stał tuż obok mnie!

No, nie powiem, monety mu nie brzęczą - Kara pokręciła głową z podziwem.

Jak to? - zdziwił się Rhyme. - Dlaczego pieniądze?

-

Och, to takie nasze powiedzenie. Dokładnie oznacza to, że nie słychać brzęczenia, kiedy robi sztuczki z monetami. Czyli... jest do bry. O dobrych sztuczkach mówimy, że są „ciasne”. — Dziewczyna podeszła do białej tablicy, zarezerwowanej na opis profilu zawodo wego Maga i dodała informację, komentując ją jednocześnie. -

Wiemy, że zna magię uliczną, mentalizm, jest nawet brzuchomówcą. Poza tym robi sztuczki ze zwierzętami, potrafi otwierać zamki -to z drugiego morderstwa - a teraz okazało się, że doskonale się wyswobadza. Czy jest jakiś rodzaj magii, którego nie zna?

Rhyme oparł głowę na zagłówek fotela i przyglądał się zapiskom na tablicy. W tym momencie pojawił się Thom z wielką kopertą.

Do ciebie - powiedział, wręczając ją Bellowi.

A to co takiego? - zdziwił się detektyw. Rozerwał kopertę, wyjął z niej plik kartek, zaczął czytać. Pokiwał głową z zadowoleniem.

Hej, Lincoln, to raport z badania gabinetu Grady'ego. Prosi łoś o to Perettiego, prawda? Chcesz przejrzeć?

Na pierwszej kartce znajdowała się krótka notatka: „LR - na życzenie - VP”. Rhyme przeczytał raport, kiwając głową, kiedy Thom miał mu przewracać kartki. Technicy sporządzili porządną inwentarz gabinetu sekretarki, zidentyfikowali także i oznaczyli ślady stóp. Po wielokrotnej lekturze kryminalistyk zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie miejsce przestępstwa.

Następnie zapoznał się z całościową analizą znalezionych tam włókien. Większość była biała, z mieszanki sztucznego jedwabiu z poliestrem. Większość miała matową, brudnoszarą barwę.

Niektóre przyklepione były do grubych włókien bawełny, także białych. Włókna czarne pochodziły z wełny.

-

Mel, co sądzisz o tych czarnych? - spytał.

Technik podszedł do wózka. Uważnie przejrzał zdjęcia.

Nie najlepsze - ocenił, a po chwili dodał: - Ciasno tkane.

Splot skośny.

Gabardyna?

Nie mogę powiedzieć bez większej próbki. Bo nie widzę splotu. Ale być może gabardyna.

Rhyme doczytał stronę. Znalezione na miejscu czerwone włókno okazało się atłasem.

-

No tak, tak... - powiedział do siebie, przymykając oczy.

Podszedł do niego Bell.

Charles Grady ma dzisiaj jakąś rodzinną uroczystość -

oznajmił. - Nim wyjadą, chciałbym sprawdzić ochronę. Znalazłeś w raporcie coś, o czym powinienem im powiedzieć?

Poczekaj chwileczkę, Rolandzie. Jest jeszcze jedna sprawa, którą muszę sprawdzić.

W porządku.

Rhyme zwrócił się teraz do Coopera.

195

Scena zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny, pracuje dla trupy aktorskiej.

Wrogowie: nieznani.

Żadnych związków z poprzednią ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

- Sprawca

uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzanie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowodów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

- Zegarek

zmiądzony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

197

Mel, co wiesz o tkaninach i materiałach?

Raczej niewiele. Ale, by zacytować twe słowa, Lincoln: „Co wiesz?” nie jest ważnym pytaniem.

Ważne jest pytanie: „Czy wiesz, gdzie się dowiedzieć?”. A ja wiem.

# MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szczególnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw nieznan.

- Ofiara:

Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na urodzinowych przyjęciach dla dzieci.

- Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

-

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

- Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Sprawdzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki; brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru. Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Buty sprawcy: Ecco, numer 10.

- Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybko zmiana.

- Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost *Parmelia conspersa* pochodzą najprawdopodobniej z Central Parku.

-

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych artykułów skórzanych.

-

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wysledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

- Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używanego jako forma do produkcji przedmiotów lateksowych.

- Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czarnym jedwabnym środkiem.

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Źródło nie do wyśledzenia.

- Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji.

Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

- Użył znikającego atramentu, wpisując się w księgę wejść.

!

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych.

Dodatkowy lateks i elementy makijażu na nakładkach na palce.

Dodatkowy alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów, trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

- Brak

motywu.

Sprawca przedstawił się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po twierdzonej deformacji dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznesmena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie w motocyklistę w dżinsowej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśledzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flunitrapezanu, środka oszałamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafinę, przylepną, używaną w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia. Wióry mosiężne (?). Wysłane do FBI. Trwały tusz, czarny.

-

Znaleziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stan-leya Safersteina (nie jest podejrzany, nie figuruje w bazach danych NCICiVICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców. Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaży. Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele. - Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan Nowy Jork, dowodzący, że dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły lunch przy stole numer dwanaście. Zamówiono: indyka, kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nie podano alkoholu. Obsługa nie potrafi zidentyfikować gości (wspólnicy?). - Alejka, w której zatrzymano Maga. Otwarcie zamku kajdanek wytrychem. Ślina (wytrych ukryty w ustach).

Nie ustalono grupy krwi. Mała piła umożliwiająca uwolnienie się z więzów.

Miejsce nad rzeką Harlem

Żadnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Profil iluzjonisty

- Będzie używał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał

różnych kostiumów nylonowych i jedwabnych, nakładek imitujących łyśnię, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych.

Może być w dowolnym wieku, każdej płci i rasy.

Śmierć Calverta = „Przepiłowanie dziewczyny” Selbita.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać zamki”.

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa technik mentalistycznych, by zdobyć informacje o ofiarach.

- Próbował zabić trzecią ofiarę analogicznie do numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

- Brzuchomówca.

22

Harry Houdini był najsłynniejszym specjalistą od uwalniania się z więzów, ale miał przecież wspaniałych poprzedników i wspaniałych następców. Stał się wielki i sławny, ponieważ swe występy wzbogacił o jeden niesłychanie ważny czynnik: wyzwanie. Zapraszał kogoś z widowni, by zaproponował, z czego iluzjonista ma się uwolnić: może z kajdanek miejscowego policjanta czy może z celi lokalnego więzienia.

Właśnie te bezpośrednie wyzwania, pojedynki człowieka z człowiekiem, uczyniły Houdiniego

wielkim. To był jego żywioł.

I to jest mój żywioł, pomyślał Malerick, wracając do mieszkania po szczęśliwej ucieczce z rzeki Harlem oraz krótkim rekonesansie. Ale wydarzenia tego popołudnia mocno nim wstrząsnęły. Kiedy jeszcze regularnie występował, przed pożarem, w jego numery wpisany był element niebezpieczeństwa. Prawdziwego niebezpieczeństwa. Mentor wbijał mu do głowy, najczęściej boleśnie, bardzo prostą prawdę: jeśli w występie nie ma ryzyka, dlaczego ma się nim interesować widownia. Uważał, że nie ma straszniejszego grzechu niż znudzenie widza. A ten występ stał się całą serią wyzwania... ponieważ policja okazała się znacznie lepsza, niż przypuszczał. Jak się zorientowali, że wybrał ofiarę z akademii jeździeckiej i gdzie miał zamiar ją utopić? Na targach niemal złapali go w pułapkę, potem odnaleźli mazdę, ścigali go i tak przycisnęli, że musiał zatopić samochód w rzece, a sam ledwo uciekł.

Wyzwania to jedno, ale teraz Malerick powoli popadał w paranoję. Dokonał już pewnych przygotowań do następnego numeru i okazało się... że wcale nie chce występować.

Postanowił pozostać w mieszkaniu aż do ostatniej chwili.

200

poza tym musiał zrobić coś jeszcze. Tym razem dla siebie, nie dla szacownych widzów.

Najpierw zasłonił wszystkie okna. Na gzymsie, obok inkrustowanego pudełeczka, ustawił świeczkę i zapalił. Następnie usiadł na szorstkim obiciu taniej kanapy. Powoli wciągał powietrze i powoli je wypuszczał. Kontrolował oddech. Powoli... powoli... powoli...

Skoncentrował się na płomyku świecy. Medytował. Od samego początku ich działalności praktykujący sztuki magiczne dzielili się na dwie szkoły. Do pierwszej należeli mistrzowie zręcznej ręki, prestidigitatorzy, żonglerzy, iluzjoniści; czyli ci, którzy bawili widownię dzięki zręczności i sprawności fizycznej.

Przedstawiciele drugiej szkoły byli znacznie bardziej kontrowersyjni. Przyznawali, że uprawiają prawdziwą magię. Nawet w naszych czasach nauki i rozsądku niektórzy z nich twierdzili, że dysponują nadnaturalną mocą, umieją czytać w myślach, przesuwać przedmioty siłą umysłu, przepowiadać przyszłość, kontaktować się z duchami.

Przez tysiące lat fałszywi prorocy i fałszywe media bogacili się, twierdząc, że potrafią przywołać duchy zmarłych na zamówienie ich pogrążonych w rozpacz krewnych. Nim rządy i prawo zabrały się do oszustów, to właśnie artyści-magicy chronili łatwowiernych, demaskując metody, jakimi osiągało się takie „nieziemskie” efekty. Harry Houdini poświęcił

wiele czasu, a nawet pieniędzy na demaskowanie fałszywych mediów. A jednak, co za ironia, postępował tak dlatego, że rozpaczliwie szukał prawdziwego medium, które mogłoby skontaktować go z duchem matki, gdyż tak naprawdę nigdy się nie otrząsnął po jej śmierci.

Malerick patrzył na płomień świecy, nie odrywał od niego oczu. Modlił się o pojawienie się swej duchowej towarzyszki, o to, by znów popieścila żółty ogień. By ponownie data mu znak.

Do porozumiewania się z nią używał świecy, ponieważ świeca to ogień, a właśnie ogień odebrał mu jego miłość.

Chwileczkę... czyżby płomień mrugnął? Może tak, a może nie? Nie potrafił powiedzieć.

Malerick wyznawał teorie obu magicznych „szkół”. Jako utalentowany iluzjonista wiedział

oczywiście, że u podstaw jego przedstawień leżą, umiejętnie użyte, fizyka, chemia i psychologia. A jednak gdzieś w głębi duszy odczuwał cień wątpliwości. Być może magia naprawdę istnieje? Być może Bóg jest iluzjonistą: powoduje znikanie naszych słabnących ciał, zręcznie ukrywa dusze tych,



których kocha, a potem przemienia je i przywraca ży-

jącym. Swym smutnym, lecz pełnym nadziei widzom.

Przecież nie jest to tak zupełnie niewyobrażalne, powtarzał sobie. Nawet teraz...

I nagle płomień świecy zamigotał. Tak! To nie było złudzenie! Przesunął się o milimetr bliżej inkrustowanego pudełka. Bardzo prawdopodobne, iż był to sygnał, że dusza jego ukochanej znajduje się gdzieś blisko, przywołana nie przez siły fizyczne, lecz tę cienką, wiążącą ich nadal nić, którą ujawnić może tylko magia... jeśli potrafi się z nią zestroić.

- Jesteś tam? - szepnął. - Jesteś?

Oddychał bardzo powoli, uważając, by wydechane powietrze nie dotarło do świecy, nie poruszyło wątego płomyka. Musiał zyskać pewność, że nie jest sam.

Świeca wreszcie się wypaliła. Malerick długo jeszcze siedział nieruchomo, medytując, wpatrzony w unoszący się szary dym, który po chwili się rozwiewał.

Zerknął na zegarek. Pora przyszykować się do następnego numeru. Zebrał kostiumy i rekwizyty, przygotował w odpowiedniej kolejności, ubrał się powoli, uważnie. Nałożył makijaż.

Obraz w lustrze przekonał go, że wszystko jest tak jak należy.

Wyszedł na korytarz. Wyrzął przez okno. Ulica była pusta.

Piękne wiosenne popołudnie miało być scenerią jego kolejnego numeru. Przyjął wyzwanie znacznie trudniejsze niż poprzednio.

Ogień i iluzja są jak brat i siostra.

Błysk pirowaty, świec, płonący gaz, nad którym wisi skrępowany iluzjonista...

Ogień, szacowni widzowie, jest narzędziem diabła, a diabeł i magia zawsze byli sobie bliscy.

Ogień oświecła i ukrywa, niszczy i tworzy.

Ogień zmienia.

I to twierdzenie leży u podstaw naszego następnego numeru, który nazwałem „Zwęglony człowiek”.

Neighborhood School, znajdująca się tuż obok Piątej Alei w Greenwich Village to ładny, staromodny budynek, skromny jak nazwa instytucji, która go zajmuje. Aż trudno uwierzyć, że czytania, pisanie i podstaw arytmetyki uczą się tu dzieci najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli miasta Nowy Jork.

Szkoła znana była nie tylko jako świetna placówka edukacyjna - jeśli można tak mówić o instytucji szkolnictwa początkowego - lecz także jako poważne centrum kulturalne, przynajmniej w tej części miasta. Słynne były przede wszystkim jej sobotnie recitale, odbywające się zawsze o ósmej wieczorem.

Na jeden z nich wybierał się wielebny Ralph Swensen.

Wielebny przeżył długi marsz przez Chinatown i Little Italy, nie ponosząc szwanku na ciele i umyśle innego niż całkiem normalne napastowanie przez całkiem normalnych agresywnych żebraków, na co, po prawdzie, zdołał się już niemal całkowicie uodpornić. Po drodze zatrzymał się w małej włoskiej restauracji, gdzie zamówił spaghetti (spaghetti i ravioli były jedynymi wymienionymi w menu daniami, których nazwę rozpoznał) i - ponieważ nie było z nim żony - także szklaneczkę czerwonego wina. Jedzenie było pyszne; pozostał w lokalu dłuższy czas, popijając zakazanego drinka i ciesząc oczy widokiem dzieci, bawiących się na ulicach tego tętniącego życiem, ale przez swą etniczną odrębność zupełnie dla niego obcego miejsca.

Uregulował rachunek, czując wyrzuty sumienia; w końcu kościelnymi pieniędzmi płacił za alkohol! Ponownie ruszył na północ, do Greenwich Village. Uliczka, którą szedł, doprowadziła go do placu Waszyngtona. Początkowo wydawał mu się kolejną, tym razem miniaturową Sodomą, ale gdy wszedł do parku, okazało się, że wprawdzie ludzie tu grzeszą, ale młodzi tylko tym, że słuchają upiornie głośnej muzyki, a starsi tym, że popijają piwo i wino, chowając butelki w papierowych torbach. Choć wielebny całym sercem wierzył w system, w którym pewni grzesznicy trafiają wprost do piekła (na przykład hałaśliwe męskie prostytutki, niedające ludziom spać po nocach), ci, których obserwował w tej chwili, nie sprawiali bynajmniej wrażenia, jakby już wykupili bilet w jedną stronę do wielkiego pieca.

A jednak w pewnej chwili poczuł się nieswojo. Przypomniał mu się mężczyzna w kombinezonie, ze skrzynką na narzędzia w ręku; ten, którego widział przed hotelem.

Wielebny był pewien, że dostrzegł go po raz drugi, także niedaleko hotelu, w odbiciu wystawy sklepowej. No i cały czas miał wrażenie, że jest śledzony. Obrócił się szybko, spojrzął za siebie. Nie zauważył żadnego robotnika, ale... szczupły mężczyzna w brązowym płaszczu szedł za nim i chyba się mu przyglądał. Rozejrzał się jednak tylko dookoła i skręcił

w stronę publicznej toalety. Paranoja?

203

Tak, z całą pewnością. Ten mężczyzna wcale nie przypomina, robotnika. Ale gdy wielebny wyszedł z parku na Piątą Aleję gdzie panował taki tłok, że z najwyższym trudem udawało mu się nie zderzać z innymi przechodniami, znów poczuł, że ktoś go obserwuje. Znów się obejrzał. Tym razem zwrócił uwagę na blondyna w grubych okularach na nosie, ubranego w podkoszulek i narzuconą na niego marynarkę. Ten mężczyzna na niego patrzył przeszedł na drugą stronę ulicy tuż po nim.

Teraz biedny Ralph Swensen był już całkowicie pewien, że popadł w paranoję. Z pewnością nie tropiło go trzech różnych mężczyzn! Uspokój się, powiedział do siebie stanowczo, idąc w stronę Neighborhood School ulicą pełną ludzi, cieszących się pięknym, ciepłym wieczorem.

Dotarł na miejsce o siódmej. Za pół godziny goście będą mogli wejść do środka. Postawił teczkę, skrzyżował ręce na piersiach. Nie, pomyślał. Nie wolno mi wypuszczać teczki z dłoni.

Chwycił ją mocno i oparł się o ogrodzenie z kutego żelaza, za którym znajdował się ogród szkolny.

Nadal niespokojny, patrzył w kierunku, z którego przyszedł.

Nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Ani robotników ze skrzynkami narzędzi, ani mężczyzn w sportowych marynarkach, ani...

- Przepraszam,  
ojcze?

Zaskoczony, obejrzał się szybko. Obok niego stał potężnie zbudowany śniady mężczyzna z dwudniowym zarostem.

Tak? O co chodzi?

Ojciec przyszedł na recital? - Mężczyzna skinął głową w kierunku szkoły.

Tak, oczywiście. - Głos Swensena niemal drżał.

O której się zaczyna?

O ósmej. Ale wpuszczają od siódmej trzydzieści.

Dziękuję, ojcze.

Nie ma za co.

Mężczyzna uśmiechnął się i poszedł w stronę szkoły, wielebny zaś został, kurczowo ściskając rączkę teczki i przyglądając się ulicy. Zerknął na zegarek. Piętnaście po siódmej.

Minęło kolejnych pięć minut, długich jak wieczność, nim doczekał się wreszcie swej chwili, ujrzał coś, dla czego przejechał tak wiele kilometrów: czarnego długiego lincolna z rządowymi numerami rejestracyjnymi. Samochód zatrzymał się o przecznicy od Neighborhood School. Wielebny zmrużył oczy; mimo zapadającego zmroku udało mu się odczytać numer. Wszystko w porządku, dzięki niech będą Panu!

2 przedniego siedzenia wysiedli dwaj młodzi mężczyźni w czarnych garniturach. Przyjrzeni się ulicy, nawet jemu, i upewnili, że jest bezpieczna. Jeden z nich pochylił się i powiedział coś przez otwarte tylne okno.

Ralph Swensen wiedział, z kim rozmawia: zastępcą prokuratora okręgowego Charlesem Grady, prowadzącym sprawę przeciw Andrew Constable'owi. Grady przyjechał z żoną na koncert, podczas którego wystąpić miała ich córka. I to właśnie on ściągnął wielebnego do tej współczesnej Sodomy. Jak święty Paweł on też wkroczył w świat niewiernych, by wskazać im błędy i sprowadzić ich na drogę prawdy. Ale miał się uciec do metody nieco gwałtowniejszej od tych, którymi posługiwał się wielki apostoł. Zamierzał zamordować Grady'ego, strzelając do niego z ciężkiego pistoletu, ukrytego w teczce, którą tulił do piersi, jakby była ta sama Arka Przymierza.

Dokładnie obserwował otaczający go świat. Notował w myślach osłony, drogi ucieczki, liczbę przechodniów na chodnikach i samochodów na Piątej Alei. Musiał odnieść sukces, zbyt wiele od tego zależało. Poza tym miał osobiste powody, by ujrzeć Charlesa Grady'ego martwego.

Zeszłego wtorku, około północy, w drzwiach bliźniaka, który służył wielebnemu Ralphowi Swensenowi zarówno za plebanię, jak i kościół, pojawił się nagle członek lokalnej milicji, Jeddy Barnes. Jak głosiła plotka, po ataku policji stanowej na Zgromadzenie Patriotyczne Andrew Constable'a ukrywał się w lasach, w obozie leżącym gdzieś w okolicy Canton Falls.

- Zaparz kawę - polecił, patrząc na przestraszonego duchownego płonącymi oczami fanatyka.

Krople deszczu stukały głośno w metalowy dach. Barnes, twardy, samym swym wyglądem budzący trwogę samotnik o siwych, przyszczyżonych na jeża włosach, pochylił się i powiedział:

Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił, Ralph.

Co takiego?

Gość rozsiadł się, wyciągając nogi. Patrzył na ołtarz, który Swensen zrobił sam, z dykty grubo pokrytej nieudolnie nałożonym lakierem.

- Jest

człowiek, który chce nas dorwać. Który nas prześladowuje.

Jeden z nich.

Wielebny wiedział, o kogo chodzi. Jeden z nich z pewnością na' leżał do niezbyt dobrze zdefiniowanej, za to nader licznej grupy> której członkami byli przedstawiciele rządu federalnego i stanowego, środków przekazu, ateści i wyznawcy religii niechrześcijańskich, członkowie każdej zorganizowanej partii i intelektualiści 206

tak na początek („my" obejmowało wszystkich ludzi nienależących do którejś z powyższych kategorii pod warunkiem, że byli biali)- Sam Swensen nie był fanatykiem, a przynajmniej nie takim jakim ten facet i jego kumple - których nawiasem mówiąc, strasznie się bał - lecz wierzył, że w głoszonych przez nich poglądach jest sporo prawdy.

Musimy go powstrzymać - rzekł Barnes.

Kto to taki?

\_ Prokurator z Nowego Jorku.

Ach, ten prowadzący sprawę Andrew?

Właśnie. Charles Grady.

Co mam zrobić? - Wielebny już formułował w myślach treść gniewnego listu od zatroskanych obywateli i płomiennego kazania.

Zabić go - powiedział spokojnie Barnes.

-Co?

Chcę, żebyś pojechał do Nowego Jorku i zabił Grady'ego.

O, Boże! Nie, tego nie mogę zrobić! - Swensen starał się przemawiać stanowczo, choć ręce trzęsły mu się tak, że prawie całą kawę wylał na kazalnicę. - No, bo po pierwsze, co moglibyśmy na tym zyskać? W ten sposób nie pomożemy Andrew. Do dia bła, przecież zorientują się, że za tym stoi. Tylko utrudnimy...

Constable nie ma tu nic do rzeczy. Constable się nie liczy.

Chodzi o coś o wiele większego! Musimy dać świadectwo. Prze cież wiesz, co te dupki z Waszyngtonu stale powtarzają na konfe rencjach prasowych. Musimy wysłać sygnał.

Daj spokój, Jeddy. Zapomnij. Nie potrafię zabić. Przecież to szaleństwo.

Och, moim zdaniem doskonale potrafisz.

Jestem duchownym!

W niedziele polujesz. Jeśli spojrzeć na to nieco inaczej, po-Pełniasz morderstwo. I byłeś w Wietnamie. Jeśli to, co opowiada-feś, jest prawdą, kolekcjonowałeś skalpy.

To było trzydzieści lat temu! - szepnął nieszczęśliwy Swensen, unikając wzroku gościa. - Nie mam zamiaru nikogo zabijać.

Założę się, że Clara Sampson nie miałaby nic przeciwko te-mu. - Na plebanii zapadła ciężka, niezdolna cisza. - Powiedziałaś

»A"> Ralph. Najwyższy czas, żebyś powiedział „B”.

W zeszłym roku Jeddy Barnes powstrzymał jakoś Wayne'a >ona, który najpierw wpadł na kapłana i swą trzynastolet-córkę kryjących się na przygotowanym za budynkiem kościoła i parafii terenem zabaw dla dzieci, a potem pośpieszył na p^cję. Wygląda na to, pomyślał

wielebny, że Jeddy wyświadczy! mi przysługę tylko po to, by mieć na mnie haka.

Proszę, zrozum...

Clara napisała niepozostawiający wątpliwości list. Tak sie składa, że trafi! w moje ręce. Nie mówiłem ci, że poprosiłem ją o to jeszcze w zeszłym roku?

W każdym razie opisała twe... intymne... części ciała w szczegółach, w które wolałbym się nie zagłębiać.

Założę się jednak, że sędziowie przysięgli byłiby bardzo za interesowani tą sprawą.

Nie możesz mi tego zrobić! Nie, nie...!

Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą kłócić, Ralph. Mamy konkretną sytuację. Jeśli się nie zgodzisz, w przyszłym miesiącu będziesz dogadzał czarnuchom, tak jak Clara Sampson dogodziła tobie. Wybieraj.

O, kurwa!

Zakładam, że właśnie się zgodziłeś. Pozwól, że wtajemniczę cię w to, co zaplanowaliśmy.

Barnes dał mu broń, adres hotelu i adres biura Grady'ego, po czym wysłał go do Nowego Jorku.

Zaraz po przyjeździe wielebny Swensen poświęcił kilka dni na rozpoznanie terenu. We wtorek późnym popołudniem odwiedził gmach rządu stanowego. Grając wioskowego przyglupa w znoszonej sukni duchownej, chodził, gdzie chciał, i nikomu nie przyszło do głowy go zaczepić. W jednym z odległych korytarzy znalazł szafkę na środki czystości, w której ukrył się aż do północy. Następnie włamał się do gabinetu Grady'ego i dowiedział, że tego samego dnia, wieczorem, prokurator wraz z rodziną uda się na recital w Neighborhood School, ponieważ ma w nim wystąpić jego córka.

Uzbrojony, z nerwami napiętymi jak postronki, wielebny stał teraz przed szkołą i obserwował mężczyzn rozmawiających z prokuratorem, który nadal siedział z tyłu samochodu. Zamierzał zastrzelić Grady'ego i jego ochroniarzy z pistoletu z tłumikiem, a potem paść na ziemię, wrzeszcząc w panice, że ktoś strzelał z przejeżdżającego ulicą samochodu, i uciec, korzystając z wywołanego zamachem zamieszania. Próbował się modlić, lecz choć Grady był niewątpliwie narzędziem szatana, sama myśl o tym, że może prosić Pana o pomoc w zabójstwie nieuzbrojonego białego chrześcijanina, wprawiała go w zakłopotanie. Nie potrafił się modlić, więc tylko w myśli recytował fragmenty Biblii.

208

potem ujrzałem innego anioła - zstępującego z nieba i mającego wielką władzę, a ziemia od chwały jego rozbrzęczała...".\*

Wielebny Swensen kołysał się w przód i w tył. Najgorsze to oczekiwanie, myślał. Ja już więcej go nie zniosę. Nerwy... chyba puszczają mi nerwy. Jakże pragnę powrócić do swych owieczek, farm, kościoła, kazań, które wszystkim tak bardzo się podobały--

I do Clary Sampson, kończącej niedługo piętnaście lat, słodkiego owocu tylko czekającego, by ktoś go zerwał...

„I głosem potężnym tak zawołał: «Upadł, upadł Babilon - stolica. I stała się siedliskiem demonów i kryjówką wszelkiego ducha nieczystego.. .»"\*\*\*.

Zastanawiał się nad rodziną Grady'ego. Żona prokuratora nie zrobiła nic złego. Małżeństwo z grzesznikiem nie oznacza przecież, że współmałżonek grzeszy lub decyduje się współpracować z grzeszącym. Nie. Pani Grady nic nie może się stać. Chyba że zauważy, kto strzela.

A jeśli chodzi o Chrissy, ich córkę, o której wspomniał Barnes... ciekawe, ile ma lat? Jak wygląda? Może spodobałoby jej się życie w Canton Falls.

„Dojrzały owoc, pożądanie twej duszy, odszedł od ciebie, a przypadły dla ciebie wszystkie rzeczy wyborne i świetne, i już ich nie znajdą"\*\*\*.

Teraz, pomyślał. Zrób to. Już. Natychmiast.

„I potężny jeden anioł dźwignął kamień jak wielki kamień młyński, i rzucił w morze, mówiąc: «Tak z rozmachem Babilon, wielka stolica, zostanie rzucona i już jej nie będzie można znaleźć»"\*\*\*.

Wielebny myślał: „Mam głaz kary, Grady. Doskonałej konstrukcji szwajcarski pistolet, a posłańcem nie jest anioł z niebios, lecz przedstawiciel wszystkich rozsądnych, trzeźwo myślących Amerykanów”.

Ruszył przed siebie.

Ochroniarze nie zwracali na niego uwagi.

Wielebny wyjął z teczki atlas Rand McNally i ciężki pistolet. Schował go za planem miasta, powoli zbliżał się do samochodu.

\* Apokalipsa św. Jana 18,1 wg Biblii Tysiąclecia. \*\* Apokalipsa św. Jana 18,2. v \*\*\*

Apokalipsa św. Jana 18,14, i \*\*\*\* Apokalipsa św. Jana 18,21.

209

Ochroniarze Grady'ego stali na chodniku, obróceniu do niego plecami. Jeden z nich otworzył furtkę.

Pięć metrów.

Wielebny Swensen pomyślał: Niech Bóg zlituje się nad twoją.

I nagle ciężka dłoń opadła na jego ramię.

- Na

ziemię, na ziemię... ale już!

Mężczyźni i kobiety - setka demonów - złapali wielebnego za ramiona i rzucili na chodnik.

-

Nie ruszaj się, nie ruszaj, nie ruszaj...!

Ktoś odebrał mu broń, ktoś wyrwał mu teczkę, ktoś przycisnął głowę duchownego do chodnika z siłą tak wielką, jakby zwaliły się na niego wszystkie grzechy miasta. Pod policzkiem poczuł beton chodnika, nadgarstki i ramiona przeszył ból. To policjanci skuli go kajdankami i w tej chwili wywracali mu kieszenie.

Unieruchomiony, wbity w chodnik, wielebny Swensen zobaczył kątem oka, jak otwierają się drzwiczki limuzyny Grady'ego. Wyskoczyło z niej trzech policjantów w hełmach i kamizelkach kuloodpornych.

- Nie

podnoś się, głowa w dół...

Jezu nasz Panie w niebie...

Leżąc na chodniku, widział wyłącznie zbliżające się buty. W odróżnieniu od gliniarzy, którzy przyciskali go do betonu i przemawiali donośnymi, obrzydliwymi głosami, policjant, który do niego podszedł, wręcz emanował uprzejmością. Łagodnym głosem z przeciągłym, południowym akcentem powiedział:

- Za

chwilę pomożemy panu wstać, a następnie odczytam

przysługujące panu prawa. Proszę poinformować mnie, czy je pan zrozumiał.

Kilku gliniarzy odwróciło go i poderwało na nogi. Wielebny doznał szoku.

Uprzejmy policjant miał na sobie ciemną sportową marynarkę; to jego widział na placu Waszyngtona. Obok niego stał blondyn w grubych okularach, nieco dalej dostrzegł potężnego śniadego mężczyznę, tego, który pytał go o godzinę rozpoczęcia koncertu.

-

Jestem detektyw Bell. Za chwilę odczytam panu pańskie prawa. Jest pan gotów? Tak? Świetnie, zaczynamy.

Roland Bell przeglądał zawartość teczek wielebnego. Znalazł w niej zapasowy magazynek do pistoletu H&K, kilka żółtych kartek z bloku zapisanych czymś, co wydało mu się wyjątkowo kiepskim kazaniem, przewodnik „Nowy Jork za pięćdziesiąt dolarów dziennie oraz sponiewierany egzemplarz Biblii Gideona ze stem-plem „Hotel Adelphi, 232 Bowery, Nowy Jork, stan Nowy Jork”.

No cóż, pomyślał, uśmiechając się do siebie. Na listę oskarżeń jnożemy wpisać także kradzież Pisma Świętego.

Niestety, żaden z łych skarbów nie wiązał próby zamachu na prokuratora Grady'ego z Andrew

Constable'em. Rozczarowany, przekazał dowody do rejestracji i wywołał Rhyme'a, by poinformować go, że improwizowana operacja grupy chroniącej świadkom tyłki zakończyła się sukcesem.

Po rym, gdy Rhyme poprosił detektywa, by pozostał przed Szkołą, Bell rozpoczął pracę nad pełnym raportem z miejsca przestępstwa, podczas gdy Mel Cooper badał włókna znalezione w biurze Grady'ego. Kryminalistyk doszedł w końcu do kilku ważnych wniosków.

Analiza śladów stóp dowiodła, że włamywacz stał przez kilka minut w jednym miejscu, obok prawego przedniego rogu biurka sekretarki. Spisany przez policję inwentarz sekretariatu wskazywał na to, że po tej stronie biurka znajdował się prowadzony przez sekretarkę kalendarz. W kalendarzu na ten weekend zapisano tylko występ Chrissy Grady na koncercie w Neighborhood School.

Nie było żadnych wątpliwości: włamywacz z pewnością to zauważył. To Rhyme wystąpił z ryzykowną tezą, że może być przebrany za osobę duchowną - pastora lub księdza. Dzięki bazie danych FBI Mel Cooper znalazł źródło czarnych włókien i barwnika: firmę w Minnesocie, która na swych stronach www reklamowała się jako ekspert w dziedzinie produkcji czarnej gabardyny na potrzeby duchowieństwa. Oczywiście trudno było uznać to za dowód, lecz Rhyme dostrzegł coś jeszcze: białe włókno znalezione na miejscu pochodziło z poliestru połączonego z krochmaloną bawełną. Za- | pewne mieli więc do czynienia z koloratką. Pojedyncze czerwone włókno kojarzyło się wyraźnie z zakładką starej książki, podobnie jak odprysk złota. Ze złotymi zdobieniami często wydawano Biblię, Rhyme przypomniał sobie pewną sprawę sprzed lat: wówczas płatny morderca ukrył narkotyki w Biblii, z której wyciął wcześniej część kartek. Podobne ślady znaleziono w sekretariacie.

Bell zalecił prokuratorowi i jego rodzinie, by pozostali w domu. Ich miejsce zajęli policjanci z sił szybkiego reagowania, którzy podjechali pod szkołę służbowym samochodem Grady'ego.

Jednostki ratownictwa umieszczono na północ od szkoły na Piątej Alei, na przecnicach na zachód od Szóstej Alei, na wschód od University Place i na południe od placu Waszyngtona.

Bell, czekający w parku, bezbłędnie wyłapał zdenerwowanego pastora, zmierzającego w stronę szkoły. Poszedł za nim, a gdy pa. stor zauważył, że jest śledzony, przekazał go funkcjonariuszowi SWAT, który szedł za podejrzanym aż do szkoły. Kolejny policjant podszedł do niego i zapytał o godzinę rozpoczęcia koncertu. Jego zadaniem było stwierdzić, czy podejrzany ma broń, lecz to mu się udało i nadal nie było żadnych podstaw ani do przeszukania ani do zatrzymania wielebnego. Mimo to uważnie go obserwowano i gdy tylko wyjął broń z teczki i podszedł do samochodu, został zatrzymany.

Policjanci spodziewali się fałszywego pastora, toteż zdumieni się bardzo, trafiając na prawdziwego, co potwierdziła zawartość jego portfela, znacznie wymowniejsza niż zawstydzająco kiepskie kazanie.

Bell najpierw wysunął magazynek z H&K, a potem wyrzucił pocisk, znajdujący się już w komorze.

Wielki gnat jak na księdza - powiedział.

Jestem pastorem.

To właśnie miałem na myśli.

Wyświęconym.

- Gratuluję. A teraz... wie ojciec, coś mnie ciekawi. Może nie chce ojciec skorzystać z prawa do zachowania milczenia? Bo to

jest tak: jak ojciec przyzna się do tego, co zrobił, to nam będzie łatwiej ojcu pomóc. Na przykład: kto kazał ojcu zabić pana Grady'ego?

-Bóg.

-

Aha. - Bell wzruszył ramionami. - Bóg, oczywiście. A może ktoś jeszcze?

-

Tylko to mam panu do powiedzenia. Proszę sobie zapamiętać: Bóg.

-

Jasne. Nie ma sprawy. No to jedziemy do śródmieścia. Zar się przekonamy, czy Bóg zechce wpłacić kaucję.



to nazywają muzyką? Salon domu Lincolna Rhyme'a rozbrzmiewał łomotem bębnow, do której przyłączył się po chwili surowy dźwięk instrumentów dętych, najwyraźniej ćwiczących krótkie pasażę. Hałas ten dobiegał oczywiście z Cirque Fantastique, który rozbił namioty tuż obok domu kryminalistyka, po drugiej stronie ulicy. Rhyme próbował ignorować owe barbarzyńskie dźwięki, przeszkadzające mu w rozmowie z Charlesem Grady, Prokurator zadzwonił specjalnie z podziękowaniami za działania, dzięki którym udało się zapobiec zamachowi na jego życie.

Bell przesłuchał przetrzymywanego w areszcie Andrew Constable<sup>^</sup>. Constable przyznał, że zna Swensena; powiedział także, że wyrzucił go ze Stowarzyszenia Patriotycznego, ponieważ duchowny zdradzał „niezdrowe zainteresowanie” co młodszymi parafiankami. Potem związał

się podobno z grupą lokalnych tępaków nazywających się milicją. Ich drogi musiały się rozejść i on, Constable, nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek zamachem na kogokolwiek.

Mimo to Grady załatwił dostarczenie Rhyme'owi dowodów, zebranych wokół Neighborhood School i w zajmowanym przez wielebny pokoj hotelowym. Kryminalistyk przejrzał je szybko. Nie znalazł nic, co mogłoby świadczyć o powiązaniach zamachowca z Constable'em.

Wyjaśnił to prokuratorowi i dodał:

Powinniśmy dostarczyć to ludziom z... jak się nazywa to mia steczko?

Canton Falls.

Pewnie dadzą radę przeprowadzić analizę porównawczą gleby i mikrośladów. Być może jest coś, co łączy Swensena i Constable'a, ale ja tego nie stwierdzę. Nie mam żadnych materiałów porównawczych.

Dziękuję, że pofatygowałeś się sprawdzić to, co dostałeś Lincoln. Załatwię, żeby ktoś jak najszybciej zawiózł te dowody na miejsce.

Jeśli chcesz, żebym ci napisał raport ekspercki, zrobię to z przyjemnością - powiedział Rhyme. Drugą część zdania musia!

powtórzyć; zagłuszyło je szczególnie głośne solo na rogu. Do diabła, pomyślał, nawet ja potrafiłbym napisać muzykę lepszą niż to.

Thom ogłosił przerwę w zajęciach i zmierzył Rhyme'owi ciśnienie. Uznał, że jest za wysokie.

Wcale mi się to nie podoba - oznajmił.

Jeśli kogoś to w ogóle obchodzi, niech wie, że mnie nie podo ba się bardzo wiele rzeczy - powiedział Rhyme, przygnębiony w tej chwili i sfrustrowany brakiem postępów w sprawie Maga.

Technik laboratorium FBI w Waszyngtonie zadzwonił z informacją, że dopiero rano będą mieli analizę opiłków metalu z torby.

Bedding i Saul odwiedzili przeszło pięćdziesiąt hoteli na Manhat tanie, ale nie znaleźli żadnego, gdzie jako kluczy do pokoi używano kart APC takich jak ta, którą znaleziono w bluzie od dresu.

Sellitto rozmawiał z policjantami, kręcącymi się wokół Cirque Fantastique; nie zauważyli nic podejrzanego.

Najbardziej niepokojące było jednak to, że do tej pory nikomu nie udało się odnaleźć Larry'ego Burke'a, zaginionego policjanta z patrolu, który zatrzymał Maga niedaleko targów rzemiosła. West Side przeszukiwały dziesiątki gliniarzy, nikt nie natrafił! jednak na żaden ślad, na żadnego świadka, na nic, co mogłoby doprowadzić ich do Burke'a. Pociuszające wydawało się tylko to, iż jego ciała nie było w zatopionej mazdzie. Jeszcze jej nie wydobyto, ale nurek, który nie przeraził się silnych

prądów i znalazł samochód, poinformował, że ani w kabinie, ani w bagażniku nie ma ciała.

- Gdzie

to

żarcie? - spytał Sellitto, wyglądając przez okno.

Sachs i Kara poszły zamówić jedzenie na wynos ze znajdującej się niedaleko kubańskiej restauracji; przy czym młoda iluzjonistkę bardziej niż jedzenie ekscytowała perspektywa wypicia, poraz pierwszy w życiu, kubańskiej kawy. Zwłaszcza że owo „w pO”

łowie espresso, w połowie skondensowane mleko, w połowie cukru idealnie odpowiadało jej gustom. Taki to niezbyt zgodny z arytmetyką opis przedstawił Thom.

Tymczasem tęgi detektyw spojrzał na Rhyme'a.

214

~ Jadłeś kiedyś kubańskie sandwicze? - spytał. - Mówię ci, są najlepsze na świecie.

Ale dla Thoma nie jedzenie i kawa były najważniejsze.

Czas do łóżka - oznajmił.

Za dwadzieścia dwie dziesiąta - oburzył się Rhyme. - Prze cież to praktycznie popołudnie. Więc nie mów mi, że czas... do...

łóżka...! - Kryminalistyk z trudem nadał swemu śpiewnemu głosu sowy brzmienie zarówno młodzieńcze jak i groźne. - Gdzieś tam pałęta się morderca, który może nawet sam nie wie, jak często będzie zabijał ludzi: co cztery godziny czy co dwie! - Zerknął na zegarek. - Być może kolejne zaplanował na za dwadzieścia dwie dziesiąta? Rozumiem, że to ci się może nie podobać, ale mam pełne ręce roboty!

Nie, nie masz. Jeśli nie chcesz spać, nie śpij, ja cię nie zmuszę. Ale idziemy na górę załatwić kilka spraw, a potem położysz się grzecznie i będziesz leżał. Parę godzin.

Ha! Masz nadzieję, że zasnę i obudzę się rano, co? No więc nie zasnę. Nie zmrużę oka przez całą noc!

Thom spojrzał w niebo błagalnym wzrokiem.

Lincoln jedź na górę! - oznajmił głośno.

Chcesz stracić pracę?

A ty chcesz dożyć śmierci jako warzywo? - nie wytrzyma!

Thom.

-

To jest cholerne maltretowanie niepełnosprawnego! - burknął Rhyme, ale widać było, że się poddaje. Jeśli człowiek sparaliżowany siedzi zbyt długo w jednej pozycji i krążenie krwi w kończynach jest utrudnione, jeśli wreszcie, jak lubił niedelikatnie Wspominać Rhyme, zwłaszcza przy obcych, chce mu się sikać lub srać, a nie robił tego od dłuższego czasu, ryzykuje dysrefleksję, objawiającą się gwałtownym wzrostem ciśnienia krwi mogącym doprowadzić do wylewu, a w konsekwencji do pogłębienia paraliżu lub nawet śmierci. Dysrefleksja zdarza się rzadko, to prawda, ale za to błyskawicznie wysyła chorego do szpitala, a czasem i do grobu. Rhyme zgodził się więc pojechać na górę, załatwić potrzeby fizjologiczne i odpocząć w łóżku. To właśnie za takie chwile, Przymusowe przerwy w „normalnym” życiu, najbardziej nienawidził swego kalectwa. Doprowadzało go do wściekłości i choć się do tego nie przyznawał - także głębokiej depresji.

W sypialni Rhyme'a, po zakończeniu koniecznych czynności, Thom powiedział stanowczo:

- W porządku. Dwie godziny odpoczynku. Prześpij się.

-

Godzina - zaprotestował Rhyme.

Asystent zamierzał oponować, ale spojrzał w twarz swego pod-opiecznego. Dostrzegł w niej gniew i twarde postanowienie: „le. piej dla ciebie, żebyś mi odpuścił, łajzo”, lecz zdarzyło się to nie pierwszy raz i zdążył się uodpornić. W oczach pacjenta dostrzegł jednak także smutek i troskę o tych, których Mag umieścił na swojej liście i którzy mogli zginąć w każdej chwili.

Dobrze. Godzina. Jeśli się prześpisz.

Zgoda. - I Rhyme dodał z lekką kpina w głosie: - Będę miał piękne sny. Ale drink bardzo by mi pomógł, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Thom poprawił dyskretny, ciemnofioletowy krawat. Oznaczało to, że jego opór słabnie, co Rhyme wyczuwał tak, jak rekin wyczuwa w wodzie najmniejszą kroplę krwi.

Tylko jeden - powiedział błagalnie.

W porządku.

Thom nalał do szklanki trochę starego macallana, włożył do niej słomkę i postawił ją tak, by Rhyme mógł się napić.

-

Och, jakie to wspaniałe. - Rhyme spojrzał z żalem na pustą szklankę. - Może pewnego dnia nauczę cię, jak się nalewa drinki.

Thom nie podjął dyskusji.

Wracam za godzinę - powiedział.

Polecenie, budzik - rzekł stanowczo kryminalistyki. Na płaskim monitorze komputera pojawił się zegar. Komendy słowne umożliwiły ustawienie godziny, po której miał zadziałać alarm.

Przecież bym cię obudził - zdziwił się Thom.

Masz tyle obowiązków. Mógłbyś zająć się czymś i zapomnieć o tym drobiazgu. A teraz z pewnością się obudzę, prawda? - za kpił Rhyme, choć bez złośliwości.

Asystent wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Lincoln Rhyme spojrzał w okno. Siedzące na parapecie sokoły wędrowne obserwowały miasto, jakby były jego właścicielami. Obracały głó' wy w ten jakże charakterystyczny, szczególnie sposób, pozornie niezdarny, lecz przy tym elegancki. Nagle jeden z nich, samica, lepszy myśliwy, spojrzał na niego, mrugając oczami, jakby wyczuł jego zainteresowanie. Przekrzywił głowę. Po chwili wrócił do obserwacji osi, na której kręci się Nowy Jork: Central Parku.

Rhyme zamknął oczy. W myśli ewidencjonował zebrane dowody, próbował poznać motyw Maga, znaczenia znalezionych drobin mosiądzu, karty hotelowej, przepustki prasowej, tuszu.

Tajemnice, nic, tylko tajemnice.

Drgnął, spojrzał w sufit. Co za bzdura! Przecież nie był zmęczony, wręcz przeciwnie! Chciał tylko jednego: zjechać na dół, wrócić do pracy. Sen? Wolne żarty, nie ma mowy, nie zaśnie.

poczuł na policzku chłodny powiew... i wściekł się na Thoma za to, że włączył klimatyzację.

Kiedy sparaliżowanemu cieknie z nosa, to lepiej, żeby był w pobliżu ktoś, kto mu ten nos wytrze. Wywołał tablicę kontroli otoczenia, zdążył jeszcze pomyśleć, że powie Thomowi:

„byłbym zasnął, gdyby w pokoju nie było za zimno”, ale jeden rzut oka na monitor przekonał go, że klimatyzacja jest wyłączona.

Więc... co właściwie poczuł? Drzwi były przecież zamknięte.

Tak! Kolejny powiew, z całą pewnością powiew, na drugim policzku, prawym. Natychmiast obrócił głowę. Okno? Nie. Okno było zamknięte. No, prawdopodobnie...

Spojrzał na drzwi. Jezu! Czuł, jak jego serce powoli przestaje bić. Drzwi do sypialni miały zasuwkę, ale na nią można było je zamknąć wyłącznie od środka. Od zewnątrz, nigdy.

Ktoś je zamknął.

Powiew powietrza na skórze. Tym razem gorącego. Ktoś odetchnął, ktoś stojący bardzo blisko. Tak blisko, że Rhyme słyszał

jego oddech.

- Gdzie jesteś - szepnął.

Westchnął nagle. Przed jego oczami pojawiła się dłoń ze zdeformowanymi, zrośniętymi palcami, trzymająca żyłkę. Wymierzoną wprost w jego oczy.

- Jeśli zawołasz o pomoc - powiedział Mag swym charakterystycznym, świszczącym głosem - jeśli spróbujesz dać im znać, co się dzieje, oślepię cię. Rozumiesz? Lincoln Rhyme skinął głową.

Dłoń trzymająca żyłkę znikła z pola widzenia Rhyme'a, ale Mag żyłki nie schował, o nie.

W jednej chwili trzymał ją w ręce, w następnej znikła.

Jakby jej nigdy nie było.

Jego Mag: brązowowłosy, gładko ogolony, ubrany w mundur policyjny, obszedł spokojnie pokój, oglądając książki, płyty kompaktowe, plakaty. Od czasu do czasu kiwał głową, jakby coś bardzo mu się podobało. Szczególnie zainteresowała go jedna rzecz: mała czerwona świątynia, w której umieszczono podobiznę chińskiego boga wojny i sił policyjnych, Guan Di. Najwyraźniej nie miał nic przeciw niestosowności umieszczenia takiego symbolu w domu eksperta-kryminalistyka.

Podszedł do łóżka Rhyme'a.

No tak - powiedział charakterystycznym, chrapliwym szepem, patrząc na bezwładną postać leżącą na ortopedycznym łóżku. - Inaczej sobie ciebie wyobrażałem.

Samochód? - spytał Rhyme. - Samochód w rzece. Jak...?

Ach, to! - Intruz lekceważąco machnął ręką. - Sztuczka z utopionym samochodem? To proste: mnie w nim nie było. Wy skoczyłem, nim wpadł do wody. Banalna sztuczka. Zamknięte okna, by gapie widzieli odbite od nich światło, czapka na zagłówku na wypadek, by ktoś dostrzegł coś więcej, ale w gruncie rzeczy za kierownicą siedziałem tylko dzięki wyobraźni widzów. Sama mego Houdiniego nie było przecież w niektórych pułapkach, z których podobno uciekł.

- A

więc ślady opon nie pochodziły z hamowania, ale z przyśpieszenia! - Rhyme był na siebie wściekły. Jak mógł dać się tak oszukać! - Położyłeś cegłę na pedale gazu!

218

\_ Cegła nie wydałaby się naturalna nurkom, którzy znaleźli samochód. W odróżnieniu od kamienia. - Mag przyglądał się kryminalistykowi przez dłuższą chwilę i wreszcie powiedział zdyszczonym szeptem: - Ale ty nie uwierzyłeś, że zginąłem.

\_ Jak udało ci się wejść do pokoju? Nic nie słyszałem. - Bo przyszedłem tu przed tobą.

Wszedłem po schodach i dziesięć minut temu. Byłem też na dole, w tej twojej sali sztabowej czy jak tam ją nazywasz. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- To ty dostarczyłeś dowody! - Rhyme nie pamiętał rysów policjanta, który wwiózł na wózek

puddo z dowodami zebranymi w Neighborhood School i w pokoju hotelowym zajmowanym przez wielebnego Swensena.

- Słusznie. Czekałem przed domem. Pojawił się gliniarz z tymi wszystkimi pudłami.

Powiedziałem mu „cześć” i zaproponowałem pomoc. Nikt cię nie zatrzyma, jeśli masz na sobie mundur i zachowujesz się tak, jakbyś wypełniał jakieś ważne zadanie.

Czekałeś tu na mnie przykryty jedwabiem w kolorze ściany?

A więc rozszyfrowałeś tę sztuczkę?

Rhyme przyjrzał się mundurowi Maga. Zmarszczył brwi. Tak, to był oryginalny mundur, nie kostium, lecz - wbrew regulaminowi - na kieszeni nie było plakietki z nazwiskiem funkcjonariusza. Zrozumiał i poczuł przytłaczający go ciężar. Mag miał na sobie mundur Larry'ego Burke'a, któremu udało się nie tylko zatrzymać go, ale nawet obezwładnić i skuć.

- Zabiłeś go! Zabiłeś i zabrałeś mundur.

Mag przyjrzał się sobie. Wzruszył ramionami.

-

W odwrotnej kolejności. Najpierw zabrałem mundur - wyjaś nił tym swoim cichym, chrapliwym, pozbawionym intonacji głó sem. - Przekonałem go, że jeśli rozbierze się do naga, spokojnie ucieknę, bo nie będzie mógł mnie ścigać. Oszczędził mi wysiłku.

Ściąganie ubrania z trupa to prawdziwa mordęga. Dopiero po tem go zastrzeliłem.

Pełen obrzydzenia Rhyme pomyślał, że wprawdzie przewidział niebezpieczeństwo związane z tym, że Mag może dysponować bronią i policyjnym radiem, ale do głowy mu nawet nie przyszło, że może użyć także munduru policyjnego jako kostiumu do szybkiej zmiany. I że korzystając z przebrania, zaatakuje tych, którzy na niego polowali.

Gdzie ciało? - spytał cicho.

Na West Side.

Gdzie na West Side?

Wolałbym zatrzymać tę informację dla siebie. Ktoś je znaj.

dzie, jeśli nie dziś, to jutro. Jest ciepło.

Ty sukinsynu! - warknął Rhyme. Formalnie był cywilem, ow szem, ale w głębi duszy czuł się gliniarzem, teraz i zawsze. A nie ma lojalności większej niż ta, która łączy gliniarzy.

Jest ciepło.

A jednak Lincoln Rhyme potrafił zachować spokój.

Jak mnie znalazłeś? - spytał na pozór obojętnie.

Targi rzemiosła. Udało mi się podejść do twojej partnerki.

Tej rudej. Bardzo blisko. Tak blisko, jak teraz do ciebie. Dmuchałem jej w kark, jak tobie... nie wiem, co sprawiło mi większą przyjemność. W każdym razie rozmawiała przez radio. Z tobą.

Wymieniła nazwisko. Łatwo cię znaleźć po nazwisku, wystarczy się trochę postarać. Gazety cię kochają, wiesz? Jesteś sławny.

Sławny? Taki kaleka jak ja?

Najwyraźniej.

Rhyme powoli potrząsnął głową.

- To

już przeszłość. Kiedyś było inaczej. Kiedyś moje polece nie... ale nie, od bardzo dawna nie wolno mi nikomu wydawać poleceń.

Słowo „polecenie” poprzez mikrofon komputerowej konsoli dotarło do programu rozpoznawania głosu. Na monitorze pojawiło się okno; on je widział, ale Mag - nie. W oknie mrugał napis:

„Instrukcje?”.

Polecenie? - zdziwił się intruz. - Co masz na myśli?

Byłem szefem wydziału. Ale młodzi funkcjonariusze już mnie nie pamiętają, choć jestem dobry i nie ma nic prostszego niż powiedzieć sobie: „On da radę. Wybierz numer”.

Program rozpoznał dwa ostatnie słowa. Wyświetlił pytanie:

„Czyj numer?”.

Rhyme westchnął rozpaczliwie.

-

Opowiem ci o czymś, co bardzo mnie dotknęło. Zaledwie wczoraj chciałem skontaktować się z policjantem, pewnym po rucznikiem, nazywa się Lon Sellitto...

„Wybieram: Lon Sellitto” - zgłosił program.

- Powiedziano

mi...

Mag skrzywił się nagle. Podeszedł do stolika, obrócił monitor, syknął przez zęby, a następnie wyrwał przewody, w tym te łączące modem z gniazdkiem telefonicznym. Rozległ się cichy trzask.

Pochylił się nad łóżkiem. Rhyme wcisnął głowę w poduszkę pewny, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu będzie lśniąca ostrze żyletki. Lecz Mag cofnął się o krok, oddychając ciężko, z astmatycznym świstem. Wysiłki bezradnego kaleki wprawiły go raczej w podziw niż gniew.

- Wiesz, co właśnie zrobiłeś, prawda? - spytał, uśmiechając się chłodno. - Dobry z ciebie iluzjonista. Najpierw uspiłeś mnie byle gadaniem, a potem zastosowałeś typową słowną zmyłkę. Klasyczny podstęp. Godne podziwu. To, co mówiłeś, brzmiało przekonująco... póki nie wymieniłeś nazwiska przyjaciela. Popsułeś wszystko właśnie dlatego, że wskazałeś na konkretną osobę. Bo widzisz... to już nie było naturalne. Wzbudziłeś podejrzenia.

Ale wypadłeś świetnie.

Nowa sztuczka: „Unieruchomiony człowiek”. - Ja też jestem niezły. - Mag wyciągnął rękę, w dłoni nic nie trzymał. Przeciągnął nią przed twarzą Rhyme'a, który odruchowo schował głowę w ramiona. Poczuł, jak coś delikatnie muska mu ucho, a kiedy w chwilę później ponownie dostrzegł dłoń, między jej palcami tkwiły cztery żyletki. Iluzjonista zacisnął dłoń w pięść, lecz kiedy ją otworzył, z czterech pozostała jedna. Trzymał ją pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Nie, błagam... bardziej niż bólu Lincoln Rhyme bał się utraty kolejnego łączącego go ze światem zmysłu. A tymczasem morderca przesunął ostrzem przed jego twarzą, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Ale Mag uśmiechnął się i cofnął o krok. Odwrócił głowę. Patrzył w ciemność, za którą kryła się tylko ściana pokoju.

- A teraz, szacowni widzowie, pozwólcie, że rozpoczniemy występ od pokazu prestidigitatora.

Pomoże mi mój przyjaciel, którego tu widzicie. - Słowa te zabrzmiały dziwnie, wypowiedziane napuszonym, teatralnym głosem.

Podniósł rękę, w jego dłoni zabłysła żyletka. Jednym pewnym ruchem Mag odciągnął gumkę gimnastycznych spodenek i bielizny Rhyme'a i rzucił żyletką niczym freesbie w jego nagie podbrzusze.

Rhyme próbował skulić się, wydać jak najmniejszym.

- I cóż myśli teraz ten człowiek? - Mag zwrócił się do swej wyimaginowanej widowni. - Wie, że ostrze dotyka jego nagiej skóry, że w tej chwili może ciąć jądra, żyły, arterie. A on przecież nic nie czuje!

Rhyme wpatrywał się w swe ciało. Lada chwila spodziewał się zobaczyć krew.

A- tymczasem na twarzy Maga pojawił się uśmiech.

221

- Ale...

może nie ma tam żadnych żyłek? Może są zupełnie

gdzie indziej? Może nawet... tu? - Sięgnął do ust, wyciągnął

z nich żyłkę, uniósł dłoń. Zmarszczył brwi. - Chwileczkę... - 2g pierwszą poszła druga i trzecia, i czwarta. Na jego dłoni leżały cztery śmiertelne ostrza. Rozłożył je jak karty i nagle rzucił

w powietrze. Rhyme odetchnął głośno; przecież musiały wbić się w jego ciało. Ale... nie. Po prostu znikły.

Czuł pulsowanie na szyi, w skroniach. Opływał potem. Zerknął na zegarek. Wydawało mu się, że alarm powinien odezwać się całe godziny temu, ale nie. Od wyjścia Thoma minęło zaledwie piętnaście minut.

Po co to wszystko? - spytał. - Po co zabiłeś tych wszystkich ludzi? O co ci chodzi?

Nie zabiłem „tych wszystkich ludzi”. - W głosie mordercy zabrzmiał wyraźnie słyszalny gniew. - Zepsułeś mi występ z ama zonką nad Hudsonem.

No dobrze. Po co na nich napadałeś? Dlaczego?

To nie było nic osobistego. - Mag rozkaszał się nagle.

Nic osobistego? - zdumiał się Rhyme.

Powiedzmy sobie, że chodziło raczej o to, co sobą reprezentowali, niż to, kim byli.

Co to znaczy „reprezentowali”? Wyłumacz.

Nie - wydyszał Mag. - Nie sądzę, bym miał ochotę to tłumaczyć. - Spojrzał na drzwi. - Kończy się nam czas - szepnął z namyślnym głosem. Obszedł łóżko; oddychał ciężko, chrapliwie. - Czy ty w ogóle wiesz, o czym myślą widzowie? Większość po cichu liczy na to, że iluzjonista nie uwolni się z więzów na czas, że się utopi, że spadnie na ostre pale, że spłonie. Jest taki numer, nazywa się

„Płonące lustro”. Mój ulubiony. Iluzjonista patrzy w lustro. Chce zobaczyć w nim siebie, ale nie, widzi piękną dziewczynę. Dziewczyna przywołuje go skinieniem dłoni, a on daje się skusić. Przechodzi przez lustro, na naszych oczach oboje zmieniają się miejscami, przed lustrem stoi teraz dziewczyna, iluzjonista jest w nim zamknięty. I nagle... w powietrze wznosi się chmura dymu. Dziewczyna dokonuje szybkiej zmiany, staje się szatanem.

Iluzjonista zostaje uwięziony w piekle, przykuty łańcuchami do podłogi. I z tej podłogi buchają płomienie, otaczają go kręgiem. Ogień płonie także przed lustrem, jego jedyną drogą

ucieczki. Ściana ognia zbliża się nieubłaganie i gdy ma już 10' chłonąć iluzjonistę, uwalnia się on z łańcuchów, przeskakuje przez ogień odgradzający go od zwierciadła. Jest bezpieczny.

beł biegnie w jego stronę, wlatuje w powietrze, znika. Iluzjonista rozbija lustro młotem, po czym przechodzi wzdłuż sceny i pstryka. Błyska światło i on, jak już się pewnie domyśliłeś, zmienia się w diabła. To jest coś, co widzowie po prostu kochają! Ale ja wiem, że każdy z nich gdzieś, w sekrecie, nie przyznając się do tego przed sobą, życzy sobie, by ogień zwyciężył, a iluzjonista zginął! - Umilkł na chwilę. - No i oczywiście to się zdarza. Od czasu do czasu.

Kim jesteś? - szepnął Rhyme. Porzucił już wszelką nadzieję.

Ja? - Mag pochylił się ku niemu. Oddychał szybko, ciężko, hałaśliwie. - Jestem Czarodziejem Północy. Jestem największym iluzjonistą wszech czasów. Jestem Houdinim. Jestem kimś, kto potrafi uciec z płonącego lustra. Wyzwolę się z kajdanek, z pęt, z łańcuchów, zamkniętych pokoi, uwolnię się od wszystkiego... -

spojrzał Rhyme'owi wprost w oczy - ...oprócz ciebie. Bałem się, że od ciebie nigdy się nie uwolnię. Za dobry jesteś. Muszę cię po wstrzymać przed jutrzejszym popołudniem.

Dlaczego? Co ma się zdarzyć jutro po południu?

Mag nie odpowiedział. Spojrzał w bok i rozpoczął przemówienie:

-

A teraz, szacowni widzowie, zapraszam na atrakcję wieczoru. Oto „Zwęglony człowiek”! Przypatrzcie się tylko naszemu bohaterowi: nie krępują go łańcuchy ani kajdanki, ani sznury.

A jednak wydaje się, że nie ma szans na ucieczkę. Trudniej by mu było niż pierwszemu na świecie specjalistom od uwalniania się z więzów, świętemu Piotrowi. Wrzucony do więziennej jamy, skuty i strzeżony, święty Piotr uciekł. Oczywiście miał bardzo kompetentnego asystenta, samego Pana Boga. Nasz bohater jest jednak zdany tylko na siebie.

W dłoni Maga pojawił się mały, szary przedmiot, on sam pochylił się tak szybko, że Rhyme nie zdążył nawet odwrócić głowy. \*• jednej chwili został zakneblowany taśmą samoprzylepną.

Następnie Mag wyłączył wszystkie światła z wyjątkiem małej lampki na nocnym stoliku.

Znów podszedł do łóżka, podniósł wskazujący palec, potarł go kciukiem, zapalając niemal dziesięciocentymetrowy płomień. Poruszył nim w jedną, potem w drugą stronę.

~ Pocisz się, jak widzę. - Przysunął płomień do twarzy Rhy-nie'a- - Płomień... jakie to fascynujące. Iluzje nie znają bardziej Pokonującego obrazu. Nie sposób wyobrazić sobie wspanialej zmyłki. Wszyscy na niego patrzą. Widząc go na scenie, nie potrafią oderwać od niego oczu. Drugą ręką mogę zrobić wszyst-ko, a ty tego nawet nie zauważysz. - W dłoni intruza pojawiła się butelka starej szkockiej. Zabójca pociągnął z niej łyk, podniósł płomień do ust. Rhyme znów wciągnął głowę w ramiona, lecz Mag uśmiechnął się tylko, odwrócił i buchnął płomieniem w stronę sufitu. Cofał się powoli, ogień rozjaśniał głębokie cienie sypialni Rhyme'a.

Kryminalistyk zerknął na ścianę, w rogu sypialni. Intruz zaśmiał się kpiąco.

- Wykrywacz dymu? Załatwiony! Bateria wysiadła. - Mag wydmuchnął w powietrze strumień ognia i odstawił butelkę whisky.

Nagle tuż przed twarzą Rhyme'a pojawiła się biała, śmierdząca benzyną chustka. Ostry zapach sprawił, że jego oczy zaszyły łzami, a nos zapiekł go nieprzyjemnie. Intruz zwinął

chustkę, rozerwał piżamę ofiary, i zawiązał mu chustkę na szyi. Potem podszedł do drzwi, bezgłośnie odsunął zasuwkę, wyjrzał na zewnątrz.

Rhyme poczuł też inną woń, gęstą i nieco słodkawą. Co to? Udało mu się zidentyfikować ją niemal natychmiast. Szkocka. Zapewne Mag pozostawił gdzieś obok otwartą butelkę.

Nie, to nie to. Zapach whisky stawał się coraz mocniejszy, wręcz wszechpotężny, przytłumił nawet smród benzyny. Rhyme zrozumiał, co się dzieje, i poczuł rozpacz. Intruz rozlał whisky na podłogę, pomiędzy łóżkiem a drzwiami. Drogi, wspaniałe alkohol miał posłużyć jako zapalnik.

Mag pstryknął palcami. Mała kula ognia wyleciała z jego dłoni wprost w kałużę szkockiej.

Błękitny płomyk pomknął po podłodze. Za chwilę zapłonęł stos magazynów i tekturowe pudło stojące obok łóżka. A także bambusowy fotel.

Za chwilę zapłonęł pościel, a potem ogień sięgnie jego ciała. Początkowo niczego oczywiście nie



poczuj, ale to się zmieni, gdy płomień sięgnie jego twarzy i głowy. Rhyme odwrócił głowę, ale nikogo nie zobaczył. Mag uciekł. A tymczasem ogień pożerał pudła i książki, topił płyty kompaktowe. Dym drażnił nos i oczy.

Niespełna minutę później błękitnożółtym płomieniem zapłó' nął koc, którym otulone były stopy Lincolna Rhyme'a.

21

Bardzo przejęty rolą obrońcy prawa i porządku funkcjonariusz Jpolicji nowojorskiej, usłyszawszy zapewne jakiś dziwny dźwięk, wszedł w alejkę między dwoma domami stojącymi na West Side. Piętnaście sekund później z alejki wyszedł mężczyzna ubrany w cienki bordowy golf i obcisłe dżinsy. Na głowie miał czapkę bejsbolową.

Zrezygnowawszy z roli policjanta Larry'ego Burke'a, Malerick wyszedł na Broadway. Szedł szybko, zdecydowanym krokiem. Ktoś, kto spojrzałby mu w twarz, zauważyłby z pewnością, że wesoło rozgląda się na boki, jakby szukał rozrywki, i założyłby się, że szuka on na West Endzie miejsca, gdzie mógłby dowartościować zarówno swe ego, jak i męskość, które u mężczyzn po pięćdziesiątce na ogół bardzo potrzebują dowartościowania.

Przystanął przy mieszczącym się w piwnicy barze, zajrzał do środka. Uznał, że to bezpieczne schronienie, przynajmniej na jakiś czas. Potem miał zamiar wrócić do domu Lincolna Rhyme'a i sprawdzić, jakich zniszczeń dokonał ogień.

Usiadł przy samym końcu baru, niedaleko wejścia do kuchni. Zamówił sprite i kanapkę z indykiem. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył rząd automatów do gry, wydających charakterystyczne, elektroniczne piski, i zakurzoną szafę grającą. Salę barową czuć było dymem, potem i środkiem dezynfekcyjnym. Słyszał tylko pijackie śmiechy i szum bezsensownych rozmów. Atmosfera przypominała mu świat młodości, którą spędził w mieście zbudowanym

z Piasku.

Las Vegas to lustro otoczone płomieniem światła; można w nie Patrzyć, jak długo się chce, lecz każdy wyraźnie zobaczy tylko własną twarz z bliznami po ospie i zmarszczkami - szarą, zmęczoną, niepewną. Las Vegas tonie w kurzu, Las Vegas nic zna współ-czucia, światła Stripu gasną już przecnicę dalej, nie docierają do właściwego miasta przyczep kempingowych, zapadających się bungalowów, lokalnych, zawsze zasypanych piaskiem, centrów handlowych, lombardów sprzedających pierścionki zaręczynowe marynarki, sztuczne ręce... wszystko, co ktoś kiedyś zmienił na ćwiartki i srebrne dolarówki.

I wszędzie, wszędzie bura, niekończąca się pustynia. W takim świecie urodził się Malerick.

Ojciec był krupierem przy stole do blackjacka, matka kelnerką w barze (tyła, więc w końcu zajęła miejsce za kasą). Byli zaledwie dwójką z armii szarych pracowników Vegas, traktowanych jak mrówki zarówno przez szefów kasyn, jak i ich klientów. Żyli w świecie pieniędzy, poznali je tak blisko, że czuli zapach tuszu, potu i perfum, którymi przesiąkły, ale nie pozwolono im nawet o nich marzyć. Wiedzieli, że banknoty przejdą przez ich ręce i to wszystko; znikną równie nagle, jak się pojawiły.

Jak wiele dzieci z Vegas, pozostawionych samym sobie przez rodziców pracujących ciężko, długo i w nienormowanym czasie, jak wiele dzieci z nieszczęśliwych rodzin, Malerick szukał miejsca, w którym czułby się bezpiecznie, a przede wszystkim dobrze. Dla niego tym miejscem był Strip.

Szacowni widzowie, mówiłem wam już o zmytce, o tym, jak iluzjonista odwraca waszą uwagę od metody, używając do tego ruchu, barw, świateł, dźwięków. No cóż, zmyłka to nie tylko technika iluzjonisty, to jeden z aspektom życia. Wszystkich nas przyciąga to, co jasne i błyszczące, co zaprzecza wszechobecnej nudzie, rutynie, rodzinnym kłótniom, drzemce w upale na granicy pustyni, co pozwala zapomnieć o uśmiechniętych nastolatkach gotowych prześladować cię tylko dlatego, że jesteś mały, chudy i nieśmiały, a kiedy już kogoś dopadną, te dzieciaki biją pięściami twardymi jak skorupy skorpionów...

Dla Malericka ucieczką był Strip.

Zwłaszcza te sklepy, które sprzedawały magiczne akcesoria. Było ich wiele; na całym świecie Las Vegas znane jest w środowisku jako Stolica Magii. Chłopiec szybko się zorientował, że sklepy to nie tylko sklepy, lecz także miejsca spotkań, że tam iluzją niści i ich uczniowie wymieniają się wiedzą, opowieściami i plotkami.

W jednym z owych sklepików chłopiec dowiedział się o sobie czegoś bardzo ważnego. Był chudy, nieśmiały, nie potrafił szybko biegać, to wszystko prawda... ale los obdarzył go fenomenalną zręcznością i koordynacją. Ludzie pracujący w tych sklepach, a na ogół pracują w nich młodzi lub emerytowani iluzjoniści, pokazywali mu, jak można coś ukryć, gdzie odnaleźć, jak zmylić widownię, jak odwrócić jej uwagę, a on uczył się tego błyskawicznie.

Jeden ze sprzedawców spojrzał na niego, uniósł brew i powiedział o trzynastolatku; „Jest urodzonym prestidigitatorem”.

Chłopiec się zdziwił. Nigdy nie słyszał tego słowa. - Wymyślił je francuski magik w dziewiętnastym wieku - wyjaśnił sprzedawca. - Presti jak presto, szybko. Digit to z łaciny palec. Prestidigitator, czyli ktoś o szybkich palcach. O zręcznej ręce. Może więc chłopiec był

jednak kimś więcej niż jeszcze jedną gębą do wyżywienia w rodzinie, kimś więcej niż szkolną ofermą, regularnie bitą na boisku.

Codziennie o trzeciej dziesięć wychodził ze szkoły i szedł prosto do ulubionego sklepu.

Siedział w nim, jak długo się dało, chłonąc szczegóły metody. Właściciel „Jaskini Magii”, jednego z wielu sklepów z magicznymi akcesoriami, wpuszczał go od czasu do czasu na zaplecze, pozwalał mu na krótkie pokazy i występy.

Nadal pamiętał tę wspaniałą chwilę, kiedy po raz pierwszy wszedł na niską scenę. Od tego momentu Młody Houdini - bo taki był jego pierwszy pseudonim - błagał, a kiedy to nie pomagało, rozpychał się łokciami, słowem robi! wszystko, by na nią wrócić. Ileż radości dawało mu obserwowanie zauroczonej występem publiczności, zachwyconej tym, jak ją oszukiwał, kupującej wszystkie jego sztuczki! Bojącej się, gdy chciał, żeby się bała! A już najbardziej lubił ją straszyć.

W końcu przyłapano go, co było przecież nieuniknione. Pierwsza zorientowała się matka; zwróciła uwagę na to, że syn coraz rzadziej bywa w domu. Przeszukała jego pokój, by dowiedzieć się dlaczego.

Znalazłam pieniądze - powiedziała pewnego dnia. Chłopiec właśnie stanął w progu kuchni; mama oderwała się od kolacji, Podeszła do niego; wyglądała bardzo groźnie. - Skąd się wzięły?

Z „Abrakadabry”.

A co to takiego?

Sklep przy „Tropicanie”, Mówiłem ci przecież...

Masz się trzymać z dala od Stripu!

Mamusiu, przecież to tylko sklep. Sklep z akcesoriami magicznymi!

a- Gdzie

byłeś? Piłeś, co? Czuć od ciebie alkohol?

-

Mamusi, nie! - Przeraziła go ta wielka kobieta w koszulce po plamionej sosem do spaghetti. To jej oddech śmierdzał straszliwie.

- Jeśli złapią cię w kasynie, mogę stracić pracę. Twój ojciec też.

Byłem w sklepie. Występowałem... takie małe przedstawie nie. Widzowie czasami dają mi napiwki.

Za dużo tego jak na napiwki. Mnie tyle nie dawali, nawet kiedy byłem hostessą.

- Jestem

dobry.

Ja też byłem... zaraz! Przedstawienie? Jakie przedstawienie.

Magia. -Jakie to straszne, pomyślał chłopiec, zły i sfrustrowany. Przecież mówił matce o występach. Mówił kilka tygodni temu. - Popatrz - powiedział i pokazał jej prostą sztuczkę karcianą.

Spodobała mi się. -Matka skinęła głową. -Ale kłamałeś, to też zatrzymuję pieniądze.

Nie kłamałem!

Nie powiedziałaś mi, co robisz. To to samo co kłamstwo.

Mamo, zarobiłem te pieniądze.

Kłamiesz, płacisz.

Schowała banknoty do kieszeni dzinsów z wysiłkiem, bo zasłaniała ją brzuch. Nagle zawahała się. W porządku, dostaniesz dziesiątkę. Jeśli coś mi powiesz.

-Ja...?

Tak. Czy widziałeś kiedyś ojca z Tiffany Loam?

Nie wiem. A kto to taki?

Wiesz. Nie udawaj. Kelnerka z „Sands”, parę miesięcy temu była u nas na kolacji. Z mężem. Miała żółtą bluzkę.

Więc...

Widziałeś ich czy nie? Na przykład wczoraj, kiedy wyjeżdżali na pustynię?

Nie, nie widziałem.

Matka przyjrzała mu się uważnie i doszła do wniosku, że mówi prawdę.

- Jeśli ich zobaczysz, daj mi znać.

Kiedy wracała do swego spaghetti, jej syn ośmielił się powiedzieć.

Pieniądze, mamusi.

Zamknij się. Przegrałeś dublę\*.

\* Dubla (Daily Double) - metoda gry na wyścigach konnych (takie psich). Wymaga wytypowania zwycięzcy w dwóch kolejnych wyścigach, najczęściej pierwszym i drugim lub drugim i trzecim.

228

Pewnego dnia, gdy znów występował w „Abrakadabrze”, zdumiał się, widząc wchodzącego do sklepu szczupłego, bardzo poważnego mężczyznę. Kiedy szedł w stronę „Jaskini Magików”, wszyscy obecni w sklepie, łącznie ze sprzedawcami, zamilkli. Był to słynny iluzjonista, który pracował z Blackstone'em, Kerskinem i Zdumiewającym Randim.

Angażowano go nawet w „Tropica-nie"! Słyszał ze zmiennych nastrojów i mrocznych, przerażających sztuczek.

Po pokazie mężczyzna przywołał go skinieniem dłoni. Wskazał ma wypisaną ręcznie wizytówkę na scenie.

Nazwał się „Młodym Houdinim”? - spytał.

Tak, proszę pana.

Sądzi, że jesteś wart tego imienia?

Nie wiem. Po prostu mi się spodobało.

Pokaż mi coś jeszcze. - Mężczyzna skinął głową, wskazując gestem przykryty aksamitem stolik.

Chłopiec wykonał kilka sztuczek. Denerwował się, wiedział przecież, że obserwuje go sława.

Skinienie głowy; miał wrażenie, że z aprobatą. Czternastolatek doczekał się takiego uznania!

Obecni w sklepie fachowcy byli tak zdumieni, że wręcz odebrało im głos!

- Chcesz

się uczyć?

Malerick tylko kiwnął głową. Był zbyt zaskoczony, by przemówić.

-

Daj mi monety.

Chłopiec wyciągnął dłoń. Słynny iluzjonista spojrzał na nią, wyraźnie zdziwiony.

-

Co z nimi zrobiłeś?

Bo dłoń była pusta. Gość roześmiał się chrapliwie, widząc zdumienie na twarzy chłopca. Sam przecież odebrał mu monety i trzymał je teraz w zaciśniętej garści. Zdumiał tym swego młodego kandydata na ucznia, który nic nie poczuł. Zupełnie nic.

-

A teraz zatrzymam tę w powietrzu...

Młody Malerick posłusznie podniósł wzrok, lecz nagle instynkt podpowiedział mu: „Zaciśnij pięść. On przecież włoży w nią twoje monety. Zawstydz go przed wszystkimi obecnymi tu fachowcami. Złap go z ręką w cudzej kieszeni!”.

Iluzjonista nadal patrzył mu w twarz. Znieruchomiał i szepnął bardzo cicho:

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

Chłopiec zawahał się.

Ja...

Radzę ci, pomyśl.

Młody Houdini spojrzał na swą dłoń, tę, którą miał zamiar chwycić rękę sławy. Zamarł, przerażony. Owszem, coś na niej leżało, nie monety, lecz pięć żyletek. Gdyby zacisnął pięść, nie obyłoby się bez kilkunastu szwów.

Muszę obejrzyć twe dłonie - powiedział mężczyzna, zabiera, jąc żyletki, które natychmiast zniknęły. Następnie przeciągnął kciukiem po skórze dzieciaka, a ten odniósł wrażenie, jakby przeszył go prąd elektryczny.

Masz ręce geniusza - wyszeptał do ucha chłopca, tak by tylko on go usłyszał. - A także motywację i wiem, że nie zabraknie ci okrucieństwa... ale brak ci wizji. Na razie. -W jego dłoni poja wiła się żyletka. Przeciął nią kawałek papieru, który zaczął krwa wić. Zmiał go, rozwarł dłoń. Po rozcięciu nie pozostał nawet ślad.

Wręczył kartkę swemu przyszłemu uczniowi; był na niej adres zapisany czerwonym atramentem.

Zawsze możesz do mnie przyjść. - Jego wargi musnęły ucho Młodego Houdiniego. - Wiele

jeszcze musisz się nauczyć... a ja wiele cię mogę nauczyć.

Malerick zachował adres, ale brakowało mu odwagi, by pójść na spotkanie z iluzjonistą. Jego życie zmieniła na zawsze matka, która w dniu piętnastych urodzin syna dostała ataku szału.

Zaczęła wrzeszczeć, po czym cisnęła w męża talerzem fettuccini. Poszło o nieuchwytną panią Loam, jakżeby inaczej.

Chłopiec zdecydował, że ma tego dość. Następnego dnia odwiedził iluzjonistę, który zgodził się zostać jego mentorem.

Trafił na właściwą chwilę. Za dwa dni jego pan i władca miał ruszyć w trasę po całych Stanach Zjednoczonych. Potrzebował asystenta. Młody Houdini podjął wszystkie pieniądze z konta bankowego, które założył w tajemnicy przed rodzicami, i poszedł w ślady swego imiennika. Uciekł z domu, by zająć się magią. Różnica między nimi polegała na tym, że Harry Houdini usiłował zarobić, by pomóc swej żyjącej w nędzy rodzinie, i wkrótce do niej

powrócił, a młody Malerick ze swoimi rodzicami pożegnał się na zawsze.

- Cześć. Jak leci?

Wspomnienia przerwał mu gardłowy głos. Przysiadła się do niego kobieta, wyglądająca na stałą bywalczynię tej knajpy przy Upper West Side. Pięćdziesięciolatka, słabo udająca czterdziestolatkę, wybrała tę knajpę najpewniej z powodu bardzo słabego 230

światła. Usiadła na sąsiednim stołku, pochyliła się ku Malerickowi próbując skusić go głęboko wyciętym dekoltem. Przepraszam, pani coś mówiła? Spytałam, jak leci. Jesteś tu nowy, prawda? Przyjechałem do miasta na kilka dni.

- Aaaach - westchnęła przeciągle. Musiała być nieźle pijana. Wyjęła papierosa i podstawiła mu go irytującym gestem, jakby oczekiwała, że będzie szczęśliwy, mogąc podać jej ogień.

- Służę pani. - Malerick pstryknął zapalniczką. Przynajmniej ten płomień zatańczył szaleńczo; ujęła jego dłoń w swe drżące ręce o palcach chudych jak szpony.

- Dziękuję. - Wydmuchnęła dym w powietrze, a kiedy opuściła głowę, dostrzegła, jak Malerick wsuwa banknot pod talerzyk i wstaje z barowego stołka.

Skrzywiła się.

- Muszę lecieć. Aha, to chyba pani własność. - Tajemniczy mężczyzna podał jej małą metalową zapalniczkę. Spojrzała na nią zdumiona, bo to rzeczywiście była jej zapalniczka.

Wyjął ją z torebki, kiedy się ku niemu pochyliła.

- Pomyślałem, że nawet z tym sobie nie poradzisz - szepnął Malerick z okrutną kpina, zostawiając kobietę samą przy barze. Widząc łzy, żłobiące rowki w grubo nałożonym makijażu, pomyślał o swych sadystycznych numerach; tych, które już wykonał, i tych, które zaplanował na weekend. Krew, cięte na kawałki cia-to i ogień... ogień, który zawsze wydawał

mu się najpiękniejszy. Wycie syren usłyszała, kiedy od celu dzieliły ją jeszcze dwie przecznice.

Amelia Sachs musiała po prostu uznać, że to śmieszne. Usłyszała tak dobrze znany, przeciągły jęk i natychmiast wyobraziła sobie, że dobiega od strony miejskiego domu Lincolna Rhyme'a. Przecież to niemożliwe, powiedziała sobie. Coś takiego po prostu nie ma prawa się zdarzyć. Ale czerwone i niebieskie migające światła skupiły się na Central Park West, w tak dobrze jej znanym miejscu.

Bez nerwów, dziewczyno, próbowała się uspokoić. Przecież to tylko twoja wyobraźnia, pobudzona tym niesamowitym wizerunkiem Arlekina na fladze Cirque Fantastique. Maskami iluzjonistów, straszną rzeczywistością morderstw Maga. Popadasz w paranoję.

Trochę tu strasznie...

Daj sobie spokój!

Do drugiej ręki przełożyła torbę, ciężką od pachnącego czosnkiem kubańskiego jedzenia.

Wraz z Karą szły zatłoczonym chodnikiem, rozmawiając o rodzinach, pracy i o Cirque Fantastique. O mężczyznach też.

Pif,paf.

Dziewczyna popijała kubańską kawę. Przyznała, że zakochała się w niej i popadła w nałóg od pierwszego łyku. Kawa nie tylko była o połowę tańsza niż w Starbuck, ale także dwa razy mocniejsza.

-

Z matematyki nie jestem za mocna - przyznała - ale wycho dzi na to, że-jest cztery razy lepsza. Wiesz, Amelio, uwielbiam ta kie odkrycia. To drobiazgi dodają życiu barwy, nie uważasz?

Ale Amelia Sachs już dawno straciła wątek rozmowy. Obok nich przemknęła kolejna karetka.

W duszy modliła się o to, by minęła dom Rhyme'a.

Nie minęła. Z piskiem opon zatrzymała się na rogu.

- Nie...

-

O co chodzi? - zdumiała się Kara. - Jakiś wypadek?

Sachs rzuciła torbę z jedzeniem na ziemię i ruszyła biegiem w kierunku domu Rhyme'a.

- Och,

Lincoln...

Kara popędziła za nią. Gorąca kawa parzyła jej dłonie. Odrzuciła kubek. Dogoniła policjantkę.

-

O co chodzi? - krzyknęła.

Skręciły za rogiem. Przed domem Rhyme'a stało kilka wozów straży pożarnej i pogotowia.

Początkowo Amelia była pewna, że Rhyme dostał ataku dysre-fleksji, ale teraz nie miała już wątpliwości, że w jego domu wybuchł pożar. Podniosła wzrok i aż sapnęła z przerażenia. Z okien sypialni Rhyme'a na pierwszym piętrze wydostawał się dym.

Jezu, nie!

Przeszła pod policyjną taśmą. Pobiegła do wejścia, w którym stała grupka strażaków, przeskoczyła schody, na chwilę zapominając o artretyzmie. Poślizgnęła się na kamiennej podłodze korytarza na parterze.

Hol i laboratoria wydawały się nietknięte, choć powietrze przesycone było dymem. Widziała go i czuła jego zapach.

Na schodach pojawili się dwaj strażacy. Amelii wydawało się, że widzi na ich twarzach smutek i rezygnację.

-

Lincoln! - krzyknęła.

232

Zamierzała popędzić wyżej, ale powstrzymał ją Lon Sellitto.

- Amelio, nie! - krzyknął, pojawiając się w korytarzu.

Obróciła się przerażona, pewna, że chce jej oszczędzić widoku spalonego ciała. Pomyślała nawet: jeśli Mag zabrał mi Lincolna, nie pożyje długo. Nic na świecie mnie nie powstrzyma.

- Lon!

Sellitto przywołał ją do siebie skinieniem, a kiedy podeszła, przytulił mocno.

-

Nie ma go w sypialni - powiedział.

Czy...?

Nie, nie, nic mu się nie stało. Jest cały i zdrowy. Thom zniósł go na dół, do pokoju gościnnego.

- Dzięki Bogu - westchnęła Kara. Z niedowierzaniem przyglądała się kolejnym schodzącym z piętra strażakom: potężnie zbudowanym kobietom i mężczyznom, którzy w mundurach i ze sprzętem wydawali się jeszcze potężniejsi.

Przyłączył się do nich Thom. Twarz miał poważną, wręcz ponurą.

Nic mu nie jest, Amelio. Żadnych poparzeń, tyle że trochę nawdychał się dymu. Skoczyło mu ciśnienie, ale już dostał lekarstwa. Wróci do siebie.

Co się stało? - spytała Sachs, zwracając się do Łona Sellitto.

-

Mag - burknął detektyw i westchnął. - Zabił Larry'ego Burke'a. Ukradł jego mundur. Dostał się do domu i w jakiś sposób wkradł do sypialni Lincolna. Podpalił pokój. Siedzieliśmy na dole, nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje. Dym zauważył ktoś z ulicy.

Zadzwoił pod dziesięć-jeden-jeden. Centrala natychmiast skon taktowała się ze mną. Kiedy przyjechała straż, Thom, Mel i ja zdążyliśmy ugasić pożar.

A Mag? Jak rozumiem, nie udało się go złapać?

Tęgi detektyw roześmiał się gorzko.

A jak myślisz? Zniknął. Jakby rozpułynał się w powietrzu.

Po wypadku, który uczynił z niego paralytyka, gdy udało mu się już opanować bezsensowny żal, kładący spędzać każdą chwilę na modlitwie o to, by nogi znów zaczęły działać, Lincoln Rhyme przestał walczyć z losem i skupił całą swą siłę woli na walce o cel znacznie bliższy i łatwiej osiągalny. O samodzielne oddychanie.

Ofiary wypadków, w których złamany zostaje czwarty kręgosłup, licząc od podstawy czaszki, w skrajnych wypadkach potrzebują sztucznego płuca. Nerwy przewodzące sygnały z mózgu do przepony mogą działać bądź nie. Płuca Rhyme'a nie chciały pracować prawidłowo, przystawiono mu więc maszynę z prowadzącą do piersi rurą. Nienawidził jej, nienawidził jej mechanicznego posapywania i bardzo nieprzyjemnego uczucia, że nie musi oddychać, choć przecież wiedział, że to nie on oddycha. Ale uczucie pozostało.

Maszyna miała także przykry zwyczaj zatrzymywania się co jakiś czas w najmniej odpowiednich momentach.

Lecz nagle jego płuca odzyskały sprawność i mógł już oddychać samodzielnie. Lekarze uznali, że był to po prostu przykład naturalnego stabilizowania się stanu organizmu po ciężkiej traumie, ale Rhyme wiedział, że w tym wypadku się mylą. To on dokonał tego, co uważał za cud, on i tylko on. Siłą woli. Wciągnięcie powietrza w płuca - początkowo płytko, bardzo płytko, ale przynajmniej samodzielnie - było jednym z jego największych życiowych sukcesów. Teraz ćwiczył, by przywrócić czucie w ciele; sądził nawet, że może kiedyś odzyskać zdolność poruszania kończynami. Ale nawet gdyby mu się udało, wątpił, by duma z tego wyczynu przewyższyła dumę, którą czuł, gdy odłączono go od sztucznego płuca.

W tej chwili Lincoln Rhyme wspominał kłęby dymu, unoszące się z płonącego płótna, papieru i

plastiku, otaczające go ze wszystkich stron. Wpadł w panikę, ale, co może dziwne, mniej martwił się tym, że umrze w płomieniach, a bardziej tym, jak ten straszny dym niszczy jego płuca. Oczami duszy widział wbijające się w ich tkankę ostre opiłki metalu, niweczące jedyne zwycięstwo, które odniósł jako kaleka. Było zupełnie tak, jakby Mag bezbłędnie trafił

go w najczulsze miejsce.

Kiedy Thom, Sellitto i Cooper wpadli do jego sypialni, nie pomyślał z wdzięcznością o tym, że ratują mu życie, że obaj policjanci trzymają w rękach gaśnice. Nie. Pragnął krzyknąć:

„Ratujcie moje płuca!”.

Thom natychmiast założył mu maskę tlenową. Rhyme głęboko odetchnął słodkim, ożywczym gazem. Już na dole przebadał go zarówno lekarz pogotowia, jak i jego doktor specjalista.

Przemyli kilka niegroźnych ran, opatrzyli kilka niegroźnych oparzeń. Siadów po cięciu żyłką nie znaleźli, Mag nie zostawił też żyłek ukrytych w pościeli lub piżamie. Lekarz uznał, że płucom pacjenta nic się nie stało i zalecił tylko, by Thom obracał go częściej niż zwykle, co miało zapobiec ewentualnemu gromadzeniu się płynów.

Dopiero wówczas Rhyme zaczął się uspokajać. Ale o prawdziwym spokoju nie mogło być mowy. Morderca dokonał dzieła o wiele okrutniejszego niż zadanie mu niegroźnych fizycznych ran. Przypomniawszy sobie, jak bardzo zagrożone jest jego życie, jak niepewna przyszłość.

Nienawidził go za to. Nie chciał czuć się zagrożony i tak strasznie bezradny.

Lincoln! - Amelia wpadła do pokoju, usiadła na starym łóżku ortopedycznym, pochyliła się i przytuliła go mocno, a on wtulił głowę w jej włosy. Płakała. Od czasu gdy się poznali, łączyła ich w oczach widział raz, może dwa razy.

Tylko nie po imieniu - szepnął. - Pamiętaj, że to przynosi pecha. A pecha wystarczy nam na dziś i kilka następnych dni.

Nic ci się nie stało?

Nie, nic - szepnął. Wiedział, że to nielogiczne, ale ciągle się bał, że jeśli przemówi głośniej, cząsteczki dymu przebijają mu płuca, zniszczą je. - Ptaki? - spytał. Modlił się o to, by nic złego nie spotkało jego sokołów. Nie przejąłby się, gdyby zdecydowały, że gdzie indziej, w innym domu, będzie im lepiej, nie zniósłby ich, gdyby zostały ranne lub zginęły.

- Thom

twierdzi,

że czują się świetnie. Po prostu przesiadły

się na sąsiedni parapet.

Pozostali tak przytuleni, póki w drzwiach nie pojawił się Thom.

- Muszę obrócić cię na drugi bok - oznajmił.

Amelia uściskała Rhyme'a mocno i wstała. Obserwowała opiekuna, który sprawnie sobie radził z podopiecznym.

-

Przeszukaj miejsce przestępstwa - powiedział Rhyme. - Coś musiał po sobie zostawić. Na przykład chustkę, którą zawiązał mi wokół szyi. I nie zapominajmy o żyłkach!

Sachs wyszła z sypialni. Nie była tu potrzebna. Thom zajął się czyszczeniem płuc pacjenta.

Wróciła po dwudziestu minutach. Zdjęła kombinezon, schowała go do walizki.

- Niewiele

znalazłam - przyznała. - Tę chustkę, o której wspo



mniałeś, i trochę odcisków palców. Kupił sobie nowe Ecco. Jeśli zostawił coś poza tym, to spłonęło. Aha, znalazłam jeszcze butelkę szkockiej, ale zakładam, że to twoja.

-

No, owszem - szepnął Rhyme. W innej sytuacji zakpiłby 2 kogoś, kto używa osiemnastoletniej whisky jako zapalnika.

W tej chwili nie miał jednak ochoty na żarty.

Wiedział, że nie znajdą wielu dowodów. Te, które znajduje się Przy podpaleniach, zazwyczaj dokumentują tylko to, gdzie i jak Podłożono ogień. To wiedział, założył więc, że z badania miejsca Przepięstwa powinien dowiedzieć się więcej.

235

Co z taśmą klejącą? Thom zerwał ją i rzucił na ziemię.

Nic z niej nie zostało. Spłonęła.

Zajrzyj za łóżko. Od strony głowy. Mag stał właśnie tam. Może...

Zajrzałam.

Spróbuj jeszcze raz. Musiałaś coś pominąć. Musiałaś...

Nie - powiedziała krótko Amelia.

-Co?

Zapomnij o miejscu przestępstwa. Mag przerobił je na grzanekę... jeśli wolno mi tak to ująć.

Przecież trzeba jakoś popchnąć tę sprawę!

I popchniemy. Przez przesłuchanie świadka.

Jakiego świadka - prychnął. - Nikt nie wspomniał mi o żadnym świadku.

Ale jest.

Mówiąc te słowa, Amelia Sachs podeszła do drzwi i zawołała Łona Sellitto. Detektyw wszedł do pokoju obwąchując marynarkę i strasznie marszcząc przy tym nos.

Garnitur za dwieście czterdzieści dolców i co? Już po nim, cholera. O co ci chodzi?

Mam zamiar przesłuchać świadka, porucznika. Ma pan magnetofon?

Jasne. - Poda! jej magnetofon. - Masz świadka?

Daj sobie spokój ze świadkami - zniecierpliwiał się Rhyme.

- Wiesz, że na nich nie można polegać. Trzymaj się dowodów.

Nie. Z tego świadka wyciągniemy coś naprawdę dobrego.

Moja w tym głowa.

Kryminalista spojrzął na drzwi, ale nikogo nie dostrzegł.

Cholera, kto jest tym tajemniczym świadkiem - prychnął.

Ty - odparła Amelia Sachs, przysuwając krzesło bliżej łóżka.

27

a? To śmieszne. - Nie. To nie jest śmieszne.

Daj sobie spokój. Przejdź po siatce. Musiałaś coś pominąć.

Za krótko to trwało. Gdybyś była nowa...

Nie jestem nowa. Umiem szybko przeszukać miejsce prze stępstwa i wiem, kiedy przestać szukać i zabrać się do czegoś bardziej produktywnego,

Amelia włączyła mały magnetofon Sellitta, sprawdziła, czy w środku jest taśma i zaczęła dyktować:

-

Nagrania dokonuje funkcjonariuszka patrolu Amelia Sachs, numer służbowy pięć-osiem-osiem-pięć. Przesłuchuję Lincolna Rhyme'a, świadka napadu dziesięć-dwadzieścia cztery i podpale nia dziesięć-dwadzieścia dziewięć na Central Park West trzy-cztery-pięć. Jest sobota, siedemnasty kwietnia. - Ustawiła magneto fon na stole obok Rhyme'a.

Rhyme spojrział na niego, jakby zobaczył węża.

Zacniemy od opisu - powiedziała Sachs.

Mówiłem Łonowi...

Powiedz mnie.

Rhyme spojrział w sufit z męczeńskim wyrazem twarzy.

Średniej budowy, mężczyzna, około pięćdziesięciu-pięćdziesi eciu pięciu lat, mundur funkcjonariusza policji. Gładko ogolony tym razem. Na szyi oraz piersi blizny i przebarwienia.

Rozpiął bluzę? Widziałeś jego pierś?

Ach, bardzo przepraszam! - W głosie Rhyme'a zabrzmiała Wyr'azna kpina. - Blizny na szyi, prawdopodobnie dochodzące do piersi. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Oczy brązo-we. Och, to znaczy prawdopodobnie brązowe.

237

-

Bardzo dobrze, Rhyme! Do tej pory nie mieliśmy koloru oczu.

- A

skąd mamy wiedzieć, czy nie nosi szkieł kontaktowych? -

prychnął Rhyme. Wiedział, że właśnie zdobył punkt. - Prawdopo-dobnie przypomniałbym sobie więcej, gdybym miał jakąś pomoc. - Zerknął na Thoma.

Pomoc?

Zakładam, że jeśli w tym domu jest jeszcze jakaś niespalo-na butelka macallana, to gdzieś w kuchni.

- Później - zaprotestowała Amelia. - Powinniśmy zachować przytomność umysłu.

- Ale...

Policjantka podrapała się po głowie.

-

A teraz chciałabym usłyszeć o wszystkim, co tu się wówczas zdarzyło. Co powiedział?

- Niewiele

pamiętam - odparł niecierpliwie Rhyme. - To był

głównie jakiś bełkot szaleńca. A ja nie miałem nastroju do wy słuchiwania bełkotu szaleńca.

- Być może dla ciebie brzmiało to jak bełkot, ale ja założę się, że znajdziemy coś użytecznego.

-

Sachs! - Rhyme nadal kpił. - Czy nie sądzisz, że miałem pra wo być lekko zaniepokojony, może nawet trochę poruszony? By nie powiedzieć „wstrząśnięty”?

Dotknęła lekko jego dłoni.

- Wiem,

że nie ufasz świadkom. Ale oni czasami coś widzą. To moja specjalność, zdajesz sobie sprawę?

Amelia Sachs, policjantka o humanitarnej orientacji.

- Poprowadzę cię przez to. Dokładnie tak, jak ty prowadzisz mnie po siatce. Znajdziemy coś istotnego. - Podeszła do drzwi i zawołała: „Kara!”.

Owszem, Rhyme nie ufał świadkom, nawet jeśli znajdowali się w dobrej pozycji do obserwacji i nie brali udziału w tym, co się działo. Każdy, kto w jakiś sposób brał udział w przestępstwie, zwłaszcza ofiara użycia siły, jest zupełnie niewiarygodny. Nawet teraz, gdy Rhyme przypominał sobie wizytę mordercy, pojawiała się tylko seria oderwanych obrazów: Mag stojący za nim, stojący obok niego, podpalający pościel. Zapach whisky, widok dymu.

Nawet chronologia tych zdarzeń sprawiała mu kłopoty.

Pamięć, co lubiła powtarzać Kara, jest tylko iluzją.

W tym momencie Kara pojawiła się w drzwiach.

- Wszystko w porządku, Lincoln? - spytała.

238

|- - Nic mi nie jest.

Amelia wyjaśniła, czego dziewczyna powinna słuchać szczególnie uważnie. Poinformowała ją, iż spodziewa się, że zabójca jnógł powiedzieć coś, co bardzo by się im przydało. Następnie usiadła, przysunęła krzesło bliżej łóżka i wróciła do przesłuchania.

I1 - Powiedz nam, co się stało - wróciła do ostatniego pytania. -Na razie wystarczy ogólny opis.

Rhyme z wahaniem popatrzył na magnetofon. Uporządkował myśli i opowiedział o wszystkich wydarzeniach, tak jak je zapamiętał: pojawienie się Maga, Mag przyznaje się do zabójstwa policjanta i kradzieży jego munduru, Mag mówi o jego ciele.

- Było zupełnie tak, jakby udawał, że występuje, a ja mu po magam - dodał nagle.

Pamiętał głos zabójcy, w głowie nadal słyszał jego bełkot.

Jedną rzecz pamiętam doskonale. Ma astmę. No, w każdym razie dusi się. Oddycha ciężko, szybko. Szepcze.

Świetnie! - ucieszyła się Sachs. - Zupełnie zapomniałam, że mówił w ten sposób nad stawem, tam gdzie napadł na Marston.

Co powiedział?

Rhyme spojrzał na ciemny sufit małego pokoju gościnnego. Potrząsnął głową.

-

Nie, to chyba wszystko. Albo groził, że mnie spali, albo groził, że mnie potnie. Aha, czy przy przeszukaniu pokoju znaleźli ście żyletki?

-Nie.

No widzisz. O tym właśnie mówię, o dowodach. Wiem, że wrzucił mi żyletkę za bokserki. Lekarze jej nie znaleźli. Musiała wypaść. Widzisz, tego rodzaju dowodów powinnaś szukać.

Prawdopodobnie wcale nie wrzucił żyletki - zauważyła Ka ra. - Znam ten numer. Schował ją w

dłoni.

Może powoli się kastrujesz...

W każdym razie chcę powiedzieć, że człowiek nie wsłuchuje się raczej w słowa ludzi, którzy go torturują.

Daj spokój, Rhyme. Wróc pamięcią do wczesnego wieczoru.

My z Karą poszliśmy na kolację. Ty badałeś dowody. Thom za wiozł cię na górę. Byłeś zmęczony, prawda?

Nie. Nie byłem zmęczony. Ale i tak mnie położył.

Raczej cię to nie uszczęśliwiło?

Nie, nie uszczęśliwiło.

Jesteś w swojej sypialni...

239

Rhyme przypomniał sobie światła, sylwetki ptaków na para\_pecie. Thom zamyka drzwi.

Jest cicho... - odpowiedziała mu Sachs.

A wcale że nie! Zapominasz o tym cholernym cyrku. W każdym razie nastawiłem budzik...

Na którą godzinę?

Nie pamiętam. Co to ma za znaczenie?

Jeden szczegół rodzi dwa następne.

Rhyme skrzywił się przeraźliwie.

Skąd to wzięłaś? Z ciasteczka z wróżbą?

Amelia uśmiechnęła się lekko.

Sama wymyśliłam. Brzmi dobrze, nie uważasz? Możesz umieścić je w nowym wydaniu swojej książki.

Nie piszę książek o świadkach. Tylko o dowodach. - Ta ripa sta sprawiła kryminalistykowi wielką przyjemność.

Następna sprawa. Skąd wiesz, że wszedł do sypialni przed tobą? Usłyszałeś coś?

Poczułem przeciąg. Najpierw pomyślałem, że to klimatyzacja, ale nie. To był on. Dmuchał mi na kark i policzek.

Ale... dlaczego?

Pewnie chciał mnie przestraszyć. I udało mu się. - Rhyme przymknął oczy. Kiwnął głową, przypominał sobie coraz więcej faktów.

Próbowałem zadzwonić do Łona. Ale można powiedzieć -

zerknął na Karę - że on złapał mnie za rękę. Zagroził, że mnie za bije... nie, tak naprawdę to groził, że mnie oślepi, jeśli spróbuję wezwać pomoc. Byłem pewien, że to robi, ale... to raczej dziwne... miałem wrażenie, że zdołałem mu zaimponować. Nazwał to zmyłką. - Zamilkł. Nie pamiętał, co było dalej.

Jak dostał się do środka?

Wszedł z policjantem, który przyniósł dowody z zamachu na Grady'ego.

O, cholera! - syknął Sellitto. - Od tej chwili sprawdzamy toż samość wszystkich, którzy przejdą przez ten próg. Wszystkich, rozumiecie?

Mówił o zmyłce - drażyla Sachs. - Co jeszcze?

Nie wiem - szepnął Rhyme. - Nic.

Zupełnie nic? - spytała cicho.

Nie wiem! - krzyknął. Był wściekły na Amelię za jej upór w zadawaniu pytań i za to, że nie pozwoliła mu się napić, co po mogłoby stłumić strach.

240

przede wszystkim był jednak wściekły na siebie. Za to, że ją zawiódł.

Ale... Amelia powinna zrozumieć, jak ciężko było mu cofnąć się do tamtych kilku chwil; płomień i dym, duszący go, grożący jego nieszczęsnym płuciom...

Chwileczkę! Dym!

- Ogień! - powiedział głośno.

- Ogień?

- Właśnie. O tym mówił najwięcej. Zupełnie jakby miał jakąś obsesję. Wspomnił pewną iluzję... zaraz... tak! „Płonące lustro”.

Właśnie! Ogień na scenie, jeśli dobrze pamiętam. Iluzjonista mu si przed nim uciec. Zamienia się w diabła. W każdym razie ktoś zamienia się w diabła.

Oboje spojrzeli na Karę. Dziewczyna skinęła głową.

Słyszałam o „Płonącym lustrze”. Wymaga długich przygotowań i jest bardzo niebezpieczne. Większość dyrektorów cyrków nie pozwoliłaby dziś na jego przedstawienie.

Cały czas gadał o ogniu. Że to jedyna rzecz, której nie da się naśladować na scenie. O tym, że widzowie widzą ogień i w głębi ser-na spodziewają się, że iluzjonista spłonie. I pamiętam coś jeszcze...

Dalej, Rhyme. Dobrze ci idzie.

Nie przerywaj mi. Mówiłem chyba, że zachowywał się tak, jakby był na scenie? I jakby cierpiał na omamy. Patrzył na pustą ścianę i gadał do niej jak do ludzi. Nie pamiętam dokładnie, co mówił, ale to było zachowanie szaleńca.

Wyobrażał sobie, że ma widzów?

- Właśnie. Chwileczkę... to było coś jak „szanowni widzowie”.

Amelia Sachs spojrzała na Karę.

-

Zawsze przemawiamy do widzów - powiedziała dziewczyna, wzruszając ramionami. - Nazywamy to zagadaniem. Dawniej mó wiło się „szanowni państwo” albo „panie i panowie”, ale dziś uchodzi to za pretensjonalne. Zagadanie jest dziś znacznie mniej formalne.

-

Mów dalej, Rhyme.

-

Nie mam nic do powiedzenia, Sachs. To już koniec. Nie pa-miętam, wszystko jest jak za mgłą.

- Założę się, że jest coś jeszcze. To zupełnie jak z dowodem na miejscu zbrodni. Jest mały, zgoda, ale może dzięki niemu rozwiążemy sprawę? Żeby go znaleźć, trzeba po prostu myśleć trochę inaczej.

- Pochyliła się nad łóżkiem. - Wyobraź sobie, że jesteś w sypialni. Leżysz na łóżku ortopedycznym. Gdzie on stał?

241

Tam. - Wskazał miejsce ruchem głowy. - U stóp łóżka, twa rzą do mnie, po mojej lewej, bliżej drzwi.

W jakiej pozycji?

Pozycji? No... nie wiem.

Spróbuj.

Chyba twarzą do mnie. Poruszał rękami, gestykulował, jak by przemawiał publicznie.

Sachs wstała, zajęła miejsce, które jej wskazał.

Tak? - spytała.

Bliżej.

Amelia podeszła bliżej.

- Właśnie. Tutaj.

Patrzył na nią i rzeczywiście coś zaczął sobie przypominać.

Jeszcze jedno. Mówił o ofiarach... zabijał je, ale nie było w tym nic osobistego.

Nic osobistego?

Tak. Zabił... tak, teraz pamiętam. Zabił tych ludzi za to, co reprezentowali.

Sachs skinęła głową. Pisała szybko, uzupełniając nagranie magnetofonowe notatkami.

Reprezentowali? - zastanawiała się głośno. - Co to może znaczyć?

Nie mam zielonego pojęcia. Studentka muzyki, prawniczka, charakteryzator. Różny wiek, różne preferencje seksualne, miej sca zamieszkania, brak widocznych związków. Co sobą reprezentowali? Styl życia wyższej klasy średniej? Może chodzi o to, że byli mieszkańcami wielkiego miasta, mieli wyższe wykształcenie nie... może coś z tych rzeczy jest kluczem do tego, dlaczego ich wybrał. Kto wie?

To mi się nie podoba... -Amelia zmarszczyła brwi.

Co?

W twoich zeznaniach jest jakaś dziwna luka.

A czego się spodziewałaś? Pieprzonych cytatów? Nie miałem pod ręką stenografa.

Nie, nie o to mi chodzi. - Sachs zastanawiała się przez chwilę. Skinęła głową. - Ty interpretujesz, co powiedział. Używasz swoich słów, nie jego. „Mieszkańcy wielkiego miasta”, „wyższe wykształcenie”... A ja chcę jego słów.

Nie pamiętam jego słów. Powiedział, że nie ma nic do ofiar.

Że to nic osobistego. Koniec.

Amelia energicznie potrząsnęła głową.

242

- Nie.

Załóżę się, że tak nie powiedział.

-

A niby czemu?

Morderca nie powie o swojej ofierze „ofiara”. Nigdy. Nawet tak nie pomyśli. To niemożliwe. Nie może myśleć o nich jako o lu dziach. A już z pewnością dotyczy to morderców zabijających we dług wzoru, takich jak nasz Mag.

To są bzdury z kursów na Akademii Policyjnej, jeden zero jeden, psychologia.

Nie, Rhyme. Tu nie o studia chodzi, lecz o prawdziwy świat.

My wiemy, że to są ofiary, ale sprawcy zawsze wierzą głęboko, że zasłużyły sobie na śmierć z tego czy innego powodu. Właśnie o to chodzi, prawda. Więc on nie użył słowa „ofiara”, prawda?

A co to za różnica?

Powiedział, że są reprezentantami czegoś, a my musimy do wiedzieć się czego. Jak o nich mówił?

Nie pamiętam.

- Z

pewnością nie powiedział „ofiara”. To wiem. Czy mówił wyraźnie o którejś z nich? Świetlana, Tony... a co z Cheryl Marston? Nazwał ją blondynką? Może prawniczką? A może „babką o dużych cyckach”? Bo założę się, że nie „mieszkaną wielkiego miasta”.

Rhyme przyknął oczy. Próbował wrócić w tamto miejsce, tamten czas. Wreszcie potrząsnął głową.

-

Nie... - I nagle powróciło do niego właściwe słowo. - Ama zonka!

-Co?

- Miałaś rację, nie użył słowa „ofiara”. Powiedział o niej amazonka.

-

Wspaniale! - westchnęła Sachs, a Rhyme z jakiegoś niewyjaśnionego powodu poczuł dumę. Co z innymi?

Nic. Wymienił tylko ją. - Był tego całkiem pewny.

Więc myśli o ofiarach jako ludziach robiących określone rzeczy. To może być praca albo coś innego - wtrącił Sellitto.

Słusznie - zakpił Rhyme. - Grają na flecie. Robią makijaż.

Jeżdżą konno.

Ale co z tym zrobić? - spytał detektyw.

Kiedy Amelia badała miejsce przestępstwa, Rhyme często jej powtarzał słowa, które zapamiętała i przytoczyła teraz:

243

-

Na razie nie wiemy, detektywie. Ale jesteśmy o krok bliżej Wiedzy.

Następnie przejrzała notatki.

- W

porządku. Pokazał sztuczki z żyletkami. Wspomnił „to nące lustro”. Rozmawiał z „szanownymi widzami”. Ma obsesję na punkcie ognia. Wybrał charakteryzatora, studentkę muzyk, i amazonkę ze względu na to, co reprezentują, czymkolwiek to coś było. Jest coś jeszcze?

Rhyme znów zamknął oczy. Próbował, bardzo próbował, ale widział tylko żyletki i płomień, czuł zapach dymu.

-

Nie - powiedział, patrząc na Sachs. - Moim zdaniem to wszystko.

- W

porządku. Udało ci się, Rhyme.

Usłyszał w tonie głosu Amelii coś, co zrozumiał doskonale. Sam tak mówił. To wcale jeszcze nie koniec. Podniosła wzrok znad notatek.

-

Wiesz, zawsze cytujesz Locarda.

Rhyme skinął głową. Locard był francuskim ekspertem od badania miejsca przestępstwa.

Sformułował twierdzenie, nazwane później jego imieniem, głoszące, że w każdym miejscu przestępstwa następuje wymiana dowodów między sprawcą, ofiarą i samym terenem, choćby nawet

niedostrzegalna.

- No

coż, sądzę, że można je rozszerzyć na wymianę psychiczną, nie tylko fizyczną.

Rhyme roześmiał się, słysząc tak szalony pomysł. Locard był naukowcem i strasznie by się zdumiał, gdyby ktoś mu powiedział, że jego twierdzenie próbuje zastosować się do czegoś tak mglistego i niepewnego jak ludzka psychika.

Byłeś zakneblowany przez cały czas? - spytała Sachs.

Nie. Dopiero na końcu.

To oznacza, że ty też mu coś powiedziałaś. Komunikowaliście się. Brałeś udział w wymianie.

-Ja?

A co, nie? Nic mu nie powiedziałaś?

Jasne, że tak. I co z tego? To jego słowa są ważne.

Zastanawiam się, czy nie powiedział czegoś w odpowiedzi na twoje słowa.

Kryminalistyk uważnie przyglądał się swej współpracownicy. Brudna plama w kształcie półksiężyca na policzku, krople potu nad pełną górną wargą. Siedziała wychylona do przodu i choć mówiła spokojnym głosem, widać było, że jest skoncentrowana, napięta. Nie wiedziała o tym, bo i skąd, ale miał wrażenie, iż odczuwa te same emocje, które czuł on, kiedy prowadził ją P° siatce odległej o kilometry od miejsca, gdzie się znajdował

- Zastanów

się, Rhyme - powiedziała. - Wyobraź sobie, że je

steś sam na sam z mordercą. Niekoniecznie z Magiem. Z jakimkolwiek mordercą. Co byś mu powiedział? Czego chciałbyś się od niego dowiedzieć?

Westchnął ciężko, dodając do tego westchnienia także nutkę cynizmu. Ale oczywiście to pytanie trąciło jakąś strunę w jego umyśle.

Pamiętam! Zapytałem go, kim jest.

Dobre pytanie. Co powiedział?

Że jest czarodziejem... nie, nie po prostu czarodziejem, tylko jakimś specjalnym. - Rhyme zmrużył oczy, znów musiał się cofnąć w czasie, przypomnieć sobie coś, co kryło się w ciemności.

- Czarodziej z Oz? Złą Czarownicą Zachodu? - Zmarszczył brwi. -

A tak, pamiętam! Powiedział, że jest Czarodziejem Północy. Jestem całkiem pewien.

- Coś ci to mówi? - spytała Sachs, zwracając się do Kary-

-Nie.

Powiedział, że zawsze potrafi uciec. Tylko że wątpi, by udało mu się uciec przed nami. No, szczerze mówiąc, powiedział, że przede mną. Bał się, że go powstrzymam. Dlatego tu przyszedł.

Powiedział, że musi unieszkodliwić mnie przed jutrzejszym popo łudniem. To wtedy znów zacznie zabijać. Nie, chwileczkę! To mo ja interpretacja. Nie powiedział, co ma zamiar zrobić.

Ale to się trzyma kupy - zauważył Sellitto. - Zabijał co czte ry godziny, potem co dwie. A potem nic... tylko Burkę. Robi sobie przerwę. A jutro znów weźmie się do roboty.

Też tak sobie pomyślałem, Lon.

Czarodziej Północy. - Sachs zerknęła w notatki. - Jeszcze...

Sądzę, że to już wszystko. - Rhyme westchnął. - Studnia wy schła.

Amelia wyłączyła magnetofon. Pochyliła się i otarła mu pot z czoła chusteczką.

Sama się tego domyśliłam. Właśnie chciałam powiedzieć, że bardzo potrzebuję drinka. Co z



tobą?

Tylko jeśli nalejesz ty albo Kara. Każdy, byle nie on - gestem głowy wskazał Thoma.

A co dla ciebie? - spytał Thom, zwracając się do Kary.

Powinna poprosić o kawę po irlandzku - wtrącił kryminali styk. - Ciekawe, dlaczego nie sprzedają jej w Starbuck?

V:

Kara poprosiła o maxwell house albo folgera, bez alkoholu Sellitto z kolei o coś do jedzenia; jego kanapka w ogólnym za! mieszanu nie dotarła do domu.

Thom znikł w kuchni. Sachs oddała notatki Karze i poprosiła ją, by dopisała wszystko, co przyjdzie jej do głowy w kwestii charakterystyki Maga. Dziewczyna przeniosła się do laboratorium.

- Niezła byłaś - powiedział Sellitto. - Dobrze przesłuchanie.

Nie znam sierżanta, który poradziłby sobie lepiej.

Amelia poważnie skinęła głową, ale widać było, że ten komplement sprawił jej wielką przyjemność.

Kilka minut później do pokoju wszedł Mel Cooper; i on miał na twarzy ciemne smugi.

Pokazał im plastikową torbę.

-

To wszystkie dowody z mazdy.

W torbie znajdowała się złożona na czworo jedna strona z „New York Timesa”. Jasne było, że nie znalazła jej Sachs podczas przeszukiwania miejsca przestępstwa; wilgotne dowody powinno się zbierać do torebek papierowych lub sporządzonych z plecionego włókna, nigdy do plastiku, w którym błyskawicznie gniły i niszczały.

-

To wszystko? - zdumiał się Rhyme.

Do tej pory tak. Nie wydobyli jeszcze samochodu. Uznali, że to zbyt niebezpieczne.

Potrafisz odczytać datę? - spytał Rhyme.

Cooper dokładnie przyjrzał się przemoczonej kartce papieru.

Wydanie sprzed dwóch dni - oznajmił.

To własność Maga, bez dwóch zdań - zauważył kryminalistyk.

- Samochód ukradziono wcześniej. Dlaczego ktoś miałby zachować tylko jedną kartkę zamiast całej wkładki? - Pytanie to, jak wiele zadawanych przez Rhyme'a, miało charakter czysto retoryczny.

Rhyme nie czekał nawet, by ktoś mu na nie odpowiedział. - Tu jest jakiś tekst, który gość uznał za ważny. A jeśli tak, to ważny dla nas.

Oczywiście możemy mieć do czynienia ze sprośnym starcem, zain teresowanym wyłącznie ogłoszeniami w dziale „Victoria's Secret”, ale nawet to może być użyteczną informacją. Zdołasz coś odczytać?

Nie ma mowy. I nie chcę rozwijać kolumny, przynajmniej na razie. Jest zbyt wilgotna.

W porządku. Przekaż to do laboratorium badania dokumen tów. Nawet jeśli nie zdołają odczytać całości, dostaniemy przy najmniej nagłówki, odczytane w podczerwieni.

Cooper załatwił przesłanie próbek do laboratorium kryminalnego policji nowojorskiej w Queens. Następnie zadzwonił do domuszefa wydziału badania dokumentów i poprosił go o wyznaczenie laborantów. Później znikł w laboratorium, by przełożyć dokument do bardziej odpowiedniego

pojemnika.

Przyszedł Thom, z drinkami i talerzem kanapek, którymi natychmiast zainteresował się Sellitto.

Kilka minut później pojawiła się Kara. Z wdzięcznością przyjęła kubek kawy. Wsypała do niej górę cukru i powiedziała do Amelii:

Wpisywałam na tablicę wszystko, czego się o nim dowiedzie liśmy, i coś przyszło mi do głowy. Zadzwoiłam, popytałam i chy ba mam nazwisko.

Czyje? - spytał Rhyme, popijając whisky. Smakowała bosko.

Jak to czyje? Maga, oczywiście.

Cichy brzęk łyżeczki, którą Kara mieszała kawę, był jedynym dźwiękiem, rozlegającym się w pokoju. Poza tym panowała w nim martwa cisza.

Znasz jego nazwisko? - przerwał tę ciszę Lon Sellitto. - No to jak on się nazywa?

Moim zdaniem Erick Weir.

Przeliteruj - polecił Rhyme.

W-E-I-R. - Kara dosypała sobie cukru do kawy. - Iluzjonista, występował jeszcze parę lat temu. Zadzwoiłam do pana Balzaca, nikt nie zna naszego środowiska tak jak on. Przekazałam mu, co wiemy, łącznie z tym, co przed chwilą powiedział Lincoln. Pan Balzac zaczął zachowywać się dziwnie. Wkurzył się. - Zerknęła na Amelię. - Tak jak dziś rano. Ale potem uspokoił się i powiedział, że to mu wygląda na Weira.

- Dlaczego? - spytała Amelia.

-No... przede wszystkim zgadza się wiek. Niewiele ponad pięćdziesiąt lat. I Weir znany był z niebezpiecznych występów, z żyletkami, nożami i tak dalej. Należy też do tych niewielu iluzjonistów, którzy przedstawiali „Płonące lustro”. Pamiętajcie, że iluzjoniści się specjalizują. Naprawdę trudno jest znaleźć kogoś tak dobrego w tylu rzeczach: iluzje, uwalnianie się z więzów, magia proteańska, zręczna ręka, a nawet mentalizm i brzuchomówstwo. A Weir to wszystko potrafi. Jest także ekspertem od Houdiniego. Jego zbrodnie z tego weekendu to albo numery Hou-diniego, albo oparte na numerze Houdiniego.

Dowiedziałam się także czegoś o tym, jak się przedstawił. Jako Czarodziej Północy. W dziewiętnastym wieku był taki iluzjonista, John Henry Anderson. Właśnie tak siebie nazywał: Czarodziejem Północy. Miał prawdziwy talent, ale straszego pecha z ogniem- Podczas jego występów kilkakrotnie wybuchały pożary. A od Da-vida wiem, że Weir zosta! ciężko poparzony w wypadku w cyrku.

-

Blizny - zauważył Rhyme. - Obsesja ognia.

. \_ I być może wcale nie cierpi na astmę - dodała Sachs. - Przypuszczalnie dym uszkodził mu płuca?

A kiedy to było? - zainteresował się Sellitto.

Trzy lata temu. Namiot cyrkowy spłonął, żona Weira zginęła.

To było zaraz po ślubie. Poza tym nikomu nic się nie stało.

Trafili na świetny trop.

-

Mel! - ryknął Rhyme, zapominając, że powinien się trosz czyć o płuca. - Meeel!

Cooper wpadł do pokoju.

Rozumiem, że czujesz się lepiej? - powiedział zgryźliwie.

Przeszukaj Lexis/Nexis, VTCAP, NCIC i stanowe bazy danych. Potrzebne mi informacje o Ericku Weirze, W-E-I-R, artysta, iluzjonista i prestidigitator. Może być naszym sprawcą.

Odkryłeś jego nazwisko? - Technik nie ukrywał podziwu.

Nie ja, ona. - Kryminalistyk wskazał Karę ruchem głowy.

No proszę.

Cooper wyszedł i powrócił po kilku minutach z plikiem wydruków. Przeglądał je przez chwilę, po czym zwrócił się do zespołu:

Nie ma tego zbyt wiele - przyznał. - Zupełnie jakby zacierał

po sobie wszystkie ślady. Erick Albert Weir. Urodzony w Las Vegas w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. O je go dzieciństwie nic nie wiemy. Uczył się u Randolpha Schlegera, występującego pod pseudonimem Satani...

Wszyscy go znają - przerwała mu Kara. - Specjalizował się w mrocznych iluzjach. Z tego, co wiem, to on wymyślił „Płonące lustro”.

Nadal pracuje?

Nie. Zmarł wiele lat temu.

Pracował dla kilku cyrków - mówił dalej technik - a także kasyn i przedsiębiorstw rozrywkowych. Był asystentem. Potem usamodzielniał się jako iluzjonista i specjalista od szybkiej zmiany. Trzy lata temu poślubił Marie Cosgrove. Zaraz po ślubie występował w cyrku Thomasa Hasbro i Braci Keller w Clevelandzie.

Pożar wybuchł w trakcie próby. Spłonął namiot, Weir doznał po parzeń trzeciego stopnia, a jego żona zginęła. Potem nie ma już o nim

żadnej wzmianki.

- Prześledźcie rodzinę Weira.

Sellitto obiecał, że sam się tym zajmie. Ponieważ Bedding 1

Saul byli zajęci, zadzwonił do detektywów oddziału specjalnego Wydziału zabójstw i przekazał im to zadanie.

249

Jest jeszcze kilka drobiazgów. - Cooper przerzucił karty wy-

druku. - Parę lat przed pożarem Weira aresztowano w New Jersey i oskarżono o lekkomyślne narażenie życia. Przesiedział trzy

dzieści dni. Zdaje się, że ktoś z widzów został poparzony, bo na scenie coś poszło nie tak. Mam też ślady kilku spraw cywilnych wytoczonych Weirowi o zniszczenia mienia firmy i uszkodzenie ciała pracowników i kilka wytoczonych przez Weira o niedotrzymanie warunków kontraktu. Podczas jednego z przedstawień właściciel się zorientował, że Weir używa prawdziwej broni i ostrej amunicji. Nie chciał zgodzić się na zmiany, dlatego kontrakt zerwano. - Chwila przerwy, technik wrócił do przewracania kartek. - W jednym z artykułów prasowych znalazłem nazwiska dwóch asystentów, którzy współpracowali z nim mniej więcej w tym czasie, kiedy wybuchł pożar. Jeden jest z Reno, drugi z Las Vegas. Dostałem ich telefony od policji w Nevadzie.

Tam u nich jest dopiero dziewiąta - zauważył Rhyme, zerkając na zegarek. - Podłącz tu system głośno mówiący, Thom.

Mowy nie ma. Po tym, co się dziś działo, potrzebujesz odpoczynku.

Zaledwie dwa telefony. A potem do łóżeczka. Obiecuję.

Thom zastanawiał się w milczeniu.

Proszę i bardzo dziękuję.

Opiekun skinął głową i znikł. Po chwili pojawił się z urządzeniem telefonicznym, podłączył je, postawił na stoliku obok łóżka.

Dziesięć minut i wyłączam główny bezpiecznik - powiedział tak poważnie, że Rhyme natychmiast mu uwierzył.

W porządku.

Sellitto dojadł drugą kanapkę i wybrał numer telefonu. Automatyczna sekretarka, przemawiająca nagrany na taśmę głosem żony Arthura Loessera poinformowała go, że nikogo nie ma w domu, ale prosi o zostawienie wiadomości. Zostawił i wybrał numer drugiego asystenta.

John Keating podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale. Detektyw wyjaśnił mu, że prowadzi śledztwo i miałby do niego kilka pytań. Po chwili ciszy w maleńkim głośniku rozległ się nerwowy męski głos.

Hmm... a o co właściwie chodzi? Pan jest policjantem w No wym Jorku?

Tak, proszę pana.

W porządku.

Przyszła pora na zadawanie pytań.

250

- Czy

współpracował pan z Erickiem Weirem?

Kolejna chwila ciszy. I znów usłyszeli piskliwy, męski głos, przemawiający bardzo szybko: Pan Weir? No tak... chyba tak. Dlaczego pan pyta? - Keating mówił szybko, nerwowo, jakby przed rozmową wypił o kilka filiżanek kawy za wiele.

Czy wie pan, gdzie go można znaleźć?

Nie... to znaczy... dlaczego pan mnie o to pyta?

Chcielibyśmy skontaktować się z nim w sprawie prowadzo nego przez nas śledztwa kryminalnego.

O mój Boże! W jakiej sprawie? O czym chcecie z nim rozmawiać?

Chodzi o kilka ogólnych pytań. Czy miał pan z nim ostatnio jakiś kontakt?

I znowu cisza. Nadeszła chwila, kiedy ktoś zdenerwowany albo zaczyna mówić, albo wycofuje się jak ślimak do skorupy. Rhyme wiedział o tym doskonale.

Proszę pana? - przerwał milczenie Sellitto.

śmieszne, wie pan? Że akurat teraz pan mnie o niego pyta.

Głos Keatinga brzmiał tak, jakby ktoś rzucał kamyki na blachę.

Bo jest tak, powiem panu. Weir nie odzywał się do mnie od lat.

Myślałem nawet, że nie żyje. Przydarzył się ren pożar w Ohio, to był nasz ostatni wspólny angaż. Poparzył się. Naprawdę poważnie. Znikł i wszyscy myśleliśmy, że nie żyje. Ale zadzwonił do mnie jakieś sześć, siedem tygodni temu.

- Skąd? - spytał Sellitto.

Nie wiem. Nie powiedział. Nie pytałem. Kiedy ktoś do ciebie dzwoni, to go nie pytasz skąd. Nie na początku rozmowy. O tym się po prostu nie myśli. A pan pytał kogoś kiedyś, skąd dzwoni?

Czego chciał? - wtrącił się do rozmowy Rhyme.

Dobrze już, dobrze. Pytał, czy utrzymuję kontakty z kimś, kto pracował w cyrku, kiedy zdarzył się ten pożar. W cyrku Hasbro. Ale to było w Ohio. Trzy lata temu. Cyrk Hasbro już nawet nie istnieje.

Po pożarze właściciel zwinął interes, ludzie występu ją teraz pod inną nazwą. Dlaczego miałbym utrzymywać z kimś kontakt? Mieszkam w Reno. No to powiedziałem mu, że nie. A on no wie... rozumie pan.

Rhyme skrzywił się.

Rozzłościł się? - zaryzykowała Amelia.

No... można tak powiedzieć.

jt - Proszę mówić dalej. - Rhyme musiał się bardzo starać, by w jego głosie nie było słychać irytacji. - Chcielibyśmy wiedzieć co powiedział.

To wszystko, to wszystko! No, były jeszcze takie drobiazgi Uczepi się człowieka i nie puści. Te jego szpony. Zupełnie jak niegdyś... wie pan, jakie były jego pierwsze słowa?

Proszę mi powiedzieć - zachęcił go kryminalistyk.

-

„Tu Erick”. I tyle. Żadnego tam „dzień dobry” czy „Jak się masz, John, pamiętasz mnie?”. Nie, żadne takie. Mówi: „Tu Erick”. Nie rozmawiałem z nim od czasu pożaru, a on wita mnie tak po prostu: „Tu Erick”. Udało mi się od niego odczepić... ciężko nad tym pracowałem, ale było tak, jakbym nigdy się nie odczepił. Przecież wiem, że nie zrobiłem nic złego. A on dzwoni i za raz czuję, że to ja jestem wszystkiemu winien. Zupełnie jakby człowiek przyjął zamówienie od klienta, a kiedy przynosi mu kołację, ten mówi, że nie to zamawiał. Ale wszyscy wiedzą, o co cho dzi: zmienił zdanie i zwała winę na ciebie. Jakby to był twój błąd i jakbyś ty miał za niego zapłacić.

-

Nic innego? Nie powiedział nic innego?

Sellitto usłyszał w słuchawce ciche westchnienie.

- Czy

może pan coś nam o nim powiedzieć... tak ogólnie - spytała Amelia. - Miał jakichś przyjaciół, może jakieś ulubione miejsca, hobby?

-

Jasne - odparł nerwowy głos. - Wszystko, co pani wymieniła, nazywa się iluzją.

Co? - zdziwił się Rhyme.

Iluzje były jego przyjaciółmi, ulubionymi miejscami i hobby. Nic innego nie istniało. Zajmował się wyłącznie pracą.

A może powie nam pan coś o jego sposobie myślenia?

O tym, jak patrzył na świat.

I znów po pytaniu nastąpiła długa przerwa.

-

Trzy lata, dwa razy w tygodniu, przez pięćdziesiąt minut na scenie nie próbowałem go jakoś rozgryźć... i nie potrafiłem. Do samego końca, do pożaru. Minęły trzy lata. A on nadal mnie przeraża. I... -

Keating roześmiał się piskliwym, niesamowitym śmiechem. - Zauważyłaś, że powiedziałem „przeraża”? A chciałem powiedzieć „prześlada”. Nadal mnie prześladowuje. Freudowskie przejęzyczenie. Będę miał o czym opowiadać w poniedziałek o dziewiątej na korytarzu.

Rhyme zdążył się już zorientować, że, jak on sam, wszyscy obecni mieli już dość bełkotu tego człowieka.

- Wiemy, że jego żona zginęła w pożarze - powiedział. - Może wie pan coś o jej rodzinie?

Marie? Nie. Pobrali się na tydzień, może dwa tygodnie przed pożarem. Naprawdę się kochali. Myśleliśmy, że Marie go uspokoi. Że już nie będzie nas tak prześladował. Taką mieliśmy nadzieję. Ale nigdy jej lepiej nie poznaliśmy.

Czy może pan podać nam nazwisko kogokolwiek, kto coś by o nim wiedział?

Jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy, jest były mędz Hasbro. Edward Kadesky. Chyba jest teraz producentem w Chicago.

Sellitto poprosił o przeliterowanie nazwiska i zapisał je.

Czy Weir odezwał się do pana po tym pierwszym telefonie?

\_ spytał.

Nie. Nie musiał. Dostał, czego chciał. Wyrównał rachunki.

Znów miał mnie w swoich łapach. Przerazał i prześladował.

Taki jest Erick...

- Słuchajcie, muszę kończyć. Wyprasować strój. W niedzielę rano pracuję. Jestem zajęty.

Odłożył słuchawkę. Sachs podeszła do telefonu i wcisnęła przycisk „wyłącz”.

No, nie... - szepnęła.

Facet potrzebuje dobrego lekarza. - Sellitto uśmiechnął się.

Ale przynajmniej mamy trop - przerwał im Rhyme. -

Znajdźcie mi tego Kadesky'ego.

Mel Cooper znikł na kilka minut, a kiedy wrócił, trzymał w dłoni wydruk z bazy danych kompanii teatralnych. Była wśród nich Kadesky Production z South Wells Street w Wietrznym Mieście. Sellitto zadzwonił pod wskazany numer. Zgłosiła się automatyczna sekretarka i nic dziwnego, bo była już przecież sobota wieczór. Zostawił wiadomość.

-

Co wiemy? - spytał detektyw. - Namieszał w głowie swemu asy stentowi. Jest nieźrównoważony. Ranił ludzi. Ale co nim kieruje?

Amelia podniosła głowę.

- Może zadzwonimy do Terry'ego? - zaproponowała.

Terry Dobyns był psychologiem, zatrudnionym przez Departament Policji Nowego Jorku.

Policja miała ich na etacie kilku, ale Terry był jedynym behawiorystą, specjalistą od tworzenia profilów psychicznych przestępców; tej sztuki nauczył się w akademii FBI w Quantico i praktykował ją dość długo. Dzięki gazetom i po-Pularnym powieściom ludzie wiele dowiedzieli się o zaletach tworzenia profilów psychologicznych, co jest techniką użyteczną, choć - zdaniem Rhyme'a - ograniczoną do pewnej wąskiej grupy 253

przestępców. Zazwyczaj sposób rozumowania sprawcy nie kryje w sobie żadnych szczególnych tajemnic. Ale gdy jego motywacje są niejasne, gdy nie sposób przewidzieć, kto może się stać kolejną ofiarą, stworzenie profilu bywa pomocne. Pozwala detektywom znaleźć informatorów albo choćby ludzi znających podejrzanego zdolnych przewidzieć jego następne posunięcie, ustawić pułapki w odpowiednim środowisku, zastawiać pułapki, a wreszcie szukać podobnych przestępstw w przeszłości.

Sellitto przejrzał spis telefonów funkcjonariuszy nowojorskiej policji, znalazł numer Dobynsa i natychmiast do niego zadzwonił.

Terry?

Lon! Słyszysz echo; włączyłeś system głośno mówiący? Lincoln jest z tobą, co?

No jasne - przytaknął Rhyme. Lubił Dobynsa, pierwszą osobę, którą zobaczył po wypadku, kiedy złamał kręgosłup. Jeśli do brzo pamiętał, Terry kochał futbol bezkontaktowy, operę i tajemnicę ludzkiej duszy, mniej więcej w równych proporcjach, choć w ten sam sposób: całym sercem. Przykro mi, że dzwonię tak późno - powiedział Sellitto, nie próbując nawet udawać, że rzeczywiście jest mu przykro. - Ale potrzebujemy twojej pomocy w sprawie wielokrotnego mordercy.

Mówisz o tym, o którym trąbi telewizja? Zabił studentkę szkoły muzycznej i tego nieszczęsnego policjanta z patrolu?

Owszem. Zginął również charakteryzator teatralny, w ostatniej chwili uratowaliśmy amazonkę. Zabijał ze względu na to, co oni, wraz ze studentką, cytuję, „reprezentowali”. Dwie hetero-seksualne kobiety, jeden homoseksualny mężczyzna. Ani śladu aktywności seksualnej. Nic nie wiemy. Aha, powiedział Lincoln wi, że znów zacznie jutro rano.

Powiedział? Przez telefon? Może przysłał list?

Ależ nie. Osobiście - wtrącił się w rozmowę Rhyme.

No, no, no! To musiała być ciekawa rozmowa.

Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Następnie obaj, detektyw i kryminalistyk, opowiedzieli psychologowi o przestępstwach Weira oraz o tym, czego się o nim dowiedzieli.

Potem pytania zaczął zadawać Dobyns. Zastanawiał się przez długą chwilę i powiedział:

- Widzę tu działanie dwóch przeciwstawnych sił. Ale one się nawzajem wzmacniają i prowadzą do tego samego skutku... czy on nadal występuje?

- Nie - powiedziała Kara. - Nie wystąpił od czasu pożaru. W każdym razie nikt nic o tym nie wie.

- Pokazać się publiczności... - rzekł psycholog - ...to doznanie niesłychanie intensywne i jeśli ktoś do niego przyzwyczajony, jtkoś odnoszący sukcesy, traci tę szansę, odczuwa to bardzo głęboko. Aktorzy, muzycy - zapewne dotyczy to także iluzjonistów - są skłonni do definiowania samych siebie w kategoriach kariery zarodowej. Mówiąc krótko, pożar zniszczył człowieka, którym wasz sprawca wówczas był.

„Znikający człowiek”, przypomniał sobie Rhyme. } - A to oznacza, że waszego sprawcy nie motywuje już ambicja, chęć osiągnięcia sukcesu, oddanie się profesji, lecz gniew. Gniew tym większy, że musimy wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. Ogień zdeformował jego ciało i uszkodził płuca. Jako osoba w pewnym sensie publiczna musi szczególnie cierpieć z powodu deformacji. Jego gniew wzrasta wykładniczo. Zapewne moglibyśmy nazwać to syndromem Upiora w Operze. On z kolei ma samego siebie za dziwoląga.

I próbuje się odegrać?

Być może, choć niekoniecznie dosłownie. Ogień „zamordował go”, w każdym razie jego poprzednie ja, kiedy więc morduje, czuje się lepiej. To go uspokaja, redukuje w nim gniew, niepokój.

Dlaczego właśnie te ofiary?

Nie da się powiedzieć. Coś „reprezentowały”. Powtórzcie jeszcze raz, co o nich wiecie.

Studentka szkoły muzycznej, charakteryzator i prawniczka, o której mówił jako o amazonce.

Jest w nich coś, co wzbudziło jego gniew. Nie potrafię po wiedzieć co, chyba że dostarczycie mi więcej danych. Podręcznikowa odpowiedź brzmiałaby mniej więcej tak: każda z tych osób

poświęcała się temu, co byśmy nazwali „decydującym czynnikiem”. W każdym razie czemuś ważnemu, zdolnemu zmienić życie. Może jego żona grała na jakimś instrumencie?

Może spotkali się na koncercie? Co do charakteryzatora, wielką rolę może grać kompleks matki. Na przykład: jego jedyne szczęśliwe wspomnienia z tego okresu to te, kiedy siedział w łazience i obserwował mamę nakładającą makijaż. Konie? Kto

wie? Może kiedyś jeździł konno z ojcem i bardzo mu się to spodobało? Wspomnienie tych kilku szczęśliwych chwil odebrał

mu ogień, więc na ofiary wybiera tych, którzy mu je przypominają. Może być także odwrotnie, negatywna asocjacja z tym, co reprezentowały ofiary. Jego żona zginęła podczas próby? Może grała wówczas muzyka?

I dlatego miałyby się tak starać? Tropić ofiary, planować, jak je znaleźć i zabić? - zdziwił się Rhyme. - Przecież musiało mu to zająć całe miesiące!

Umysł z trudem dochodzi do ładu sam ze sobą - odparł Dobyns Jest jeszcze jedna sprawa, Terry. Wydaje się, że facet prze mawiał do nieistniejącej widowni. Że ją sobie wyobraził. Chwila...

wydawało mi się, że mówi o niej „szanowni widzowie”, ale tak na prawdę mówił „szacowni widzowie”. Przemawiał do nich, jakby byli w moim pokoju. „A teraz, szacowni widzowie, zrobię to i to”.

Szacowni widzowie - powtórzył psycholog. - Wydaje się to bar dzo ważne. Po upadku kariery i śmierci ukochanej ten ktoś prze niósł uczucia, może nawet uczucie miłości, na nieokreśloną grupę.

Ludzie preferujący grupy, nawet tłumy, są najczęściej gwałtowni wobec jednostek, czasem nawet niebezpieczni. Nie tylko dla obcych, także dla partnerów, żon, dzieci, innych członków rodziny i tak dalej.

Rzeczywiście, pomyślał Rhyme. John Keating rzeczywiście mówił przez telefon jak dziecko, nad którym znęcał się ojciec. Dobyns miał jeszcze coś do powiedzenia.

U waszego Weira tego rodzaju sposób myślenia jest tym nie bezpieczniejszy, że zwraca się on do widowni wyobrażonej, a nie rzeczywistej. Zaryzykuję twierdzenie, że prawdziwi ludzie nic dla niego nie znaczą, nie mają żadnej wartości. Nie będzie miał

problemu z zabijaniem, choćby i masowym. Powiedziałbym, że macie twardy orzech do zgryzienia.

Dzięki, Terry.

Dajcie mi znać, kiedy go już dorwiecie. Chciałbym spędzić z nim trochę czasu.

Pożegnali się. Sellitto powiedział:

Moglibyśmy...

Idziesz do łóżka - przerwał mu Thom.

Co? - zdziwił się detektyw.

Nie ma trybu warunkowego, jest oznajmujący. Wszyscy wy chodzą, a ty idziesz spać, Lincolnie. Jesteś blady, wyglądasz na zmęczonego. A ja nie dopuszczę do żadnych zapaści sercowo-kążeńiowych albo neurologicznych. Nie na mojej zmianie. Może pa

miętasz, że miałeś iść spać kilka godzin temu.

No dobrze już, dobrze - zgodził się Rhyme. Rzeczywiście czuł się zmęczony, no i - choć nikomu by się do tego nie przyznał

- ogień naprawdę go przestraszył.



Członkowie zespołu rozeszli się do domów. Kara włożyła kurtkę. Rhyme nie miał wątpliwości, że jest zdenerwowana.

\_ Coś się stało? - spytała Amelia.

Kara wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „nic mi nie będzie”.

- Musiałam powiedzieć panu Balzacowi, dlaczego pytam go Weira. Mocno się zdenerwował, a ja będę musiała zapłacić za to, co zrobiłam.

-

Napiszemy ci usprawiedliwienie. - Amelia próbowała rozładować sytuację żartem. -

Zwolnienie z lekcji.

Dziewczyna uśmiechnęła się słabo.

- Do

diabła z usprawiedliwieniami! - krzyknął ze swego pokoju Rhyme. - Gdyby nie ty, do tej pory nie mielibyśmy zielonego Pojęcia o tożsamości mordercy.

Powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił. Już ja go naprostuję. Kara zdobyła się tylko na słabe „dziękuję”.

-

Chyba nie zamierzasz wrócić do sklepu? - spytała Sachs.

-

No... tylko na chwilę. Pan Balzac zupełnie nie radzi sobie problemami praktycznymi. Muszę uzupełnić księgę sprzedaży, przedstawić numer przygotowywany na jutro.

Rhyme'a nie zdziwiła jej determinacja; wiedział już, jak wielką władzę nad kandydatami do zawodu iluzjonisty mają ich mistrzowie, ich mentorzy. Zauważył także, że Kara nazywała swego mentora „panem Balzakiem”, podczas gdy czasami mówiła o nim po prostu „David”.

Ale nie teraz. Nie sposób też było nie zauważyć, że choć Mag omal nie zniszczył życia Johna Keatinga, ten wciąż traktował go niemal czołobitnie.

-

Wracaj do domu - powiedziała błagalnie policjantka. -

Jezu, przecież zginęłaś dziś od ciosu nożem!

Na ten żart Kara zareagowała słabym, nieszczerym śmiechem, zruszyła ramionami.

Nie mam zamiaru siedzieć tam długo - powiedziała, zatrzy mując się na progu. - Wiecie, że występuję jutro po południu.

Ale jeśli chcecie, przyjdę rano.

Bardzo mi na tym zależy - powiedział Rhyme. - Chociaż spodziewam się, że dopadniemy go przed południem, więc nie strać zbyt wiele czasu.

Thom odprowadził dziewczynę do drzwi. Amelia Sachs wyszła korytarz, poczuła zapach dymu, prychnęła z niesmakiem i po-iegła po schodach, oznajmiając:

- Idę wziąć prysznic!

257

Dziesięć minut później Rhyme usłyszał jej kroki na schodach. Słyszał też, jak chodzi tu i tam, cicho rozmawia z Thomem, po czym rozległy się jakieś trzaski i skrzypnięcia. Wreszcie pojawiła się na progu pokoju gościnnego. Miała na sobie swą ulubioną piżamę: czarny podkoszulek i białe jedwabne szorty, ale w dłoniach trzymała coś, z czym normalnie nie chodziła spać: glocka i służbową latarkę.

Jedno i drugie położyła na nocnym stoliku po swojej stronie łóżka.

- Nasz Mag za łatwo dostaje się tam, gdzie chce się dostać -oświadczyła, układając się do snu.

- Przeszukałam każdy kąt domu, oparłam krzesła o wszystkie drzwi i powiedziałam Thomowi, że jeśli coś usłyszy, ma wrzeszczeć z całych sił... ale nie wolno mu ruszyć się z miejsca. Mam ochotę kogoś załatwić, a wolałabym, żeby to nie był on.

Część U

Metoda

Niedziela, 18 kwietnia

Magiczny efekt jest jak uwiedzenie, jedno i drugie osiąga się przez doskonale dobrane szczegóły, wmówione uwodzonemu.

Cały sobotni ranek byli sfrustrowani. Poszukiwania Ericka Weira nie przyniosły rezultatu.

Dowiedzieli się tylko, że po pożarze w Ohio Weir spędził kilka tygodni na oddziale poparzeń miejscowego szpitala i że uciekł z niego, nie wypisując się. Wkrótce potem sprzedał dom w Las Vegas i to był ich ostatni ślad. Nie znaleźli nawet zapisu, by kupił dom gdzie indziej. Ale, pomyślał Rhyme, w mieście swobodnie krążącej gotówki z łatwością mógł dostać niewielki domek na pustyni, płacąc z ręki do ręki, by nikt o nic nie pytał i by nie trzeba było wypełniać żadnych papierów.

Bedding i Saul odszukali matkę nieżyjącej żony Weira, panią Cosgrove. Niestety, nie wiedziała, gdzie szukać zięcia. Nie skontaktował się z nią po wypadku, nawet nie przysłał

kondolencji z powodu śmierci córki. Starsza pani powiedziała jednak, że wcale jej to nie dziwiło. Jej zdaniem Weir był mężczyzną samolubnym i okrutnym, którego opętało marzenie o jej córce, który zahipnotyzował ją i w ten sposób zmusił do małżeństwa.

Nikt z jej krewnych nie miał styczności z Weirem.

Cooper kompilował informacje z baz danych, ale niewiele mu z tego wyszło. W VTCAP i NCIC nie znalazł niczego. Policjanci oddelegowani do tropienia rodziny stwierdzili tylko, że ojciec i matka Weira nie żyją, że był ich jedynym dzieckiem i że nie sposób dotrzeć do dalszej rodziny.

Późnym rankiem zadzwonił do nich drugi asystent Weira, Art Loesser z Vegas. Wcale go nie dziwiło, kiedy dowiedział się, że jego były szef poszukiwany jest w związku z popełnionym przestępstwem, i nie powiedział im nic oprócz tego, czego zdążyli się już dowiedzieć. Jego zdaniem Weir był jednym z najwybitniejszych iluzjonistów na świecie, ale traktował swój zawód o wiele za poważnie. Sławę przyniosły mu niebezpieczne iluzje i nieopanaowany temperament. Loessera nadal gnębiły koszmary z cza-sów, gdy był jego uczniem.

Powiedziałem „przeraża”? Miałem na myśli „prześladuje”. Nadal mnie prześladowe.

- Wszyscy

młodzi asystenci podlegają wpływom mentora. -

Głos Loessera dobiegał z małego głośniczka systemu głośno mówiącego. - Ale mój psychoanalityk twierdzi, że jeśli chodzi o Weira, to byliśmy niczym zahipnotyzowani.

Zupełnie jak Keating, pomyślał Rhyme. I obaj korzystali z pomocy psychoterapeutów.

- Powiedział, że praca z nim wywołała syndrom sztokholmski.

Wie pan, co to takiego?

Rhyme powiedział, że zna ten termin, używany w sytuacji, gdy porwany odczuwa sympatię do porywacza, czasami przechodzącą nawet w uwielbienie.

Kiedy widział go pan po raz ostatni? - spytała Sachs. Nie cze kał jej dziś żaden egzamin

praktyczny, ubrana więc była w strój cywilny: dżinsy i trawiastozieloną, robioną na drutach bluzkę.

W szpitalu, na oddziale poparzeń. To było jakieś trzy lata temu. Początkowo regularnie go odwiedzałem, ale przez cały czas mówił tylko o tym, jak to odegra się na wszystkich, którzy kiedyś mu się narazili albo po prostu nie akceptowali uprawianej przez niego magii. Potem znikł i więcej go nie widziałem.

Jakieś dwa tygodnie temu Weir zadzwonił do niego, zupełnie nieoczekiwanie. Dwa tygodnie temu, pomyślał Rhyme, czyli mniej więcej w tym samym czasie co do Keatinga. W każdym razie telefon odebrała żona Loessera.

Nie zostawił numeru. Powiedział, że zadzwoni później, ale już się nie odezwał. I dzięki Bogu, wie pan? Nie mam pojęcia, jakbym sobie z tym poradził.

Nie wie pan, skąd dzwonił?

Nie. Pytałem Kathy, bo bałem się, że wrócił do miasta, ale powiedziała, że na wyświetlaczu pojawił się napis „rozmowa mię dzymiastowa”.

Nie powiedział żonie, o co chodzi? Nie zdradził, skąd dzwoni?

Powtórzyła mi tylko, że był jakiś dziwny, podniecony. Szep tał, trudno go było zrozumieć. Pamiętam, że mówił tak po pożarze.

Uszkodził sobie płuca. Był przez to jeszcze bardziej przerażający-Gdzie ja to już słyszałem? - pomyślał Rhyme.

- Pytał też, czy nie kontaktowaliśmy się z Kadeskym; to był producent w Hasbro, kiedy zdarzył się pożar. To wszystko.

Rzeczywiście, Loesser nie wiedział nic więcej i rozmowa Wkrótce się skończyła.

Thom wprowadził do laboratorium dwie policjantki. Sachs skinęła głową na powitanie i przedstawiła Rhyme'owi Dianę franciscoyich i Nancy Ausonio. Kryminalistyk pamiętał, że to one pierwsze odpowiedziały na wezwanie do pierwszego morderstwa, następnie dostały zadanie prześledzenia pochodzenia starych kajdanek.

Rozmawialiśmy ze wszystkimi sprzedawcami, których zarekomendował nam dyrektor muzeum - powiedziała Franciscovich.

- Mimo iż mundury miały niepokalanie świeże i porządnie wyprasowane, widać było wyraźnie, że zarówno wysoka brunetka, jak i jej niższa, jasnowłosa koleżanka są skrajnie wyczerpane.

Postawione im zadanie potraktowały bardzo poważnie i zapewne tej nocy w ogóle nie kładły się do łóżka.

Kajdanki to Darbys, tak jak przypuszczaliście. - Ausonio przeszła do sprawy. - Są rzadkie... i kosztowne. Mamy listę dwu nastu ludzi, którzy...

O mój Boże, patrz! - przerwała jej partnerka, wskazując na tablicę, na której Thom napisał:

-

Nazwisko sprawcy Erick A. Weir.

Nancy przerzuciła kilka kartek.

Przed miesiącem - przeczytała - Erick Weir złożył zamówienie pocztowe na parę Darbys w Ridgeway Antique Weapons w Seattle.

Adres? - spytał Rhyme.

Skrytka pocztowa w Denver. Sprawdziłyśmy. Umowa wyga sła. Nie ma żadnych danych.

Jak płacił? - spytała Amelia.

Gotówką - odparli jednym głosem Nancy Ausonio i Rhyme, który dodał jeszcze: - Nie oszukujmy

się, on nie popełnia głupich błędów. Co to, to nie. Daleko tym tropem nie zajdziemy. Ale ma my przynajmniej potwierdzenie, że właściwie zidentyfikowali śmy naszego chłopca.

Podziękował policjantkom. Amelia odprowadziła je do drzwi. Zadzwoił telefon.

Wyświetlony kod wydał się Rhyme'owi

znajomy, ale nie potrafił połączyć go z konkretnym rejonem.

Polecenie, przyjąć rozmowę... halo?

Mówi porucznik Lansing, policja stanowa. Chciałbym rozmawiać z detektywem Bellem.

Podano mi ten numer jako jeao tymczasowy punkt dowodzenia.

Cześć, Harry! - Bell podszedł do telefonu. - Słucham. -

A Rhyme'owi wyjaśnił szeptem: -To nasz łącznik w sprawie Constable'a. Z Canton Falls.

Przejrzeliśmy dowody, które przysłaliście nam rano - mówił

Lansing. - Nasi kryminaliści ciągle je badają. Paru ludzi roz mawiało z żoną Swensena, pastora, którego złapaliście wczoraj wieczorem. Nie powiedziała nic, co mogłoby wam w jakiś sposób pomóc. W ich domu moi ludzie nie znaleźli niczego, co mogłoby powiązać pastora z Constable'ern lub kimkolwiek ze Stowarzyszenia Patriotycznego.

-

Nic? - Bell westchnął. - Wielka szkoda. Miałem faceta za beztroskiego durnia.

Może chłopcy ze Stowarzyszenia Patriotycznego zdążyli przed nami i doprowadzili dom do porządku?

Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Mam nadzieję, że w tej sprawie zasługujemy choćby na odrobinę szczęścia. No do bra, róbcie, co w waszej mocy, Harv. Dzięki.

Jeśli coś znajdziemy, natychmiast was zawiadomimy. Trzy maj się, Roland. - A kiedy skończyli rozmowę, Bell skinął głową w stronę białych tablic. - Sprawa Constable'a jest co najmniej równie trudna jak ta.

Ktoś znowu zapukał do drzwi. Weszła Kara z wielkim kubkiem kawy. Była zmęczona i wymizierowana; dwudziestoparoletnia dziewczyna nie powinna tak wyglądać. Zapewne pan Balzac karał ją za współpracę z Rhyme'em dodatkowymi godzinami pracy. Sellitto skorzysta!

z okazji, by wygłosić długi monolog o najnowszych technikach odchudzania. Przerwał mu kolejny telefon.

Lincoln? - zatrzeszczał głos w głośniczku systemu głośno mówiącego. -Tu Bedding. Zdaje się, że w sprawie tego klucza wy odrębniłmiemy trzy hotele. Trwało to tak długo, bo...

...bo okazuje się, że sporo hoteli z pokojami wynajmowany mi na miesiąc lub dłużej także używa plastikowych kluczy - włą czył się do rozmowy jego wieloletni partner, Saul.

A także te z pokojkami na godziny. Ale to zupełnie inna sprawa.

- Musieliśmy sprawdzić wszystkie. W każdym razie wygląda na to, powtarzam, wygląda na to, że mieszkał albo w Chelsea Lodge, albo w Beckmanie, albo... jak to się nazywało?

-

Lanham Arms - podsunął mu Saul.

264

\_ No właśnie. Tylko w nich używa się modelu 42 w tym kolo-ne- Jesteśmy w Beckmanie.

Róg Trzydziestej Czwartej i Piątej. Zaraz zaczniemy próbować.

\_ Co to znaczy, „zaczniemy”? - zdziwił się Rhyme.

\_ Bo widzisz, tylko zamek w drzwiach hotelowego numeru potrafi odczytać numer klucza.

Maszyna w recepcji wypala kod na pustym kluczu, ale nie potrafi odczytać tego, co wypaliła, i nie wyświetli odpowiedniego numeru.

Dlaczego nie? To jakaś głupota!

Taka informacja po prostu nikomu nigdy nie była potrzebna.

Oczywiście nikomu oprócz nas i dlatego chodzimy od drzwi do drzwi i sprawdzamy wszystkie.

O, kurwa - warknął Rhyme.

Też jesteśmy tego zdania.

Dobra już, dobra. Przydzielić wam jeszcze kogoś? - spytał

Sellitto.

Nie. Przecież i tak możemy sprawdzać tylko jedne drzwi na raz. Inaczej nie da się zrobić.

Cześć, panowie - powiedział głośno Bell.

Cześć, Roland.

Rozpoznaliśmy ten akcent - dodał drugi z „bliźniaków”.

Powiedzieliście Lanham Arms? Gdzie to jest?

Wschodnia Siedemdziesiąta Piąta. Niedaleko Lex.

Z czymś mi się to kojarzy, ale nie wiem dokładnie z czym.

Jest następny na naszej liście.

Po Beckmanie.

Który ma sześćset osiemdziesiąt dwa pokoje. Lepiej bierz my się do roboty.

I „bliźniacy” wrócili do ciężkiej roboty.

Komputer Mela Coopera pisnął, sygnalizując nadejście e-maila.

Laboratorium FBI w Waszyngtonie... nareszcie... mamy ra port o metalowych opiłkach, tych mosiężnych, znalezionych w torbie Maga. Twierdzą, że ślady dowodzą ich pochodzenia od mechanizmu zegarowego.

Ale to oczywiście nie zegar - zauważył Rhyme.

Skąd wiesz? - zainteresował się Bell.

Bo to detonator - powiedziała spokojnie Sachs.

To by się zgadzało - przytaknął kryminalistyk.

Bomba benzynowa? - Cooper gestem głowy wskazał naszą

czoną benzyną chusteczkę, pamiątkę, którą Weir zostawił po przedniego wieczora w sypialni

Rhyme'a.

Bardzo prawdopodobne.

Facet ma zapas benzyny, no i jest opętany ogniem. Następną ofiarę ma zamiar spalić.

Czyli pokazać jej to, co zdarzyło się jemu. Ogień „zamordował go”, w każdym razie jego poprzednie ja, kiedy więc morduje, czuje się lepiej. To go uspokaja, redukuje jego gniew, niepokój.

Rhyme spojrział na zegar. Dochodziła dwunasta. Już prawie południe... kolejna ofiara umrze wkrótce. Ale kiedy? O dwunastej zero jeden czy o szesnastej zero sześć? Potrząsnął głową z gniewu, zapewne zadrżałby na całym ciele, gdyby zachował w nim czucie. Muszą coś zrobić!

Muszą zorientować się, gdzie Weir zamierza uderzyć. Mają tak mało czasu!

Może nie mają już czasu?

Na podstawie posiadanych dowodów nie mógł jednak dojść do żadnego konstruktywnego wniosku. A dzień ciągnął się przeraźliwie, czas płynął tak powoli jak płyn w kroplówce.

Przyszedł faks. Cooper powiedział głośno:

- To z laboratorium badania dokumentów w Queens. Udało się im odtworzyć gazetę z mazdy.

Brak oznaczeń, brak zakreśleń. A oto nagłówki:

AWARIA ELEKTRYCZNOŚCI, KOMISARIAT POLICJI ZAMKNIĘTY NA CZTERY  
GODZINY.

KONWENCJA PARTII REPUBLIKAŃSKIEJ STAWIA NOWY JORK NA GŁOWIE.

RODZICE PROTESTUJĄ

PRZECIW NIEDOSTATECZNEMU ZABEZPIECZENIU SZKOŁY ŻEŃSKIEJ.

W PONIEDZIAŁEK ROZPOCZYNA SIĘ PROCES O MORDERSTWO NA TLE

RASOWYM.

# WEEKENDOWE PRZEDSTAWIENIE

W METROPOLITAN THEATRE, DOCHODY PRZEZNACZONE NA CELE  
CHARYTATYWNE.

WIOSENNE ZABAWY DLA DZIECI MŁODSZYCH I STARSZYCH.

266

GUBERNATOR I BURMISTRZ SPOTYKAJĄ SIĘ, BY OMÓWIĆ NOWE PLANY DLA WEST  
SIDE.

Jeden z tych tytułów ma jakieś znaczenie - powiedział po-Rhyme? Ale który? Czy morderca miał zamiar polować przy ikole dla dziewcząt? Na przedstawieniu dobroczynnym? A może wypróbuje swe sztuczki, pozbawiając komisariat prądu? Rhyme złościł się coraz bardziej, ponieważ dostali do ręki nowy dowód... ale nie potrafili go rozpoznać.

Zadzwoił telefon Sellitta. Detektyw przyjął rozmowę, a wszyscy gapili się na niego, czekając na informację o kolejnym zabójstwie.

Była trzynasta zero trzy.

To już prawdziwe popołudnie! Wyczerpali zapas czasu; jeśli morderstwo nie zdarzyło się jeszcze, może zdarzyć się w każdej chwili.

Ale wiadomość nie była najwyraźniej całkiem zła. Lon Sellit-to uniósł brew. Powiedział do słuchawki:

Tak, tak... Naprawdę? Nie, to rzeczywiście niedaleko. Może pan przyjechać? - Podał adres Rhyme'a i zakończył rozmowę.

Kto dzwonił?

Edward Kadesky. Menedżer cyrku z Ohio, tego, w którym występował Weir i gdzie zdarzył się pożar. Jest w mieście. Ode brał naszą informację z sekretarki w Chicago. Ma zamiar przyjść i porozmawiać z nami.

# MAG

Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

-

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szcze gólnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki złączone. Błyskawicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

- Motyw nieznany. - Ofiara: Świetlana Rasnikow. - Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na Przyjęciach urodzinowych dla dzieci.

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do laboratoriów FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrępowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Spraw dzić w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony. Zatrzymał się dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt po pularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

-

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym błysku. Nie znaleziono mikrośladów.

Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybko zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost Parmelia conspersa, pochodzą naj prawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasycona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Źródło nie do wyśledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używanego jako forma do lateksowych „dodatków”.



- Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czar nym jedwabnym środkiem. Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Nie do wyśledzenia.

268

- Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

- Użył znikającego atramentu, wpisując się do księgi wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

Żadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

- Sprawca

uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzenie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowodów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

- Zegarek

zmiądzony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Czekamy na raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych. Dodatkowy lateks i elementy makijażu z nakładek na palce.

Znaleziono alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

- Brak

motywu.

269

Sprawca przedstawi! się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po twierdzona deformacja dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznes mena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie w motocyklistę w dżinsowej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie, jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśledzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flun i trapezami, środka oszałamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafina, przyklepna, używana w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia.

Wióry mosiężne (?). Wystane do FBI. Trwały tusz, czarny.

- Znaleziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stan-leya Safersteina (nie jest podejrzany, nie figuruje w bazach danych

NCICiVICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców.

Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaży.

Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele.

-

Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan Nowy Jork, dowodzący, że dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły lunch przy stole numer dwanaście. Zamówiono: indyka, kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nie podano alkoholu. Obsługa nie potrafiła zidentyfikować gości (wspólnicy?).

-

Alejką, w której zatrzymano Maga.

Otwarcie zamku kajdanek wytrychem.

Ślina (wytrych ukryty w ustach).

Nie ustalono grupy krwi.

Mata piła umożliwiająca uwolnienie się z więzów.

- Brak

śladów wskazujących, gdzie może być funkcjonariusz

270

Burkę.

Miejsce nad rzeką Harlem

Żadnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Gazeta odzyskana z zatopionego samochodu. Nagłówki.

Awaria elektryczności, komisariat policji zamknięty na cztery godziny.

Konwencja Partii Republikańskiej stawia Nowy Jork na głowie.

Rodzice protestują przeciw niedostatecznemu zabezpieczeniu szkoły żeńskiej.

W poniedziałek rozpoczyna się proces o morderstwo na tle ra sowym.

Weekendowe przedstawienie w Metropolitan Theatre, docho dy przeznaczone na cele charytatywne.

Wiosenne zabawy dla dzieci młodszych i starszych.

Gubernator i burmistrz spotykają się, by omówić nowe plany dla West Side.

Miejsce zbrodni: dom Lincolna Rhyme'a

-

Ofiara: Lincoln Rhyme.

- Tożsamość sprawcy: Erick A. Weir.

Miejsce urodzenia: Las Vegas.

Poparzony w pożarze w Ohio przed trzema laty. Cyrk Hasbro i Bracia Keller. Znikł po wypadku.

Poparzenia trzeciego stopnia. Producent: Edward Kadesky.

Skazany w New Jersey za lekkomyślne narażenie życia.

Obsesja ognia.

Szaleniec. Zwraca się do „szacownych widzów”.

Słynął z niebezpiecznych numerów.

-

Żona: Marie Cosgrove, zginęła w pożarze.

Nie kontaktował się z jej rodziną od czasu pożaru.

Rodzice Weira nie żyją. Nie ma bliższej rodziny.

Żadnych danych w VICAP i NCIC.

Nazywał siebie Czarodziejem Północy.

Zaatakował Rhyme'a, by powstrzymać go przed niedzielnym popołudniem (kolejna ofiara?).

Profil psychologiczny (autor Terry Dobyns, Departament Polii cji Nowego Jorku). Główny motyw: zemsta, choć może nie zdawać sobie z tego sprawy. Chce wyrównać rachunki. Przez cały czas czuje gniew. Zabijając, zagłusza ból spowodowany śmiercią żony i nie możliwością występowania przed publicznością.

Weir skontaktował się ostatnio z asystentami: Johnem Keatingiem i Arthurem Loesserem z Nevady. Pytał o pożar i ludzi związanych z wypadkiem.

Opisali Weira jako szaleńca, władczego, niebezpiecznego, opanowanego przez manię, ale genialnego.

Kontakt z menedżerem cyrku z czasów wypadku, Edwardem Kadeskym.

- Zabił ofiary za to, co sobą reprezentują; być może szczęśliwe lub traumatyczne przeżycia sprzed pożaru.

Chusteczka nasasycona benzyną, źródło nie do wyśledzenia.

Buty Ecco, nie do wyśledzenia.

Profil iluzjonisty

- Będzie używał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikają cy człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonista.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał różnych kostiumów z nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być w dowolnym wieku, każdej płci i każdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przepiłowanie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa technik mentalnych i stycznych, by zdobyć informacje o ofiarach.

Użył metody zręcznej ręki, by oszołomić jedną z ofiar.

Próbował zamordować trzecią ofiarę przez naśladowanie numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

Brzuchomówstwo.

Żyłki.

Zna lub prezentował numer „Płonące lustro”. Wyjątkowo nie bezpieczny.

Mężczyzna był średniego wzrostu, mocno zbudowany, miał doskonale do niego pasującą siwą brodę i falujące włosy. Rhyme nader podejrzliwy po wczorajszej wizycie, zaraz po powitaniu pana prosi! o dokumenty.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. - Sellitto próbował łagodzić sytuację.

Wyjaśnił, że ostatnio mieli pewien kłopot ze sprawcą, który doskonale potrafi podawać się za kogoś innego. Kadesky - najwyraźniej przyzwyczajony, że wszędzie go rozpoznawano, i nieprzyzwyczajony do okazywania dowodów tożsamości sprawiał wrażenie lekko zirytowanego, niemniej pokazał detektywowi prawo jazdy z Illinois. Cooper za ledwie na niego zerknął, spojrzał w twarz producenta i niemal niedostrzegalnie skinął głową. Już wcześniej skontaktował się z Wydziałem Komunikacji Illinois i znał wszystkie szczegóły prawa jazdy Kadesky'ego, łącznie z aktualną fotografią.

-

W informacji zostawionej na automatycznej sekretarce wspomniał pan o Ericku Weirze - powiedział producent. Spojrzenie miał władcze i jednocześnie drapieżne, jak jastrząb.

-Tak.

- A

więc on jeszcze żyje?

Było to doprawdy rozczarowujące pytanie, świadczyło o tym, że Kadesky wie mniej od nich.

Owszem, żyje i daje się we znaki - powiedział zgryźliwie Rhyme. - Jest podejrzany o dokonanie serii zabójstw w mieście.

Nieemożliwe! A kogo zabił?

Zwykłych ludzi. A także funkcjonariusza policji - wyjaśnił

Sellitto. - Mieliśmy nadzieję, że udzieli nam pan informacji, które pomogą go zlokalizować.

Nie kontaktowałem się z nim od czasu pożaru. Co o tym wiecie?

Niewiele - przyznała Amelia. - Proszę nam powiedzieć.

Obwinił mnie o to... to było trzy lata temu. Weir i jego asy stenci występowali u nas jako iluzjoniści, robili także szybkie zmiany. Dobrzy byli, nie, nie tak... byli wręcz zdumiewający. Ale od miesięcy przyjmowaliśmy skargi. Od pracowników, a także od widzów. Weir straszył ludzi. Był prawdziwym małym dyktatorem.

A ci jego asystenci... nazywaliśmy ich sekciarzami. Opanował ich całkowicie. Iluzje były dla niego jak religia. Czasami podczas prób albo przedstawienia coś się komuś może zdarzyć, nawet ochotnikom, ale jego zupełnie to nie obchodziło. Uważał, że ma ją jest tym lepsza, im większe niebezpieczeństwo. Twierdził, że powinna być jak rozgrzane do czerwoności żelazo, wypalać pięć no na duszy. - Kadesky roześmiał się bez śladu wesołości. - Ale na to nie możemy sobie pozwolić, nie w biznesie rozrywkowym, Prawda? Poszedłem do Sidneya Kellera - był właścicielem cyrku

" i wspólnie zdecydowaliśmy, że go wyrzucamy. W sobotę rano, Przed porannym przedstawieniem, posłałem inspicjenta, żeby mu to powiedział.

- To było w dniu pożaru? - upewnił się Rhyme.

Kadesky skinął głową.

- Inspicjent

wszedł do namiotu, kiedy Weir przygotowywał na

scenie ścieżki gazowe do tego swojego numeru „Płonące lustro”.

Powiedział, co postanowiliśmy. Weir dostał szału. Zrzucił go ze schodów i wrócił do pracy. Zszedłem na scenę. Złapał mnie... nie nie biliśmy się, można to chyba nazwać szarpaniną, ale z butli wydobywał się gaz. Wpadliśmy pomiędzy metalowe krzesła i to chyba iskra spowodowała wybuch. Jego poparzyło, żona zginęła.

Spłonął namiot. Zastanawialiśmy się, czy go oskarżyć, ale nim podjęliśmy decyzję, uciekł ze szpitala i znikł.

Odkryliśmy, że był już skazany w New Jersey. Lekkomysłne narażenie życia. Nie wie pan, czy gdzieś jeszcze go zatrzymywano?

Nie mam pojęcia. - Kadesky potrząsnął głową. - Nie powin niśmy go angażować. Ale gdyby widział pan któryś z jego występów, z pewnością by mnie pan zrozumiał. Był najlepszy. Widzowie mogli się bać, owszem, ale kupowali bilety na niego! A te owacje!

- Zerknął na zegarek. - Za piętnaście druga. Nasze przedstawie nie zaczyna się o drugiej. Jeśli wolno coś zaproponować, moim zdaniem dobrze byłoby ściągnąć do nas jeszcze kilka radiowo zów. No, bo... Weir jest gdzieś na wolności, a tyle się między nami zdarzyło.

Do nas, to znaczy gdzie? - zdziwił się Rhyme.

No... na nasze przedstawienie. - Kadesky skinął głową, wskazując okno.

-

Wasze przedstawienie? Cirque Fantastique?

Och, oczywiście. Przecież wiecie. Ściągnęliście policję-

czyżbyście nie wiedzieli, że Cirque Fantastique to stary cyrk Hasbro i Braci Keller?

Co? - zdumiał się Sellitto.

Rhyme zerknął na Karę. Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Kiedy

rozmawiałam wieczorem z panem Balzakiem, nic mi

o tym nie powiedział.

- Po

pożarze - wyjaśnił Kadesky - zmieniliśmy całą koncepcję. Cirque de Soleil odniósł

tak wielki sukces, że przekonałem

Sida Kellera, byśmy poszli w ich ślady. Dostaliśmy pieniądze z ubezpieczenia i ruszyliśmy z Fantastique.

Więc w gruncie rzeczy prowadzicie ten sam biznes, z ktor go wylaliście Weira - zauważył Rhyme.

Praktycznie rzecz biorąc, tak. Oczywiście przedstawię

274

wygląda zupełnie inaczej. Ale w produkcji siedzą właściwie ci sami ludzie. Ja na przykład...

Nie, nie, nie! - szepnął Rhyme, wpatrując się w tablice.

Coś nie tak, Linc? - zaniepokoił się Sellitto.

Przecież Weir ma na myśli właśnie to! Jego celem jest ten cyrk. Cirque Fantastique!

-Co?

Przejrzeć dowody. Porównać fakty z założeniami.

Rhyme skinął głową.

-Psy!

Co? - Zdumiała się Sachs.

Cholerne psy! Przyjrzyj się tablicy! Tylko się jej przyjrzyj!

Zwierzęca sierść i ziemia z Central Parku pochodzą z wybiegu dla psów! Mamy go tuż pod oknem! - Wściekłe kiwnięcie głową było jedynym gestem, jaki mógł wykonać. - Nie tropił Cheryl Marston na końskiej ścieżce, tylko obserwował wasz cyrk! Gaze ta, ta z jego mazdy, tylko przyjrzyjcie się nagłówkom. „Wiosenne zabawy dla dzieci młodszych i starszych”. Zadzwońcie do redakcji, sprawdźcie, czy jest tam informacja o cyrku.

Thom, znajdź Pe-

tera. Byle szybko!

Opiekun Rhyme'a był przyjacielem reportera z „Timesa”, młodego dziennikarza, który pomagał im od czasu do czasu. Chwycił słuchawkę, wystukał numer. Peter Hoddins pracował w dziale międzynarodowym, ale odpowiedź wyszukał im w niespełna minutę. Przekazał ją Thomowi, który oznajmił donośnym głosem:

Pod tym tytułem opisali cyrk. Dokładnie: godziny przedsta wień, poszczególne numery, biogramy artystów. Był nawet osobny tekst o bezpieczeństwie. .

Cholera! - warknął Rhyme. - Weir szukał właśnie takich in formacji... a przepustka prasowa pozwoli mu wejść za scenę. -

Zerknął na tablice. - Tak! Mam! Ofiary! Co sobą reprezentują?

Pracę w cyrku! Charakteryzator. Amazonka... a ta dziewczyna?

Jak zarabiała na życie? Bawiła dzieci na przyjęciach, zupełnie Jak jakiś klaun czy coś!

~ Techniki morderstw. Wszystkie wzięte z cyrkowej magii -d°dała Amelia.

- Oczywiście. Szykuje się na wasze przedstawienie. Terry D°yns uznał, że jego głównym motywem jest chęć zemsty. Gdzieś Namiocie macie bombę benzynową!

~ O mój Boże - jęknął Kadesky. - Tam jest dwa tysiące ludzi! aczynamy za dziesięć minut!

275

O drugiej po południu!

- Niedzielne przedstawienie - zauważył Rhyme. - Zupełnie jak przed trzema laty w Ohio.

Sellitto chwycił radiotelefon motoroli. Próbował wezwać poli. cjantów sprzed Cirque Fantastique, ale żaden się nie zgłosił. Zmarszczył brwi i postanowił skorzystać z telefonu Rhyme'a.

Funkcjonariusz Koslowsky - usłyszał w słuchawce.

Detektyw przedstawił się i spytał ostrym głosem:

Dlaczego wyłączyliście radia?

Radio? Mam wolne, poruczniku.

Wolne? Przecież przed chwilą objęliście służbę!

Ale, panie poruczniku, zostaliśmy zwolnieni.

-Co?

- No...

pół godziny temu przyszedł jakiś detektyw i powie

dział, że nie jesteśmy już potrzebni. Że mamy wolne. Właśnie ja dę z rodziną na Rockaway Beach. I...

Opiszcie tego detektywa!

Pod pięćdziesiątkę, broda, kasztanowate włosy.

Dokąd poszedł?

-

Nie mam pojęcia. Podeszedł do samochodu, błysnął odznaką, więc odjechaliśmy.

Sellitto cisnął słuchawkę na widełki.

- Już się zaczęło! O Boże, już się zaczęło. Zadzwoń na Szóstkę, każ przyjechać saperom! -

krzyknął do Amelii. Następnie sam zadzwonił do centrali, wezwał jednostki ratownictwa i straży pożarną i kazał im jechać pod cyrk. Kadesky podbiegł do drzwi. - Ewakuuję namiot!

Bell zadzwonił do służb medycznych. Poleciał im zainstalować prowizoryczny oddział oparzeń w Columbia Presbyterian.

Chcę mieć tajniaków w parku - rozkazał Rhyme. - Niech ich będzie jak najwięcej. Jestem pewien, że Mag będzie w parku.

Dlaczego? - zdziwił się Sellitto.

- By

obserwować ogień. On jest gdzieś blisko. Pamiętam, jak patrzył na ogień w mojej sypialni. Lubi patrzeć na ogień. Nie, ta kiej rozrywki nie odmówiłby sobie za żadne skarby świata.

Edward Kadesky aż tak bardzo nie przejmował się ogniem. Kiedy biegł z domu Rhyme'a do pobliskiego namiotu cyrkowego,

nyślał o tym, że nowe materiały i środki gaśnicze nie pozwolą, by awet najgorsza scena czy cyrkowy namiot spłonęły szybko. Nie, irawdziwym niebezpieczeństwem nie jest ogień, lecz panika: dekontrolowana ludzka masa, raniąca i depcząca słabszych, łamiąca im kości, miażdżąca płuca, odbierająca oddech...

Strategia ratowania ludzi podczas wypadku w cyrku opiera się na jednej przesłance: trzeba wyprowadzić widzów, nie wzbudzając paniki. Tradycyjnie robiono to w następujący sposób: dygent orkiestry, dyskretnie poinformowany przez inspicjenta o wybuchu pożaru, dawał

sygnał do zagrania donośnego i bardzo żywego marsza Johna Philipa Sousy: „Stars and Stripes For-ever”. Klauni, akrobaci i ci pracownicy cyrku, którzy jeszcze nie uciekli, zajmowali wyznaczone z góry miejsca i spokojnie wyprowadzali ludzi przez wyjścia awaryjne.

Z czasem marsz Sousy zastąpiły znacznie bardziej efektywne metody komunikacji, udoskonalono też techniki wyprowadzania widzów. Ale jeśli w namiocie wybuchnie bomba benzynowa, jeśli rozleje się płonąca plyn...



Edward Kadesky wbiegł do środka. Dwa tysiące sześćset osób niecierpliwie czekało na początek przedstawienia. Jego przedstawienia.

Tak właśnie myślał. Bo on je stworzył. Edward Kadesky w swoim życiu zachęcał ludzi do odwiedzania strzelnicy w wesołym miasteczku, był konferansjerem drugorzędnych teatrzyków w zapartych mieścinach, księgowym i sprzedawcą biletów w brudnych, Sierdzących regionalnych cyrkach. Przez lata walczył o stworzenie przedstawienia, które przekroczyłoby granicę wszechobecnej w tym biznesie tandety, najtańszej możliwej rozrywki.

Raz już mu się udało, z Hasbro i braćmi Keller, ale Erick Weir go zniszczył. Mimo to powtórzył sukces z Cirque Fantastique, znanym i szanowanym na całym świecie, z cyrkiem, który spodobał się i przyniósł prestiż profesji, tak często pogardzanej przez tych, którzy chodzili do teatru i opery, ignorowanej przez ludzi oglądających E! i MTV.

Pamiętał falę gorącego powietrza, bijącą od płonącego namiotu Hasbro. Płatki sadzy jak szary, śmiercionośny śnieg. Ryk ognia... doprawdy zdumiewający dźwięk... z jakim trudem wypracowane dzieło umierało na jego oczach.

Istniała jednak znaczna różnica. Trzy lata temu namiot był pusty, dziś wypełniały go tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, które mogły znaleźć się nagle w środku szalejącej pożogi.

Asystentka Kadesky'ego, Katherine Tunney, młoda brunetka, która przed przyjściem do cyrku pracowała w organizacji administrującej parkami Disneya i dzięki swoim talentom błyskawicznie awansowała, zauważyła, że coś jest nie tak, i szybko do niego podeszła. Taki już miał nieoceniony talent: mogło się wydawać, że potrafi przekazywać myśli telepatycznie.

- Co się stało? - szepnęła.

Opowiedział jej o tym, czego dowiedział się od Lincolna Rhy-me'a i policji. Oboje szybko rozejrzeli się po namiocie, szukając bomby, ale i obserwując potencjalne ofiary.

- Co robimy? - spytała cicho kobieta.

Kadesky zastanawiał się przez krótką chwilę, po czym szeptem udzielił jej instrukcji.

Potem wyjdiesz. No, ruszaj.

A ty zostajesz? Na co...?

Rób, co mówię - powiedział ostro, a potem cichszym i spo kojniejszym głosem dodał: - Spotkamy się na zewnątrz. Wszystko będzie dobrze.

Zauważył, że asystentka bardzo pragnie go objąć, przytulić, i powstrzymał ją spojrzeniem.

Widać ich było doskonale z prawie całej widowni, a on nie chciał, by ktoś choćby przez chwilę pomyślał, że może tu się stać coś złego.

- Idź powoli. Uśmiechaj się. Pamiętaj, że zawsze jesteśmy na scenie.

Katherine skinęła głową. Podeszła najpierw do reżysera świ3' tła, a potem do dyrygenta orkiestry, przekazując im otrzymane instrukcje. Następnie stanęła przy głównym wyjściu.

Kadesky poprawił krawat, dopiął marynarkę. Potem spojrział na orkiestrę, skinął głową.

Zawarczały bębny.

Pora zaczynać przedstawienie, pomyślał. Uśmiechnięty szeroko wyszedł na scenę. Widownia cichła powoli. Zatrzymał się po-Jrodku koła, dudnienie bębnow zamarło, a jednocześnie oświetliły go dwa silne reflektory. Chociaż poprosił asystentkę, by przekazała oświetleniowcowi, że ma skupić na nim główne reflektory punktowe, aż drgnął; przez chwilę był pewien, że wybuchła bomba.

Edward Kadesky nie przestał się jednak uśmiechać i błyskawicznie odzyskał panowanie nad sobą. Podniósł mikrofon do ust.

-

Dobry wieczór, panie i panowie, witajcie w Cirque Fanta stiące. - Mówił głosem miłym, dźwięcznym, lecz także stanowczym. - Mamy dziś dla państwa wspaniałe przedstawienie. Teraz jednak zmuszony jestem prosić o wyrozumiałość. Obawiam się, że przysporzymy wam odrobinę niewygod, obiecuję jednak, że zostaniecie państwo sowicie wynagrodzeni za swą cierpliwość.

Przygotowaliśmy specjalny pokaz na świeżym powietrzu. Jeszcze raz przepraszam... próbowaliśmy przenieść go do namiotu Plaza Hotel, ale szefowie hotelu protestowali. Podobno goście nie chcieli się zgodzić.

Przerwa na wybuch śmiechu.

- Ośmielam się więc prosić państwa, byście wyszli teraz do Central Parku. Nie zapomnijcie o biletach!

Ludzie zaczęli szeptać. Zastanawiali się, jaką to niespodziankę szykuje im cyrk.

Kadesky uśmiechnął się rozbijająco.

- Możecie stanąć gdziekolwiek pod warunkiem, że będziecie widzieli domy na Central Park South. Daję słowo, że niczego nie straciecie.

Udało mu się poruszyć i zaciekawić widownię. Co to może znaczyć? Czyżby śmiałkowie z cyrku zamierzali przejść po linie między wieżowcami?

-

Zapraszamy widzów z pierwszych rzędów. Spokojnie i powo-

"j jeśli wolno prosić. Kierujemy się w stronę najbliższego wyjścia.

Zapłonęły wszystkie światła. Dostrzegł Katherine, stojącą przy głównym wyjściu, uśmiechającą się, wskazującą ludziom drogę. fr°szę, skierował tę myśl do niej, wyjdź z namiotu. Uciekaj!

Ludzie wstawali, rozmawiali głośno; mimo skierowanych na Cenę oślepiających światła

widział ich, choć niewyraźnie. Rozglądali się za znajomymi, zastanawiali się, kto wyjdzie pierwszy w którą stronę iść, zbierali wokół siebie dzieci, torebki i kartorvv z popcornem, sprawdzali, gdzie schowali odcinki biletów.

Kadesky z uśmiechem patrzył, jak powoli masa ta rusza do wyjść. I wspominał.

Chicago, Illinois, grudzień 1903 roku. Podczas porannego przedstawienia słynnego wodewilu Eddiego Foya w Iroquois Theater reflektor punktowy wzniecił pożar, który błyskawicznie rozszerzył się ze sceny na widownię. Dwa tysiące widzów nie przytomnie popędziło do wyjść. Zapchali je tak, że strażacy nie mogli dostać się do środka. Ponad sześćset osób zmarło straszną ] śmiercią. '•

Hartford, Connecticut, lipiec 1944 roku. Kolejne poranne przedstawienie cyrku Ringling Brothers i Barnum & Bailey. Słynna rodzina Wallenda właśnie rozpoczęła numer na trapezach, gdy zapalił się południowo-wschodni róg namiotu. Niegroźny początkowo ogień błyskawicznie przerzucił się na płótno namiotowe, impregnowane benzyną i parafiną. W

ciągu zaledwie kilku minut zginęło sto sześćdziesiąt siedem osób, spalonych, uduszonych i zmiażdżonych podczas ucieczki.

Chicago, Hartford, tyle innych miast. Tysiące ludzi zginęło straszną śmiercią w salach widowiskowych i cyrkach. Co zdarzy się tu? Jak historia zapamięta Cirque Fantastique, jego dzieło, jego przedstawienie?

Tymczasem namiot opróżniał się spokojnie i bez zbytniego pośpiechu. I w tym problem. Ceną za uniknięcie paniki była powolność. W środku nadal było zbyt wielu ludzi. Co gorsza, niektórzy widzowie nie ruszali się z miejsc, najwyraźniej preferując wygodę nad obejrzenie obiecane go spektaklu w parku. Kiedy inni wyjdą, trzeba będzie podejść, powiedzieć im, o co naprawdę chodzi.

Kiedy wybuchnie bomba? Najprawdopodobniej jeszcze nie teraz. Weir zamierzał pewnie zaczekać na spóźnialskich, niech wejdą, niech zajmą miejsca, niech ofiar będzie jak najwięcej. Dziesięć po drugiej. Może ustawił zapalnik na piętnaście po, wpół do trzeciej.

Gdzie był zapalnik? Gdzie była bomba? Nie miał pojęcia,

- gdzie wywołałaby jak największe zniszczenia.

Rozejrzył się po namiocie. Przed głównym wyjściem powoli gromadził się tłum. Dostrzegł wśród niego Katherine - kiwała ręką, wzywając go do wyjścia.

Nie wyszedł. Postanowił, że zrobi wszystko, by zakończyć ewakuację namiotu, choćby miał wyprowadzać ludzi za rękę. Choćby miał wypychać ich na dwór siłą i wracać po następnych. Nawet gdyby namiot walił się wokół niego w płomieniach. Wiedział, że wyjdzie ostatni.

Uśmiechnął się wesoło, potrząsnął głową; Katherine nie powin-na się łudzić. Podniósł mikrofon do ust i znów spokojnym, choć do-nośnym głosem tłumaczył ludziom, jakie to wspaniałe atrakcje czekają ich na zewnątrz. Nagle przerwała mu głośna muzyka. Spójrzył na balkon orkiestry. Muzycy wyszli - tak jak im polecił - ale dyrygent stał przy konsoli komputerowej, sterującej playbackiem, którego czasem używali. Spojrzeli na siebie, Kadesky skinął głową z aprobatą. Dyrygent, weteran wielu cyrków i wielu przedstawień, łączył taśmę z „The Stars and Stripes Forever”.

Amelia Sachs przeciskała się przez tłum wychodzący z namiotu, „Cirque Fantastique”. Wbiegła do środka. Usłyszała hałaśliwą muzykę, jakiś marsz, zobaczyła Edwarda Kadesky'ego, entuzjastycznie namawiającego wszystkich, by wyszli i obejrzeliby przygotowane na zewnątrz atrakcje; założyła, że w ten sposób zapobie-i panice.

Świetny pomysł, pomyślała, wyobrażając sobie, jakim nie-zczęściem byłby gniojący się przy nielicznych wyjściach tłum.

Była pierwszym policjantem, który pojawił się na miejscu; bliżający się dźwięk syren świadczył o tym, że za chwilę będzie ich znacznie więcej, ale nie czekała na wsparcie.

Natychmiast rozpoczęła poszukiwania. Przede wszystkim rozejrzała się po namiocie, próbując określić, gdzie najlepiej byłoby podłożyć bombę zapalającą. Jeśli sprawca chciałby spowodować jak największe szkody, powinien umieścić ją pod ławkami, jak najbliżej wyjść.

Bomba - czy też bomby - musiała być spora. W odróżnieniu od dynamitu czy plastiku bomby benzynowe powinny być duże, by dokonać poważnych zniszczeń. Można byłoby je ukryć w pojemnikach do przesyłek lub pudłach kartonowych. Beczka paliwa? Zauważyła plastikowy kosz na śmieci, wielki, tak na oko o pojemności co najmniej dwustu litrów. Stał tuż przy głównym wejściu; w tej właśnie chwili przechodziły obok niego dziesiątki ludzi. W namiocie było ze dwadzieścia koszy, może nawet dwadzieścia Pięć. Te ciemnozielone pojemniki były wręcz idealnym miejscem dla podłożenia bomby.

281

Podbiegła do najbliższego, zawahała się. Nie mogła zajrzeć do środka, do tego trzeba było odchylić skośne klapki, uznała jed. nak, że nie założono w nich zapalnika reagującego na ruch; Mag zgodnie z tym, czego dowiedzieli się od szefostwa, miał użyć raczej zapalnika czasowego. Z tylnej

kieszeni wyjęła małą latarkę włączyła ją, zajrzała do środka, wypełnionego śmierdzącymi śmieciami: podartymi papierowymi opakowaniami, zgniecionymi kartonowymi pojemnikami po popcornie, pustymi kubkami i puszkami. Nie widziała dna. Poruszyła pojemnikiem; był zbyt lekki, by ukryto w nim choćby kilka litrów benzyny.

Znów rozejrzała się dookoła. W namiocie pozostało kilkaset osób, które nie spieszyły się do wyjścia. I kilkanaście pojemników do przeszukania.

Podeszła do następnego, zatrzymała się, zmrużyła oczy. Pod lożą po prawej, koło południowego wyjścia, dostrzegła jakiś przedmiot wielkości mniej więcej pół metra kwadratowego, przykryty czarną płachtą. Natychmiast przypomniała sobie o sztuczce Weira, używającego materiału jako przykrycia, uniemożliwiającego jego dostrzeżenie. Cokolwiek kryło się pod tą płachtą, było po pierwsze niewidzialne, a po drugie mogło być benzyną.

A ludzie przechodzili sobie spokojnie w odległości nie większej niż pięć metrów.

Coraz głośniejsze wycie syren umilkło nagle; radiowozy zatrzymywały się przed namiotem.

W środku pojawili się najpierw policjanci, a zaraz potem strażacy. Pokazała odznakę najbliższemu.

Saperzy przyjechali? - spytała.

Powinni być za pięć minut.

Skinęła głową, nakazała sprawdzenie pojemników na śmieci, a sama podeszła ostrożnie do tajemniczego, przykrytego czarnym materiałem pudła.

I wówczas zdarzyło się najgorsze.

Nie, to nie była detonacja. Ale panika wybuchła tak, jakby pod tłum podłożono zapalnik.

Amelia nie była nawet pewna, co ją wywołało; zapewne ludzi zaniepokoił widok podjeżdżających radiowozów i strażaków, przebijających się przez tłum i wbiegających do namiotu. Usłyszała także kilka dobiegających sprzed głównego wejścia ostrych trzasków, które rozpoznała z wczorajszej wizyty; to powiewała na wietrze wielka flaga przedstawiająca Arlekina. Ale ludzie wzięli je zapewne za wystrzały z broni palnej i cofnęli się do środka, 282 ^

t szukając jakiegoś innego wyjścia. W namiocie echem odbiło się potężne westchnienie przerażonego tłumu, głośnie jak ryk. I wywołało wielką falę.

Wrzeszcząc wniebogłosy, ludzie rzucili się do wyjść. Tłum, lierzający od tyłu, zwałił Amelię z nóg. Bokiem głowy uderzyła ramię jakiegoś mężczyzny i omal nie straciła przytomności, dzie krzyczeli coś o bombach, pożarze, terrorystach. - Nie pchać się! - krzyknęła, ale nikt jej nie usłyszał. Zresztą nie sposób było powstrzymać tę falę. Setki ludzi stały się nagle jedną masą.

Niektórzy próbowali się opierać, powstrzymać lawinę, ale przegrywali i natychmiast stawali się jej częścią. Częścią bestii, z rozpaczliwą siłą szukającej wąskiego pasemka światła, oznaczającego wyjście.

Amelia z trudem wyciągnęła rękę, zakleszczoną pomiędzy ciałami dwóch nastolatków, których zdrowe, młodzieńcze twarze skrzywione były w grymasie przerażenia. Ktoś uderzył

ją w gło

we od tyłu, zobaczyła leżące na ziemi strzępy; wzięła je za ludzkie ciało i z przerażeniem pomyślała, że tłum stratował dziecko, le nie, to były tylko strzępy balonu. Obok poniewierała się dzie-inna butelka ze smoczką, prażona kukurydza, kupiona na jamiatkę maska Arlekina i discman; wszystko to tratowały stopy oszalałych z przerażenia ludzi. Gdyby ktoś upadł, zginąłby w ułamku sekundy. Amelia miała problemy z utrzymaniem równowagi, by już nie wspomnieć o wyborze

kierunku, spodziewała się, że sama lada chwila upadnie na ziemię.

I nagle poczuła, że unosi się w powietrze. Powoli traciła przytomność, ściśnięta pomiędzy spoconym ciałem potężnie zbudowanego mężczyzny w zakrwawionym podkoszulku, trzymającego nad głową szlochającego chłopca, i kobietą, która najwyraźniej straciła przytomność. Piskliwe krzyki dzieci i równie rozpaczliwe dorosłych wypełniały namiot, tylko wzmagając panikę. Przerażliwe gorąco uniemożliwiało oddychanie. Była pewna, że miażdżone żebra zaraz uniemożliwią jej oddychanie. Klaustrofobia... której się tak strasznie bała, chwyciła ją w swój mocarny uścisk, pozostało tylko uczucie, że zostaje pogrzebana żywcem. Jeśli się poruszasz, nie dopadną cię...

Ale Amelia nie mogła się poruszyć. Unieruchomiły ją wilgotne ciała, już nie ludzkie; składały się z mięśni, potu, pięści, śliny stóp i miażdżyły wszystko, co stawało im na drodze.

Błagam, nie. Proszę, niech coś się stanie. Niech wyciągnę choćby rękę. Niech choć raz swobodnie odetchnę.

283

Wydawało jej się, że widzi krew. Wydawało jej się, że widzi strzępy ciała.

Może były to strzępy jej ciała?

Strach, ból, brak powietrza... cokolwiek było tego przyczyną Amelia poczuła, że kręci jej się w głowie. Traciła przytomność. '

nie'nie wolno ci upaść!

Proszę...

Nie starczyło jej powietrza na to, by zaczerpnąć oddechu. Skąd miała je wziąć? Tuż przed jej twarzą pojawiło się czyjeś kolano, uderzyło ją w policzek raz, a potem poczuła zapach brudnych dżinsów, zobaczyła zdarte robocze buty.

Proszę, nie pozwól mi upaść.

I nagle zdała sobie sprawę, że już upadła.

Iluzje, szacowni widzowie, dotrzymują kroku najnowszej technice. Iluzjoniści włączali do swych występów mechanizmy zegarowe, magnesy, proch strzelniczy, gdy tylko stawały się powszechnie dostępne, a czasami wcześniej. Wielki iluzjonista Robert-Houdin używał światła elektrycznego, nim Thomas Edison zdążył udoskonalić żarówkę. Podobnie rzecz się miała z bronią palną. Najpopularniejszy numer z jej użyciem polegał na tym, że asystent strzelał, a iluzjonista łapał kulę w dłoń lub usta.

Sztuczka ta stała się bardzo popularna w europejskich cyrkach. Wprowadzano wiele wariantów, na przykład strzelanie z kilku pistoletów oraz zapraszanie na scenę ochotników z widowni i dawanie im broni do ręki.

Teraz, w naszym programie, odtworzymy występ Wiliama Ells-wortha Robinsona, światowej sławy iluzjonisty sprzed wielu lat, występującego jako Chińczyk i pod chińskim pseudonimem Chung Ling Su. Sławę przyniosła mu właśnie sztuczka z chwytnością kuli.

Istnieje wiele sposobów na przekonanie widzów o autentyczności tego numeru. Co odważniejsi iluzjoniści ładują prawdziwą broń prawdziwymi nabojami, pozwalając zapoznać się z nimi widowni, a następnie zamieniają prawdziwy nabój na ślepy. Dziewiętnastowieczni iluzjoniści spośród Indian przygotowywali naboje z malowanego na srebrno zaschniętego błota. Ellsworth używał specjalnie przygotowanej broni ładowanej od przodu, dwulufowej, przy czym w jednej lufie znajdowała się prawdziwa kula i z niej nie można było wystrzelić.

Do drugiej przed występem ładował ślepy nabój.

Ach, szacowni widzowie, czyżbym dostrzegł wyraz zawodu na waszych twarzach? Czy dziwicie się, dlaczego „puściłem farbę”, jak mawiamy my, iluzjoniści? Powiedziałem wam przecież, co Robinson robił naprawdę, zdradziłem metodę.

Dlaczego więc to, co za chwilę zobaczycie, ma budzić w was pod-niecenie?

Gdzie tu tajemnica?

No cóż... dwudziestego trzeciego marca 1918 roku, w kulminacyjnym punkcie występu, asystent tego wielkiego iluzjonisty wymierzył w niego dwa muszkiety i wypalił. Robinson upadł na scenę chwytając się za pierś. Zmarł wkrótce potem. Okazało się, że w jednym z karabinów proch dostał się do prawdziwej lufy i wybuchł przy odpaleniu ślebaka, wyrzucając prawdziwą kulę.

Rozumiecie teraz, szacowni widzowie, co jest najsilniejszym narkotykiem w naszej pracy.

Nawet iluzjonista nie wie, jak skończy się jego występ.

Malerick miał na sobie uniform chłopca hotelowego, niemal identyczny z tym, jaki nosili pracownicy Lanham Arms Hotel z manhattańskiej Upper East Side. Szedł korytarzem piętnastego piętra, niosąc tacę, na której znajdował się przykryty półmisek oraz waza z wielkim czerwonym tulipanem.

Doskonale dobrał wszystkie szczegóły, znakomicie pasował do otoczenia, nie budził najmniejszych podejrzeń. Grał idealnie: spuszczone wzrok, lekki uśmiech na twarzy, powolny krok, błyszcząca taca.

Od prawdziwego boyka hotelowego różnił go niewidoczny szczegół: pod metalową przykrywką termiczną na tacy leżały nie grzanki z jajkiem, nie klubowy sandwicz, lecz beretta z dokręconym grubym tłumikiem oraz skórzana torba z wytrychami i innymi narzędziami.

- Mam nadzieję, że państwu się u nas podoba? - spytał mijające go małżeństwo. Gdy usłyszał odpowiedź, że tak, bardzo, życzył im miłego dnia. Dla nielicznych mijających go gości, wracających z późnego niedzielnego śniadania lub wychodzących na miasto w to piękne wiosenne popołudnie, miał nieodmiennie miły uśmiech.

Minął okno, za którym dostrzegł pas zieleni: część Central Parku. Zastanowił się przelotnie, co tam się teraz dzieje, co dzieje się w białym namiocie Cirque Fantastique. Kilka dni poświęcił kierowaniu podejrzeń policji właśnie tam, pozostawiając odpowiednio dobrane dowody na miejscu zbrodni.

Poświęcił jej myślenie.

Myślenie i podstęp to dla iluzjonisty chleb powszedni. To gwarancja powodzenia występu, a w tej dziedzinie Malerick, człowiek o tysiącu twarzach, był prawdziwym mistrzem. Pojawiał się iak płomień zapałki i znikał, jakby ten płomień zdmuchnięto.

Potrafił spowodować i własne zniknięcie.

Wiedział, że policja wpadnie w histerię. Wiedział, że będzie szukała bomby benzynowej, pewna, że może ona wybuchnąć lada chwila. Ale bomby nie było, a przeszło dwa tysiące widzów Cirque Fantastique ani przez chwilę nie było zagrożonych, chyba że niektórzy zostaną zdeptani w trakcie panicznej ucieczki.

Malerick doszedł do końca korytarza. Obejrzał się przez ramię. Był sam. Natychmiast postawił tacę na podłodze przy drzwiach. Zdjął przykrywkę, schował berettę do zapinanej na zamek błyskawiczny kieszeni uniformu chłopca hotelowego. Ze skórzanej torby wyjął

śrubokręt, po czym także schował go do kieszeni.

Szybko i bez problemu odkręcił metalową zapadkę pozwalającą tylko na uchylene okna

(doprawdy, ludzie popełniają samobójstwa, jeśli tylko dać im okazję, pomyślał przelotnie) i podniósł je do samej góry. Odłożył śrubokręt do torby. Bez problemu podciągnął się na parapet, zeskoczył na gzyms. Czterdzieści pięć metrów nad ulicą.

Gzyms miał pół metra szerokości; wymierzył go, gdy kilka dni temu wynajął jeden z pokoi w tym korytarzu. Choć Malerick w zasadzie nie zajmował się akrobatyką, jak każdy wielki iluzjonista miał doskonale wyczucie równowagi. Wąskim wapiennym gzymsem szedł tak pewnie jak chodnikiem. Po jakichś pięciu metrach doszedł do rogu hotelu i spojrzął na sąsiedni budynek.

Był to dom mieszkalny, stojący frontem do Wschodniej Siedemdziesiątej Piątej. Nie miał gzymsu, ale naprzeciw miejsca, w którym stał w tej chwili, w odległości niespełna dwóch metrów znajdowało się wyjście przeciwpożarowe, górujące nad kanałem powietrznym; aż tu słychać było nieustanny szum klimatyzatora.

Malerick rzucił linę wyposażoną w niewielki hak, tak by zaczepiła się o zardzewiałą poręcz wyjścia. Sprawdził, czy hak dobrze chwycił, obwiązał się liną w pasie i wybrał luz. Następnie Przeskoczył z budynku do budynku nad przepaścią. Siła skoku Przeniosła go nad poręczą.

Malerick wylądował i nawet się nie zachwiał, nie mówiąc już o podparciu rękami. Odwiązał sznur i wszedł po schodach na siedemnaste piętro. Zajrzał do środka, ale nikogo nie dostrzegł. Położył broń i torbę z Narzędziami na parapecie okiennym. Jednym ruchem zdarł uniform chłopca hotelowego, pod którym miał zwykły szary garnitur białą koszulę i krawat. Berettę wsadził za pasek i wyjętym z torby wytrychem otworzył okno. Wskoczył do środka. Przez chwilę stał nieruchomo, odpoczywając i czekając, aż jego oddech się uspokoi. Następnie ruszył korytarzem w stronę drzwi do mieszkania, które było jego celem. Zatrzymał się przy nich, przyklęknął, położył na podłodze torbę. W dziurkę od klucza wsunął napinacz, a nad nim wytrych. W trzy sekundy otworzył zamek, w pięć odsunął zapadkę. Uchylił drzwi, by odsłonić zawiasy, na które prysnął smarem z małego pojemnika, podobnego do tych, w których sprzedaje się odświeżacze oddechu. Drzwi nie miały prawa zaskrzypieć. W następnej chwili był już w mieszkaniu. Powoli zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał się dookoła.

Na ścianie wisiały produkowane masowo kopie surrealistycznych krajobrazów Dalego, zdjęcia rodzinne, a na honorowym miejscu niezdarna akwarela przedstawiająca Nowy Jork, najwyraźniej namalowana przez dziecko (artystka podpisała się imieniem Chrissy). Przy drzwiach stał tani stolik z jedną nogą krótszą, pod którą wsunięto złożony żółty papier. W

rogu stała narta z zerwanym wiązaniem. Tapeta była stara, poplamiona.

Malerick poszedł korytarzem w stronę dużego pokoju, z którego dobiegał dźwięk telewizora, ale po drodze wszedł do małego pokoju, gdzie znajdował się koncertowy fortepian - krótki, czarny kawai. Na wieku leżały nuty z nabazgranymi na marginesach notatkami. Na okładce nut widniało to samo imię: Chrissy. Malerick nie zgłębił wszystkich tajemnic muzyki, ale nuty znał i bez problemu zorientował się, że utwór ten jest dość trudny. No tak, młoda Chrissy, czyli Christine Grady, córka nowojorskiego prokuratora okręgowego, Charlesa Grady'ego.

Był w domu Grady'ego. Człowieka, którego miał zabić za sto tysięcy dolarów.

Amelia Sachs siedziała skrzywiona na trawie przed namiotem Cirque Fantastique, bardzo bolała ją prawa nerka. Pomogła kilkudziesięciu ludziom wydostać się z ogarniętego paniką tłumu, po czym znalazła miejsce, w którym mogłaby odpocząć.

Nad jej głową powiewała czarno-biała flaga z namalowaną na niej maską Arlekina. I ciągle

trzaskała na wietrze. Wczoraj dźwięk ten wydawał jej się niesamowity, dziś, po panice spowodowanej przez Maga, maska i trzask były obrzydliwe i groteskowe.

288

Udało jej się uniknąć śmierci przez zdeptanie, choć kolanem i butem ostro potraktował ją mężczyzna gotów po trupach dotrzeć pierwszy do wejścia. Ale ciągle bolały ją plecy, żebra i twarz. Siedziała nieruchomo przez piętnaście minut, osłabiona i dręczona przez mdłości, częściowo z powodu zabójczego tłoku, a częściowo z powodu klaustrofobii. Amelia nie bała się małych pokoi, bez problemu jeździła windą, ale całkowite ograniczenie możliwości ruchu niemal wywoływało u niej panikę, a także dolegliwości fizyczne.

Gdziekolwiek spojrzała, widziała rannych, opatrywanych przez ekipy medyczne. Ich szef poinformował ją, że nikomu nie stało się nic poważnego, głównie mieli do czynienia ze zwichnięciami, powierzchownymi ranami ciętymi, wybitymi barkami, no i jedna osoba złamała rękę.

Tłum wypchnął Sachs z namiotu południowym wejściem. Gdy tylko znalazła się na świeżym powietrzu, padła na kolana i odpełzła w bok.

Rozejrzała się dookoła. Uwolnieni z zamkniętej przestrzeni widzowie, niezagrożeni eksplozją bomby czy atakiem terrorystycznym, zaczęli pomagać tym, którzy stracili orientację lub odnieśli rany.

Zatrzymała jednego z saperów. Patrzyła na niego z dołu, wydawał jej się ogromny; pokazała mu odznakę i powiedziała

O przykrytym

płachtą przedmiocie ukrytym pod ławkami przy

południowym wyjściu. Funkcjonariusz pobiegł przekazać tę informację kolegom.

Dobiegająca z namiotu donośna muzyka ucichła, z namiotu wyszedł Edward Kadesky.

Ludzie, obserwujący aktywność saperów, zrozumieli wreszcie, że znaleźli się w prawdziwym niebezpieczeństwie

1

że to ten człowiek, dzięki błyskawicznej reakcji na zagrożenie, oca lił ich przed niebezpieczeństwem spowodowanym choćby paniką.

Rozległy się oklaski. Kadesky przyjął je spokojnie, skromnie. Przeszedł wśród ludzi, sprawdzając, czy nic się nie stało pracownikom

cyrku i widzom. Niektórzy, przede wszystkim ranni, nie byli aż tak wielkoduszni, złościli się, pytali o to, co się właściwie stało, i twierdzi li\* że sami potrafiliby przeprowadzić ewakuację o wiele sprawniej.

Saperzy i straż pożarna zdążyli już sprawdzić namiot. Nie znaleźli ani śladu jakiegokolwiek bomby. W pokrytym płótnem pudle Dył zapas papieru toaletowego. Efekt przeszukania przyczep 1 ciężarówek okazał się identyczny.

Amelia Sachs zmarszczyła brwi. Czyżby się mylili? Jak to możliwe? Nic nie rozumiała.

Dowody były przecież jednoznaczne.

289

Owszem, Rhyme potrafił wysnuwać ryzykowne wnioski z niedostatecznych dowodów i więcej niż raz zdarzyło mu się pomylić ale w wypadku Maga wszystkie, ale to wszystkie dowody zgodnie wskazywały cel zamachu: Cirque Fantastique.

Czy Rhyme wie już, że nie znaleźli bomby? - spytała samą siebie. Wstała, zachwiała się, a potem niepewnym krokiem ruszyła na poszukiwanie kogoś dysponującego radiem; jej zmiażdżona motorola,



której szczątki leżały przy południowym wyjściu, była chyba jedyną śmiertelną ofiarą paniki.

Malerick wyszedł z pokoju muzycznego mieszkania Charlesa Grady'ego. Przeszedł mrocznym korytarzem, przystanął, wsłuchał się w głosy dobiegające z pokoju dziennego i kuchni apartamentu Gradych,

Ciekawe, czy to będzie niebezpieczne?

Zrobił, co mógł, by zredukować niebezpieczeństwo paniki wśród ochroniarzy Grady'ego, którzy mogliby go wówczas postrzelić bez wahania. Dwa tygodnie temu, podczas lunchu w Bedford Junction, gdzie spotkał się z Jeddym Barnesem i jego grupą ze stanu Nowy Jork, Malerick wyłożył swój plan. Uznał, że byłoby świetnie, gdyby przedtem, nim wtargnie do domu prokuratora, ktoś spróbował dokonać zamachu na prokuratora. Wybrano nawet kandydata, jakiegoś zboczonego pastora z Canton Falls, Ral-pha Swensena, na którego Barnes miał jakiegoś haka. Ale nie do końca ufał wielebnemu, więc po wydostaniu się z samochodu nad rzeką Harlem, Malerick, przebrany za woźnego, szedł za nim od tego nędznego hoteliku aż do Neighborhood School, by upewnić się, że w ostatniej chwili nerwy go nie zawiodą.

Plan Malericka zakładał, że Swensonowi nie może się udać (Barnes dostarczył mu broń z podpiłowaną iglicą). Jego zdaniem schwytanie zamachowca sprawi, że ochroniarze rozluźnią się i n'e będą aż tak skłonni do gwałtownej reakcji, gdy znajdą prawdziwego mordercę.

Cóż, pomyślał, tak to powinno wyglądać. W teorii.

Idąc cicho korytarzem, nie ogląda! już kiepskich reprodukcji i rodzinnych fotografii, nie zwracał uwagi na stosy magazynów: przeglądów prawniczych, „Vogue'a", „New Yorkera"

oraz mnóstwo tandetnych antyków kupionych na ulicznych wyprzedażach, które prokurator Grady zamierzał kiedyś poddać renowacji, 3eCZ na razie pozostawały nieodnowione - milczące świadectwo tego> że doba ma zaledwie dwadzieścia cztery godziny. 290

Malerick znał rozkład mieszkania, odwiedził je przebrany za hydraulika, ale był to zaledwie wstępny rekonesans: rozpoznanie, znalezienie dróg ucieczki i tak dalej. Nie poświęcił chwili życiu rodzinnemu Gradych, wiszącym na ścianie dyplomom małżonków (żona prokuratora także była prawnikiem), fotografiom krewnych j mnóstwie portretów ich jasnowłosej, dziewięcioletniej córki.

Teraz przypomniał sobie spotkanie z Barnesem i jego współnikami. Bojownicy natychmiast rozpoczęli gorącą debatę na temat sensowności zabicia żony prokuratora i jego córki.

Poświęcenie Swensena miało sens, wymuszał je plan. Ale jaki sens miało mordowanie całej rodziny? Zadał to pytanie przy pieczonym indyku, który okazał się wyśmienity.

- No

cóż, panie Weir - powiedział Jedly Barnes. - To rzeczywi ście ważna sprawa. Powiedziałbym, że powinien ich pan zabić na wszelki wypadek.

Malerick skinął głową z miną wyrażającą zrozumienie. Wiedział z doświadczenia, że nie wolno zniżać się do poziomu widowni i współwykonawców.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby i ich załatwić - wyjaśnił.

- Ale czy nie byłoby praktyczniej zostawić przy życiu kobiety?

Oczywiście jeśli nie pociągnie to za sobą żadnego ryzyka. To zna czy ryzyka, że będą mogły mnie zidentyfikować albo że dziew czynka podbiegnie do telefonu, żeby zadzwonić na policję. Podej rzewam, że są wśród was ludzie, którym nie spodobałoby się zabójstwo kobiety i dziecka.

Pańska decyzja, panie Weir - przyznał Barnes. - Pogodzimy się z nią, jakakolwiek będzie.

Niby okazał łagodność, ale widać było, że niezbyt mu ona odpowiada.

Malerick zatrzymał się przed wejściem do dużego pokoju. Zawiesił na szyi fałszywy identyfikator policjanta policji nowojorskiej. Spojrzał w zamglone lustro, którego powierzchnia wręcz wołała o odnowienie.

Tak. Wszedł w rolę. Wyglądał jak detektyw, mający za zadanie chronić ludzi, którym grożono śmiercią.

Odetchnął głęboko. Był spokojny jak głaz.

A teraz, szacowni widzowie, podnosi się kurtyna, rozbłyskują światła.

Rozpoczyna się prawdziwe przedstawienie.

Trzymając ręce luźno po bokach, wszedł do dużego pokoju mieszkania Gradych.

ześć, jak leci? - powiedział mężczyzna w szarym garniturze do zaskoczonego Luisa Martineza, spokojnego, tęgawego detektywa pracującego dla Rolanda Bella.

Ochroniarz siedział na kanapie przed telewizorem; na kolanach miał otwartego „New York Timesa”.

-

Ale mnie zaskoczyłeś, człowieku. - Skinął głową, spojrział na odznakę i identyfikator, a potem na twarz mężczyzny. - Przysze dłeś mnie zmienić?

-Tak.

Jak tu wszedłeś? Dali ci klucz?

Owszem, w centrali. - Mężczyzna mówił cicho, zachrypniętym głosem, jakby miał katar.

Masz szczęście - burknął Luis. - My musimy dzielić się jednym. Cholerny wrzód na tyłku.

Gdzie jest pan Grady?

W kuchni. Z żoną i Chrissy. Przyszedłeś wcześniej, wiesz?

Ja tam nic nie wiem. Kazali być, to jestem.

Taaa, skąd my to znamy. - Policjant nagle zmarszczył brwi.

- Chyba cię nie znam?

Joe David. Pracuję w Brooklynie.

Aha. Siedemdziesiątka. Ząbki mi się tam wyrzynały.

A dla mnie to pierwsze przeniesienie. Do ochrony, oczywiście.

W telewizji zaczęła się głośna reklama.

-

Przepraszam, ale nie słyszałem - powiedział Luis. - Powie działałeś, że pierwsze przeniesienie?

-Tak.

-

Aha. I wyobrażam sobie, że ostatnie. - Potężny detektyw pU

292

ścił gazetę. Wstał z kanapy, jednym płynnym ruchem wyciągnął i kabury glocka i wymierzył w mężczyznę, ponieważ wiedział, że to Weir. Zazwyczaj Luis był spokojny, ale teraz krzyczał w mikrofon ile sił w płucach: „Jest tu! Dostał się do środka! Jest w dużym pokoju!”.

Dwaj czekający w kuchni policjanci, Roland Bell i tęgą Lon Sellitto, wbiegli do pokoju; obaj sprawiali wrażenie niebotycznie zdumionych. Złapali Weira za ramiona, wyrwali mu zza pasa beretę z tłumikiem.

Na ziemię, już, już, już! - krzyknął Sellitto ochrypłym, nieco drżącym głosem, przykładając lufę do twarzy więźnia. Ale gęba, pomyślał przelotnie Martinez. W swej długiej karierze policjanta widział wielu zdumionych sprawców, ale ten facet tylko dyszał, nie mógł wypowiedzieć słowa.

Skąd on tu się wziął, do diabła? - spytał zdyszany Sellitto.

Bell tylko pokręcił głową, wyraźnie skonsternowany.

Luis skuł Maga, raczej brutalnie, dwoma parami kajdanek. Sellitto pochylił się ku więźniowi.

- Byłeś sam? Masz wsparcie na zewnątrz?

-Nie.

Nie próbuj kłamać!

Ręce...! Ręce mnie bołą! - jęknął Mag.

Jest z tobą ktoś?

Nie, nie, przysięgam!

Niebiosa mi pomogły... - mówił tymczasem do krótkofalówki Bell - ... wszedł do środka... nie, nie wiem jak.

Dwaj mundurowi policjanci wbiegli do mieszkania z korytarza, gdzie kryli się w pobliżu wind.

- Wygląda, jakby otworzył okno - powiedział jeden z nich.

-Wiecie które? Te wychodzące na wyjście przeciwpożarowe.

Bell zerknął na Weira... i zrozumiał.

-

Gzyms na budynku hotelu? Skoczyłeś?

Mag nie odpowiedział, ale musiało tak być. Policjanci stali przecież w alejce oddzielającej Lanham i kamienicę Grady'ego, a także na obu dachach. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś może przejść po gzymie i skoczyć nad alejką oraz kanałem wentylacyjnym.

Ktoś mu pomagał?

Nie. Wszystko wskazuje na to, że działał sam.

Sellitto włożył gumowe rękawiczki i przeszukał zatrzymanego. Znalazł narzędzia włamywacza oraz akcesoria i rekwizyty magika. Najdziwniejszymi z nich były nakładki z odciskami palców ciasno przyklepione do opuszków palców. Detektyw zdjął je i scho'wał do torebki na dowody rzeczowe. Gdyby nie napięta atmosfera: płatny morderca bez większego problemu dostaje się do mieszkania ofiary, którą mieli chronić, pomysł z dziesięcioma nakładkami w jednej torbie wydałby mu się komiczny.

Podczas przeszukania policjanci przyglądali się Weirowi. Był muskularny i w doskonałej formie, mimo iż pożar sprzed lat spowodował poważne zranienia: blizny na twarzy i szyi były bardzo wyraźne.

- Ma

jakieś dokumenty? - spytał Bell.

Sellitto potrząsnął głową.

-

Tylko FAO Schwarz. - W policyjnym żargonie oznaczało to kiepsko sfalszowane odznaki policyjne i inne dokumenty, w istocie niewiele więcej niż zabawki.

Weir zajrzał do kuchni; z miejsca, w którym leżał, widział, że jest pusta.

-

Och, Gra dych nie ma - powiedział niedbale Bell, jakby było to oczywiste.

Mag opadł bezwładnie na tandetny, przetarty dywan.

-

Jak? Jakim cudem mnie rozpracowaliście?

Lon odpowiedział mu... jeśli można to uznać za odpowiedź.

Jest ktoś, kto marzy tylko o tym, żeby osobiście odpowie dzieć ci na to pytanie. No, chodź. Przejedziemy się.

Witam ponownie - powiedział Rhyme, patrząc na zakutego w kajdanki Maga, stojącego na progu laboratorium.

Ale... ogień... -Weir mimowolnie spojrzął na prowadzące do sypialni schody.

Przykro mi, że popsuję ci występ. - Głos Rhyme'a był spo kojny, chłodny. - Wygląda na to, że nie uda ci się ode mnie uwolnić, Weir.

Mag spojrział na kryminalistykę.

Nie tak się nazywam - syknął. - Już nie!

Zmieniłeś nazwisko?

Nie. - Erick Weir potrząsnął głową. - Nie sądowno. Ale Weirem byłem kiedyś, a teraz jestem kimś zupełnie innym.

Rhyme przypomniał sobie, co mówił Terry Dobyns: że ogień „zamordował” dawnego Weira i stworzył kogoś zupełnie nowego-Tymczasem morderca z uwagą przyglądał się bezwładnemu ciału Rhyme'a.

294

\_ Jestem pewien, że mnie rozumiesz - powiedział. - Podejrzewam\* że bardzo chciałbyś zapomnieć o przeszłości i stać się kimś

innym> prawda?

\_ A jak nazywasz sam siebie?

- To już jest tajemnica moja i moich widzów.

Ach, oczywiście. „Szacowni widzowie”.

Gdy Weir stał tak w zwykłym szarym garniturze, skuty kajdankami i zdumiony, wydawał się w jakiś sposób pomniejszony. Peruka znikła; włosy miał gęste, długie, ciemnoblonde. W świetle dnia wyraźnie widoczne blizny na szyi wyglądały okropnie.

Jak mnie znalazłeś? - spytał schrypniętym, zdyszonym głosem. - Prowadziłem cię do...

Do Cirque Fantastique? Ależ oczywiście. - Gdy Rhyme'owi udawało się przechytryć sprawcę, nieodmiennie wpadał w dobry humor objawiający się między innymi skłonnością do rozmowy. - Chcesz powiedzieć, że nas zmyliłeś? No to słuchaj... przyjrzałem się dowodom i doszedłem do wniosku, że jakoś za łatwo mi idzie.

Za łatwo? - spytał Mag i rozkaszłał się.

Na miejscu przestępstwa znajdujemy dwa typy dowodów.

Pierwsze sprawca zostawia mimowolnie, a drugie podkłada. Po to, żeby nas zmylić, wprowadzić w pole.

Gdy wszyscy nasi pobiegli do cyrku szukać bomby, doszedłem do wniosku, że przynajmniej niektóre dowody zostały podłożone. Wydawały się zbyt oczywiste, na przykład na podeszwach butów, które zostawiłeś w mieszkaniu drugiej ofiary, była psia sierść, ziemia i ślady roślinne typowe dla Central Parku. Pomyślałem sobie, że naprawdę cwany sprawca mógł po prostu wdeptać to wszystko w podeszwy i zostawić buty właśnie po to, byśmy je znaleźli i natychmiast pomyśleli o wybiegu dla psów, który znajduje tuż obok namiotu. I cała ta gadanina o ogniu, kiedy odwiedzałeś mnie zeszłego wieczora... - zerknął na Karę. - To się nazywa zmył-

ka słowna, prawda?

Weir obejrzał sobie dziewczynę od stóp do głów.

Ano, tak - przyznała, dosypując cukru do kawy.

Ale przecież próbowałem cię zabić! - wydyszał Mag. - Żebyś poszedł po tych tropach, musiałeś żyć.

Rhyme roześmiał się głośno.

-

Ale ty wcale nie chciałeś mnie zabić! Do głowy ci to nie przyszło. Oczywiście chciałeś, byśmy w to uwierzyli, boby to do dało wiarygodności twoim słowom. Ale gdy tylko stąd wyszedłeś, 295 zadzwoniłeś pod dziewięćset jedenaście z najbliższego automatu Sprawdziłem w centrali.

Człowiek, który do nich dzwonił, powiedział, że widzi płomienie z budki. Tylko że ta budka stoi za rogiem. Nie widać z niej mojego pokoju. Sprawdził to dla mnie Thom. Dziękuję! - krzyknął kryminalistyk do swego opiekuna który właśnie przechodził przed drzwiami.

-

Nada - odpowiedział zmęczony głos.

Weir przytknął oczy i potrząsnął głową. Dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swych pomyłek.

Rhyme zmarszczył brwi, zerknął na jedną z tablic.

-

Wszystkie twoje ofiary zajmowały się czymś, co ma związek ze sztuką cyrkową. Muzyka, makijaż, jazda konna. Techniki mor derstwa wzięłeś ze sztuk magicznych. Ale gdybyś rzeczywiście chciał zniszczyć Kadesky'ego, nie prowadziłbyś nas do Cirque Fantastique. To oznaczało, że planujesz co innego. Ale co? Jesz cze raz przyjrzałem się dowodom. Na miejscu trzeciego przestępstwa, nad rzeką, zostałeś przez nas zaskoczony. Nie miałeś nawet czasu zabrać kurtki z przepustką prasową i kluczem hotelowym, co oznaczało, że nie były podłożone. Miały jakiś rzeczywisty związek z tym, o co ci naprawdę chodziło.

Karta do pokoju hotelowego pochodziła z jednego z trzech hoteli, w tym Lanham Arms.

Detektyw Bell rozpoznał nazwę, ale nie pamiętał skąd. Okazało się, że przed tygodniem pił tam kawę z Gradym i omawiał z nim kwestie związane z bezpieczeństwem rodziny.

Powiedział mi, że hotel stoi ściana w ścianę z kamienicą, w której Grady ma mieszkanie. A przepustka prasowa? Zadzwoniłem do dziennikarza, któremu ją ukradłeś. Powiedział, że zajmuje się sprawą Andrew Constable'a i przeprowadził już kilka wywiadów z Gradym.

Znaleźliśmy też opiłki mosiądzu. Skłanialiśmy się ku najgorszemu, że pochodzą z zapalnika czasowego bomby, ale... mogły też pochodzić z klucza lub innego podobnego narzędzia. W tym momencie opowieść podjęła Amelia Sachs.

- Potem

przyszła kolej na stronę z gazety, którą znaleźliśmy w wyciągniętym z wody samochodzie. Był tam nagłówek artykułu o cyrku, owszem, ale nie tylko. Także dotyczący sprawy Constable'a.

Skinęła głową w stronę tablicy.

W PONIEDZIAŁEK ROZPOCZYNA SIĘ PROCES O MORDERSTWO NA TLE RASOWYM.

-

I ten rachunek z restauracji - kontynuował Rhyme. - Powi nienes go wyrzucić.

296

Jaki rachunek? -Weir zmarszczył brwi.

Też był w kieszeni. Z niedzieli, dwa tygodnie temu.

Ale wtedy byłem w... -Weir umilkł nagle.

Miałeś zamiar powiedzieć, że nie byłeś w mieście, co? -

Sachs uśmiechnęła się lekko. - Tak, wiemy, wiemy. Rachunek po chodził z restauracji w Bedford Junction.

Nie wiem, o czym mówicie.

Policjant z Canton Falls, zajmujący się sprawą Stowarzyszenia Patriotycznego, zadzwonił do mnie, szukając Rolanda - podjął temat Rhyme. - Na wyświetlaczu zobaczyłem kod i zapamiętałem go. Był taki sam jak na rachunku.

Weir wpatrywał się w niego bez jednego mrugnięcia, a Rhyme mówił dalej.

-  
No i okazało się, że Bedford Junction leży o rzut kamieniem od Canton Falls, gdzie mieszka Constable.

-  
Kim jest ten Constable, o którym ciągle gadacie? - spytał szybko Weir, ale Rhyme bez problemu odczytał z jego twarzy, że doskonale zna odpowiedź na to pytanie.

Przesłuchanie przejął Sellitto.

-  
Czy Barnes był wśród tych, z którymi jadłeś lunch? Jeddy Barnes?

Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

A co wiesz o Stowarzyszeniu Patriotycznym?

Tyle, ile wyczytałem w gazecie.

Jakoś ci nie wierzymy - skomentował tę odpowiedź Sellitto.

- Możecie wierzyć, w co chcecie - warknął Weir. Rhyme wi dział w jego oczach gniew, ten gniew, o którym wspomniał Dobyns. - Jak odkryliście moje prawdziwe nazwisko? - spytał. Nikt nie odpowiedział, on zaś wpatrzył się na ostatni wpis na tablicy dowodów. Twarz mu pociemniała. - Ktoś mnie zdradził? - spytał

zdyszczanym, chrapliwym głosem. - Prawda? Ktoś powiedział wam o pożarze i Kadeskym? Kto? - Ze zjadliwym uśmiechem spojrzął najpierw na Sachs, potem na Karę, a wreszcie na Rhyme'a. -

John Keating, tak? A może poinformował was, jak go nazywałem? Rzadkie gówno. Nic mi nie pomógł. Art Loesser też. Dwaj Pieprzeni judasze. Ale zapamiętałem ich. Doskonale pamiętam ludzi, którzy stanęli mi na drodze. - Rozkaszał się, a kiedy atak minął, rozejrzał się dookoła i jego wzrok spoczął na Karze. - Ka-ra-.. tak masz na imię? Kim jesteś?

- Iluzjonistką - odpowiedziała dziewczyna z czymś w rodzaju Wyzwania.

297

-  
Jedna z nas, co? - zakpił Weir i przyjrzał jej się uważnie Dziewczyna iluzjonistką? Co tu robisz? Jesteś konsultantką czy czymś w tym rodzaju? Wiesz, może kiedy wyjdę, złożę ci wizytę i spowoduję, że znikniesz. Z przyjemnością.

- Do

końca życia nie wyjdiesz, Weir - warknęła Amelia.

Przerywany, chrapliwy śmiech iluzjonisty brzmiał niepokojąco Niech ci będzie. Kiedyś ucieknę. W końcu mury to przecież tylko iluzja.

Moim zdaniem ucieczka też nie wchodzi w rachubę - powie dział spokojnie Sellitto.

Odpowiedziałem ci na pytanie „jak”, Weir, czy jak tam sam siebie nazywasz - przerwał tę rozmowę Rhyme. - Teraz chciałbym się dowiedzieć „dlaczego”? Uznaliśmy, że mścisz się na

Kadeskym. I nagle okazuje się, że chcesz zamordować Grady'ego. Iluzjonista - morderca do wynajęcia?

Zemsta? -Weir stracił panowanie nad sobą. -A na co komu, kurwa, zemsta? Czy zemsta usunie mi blizny z płuc? Czy wróci mi żonę? Nic nie pojmujesz. Jediną rzeczą, która się dla mnie liczy ła, jedyną w życiu, były występy. Iluzja, magia. Mój mentor - Satani - szykował mnie do tego zawodu przez całe życie. Ale pożar zniszczył wszystko. Brak mi sił na występy. Mam zdeformowane dłonie. Nie mogę normalnie mówić. Nikt nie przyjdzie mnie obej rzeć. Nie mogę robić tego, do czego Bóg dał mi jedyny prawdziwy talent. Jeśli jedynym sposobem, w jaki mogę wykonywać swe po słannictwo, jest łamanie prawa, będę łamał prawo.

Syndrom upiora w operze...

Tymczasem Mag znów przyjrzał się bezwładnemu ciału Rhyme^.

-

A co ty myślałeś po wypadku, kiedy zorientowałeś się, że już nigdy nie będziesz gliniarzem?

Rhyme nie odpowiedział. Cios był wyjątkowo celny. Co czuł? Rzecz jasna, ten sam gniew, który nakręcał Weira. I tak, po wypadku, całkowicie zatracił zdolność odróżniania rzeczy dobrych od złych. Dlaczego nie miałbym zostać kryminalistą? - pytał sam siebie, szalony, wściekły, przygnębiony. Potrafię znaleźć i ocenić dowody lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Co oznacza, że lepiej niż ktokolwiek potrafię nimi manipulować. Mogę popełnić przestępstwo doskonale...

Dzięki ludziom takim jak Terry Dobyns i inni lekarze oraz dzięki przyjaciom z policji nie wcielił tych myśli w życie> a w końcu zbladły one i znikły, jakby ich nigdy nie było. Nie da się

298

iednak zaprzeczyć, że wiedział, o czym mówi Weir. Choć nigdy, nawet w najczarniejszych godzinach rozpacz nie przyszło mu do głowy, by mógł odebrać komuś życie. Oczywiście, nie licząc siebie.

- Więc zostałeś najemnikiem?

Weir zrozumiał, że stracił panowanie nad sobą, zdradził za wiele i odmówił odpowiedzi na kilka kolejnych pytań.

Sachs nie wytrzymała. Podeszła do białej tablicy, zerwała z niej kilka zdjęć pierwszych dwóch ofiar i gwałtownie podsunęła je pod oczy Weirowi.

- Zabiłeś tych ludzi, żeby sprowadzić nas na fałszywy trop?

- krzyknęła. -Tylko tyle dla ciebie znaczyli?

Weir wytrzymał jej spojrzenie. Prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie rozluźnionego. Rozejrzał się, roześmiał.

Naprawdę myślicie, że potraficie zatrzymać mnie w więzieniu? Czy wiecie, że Houdini kazał się kiedyś zamknąć, nagi, w jednej z cel śmierci więzienia w Waszyngtonie? Wydostał się z niej tak szybko, że starczyło mu czasu na otworzenie wszystkich cel w korytarzu i pozamieniał więźniów, nim strażnicy zdążyli wrócić z przerwy śniadaniowej?

Jasne - westchnął cierpły Sellitto. - Ale rozumiem, że to by ło dawno temu. Dziś stosujemy nieco bardziej wyrafinowane za bezpieczeństwa. - Zabiorę go do śródmieścia - zwrócił się do Rhyme^ i Sachs. Sprawdzimy, czy ma nam jeszcze coś do powiedzenia.

Ruszyli w kierunku drzwi, ale zatrzymał ich głos Rhyme'a.

Zaczekajcie - powiedział, nie odrywając oczu od tablicy do wodów.



Co jest? - zdziwił się Sellitto.

Uciekł Larry'emu Burke'owi, otwierając kajdanki?

Racja.

Znaleźliśmy ślady śliny, pamiętacie? Zajrzyjcie mu do ust.

Sprawdźcie, czy nie schował tam klucza albo wytrychu.

Nic nie schowałem. Naprawdę - powiedział Weir.

Sellitto włożył gumowe rękawiczki, które dał mu Mel Cooper.

Otwieraj gębę - polecił. - A ugryziesz, to zgniotę ci orzeszki.

Kapujesz? Ruszysz gębą, stracisz jaja.

Rozumiem. - Mag otworzył usta jak najszerzej. Korpulentny detektyw zaświecił w niego latarką, pogrzebał palcem, ale nic nie znalazł.

Jest jeszcze jedno miejsce, które powinniśmy sprawdzić

~ Powiedział cicho Rhyme.

Sellitto tylko chrząknął.

299

- Załatwimy to na miejscu, Linc. Są rzeczy, których nie zrobię za tę nędzną pensję.

Podeszli do drzwi, lecz okazało się, że Kara ma coś jeszcze do powiedzenia.

- Chwileczkę. Sprawdźcie mu zęby. Spróbujcie je poruszyć albo wykręcić. Przede wszystkim trzonowe.

Weir zeszywniał na widok podchodzącego detektywa.

- Nie

możecie tego zrobić - zaprotestował.

Otwieraj dziób! To, co mówiłem o jajach, ciągle jest aktualne.

Mag westchnął.

Pierwszy u góry po prawej. To znaczy, po mojej prawej.

Sellitto spojrzał na Rhyme'a, sięgnął do ust Maga i pociągnął.

Rzeczywiście, ząb był fałszywy, w środku znajdował się skręcony kawałek metalu. Wrzucił go do torebki na dowody, a sam ząb troskliwie wsadził na miejsce.

-

Takie to małe. Rzeczywiście się do czegoś nadaje? - spytał.

Kara zajrzała do torebki.

Och, tym czymś normalne kajdanki otworzyłby w cztery se kundy.

No, no, Weir. Idziemy.

Mag nie spuszczał wzroku z Kary.

- Zapamiętam cię. Obiecuję. Słyszałaś o P.T. Selbicie? Bardzo podoba mi się, co robił. Być może wystąpisz w którymś z moich numerów, kiedy już wyjdę na wolność.

- Jeśli wyjdiesz na wolność. - Sellitto się roześmiał.

Ale Rhyme wpadł na pewien pomysł.

Przepraszam cię, Lon. - Korpulentny detektyw spojrzał na niego zaskoczony. - Nie masz przypadkiem wrażenia, że kiedy pomógł nam znaleźć wytrych w zębie, mógł zastosować taką swo ją małą zmyłkę?

Racja - powiedziała Kara, kiwając głową.

Weir poddał się kolejnemu badaniu Sellitta bez protestu, ale i bez przyjemności. Tym razem

detektyw sprawdził wszystkie zęby. I znalazł drugi drucik w fałszywym zębie po lewej, w dolnej szczęce.

Już ja dopilnuję, żeby umieścili cię w miejscu naprawdę specjalnym - oznajmił groźnie Sellitto. Następnie wezwał kolejnego policjanta i polecił mu skuć stopy Weira dwiema parami kajdanek.

W tym nie sposób chodzić - poskarżył się Mag.

Spróbuj kroczkami - poradził Sellitto lodowatym tonem-

- Kroczek po kroczeniu.

Mężczyzna odebrał informację w barze przy drodze 244. Nie miał telefonu w przyczepie - w ogóle nie miał telefonu, nigdy nie ufał telefonom - więc stąd właśnie telefonował i tu przyjmował rozmowy.

Mijało czasami kilka dni, nim ktoś się z nim kontaktował, ale tej jednej, ważnej rozmowy spodziewał się wcześniej, toteż pośpieszył do „Elma's Dinner” zaraz po szkółce niedzielnej.

Hobbs Wentworth był potężnym facetem. Miał rzadką rudą bródkę i kręcone włosy, odrobinę jaśniejsze niż bródka. Słowa „kariera” nikt z Canton Falls nie kojarzył z Hobbsem, co nie znaczyło, że Hobbs nie potrafił harować jak wół. Wręcz przeciwnie, uczciwie zarabiał na każdą kolejną tygodniówkę pod warunkiem, że miał pracę na świeżym powietrzu, nie musiał

przy niej myśleć i zatrudniał go biały chrześcijanin.

Jego żoną była cicha, pospolita kobieta imieniem Cindy, większość czasu poświęcająca uczeniu dzieci w domu, szyciu i rozmowom z kobietami, robiącymi to, co i ona. Sam Hobbs pracował, polował, a wieczorami dyskutował z przyjaciółmi (jeśli dyskusjami można nazwać rozmowy ludzi, którzy zgadzali się ze sobą w każdym najdrobniejszym szczególe).

Całe życie spędził w Canton Falls i bardzo mu się tu podobało. Było gdzie zapolować, wstępu na tereny myśliwskie nie ograniczano, ludzie wiedzieli, czego chcą, zachowywali pogodę ducha i potrafili odróżnić swe głowy od tyłków (określenie „myślą to, co ja” dotyczyło w zasadzie ich wszystkich). Miał mnóstwo okazji, by robić to, co lubi. Na przykład uczyć w szkółce niedzielnej. Miał ukończone osiem klas; bilet ukradł, ale wiedzy nie zdobywa się w ten sposób. Niedouczony, nigdy nie podejrzewał, że sam będzie uczył.

301

Okazało się jednak, że doskonale radzi sobie z dziećmi w szkółce niedzielnej. Nie prowadził modłów, nie wyśpiewywał z innymi: „Jezus mnie kocha i ja jego też...”, nic z tych rzeczy. Nie, on tylko opowiadał dzieciakom historie z Biblii. Pokochały go głównie dlatego, że nie trzymał się klasycznej wykładni. Na przykład w jego opowieści Jezus nie wykarmił tłumów jedną rybą i dwoma chlebami, tylko poszedł na polowanie z łukiem w ręku, ustrzelił jelenia ze stu metrów, wypatroszył go i sprawił własnoręcznie na placu w centrum miasteczka i w ten sposób nakarmił jego obywateli. Jako ilustrację do tej fascynującej historii przyniósł do klasy swój kompozytowy Clearwater MX Flex. Strzała ze stalowym grotem wbiła się w żuźlową cegłę ściany na osiem centymetrów, ku nieukrywanemu zachwytowi widzów.

Właśnie skończył kolejną taką lekcję i poszedł do „Erma's”. Kelnerka podeszła do niego natychmiast.

Cześć, Hobbs? Szarlotka?

Nie. Omlet z pieczarkami. Podwójny sos. Słuchaj, nie było...

Nim zdążył skończyć zdanie, kelnerka wręczyła mu kawałek papieru, na którym napisane było „Zadzwoń do mnie, JB”.

-  
To od Jeddy'ego, tak? - spytała. - Poznałam go po głosie. Od czasu kiedy policja zainteresowała się tymi żołnierzami z lasu, wcale go nie widuję.

Hobbs zignorował jej pytanie.

-

Zaczekaj z tym omletem - poprosił tylko i poszedł do wiszącego w kącie telefonu, po drodze szukając drobnych w kieszeni dzinsów. Jednocześnie przypomniał sobie lunch, który zjedli dwa tygodnie temu w Riverside Inn w Bedford Junction: on, Frank Stemple i Jeddy Barnes z Canton Falls oraz jakiś Erick Weir, którego Barnes nazywał później Magikiem, bo facet był, co niewiały rygodne, zawodowym czarodziejem.

Barnes zrobił mu przyjemność, kiedy na widok wchodzącego Hobbsa wstał i z uśmiechem powiedział do Weira:

- Z

przyjemnością przedstawiam najlepszego strzelca w naszym okręgu. Poluje z łukiem. Poza tym jest naprawdę twardym zawodnikiem.

Hobbs siedział nad wytwornym posiłkiem w wytwornej re-stauracji (do głowy by mu nie przyszło, że będzie kiedyś jadł w Riverside Inn), grzebiąc widelcem w specjalności dnia i słuchając, jak Barnes i Stemple opowiadają o ich gościu. Był on kimś w rodzaju żołnierza, najemnika, a Hobbs wiedział wszystko o najemnikach, subskrybował przecież „Soldier of Fortune”- Za-302

uważał blizny na ciele mężczyzny oraz zdeformowane palce lewej ręki; podejrzewał, że spowodował je napalm.

Początkowo Barnes nie chciał nawet spotkać się z Weirem. Podejrzewał pułapkę. Ale Magik od razu ich uspokoił. Poprosił, żeby oglądali wiadomości pewnego szczególnego dnia.

Pierwszą podano informację o zamordowaniu meksykańskiego ogrodnika, nielegalnego imigranta, pracującego dla bogatej rodziny w sąsiednim miasteczku. Weir przyniósł

Barnesowi jego portfel. Trofeum... jak jelenie rogi.

Weir był szczery. Wyjaśnił im, że wybrał Meksykanina, ponieważ zna poglądy grupy na kwestię imigracji. Przyznał, że ich nie podziela i interesują go wyłącznie pieniądze, które zarabia dzięki swym specjalnym talentom. Co doskonale wszystkim pasowało. Przy lunchu Magik przedstawił swój plan, po czym uprzejmie pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł. Kilka dni później Barnes i Stemple wyprawili do Nowego Jorku nerwowego zbrodniarza -pedofila, wielbego Swensena z zadaniem zabicia Grady'ego w niedzielę wieczorem. Wielbny spieprzył sprawę, tak jak przewidywali.

Zgodnie z życzeniem pana Weira Hobbs miał czekać na telefon, na wypadek gdyby okazał się potrzebny.

No i wyszło na to, że chyba jednak jest potrzebny. Wystukał numer Jeddy'ego.

Tak? - usłyszał w słuchawce ostry głos.

To ja. - Policja stanowa poszukiwała Barnes'a, toteż ustalili, że rozmowy telefoniczne mają być krótkie. - Musisz zrobić to, o czym rozmawialiśmy przy lunchu - powiedział Barnes.

Aha. Pojechać nad jezioro.

Zgadza się.

Pojechać nad jezioro z wędką? - upewnił się Hobbs.

Słusznie.

Tak jest. Kiedy?

Teraz. Zaraz.

Oczywiście.

Barnes odłożył słuchawkę, a Hobbs zmienił zamówienie z omletu z pieczarkami na kawę i kanapkę z jajkiem na bekonie; zachował tylko dodatkowy sos. Bo kiedy Barnes mówi:

„Teraz. Zaraz”, to ma być teraz i zaraz. Robisz to, co masz zrobić jak najszybciej potrafisz.

Dostał kawę i kanapkę, wziął je ze sobą, wsiadł do swego pika-Pu i wyjechał na szosę. Musiał coś jeszcze załatwić po drodze -

303

podjechać do przyczepy. Tam przesiadł się w starego grata, do-dge'a zarejestrowanego na kogoś, kto nigdy nie istniał, i pojechał „nad jezioro”, co wcale nie oznaczało jeziora, tylko pewne szczególne miejsce w Nowym Jorku.

Tak jak „wędka” nie oznaczała bynajmniej kija z żyłką i ha-czykiem z jednej strony, a kołowrotkiem z drugiej.

Grobowce.

Po jednej stronie przyśrubowanego do podłogi stołu siedział ponury Joe Roth, malutki i tłuściutki prawnik Andrew Constable<sup>^</sup>, po drugiej Charles Grady i jego pomocnik, Roland Bell. Amelia Sachs stała; w ciężkim powietrzu pokoju o brudnych, niemal nieprzejrzystych oknach znów poddała się klaustrofobii, która nie męczyła jej od czasu tej strasznej paniki w Cirque Fanta-stique. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, kołysała się w przód i w tył.

Otworzyły się drzwi, wszedł Constable w towarzystwie strażnika, który skuł mu ręce z przodu, obrócił się i wyszedł na korytarz.

Nie udało się - powiedział Grady. Głosem zdumiewająco spokojnym, pozbawionym jakichkolwiek uczuć, pomyślała Sachs.

Co...? - zdziwił się Constable. - Czy chodzi o tego durnia Ralpa Swensena?

Nie. Chodzi o Ericka Weira.

Kogo? - Constable zdziwił się... wyglądał na naprawdę zdu mionego.

Prokurator opowiedział mu w skrócie o ostatnim zamachu oraz o mordercy, iluzjoniście który stał się płatnym mordercą,

Weirze.

-

Nie, nie, nie. Nie miałem nic wspólnego z Weirem. Nie mam nic wspólnego z tym... czymś. - Constable opuścił wzrok na podra pany blat stołu. Na szarej farbie widać było wydrapane napisy; litery „A”, „C” i niedokończone „K”. - Przecież cały czas ci tłuma czyłem, Charles, że są ludzie, których kiedyś znałem, i że mocno przesadzili. Ciebie i państwo mają za wrogów współpracujących z Żydami, Afroamerykanami i tak dalej. Fałszują moje słowa, uży wają ich jako pretekstu do napadów na ciebie. Powtarzam, daje słowo, że nie miałem z tym nic wspólnego - zakończył cicho.

Roth zwrócił się do prokuratora.

- Nie warto bawić się w żadne gierki, Charles. Próbujesz łowić ryby w mętnej wodzie. Jeśli znajdziesz coś łączącego mojeg0 klienta z włamaniem...

304

- Ten Weir zabił wczoraj dwie osoby... także funkcjonariusza policji. Co oznacza morderstwo pierwszego stopnia.

Constable się skrzywił; ciężar rozmowy przyjął na siebie jego prawnik.

- No cóż, mogę tylko powiedzieć, że bardzo mi z tego powodu przykro. Odnoszę jednak wrażenie, że nie oskarżacie o nic mojego klienta. Zapewne dlatego, że nie macie żadnego dowodu łączącego go z Weirem, prawda? Grady go zignorował.

- W tej chwili rozmawiamy z Weirem. Oczekujemy, że zdobędziemy informacje interesujące policję stanową.

Constable spojrział na Amelię Sachs. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Sprawiał wrażenie bezradnego, samo jego spojrzenie wydawało się sugerować, że oczekuje od niej pomocy. Zapewne spodziewał się, że przemówi przez nią kobiecie rozsądek. Ale Sachs milczała, Bell także się nie odzywał. Nie ich sprawą było dyskutowanie z podejrzanymi.

Roland Bell był tu, ponieważ odpowiadał za bezpieczeństwo Grady'ego, chciał więc dowiedzieć się czegoś więcej o próbie zamachu na jego życie oraz możliwych kolejnych zamachach, Amelia zaś szukała dodatkowych informacji o Constable'u i jego współnikach, by uzupełnić luki w dochodzeniu przeciw Weirowi.

Ale człowiek ten ją fascynował. Znała tylko opinie innych, toteż spodziewała się zobaczyć kogoś złego do szpiku kości, a spotkała mężczyznę rozsądnego, współczującego, niemal załamane tym, co stało się w ciągu ostatnich kilku dni. Rhyme zajmował się wyłącznie dowodami, brakowało mu cierpliwości, by studiować moralność i motywy sprawców, ją jednak bardzo interesowały kwestie dobra i zła. Czy w tej chwili patrzyła na niewinnego człowieka, czy nowego Hitlera? Constable potrząsnął głową.

- Proszę posłuchać, z mojego punktu widzenia jakiegokolwiek próby wykluczenia pana ze sprawy nie mają sensu. Stan przyśle po prostu kolejnego prokuratora okręgowego, proces będzie się toczył dalej, a ja zostanę oskarżony także o morderstwo. I po co roi to? Jaki miałbym powód, by podnosić na pana rękę?

Bo jesteś bigotem, mordercą i...

Proszę pana, już zniósłem bardzo wiele - przerwał mu Constable, wyraźnie tracący cierpliwość. - Aresztowano mnie, upoko-

rzo przed rodziną. Ponieważ mną prasa i policja. A wie pan, jakie popełniłem przestępstwo?

- Spojrział Grady'emu wprost

^ oczy. - Zadawałem trudne pytania.

305

Andrew... - Roth dotknął ramienia klienta, lecz on odsunął się od niego gwałtownie. Zabrzęczały łańcuchy. Constable roz grzał się już i nie miał zamiaru przerywać przemowy.

Właśnie tu, w tym pokoju, mam zamiar popełnić te przestępstwa, których rzeczywiście jestem winien. Oto pierwsze: py-

tam, czy zgadzacie się ze mną, gdy twierdzę, że im rząd większy, tym słabszy ma kontakt z ludźmi. Wówczas gliniarze mogą wsadzić kij do szczotki w odbyty zatrzymanego... i to, pozwolę sobie dodać, niewinnego.

Złapano ich i ukarano - zaprotestował słabo Grady.

Pójdą siedzieć, ale ofiara nie odzyska przez to godności, którą jej pozbawili, prawda? A ilu nigdy nie złapano? Pomyślcie tylko o tym, co stało się w Waszyngtonie. Pozwolono, by terroryści dostali się do naszego kraju, swobodnie się po nim poruszali, choć zamierzali przecież nas zabijać...

my zaś nie śmiemy ich urazić, nie tylko odmawiając im prawa wjazdu, ale nawet pobierając odciski palców i wymagając noszenia dokumentów, identyfikując ich ponad wszelką wątpliwość. I druga sprawa: czy rząd ma prawo rozdawać pieniądze z naszych podatków artystom? Takim jak ten, który wyrzeźbił Józefa, Maryję i Dzieciątka Jezus z krowiego łajna. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by pan się tym przejmował, w końcu stworzył zarówno tego faceta, jak i krowy. Ale dla czego rząd wydaje moje ciężko zarobione pieniądze na takie bzdury?

Nie odpowiedzieli mu ani policjanci, ani prokurator.

A co myślicie państwo o kolejnym przestępstwie? Pozwolę sobie spytać, dlaczego nie godzimy się wszyscy z czymś oczywistym: rasy i kultury różnią się między sobą. Nigdy nie powiedziałem, że któraś z nich jest lepsza albo gorsza od innych. Twierdzą tylko, że gdy się je miesza, skutek bywa na ogół opłakany.

Segregację rasową znieśliśmy ładnych kilka lat temu - za uważał Bell. Jego południowy akcent był bardzo wyraźny. - Może pan nie wie, ale dziś jest ona przestępstwem.

Detektywie, nie wątpię, iż uczono pana, że przestępstwem była kiedyś sprzedaż alkoholu. Przestępstwem była kiedyś praca w niedzielę. Za to nie była przestępstwem praca dziesięciolatka w fabryce. Zmądrzeliśmy jednak i znieśliśmy te prawa, ponieważ nie były zgodne z ludzką naturą.

Constable pochylił się, spojrzął na Bella, potem na Sachs.

-

A teraz pozwolę sobie zadać trudne pytanie moim przyjaciółom policjantom.

Żałujemy, że dostajecie informację o podejrzanym o morderstwo; jest być może Murzynem lub Latynosem. Widzicie podejrzanego w ciemnej alejce. Czy nie zaciśnięcie palca na spuście nieco mocniej, niż gdyby był biały? A jeśli okaże się, że to biały, normalny biały, ma wszystkie zęby i jego ubranie nie śmierdzi szczynami, to czy nie ulżycie palcowi, choćby trochę? Czy nie przeszukacie go odrobinę łagodniej?

Takie oto popełniłem przestępstwa. - Constable potrząsnął głową. - Poza nimi nic nie mam na sumieniu.

- Wspaniała gadka, Andrew - powiedział cynicznie Grady. -

Ale nim zagrasz oskarżyciela przed sądem, powiedz mi, co są dzisz o tym, że dwa tygodnie temu Weir w towarzystwie trzech osób zjadł lunch w Riverside Inn w Bedford Junction, czyli dwa kilometry od Canton Falls, gdzie spotyka się Stowarzyszenie Państwowe, i jakieś pięć od twojego domu.

Constable drgnął zaskoczony.

-

Riverside Inn? - powtórzył, patrząc w okno tak brudne, że nie sposób było powiedzieć, czy widoczne przez nie niebo jest błękitne, czy też chore, żółte od zanieczyszczeń przemysłowych.

Grady spojrzął na niego spod przymkniętych powiek.

I co? Znasz to miejsce?

Ja... - Roth znów dotknął jego ramienia i więzień zamilkł.

Wymienili szeptem kilka słów, Constable skinął głową.

Prokurator nie oparł się pokusie przyciśnięcia go.

- Znasz

kogoś, kto bywa tam regularnie?

Andrew Constable zerknął na swego prawnika, który potrząsnął głową. Zapadła cisza.

-  
Jak ci się podoba cela? - przerwał ją Grady.

-Co?

Jak ci się podoba twoja cela w areszcie, Andrew.

Nieszczególnie, co zapewne wiesz i bez pytania.

W więzieniu jest znacznie gorzej, Andrew. I będziesz musiał siedzieć w pojedynce. Czarni z rozkoszą zmieniają ci d...

Daj spokój, Charles - westchnął Roth. - Niepotrzebne nam takie gadanie.

-  
Wiesz, Joe, powiem ci szczerze, że naduzywacie mojej cierpliwości. Ciągłe słyszę tylko: tego nie zrobiłem, tamtego też nie...

Dobra, jeśli tak się sprawy mają... - odwrócił się nagle, spojrzał na Constable'a - ...to rusz tyłek i pokaż mi, jaki jesteś niewinny.

Udowodnij, że nie miałeś nic wspólnego z zamachami na mnie i moją rodzinę, daj mi nazwiska tych, którzy mieli... i wówczas za gniemy rozmawiać.

307

Constable i Roth znów wymienili szeptem kilka zdań.

Mój klient - powiedział formalnie prawnik - chce odbyć pa-

rę rozmów telefonicznych. Na podstawie nowo zdobytych informacji rozważa możliwość współpracy.

Mnie to nie wystarczy. Chcę nazwisk. Teraz.

Musi ci wystarczyć - powiedział do Grady'ego Constable.

Był wyraźnie poruszony. - Nim zacznę mówić, muszę mieć pewność.

Boisz się, że będziesz musiał zdradzić przyjaciół? - Prokura tor niemal wpadł mu w słowo. - Cóż, przyjacielu, podobno lubisz zadawać trudne pytania. To teraz będziesz musiał na trudne pytania odpowiedzieć. Co to za przyjaciele, skoro chcą cię wysłać do więzienia na resztę życia? - Wstał. - Jeśli nie odezwiesz się do dziewiątej wieczorem, jutro zaczynamy proces. Tak jak zaplanowaliśmy.

ie była to imponująca scena. Gdy dziesięć lat temu David Balzac na zawsze zrezygnował z występów i kupił sklep „Dym i Lustra”, zburzył ścianę między frontową a tylną częścią sklepu, tworząc w ten sposób małą salkę widowiskową. Nie miał licencji na organizowanie przedstawień, nie mógł więc pobierać opłaty za wstęp, lecz mimo to w czwartkowe wieczory i niedzielne popołudnia organizował występy, i nawet je reklamował. Robił to z myślą o uczniach, dawał im możliwość zdobycia doświadczenia w występach przed publicznością. A jest to bardzo ważne.

Kara wiedziała, że ćwiczenia w domu czy sklepie i wyjście na scenę różnią się jak noc i dzień. Bywa, że kiedy pojawiaasz się przed widownią, dzieją się rzeczy niewytłumaczalne.

Sztuczka, która podczas prób uparcie nie wychodziła, udaje się doskonale, jakby ręce i umysł iluzjonisty opanowała tajemna siła, mówiąca: „Tym razem nie spieprzysz”. I przeciwnie, zdarza się zepsuć coś łatwiuteńkiego, tak znanego, że niemal już nudnego, choćby tak zwane francuskie upuszczenie jednej monety; nieszczęście nieoczekiwane do tego stopnia, że nikomu do głowy nie przychodziło przygotowanie techniki maskującej wpadkę.

Salkę od części sklepowej dzieliła wysoka, szeroka, czarna kurtyna, poruszająca się od czasu do czasu w przeciagu, powodowanym otwarciem drzwi wejściowych, któremu towarzyszyło ciche bi-bip Strusia Pędziwiatra z elektronicznego czujnika umieszczonego we framudze.

Zbliżała się czwarta po południu. Ludzie wchodzili, zajmowa-u miejsce, najchętniej w tylnych rzędach (podczas występów magów i iluzjonistów ludzie wolą nie siadać z przodu, nigdy nie wiadomo, czy artysta nie wezwie kogoś „na ochotnika” i nie ośmie-szy go publicznie).

Stojąca za kulisami Kara ukradkiem przyglądała się scenie. Jej proste czarne boki były porysowane i poplamione, zapadniętą dębową posadzkę pokrywały kawałki taśmy używanej podczas prób do maskowania ruchów rąk. Od kulis maleńką scenę, trzy na cztery metry, oddzielał zaledwie postrzępiony wiśniowy szal ale przecież była to scena i kiedy stanie na niej w świetle reflektora, będzie się czuła tak jak w Carnegie Hali.

Podobnie jak artyści wodewilowi czy zwykli prestidigitatorzy, iluzjoniści na ogół budowali swój występ z serii sztuczek. Dobierali je starannie, przechodzili od najmniej do najbardziej efektownych, starając się stworzyć porywający finał, ale - zdaniem Kary -coś takiego obserwowało się z zainteresowaniem równym przyglądaniu się fajerwerkom. Każdy kolejny wybuch jest oczywiście wspanialszy i bardziej kolorowy od poprzedniego, ale całość nieodmiennie rozczarowuje, ponieważ nie ma tematu, nie ma ciągłości. Kara uważała, że występ iluzjonisty ma opowiadać historię, każda kolejna sztuczka powinna mieć związek z poprzednią i następną, a w finale należy powtórzyć jedną lub dwie wcześniejsze, które pozostawia widzów zdumionych i zachwyconych.

Przychodziło coraz więcej ludzi. Kara zastanawiała się nawet, czy dziś widownia będzie pełna, choć tak naprawdę nie miało to dla niej szczególnego znaczenia. Uwielbiała pewną opowieść, której bohaterem był Robert-Houdin. Otóż pewnego wieczora wyszedł on na scenę, a na widowni było zaledwie... troje ludzi. Wystąpił dla nich tak, jakby wszystkie miejsca były zajęte, a jedynym odstępstwem od rutyny było tylko to, że tę trójkę zaprosił do siebie do domu na kolację.

Nie wątpiła, że wszystko pójdzie dobrze. Nawet przed występami w sklepie ćwiczyła pod okiem pana Balzaca całe tygodnie. W tej chwili, choć od wejścia na scenę dzieliły ją zaledwie minuty, nie denerwowała się i nie myślała o sztuczkach. Obserwowała widownię, ciesząc się tą krótką chwilą spokoju. A przecież nie miała chyba powodu, by czuć się tak komfortowo, wręcz przeciwnie:



zdrowie matki; narastające problemy finansowe; powolne postępy w nauce, przynajmniej w oczach pana Balzaca; gość od grzanek z jajkiem, który znikł dokładnie trzy tygodnie temu, ale przedtem obiecał, że zadzwoni jutro. „Nie później, daję słowo”-Ale chłopak, który zniknął, brak pieniędzy i umierająca matka jakoś jej tu nie ciążyły.

310

Nie wtedy, gdy stała na scenie.

Kiedy była na scenie, nie interesowało jej nic oprócz wywołania na twarzach widzów pewnego szczególnego wyrazu. Oczami wyobraźni widziała go wyraźnie: wargi rozchylone w uśmiechu, szeroko otwarte ze zdumienia oczy, uniesione brwi. A na ustach jedno, nieuniknione na pokazie iluzjonistycznym pytanie: „Jak ona to zrobiła?”. Na zakończenie udanego przedstawienia był na wszystkich twarzach, na zakończenie mniej udanego, przynajmniej na niektórych.

W zwykłej magii ulicznej wykonuje się specyficzne ruchy rąk, znane jako „zbieranie” i

„kładzenie”. Efekt zmiany jakiegoś przedmiotu w inny osiąga się niewidocznym zabraniem pierwszego i podłożeniem na jego miejsce drugiego tak płynnie, że publiczności się wydaje, iż zmienia się on na ich oczach. I właśnie to robiła Kara. Zabierała widzom smutek, nudę i gniew, a na jej miejsce „kładała” szczęście, fascynację i spokój; zmieniała ich w ludzi czujących radość w sercu, choćby i krótkotrwałą.

Zbliżała się godzina występu. Znów zerknęła na widownię. I bardzo się zdziwiła. Większość miejsc była zajęta. Przy pogodzie tak ładnej jak w to niedzielne popołudnie mało kto tu przychodził. Z radością przyjęła pojawienie się Jaynene z domu pogodnej starości; jej potężna postać na chwilę przesłoniła wejście; towarzyszyły jej przyjaciółki - siostry ze Stuyvesant Manor. Znalazły jeszcze wolne miejsca. Podobnie jak kilku przyjaciół Kary: sąsiadów z Greenwich Street i klientów sklepu.

Tuż po czwartej odchyliła się kurtyna i na widowni pojawił się gość, którego absolutnie się nie spodziewała.

- Łatwo dojechać - powiedział Rhyme drwiąco, prowadząc wózek, lśniący Storm Arrow, przez przejście między dwoma rzędami krzeseł. Zatrzymał się mniej więcej w połowie drogi między wejściem a sceną. - Nie każą człowiekowi wkładać garnituru.

Przed godziną zdumiał Sachs i Thoma, twierdząc, że dobrze byłoby pojechać na występ Kary jego vanem rolhcem przystosowanym do przewożenia osób niepełnosprawnych.

- Choć szkoda marnować takie piękne popołudnie na siedzenie w czterech ścianach - dodał.

Oboje popatrzyli na niego ze zdumieniem. Nawet przed wy-Padkiem, gdy był sprawny, nigdy nie spędził pięknego popołudnia inaczej niż w czterech ścianach.

- Podjedź samochodem, Thom, dobrze? Dziękuję.

311

- No proszę, proszę - powiedział opiekun i wyszedł.

Teraz rozglądał się po nędznej salce. Dostrzegł tęgą kobietę która spojrzała na niego z sympatią, wstała i przysiadła się do Amelii. Przywitała Rhyme'a skinieniem głowy. Spytała, czy jest tym policjantem, któremu pomaga Kara. Rhyme przytaknął, po czym nastąpiła wzajemna prezentacja.

Tęga kobieta miała na imię Jaynene. Była pielęgniarką w domu rehabilitacji i opieki nad ludźmi starszymi, w którym mieszkała matka Kary. Przyjrzała się Rhyme'owi wszechwiedzącym spojrzeniem, a on tylko uśmiechnął się kpiąco.

Oj, z tą rehabilitacją coś mi się chyba wymknęło. Powinnam powiedzieć „dom starców”.

A ja jestem absolwentem TIMC\*.

Jaynene zdziwiła się wyraźnie, myślała chwilę, a potem powiedziała: Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

Instytut Łagodzenia Skutków Nieszczęśliwych Wypadków

- odpowiedział Thom.

Nazywaliśmy to „Gospodą pod Kaleką” - dodał Rhyme.

On bardzo lubi prowokować ludzi.

- Pracowałam z pacjentami z uszkodzeniami kręgosłupa - przy znała Jaynene. - Najbardziej lubiłam tych wściekających się i prze klinających. A najbardziej bałam się tych spokojnych i pogodnych.

Oczywiście, pomyślał Rhyme. Bo to właśnie ci spokojni i pogodni prosili przyjaciół, by wrzucili im do drinka sto pastylek se-conalu. Albo, jeśli mogli użyć rąk, wlewali wodę w kontrolki kuchenek i włączali gaz.

Nazywało się to śmiercią na cztery fajerki.

- Masz

kategorię C4? - spytała Jaynene.

Owszem.

I oddychasz samodzielnie. Dobra robota.

Jest tu matka Kary? - Amelia rozejrzała się dookoła.

Tęga Murzynka wahała się chwilę, nim odpowiedziała krótko:

-Nie.

-

Nigdy nie przychodzi jej obejrzeć?

Niezbyt interesuje się karierą zawodową córki - powiedziała ła ostrożnie kobieta.

Kara mówiła nam, że jej matka jest chora. Mam nadzieję, że czuje się lepiej? - spytał Rhyme.

\* Traumatic Incident Mitigation Center.

312

\_ Owszem, trochę.

Rhyme wyczuł, że coś kryje się za tymi niedomówieniami, ale pielęgniarka samym tonem głosu wyraźnie dawała do zrozumienia, że nie ma zamiaru dyskutować o stanie swojej pacjentki z obcymi.

Przygasły światła, na widowni zrobiło się cicho. Na scenę wszedł siwowłosa mężczyzna.

Mimo zaawansowane-go wieku i wyraźnych oznak trudów życia (czerwony nos pijaka, poplamiona tytoniem broda) oczy miał bystre, trzymał się prosto, a po scenie poruszał z wprawą zawodowca. Stał obok jedyne-go tu rekwizytu: przyciętego drewnianego słupa naśladowującego fragment rzymskiej kolumny. Choć otoczenie wyglądało nędznie, ubrany był w doskonale skrojony garnitur, zupełnie jakby kierowała nim zasada, że na scenie, dla widzów, trzeba zawsze wyglądać najlepiej. Rhyme uznał, że to mentor Kary, niesławny pan Balzac.

Mężczyzna nie przedstawił się. Ogarnął spojrzeniem widownię; jego wzrok nieco dłużej zatrzymał się na postaci kryminalistyka. Cokolwiek pomyślał, nie zdradził tego. Powiedział spokojnym głosem.

- Panie i panowie, mam przyjemność przedstawić wam dziś jedną z moich najzdolniejszych studentek. Kara pracuje ze mną od roku. Pokaże nam najbardziej ezoteryczne iluzje w całej historii naszego zawodu, niektóre pochodzą z mojego repertuaru, inne są jej dziełem. Nie dajcie się

zaskoczyć - wpatrzone w Rhyme^ oczy Balzaca zabłyśły demonicznie - i nie pozwólcie, by wstrząsnęło wami to, co zobaczycie. A teraz... panie i panowie...

daję wam... Karę!

Rhyme uznał, że najpożyteczniej spędzi tę godzinę, obserwując sztuczki okiem naukowca.

Cieszyło go wyzwanie związane z obserwacją mechanizmu ich powstawania, odnotowywanie, jak Kara przeprowadza kolejne sztuczki, jak znikają karty i monety, kiedy dokonuje szybkich zmian. W grze, którą nazwał „Daj się Przyłapać”, dziewczyna prowadziła z nim o kilka długości, choć z pewnością nie miała pojęcia, że w nią gra.

Kara pojawiła się na scenie ubrana w obcisły czarny strój z dekoltem w kształcie półksiężyca, na który narzucony miała rodzaj Płaszczka z przezroczystej tkaniny udrapowany tak, by przypominał rzymską togę. Aż do tej chwili Rhyme nie uważał Kary za kobietę atrakcyjną fizycznie, a już z pewnością nie seksowną, ale ten obcisły kostium sprawił, że wyglądała niesłychanie atrakcyjnie.

313

Dziewczyna poruszała się płynnie, zmysłowo, niczym tancer-ka. Długą chwilę przyglądała się widzowi; każdy miał wrażenie że spojrzała mu w głąb duszy. Mistrzowsko budowała napięcie.

-  
Zmiana - powiedziała niezbyt głośno, głosem pełnym napię.

cia. - Zmiana... jakże nas fascynuje. Alchemia... transformacja ołowiu w złoto. - Pokazała srebrną monetę, zamknęła ją w dłoni-otworzyła ją niemal w tej samej chwili, ukazując złotą monetę która wyrzucona w powietrze zmieniła się w deszcz złotego kon fetti.

Nagrodziły ją brawa i szmer zdumionych głosów.

-

Zmiana... noc... - światła przygasły, w sali zapanowała nie przenikniona ciemność, rozjaśniona po zaledwie kilku sekundach

- ...przechodzi w dzień. - Kara miała na sobie równie obcisły jak przedtem strój, złoty jednak i na dekolcie ozdobiony znakiem gwiazdy. Rhyme roześmiał się, zachwycony sprawnością, z jaką do końca zmiany. - Życie... - w dłoni dziewczyny pojawiła się czerwona róża - ...śmierć... - stuliła dłonie, a gdy je rozchyliła, trzymała w nich zaschnięty żółty kwiat - ...i znów życie. - Tym razem trzymała w rękach bukiet kwiatów. Rzuciła go zachwyconej kobiecie na widowni; Rhyme słyszał, jak wyszeptala: „Są prawdziwe”.

Kara opuściła ręce i ponownie przyjrzała się widowni. Była bardzo poważna.

- Jest

księga - powiedziała głosem, wypełniającym echem

mała salkę. - Napisana przed wiekami przez rzymskiego poetę, Owidiusza. Nosi tytuł „Metamorfozy”. Metamorfoza, jak wów czas gdy gaśienica staje się... - Otworzyła dłoń i nad widownię wzleciał motyl.

Przez cztery lata Rhyme uczył się łaciny. Ciągłe pamiętał, jak zmuszano go do tłumaczenia fragmentów Owidiusza na sprawdzianie. „Metamorfozy” były serią czternastu czy piętnastu mitów, przedstawionych w poetyckiej formie. Do czego prowadziła Kara? Czyżby próbowała uczyć klasyki literatury mamusi przyszłych prawników i dzieciaki interesujące się wyłącznie prymi-tywną muzyką i nowym Nintendo? A jednak zauważył, że jej obcisły kostium przyciąga uwagę wszystkich nastoletnich chłopców na widowni.

-

Metamorfozy... to księga opowiadająca o zmianach. O lu dziach, którzy zmieniają się w innych ludzi, w zwierzęta, drzewa, martwe przedmioty. Niektóre z opowieści Owidiusza są tragiczne, niektóre fascynujące, ale wszystkie łączy jedno... - przerwała> a potem powiedziała donośnie: - ... magia!

I znikła w błysku światła i chmurze dymu.

Przez następnych czterdzieści minut Kara fascynowała widownię serią iluzji i sztuczek magicznych, nawiązujących do niektórych części „Metamorfoz”. Rhyme od razu zrezygnował z szukania dziur w jej przedstawieniu. Oczarowała go oczywiście opowiadana przez nią historia, lecz nawet gdy od czasu do czasu otrząsał się z jej czaru, koncentrował na ruchach dłoni, ani razu nie zauważył metody.

Wreszcie zeszła ze sceny, po długich owacjach i bisie, podczas którego Kara zmieniła się w drobną staruszkę i z powrotem w siebie (młody starzeje się... młodość powraca...). Pięć minut później, w dzinsach i białej bluzce, pojawiła się na widowni, by powitać przyjaciół.

Sprzedawca sklepowy postawił na stole dzbanek wina, kawę, napoje chłodzące, ciasteczka.

-

Nie macie szkockiej? - zdziwił się Rhyme, patrząc na ubogo zastawiony stół.

-

Niestety nie, proszę pana - odparł brodaty młody mężczyzna.

Amelia, uzbrojona w kieliszek wina, zaprosiła do towarzystwa Karę.

-

Strasznie mi miło. Nie sądziłam, że przyjdziecie.

Cóż mogę powiedzieć? - Policjantka tylko się uśmiechnęła.

- Fantastyczne przedstawienie.

Doskonale - przyznał Rhyme i spojrzał na bar. - Może mają szkocką gdzieś pod ladą - powiedział z nadzieją do swego opiekuna.

Thom skinął mu głową. Zwrócił się do Kary.

-

Czy potrafisz także zmienić upodobania? - spytał uprzejmie. Wziął dwa kieliszki chardonnay, do jednego wsunął słomkę i podał ją szefowi.

-

To albo nic, Lincolnie.

Rhyme pociągnął łyk wina.

Podobało mi się zakończenie z przemianami młodości i sta rości. Było takie... nieoczekiwane. Obawiałem się, że raczej zmieni się w motyla i odleci.

I o to chodzi. Przy mnie musisz spodziewać się niespodziewanego. Zręczny umysł, pamiętasz?

Słuchaj - wtrąciła Amelia - naprawdę powinnaś spróbować 1 Cirque Fantastique.

Dziewczyna roześmiała się, ale nic nie powiedziała.

- Ależ nie - protestowała Sachs. - Jesteś prawdziwą profesjonalistką.

315

Rhyme zorientował się natychmiast, że Kara wolałaby nie kontynuować tego tematu.

Wszystko w swoim czasie - powiedziała lekko. - Robię to, co powinnam w tej chwili robić. Nie ma powodu do pośpiechu. Wie lu popełnia ten błąd, że za szybko przebiega przed siebie.

Jedźmy na grzanki z jajkiem sadzonym - zaproponował

Thom. - Nie będą tak dobre jak moje, ale jestem strasznie głodny. Jaynene, jedziesz z nami.

Tęga Murzynka zgodziła się chętnie i nawet zaproponowała miejsce: nowo otwarty lokalik koło Jefferson Market, przy Szóstej i Dziesiątej. Kara się jednak wykręciła. Powiedziała, że musi zostać i przećwiczyć parę sztuczek, które nienadzwyczajnie wyszły jej podczas występu.

Ależ dziewczyno! - oburzyła się Jaynene. - Masz zamiar pra cować? Dzisiaj?

Tylko kilka godzin. Przyjaciół pana Balzaca urządza dziś prywatne przedstawienie, więc sklep zostanie zamknięty wcześniej. - Kara mocno przytuliła Amelię i pożegnała się z nią. Wy mieniły numery telefonów, obiecały sobie, że spotkają się przy pierwszej okazji. Rhyme jeszcze raz podziękował swej konsul-tantce.

Nie złapałibyśmy go bez ciebie - przyznał.

Przyjedziemy obejrzyć cię w Las Vegas - pożegnał ją Thom.

Rhyme zawrócił wózkami i pomiędzy dwoma rzędami foteli pojechał do wyjścia. Przypadkiem spojrzawszy w lewo i dostrzegł baczne spojrzenie Davida Balzaca, obserwującego go z zaplecza sklepu. Chwilę później zwrócił się do podchodzącej do niego Kary. Dziewczyna zmieniła się natychmiast, straciła całą pewność siebie, wydawała się wręcz nieśmiała.

Metamorfozy, pomyślał Rhyme, patrząc, jak Balzac powoli zamyka drzwi, odcinając świat czarodzieja i jego uczniacy.

Powtórzę jeszcze raz: możesz dostać prawnika, a bardzo go potrzebujesz. - Rozumiem - odparł cicho Erick Weir.

Siedzieli w pokoju Sellitta na One Police Plaza. Był to pokój bardzo mały, pomalowany na szaro i udekorowany w sposób, który w raporcie policyjnym można by opisać następująco:

„Fotografia niemowlęcia - sztuk jeden, fotografia małego dziecka płci męskiej - sztuk jeden, fotografia dorosłej kobiety - sztuk jeden, obrazek przedstawiający jakiś krajobraz nad jeziorem - sztuk jeden, miejsce nieznane, roślina w doniczce - sztuk jeden, uschnięta”.

W pokoju tym Sellitto przesłuchiwał setki podejrzanych. Jediną różnicę między nimi wszystkimi a tym obecnym stanowił fakt, że Weir przykuty był do stojącego przy biurku szarego stołka dwiema parami kajdanek, a za nim stał uzbrojony policjant patrolu.

Rozumiesz?

Przecież powiedziałem.

Tak zaczęło się przesłuchanie.

W odróżnieniu od Rhyme'a, specjalizującego się w badaniu dowodów rzeczowych, detektyw pierwszego stopnia Lon Sellitto był policjantem z krwi i kości. Interesowało go wyłącznie dojście do prawdy... z użyciem wszelkich środków dostępnych nowojorskiej policji i wszystkim innym agencjom przestrzegania prawa... oraz własnego, wyrobionego na ulicach miasta sprytu i nieustępliwości. Często powtarzał, że być policjantem to najwspanialsza robota na świecie. W tej pracy musiał być aktorem, politykiem, szachistą, a czasami rewolwerowcem i obrońcą futbolowym.

317

Najwspanialsza była jednak gra w przesłuchanie. Nakłonię nie podejrzanego, by przyznał się do winy, podał nazwiska współ, ników, miejsce, gdzie znajdują się zwłoki innych ofiar.

Od początku było jednak jasne, że Weir nie okaże się kopalnią informacji.

-

A teraz, Ericku, powiedz mi, co wiesz o Stowarzyszeniu Pa.

triotycznym?

Jak już mówiłem, nic. Tyle, co czytałem w gazetach. - Weir próbował podrapać się po nosie i ramieniu. - Moglibyście zdjąć mi kajdanki, choćby na chwilę?

Nie moglibyśmy. Więc tylko czytałeś o stowarzyszeniu?

Oczywiście. - Mag się rozkaszać.

Gdzie?

Chyba w „Timesie”.

Masz wykształcenie, wyrażasz się bardzo elegancko. Nie spo dziewam się, byś podzielał ich poglądy.

Nie podzielam. Dla mnie są bandą wściekłych bigotów - po wiedział Weir cichym, zdyszonym głosem.

Jeśli rzeczywiście tak sądzisz, to podjąłeś się zamordowania Grady'ego wyłącznie dla pieniędzy. Chcielibyśmy dowiedzieć się, kto cię wynajął.

Ale ja przecież nie miałem zamiaru go zamordować - szepnął aresztant.

Tylko włamałeś się do jego mieszkania z naładowanym pi stoletem za pasem...

Proszę posłuchać. Lubię wyzwania. Lubię sprawdzać, czy po trafię dostać się tam, gdzie nikt inny nie potrafi. Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. - Te ostatnie słowa skierował nie tylko do de tektywa, lecz także do wymierzonej w jego twarz poobijanej ka mery wideo.

- Słuchaj, jak ci smakował kotlet mielony? A może jadłeś pie czonego indyka?

-Co?

Lunch w Bedford Junction, w Riverside Inn. Obstawiam, że poprzestałeś na drobiu, a chłopcy Constable'a zażerali się mię-

sem: mielonym, stekiem i specjalnością dnia. Co zamówił Jeddy-Kto? Ach, ten facet, o którego już mnie pytano? Barnes.

Chodzi o rachunek, tak? - Weir oddychał szybko, ciężko. - Praw dę mówiąc, po prostu go znalazłem. Szukałem kawałka papieru, żeby coś zapisać i akurat ten wpadł mi w rękę.

Prawdę mówiąc? - pomyślał Sellitto. Właśnie.

318

\_ Więc chciałeś coś zapisać?

Weir skinął głową. Dusił się, nie mógł powiedzieć słowa. \_ A gdzie byłeś, kiedy potrzebowałeś tego kawałka papieru? -Lon Sellitto nudził się coraz wyraźniej. \_ Nie wiem. W

Starbucks.

Którym?

Nie pamiętam.

Ostatnio przestępcy często wymieniali Starbucks, kiedy chcieli stworzyć sobie alibi. Zdaniem Sellitta miało to sens: kawiarni było tak wiele i wszystkie wyglądały identycznie, więc kryminaliści mogli twierdzić, że nie pamiętają, w której byli tego a tego dnia o tej a o tej godzinie, nie tracąc resztek wiarygodności.

-

A dlaczego była czysta? - spytał niedbale Sellitto.

-Co?

-

Druga strona rachunku. Skoro chciałeś coś na niej napisać, dlaczego była czysta?

Ach! No tak, chyba nie znalazłem długopisu.

W Starbucks? Przecież tam jest mnóstwo długopisów. Klient ci płacą kartami kredytowymi. Muszą podpisywać wydruki.

Kasjerka była zajęta. Nie chciałem odrywać jej od pracy.

Co chciałeś zapisać?

Ach? - Weir oddychał ciężko. - Zdaje się, że godzinę seansu filmowego.

-

Gdzie jest ciało Larry'ego Burke'a?

Kogo?

Policjanta, który aresztował cię na Osiemdziesiątej Ósmej Ulicy. Wczoraj wieczorem powiedziałaś Lincolnowi Rhyme'owi, że go zabiłeś i ukryłeś ciało gdzieś na West Side.

Próbowałem tylko skierować jego myśli na cyrk, żeby my ślał, że tam zaatakuję. Odciągałem jego uwagę. Podawałem fał

szywe informacje.

I kiedy przyznałeś się do innych zabójstw, to też były fałszywe informacje?

- No

właśnie. Nikogo nie zabiłem. Ktoś to zrobił i teraz próbuje mnie zrobić.

Boże, najstarsza metoda obrony na świecie. A także najgłupsza. I najbardziej zawstydzająca.

Kto niby miałby cię zrobić?

Nie wiem. Ale mnie zna, to chyba oczywiste.

Ponieważ ma dostęp do twoich ubrań, włókien, włosów i różnych innych rzeczy i może je umieścić na miejscu przestępstwa?

319

No właśnie.

Świetnie. Lista nie może być długa. Podaj mi (e kilka na zwisk.

Weir przytknął oczy.

-

Nic mi się przychodzi do głowy. - Pochylił głowę. - To takie frustrujące.

Sam Sellitto nie znalazłby lepszych słów na opisanie sytuacji. Minęło bardzo męczące pół godziny tej nudnej gry. Wreszcie detektyw po prostu się poddał. Był wściekły. Myślał o tym, że wkrótce zapuka do drzwi mieszkania swej dziewczyny i zje przygotowaną przez nią kolację, indyka - co za ironia, przecież figurował on także w menu lunchu z Riverside Inn - a Larry Burke nigdy już nie wróci do rodziny. Zrzuci! ryaskę przyjaznego, choć dociekliwego śledczego i cicho powiedział: - Zejdź mi z oczu.

Wraz z kilkoma policjantami odprowadził Weira dwie przecznice dalej, do aresztu męskiego, gdzie miał zostać formalnie zatrzymany pod zarzutem morderstwa, usiłowania morderstwa, napadu i podpalenia. Sellitto uprzedził funkcjonariuszy DOC o specjalnych zdolnościach tego szczególnego więźnia, lecz uzyskał zapewnienie, że zostanie on umieszczony na oddziale specjalnym, z którego nie sposób uciec.

-

Detektywie Sellitto? - rozległ się gardłowy szept Weira.

-Tak?

- Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem. - W głosie Maga brzmiała bardzo przekonująca nuta.

- Może, kiedy odpocznę, przypomnę sobie coś, co pozwoli panu złapać prawdziwego mor dercę. Zrobię wszystko, żeby panu pomóc.

Kilka pięter niżej, w Grobowcach, dwójka funkcjonariuszy prowadziła idącego powoli, krok za krokiem zatrzymanego do biura aresztu, gdzie miano załatwić wszystkie konieczne formalności.

Nie wygląda mi na szczególnie groźnego, pomyślała Linda Welles, funkcjonariuszka służby więziennej. Był silny, to się czuło, ale nie tak silny jak chłopcy, z którymi często tu miano do czynienia, gówniarze z Alfabetycznego Miasta i Harlemu o perfekcyjnych ciałach, których urody nie mogły zniszczyć nawet wielkie ilości cracku, heroiny i wody.

Ciekawe, dlaczego robią tyle zamieszania wokół chudego starszawego gościa, Weira, Ericka.

320

Trzymajcie go, nie spuszczajcie wzroku z jego dłoni i pod żadnym warunkiem nie zdejmujcie kajdanków.

Tymczasem facet wyglądał nędznie, po przesłuchaniu był cholernie zmarnowany, oddychał z trudem. Kaleka dłoń i te blizny na szyi, ciekawe, skąd się wzięły. Ogień, rozgrzany olej? Aż wstrząsnęła się myśl o tym, jak musiał cierpieć.

Welles pamiętała, co powiedział detektywowi Sellitcie w progu pokoju przesłuchań: „Zrobię wszystko, żeby panu pomóc”. Mówił jak dzieciak, który zawiódł rodziców.

Mimo obaw Sellitta pobieranie odcisków palców i fotografowanie zatrzymanego przebiegło bez problemów. Znow załóżono mu podwójne kajdanki na ręce i kajdany na nogi. Welles i Hank, potężny strażnik, chwycili Weira za ramiona i poprowadzili długim korytarzem do wind. Jedną z nich mieli wjechać na górę, na najlepiej zabezpieczone piętra.

Welles prowadziła tymi korytarzami setki zatrzymanych. Ani przez chwilę nie zwątpiła, że jest uodporniona na ich groźby, błagania i łzy. Ale w tej żalostnej, dziecinnej obietnicy, którą Weir złożył Łonowi Sellitcie było coś, co poruszyło ją do głębi. Może naprawdę był niewinny? Z całą pewnością nie wyglądał na mordercę.

Weir skrzywił się. Welles instynktownie rozluźniła palce, bardzo mocno zaciśnięte na jego ramieniu. Niemal w tej samej chwili aresztant jęknął i oparł się na niej całym ciężarem ciała.

Twarz miał skrzywioną z bólu.

Co jest? - spytał Hank.

Kurcze... boli... o Boże! - I aresztant z trudem wyszeptał:

- Kajdany!

Lewą nogę trzymał wyprostowaną. Była sztywna jak deska, mięśnie drżały.

- Rozkuć go? - spytał Hank.

Welles wahała się, ale po chwili powiedziała stanowczo: „Nie!”, po czym zwróciła się do Weira:

Położ się na boku. Zaraz się tym zajmę. - Dużo biegała, wie działa więc, co robić w wypadku kurczy. Uznała, że Weir nie uda-

!lei jego cierpienie wydawało się stuprocentowo prawdziwe, a mięśnie miał twarde jak skała.

O Jezu! - krzyczał z bólu. - Kajdany!

Powinniśmy je zdjąć - powtórzył Hank.

-

Nie ma mowy. Położ go. Już ja się tym zajmę.

Wspólnymi siłami ułożyli aresztanta na podłodze. Welles za dęła masować jego sztywną nogę.



Jej partner cofnął się o krok: 321

uważnie przyglądał się temu, co robiła. Nagle, zupełnie przypacz kowo, strażniczka podniosła wzrok i dostrzegła, że skute na ple. cach dłonie Weira przesunęły się na bok i że opuścił on luźne spodnie o kilka centymetrów. Wyprostowała się, dokładniej przyjrzała się zatrzymanemu. Zsunął bandaż z zewnętrznej części uda, a pod spodem... co to było, do jasnej cholery? Rozcięcie skóry?

W tej chwili dłoń Weira trafiła ją prosto w nos, miażdżąc chrząstkę. Ból był tak wielki, że oszołomił ją i odebrał jej głos.

Klucz! W maleńkim rozcięciu skóry na udzie, pod bandażem, Weir ukrył klucz lub wytrych!

Hank był szybki, ale Weir okazał się jeszcze szybszy. Nim strażnik zdołał wyciągnąć rękę, dostał łokciem w krtań; powoli osunął się na ziemię, chwycił za gardło, oddychał z największym trudem. Weir chwycił rękojeść pistoletu Welles i próbował wyrwać go z kabury.

Walczyła z nim z całej siły. Strażniczka próbowała krzyczeć, ale krew z rozbitego nosa spływała do gardła i zaczęła się dławić.

Nadal walcząc o broń, lewą ręką Weir rozkuł nogi z trzech par kajdan. Po czym obiema rękami zaczął wrywać jej glocka.

-

Ratunku! -Welles zakrztusiła się krwią. - Niech mi ktoś po może!

Weirowi udało się wyjąć broń z kabury, lecz strażniczka, która w tej chwili myślała wyłącznie o dzieciach, chwyciła go mocno za nadgarstki. Lufa wykonała obrót, minęła Hanka, który opadł na kolana, dławił się i próbował zwymiotować.

-

Pomocy! - krzyknęła. - Funkcjonariusz ranny! Ratunku!

Wszczęło się zamieszanie, drzwi na końcu korytarza otworzyły się, ktoś biegł w ich kierunku, ale korytarz wydał się jej długi na kilometry, a Weir coraz mocniej zaciskał dłoń na rękojeści glocka. Tarzali się po podłodze, patrząc sobie wprost w oczy z odległości kilku centymetrów, a lufa pistoletu powoli, lecz nieubłaganie zwracała się w jej stronę i w końcu znalazła się pomiędzy ich ciałami. Dysząc ciężko, Weir próbował

wcisnąć palec wskazujący pod osłonę spustu.

- Nie,

proszę... nie... nie...! - jęknęła strażniczka. Więzień uśmiechnął się okrutnie, widząc, jak Welles z przerażeniem wpatruje się w ciemny otwór lufy, pewna, że strzał nastąpi lada chwila.

Przed oczami Welles pojawił się obraz córki, ojca dziewczynki, jej własnej matki.

Nie ma, kurwa, mowy, pomyślała, wściekła. Oparła stopę o ścianę, odepchnęła się od niej mocno. Weir przeleciał nad jej głową, padł na wznak, a ona upadła na niego.

Pistolet wypalił z ogłuszającym hukiem. Odrzut szarpnął jej nadgarstkiem, na ścianie wykwitła wielka plama krwi.

Nie, nie, nie!

Boże, oby tylko nic nie stało się Hankowi.

W tym momencie zobaczyła, jak jej partner podnosi się z wysiłkiem. Nie, nie został

postrzelony. Sekundę później uświadomiła sobie, że nie musi już walczyć o pistolet; trzymała glocka w garści i nikt nie próbował go jej wyrwać. Poderwała się na równe nogi i drżąc odsunęła się od Weira.

O mój Boże...

Kula trafiła Ericka Weira w skroń, pozostawiając straszliwą ranę. Na przeciwległej ścianie widać było plamę krwi, mózgu i kości. Mag leżał na wznak, patrząc w sufit szeroko rozwartymi, zaszklonymi, nieruchomymi oczami. Krew z rany ściekała na podłogę.

Roztrzęsiona, zszokowana Welles krzyknęła ile sił w płucach: - O kurwa, patrzcie, co zrobiłam! O żeż ty...! Niech mu ktoś pomoże!

Nadbiegło kilkunastu strażników. Spojrzała na nich i ze zdumieniem stwierdziła, że zatrzymują się nagle, przyklękają, przyjmując pozycję defensywną. Westchnęła ze zdumienia.

Czyżby za jej plecami pojawił się morderca? Odwróciła się, lecz korytarz był pusty. Ale jej koledzy nadal klęczeli z uniesionymi rękoma. I krzyczeli. Ogłuszona hukami wystrzału przez chwilę nic nie słyszała.

- Jezu, Linda, pistolet! Schowaj pistolet! Patrz, gdzie mierzysz!

Linda Welles zdała sobie nagle sprawę z tego, że w panice wymachuje pistoletem, że mierzy w podłogę, w sufit... i w kolegów, że zachowuje się jak dziecko, które dostało w prezencie pistolet na wodę.

Co za lekkomyślność, pomyślała i roześmiała się śmiechem szaleńca. Schowała glocka do kabury. Poczowała przy tym, że coś twardego przyczepiło się do jej mundurowych spodni.

Oderwała to coś, co okazało się okrwawioną kością z czaszki Weira. „Och” - westchnęła zdziwiona, kiwając głową, i wybuchnęła szaleńczym śmiechem, jak 3ej córka, kiedy bawiły się w łaskotki. Splunęła na dłoń, zaczęła czyścić ją z krwi, ocierając o spodnie, coraz szybciej i coraz mocniej. Nagle przestała się śmiać. Upadła na kolana i rozszlochała się.

322

zkoda, że tego nie widziałaś, mamó. Oczarowałam ich, wiesz?

Kara siedziała na brzeżku krzesła, trzymając w dłoni kubek kawy ze Starbucks, letniej, niemal dokładnie w temperaturze ciała... na przykład ciała jej matki, różowego, świeżego, wyglądającego tak nieprawdopodobnie zdrowo.

- Przez

czterdzieści pięć minut miałam całą scenę dla siebie.

Jak ci się to podoba?

-Ty?

To słowo nie było częścią wyobrazonego dialogu. Mama była przytomna, a to jedno słowo powiedziała mocnym, donośnym głosem.

Ty?

Kara nie miała pojęcia, czego dotyczyło to pytanie. Mogło znaczyć: „O czym ty przed chwilą mówiłaś?”. Albo: „Kim ty jesteś, że wchodzisz do mojego pokoju i wygodnie rozpierasz się w krześle, jakbyśmy się znały?”. Albo: „Słyszałam kiedyś słowo «ty», ale nie wiem, co znaczy, a za bardzo się wstydzę, żeby zapytać. To ważne, wiem, ale nie pamiętam. Ty, ty, ty”.

Nagle matka spojrzała przez okno, na wijący się wokół niego powój i powiedziała:

-

Wszystko dobrze się skończyło. Jakoś przez to przebrnęli śmy.

Kara wiedziała, że kontynuowanie rozmowy z będącą w takim stanie matką może tylko doprowadzić do rozpaczki. Wypowiadane przez nią zdania w żaden sposób nie będą wiązały się ze sobą. Czasami mama gubiła nawet tok myśli, mówiła jedno zdanie, nie kończyła go i wówczas zapadała pełna zażenowania cisza.

Dlatego dziewczyna po prostu dalej opowiadała o swym występie i metamorfozach, których dokonała. A potem, z jeszcze większym zapałem, opowiedziała matce o tym, jak pomagała policji złapać mordercę.

Mama uniosła brwi, jakby rozpoznała córkę, a może zrozumiała jej słowa i serce Kary zabiło z nadzieją. Pochyliła się w stronę łóżka.

- Znalazłam formę do ciasta. Nie przypuszczałam, że kiedyś jeszcze ją zobaczę.

Głowa starszej pani opadła na poduszkę. Kara mocno zacisnęła dłonie w pięści. Oddychała szybko.

-

To ja, mamó. Ja! Królewskie Dziecko! Przecież mnie widzisz!

-Ty?

Niech to diabli\ Kara w milczeniu wściekała się na demona, który opanował ciało jej biednej matki, przygasił jej ducha. Zostaw ją w spokoju! Zwróć mi ją!

Cześć - powiedział od drzwi kobiecy głos, zaskakując dziewczynę. Przetarła łzy z policzków gestem tak zręcznym jak przy francuskiej sztuczce z monetami i dopiero potem się odwróciła.

Cześć - powiedziała do Amelii Sachs. - Udało ci się mnie wytropić.

- Jestem

policjantką. To mój zawód. - Amelia weszła do pokoju.

Niosła dwa kubki kawy ze Starbucks. Zerknęła na identyczny w dłoni Kary. - Przepraszam - powiedziała. - Zdaje się, że przy wiozłam piasek na Saharę.

Kara zgmiotła pusty kubek. Wrzuciła go do kosza, przyjęła prezent Amelii.

-

Przy mnie kofeina nigdy się nie zmarnuje - powiedziała i wypła łyk kawy. - Dzięki. Jak tam brunch?

-

Fantastyczny. Jaynene jest po prostu niesamowita. Thom za kochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Wyobraź sobie, że roz śmieszyła Lincolna!

- Rzeczywiście, ona tak właśnie działa na ludzi. Jest dobrą kobietą.

-

Zaraz po przedstawieniu Balzac zgarnął cię tak szybko, że nie zdążyliśmy ci odpowiednio podziękować. Przyszłam nadrobić to zaniedbanie. No i zaproponować, żebyś przysłała nam rachunek za swe usługi.

- Do

głowy by mi to nie przyszło. Od ciebie dowiedziałam się, co to kubańska kawa i to mi wystarczy za wynagrodzenie.

- Nie.

Powinniśmy ci zapłacić. Wystaw fakturę, wyślij do

me, a ja już dopilnuję, żeby dotarła do władz miasta.

- Byłam asem policji! - Kara roześmiała się. - No, to będzie o czym

opowiadać wnukom. Hej, słuchaj, cały wieczór mam wolny. Pan Balzac poszedł gdzieś z przyjacielem. Umówiłam się z kilkoma przyjaciółmi z SoHo. Zapraszam. Skorzystasz?

- Chętnie. Mogłybyśmy - Sachs spojrzała ponad ramieniem Kary. - Dzień dobry.  
Kara obejrzała się przez ramię. Matka przyglądała się poli-cjantce. Pochwyciła jej spojrzenie.

-  
W tej chwili ona nie rozumie, co się wokół niej dzieje próbowała tłumaczyć.

To było latem - odezwała się staruszka. -W czerwcu. Jestem tego prawie pewna. - Zamknęła oczy i opadła na poduszkę.

Chyba nie czuje się najlepiej?

To chwilowe. Z pewnością wkrótce się jej poprawi. Tylko czasami tak dziwnie się zachowuje. - Kara pogłaskała matkę po ramieniu. - A twoi rodzice? - spytała Amelię.

Przypuszczam, że ta historia wyda ci się znajoma. Ojciec nie żyje. Mama mieszka niedaleko, w Brooklynie. Trochę za blisko, żebyś czuła się z tym dobrze. Ale udało się nam... porozumieć.

Kara doskonale wiedziała, że „porozumienie” między matką i córką bywa na ogół bardziej skomplikowane niż najbardziej skomplikowany traktat międzynarodowy. Nie prosiła Amelii o wyjaśnienia. Nie dziś. Ta sprawa może poczekać.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk. Obie kobiety jednocześnie sięgnęły po pagery. Wygrała Sachs.

Wyłączyłam telefon komórkowy - wyjaśniła. - Przy wejściu jest znak zakazujący używania komórek. Mogę? - Wskazała telefon na stoliku.

Oczywiście, proszę.

Amelia podniosła słuchawkę. Wybrała numer. Kara wstała, poprawiła pościel na łóżku matki.

- Pamiętasz ten pensjonat, w którym zatrzymaliśmy się na noc? W Warwick? Blisko zamku? - spytała.

Pamiętasz? Powiedz mi, że pamiętasz!

-  
Rhyme? To ja - usłyszała głos Amelii.

Jednostronna rozmowa Kary z matką skończyła się kilka sekund później, gdy dziewczyna usłyszała wypowiedziane ostrym tonem słowa: „Co? Kiedy?”.

Dziewczyna spojrzała na policjantkę, marszcząc brwi. Amelia potrząsnęła głową.

- Będę za chwilę. Tak, jest ze mną. Powiem jej. - Odłożyła słuchawkę.

O co chodzi? - spytała Kara.

Wygląda na to, że dziś nie dam rady bawić się razem z wami, dziewczynami. Przegapiliśmy klucz albo wytrych. Jakimś cudem w areszcie męskim Weir otworzył kajdanki i próbował odebrać broń któremuś ze strażników. Zginął.

-  
O mój Boże! - szepnęła zaskoczona dziewczyna.

Amelia podeszła do drzwi.

- Muszę zbadać miejsce przestępstwa. - Zatrzymała się, spoj rzała na Karę. -Wiesz, od początku obawiałam się, że pozostawie nie go pod strażą aż do procesu spowoduje więcej problemów, niż rozwiąże. Okazał się za sprytny. Istnieje jednak jakaś sprawiedliwość. Aha! Jakąkolwiek sumę miałaś zamiar wypisać na rachunek, możesz ją spokojnie podwoić.

-  
Constable ma dla was pewne informacje - powiedział suchy głos w słuchawce.

- Bawił się w detektywa, co? - spytał kpiąco Charles Grady.

Kpiąco, lecz nie sarkastycznie. Prokurator nie miał nic przeciwko Josephowi Rothowi, obrońcy, który mimo że reprezentował szumowiny, nigdy nie uświł się w bagnie, naturalnym środowisku jego klientów, a do policjantów i prokuratorów odnosił się z należnym szacunkiem. Grady traktował go tak, jak sam był traktowany.

-1 owszem. Zadzwoił pod kilka numerów w Canton Falls, ostro postraszył paru członków Stowarzyszenia Patriotycznego, więc to i owo sprawdzili dla niego bardzo szybko. Wygląda na to, że niektórzy byli działacze organizacji zesłi na psy.

Jacy? Barnes? Stemple?

A tego to mi już nie powiedział. Wiem tylko, że cholernie się wkurzył. W kółko powtarzał „Judas, Judasz, Judasz”.

Grady nie potrafił wzbudzić w sobie sympatii dla Constable'a. Wszedł między wrony, niechaj kracze jak i one.

-

Chyba nie marzy, że wypuszczę go czyściutkiego i świeżutkiego jak niemowlę.

Z całą pewnością nie, Charles.

Wiesz o śmierci Weira?

Owszem. I wiesz, Andy ucieszył się, kiedy mu o tym powie działem. Jestem całkiem pewien, że nie miał nic wspólnego z atakami na ciebie i twoją rodzinę.

327

Grady nie przejmował się opiniami obrońców, nawet tak uczciwych i szczerych jak Roth.

Więc ma przyzwoite, solidne informacje? - spytał.

Tak, ma.

Prokurator uwierzył Rothowi. Adwokat należał do tych ludzi których po prostu nie sposób oszukać. Jeśli twierdził, że Constable jest gotów sprzedać swych ludzi, to był gotów sprzedać swoich ludzi. Czy da się z tego złożyć sprawę, to oczywiście zupełnie inna rzecz. Ale... jeśli Constable zna fakty, jeśli miejscowi gliniarze nie spaprzą dochodzenia i aresztowania, to zapewne uda mu się wsadzić winnego za kratki. Grady miał też zamiar dopilnować, by badaniem dowodów zajął się Lincoln Rhyme.

Sam prokurator przyjął wiadomość o śmierci Weira z mieszanymi uczuciami. Publicznie wyraził niepokój i obiecał oficjalne śledztwo w sprawie strzelaniny w areszcie, prywatnie był

zachwycony tym, że ten człowiek wreszcie zniknął z tego świata. Nadal odczuwał skutki wstrząsu i niepohamowany gniew wywołany faktem, że Weir potrafił tak po prostu wejść do jego mieszkania, że zagroził nie tylko jemu, lecz także jego żonie i córce. Z żalem spojrział na kieliszek wina. Bardzo pragnął je wypić, ale wiedział, że przeprowadzona przed chwilą rozmowa telefoniczna wyklucza picie alkoholu, przynajmniej przez jakiś czas. Sprawa Constable'a była tak ważna, że musiał nad nią pracować, będąc w pełni swych intelektualnych możliwości.

- Chce

porozmawiać z tobą w cztery oczy - powiedział Roth.

To wino... Grgich Hills Cabernet Samdgnon. Rocznic 1997.

Wspaniała winnica, wspaniały rocznik.

- Kiedy

najwcześniej możesz być w areszcie? - spytał adwokata.

- Za pół godziny. Już wyjeżdżam.

Grady odłożył słuchawkę.

- Mam dobrą wiadomość. Nie będzie procesu! - zawołał do żony.

Luis, policjant o stalowych oczach, jedyny, który mu pozostał - po śmierci Weira Lon Sellitto zredukował obstawę prokuratora do jednej osoby - oznajmił: Jadę z tobą.

Nie. Zostań tu, bardzo cię proszę. Pilnuj żony i córki.

Jeśli to jest dobra nowina, to jaka jest zła, kochanie? - spytała

żona Grady'ego, wchodząc do pokoju.

Nie będzie mnie na kolacji. - Prokurator zjadł kilka krakersów Goldfish. Popił je wielkim łykiem doskonałego wina. Niech to diabli, pomyślał. W końcu mamy powód do świętowania.

Mocno poturbowany żółty camaro SS Amelii przystanął naprzeciw Centre Street 100. Amelia położyła na desce rozdzielczej przepustkę nowojorskiej policji i wysiadła. Skinęła głową technikowi badania miejsca przestępstwa, stojącemu przy ruchomym laboratorium.

Gdzie to się stało? - spytała.

Na parterze z tyłu. W korytarzu do sali zatrzymań.

Miejsce zamknięte?

-Tak.

-

Z czyjej broni strzelano?

-

Lindy Welles. Strażniczki. Mocno to nią wstrząsnęło. Sukin syn złamał jej nos.

Sachs wyjęła jedną z walizek, przywiązała ją do wózka na kółkach i poszła w stronę frontowego wejścia do budynku sądów kryminalnych. Za nią ruszyli technicy.

Nie powinno być problemów, pomyślała policjantka. Przypadkowa strzelanina pomiędzy funkcjonariuszem na służbie i próbującym uciec aresztowanym przestępcą. Rutynowe badanie. Niemniej doszło do zabójstwa, a to wymagało pełnego raportu z miejsca przestępstwa dla powołanej przez policję komisji do badania wypadków z użyciem broni, śledztwa oraz ewentualnych spraw sądowych. Sachs miała zamiar wykonać swą pracę tak starannie jak zawsze.

Strażnik sprawdził jej identyfikator i poprowadził zespół labiryntem korytarzy do piwnicy gmachu sądów. Podeszli wreszcie do zamkniętych drzwi, na które naklejona była policyjna taśma. Obok stał detektyw policji rozmawiający z umundurowaną strażniczką z nosem wypchanym serwetkami i zabandażowanym.

Amelia przedstawiła się i wyjaśniła, że ma przeprowadzić badanie miejsca przestępstwa.

Policjant skinął głową i odsunął się, dając jej okazję do rozmowy z funkcjonariuszką Welles.

Słumionym, nosowym głosem strażniczka wyjaśniła, że podejrzanemu udało się jakimś cudem uwolnić z kajdanków.

- Zabrało mu to dwie, może trzy sekundy - mówiła. - Zdjął wszystkie. Otworzyły się tak, jakby w ogóle nie były zamknięte. Przecież nie zabrał mi kluczy. - Wskazała kieszeń na piersi mundurowej

bluzy, w której je zapewne trzymała. - Klucz, wytrych czy coś takiego ukrył w nodze.

329

Jak to? - Amelia zmarszczyła brwi. Pamiętała, jak dokładnie przeszukali Weira.

No, w nodze. Sama zobaczysz. - Skinieniem głowy wskazała korytarz, na którym leżały zwłoki Weira. - W rozcięciu skóry, pod bandażem. Wszystko zdarzyło się tak szybko!

Zapewne sam rozciął skórę i pod nią schował narzędzia, pomyślała Sachs. Obrzydliwe.

- Nagle

złapał mój pistolet. Zaczęliśmy o niego walczyć, no

i nagle wypalił. Nie zamierzałam strzelać. Naprawdę. Po prostu... po prostu chciałam zachować kontrolę nad bronią. Wypali-

ła... nagle.

Zachować kontrolę... nagle wypaliła... Tylko słowa, żargon gliniarzy, zapewne budowała z nich mur, barierę przeciw poczuciu winy. Nie miało to nic wspólnego ze śmiercią aresztanta, z tym, że jej życie było zagrożone, że Weirowi udało się zmylić kilkunastu funkcjonariuszy, nie. Chodziło tylko o to, że wypadek przydarzył się jej! Pracujące w nowojorskiej policji kobiety wysoko ustawiały sobie poprzeczkę i jeśli spadały, ich upadek był znacznie groźniejszy niż mężczyźn.

Ujęliśmy go i natychmiast przeszukaliśmy - powiedziała ła godnie Amelia. - Niczego nie zauważyliśmy.

Pewnie - powiedziała cicho strażniczka. - Ale to i tak musi wyjść.

Chodziło jej o przesłuchanie przed komisją. Miała rację. Musiało wyjść.

No cóż, postanowiła Sachs. Zrobię, co w mojej mocy, zbadam miejsce przestępstwa jak najlepiej umiem i napiszę raport tak, by pomóc jej w miarę możliwości.

Welles delikatnie dotknęła złamanego nosa.

-

O cholera, jak boli! - Po policzkach pociekły jej łzy. - Co na to powiedzą moje dzieciaki? Ile razy pytały mnie, czy mam nie bezpieczną pracę. Odpowiadałam, że nie. A teraz...

Sachs włożyła gumowe rękawiczki i poprosiła Linde o oddanie broni. Wzięła glocka, wysunęła magazynek i wyrzuciła nabój z komory. Wszystko razem umieściła w plastikowej torbie. Po czym, przypominając sobie, że już prawie jest sierżantem, powiedziała:

- Możesz wziąć wolne, wiesz?

Welles nie zwracała na nią uwagi.

-

Po prostu wypalił - powtórzyła zduszonym głosem. - Ja tego nie chciałam. - Nie chciałam nikogo zabić.

330

Linda? Możesz wziąć wolne. Tydzień, dziesięć dni.

Naprawdę?

Porozmawiaj ze swoim komendantem.

Jasne. Oczywiście. To świetnie. - Linda Welles podeszła do sanitariusza, rozmawiającego z jej partnerem, który oprócz wielkiego siniaka na szyi wydawał się nietknięty.

Technicy do badania miejsca przestępstwa rozstawili sprzęt pod zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi na korytarz, w którym doszło do strzelaniny. Amelia otworzyła walizkę, wyjęła środki do badania miejsca przestępstwa, ułożyła je porządknie, ustawiła kamerę wideo i aparaty

fotograficzne. Przebrała się w biały kombinezon, założyła gumowe opaski na stopy.

Doczepiła mikrofon, poprosiła o radiowe połączenie z telefonem Rhyme'a. Następnie zerwała policyjną taśmę, otworzyła drzwi. Myślała przy tym: rozciął skórę, by schować wytrychy i klucze do kajdanek? Ze wszystkich przestępców, których udało się wytropić jej i Rhy-me'owi, Mag był z pewnością...

O, cholera! - powiedziała głośno.

I ja witam cię z prawdziwą przyjemnością, Sachs - rozległ

się w słuchawkach zgryźliwy głos kryminalistyka. - No, przynajmniej mam nadzieję, że to ty.

Ledwie cię słyszę przez te szумы.

Nie wierzę własnym oczom, Rhyme. Patolog zabrał ciało, nim zdążyłam je zbadać! -Amelia ze zdumieniem wpatrywała się w korytarz pokryty plamami krwi... lecz pusty.

-

Co? - warknął Rhyme. - Kto do tego dopuścił?!

Na miejsce przestępstwa personel medyczny dopuszczano pierwszy tylko wówczas, gdy ktoś został ranny. Jednak w razie zabójstwa ciała nie wolno było poruszyć nikomu, łącznie z dyżurnym lekarzem patologiem, przed zbadaniem go przez ekipę kryminalistyczną.

Traktowano to jako oczywistość; kariera tego, kto pozwolił zabrać ciało Maga, wisiała w tej chwili na włosku.

Masz problem, Amelio? - zawołał od drzwi jeden z techników.

Tylko popatrz - odparła gniewnie, wskazując korytarz. - Pa tołodzy zabrali ciało, nim zdążyliśmy je zbadać!

Ostrzyżony na jeża technik zmarszczył brwi. Spojrzał na kolegę i powiedział:

-

No... bo... dyżurny lekarz czeka na zewnątrz. Rozmawialiśmy z nim, kiedy przyjechałaś. Może pamiętasz, karmił gołębie. Cze kał, aż skończymy, żeby zabrać ciało.

- Co

się dzieje? - warknął Rhyme. - Słyszę jakieś głosy.

331

Ekipa patologa czeka na ulicy, Rhyme - powiedziała cicho Amelia Sachs. - Wygląda na to, że to nie oni zabrali ciało. Co...?

O Jezu Chryste, nie!

Sachs zadrżała, niczym na mrozie.

Rhyme, nie sądzisz chyba...

Co widzisz? Jak wyglądają plamy krwi?

Natychmiast podbiegła na miejsce, dokładnie obejrzała plamy krwi.

O, nie! Nie wygląda to wcale na ślady po ranie z broni palnej!

Tkanka.mózgowa, kości?

Szara tkanka, owszem. Ale ona też wygląda nie tak. Widzę kawałki kości.

- Zrób

wstępny test krwi. Będziemy mieli jakąś wskazówkę.

Amelia wróciła pod drzwi.

-

Co jest? - próbował dowiedzieć się jeden z techników, umilkł jednak, widząc, jak Amelia



gorączkowo grzebie w jednej z walizek.

Znalazła zestaw do katalitycznego testu krwi Kastle-Meyera, wróciła na miejsce przestępstwa, zebrała próbkę ze ściany korytarza. Dodała do niej fenoloftaleiny; odpowiedź otrzymała po kilku sekundach.

Nie wiem, co to jest - powiedziała do mikrofonu - ale z pewnością nie krew. - Spojrzała na rdzawoczerwone plamy na podłogę. One przynajmniej wyglądały na prawdziwe. Sprawdziła próbkę ze skutkiem pozytywnym. Dopiero teraz zauważyła leżącą w kącie brzytwę.

Chryste, Rhyme, wszystko tu jest lewe! Weir pociął się gdzieś, upuścił sobie trochę prawdziwej krwi, oszukał strażników.

-Aż zadrżała, wyobrażając sobie, co rzeczywiście zrobił Weir.

Wezwij ochronę. Niech zamkną wszystkie wyjścia.

Mamy ucieczkę! Zablokować wyjścia! - krzyknęła Sachs.

Detektyw wybiegł na korytarz... i zmarł, gapiąc się na podłogę. Linda Welles deptała mu po piętach, równie zdumiona. Chwila ulgi spowodowana świadomością, że nie zabiła człowieka, niemal natychmiast ustąpiła grozie wywołanej świadomością tego, co się naprawdę stało.

- Nie!

Przecież on tu leżał. Z otwartymi oczami. Wyglądał jak martwy! - krzyknęła piskliwym, zrozpaczonym głosem. - To zna czy, miał głowę... całą we krwi! Przecież widziałam... widziałam ranę!

Widziałaś iluzję rany, pomyślała z goryczą Sachs.

- Zawiadomili

strażników przy wszystkich wyjściach! - krzyk

nał detektyw. Tylko że, Chryste, ten korytarz nie jest zamknięty!

Gdy tylko zamknęliśmy drzwi wejściowe, mógł pójść, gdzie mu się podoba! Pewnie właśnie kradnie samochód albo jedzie me trem do Queens!

Amelia Sachs zaczęła wydawać rozkazy. Być może ten detektyw przewyższał ją stopniem, ale ucieczka tak nim wstrząsnęła, że do głowy mu nie przyszło kwestionować jej polecenia.

Wystawcie list gończy. Do wszystkich jednostek miejskich, federalnych i stanowych, także MTA. Imię i nazwisko: Erick Weir.

Biały. Lat - pięćdziesiąt kilka. Zdjęcie jest na formularzu zatrzymania.

Co miał na sobie? - spytał Linde Welles policjant. Po nara dzie z partnerem zdobyli pewne szczegóły stroju.

Amelia Sachs uznała, że strój nie ma żadnego znaczenia. Mag z pewnością zdążył się już przebrać i teraz wygląda zupełnie inaczej. Z miejsca, gdzie stała, rozchodziły się cztery mroczne korytarze. Na końcach tych korytarzy widziała spore grupy ludzi: strażników, dozorców, gliniarzy... Czy był wśród nich przebrany Erick Weir?

Na razie jednak zostawiła tę sprawę detektywowi. Miała mnóstwo do zrobienia. Zbadanie tego miejsca przestępstwa miało być zwykłą formalnością, a stało się teraz kwestią życia i śmierci.

Malerick ostrożnie przemierzał piwnice aresztu męskiego. Przypominał sobie szczegóły ucieczki; w myśli zwrócił się do swej widowni.

Szacowni widzowie, pozwólcie, że zdradzę wam pewien trik związany z zawodem iluzjonisty.

By naprawdę oszukać widownię, nie wystarczy odwrócić jej uwagi na czas wykonywania sztuczki. A to dlatego, że umysł ludzki, gdy styka się ze zjawiskiem niedającym się logicznie

wy tłumaczyć, wraca do niego później i stara się zrozumieć, co się właściwie stało. My, iluzjonis'ci, nazywamy to „rekonstrukcją” i jeśli nie wykonamy sztuczki odpowiednio dobrze, inteligentny, podejrzliwy widz da się zmylić za ledwie na chwilę, ale po zakończeniu przedstawienia odkryje jednak naszą metodę.

Pytacie, szacowni widzowie, w jaki sposób oszukujemy tym razem widownię?

Używamy najmniej prawdopodobnej dostępnej nam metody: albo absurdalnie prostej, albo wręcz oszałamiająco skomplikowanej.

Pozwolę sobie podać przykład: wielki i słynny iluzjonista przesuwając pióro przez chusteczkę. Widzowie rzadko domyślają się, jak pióro przenika przez tkaninę. Nie widzą metody, a z pewnością chcieliby ją znać. Bo że przenika, nie ma żadnych wątpliwości. Czy w chustce jest dziura? Niektórzy widzowie z pewnością się nad tym zastanawiają, ale szybko odrzucają ten pomysł. Uznają, że jest zbyt prosty dla takiego słynnego artysty. Wolą uznać, że osiąga efekt znacznie bardziej skomplikowaną metodą.

A oto inny przykład. Iluzjonista umówił się z przyjaciółmi na kolację w restauracji.

Poproszono go, by przedstawił kilka sztuczek-

334

początkowo protestował, ale w końcu się zgodził. Poprosił kelnera o zapasowy obrus, osłonił nim stół, przy którym siedziała zakochana para, a następnie zniknęła ona w niespełną sekundę.

Jego przyjaciele oczywiście są niesłychanie zdumieni. Jak to możliwe? Żadnemu z nich do głowy nie przyjdzie, że iluzjonista spodziewał się zaproszenia do występu i wcześniej załatwił

ustawienie w sąsiedztwie składanego stolika, a także wynajął aktorów, grających zakochaną parę.

Przygotowani do występu, znikli, gdy iluzjonista zasłonił ich stół.

Rekonstruując występ z pamięci, widzowie odrzucili to wyjaśnienie jako zbyt skomplikowane na improwizowane przedstawienie.

A tak właśnie było przy tej sztuczce, której świadkami byliście przed chwilą, szacowni widzowie, a którą nazywam „Zastrzelonym więźniem”.

Rekonstrukcja. Wielu iluzjonistów zapomina o tym psychologicznym procesie. Ale Malerick nigdy o nim nie zapominał. I wziął go pod uwagę, planując ucieczkę z aresztu. Strażnicy prowadzący go korytarzem do celu byli pewni, że widzieli, jak zatrzymany uwalnia się z kajdanek, chwytając broń i, postrzelony, umiera na podłodze pod ich nogami.

Byli przerażeni, skonsternowani, można nawet powiedzieć, że doznali szoku. Lecz nawet w tak dramatycznych momentach ludzki umysł robi to, do czego został stworzony, i zanim jeszcze rozwiął się dym, Linda oraz jej partner już analizowali to, co się stało, rozważali możliwości, podejmowali decyzje. Jak wszyscy widzowie, strażnicy także dokonali rekonstrukcji i wiedząc, że Erick Weir jest utalentowanym iluzjonistą, bez wątpliwości zastanawiali się, czy sama strzelanina nie została przypadkiem sfiingowana.

Ale słyszeli strzał z prawdziwej broni, a z jej lufy wyleciała prawdziwa kula. Na własne oczy widzieli, jak pęka czaszka Wei-ra, widzieli bezwładne ciało, wpatrzone w sufit martwym wzrokiem, leżące na podłodze w kałuży krwi, tkanki mózgowej i odpryskach kości.

Rekonstrukcja doprowadziła do oczywistego wniosku: nieprawdopodobne, by ktoś posunął aż tak daleko tylko po to, by sfiingować strzelaninę. Tak więc, pewni, że mają trupa, pozostawili go samego, nieskrępowanego, a sami poszli gdzieś rozmawiać Przez te swoje radionadajniki i telefony.

A moja metoda, szacowni widzowie?

Prowadzony przez policjantów Malerick już w korytarzu nałożył gumowe rękawiczki, które wyjął z kieszeni Lindy Welles. Następnie odkleił bandaż na udzie i z małego nacięcia na skórze wyjął uniwersalny klucz do kajdanek. Gdy tylko miał swobodę ruchów, strażniczkę uderzył w twarz, a jej partnera w gardło, po czym wyrwał glocka z kabury. Musiał walczyć, lecz w końcu udało mu się skierować lufę... obok głowy. I dopiero wówczas pociągnął za spust. Jednocześnie odpalił zapalnik małej petardy, przyklejonej na głowie, do wygolonego miejsca pod włosami, wysadzając niewielki pęcherz wypełniony fałszywą krwią, kawałkami szarej gumy i odłamkami krowiej kości. Celem urealistycznienia obrazu ukrytą żyłką naciął

skórę na głowie; nawet drobne rany głowy krwawią obficie bez dojmującego bólu.

Upadł na podłogę niczym bezwładna lalka. Oddychał płytko. Oczy miał otwarte dzięki kleistym kroplom, dzięki nim też wydawały się szklane, a poza tym pozwalały nie mrugać przez dłuższy czas.

O kurwa, patrzcie, co zrobiłam! O żeż ty...! Niech mu ktoś pomoże!

Och, funkcjonariuszko Welles, było już o wiele za późno, żeby mi pomóc.

Byłem martwy jak jeleń uderzony przez ciężarówkę.

Erick Weir szedł teraz wijącymi się korytarzami w trzewiach gmachu sądu do znajdującego się w piwnicy schowka na środki czystości, gdzie już wcześniej ukrył konieczne do ucieczki przebranie. W małym pokoiku przebrał się, upchnął za wielkimi pudłami niepotrzebne już rekwizyty - pozostałości po „ranie”, ubranie. Przebranie się, nałożenie odpowiedniego makijażu i wejście w nową rolę zajęło mu niespełna dziesięć sekund.

Ostrożnie wyjrzał na korytarz - pusto. Szybko poszedł w stronę schodów. Zbliżał się czas finału.

- To

było wyjście - orzekła Kara.

Zaledwie kilka chwil temu dziewczynę przywieziono do domu Rhyme'a wprost z Stuyvesant Manor.

Wyjście? - zdziwił się kryminalistyk. - Co to takiego?

Plan alternatywny. Wszyscy dobrzy iluzjoniści mają jeden lub dwa na każdą sztuczkę. Jeśli zdarzy ci się coś sparać i widzo wie się zorientują, masz jeszcze sposób, żeby jakoś się uratować. Domyślił się jakoś, że może być złapany, więc zabezpieczył sobie drogę ucieczki.

336

Tylko jak?

Petarda i pęcherz wypełniony krwią, ukryty we włosach.

Strzał? Może był to lewy pistolet? Większość sztuczek typu łapa nia kuli opiera się na fałszywkach, lewej broni. Druga lufa na przykład. Albo ładowanie ślepych pocisków. Mógł nawet pod mienić pistolet tej biednej strażniczce, która prowadziła go do celi.

-

Bardzo w to wątpię. - Rhyme spojrział na Łona Sellitta. Tęgi detektyw, jak zwykle w pogniecionym garniturze, chętnie się z nim zgodził.

Jasne. Nie widzę, jakim cudem mógłby zamienić służbową broń Welles albo wymienić ostre naboje na ślepaki.

Ale mógł udać, że się postrzelił - powiedziała spokojnie Kara. - Zagrać jednym strzałem.

Co z oczami? - spytał Rhyme. - Świadkowie twierdzą, że były otwarte. Nawet nie mrugnął. I były zamglone.

Mamy dziesiątki fałszywek pozwalających nam udawać trupy. Mógł na przykład użyć kropli do oczu nawilżających gałkę

oczną. Dzięki niej można nie mrugać nawet przez dziesięć, piętnaście minut. Istnieją także samonawilżające się soczewki kontaktowe. Powodują, że oczy wydają się zamglone, jak u żywych trupów.

Zombi i fałszywa krew... Chryste, co za bajzel!

Jak przeszedł przez tę cholerną bramkę do wykrywania me talu?

W korytarzu prowadzącym do cel jeszcze ich nie ma - wyjaśnił

Sellitto. - A oni szli właśnie do cel.

Rhyme westchnął. Bardzo szybko zaczynało mu brakować cierpliwości.

-

Gdzie mamy dowody, do cholery? - warknął. Spojrzał nieprzyjaźnie na Mela Coopera, jak gdyby niepozorny, szczupły technik mógł zmaterializować gońca z aresztu. Okazało się, że mają tam do przebadania dwa miejsca: korytarz, w którym do szło do strzelaniny, i piwnicę, schowek na środki czystości. Jedna z ekip przeszukujących areszt znalazła elementy fałszywej rany, ubrania i jeszcze kilka interesujących rekwizytów.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Thom poszedł wpuścić gościa i chwilę później w laboratorium pojawił się Roland Bell.

- Nie wierzę - wydyszał. Pocił się, włosy miał zmierzwiłone. ~ Czy to sprawdzona wiadomość? Czy naprawdę udało mu się zwiać?

337

Tak - burknął wściekły Rhyme. - Technicy przeczesują e nę, na miejscu jest także Amelia. Ale nie znaleźli żadnych tro pów.

Być może wieje gdzie pieprz rośnie - powiedział powoli Bell-jego południowy akcent stał się nagle bardzo wyraźny - ale mo im zdaniem trzeba przenieść rodzinę Gradych do bezpiecznego domu. Niech tam siedzą, póki nie zorientujemy się co i jak.

- Oczywiście - Sellitto zgodził się z nim natychmiast.

Bell wyciągnął telefon komórkowy.

-

Luis? Tu Roland. Słuchaj mnie uważnie. Weir uciekł... nie, nie, wcale nie zginął, tylko udawał. Chcę, żeby Grady z rodziną natychmiast przeniósł się do bezpiecznego domu. Ma tam sie dzieć, póki nie dorwiemy faceta. Wysyłam... co?!

To jedno zdumione pytanie, wypowiedziane podniesionym głosem, spowodowało, że wszyscy zgromadzeni w laboratorium nagle zamarli i wpatrzyli się w detektywa.

-

Kto jest z nim?... Sam?! Co ty mi tu opowiadasz?

Rhyme z napięciem przyglądał się Bellowi, na jego tak zazwyczaj pogodnej, spokojnej twarzy pojawił dziwny wyraz strachu. Jeszcze raz, nie pierwszy, Rhyme miał dziwne wrażenie, że choć dziejących się wydarzeń pozornie nie sposób było przewidzieć, to rozwijają się w logiczny, spójny ciąg, jakby ktoś już dawno je zaplanował.

Roland Bell zwrócił się do Sellitta.

Luis twierdzi, że dzwoniłeś i zwolniłeś ochronę.

Do kogo dzwoniłem?

Do domu Grady'ego. Miałeś powiedzieć Luisowi, że zwał niasz wszystkich naszych ludzi oprócz niego.

A niby czemu miałbym to zrobić? - zdumiał się tęgi detek tyw. - O kurwa, to znowu on! Odesłał do domu ochronę, zupełnie jak tych gliniarzy pod cyrkiem!

Jest jeszcze gorzej - oznajmił wszystkim obecnym Bell.

- Grady pojechał do śródmieścia. Sam. Ma spotkać się z Constable'em, który chce zawrzeć układ: zwolnienie od oskarżenia w za mian za informacje. - Luis, trzymaj się jak najbliżej rodziny-I dzwoni do wszystkich członków zespołu. Mają wrócić natych miast. Nie wpuszczaj do mieszkania nikogo z wyjątkiem tych, których znasz osobiście. Ja spróbuję znaleźć Chrlesa.

Przerwał rozmowę i natychmiast zadzwonił pod inny numer.

-

Nie odpowiada - powiedział głośno i nagrał się na pocztę głosową: „Charles, tu Roland. Weir uciekł, nie mamy pojęcia gdzie jest i co zamierza. Gdy tylko odbierzesz moją wiadomość, zjap najbliższego znanego ci osobiście uzbrojonego funkcjonariusza, zostań przy nim i zadzwoń do mnie”.

Podał numer, a następnie ponownie zadzwonił, tym razem do go Haumanna, szefa służb ratowniczych, z informacją, że Grady jedzie do aresztu sam, bez ochrony. Wreszcie schował telefon.

Trafiliśmy Panu Bogu w okno - powiedział Sellitto, potrząsa jąc głową. - No dobra, powiedzcie mi teraz, co robi nasz chło piec.

Jedno wiem z całą pewnością - odparł Rhyme. - Nie wyje dzie z miasta. Za dobrze się bawi.

Przez całe życie tylko jedna rzecz miała dla mnie jakieś znaczenie: występ na scenie.

Euzja... magia...

- Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

Strażnika wyraźnie zaskoczyły wyjątkowo uprzejme słowa Andrew Constable'a, którego wprowadzał do sali przesłuchań Grobowców na dolnym Manhattanie.

Więzień uśmiechał się niczym kaznodzieja, dziękujący parafianom za datki. Strażnik zdjął kajdanki, skuwające mu ręce za plecami, i natychmiast założył je ponownie z przodu.

Czy pan Roth już jest?

Siadaj i zamknij się.

Oczywiście. - Constable usiadł posłusznie.

Zamknij się!

Znowu okazał się posłuszny.

Strażnik wyszedł. Andrew Constable, pozostawiony sam sobie, wyjrzał przez brudne okno, za którym widać było miasto. W głębi duszy był prowincjuszem, ale umiał polubić i docenić Nowy Jork. Jedenastego września zdziwił się jak wszyscy, ale jednocześnie był naprawdę wściekły. Gdyby Ameryka przyjęła sposób myślenia Stowarzyszenia Patriotycznego, nigdy by do tego nie doszło, a ludzie nienawidzący amerykańskiego stylu życia, życzący jego ojczyźnie zagłady, nie chodziliby spokojnie po

ulicach.

Trudne pytania...

Chwilę później otworzyły się ciężkie metalowe drzwi. Strażnik Wpuścił do sali Josepha Rotha.

Cześć, Joe. Grady zgodził się negocjować?

Tak. Powinien przyjechać za jakieś dziesięć minut. Ale bę dziesz musiał dać mu coś konkretnego,

Andrew.

339

Dam, oczywiście. - Więzień westchnął ciężko. - Po naszej ostatniej rozmowie dowiedziałem się jeszcze kilku ciekawych rzeczy. Wiesz, Joseph, serce boli mnie na myśl o tym, co dzieje się w Canton Falls. A zaczęło się pod moim nosem, może z rok temu.

Ta historia, której czepiał się Grady, z zabijaniem policjantów...

myślałem, że to kompletny nonsens, ale nie. Niektórzy rzeczywiście planowali tę bzdurę.

Masz nazwiska? - zainteresował się natychmiast Roth.

Pewnie, że mam. Nazwiska przyjaciół. Dobrych przyjaciół.

Przynajmniej kiedyś. A jeśli chodzi o lunch w Riverside Inn, to kilku ludzi ze stowarzyszenia rzeczywiście wynajęło tego Weira do zabicia Grady'ego. Mam nazwiska, daty, miejsca, numery telefonów. I będę miał więcej. Większość patriotów będzie ze mną współpracować aż do końca. Są lojalni. Nie martw się.

Doskonale. -Widać było, że Rothowi spadł kamień z serca. -

Jestem pewien, że Grady będzie się ostro stawiał, przynajmniej na początku. Ale na pewno wszystko się jakoś ułoży.

Dziękuję, Joe. - Constable spojrzał w oczy swojego obrońcy.

- Cieszę się, że to właśnie ciebie zatrudniłem.

Muszę powiedzieć, Andrew, że cholernie mnie zaskoczyłeś.

Żebyś ty wziął sobie na adwokata Żyda? No wiesz, mówiło się o tobie sporo różnych rzeczy.

Ale potem lepiej mnie poznałeś?

Tak. Potem lepiej cię poznałem.

O czymś mi przypomniałeś, Joe. Kiedy jest pascha?

-Co?

No, to wasze święto. Kiedy je obchodzicie?

Obchodziliśmy ją przed tygodniem. Wtedy, kiedy wysze dłem wcześniej. Pamiętasz?

Tak, pamiętam. A co wówczas świętujecie?

Ocalenie Żydów, kiedy zginęli wszyscy pierworodni Egipcja nie. Bóg uchronił swych synów.

Aha. Bo ja myślałem, że przekroczenie egipskiej granicy, no, coś takiego jak przejście przez Morze Czerwone.

Nie. Ale to też dobra okazja, żeby świętować.

W każdym razie przykro mi, że nie złożyłem ci odpowiednich życzeń.

Doceniam to, Andrew. - Adwokat spojrzał swemu klientowi wprost w oczy. - Jeśli wszystko pójdzie jak powinno, może przy szedłbyś z żoną do nas, na seder. To uroczysta kolacja. Zawsze gościmy jakieś piętnaście osób, nie tylko Żydów. Dobrze się bawimy-340

Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie. - Mężczyźni wy mienili uścisk dłoni.

No, to mamy kolejny powód, żeby mnie stąd wyciągnąć. Za bierajmy się do roboty. Przypomnij mi wszystkie oskarżenia i po wiedz, jak twoim zdaniem możemy skłonić Grady'ego do współpracy. - Constable przeciągnął się. Dobrze jest mieć ręce przed sobą i wolne nogi. Tak dobrze, że tylko go rozbawiła odczytywana przez adwokata długa lista powodów, dla których prawomyślni obywatele stanu Nowy Jork uznali za konieczne go izolować.

Nudny monolog przerwał chwilę później strażnik. Wywołał praw nika na korytarz na krótką rozmowę. Kiedy Roth wrócił, był wy raźnie zaniepokojony.

Mamy tu siedzieć i na razie nigdzie się nie ruszać. Weir uciekł. Jest gdzieś w budynku.

Tu? - zdziwił się Constable.

-Tak.

Czy Grady jest bezpieczny?

Nie wiem. Ale zakładam, że ma ochronę.

Więzień westchnął ciężko.

Wiesz, na kim się to wszystko skrupi? Na mnie, oczywiście.

Mam dość. Do szalu doprowadza mnie całe to gówno! Chce mi się rzygać! Sam się dowiem, gdzie jest Weir i co planuje.

Ty? Jak?

Zwrócę się do wszystkich w Canton Falls, którzy jeszcze mnie słuchają, i każę im tropić Barnesa. Może uda im się go przekonać, żeby powiedział nam, gdzie jest ten Weir i co planuje.

I te słowa także zaniepokoiły prawnika.

Chwileczkę, Andrew. Chyba nie ma w tym nic nielegalnego?

Nie martw się. Dopilnuję tego osobiście.

Jestem pewny, że Grady to doceni.

-

Joe, powiem ci szczerze, że Grady gównu mnie obchodzi.

Zrobię to dla siebie. Dam im głowy Weira i Jeddy'ego na tacy...

może wtedy ludzie uwierzą, że cały czas się staram. A teraz zała twimy parę telefonów i spróbujemy jakoś posprzątać ten bajzel.

Hobbs Wentworth nieczęsto wyjeżdżał z Canton Falls. Przebrany za sprzątacza pchał wózek ze szczotkami, mopami i wędką (tak nazywał swój samopowtarzalny karabin szturmowy colt AR-15), rozglądał się po ulicy i coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że przez dwadzieścia dwa lata, które minęły od jego ostatniej wizyty, miasto sporo się zmieniło.

Widział też, że to, co mówią o raku, toczącym powoli białą rasę, to całkowita, absolutna racja.

O Panie czuwający nad naszymi zielonymi pastwiskami, tylko spójrz na nas z wysokiego nieba. Więcej tu Japończyków, Chińczyków czy jakichś innych niż w jakimś pieprzonym Tokio! I Latynosi; w tej części Nowego Jorku byli po prostu wszędzie, roili się jak komary! I te palanty w szmatach na łbie; nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie wyłapano ich wszystkich i nie wystrzelano po jedenastym wrześniu. Przez ulicę przechodziła właśnie ich baba, zakutana po czubek nosa. Miał straszną ochotę kropnąć ją tylko dlatego, że mogła znać kogoś, kto znał

kogoś, kto zaatakował jego ojczyznę.

A Hindusi i Pakistańcy? Ich wszystkich powinno się odesłać do domu, przecież nikt nie rozumiał tej ich gadaniny, a poza tym nie byli chrześcijanami.

Hobbs był wściekły na rząd, który otworzył granicę i pozwolił wjechać do kraju tym zwierzętom. Zabierali białym chrześcijanom Amerykę, pozostawiając im tylko małe bezpieczne wysepki, takie jak Canton Falls, a i one z dnia na dzień robiły się coraz mniejsze.

Ale Bóg znalazł naprawdę twardego zawodnika, Hobbsa Went-wortha, i wyznaczył mu błogosławioną rolę bojownika o wolność.

342

Jeddy Barnes i jego przyjaciele wiedzieli, że oprócz talentu do i uczenia dzieci w szkółce niedzielnej Hobbs ma jeszcze jeden: potrafił zabijać ludzi i robił to bardzo, ale to bardzo dobrze. Czasami jego „wędką” był nóż myśliwski, czasami garota, niekiedy ukochany colt lub łuk laminatowy. W ciągu ostatnich paru lat przeprowadził kilkanaście misji i wszystkie zakończyły się olśniewającym sukcesem. Latynos w Massachusetts, lewicowy polityk z Albany, czarnuch w Burlington, morderca dzieci - ginekolog z Pensylwanii... myślał o nich

„oni”.

A teraz miał zamiar dodać do tej listy prokuratora. Pchał wózek przez niemal pusty o tej porze podziemny parking przy Centre Street. Zatrzymał się przy jednym z wyjść, oparł o drzwi, po chwili o wózek. Sprawiał wrażenie zmęczonego, zachowywał się tak, jakby pragnął odpocząć trochę przed powrotem do ciężkiej pracy. Minęło kilka minut, kiedy drzwi otworzyły się i z korytarza budynku wyszła przez nie kobieta w średnim wieku, ubrana w dżinsy i białą bluzkę.

W rękę trzymała teczkę. Skinął jej głową, kobieta uśmiechnęła się uprzejmie... ale zatrzasnęła za sobą drzwi. Usprawiedliwiła się nawet: „Pan rozumie, nie mogę pana wpuścić, obowiązują nas ściśle przepisy dotyczące bezpieczeństwa”. Hobbs odpowiedział równie grzecznie, że oczywiście rozumie. On też się uśmiechał.

Zaledwie minutę później zdjął z jej szyi identyfikator na taśmie, a drgające jeszcze ciało wrzucił do wózka. Przeszedł przez drzwi bez problemu Winda pojechał na drugie piętro. Pchając przed sobą wózek, z ciałem kobiety przykrytym plastikowymi workami na śmieci, poszedł korytarzem i szybko znalazł biuro, które pan Weir uznał za najlepiej służące jego celom. Był z niego dobry widok na ulicę, a ponieważ należało do Wydziału Statystyk Drogowych, można było spokojnie założyć, że



żadne nagle wydarzenie nie ściągnie tu pracowników w sobotni wieczór. Drzwi były zamknięte, ale Hobbs, któremu siły nie brakowało, po prostu je wykopał (pan Weir powiedział, że nie ma czasu uczyć go sztuki posługiwania się wytrychami).

Wszedł do środka. Wyjął karabin z wózka, zamontował celownik optyczny, spojrzął przez niego na ulicę. Odległość i pozycja idealne. Musiał trafić.

Ale czuł się trochę niepewnie.

Nie, nie martwiło go zabójstwo Grady'ego, jego załatwi bez Problemu. Jedyne problemy stanowiła metoda ucieczki. Lubił życie w Canton Falls, opowiadanie dzieciom historii z Biblii, polowanie, łowienie ryb, rozmowy z kumplami, którzy wszyscy myśleli zdrowo, czyli tak samo jak on. Nawet Cindy była w porządku, przynajmniej od czasu do czasu, kiedy warunki były odpowiednie, a przedtem człowiek się napił.

Plan magika Weira uwzględniał jednak ucieczkę z pokoju. Gdy tylko Hobbs zobaczy Grady'ego, ma wystrzelić pięciokrotnie, raz za razem, przez zamknięte okno. Pierwsza kula rozbije szybę i może nie trafić, ale następne powinny dosięgnąć celu. Potem, tłumaczył pan Weir, on, Hobbs, ma otworzyć wyjście awaryjne, ale nie wolno mu się przez nie wymknąć.

Ma tylko „zmylić” policję, skłonić ją, by tam go ściagała, sam zaś powinien wrócić na parking.

Wcześniej ustawił starego dodge'a na miejscu dla niepełnosprawnych; pozostawało mu tylko ukryć się w bagażniku. Magik tłumaczył, że może jeszcze tej samej nocy, a najpóźniej następnego dnia rano samochód zostanie odholowany na parking policyjny. Wynajmuje się do tego prywatne firmy pomocy drogowej, tłumaczył; ich ludziom nie wolno otwierać zamkniętych drzwi i bagażników skonfiskowanych samochodów. Dojadą na parking, nawet jeśli na drodze będą blokady. Gdy uzna, że niebezpieczeństwo minęło, Hobbs ma wydostać się z bagażnika i wrócić do domu. W samochodzie miał wodę i jedzenie, a nawet butelkę, do której mógł się w razie potrzeby wysiusiać. To był bardzo sprytny plan.

Hobbs, jako wybrany przez Boga naprawdę twardy zawodnik, miał zamiar zrobić wszystko, by zrealizować go od początku do końca.

Wymierzył w przypadkowego przechodnia; zaczynał wczuwać się w rolę myśliwego na polowaniu. Kiedyś pan Weir musiał być naprawdę świetnym magikiem, pomyślał. Ciekawe, czy kiedy to wszystko już się skończy, zgodzi się przyjechać do Canton Falls i dać przedstawienie dla dzieci ze szkółki niedzielnej. A nawet jeśli nie, pomyślał Hobbs, to przynajmniej opowiem im o Jezusie jako magiku, który używa sprytnych sztuczek przeciw Rzymianom i poganom.

Pociła się.

Pot ziębił jej ciało, ale nie tylko pot. Także strach.

Szukaj dobrze...

Skręciła w kolejny mroczny korytarz gmachu sądów kryminalnych. Dłoń trzymała na kolbie pistoletu.

344

...ale oglądaj się przez ramię.

Jasne, Rhyme, jasne. Ale kogo mam wypatrywać przez ramię? pięćdziesięcioletniego mężczyzny o pociągłej twarzy, może brodatego, a może gładko ogolonego? Starszej kobiety w fartuszkach bufetowej? Robotnika, strażnika aresztu, sprzątacza, gliniarza, sanitariusza, kucharza, strażaka, pielęgniarki? Z dziesiątków ludzi, którzy mieli święte prawo być tu w niedzielę o tej porze?

Kogo? Kogo? Kogo?

W jej radiu odezwał się głos Sellitta.

Jestem na drugim piętrze, Amelio. Nic.

Jestem w piwnicach. Widziałam dziesiątki ludzi. Identyfika tory pasują, ale kto wie, czy nie planował tego od miesiący i czy nie poukrywał tu fałszywych?

Przechodzę na trzecie.

Skończyli rozmowę i Sachs wróciła do poszukiwań. Marsz labiryntem korytarzy. Mnóstwo drzwi. Wszystkie zamknięte.

Ale oczywiście zamki tak proste jak te nie mogły powstrzymać Maga. Otwarcie któregokolwiek zajęłoby mu sekundy. Mógł schronić się w dowolnej ciemnej szafce, w każdym z wielu magazynków. Mógł dostać się do gabinetów sędziowskich i tam doczekać do poniedziałku. Mógł wyjąć kratę i przez którąś z rur, jakiś przewód lub tunel, dostać się do połowy budynków w śródmieściu Manhattanu oraz do metra.

Skreśliła za róg, gdzie czekał na nią kolejny korytarz. Sprawdzała klamki; jedne z drzwi nie były zamknięte na klucz.

Jeśli siedzi w szafce, z pewnością albo już usłyszał jej kroki, albo usłyszy trzask zamka. Nie miała wyboru, musiała wejść szybko! Pchnąć drzwi, zaświecić latarką, musi być gotowa na skok w lewo, jeśli lufa broni zwróci się w jej stronę (praworęczni mają tendencję do zwracania broni w lewo, gdy strzelają w panice; kula przechodzi wówczas po prawej stronie celu).

Przyjęła pozycję; lekko ugięte kolana, dotknięte artrety-zmem, zaprotestowały przenikliwym bólem. Ostre światło halogenowej latarki przeszło ciemność. Szafkę wypełniało kilka pudeł

oraz rząd szafek na akta. Poza nimi nic nie było. Już miała wyjść, kiedy przypomniała sobie, że Mag potrafił ukryć się w mroku, używając tylko kawałka czarnego materiału. Przeszukała pokoik dokładniej, świecąc latarką we wszystkie kąty. Nagle poczuła na karku bardzo delikatne muśnięcie. Westchnęła głośno, odwróciła się, podnosząc broń... i wymierzyła ją w sam środek starej, grubo pokrytej kurzem pajęczyny.

345

Wróciła na korytarz.

Kolejne zamknięte drzwi. I znów nic.

Usłyszała zbliżające się kroki. Przeszedł obok niej łysy mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni, w mundurze strażnika, ze wszystkimi niezbędnymi identyfikatorami, pozdrawiając ją skinieniem głowy. Był wyższy od Weira, toteż przepuściła go bez obaw.

Dopiero po chwili w jej głowie zaświtała myśl, że ekspert od szybkiej zmiany zna zapewne jakieś sposoby na zmianę wzrostu.

Obróciła się błyskawicznie.

Strażnik znikł, przed oczami miała wyłącznie pusty korytarz. A może... a może tak się jej tylko wydawało? Przed Świetlaną Rasnikow ukrył się pod kawałkiem jedwabiu, przed Calvertem za lustrem. Oboje zginęli.

Czując ucisk w żołądku, wyciągnęła glocka z kabury i powoli ruszyła ku miejscu, gdzie znikł strażnik, który wcale nie musiał być strażnikiem.

Gdzie? Gdzie jest Weir?

Roland Bell biegł truchcikiem wzdłuż Centre Street, rozglądając się czujnie dookoła.

Samochody, ciężarówki, buchające parą metalowe wózki z hot dogami, młodzi ludzie, ciężko

pracujący w firmach prawniczych i bankach inwestycyjnych, młodzi ludzie zataczający się po paru piwach wypitych w South Street Seaport, starsze panie z pieskami na smyczy, mijające się przy wejściach do sklepów tłumy; setki mieszkańców Manhattanu, którzy wychodzą na ulicę w dni piękne lub deszczowe tylko dlatego, że rozpira ich właściwa wszystkim nowojorczykowi energia.

Gdzie?

Bell wierzył głęboko, że życie jest jak wbijanie gwoździ... czyli, w dialekcie jego okolicznych stron, strzelanie do celu. Urodził się w Karolinie Północnej, w rejonie Albemarle Sound. Tam posiadanie broni i umiejętne obchodzenie się z nią były życiową koniecznością, nie rozrywką mieszkańców. Nauczono go szanować broń, a częścią tego szacunku była maksymalna koncentracja. Nawet proste strzały: do papierowych tarcz, grzechotników, mokasynów miedziogłowców, jeleni, mogły przecież chybić i przez to stać się niebezpieczne. Na celu trzeba koncentrować się cały czas.

Podobnie w życiu. Bell wiedział, że niezależnie od tego, co dzieje się w tej chwili w Grobowcach, musi bez reszty poświęcić się swojej robocie. Ochronie Charlesa Grady'ego.

346

Amelia Sachs połączyła się z nim i przekazała, że sprawdza wszystkich ludzi znajdujących się w tej chwili w gmachu sądów kryminalnych, niezależnie od wieku, rasy, płci i wysokości.

Właś-nie wytropiła i wylegitymowała łysiego jak księżyc strażnika spo-o wyższego od Weira, i puściła go tylko dlatego, że znał jej ojca. Skończyła z jedną częścią piwnic i miała zamiar zabrać się do następnej.

Zespoły kierowane przez Sellitta i Bo Haumanna przeszukiwały wyższe skrzydła budynku.

Operacja uzyskała wsparcie ze strony zupełnie nieoczekiwanej. Andrew Constable we własnej osobie zbierał ślady na północy stanu Nowy Jork. Ale byłaby sensacja - pomyślał

Bell, gdyby facet podejrzewany o usiłowanie zabicia prokuratora znalazł trop, który doprowadziłby do prawdziwego sprawcy.

Biegł, zaglądając do samochodów, do stojących na ulicy ciężarówek, w ciemne alejki między domami. W każdej chwili gotów był wyciągnąć broń, ale nie miał zamiaru jej wyciągać.

Uznał, że zabójca będzie się starał dopaść Grady'ego raczej na ulicy niż w budynku, gdzie miał on większe szansę ujść z życiem. Bardzo wątpił, czy ma do czynienia z fanatykami, profil psychologiczny wcale o tym nie świadczył. Grady zaparkuje samochód i wysiądzie, a następnie będzie musiał podejść do wielkich drzwi ponurego gmachu sądów, to da zabójcy dużo czasu na oddanie celnego strzału. Bardzo łatwego strzału; nie było tu żadnej ochrony.

Gdzie jest Weir?

I gdzie jest Grady?

Jego żona poinformowała Bella, że prokurator pojechał do miasta prywatnym samochodem, nie służbowym. Detektyw natychmiast zarządził poszukiwania volva, ale na razie nikt go nie zauważył.

Bell obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, powoli, dostojnie, z uwagą lustrując okolicę.

Jego wzrok spoczął na budynku rządowym, stojącym po drugiej stronie ulicy; nowym, z dziesiątkami okien wychodzących na Centre Street. Detektyw brał udział w odbiciu zakładników, których przetrzymywano właśnie tam, i wiedział, że na weekendy budynek niemal całkowicie pustoszał. Doskonałe miejsce, by ukryć się i zapolować na Gra-dy'ego.

Ale ulica też była niezła, zwłaszcza dla snajpera strzelającego do jadącego samochodu.

Gdzie? Gdzie?

Roland Bell przypomniawszy sobie, jak polował kiedyś z tatą na mokradłach Great Dismal w

południowej Wirginii. Zaatakował ich dzik, a ojciec jedynie go zranił. Zwierzę uciekło w krzaki, ojciec tylko westchnął i powiedział:

Musimy go dostać. Nie zostawia się rannego zwierzęcia.

Tato, ale przecież on nas zaatakował - zaprotestował chło piec.

Zrozum, synku, to my wkroczyliśmy w jego świat, a nie on w nasz. Ale nie ma to przecież żadnego znaczenia. To kwestia czy stej gry. Musimy go znaleźć, choćby to nam miało zająć cały dzień. Trzeba mu skrócić cierpienie, a poza tym jest teraz o wie le groźniejszy dla kogoś, kto mógłby się tu pojawić.

Chłopiec rozejrzał się dookoła. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się nieprzebyta gęstwa krzaków, trzciny, rosnącej w kępach na bagnie trawy, a to wszystko poprzecinane kałużami stojącej wody.

-

Ale on przecież może być wszędzie, tato.

Ojciec roześmiał się, choć bez wesołości.

Och, o to możesz się nie martwić. Nie my go znajdziemy, ale on nas. Połóż kciuk na bezpieczniku, synu. Zapewne będziesz mu siał szybko strzelać. Wszystko w porządku?

Oczywiście, tato.

Dorosły, doświadczony funkcjonariusz policji Roland Bell jeszcze raz uważnie rozejrzał się dookoła. Ciemne alejki, okoliczne budynki, domy po przeciwnej stronie ulicy... i nic.

Ani śladu Charlesa Grady'ego.

Ani śladu Ericka Weira, ani śladu jego współników.

Bell postukał palcami w rękojeść pistoletu.

Och, o to możesz się nie martwić. Nie my go znajdziemy, ale on nas...

Rhyme, chodzę od drzwi do drzwi. To już ostatnia część piwnicy. - Mogą się tym zająć służby ratownicze. - Kryminalistyk ze zdziwieniem zdał sobie sprawę z tego, że mówiąc do mikrofonu, kuli się i chowa głowę w ramiona.

-

Potrzebujemy wszystkich ludzi, których mamy do dyspozycji - szepnęła Sachs. Cholernie wielki budynek. Znalazła się już na terenie Grobowców. Kolejne mroczne korytarze. - I trochę tu strasznie. Jak w szkole muzycznej.

Coraz to bardziej i bardziej tajemnicze.

-

Pewnego dnia powinieneś dopisać do tej swojej książki rozdział o badaniu miejsca przestępstwa w nawiedzonych domach.

- Amelia próbowała uspokoić skołatane nerwy żartami. - Koniec rozmowy. Jeszcze się do was odezwę.

Rhyme i Cooper wrócili do analizy dowodów zebranych w miejscu przestępstwa. W

korytarzu, gdzie strzelano, znaleźli żyłkę, próbki prawdziwej krwi, fragmenty wołowej kości oraz szarej gąbki udającej tkankę mózgową i fałszywą krew, czyli syrop cukrowy, zmieszany z barwnikiem do żywności. Nie znaleźli natomiast ani kluczyka do kajdanek, ani wytrychów; Mag musiał je zabrać ze sobą. W sumie wszystko to na niewiele się im przydało.

W szafce na środki czystości było nieco więcej użytecznych śladów, a wśród nich papierowa torba, gdzie ukrył okrwawioną Petardę, pęcherz, gumowe rękawiczki i ubranie, w którym władał się do Grady'ego: obszerny garnitur i eleganckie półbuty Oxford. Cooper znalazł też mnóstwo

mikrośladów: lateksu, składaków substancji używanych przy charakteryzacji, fragmenty lepkiej parafiny, plamy tuszu identyczne z tymi, które znaleźli 349

wcześniej, grube włókna nylonu i zaschnięte smugi fałszywej krwi.

Jak się okazało, włókna pochodziły z granatowoszarego dywanu. Fałszywa krew okazała się farbą. Bazy danych, do których mieli dostęp, nie dostarczyły użytecznych informacji o żadnym ze znalezionych materiałów, wysłali więc wyniki analizy chemicznej i zdjęcia do laboratoriów FBI z prośbą o pilne wysledzenie źródeł.

Rhyme wpadł na pewien pomysł.

Kara! - zawołał do dziewczyny siedzącej obok Mela Coopera, przesuwającej ćwierćdolarówkę między palcami i gapiącej się w monitor komputera, na którym widać było powiększenie nylonowego włókna. - Pomożesz nam w jednej sprawie?

Jasne.

Przejdź się do Cirque Fantastique i pogadaj z Kadeskym.

Opowiedz o ucieczce Maga i wypytaj go; może przypomniało mu się coś, czego nam do tej pory nie powiedział. Które iluzje lubi najbardziej, ulubione postacie i przebrania; może do jakichś wracał częściej niż do innych. Może jakieś numery powtarzał

szczególnie chętnie. Innymi słowy chcemy dowiedzieć się wszystkiego, co mogłoby nam pomóc w określeniu jego obecnego wyglądu.

Dziewczyna wstała i zarzuciła na ramię torbę w czarno-białe pasy.

- Może mieć jego stare zdjęcia, choćby wycinki prasowe przedstawiające Weira w kostiumie. Zapytam - obiecała.

Rhyme potwierdził, że to świetny pomysł. Spojrzał na wypisaną na tablicach listę dowodów.

Potwierdzał tylko to, co widział od dawna: im więcej materiału zgromadzisz, tym mniej wiesz.

MAG Miejsce zbrodni: szkoła muzyczna

Opis sprawcy: brązowe włosy, fałszywa broda, brak cech szcze gólnych, wiek - około pięćdziesięciu lat, budowa ciała średnia, wzrost średni. Mały i serdeczny palec lewej ręki - złączone. Błyska wicznie zmienił kostium, by upodobnić się do starego, łysego woźnego.

Motyw nieznan.

Ofiara: Świetlana Rasnikow.

Studia dzienne.

Sprawdzenie rodziny, przyjaciół, studentów i pracowników w celu zdobycia śladów.

Nie miała chłopaka ani znanych wrogów. Występowała na uro dzinowych przyjęciach dla dzieci.

Układ scalony z dołączonym głośnikiem.

Wysłany do laboratoriów FBI do badania.

Magnetofon cyfrowy, prawdopodobnie z nagraniem głosem sprawcy. Wszystkie dane wymazane.

Magnetofon jest „sztuczką”. Produkcja domowa.

Użył staroświeckich żelaznych kajdanek do skrupowania ofiary.

Kajdanki firmy Darbys, stare, produkcji brytyjskiej. Spraw dzieć w Muzeum Houdiniego w Nowym Orleanie.

Zegarek ofiary zniszczony dokładnie o ósmej rano.

Bawełniane nici łączące krzesła. Brak nazwy firmy. Zbyt po pularne, by wysledzić źródło.

Petarda imitująca strzał. Zniszczona.

Zbyt popularna, by wysledzić źródło.

Zapalniki: brak nazwy firmy.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

-

Funkcjonariuszki wezwane na miejsce mówią o silnym bły sku. Nie znaleziono mikrośladów. Prawdopodobnie pochodził z pirowaty lub piropapieru.

Zbyt popularne, by wysledzić źródło.

Buty sprawcy: Ecco numer 10.

Włókna jedwabiu ufarbowanego na szaro, zmatowionego.

Z kostiumu woźnego, szybka zmiana.

Sprawca prawdopodobnie nosi brązową perukę.

Czerwona hikora i porost Parmelia conspersa pochodzą naj prawdopodobniej z Central Parku.

Ziemia nasyciona rzadko występującym olejem mineralnym.

Wysłana do FBI do analizy.

Czarny jedwab, 1,80 x 1,20 metra. Użyty jako kamuflaż. Nie do wysledzenia.

Często używany przez iluzjonistów.

Używa nakładek na palce maskujących odciski.

Nakładki.

Ślady lateksu, oleju rycynowego, makijażu.

Używane przy makijażu teatralnym.

Ślady alginianu.

Używany jako forma do lateksowych „dodatków”.

- Narzędzie zbrodni: biały sznur z plecionego jedwabiu z czar nym jedwabnym środkiem.

350

351

Sznur należy do akcesoriów magicznych. Zmienia kolor. Nie do wysledzenia.

- Niezwykły węzeł.

Wysłany do FBI i Muzeum Marynarki. Brak informacji. Węzeł stosowany przez Houdiniego podczas występów. Nie do rozwiązania.

- Użył znikającego atramentu, wpisując się do księgi wejść.

Miejsce zbrodni: East Village

-

Ofiara numer dwa: Tony Calvert.

Charakteryzator teatralny.

Wrogowie: nieznani.

Żadnych znanych związków z pierwszą ofiarą.

Brak oczywistego motywu.

Przyczyna śmierci:

Uderzenie w głowę tępym narzędziem. Po śmierci ciało przecięte piłą.

- Sprawca

uciekł, upodabniając się do siedemdziesięcioletniej

kobiety. Sprawdzenie okolicy w poszukiwaniu stroju i innych dowo dów rzeczowych.

Nic nie znaleziono.

- Zegarek

zmiądzony dokładnie o godzinie dwunastej w południe.

Wzór? Następne morderstwo o szesnastej?

-

Sprawca ukryty za lustrem. Źródło nie do wyśledzenia. Odciski palców wysłane do FBI.

Brak rezultatów.

Użył zabawki przypominającej kota (fałszywki), by zwabić ofiarę w alejkę. Zabawka nie do wyśledzenia.

Znaleziono olej mineralny, taki sam jak za pierwszym razem.

Oczekiwany raport FBI.

Olej Tack-Pure do siodeł i innych produktów skórzanych. Dodatkowy lateks i makijaż z nakładek na palce.

Znaleziono alginian.

Pozostawione na miejscu buty Ecco.

Na butach znaleziono włosy psów trzech różnych ras. Także nawóz.

Nawóz koński, nie psi.

Rzeka Hudson i powiązane z nią miejsca przestępstwa

-

Ofiara: Cheryl Marston.

Prawniczka.

352

Rozwiedziona. Mąż nie jest podejrzany.

Brak motywu.

Sprawca przedstawił się jako John. Blizny na szyi i piersi. Po twierdzona deformacja dłoni.

Sprawca dokonał szybkiej zmiany w gładko ogolonego biznes mena w luźnych spodniach khaki i eleganckiej koszuli, a następnie w motocyklistę w dżinsowej koszuli Harleya.

Samochód w rzece Harlem. Sprawca najprawdopodobniej zbiegł.

Knebel z taśmy samoprzylepnej. Źródło nie do wyśledzenia.

Petardy, takie, jakich używał poprzednio. Źródło nie do wyśledzenia.

Łańcuchy i karabińczyki, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Sznur, brak nazwy firmy, źródło nie do wyśledzenia.

Składniki makijażu, lateks, olej Tack-Pure.

Torba sportowa, produkt chiński, źródło nie do wyśledzenia.

Zawiera:

Ślady flunitrapezanu, środka oszałamiającego podawanego kobietom podczas randki.

Parafina, przyklepna, używana w sztukach magicznych, źródło nie do wyśledzenia.

Wióry mosiężne (?). Wysłane do FBI.

Trwały tusz, czarny.

- Znaleziona granatowa wiatrówka, brak naszywek firmowych i naszywek pralni. Zawiera:

Przepustkę prasową sieci kablowej CTN, wystawioną na Stanleya Safersteina (nie jest podejrzany, nie figuruje w bazach danych

NCICiVICAP).

Plastikową kartę - klucz do pokoju hotelowego. American Plastic Cards, Akron, Ohio. Model APC-42, brak odcisków palców.

Prezes firmy ma sprawdzić akta sprzedaży.

-

Detektywi Bedding i Saul sprawdzają hotele.

Poszukiwania zawężone do Chelsea Lodge, Beckman i Lanham Arms. Nadal trwają.

-

Rachunek z restauracji Riverside Inn, Bedford Junction, stan Nowy Jork, dowodzący, że dwa tygodnie temu cztery osoby zjadły lunch przy stole numer dwanaście. Zamówione: indyk, kotlet mielony, stek i specjalność dnia. Nie podano alkoholu. Obsługa nie potrafi zidentyfikować gości (wspólnicy?).

- Alejka, w której zatrzymano Maga. Otwarcie zamku kajdanek wytrychem. Ślina (wytrych ukryty w ustach). Nie ustalono grupy krwi.



Mała piła umożliwiająca uwolnienie się z więzów.

- Brak

śladów wskazujących, gdzie może być funkcjonariusz

Burkę.

Miejsce nad rzeką Harlem

Żadnych śladów oprócz śladów opon w błocie.

Gazeta odzyskana z zatopionego samochodu. Nagłówki.

„Awaria elektryczności, komisariat policji zamknięty na cztery godziny”.

„Konwencja Partii Republikańskiej stawia Nowy Jork na głowie”.

„Rodzice protestują przeciw niedostatecznemu zabezpieczeniu szkoły żeńskiej”.

„W poniedziałek rozpoczyna się proces o morderstwo na tle rasowym”.

„Weekendowe przedstawienie w Metropolitan Theatre, dochody przeznaczone na cele charytatywne”.

„Wiosenne zabawy dla dzieci młodszych i starszych”.

„Gubernator i burmistrz spotykają się, by omówić nowe plany dla West Side”.

Miejsce zbrodni: dom Lincolna Rhyme'a

-

Ofiara: Lincoln Rhyme.

- Tożsamość sprawcy: Erick A. Weir.

Miejsce urodzenia: Las Vegas.

Poparzony w pożarze w Ohio przed trzema laty. Cyrk Hasbro i Braci Keller. Znikł po wypadku.

Poparzenia trzeciego stopnia. Producent: Edward Kadesky.

Skazany w New Jersey za lekkomyślne narażenie życia.

Obsesja ognia.

Szaleniec. Zwraca się do „szacownych widzów”.

Słynął z niebezpiecznych numerów.

-

Żona: Marie Cosgrove, zginęła w pożarze.

Nie kontaktował się z jej rodziną od czasu pożaru.

Rodzice Weira nie żyją. Nie ma bliższej rodziny.

Żadnych danych w VICAP i NCIC.

Nazywał siebie Czarodziejem Północy.

Zaatakował Rhyme'a, by powstrzymać go przed niedzielnym popołudniem (kolejna ofiara?).

Profil psychologiczny (autor Terry Dobyns, Departament Policji Nowego Jorku). Główny motyw: zemsta, choć może nie zdawać sobie z tego sprawy. Chce wyrównać rachunki. Przez cały czas czuje gniew. Zabijając, zagłusza ból spowodowany śmiercią żony i niemożnością występowania przed publicznością.

- Weir

skontaktował się ostatnio z asystentami: Johnem Keatingiem i Arthurem Loesserem z Nevady. Pytał o pożar i ludzi związanych z wypadkiem. Opisali Weira jako szaleńca, władczego, niebezpiecznego, opanowanego przez manię, ale genialnego.

Kontakt z menedżerem cyrku z czasów wypadku, Edwardem Kadesky m.

Zabił ofiary za to, co sobą reprezentują, być może szczęśliwe lub traumatyczne przeżycia sprzed pożaru.

Chusteczka nasycona benzyną, źródło nie do wyśledzenia.

Buty Ecco, nie do wyśledzenia.

Miejsce ucieczki z aresztu

Petardy i pęcherz z fałszywej rany - produkcja domowa, źródło nieznane.

Sztuczna krew (syrop cukrowy + czerwony barwnik spożywczy), fragmenty kości wołowej, szara gąbka udająca tkankę mózgową, prawdziwa krew, żyletka.

Gumowe rękawiczki.

Dodatkowe fragmenty lateksu i makijażu, jak na poprzednich miejscach.

Lepka parafina.

Normalny tusz, czarny, identyczny ze znalezionym wcześniej.

Zaschnięta sucha krew (farba), wysłana do FBI.

Włókna dywanu, wysłane do FBI.

Profil iluzjonisty

- Będzie używał „zmyłek” przeciw ofiarom i policji.

Fizycznych (fałszywy trop).

Psychologicznych (odsunięcie podejrzeń).

Ucieczka ze szkoły muzycznej przypominała numer „Znikający człowiek”. Zbyt popularny, by wytropić wykonawcę.

Sprawca jest przede wszystkim iluzjonistą.

Utalentowany w magii zręcznej ręki.

Zna także magię proteańską (szybkiej zmiany). Będzie używał

różnych kostiumów z nylonu i jedwabiu, nakładek imitujących łysinę, nakładek na palce i innych akcesoriów lateksowych. Może być

w dowolnym wieku, każdej płci i każdej rasy.

Śmierć Calverta = numer Selbita „Przepełnienie dziewczyny”.

Utalentowany włamywacz, zapewne umie „skrobać” zamki.

Iii,

Zna techniki uwalniania się z więzów.

Zna techniki iluzji z udziałem zwierząt.

Używa techniki mentalistycznych, by zdobyć informacje o ofiarach.

Użył metody zręcznej ręki, by oszołomić jedną z ofiar.

Próbował zamordować trzecią ofiarę przez naśladowanie numeru Houdiniego: „Tortura wodna”.

Brzuchomówstwo.

Żyletki.

Zna lub prezentował numer „Płonące lustro”. Wyjątkowo nie bezpieczny.

Cirque Fantastique ożywał na godzinę przed rozpoczęciem wieczornego występu.

Kara przeszła pod flagą z wizerunkiem Arlekina. Od razu zauważyła policyjny radiowóz; to Rhyme zdecydował, że po wydarzeniach z dzisiejszego poranka policja winna być stale obecna na miejscu. W poczuciu, że z policjantami łączy ją specjalna, braterska więź (czyż sama nie była teraz kimś w rodzaju policjanta), pomachała w stronę samochodu, a glina, który nawet jej nie znał,

odmachał przyjaźnie.

Na razie nikt nie sprawdzał biletów, toteż Kara mogła spokojnie wejść do namiotu, nawet za kulisy. Zauważyła młodego człowieka z clipboardem w ręku. Na pasku, w miejscu, gdzie Amelia nosiła broń, miał identyfikator pracownika.

Przepraszam - powiedziała, podchodząc do chłopaka.

Tak? - odezwał się z wyraźnym akcentem francuskim lub francusko-kanadyjskim.

Szukam pana Kadesky'ego.

Nie ma go. Jestem jednym z jego asystentów.

Gdzie go mogę znaleźć?

Nie tu. Kim pani jest?

Współpracuję z policją. Rozmawialiśmy już z panem Kadeskym, ale mam do niego kilka pytań.

Chłopak spojrział na biust Kary. Zapewne szukał identyfikatora... ale wcale niekoniecznie.

Aha... Policja? Pan Kadesky je obiad. Wkrótce wróci.

Wie pan może, dokąd poszedł?

Nie. Musi pani wyjść. Nie wolno tu pani przebywać.

Chcę tylko zobaczyć się z panem...

356

Ma pani bilet?

Nie, ale...

Więc nie wolno pani tu czekać. Musi pani wyjść. Pan Kadesky nic nie mówił o policji.

-

Ale ja naprawdę muszę się z nim zobaczyć – powiedziała stanowczo Kara, przyglądając się jego przystojnej twarzy.

Musi pani wyjść. Proszę poczekać na niego przed namiotem.

Możemy się minąć.

Będę musiał wezwać ochronę - pogroził jej chłopak z tym swoim śmiesznym akcentem. - Mogę to zrobić.

Kupię bilet - poddała się Kara.

-

Wszystkie bilety wyprzedane. Ale nawet z biletem nie wej-ie pani za kulisy. Wyprowadzę panią.

I wyprowadził ją przez główne wejście, przy którym stali już racownicy cyrku, sprawdzający bilety. Kara zatrzymała się, rzeź ramię wskazała na przyczepę z napisem „Kasa”.

-

Czy tam mogę kupić bilet? - spytała.

Chłopak skrzywił się lekko, choć niewątpliwie szyderczo.

-

Tak, kasa to miejsce, gdzie kupuje się bilety. Ale, jak już pa-mówiłem, wszystkie bilety zostały sprzedane. Jeśli chce pani

>rtać o coś pana Kadesky'ego, proszę zadzwonić do jego firmy.

Chłopak odszedł. Kara odczekała chwilę, a później, minąwszy róg namiotu, skierowała się do bocznego wejścia na scenę. Uśmiechnęła się do strażnika, który odpowiedział jej uśmiechem, zaledwie zerknąwszy na przypięty do paska identyfikator pracowniczy z kanadyjsko-francuskim nazwiskiem, który bez żadnych problemów zwędziła przystojnemu chłopakowi, zadając niemądre,

ale z pewnością odwracające uwagę pytanie o kasę.

Oto zasada, którą powinieneś poznać, pomyślała. Nigdy nie dóć się z ludźmi o zręcznych rękach.

Gdy tylko znów znalazła się za kulisami, schowała identyfikator do kieszeni i odszukała przyjaźniej nastawionego pracownika yrku. Kiwając głową z sympatią, kobieta wysłuchiwała jej wyjaśnień: były iluzjonista, poszukiwany za morderstwa, został zidentyfikowany jako ktoś, kto pracował kiedyś dla pana Kadesky'ego i z tego powodu chciałaby z nim porozmawiać.

Słyszała o morderstwach, uprzejmie zaprosiła dziewczynę, by zaczekała na producenta, wydała jej nawet przepustkę do łoży VIP-ów, po czym odeszła, tłumacząc się nawałem pracy.

Obiecała, że poinformuje o jej obecności strażników, którzy z kolei skierują do niej pana Kadesky'ego, gdy tylko wróci z obiadu.

357

Kara szła do łoży, gdy odezwał się jej pager. Zobaczyła wyświetlony numer, jęknęła i pobiegła do jednego z zainstalowanych czasowo w namiocie automatów. Wybrała numer drżącą ręką.

Stuyvesant Manor - usłyszała głos w słuchawce.

Proszę z Jaynene Williams, pokój pielęgniarek, trzecie piętro.

Czekała, czekała i czekała.

-Tak?

-

To ja, Kara. Coś się stało mamie?

Nic złego. Ale chciałam ci powiedzieć... nie chcę budzić przesadnych nadziei, bo to pewnie nic, ale przed paroma minutami mi obudziła się i pytała o ciebie. Wie, że mamy niedzielny wie czór, pamięta, że przychodziłaś wcześniej.

Ja? Prawdziwa ja?

Tak. Użyła twego prawdziwego imienia. A potem skrzywiła się lekko i dodała: „Chyba że znacie ją pod tym idiotycznym pseudonimem scenicznym Kara”.

O Boże? Czy to możliwe? Czyżby aż tak jej się poprawiło?

- Mnie

też poznała. Spytała, gdzie jesteś. Chciałaby ci coś powiedzieć.

Serce dziewczyny biło tak szybko, jakby zamierzało wyrwać się z piersi.

Powiedz mi coś...

Powinnaś przyjechać tu jak najszybciej, słoneczko. To może potrwać, ale może i nie. Sama wiesz, jak to bywa.

Akurat mam ważną sprawę, Jaynene. Przyjadę, gdy tylko będę mogła.

Pożegnały się i straszliwie zdenerwowana Kara wróciła do łoży. Napięcie było wręcz nie do zniesienia. Być może w tej właśnie chwili matka ją wzywa, złości się, nie widząc jej przy swym boku, i pewnie jest bardzo rozczarowana.

Proszę, modliła się, wypatrując Kadesky'ego.

Nic.

Szkoda, że nie może postukać magiczną hikorową różdżką w obdrapany metal barierki łoży i w ten sposób zmaterializować producenta.

Błagami Wymierzyła wyobrażoną różdżkę w kierunku wejścia.

Przez chwilę nic się nie działo i nagle ktoś wszedł do środka, ale to nie był Kadesky, lecz trzy aktorki w średniowiecznych kostiumach, w maskach, których martwy wyraz rażąco kontrastował z

energicznymi krokami artystek, gotowych do wiecznego przedstawienia.

358

Roland Bell stał w wąskim kanionie śródmieścia Manhattanu, na sntre Street, pomiędzy wielkim, ponurym gmachem sądów krymi-lalnych, ukoronowanym mostem Westchnień, i brzydkim, przeciętnym biurowcem, znajdującym się po przeciwnej stronie ulicy.

Ciągle szukał samochodu Charlesa Grady'ego.

Ciągle szukał Weira.

Co bym zrobił, gdybym był mordercą? - myślał. Jak próbowałbym załatwić Grady'ego? Z tego budynku? Z tamtego samochodu? Czy może byłbym tym przechodniem? Co ta kobieta ma w dziecinny wózek? Co dziwnego jest w czterdziestoletnim dżentelmenie, powoli idącym chodnikiem i jedzącym lody?

Kolejny powolny obrót. Gdzie? Gdzie? Gdzie?

Rozległ się klakson, od strony wejścia na most. Krzyk.

Bell podbiegł parę kroków. Przez głowę przebiegła mu myśl: czy to zmyłka?

A jednak nie. Zwykła kłótnia kierowców.

Obrócił się w stronę wejścia do sądów i jego wzrok padł... na Charlesa Grady'ego, który szedł spokojnie ulicą z pochyloną głową, pogrążony w myślach. Detektyw podbiegł do niego, krzyżąc: Charles! Na ziemię! Weir uciekł!

Grady zatrzymał się, zmarszczył brwi.

Padnij! - wrzasnął Bell resztką sił.

Do prokuratora coś wreszcie dotarło. Ukucnął między dwoma zaparkowanymi samochodami.

Co się stało? - krzyknął. - Co z moją rodziną?

Pilnują jej - odparł detektyw, a do przechodniów krzyknął:

-

Policja! Mamy problem! Proszę opuścić ulicę.

Ludzie błyskawicznie się rozpierzchli.

Rodzina! - Grady był załamany. - Jesteś pewien, że nic im się nie stało?

Oczywiście!

Ale przecież Weir...

Sfingował strzelaninę w areszcie. Wydostał się z budynku i jest gdzieś tutaj. Już jedzie po nas opancerzona furgonetka.

- Bell

rozglądał się przez cały czas, obserwował okolicę. Wreszcie dobiegł do Grady'ego. Osłonił go, stając plecami do biurowca.

- Zostań, gdzie jesteś, Charles. Wyciągniemy cię z tego.

Wyjął zza pasa krótkofalówkę.

359

- Co się dzieje?

Hobbs Wentworth na własne oczy widział, jak jego cel, prokurator, pada na chodnik i kryje się za mężczyzną w sportowej marynarce, z pewnością gliniarzem.

Krzyż w celowniku optycznym wędrował po plecach policjanta. Hobbs szukał miejsca, by oddać strzał do Grady'ego, ale bez skutku. Chociaż... facet osłaniał Grady'ego, ale gdyby strzelić mu przez dolną część kręgosłupa, prokurator dostałby w pierś. Kula mogła jednak zrykoszetować i tylko ranić

Grady'ego, który wówczas by upadł i skrył się za samochodem.

Trzeba szybko podjąć jakąś decyzję, pomyślał Hobbs. Gliniarz już gadał przez radio. Za minutę na ulicy aż zaroi się od niebieskich. Hej, słuchaj, twarde zawodniku, co masz zamiar teraz zrobić?

Gliniarz nadal rozglądał się dookoła. Grady kuczał jak sikająca suka.

W porządku. Strzelę mu w udo, zdecydował Hobbs. Facet najprawdopodobniej padnie do tyłu, odsłaniając cel. Colt to karabin samopowtarzalny; pięć strzałów w dwie sekundy. Nic lepszego nie wymyślę.

Jeszcze sekunda, dwie... może gliniarz przesunie się, pochyli, zejdzie z linii strzału.

Hobbs patrzył w celownik prawym okiem, choć lewe też miał otwarte; krzyżyk celownika optycznego tkwił nieruchomo na plecach Bella. Pomyślał: kiedy wrócę do Canton Falls, zrobię z tego wspaniałą opowieść dla dzieci. Jezus zagra moją rolę, będzie miał wspaniały łuk kompozytowy, zwabi w pułapkę oddział rzymskich żołnierzy, torturujących chrześcijan.

Juliusz Cezar będzie krył się za żołnierzem, ale Jezus przestrzeli tego żołnierza i ukatrupi sukinsyna.

Dobra historia. Dzieci ją pokochają.

Gliniarz nie miał zamiaru odsłaniać prokuratora.

No, to do roboty, pomyślał Hobbs, odbezpieczając karabin. Przeniósł krzyżyk na nogę gliniarza, zaczął powoli ściągać spust. Szkoda, że ten policjant jest biały.

Ale Hobbs Wentworth nauczył się w życiu jednego: do celu się strzela, bez względu na to, kto nim jest.

# P

odnosząc motorolę do ust, Roland Bell czuł jej charakterystyczny zapach: plastiku, metalu i potu. Jednostka ratownictwa, czwórka, dojeżdżacie? - spytał ze swym charakterystycznym, południowym akcentem.

Potwierdzam.

W porządku, więc...

W tym momencie w kanionie ulicy rozbrzmiało echem kilku stłumionych strzałów. Bell drgnął.

Strzały! - krzyknął Charles Grady. - Słyszę strzały! Trafili cię?

Nie ruszaj się. - Detektyw przykucnął obok prokuratora.

Obrócił się, unosząc jednocześnie pistolet. Spojrzał na budynek po drugiej stronie ulicy. Liczył szybko.

Wiem, skąd strzelano - powiedział do mikrofonu. - Grupa cztery, drugie piętro, piąte biuro, licząc od północnej krawędzi budynku!

Potwierdź!

Potwierdzam. Oj...

Aha. Rozumiem, bez odbioru.

Co się dzieje? - Słyszając strzały, prokurator padł na chodnik, a teraz próbował się podnieść.

Leż! - Detektyw prostował się ostrożnie. Nie patrzył już na okna budynku, lecz na idących po chodniku ludzi. Zawsze istniała możliwość, że w pobliżu znajdują się współnicy zamachowca.

Lecz w tym momencie podjechała opancerzona furgonetka jed nostki ratownictwa i pięć sekund później Bell i Grady znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Samochód ruszył z piskiem opon. Jechali na East Side; prokurator miał dołączyć do rodziny.

361

Bell wyjrzał przez tylną szybę - policjanci z jednostki ratunkowej biegli ulicą w stronę biurowca.

Me my go znajdziemy, ale on nas.

Nie da się ukryć, znalazł.

Detektyw zdecydował, że potencjalny zabójca prokuratora wy-bierze strzał z budynku rządowego. Najprawdopodobniej włamie się do któregoś z biur na niższym piętrze, od strony chodnika, z pewnością nie na dach, obserwowany przez kilkadziesiąt kamer ochrony. Sam pozostał na widoku jako przynęta tylko dlatego, że podczas incydentu z zakładnikami dowiedział się pewnej interesującej rzeczy, jak w większości nowych budynków rządowych i tu zainstalowano okna nieotwierające się i wyposażone w kuloodporne szyby, zdolne wytrzymać nawet wybuch niewielkiej bomby. Ponoślił przy tym pewne ryzyko; zamachowiec mógł użyć amunicji przeciwpancernej zdolnej przebić dwuipółcentymetrową szybę, ale w porę przypomniał sobie powiedzenie, które usłyszał dawno temu, przy jakiejś sprawie: „Bóg nie daje pewniaków”.

Postanowił skłonić snajpera do strzału; spękana szyba ujawniłaby wówczas jego kryjówkę.

Pomysł okazał się celny... w ponad stu procentach. Stąd owo niestosowane w komunikacji radiowej „oj”.

Czwórka do Bella. Miałeś rację.

Mów.

Jesteśmy w środku. Zabezpieczyliśmy miejsce. Sprawca za służył na... jak to nazywają?... Nagrodę Darwina? Dla przestępcy, który popełnił największe głupstwo.

Potwierdzam. Co ze sprawcą? - spytał Bell.

Pytanie wynikało stąd, że detektyw nie rozpoznał kryjówki zamachowca po spękanych szkle, tylko po wielkiej plamie krwi na oknie. Policjant z jednostki ratunkowej powiedział, że pociski w miedzianym płaszczu, wystrzelone z karabinu colta, odbiły się od szkła, rozpadły na mnóstwo odłamków i ugodziły strzelca w kilka miejsc, głównie w podbrzusze, przerywając tętnicę. Gdy policja dotarła na miejsce, facet nie żył. Wykrwawił się.

Powiedz mi, że to Weir.

Niestety. Bardzo mi przykro. Sprawca nazywa się Hobbs Wentworth. Mieszkał w Canton Falls.

Roland Bell skrzywił się przeraźliwie. Był wściekły. Weir nadal był na wolności i przypuszczalnie miał pomocników.

- Macie

coś, co mogłoby nam podpowiedzieć, gdzie jest i czego chce?

362

-

Nie - odparł ochryłym głosem dowódca taktyczny. - Tylko dokumenty potwierdzające tożsamość. No i miał jeszcze przy so bie książeczkę z opowieściami biblijnymi dla dzieci. - Policjant umilkł na chwilę. - Przykro mi to mówić, Roland, ale mamy jesz-I cze jedną ofiarę. Wygląda na to, że zabił kobietę, żeby dostać się do budynku. W porządku, zabezpieczamy miejsce i zaczynamy I szukać Weira. Koniec.

Bell spojrział na Grady'ego.

- Ani

śladu Weira - powiedział krótko.

Problem w tym, że to wcale nie musi być prawda. Być może znaleźli mnóstwo śladów Weira, a nawet jego samego: jako gliniarza, sanitariusza, reportera, detektywa po cywilu, przechodnia, bezdomnego... i po prostu go nie rozpoznali.

Przez poźólkłą szybę pokoju przesłuchań Andrew Constable widział ponurą twarz przyglądającego mu się czarnego strażnika. Nagle twarz znikła, widocznie facet wyszedł na korytarz pogadać z kumplami.

Wstał z za metalowego stołu, minął prawnika, podszedł do szyby. Dostrzegł mężczyznę, który jednocześnie spojrział na niego. Strażników było dwóch, toczyli jakąś poważną rozmowę.

Czyli wszystko w porządku.

Mówiłeś coś? - spytał Joe Roth.

Nie. Nic nie mówiłem.

Och, widocznie się przesłyszałem.

A może jednak coś powiedział? Jakies słowo, krótką modlitwę?

Wrócił do stołu. Roth spojrział na niego znad kartki żółtego papieru, na której zapisał kilka nazwisk i numerów telefonów, podanych im przez współpracowników Constable'a z Canton Falls w odpowiedzi na prośbę o informacje o planach Weira.

Adwokat nie czuł się zbyt pewnie. Właśnie dowiedzieli się o kolejnej próbie zamachu na Grady'ego; doszło do niej zaledwie parę minut temu, tuż przed tym budynkiem. Ale to nie Weir był zamachowcem i nadal nikt nie miał pojęcia, gdzie jest i co zamierza.

Obawiam się, że Charles się wystraszył i nie będzie chciał



z nami gadać. Powinniśmy chyba zadzwonić do niego do domu, powiedzieć, co zdobyliśmy. - Postukał palcem w listę nazwisk. -

Albo przynajmniej dać to temu detektywowi... jak mu tam? Aha, Bell.

Właśnie.

363

Prawnik przesunął tłustym paluchem po liście.

- Sądzisz, że ktoś z tych ludzi wie o Weirze coś, co mogłoby do niego doprowadzić? Bo tego właśnie chcą: dorwać faceta.

Constable pochylił się i przyjrzał liście. Przy okazji zerknął na zegarek Joego. Potrząsnął głową.

Bardzo wątpię - powiedział.

-Ty...? Wątpisz?

Jasne. Widzisz ten pierwszy numer?

No... widzę.

To pralnia na Harrison Street w Canton Falls. Ten drugi to Koło Gospodyń Wiejskich. Następny: kościół baptystów. A nazwiska?

No... to współpracownicy Barnes'a.

A skąd. - Constable zachichotał. - Wszystkie wymyślone.

Co? - zdumiał się Roth.

Więzień przysunął się do swego adwokata, spojrzał mu w oczy.

Przecież tłumaczę ci, że nazwiska i numery telefonów są fałszywe!

Nie rozumiem.

A pewnie, ty żałosny, pieprzony Żydzie!

I nim Joseph Roth zdołał się osłonić, dostał potężny cios splecionymi rękoma wprost w twarz.

41

Andrew Constable był silnym mężczyzną. Chodził pieszo na polowanie i ryby, często w odległe miejsca, uprawiał jelenie, ciął kości, rąbał drzewo. Tłusciutki prawnik nie był dla niego żadnym przeciwnikiem. Próbował podnieść się, zawołać o pomoc, ale Constable przycisnął

jego dłonie do blatu stołu i zadał drugi mocny cios w krtań; zamiast krzyku rozległ się zduszony charkot. Ściągnął go z krzesła i zaczął tłuc jego twarzą o podłogę. Niemal natychmiast pozbawił go przytomności, po czym natychmiast z powrotem posadził na krześle, plecami do szyby. Gdyby w tej chwili któryś ze strażników zajrzał do pokoju przesłuchań, zobaczyłby tylko, że prawnik czyta jakieś dokumenty rozłożone na stole. Constable pochylił

się, zdjął jedną ze skarpetek Rotha, wytarł ze stołu część krwi, a resztę przykrył papierami.

Zabije go później. Na razie, najwyżej na kilka minut, bardzo potrzebował takiego niewinnego obrazka.

Za kilka minut będzie wolny.

Wolność...

Przecież plan Ericka Weira prowadził właśnie do tego punktu.

Najlepszy przyjaciel Constable'a, Jeddy Barnes, jego zastępca w Stowarzyszeniu Patriotycznym, wynajął Weira nie po to, by zabił Grady'ego, lecz po to, by uwolnił więźnia ze słynącego z doskonałych zabezpieczeń nowojorskiego aresztu miejskiego, bezpiecznie przeprowadził przez Most Westchnień i wreszcie wywiózł w nowoangielską dzicz, z której Stowarzyszenie Patriotyczne miało nadal prowadzić ideową walkę z brudasami, mieszkańcami i ignorantami. A celem tej walki było pozbycie się z kraju czarnych, gejów, Żydów, Latynosów, obcokrajowców, czyli tych, Przeciw którym Andrew Constable wypowiadał się z wielką

365

pasją podczas cotygodniowych wykładów dla członków Stowarzyszenia Patriotycznego i na ukrytych stronach www, subskrybowanych przez tysiące właściwie myślących obywateli ze wszystkich zakątków kraju.

Constable wstał, podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz. Strażnicy nie mieli zielonego pojęcia o tym, co się przed chwilą zdarzyło w pokoju przesłuchań.

Pomyślał, że przydałaby mu się jakaś broń. Z kieszeni zakrwawionej koszuli Rotha wyciągnął ołówek w metalowej oprawie, której koniec owinął skarpetką, by przy ciosie nie skaleczyć dłoni. Pchnięcie takim narzędziem zadawało poważne, często śmiertelne rany.

Usiadł naprzeciw swego adwokata i korzystając z wolnej chwili, myślał o planie stworzonym przez Weira, czyli, jak go nazywał Jeddy Barnes, Magika. Był to plan genialny przede wszystkim dlatego, że zawierał wiele iluzjonistycznych sztuczek. Finty i finty w fintach, bardzo dokładne rozplanowanie w czasie, sprytnie odwracanie uwagi. A wszystko rozpoczęło się od wbicia policji w głowę pomysłu zamachu na życie Grady'ego. Temu właśnie służyła po pierwsze ofiara wielebneho Svensena, a po drugie - nieudany zamach Ericka Weira. Zajęci chronieniem prokuratora gliniarze zlekceważyli wszystkie inne możliwości, w tym ewentualną ucieczkę Andrew Constable'a z aresztu miejskiego, Weir pozwolił się złapać w trakcie drugiej próby właśnie po to, by trafić do aresztu.

Constable tymczasem miał dokonać kilku własnych zmyłek. Przede wszystkim rozbroić przeciwników, przedstawić się im jako głos rozsądku, dowodzić swej niewinności w dyskusjach, zdobyć zaufanie Grady'ego i wreszcie ściągnąć go do aresztu określonego dnia o określonej godzinie

obietnicą skompromitowania najważniejszych przywódców Stowarzyszenia Patriotycznego. Nie wykluczał nawet pomocy w poszukiwaniach Weira, czym rozbroił policję, jednocześnie stwarzając szansę przekazania Barne-sowi i innym konspiratorom zakodowanej informacji o tym, w którym miejscu aresztu się znajduje, a informacja ta prze: Jeddy'ego dotarłaby do iluzjonisty.

Hobbs Weintworth także był kozłem ofiarnym. Miał zapalc wać na Grady'ego przy wejściu do aresztu, ale to, czy by mu się udało, czy nie, nie miało najmniejszego znaczenia. I znów chodziło tylko o to, by odciągnąć policję od aresztu. Weir, który po s mulowaniu własnej śmierci krążył swobodnie po budynku, miał pojawić się o czasie, w przebraniu, zabić strażników i wyprowadzić Constable'a na wolność.

W plan wpisane było także działanie, na które Constable czekał od wielu tygodni. Jeddy Barnes powiedział:

Tuż przed pojawieniem się Weira w pokoju przesłuchań mu się unieszkodliwić swojego prawnika.

Co to ma znaczyć?

Magik zostawił decyzję tobie. Powiedział tylko, że masz go unieszkodliwić, żeby przypadkiem nie wszedł mu w drogę.

W tej chwili, patrząc na strużki krwi spływające z oczu i ust adwokata, Constable pomyślał: No, ten Żydek z całą pewnością został unieszkodliwiony. Ciekawe, jak Weir załatwi strażników, w jakim przebraniu się pojawi, jaką drogę ucieczki wymyśli.

Dokładnie o czasie rozległ się brzęczyk. A więc droga do wolności została otwarta.

Constable poderwał bezwładne ciało Rotha z krzesła i cisnął je w kąt pokoju przesłuchań.

Pomyślał nawet, że mógłby go spokojnie zabić, przydeptując mu krtań. Ale pewnie Weir ma pistolet z tłumikiem. Albo nóż. A to broń znacznie poręczniejsza.

Rozległ się zgrzyt zamka. Drzwi do pokoju przesłuchań stanęły otworem.

Andrew Constable zdążył jeszcze pomyśleć: Zdumiewające! Weir potrafi przebrać się za kobietę!, lecz w następnej chwili uświadomił sobie, że zna tę rudowłosą policjantkę, która wczoraj przyjechała po Bella.

-

Mamy rannego! - krzyknęła, widząc bezwładne ciało Rotha.

-Wezwać służby ratownicze!

Jeden ze stojących za nią strażników chwycił słuchawkę telefonu, drugi wcisnął czerwony przycisk na ścianie korytarza. Po areszcie poniosło się echem wycie syreny.

Constable nic nie rozumiał. Co się tu dzieje? Gdzie jest Weir?

A ta policjantka? Widział, że w dłoni trzyma pojemnik z gazem łzawiącym, jedyną broń, jaką wolno było nosić w areszcie. Mimo zdziwienia i oszołomienia Constable potrafił myśleć szybko. Skulił się, jęknął, chwycił za brzuch.

- Ktoś tu wszedł! Jakiś więzień. Próbował nas zabić! -W zakrwawionej dłoni krył ołówek. - Jestem ranny. Pchnął mnie w brzuch.

Rzut oka za szybę. Ani śladu Magika.

Policjantka rozejrzała się dookoła. Constable osunął się na Podłogę, myśląc: kiedy podejdziesz bliżej, zadam jej cios w twarz.

Może uda mi się trafić w oko. Albo zabiorę jej gaz, prysnę nim w twarz lub po oczach? Albo przyłożę jej ołówek do szyi; strażnicy pomyślą, że to broń, otworzą mi drzwi. Weir musi być gdzieś

blisko, może nawet tuż za drzwiami.

No, kochanie. Trochę bliżej. Uważaj, upomniał się Constable, może mieć kamizelkę kuloodporną. Mierz w tę śliczną buzię.

Twój prawnik? - spytała Amelia. - Czy on też oberwał?

Tak! To był czarny. Krzyczał, że jestem rasistą i że da mi szkołę! - Opuścił głowę, ale czuł, że policjantka się zbliża. - Joe jest ciężko ranny. Musimy mu pomóc.

Pół metra? Metr? Nie więcej.

A jeśli okaże się, że to biały, normalny biały, ma wszystkie zęby i jego ubranie nie śmierdzi szczynami, to czy nie ulżycie palcowi, choćby trochę?

Constable jęknął.

Czuł, że ruda policjantka jest bardzo blisko. - Sprawdzę, jak ciężko jest pan ranny - powiedziała. Chwycił ołówek. Był gotów do skoku. Podniósł wzrok... i zobaczył wycelowany w twarz pojemnik z gazem łzawiącym.

Amelia wcisnęła przycisk. Z odległości pół metra trafiła go wprost w twarz. Constable miał wrażenie, że usta, nos i oczy przeszywa mu tysiąc igieł. Wrzeszczał, gdy wyrывała mu z dłoni ołówek i kopniakiem przewracała na wznak.

- Dlaczego to zrobiłaś? - krzyknął, próbując unieść się na łokciu. - Dlaczego?

Amelia Sachs zastanawiała się przez chwilę, jak odpowiedzieć na to pytanie, ale szybko podjęła decyzję. Prysnęła mu gazem w twarz po raz drugi.

Wsadziła pojemnik w kaburę na pasie. Drzemiący w niej przy-! J szły sierżant oburzał się na powtórne użycie gazu, ale kiedy dostrzegła błysk ostrza ołówka w jego dłoni, gliniarz z ulicy, którym przecież była, użył wszelkich dostępnych środków obrony i z radością słuchał cholernego bigota, kwiczącego jak zarzynana świnią.

Cofnęła się o krok. Dwaj strażnicy wlekli Constable'a po podłodze.

-

Lekarza! - wrzeszczał wniebogłosy. - Sprowadźcie lekarza!

Moje oczy! Mam prawo do lekarza.

-

Ile razy mam ci mówić, żebyś się zamknął - warknął jeden ze strażników. Constable wierzgał wściekle, dlatego na koryta rzu skuto mu nogi w kostkach.

Sachs i dwaj inni strażnicy zbadali Josepha Rotha. Oddychał jeszcze, ale był poważnie ranny i nieprzytomny. Amelia uznała, że lepiej go nie ruszać, zresztą wkrótce pojawił się miejski zespół ratowniczy i wylegitymowawszy jej się, wziął się do roboty. Udroźnił tchawicę, założył kołnierz ortopedyczny, przeniósł na wózek i zabrał wprost do szpitala.

Amelia wyprostowała się, odetchnęła głęboko, rozejrzała po pokoju i korytarzu, by sprawdzić, czy Weirowi nie udało się jakimś cudem dostać do środka. Nie, z całą pewnością nie. Poszła w kierunku wyjścia, ale pewnie poczuła się dopiero wówczas, gdy od oficera służbowego odebrała swojego glocka. Zadzwoiła do Rhyme'a i poinformowała go, co się stało.

Constable czekał na Maga - dodała.

Na Maga?

Tak sądzę. Kiedy zobaczył, że to ja wchodzę do środka, był

cholernie zaskoczony. Opanował się prawie natychmiast, ale jestem pewna, że spodziewał się kogoś innego.

A więc o to chodziło Weirowi? O wyciągnięcie Constable'a?

Moim zdaniem tak.

Cholera by wzięła te zmyłki! - warknął Rhyme. - Zmusił nas do skoncentrowania się na zamachu na Grady'ego. Do głowy by mi nie przyszło, że chce po prostu uwolnić Constable'a. - Zamilkł na chwilę. - Chyba że ucieczka też jest zmyłką, a Weir naprawdę chce zabić Grady'ego.

To możliwe - przytaknęła Amelia.

- Odkryłaś jakieś ślady Maga?

-Nie.

Rozumiem. Nadal ślęczę nad tym, co znalazłaś w areszcie.

Wracaj, wspólnie się temu przyjrzymy.

Nie wrócę, Rhyme. - Spojrzała na korytarz. Kilkudziesięciu ciekawskich zgromadziło się przed stanowiskiem oficera dyżuru, a wszyscy gapili się na zabezpieczone korytarze. - On tu gdzieś jest. Mam zamiar na niego zapolować.

Opracowane przez Suzuki lekcje gry na pianinie dla dzieci opierały się na zasadzie opanowywania kilkunastu ćwiczeń z coraz to trudniejszych podręczników. Kiedy uczeń opanował ćwiczenia z któregoś z podręczników, rodzice często wydawali przyjęcie dla dziecka, zapraszając na nie najbliższych przyjaciół, rodzinę i nauczyciela muzyki. Rzecz jasna częścią tego przyjęcia jest krótki recital.

Przyjęcie na cześć Christine Grady, która właśnie przyswoiła sobie „Trzeci tom ćwiczeń”

Suzuki, miało się odbyć za tydzień. Dziewczynka ciężko pracowała, siedząc w krótkim pokoju ich miejskiego mieszkania i przygotowując się do koncertu. W tej chwili siedziała przy fortepianie, ćwicząc „Dzikiego jeźdźca” Schumanna.

Jej pokój do ćwiczeń był mały i mroczny, ale Chrissy go uwielbiała. Stało tu kilka krzeseł, kilka półek na nuty i przepiękny krótki fortepian koncertowy, skąd zresztą wzięła się nazwa pokoju.

Wykonanie andante z „Sonatiny C dur” Clementiego wyszło jej może nie doskonale, ale całkiem dobrze. Dziewczynka nagrodziła samą siebie, grając sonatinę Mozarta, jedną z jej ulubionych. Wydawało jej się jednak, że nie gra tak dobrze, jak potrafi - Rozpraszali ją kręcący się wszędzie policjanci. Prawda, wszyscy oni byli bardzo mili, rozmawiali z nią o

„Gwiazdnych wojnach”,

370 <sup>TM</sup>

„Harrym Potterze” i grach komputerowych i przez cały czas się uśmiechali. Ale Chrissy bezbłędnie wyczuwała, że tak naprawdę wcale się nie uśmiechają i chodzi im tylko o to, żeby się nie martwiła, więc ta ich fałszywa swoboda sprawiała, że bała się jeszcze bardziej.

Obecność policjantów w domu oznaczała, że ktoś próbuje skrzywdzić tatę. O siebie Chrissy wcale się nie martwiła, straszne wydawało jej się to, że ktoś może odebrać jej tatusia. Bardzo chciała, by przestał występować przed sądem. Długo zbierała się na odwagę, ale w końcu go o to zapytała. Ale na jej pytania tata

odpowiedział swoim:

Lubisz grać na fortepianie, skarbie?

Bardzo.

Ja tak samo bardzo lubię wykonywać swoją pracę.

Aha, fajnie - odparła, choć wcale nie sądziła, żeby to było fajne. Gra na fortepianie nikogo przecież nie drażni, nikt cię za nią nie nienawidzi, a już z pewnością nie chce cię zabić. Dziewczynka przymknęła oczy, skoncentrowała się na grze, popełniła błąd w pasażu, spróbowała ponownie.

Dosłownie przed chwilą dowiedziała się, że nie będzie im wolno tu mieszkać, że muszą się gdzieś przenieść. Na dzień, może dwa, obiecywała matka, ale co będzie, jeśli okaże się, że potrwa to dłużej? Co będzie, jeśli odwołają jej przyjęcie? Chrissy zdenerwowała się, przestała grać. Zamknęła nuty, schowała je do

tornistra.

Hej, a co to takiego?

Na podstawce pod nuty leżało ciasteczko miętowe i wcale nie to małe, wręcz przeciwnie, wielkie, takie, jakie sprzedają przy kasach Food Emporium. Ciekawe, kto je zostawił? Mama nie pozwalała nikomu jeść w krótkim pokoju, nawet córce, a już zwłaszcza lepkich słodyczy i to podczas ćwiczeń.

Może to prezent od taty? Tata miał wyrzuty sumienia z powodu tych wszystkich kręcących się po mieszkaniu policjantów i dlatego, że wczoraj nie mogła grać w Neighborhood School.

Jasna sprawa. To musi być prezent od taty. Chrissy wyjrzała zza niedomkniętych drzwi. Po korytarzu kręciło się mnóstwo ludzi. Słyszała ich głosy i jeden z nich poznała: miękki, sympatyczny, należący do miłego detektywa z Karoliny Północnej, który miał dwóch synów; obiecał jej, że kiedyś się poznają. Mama wyniosła walizkę z sypialni. Miała smutną minę i mówiła właśnie:

- Przecież to szaleństwo! Nie potraficie znaleźć jednego czło wieka? Cała policja? Nie rozumiem.

Chrissy usiadła wygodnie, rozpakowała ciasteczko i zjadła je powoli. Kiedy skończyła, przyjrzała się palcom. No tak, pobrudziła się czekoladą. Powinna pójść do łazienki i umyć ręce. A przy okazji spłucze celofan w toalecie i mama o niczym się nie dowie. Nazywało się to „niszczeniem dowodów”; mówili o tym w telewizyjnym programie CSI. Rodzice nie pozwalali jej go oglądać, ale czasami się udawało.

Roland Bell i Charles Grady powrócili szczęśliwie do mieszkania prokuratora. Rodzina zaczęła pakować się przed przeniesieniem do bezpiecznego domu, który znajdował się w okolicach Murray Hill. Detektyw przede wszystkim zasunął zasłony i ostrzegł Gradych, by nie zbliżali się do okien. Wyraźnie było widać, że bardzo ich tym zaniepokoił, ale uspokajanie ludzi nie należało do jego obowiązków. Płacono mu za to, żeby nie pozwolił cwany mordercom ich zabijać.

Odezwała się jego komórka. Dzwonił Rhyme.

- Wszyscy bezpieczni? - spytał bez wstępów.

Jak świeżo przewinięte niemowlę w łóżeczku.

Constable powędrował do specjalnie zabezpieczonej celi Pilnowany przez dobrze nam znanych strażników, co?

Amelia twierdzi, że chociaż Weir jest dobry, nie da rady zmienić się w dwóch Shaquille'ów O'Nealów.

Rozumiem. Co z tym jego prawnikiem?

Rothem? Przeżyje. Chociaż nieźle oberwał. Teraz... - Rhyme przerwał. Słuchał kogoś z laboratorium; Bellowi wydawało się, że słyszy cichy głos Mela Coopera. Nie trwało to długo. -

Nadal sprawdzam to, co Amelia znalazła w areszcie. Na razie nie mam żadnych szczegółowych śladów, ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Bedding i Saul znaleźli pokój, otwierany tym plastiko wym kluczem. W Lanham Arms.

Kto go wynajął?

Nazwisko i adres fałszywe, ale opis idealnie pasuje do Weira. Za szafką technicy znaleźli strzykawkę. Nie wiemy, czy zosta wił ją Weir, ale zakładamy, że tak. Mel znalazł na igle ślady czekolady i sacharozy.

Sacharoza to cukier, tak?

Owszem. A w strzykawce był arsenik.

Ktoś wstrzyknął truciznę w słodycze? - domyślił się Bell 372

-

Na to wygląda. Spytaj Grady'ego, czy ktoś przysyłał im ostatnio jakieś czekoladki lub coś podobnego.

Bell przekazał pytanie Rhyme'a. Zarówno prokurator, jak i jego żona stanowczo zaprzeczyli.

Wyraźnie zaniepokoiło ich nawet

takie niewinne pytanie.

-

Nie mamy w domu słodyczy - powiedziała z naciskiem pani Grady.

- Powiedziałaś, że zaskoczył cię dziś po południu, bo zdołał

dostać się do mieszkania bez niczyjej pomocy? - zwrócił się do detektywa Rhyme.

- Jasne.

Byliśmy pewni, że złapiemy faceta przy wejściu,

w piwnicach albo na dachu. Nie spodziewaliśmy się, że może wejść frontowymi drzwiami.

Czyli mógł mieć czas na zostawienie słodyczy w kuchni?

Z pewnością nie tam - wyjaśnił Bell. - W kuchni siedzieli śmy Lou i ja.

Czy miał dostęp do jakichś innych pokoi w mieszkaniu?

Bell przekazał to pytaniem Grady'emu i jego żonie.

A o co chodzi, Rolandzie? - zdziwił się prokurator.

Lincoln znalazł właśnie jakieś nowe dowody i twierdzi, że Weir mógł przemycić tu truciznę.

Najprawdopodobniej w słodyczach. Nie jesteśmy pewni, ale...

Słodyczach? - odezwał się cichy głos za ich plecami.

Bell, Grady i kilku innych gliniarzy, opiekujących się rodziną prokuratora, odwróciło się jak na komendę. W drzwiach stała Chrissy, patrząc na detektywa szeroko rozwartymi ze strachu oczami.

Chrissy? Co się stało? - zdumiała się jej matka.

Słodyczach? - powtórzyła dziewczynka.

Upuściła na podłogę plastikowe opakowanie po ciasteczku i rozplakała się.

Bell stał na chodniku przed domem Grady'ego, obserwując przechodniów. Czuł, jak pocą mu się dłonie.

Dziesiątki ludzi.

Czy któryś z nich jest Weirem?

Albo kimś z tego ich cholernego Stowarzyszenia Patriotycznego?

Podjechała karetka, wyskoczyło z niej dwóch sanitariuszy. Nim dobiegli do wejścia, Bell zatrzymał ich i dokładnie sprawdził

dokumenty.

373

- Co

się dzieje? - spytał jeden z nich, najwyraźniej urażony Ale detektyw zignorował go i zawołał głośno: „W porządku, wy prowadźcie ją!”.

Sprawdził parkujące w pobliżu samochody, obejrzał przechodniów, spojrzął w okna sąsiednich budynków. Gdy uznał, że jest bezpiecznie, gwizdnął. Luis Martinez, potężny i jak zwykle spokojny, wyprowadził do karetki Chrissy i jej matkę.

U dziewczynki nie stwierdzono jeszcze żadnych objawów zatrucia, choć była bardzo blada i trzęsa się od płaczu. Zjadła ciasteczko miętowe, które w tajemniczy sposób pojawiło się w jej pokoju. Bell wiedział, że zostawił je tam Weir; po włamaniu do mieszkania mógł tam wejść bez najmniejszych problemów. Ale detektyw nie rozumiał po prostu, jak można być człowiekiem aż tak złym, by świadomie usiłować skrzywdzić dziecko i choć w swoim czasie on też dał się nabrać na gładką gadkę Consta-ble'a, to teraz rozumiał, do jakiego stopnia zdeprawowani są członkowie Stowarzyszenia Patriotycznego.

Różnice między kulturami? Różnice między rasami? O, nie! Jest tylko jedna różnica. Dobro i uczciwość z jednej strony, zło z drugiej.

Bell poprzysiągł sobie, że jeśli dziewczynka umrze, uczyni celem swego życia dopilnowanie, by i Weir, i Constable zapłacili za to najwyższą cenę.

-

Nie martw się, skarbie - powiedział kojącem głosem do Chrissy, której jeden z sanitariuszy mierzył właśnie ciśnienie.

- Nic ci nie będzie.

Dziewczynka nie odpowiedziała, nadal cicho szlochała. Detektyw zerknął na jej matkę. Pani Grady patrzyła na córkę ze strachem i czułością, lecz na jej twarzy widać też było gniew, wielokrotnie przewyższający ten, który czuł Bell.

Roland Bell zadzwonił do centrali i natychmiast przełączony został na izbę przyjęć szpitala, do którego jechali.

Podjedziemy do was za jakieś dwie minuty - powiedział do dyżurnej pielęgniarki. A teraz proszę wysłuchać mnie bardzo, ale to bardzo uważnie: izba przyjęć i korytarze prowadzące do odziału zatrucić macie oczyścić z ludzi. Wszystkich ludzi. Nie chcę widzieć nikogo, kto nie nosi identyfikatora ze zdjęciem!

Detektywie, tego nie możemy zrobić - zaprotestowała

bieta. -To jest bardzo ruchliwa część szpitala.

Nalegam, szanowna pani.

Nie rozumiem.

- Nalegam. Mamy uzbrojonego zabójcę, polującego na małą dziewczynkę i jej rodzinę. Jeśli zauważymy kogoś bez identyfikatora, aresztujemy go... i nie będziemy wykazywać się cierpliwością.

Mówimy o izbie przyjęć szpitala miejskiego, detektywie. -

Pielęgniarka wyraźnie traciła cierpliwość. - Czy wie pan, na ilu ludzi patrzę w tej chwili?

Proszę pani, nie mam pojęcia. Proszę sobie tylko wyobrazić, że patrzy pani na nich, a oni wszyscy leżą na brzuchach i są związani jak świnie. Tak to będzie wyglądało, jeśli nie usunie ich pa



ni przed naszym przyjazdem. A tak przy okazji to zostały już nie pełna dwie minuty.

-

# S

prawy zmieniają barwę. Charles Grady siedział skulony na pomarańczowym plastikowym krzeselku w poczekalni przed salą ostrego dużur, wpatrzony w zielone linoleum, wydeptane dziesiątkami tysięcy stóp.

-

Sprawy kryminalne, oczywiście.

Roland Bell siedział obok prokuratora. Potężne ciało Luisa sięgało od futryny do futryny jednych drzwi, przy drugich, prowadzących na korytarz, czuwał inny z jego podwładnych z oddziału SWAT, Graham Wilson, poważny, przystojny detektyw, specjalista od rozpoznawania ludzi noszących ukrytą broń. Jego przenikliwe spojrzenie działało niczym aparat rentgenowski.

Pani Grady towarzyszyła córce podczas badań wraz z dwóm pilnującymi ich funkcjonariuszami Bella.

-

Na studiach miałem takiego profesora - mówił dalej Grady, nieruchomy, jakby wyrzeźbiony z kawałka drewna. - Był prokurator, potem sędzią. Powiedział nam kiedyś na ćwiczeniach, że choć praktykuje prawo przez wiele lat, nigdy nie spotkał

swej drodze czarno-białej sprawy. Wszystkie miały różne odci«

nie szarości. Były wśród nich cholernie ciemnoszare, były cholernie jasnoszare, ale wszystkie można było nazwać po prostu szarymi.

Bell zerknął na korytarz. Pielęgniarki przygotowały impro\ zwaną poczekalnię dla rannych rolkarzy i rowerzystów. Zgodni z jego poleceniem tę część szpitala pozostawiono pustą.

-

Ale kiedy włączysz się w sprawę - ciągnął prokurator - to zmienia ona kolor. Staje się czarno-biała. Niezależnie od tego, czy jesteś oskarżycielem czy obrońcą, to już koniec wszechobecnej szarości. Twoja strona ma sto procent racji, jest tą dobrą, 376

I \*

a przeciwna - w stu procentach złą. Dobro i zło. Ten profesor twierdził, że trzeba się bronić przed takim myśleniem. Musisz zawsze pamiętać, że istnieją tylko różne odcienie szarości.

Bell dostrzegł pielęgniarza. Młody Latynos nie wydawał się groźny, ale mimo to skinął na Wilsona, by sprawdził jego identyfikator.

Chrissy przebywała w sali operacyjnej już piętnaście minut. Dlaczego nikt nie przyjdzie, nie powie im, co się właściwie dzieje?

- Wiesz, Rolandzie - mówił dalej Grady - przez wszystkie te miesiące, odkąd dowiedzieliśmy się o spisku w Canton Falls, widziałem sprawę Constable'a jako czarno-białą. Do głowy mi nie przyszło, że może być szara. Rzuciłem przeciwko niemu wszystko, czym dysponowałem.

- Prokurator roześmiał się ponuro, spojrział w stronę korytarza i natychmiast spowaźniał. -

Gdzie jest ten lekarz? - spytał cicho, opuszczając głowę. - Ale... - ciągnął - ...gdybym widział ją szarą, to pewnie nie przydeptywałbym go tak mocno. Gdybym poszedł na kompromis, to może nie wynająłby Weira? Może nie... - Umilkł i tylko ruchem głowy wskazał w kierunku sali operacyjnej, gdzie leżała w tej chwili jego córka. Zachłysnął się i przez chwilę płakał cicho.

-  
Moim zdaniem twój profesor się mylił, Charles - powiedział

cicho Bell. - A już z pewnością mylił się, jeśli chodzi o takiego Constable'a. Ktoś zdolny zrobić coś, co on zrobił... tu nie ma od cieni szarości.

Grady przetarł twarz drżącymi dłońmi.

-  
Twoi synowie, Rolandzie? Byli kiedyś w szpitalu?

Byli. Odwiedzali matkę aż do jej śmierci. Ale Roland Bell nie miał zamiaru o tym rozmawiać.

-  
Bywali, owszem - powiedział niedbale. - Nic poważnego, opatrywanie czoł i palców uszkodzonych przez piłkę do softballu.

Albo przez zawodnika przebiegającego po nich z piłką.

-  
Widzisz? To odbiera człowiekowi oddech. Po prostu zatyka.

Kilka minut później na korytarzu coś się zaczęło dziać. Lekarz w zielonym fartuchu dostrzegł Grady'ego i ruszył powoli w jego kierunku. Bell nic nie odczytał z jego twarzy.

-  
Charles - powiedział cicho.

Prokurator siedział ze spuszczoną głową, kątem oka śledził jednak każdy krok lekarza.

- Czarno-białe - szepnął. - O, Chryste!

Wstał.

Lincoln Rhyme zapatrzył się przez okno w ciemniejące, wieczorne niebo. Z zadumy wyrwał go dzwonek telefonu.

- Polecenie,

przyjąć rozmowę.

Kliknięcie.

-Tak?

-  
Lincoln? Tu Roland.

Mel Cooper odwróci! się i spojrzał przejęty na kryminalistykę. Jak wszyscy wiedział, że Roland Bell jest w szpitalu z rodziną Gradych.

-I co?

-  
Nic jej nie będzie.

Cooper przymknął oczy i podziękował Bogu. Rhyme także poczuł wielką ulgę.

Żadnych śladów trucizny?

Żadnych. Ciasteczko jak ciasteczko.

A więc to także zmyłka - rzekł z namysłem.

Najwyraźniej.

Tylko... o co mu chodzi, do cholery? - spyta! cicho Rhyme, kierując to pytanie bardziej do siebie niż do Bella czy kogokolwiek ze swego otoczenia.

Wszystkie pieniądze postawię na to, że Weir kieruje nas na Grady'ego - powiedział detektyw. -

Co oznaczałoby, że ma jakiś plan wyciągnięcia Constable'a z aresztu. Jest gdzieś w gmachu sądów.

Jedziecie do bezpiecznego domu?

Owszem. Całą rodziną. Będziemy tam siedzieć, aż złapiesz faceta.

Aż go złapię. A co z „jeśli go złapię”?

Skończyli rozmowę. Rhyme odwrócił wózek od okna, podjechał do tablic z wypisanymi na nich porządnie, po kolei gromadzonymi dowodami.

Ręka jest szybsza niż oko.

Nie. Wcale nie.

O co chodzi temu mistrzowi iluzji?

Czując, jak ścięgnięta na jego szyi napinają się aż do granicy skurczu, wyjrzał przez okno, spróbował się uspokoić, logicznie pomyśleć o zagadce, przed którą stanęli.

Hobbs Wentworth, wynajęty morderca, nie żył. Grady'emu i jego rodzinie zapewniono bezpieczeństwo. Constable był doskonale przygotowany do ucieczki z sali przesłuchań, ale Weir nie przyszedł mu z pomocą w żaden widoczny sposób. Wyglądało więc na to, że jego plany diabli wzięli.

378

Ale Rhyme nie zamierza! przyjąć tego oczywistego założenia. Sugerując zamach na życie Christine Grady, odciągnął ich uwagę od śródmieścia i kryminalistyk był skłonny przychylić się do opinii Rolanda Bella, że wkrótce mogą mieć do czynienia z kolejną próbą uwolnienia Adrew Constable'a. A może chodziło o coś jeszcze innego, na przykład o zamach na Constable'a, uniemożliwiający mu złożenie zeznań.

Nie wiedział, co robić, i strasznie go to denerwowało. Rhyme już dawno temu pogodził się z myślą, że w swym obecnym stanie nigdy osobiście nie złapie sprawcy. Kompensował to sobie inteligencją. Siedział nieruchomy w fotelu inwalidzkim, leżał w łóżku, ale to nie przeszkadzało mu w osiągnięciu intelektualnej przewagi nad przeciwnikiem.

Ale nad Weirem, nad Magiem, nie udało mu się osiągnąć przewagi. Mag był człowiekiem zdolnym zmylić każdego.

Rhyme zastanawiał się w tej chwili, co jeszcze można zrobić, by znaleźć odpowiedzi na pojawiające się w związku z tą sprawą pytania.

Sachs, Sellitto i jednostki ratownicze przetrząsali areszt miejski i gmach sądów. Kara rozmawiała z Kadeskym w Cirque Fanta-stique. Thom telefonował do Keatinga i Loessera, byłych asystentów zabójcy. Miał spytać ich, czy Mag kontaktował się z nimi wczoraj lub czy może przypomnieli sobie coś, co mogłoby okazać się przydatne. Zespół Badania Dowodów Fizycznych, wypożyczony od FBI, przeszukiwał gabinet w gmachu rządowym, miejsce śmierci Hobbsa Wentwortha, a technicy w Waszyngtonie zajmowali się analizą włókien i fałszywej krwi, znalezionych przez

Amelię Sachs w areszcie.

Co jeszcze można zrobić, by dowiedzieć się, o co chodzi Weirowi? - pytał sam siebie Rhyme.

Pozostało tylko jedno.

Rhyme zdecydował się zrobić to, czego nie robił od lat.

Sam zaczął chodzić po siatce. Rozpoczął w pokoju zatrzymań męskiego aresztu miejskiego, po czym przeniósł się na kręte korytarze, oświetlone zgnitozielonymi lampami fluorescencyjnymi. Mijał

narożniki, których ostre kanty starły obijające się o nie wózki i palety. Zaglądał do szafek i do kotłowni. Tropił ślady...

i myśli Ericka Weira.

Pracował oczywiście z zamkniętymi oczami, wyłącznie w wyobraźni. A jednak w jakiś sposób tropił przeciwnika.

379

Światła zmieniły się na zielone. Malerick delikatnie dodał gazu. Myślał o Andrew Constable'u, który na swój sposób też był magiem, a przynajmniej tak twierdził Jeddy Barnes.

Niczym doskonały mentalista Constable oceniał człowieka w sekundę i natychmiast przyjmował sposób zachowania, który czynił z nowo poznanego jego wiernego przyjaciela.

Przemawiał z humorem, inteligentnie, przystępnie. Był zawsze racjonalny i zawsze słuchał dyskutanta.

Doskonale sprzedawał się naiwniakom.

A naiwniaków na tym świecie nie brakowało. Mogło się wydawać, że ludzie nie wierzą w nonsensy sprzedawane przez Stowarzyszenie Patriotyczne i podobne do niego ugrupowania.

Ale, jak dawno temu zauważył wielki impresario sztuki cyrkowej, którą uprawiał przecież sam Malerick, P. T. Barnum, co minuta rodzi się na ziemi jakiś frajer.

Jadąc powoli w korkach, jakże charakterystycznych dla niedzielnego popołudnia, Malerick wyobrażał sobie, jak zdumiony był Constable, gdy nadeszła chwila ucieczki. W jego plan wpisane było unieszkodliwienie prawnika. Kilka tygodni temu, w restauracji w Bedford Junction, Jeddy Barnes powiedział:

Wie pan, panie Weir, chodzi o to, że Roth jest Żydem. An drew załatwi go z radością.

Mnie tam nie sprawia to żadnej różnicy - powiedział Male rick. - Jeśli chce, może go nawet zabić. Na plan to nie wpłynie.

Byle usunął go z drogi.

Barnes skinął głową.

- Spodziewam

się, że będzie to dobra nowina dla pana Con stable^.

Z radością wyobrażał sobie rosnącą rozpacz i panikę Constable^, siedzącego obok stygnącego ciała prawnika, czekającego, aż Weir przybędzie z bronią i przebraniem i wyprowadzi go z aresztu, czego przecież wcale nie planowano.

Otworzą się drzwi pokoju przesłuchań, dziesiątki strażników zawloką go z powrotem do celi.

Proces potoczy się jak powinien i Constable oraz Wentworth, Barnes i cała reszta podobnych im neandertalczyków z północy stanu Nowy Jork nigdy nie dowie się, jak i do czego zostali użyci.

Czekając na kolejną zmianę świateł, zastanawiał się, co z jego kolejną zmyłką, „Otruta dziewczynką”. Przyznałby chętnie, że jest melodramatyczna, wręcz szablonowa, ale lata występów na scenie nauczyły go, że im płytszy schemat, tym bardziej cieszy się 380

nim przeciętny widz. W tym wypadku nie wykazał się wyrafinowaniem, nie mógł przecież mieć pewności, że w Lanham znajdą strzykawkę, nie wiedział też, czy dziewczynka - lub ktokolwiek inny - zje ciasteczko. Ale Rhyme i jego ludzie byli wystarczająco dobrzy, by założyć, że odkryją, co podano im do odkrycia i - przerażeni - uznają, iż to kolejny zamach na życie prokuratora i jego rodziny. I w końcu stwierdzą, że w ciasteczku nie było trucizny.

Co wówczas zrobią?

Uznają, że są gdzieś może inne zatrute ciasteczka. A może wezmą to za zmyłkę, mającą odciągnąć ich uwagę od aresztu męskiego, bo przecież Malerick może mieć kolejny plan na uwolnienie Constable'a.

Mówiąc wprost, policja też będzie pływać w bagnie ignorancji... bo i skąd ma wiedzieć, co się dzieje?

A więc, szacowni widzowie, przez dwa ostatnie dni byliście świadkami wyrafinowanego połączenia fizycznego i psychologicznego odwrócenia uwagi.

Fizycznego - przez skierowanie uwagi na mieszkanie Charlesa Grady'ego i gmach męskiego aresztu miejskiego.

Psychologicznego - przez odwrócenie uwagi od tego, czego Malerick rzeczywiście chciał dokonać, ku czemuś bardzo prawdopodobnemu, co - jak mu się zdawało - odkrył ku swej wielkiej satysfakcji Lincoln Rhyme: zabójstwu Grady'ego i uwolnieniu Andrew Constable'a.

Od chwili gdy policja wydedukowała, że takie ma cele, przestała szukać jakichkolwiek wyjaśnień.

A prawdą było to, że Malerick w najmniejszym nawet stopniu nie interesował się sprawą Constable'a. Umiejętnie dostarczał dowodów: iluzjonistyczne sztuczki związane z pewnymi aspektami cyrkowego życia przy okazji pierwszych trzech zbrodni, but z przylepioną do podeszwy psią sierścią i ziemią, odniesienia do pożaru w Ohio, związki z Cirque Fantastique... wszystko to przekonało policję, że jego intencją nie była zemsta na Kadeskim, ponieważ, jak powiedział mu Lincoln Rhyme, było to zbyt oczywiste. Musiało chodzić o coś zupełnie innego.

Ale nie chodziło.

W tej chwili, ubrany w fartuch sanitariusza, wjechał karetką przez boczną bramkę prowadzącą do namiotu Światowej Sławy, Wielkiego, Uznanego przez Krytyków na Całym Świecie Cirque Fantastique.

Zaparkował pod rusztowaniem łóż, wysiadł z szoferki, rozejrzał się dookoła. Nikt nie zwrócił uwagi na karetkę: ani policja,

381

ani żaden z wielu strażników, ani pracownicy cyrku. Po porannej panice, spowodowanej informacją o podłożeniu bomby, obecność karetki w tym miejscu wydawała się całkowicie naturalna.

Spójrzcie, szacowni widzowie, oto iluzjonista, stojący pośrodku niewidocznej jeszcze sceny.

Oto „znikający człowiek”, obecny, lecz niewidzialny.

Nikt nie zainteresował się samą karetką, która nie była wcale prawdziwą karetką, tylko „fałszywką”, samochodem kupionym kilka miesięcy temu, który samodzielnie upodobił do ambulansu. Zamiast wyposażenia medycznego za przednim siedzeniem znajdowało się kilkanaście plastikowych beczek z ponad trzema tysiącami litrów benzyny, podłączonych do prostego detonatora. Już wkrótce benzyna zapłonie, zabójcza kula ognia sięgnie namiotowego płótna, ławek i ciał przeszło dwóch tysięcy ludzi.

A wśród nich będzie Edward Kadesky.

Bo widzi pan, panie Rhyme, kiedy rozmawialiśmy w pańskiej sypialni, podczas numeru „Zwęglony człowiek”, to ja tak tylko sobie gadałem. Kadesky i Cirque Fantastique zrujnowały mi życie, zabiły ukochaną, więc mam zamiar ich zniszczyć. Chodzi właśnie o zemstę. Tylko i wyłącznie o zemstę.

Ignorowany przez wszystkich Malerick spokojnie wyszedł z namiotu. Wkrótce pozbędzie się fartucha sanitariusza, dokona szybkiej zmiany i wróci wieczorem. Zajmie miejsce na widowni i będzie oglądał wspaniałą kulminację własnego przedstawienia.

o namiotu wchodziły rodziny, grupki przyjaciół, pary oraz mnóstwo rozbawionych dzieci.

Zapełniały się ławki, krzeselka i łoże, ludzie zmieniali się powoli w nowy twór: widzów; całość zupełnie inną niż składające się na nią części. Metamorfozy...

Kara westchnęła. Zatrzymała przechodzącego obok strażnika. - Proszę pana, czekam bardzo długo. Nie wie pan, kiedy wróci pan Kadesky? To bardzo ważna sprawa.

Strażnik nic nie wiedział, podobnie jak dwóch kolejnych pracowników cyrku, do których zwróciła się z tym pytaniem.

Zerknęła na zegarek i serce jej się ścisnęło. Oczami wyobraźni widziała leżącą w łóżku matkę, rozglądającą się po pokoju, przytomną, tryskającą energią, zastanawiającą się, gdzie też podziela się jej córka. Dziewczyna omal nie rozplakała się ze złości. Wpadła w pułapkę.

Wiedziała, że musi zostać, zrobić wszystko, co w jej mocy, by powstrzymać Weira, a jednak bardziej niż czegokolwiek pragnęła znaleźć się przy boku matki.

Wróciła do wielkiego, jaskrawo oświetlonego namiotu. Artyści zgromadzili się za sceną, gotowi do występu; ich twarze zasłaniały owe niesamowite maski rodem z komedii delParte.

Niektóre z siedzących na widowni dzieci także miały maski, kupione w stoiskach z pamiątkami: haczykowate złowrogie nosy, okrągłe nosy klaunów, ostre dzioby. Rozglądały się dookoła, podniecone i zachwycone... lecz, zauważyła Kara, nie wszystkie. Niektóre rozglądały się dookoła niepewnie. Być może maski i niesamowite dekoracje zbytnio przypominały im filmowe horrory?

Kara uwielbiała występy dla dzieci, choć wiedziała, że wymagają niezwyklej ostrożności i skupienia uwagi; rzeczywistość

383

dzieci różniła się od rzeczywistości dorosłych, iluzjonista bardzo łatwo mógł zniszczyć ich poczucie spokoju. Dla młodej widowni wykonywała wyłącznie zabawne iluzje, po czym, bywało, gromadziła widownię wokół siebie, na scenie, i - jak to mówią iluzjoniści - puszczała farbę.

Kara była świadoma otaczającej ją ze wszystkich stron magii. Poruszona, oczekiwała początku przedstawienia, jakby sama miała w nim wystąpić. Czuła, że pocą się jej dłonie.

Och, oddałaby wszystko, by czekać teraz w jednym z namiotów służących za garderoby.

Zadowolona, pewna siebie, ale też napięta, z uwagą obserwowała zegar odliczający czas do występu, podczas gdy serce biłoby jej coraz szybciej. Na tym świecie nie sposób czuć się lepiej.

Uśmiechnęła się smutno. Owszem, dostała się do Cirque Fan-tastique.

Jako goniec.

W tym momencie musiała zadać sobie pytanie: czy jestem wystarczająco dobra? Mimo tego, co mówił David Balzac wierzyła, że tak. Przynajmniej tak dobra jak, powiedzmy, Harry Houdini podczas swych pierwszych występów, kiedy to jedynymi uwalniającymi się z więzów byli widzowie, wymykający się z pokazu, znudzeni lub nawet zażenowani tym, jak psuł nawet najprostsze sztuczki. Robert-Houdin u progu swej wielkiej kariery nudził

widownię do tego stopnia, że uciekał się do nakręcanych zabawek -automatów, w tym słynnego Turka, który zamiast niego grał z wybranymi widzami w szachy.

Gdy jednak obserwowała kulisy, setki ludzi, którzy występowali na arenie od dziecka, w głowie słyszała głos Davida Balzaca: „Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie...". Przyjmowała tę opinię z rozczarowaniem, ale była ona dla niej w pewien sposób wygodna. Ma rację, zdecydowała. On jest



mistrzem, ja tylko terminuję. Muszę zaufać opinii eksperta. Jeszcze rok, może dwa lata. Warto poczekać.

A poza tym mama...

Być może mama siedzi w tej chwili w łóżku, rozmawia z Jay-nene i zastanawia się, gdzie jest córka... córka, która porzuciła ją w chwili, gdy powinna być przy jej boku.

Na schodach pojawiła się asystentka Kadesky'ego, skinęła na nią dłonią. Czy to już...?

Błagam!

Ale nie.

- Telefonował przed chwilą - powiedziała młoda kobieta. - Miał w radiu wywiad, który się trochę przeciągnął. Przyjedzie lada chwila. Tam jest jego łoża. Może pani w niej zaczekać.

Kara skinęła głową i, przygnębiona, udała się do wskazanej łoży. Usiadła, rozejrzała się dookoła. Magiczna transformacja dobiegła wreszcie końca: na widowni nie było wolnego miejsca. Mężczyźni, kobiety i dzieci stali się wreszcie widzami.

Łup!

Kara drgnęła. Przez namiot przetoczył się potężny huk bębna. Światła zgasły, zapanowały egipskie ciemności, w mroku widać było jedynie czerwone światełka nad wyjściami awaryjnymi.

Łup!

Na widowni zapadła martwa cisza.

Łup... łup... łup!

Kolejne, potężne, powolne uderzenia w bęben. Czuło się je całym ciałem.

Łup... łup...!

Jasne światło punktowego reflektora oświetliło środek sceny i stojącego na niej Arlekiną, ubranego w kraciasty strój i maskę. Arlekin uniósł berło wysoko nad głowę, rozejrzał się dookoła figlarnie.

Łup!

Arlekin zrobił pierwszy krok. Ruszył wokół sceny, a za nim szła procesja artystów: innych postaci z commedia delParte oraz duchów, elfów, książąt, księżniczek, czarodziejów.

Niektórzy po prostu maszerowali, inni tańczyli, jeszcze inni wykonywali numery akrobatyczne z fascynującą powolnością akrobatów występujących pod wodą, niektórzy szli na szczydłach z gracją, która dana jest niewielu ludziom spacerującym swobodnie na własnych nogach, niektórzy wreszcie jechali na rydwanach i wózkach, udekorowanych siatkami, piórami, koronkami i małymi świecącymi światełkami. A wszyscy poruszali się w rytmie narzucanym przez bęben.

Łup... łup...!

Zamaskowane twarze, twarze pomalowane białą, czarną, srebrną i złotą farbą, twarze błyszczące od lśniącego pudru. Dłonie zonglujące świecącymi kulami, niosące pochodnie, świece i latarnie, rozrzucające confetti białe jak śnieg.

Była to procesja powolna, dostojna, lecz także groteskowa i zabawna...

Łup!

384

385

...średniowieczna i futurystyczna, hipnotyzująca. I z wielką siłą, wprost, przekazywała jedną myśl: cokolwiek istnieje poza tym namiotem, tu nie ma żadnego znaczenia. Możesz zapomnieć o wszystkim, czego nauczyłeś się o życiu i ludzkiej naturze, o samych prawach fizyki. Twe serce nie

bije już swym naturalnym rytmem, lecz w rytm wielkiego bębna, dusza nie jest już twoja, lecz uleciała z tą nieziemską paradą, zmierzającą powoli, lecz nieuchronnie w świat iluzji.

Szacowni widzowie, oto wielki finał naszego występu. Nadszedł czas, by przedstawić najśłynniejszą - i najbardziej kontrowersyjną - iluzję. Odmianę niesławnego „Płonącego lustra”.

Podczas przedstawienia, zaprezentowanego wam w tym tygodniu, widzieliście iluzje stworzone przez mistrzów tak słynnych jak Harry Houdini, P.T. Selbit czy Howard Thurston.

Ale nawet oni nie ośmielili się wykonać „Płonącego lustra”.

Podczas tego numeru iluzjonista trafia do piekła. Otaczają go zbliżające się nieuchronnie płomienie, a jedyną drogą ucieczki jest lustro, również chronione ogniem.

Lecz niewykluczone, że nie ma drogi ucieczki? Muszę was uprzedzić, szacowni widzowie, że ostatnia próba przedstawienia „Płonącego lustra” skończyła się tragedią. Wiem, ponieważ tam byłem.

Zatem proszę, wykorzystajcie tę krótką wolną chwilę, rozejrzyjcie się dookoła, zastanówcie, co byście zrobili, gdyby zdarzyło się nieszczęście.

Chociaż nie, na to jest już za późno. Być może najlepsze, co możecie teraz zrobić, to modlić się.

Malerick powrócił do Central Parku. Stał pod drzewem, niespełna pięćdziesiąt metrów od rozświetlonego w mroku, białego namiotu Cirque Fantastique.

Znów był brodaty, miał na sobie dres i gruby sweter z golfem. Spod czapki Chase Manhattan 10K Run for the Cure wyglądały spocone jasne włosy. Plamy fałszywego potu, wprost z butelki, plamiły dres, dodając autentyczności kolejnej odgrywanej przez niego postaci: pomniejszego urzędnika wielkiego banku, odbywającego coniedzielną wieczorną przebieżkę, który zatrzymał się, by złapać oddech, i przy okazji obserwuje namiot cyrkowy. Zachowanie doskonale naturalne.

Uświadomił sobie, że jest wręcz przedziwnie spokojny. Przypomniało mu to dawne czasy, moment po pożarze cyrku Hasbro, gdy nie dotarła jeszcze do niego cała groza tego, co się stało. Powinien wówczas skulić się, krzycząc z bólu, lecz on nic nie czuł. Zapadł w emocjonalną śpiączkę. I to samo czuł w tej chwili, słuchając muzyki, której niskie tony wydawały się nienaturalnie wzmocnione przez napięte namiotowe płótno, choć nie zagłuszały oklasków, śmiechów, zdumionych westchnień.

Gdy jeszcze Malerick występował, właściwie nie znał tremy. Skoro wiesz, że występ jest efektowny, skoro ćwiczyłeś wystarczająco często i długo, niby czym miałbyś się denerwować? I teraz także nie czuł niepokoju. Zaplanował wszystko bardzo starannie, nie miał więc wątpliwości, że jego występ przebiegnie tak jak powinien.

Kiedy przyglądał się namiotowi w jego ostatnich minutach istnienia na tej ziemi, przed szerokim wyjściem towarowym, przez które wcześniej wjechał karetką, dostrzegł dwie postacie, mężczyzny i młodej kobiety. Rozmawiali o czymś z pochylonymi głowami, przemawiając jedno drugiemu do ucha; tylko w ten sposób można było porozumieć się mimo głośniejszej muzyki.

Tak! Mężczyzną był Kadesky. I po co było martwić się, że w momencie wybuchu producent będzie gdzieś daleko? A dziewczynę widział u Lincolna Rhyme'a. Miała śmieszne, rudofioletowe włosy.

Jestem iluzjonistką...

To ty tak twierdzisz, pomyślał z drwiną.

Kadesky wskazał dłonią wejście do namiotu. Oboje poszli powoli w tym kierunku. Zdaniem Malericka znaleźli się nie więcej niż trzy metry od fałszywej karetki.

Zerknął na zegarek. Już niemal czas.

A teraz, szacowni widzowie, moi przyjaciele...

Dokładnie o dziewiątej wieczorem z wejścia do namiotu wystrzeliła smuga ognia. Sekundę później tańczący cień płomieni ukazał się na płótnie namiotu Cirque Fantastique. Płonęły ławki, płonęły dekoracje, płonęli ludzie. Muzyka nagle umilkła, rozległy się rozpaczliwe krzyki, u szczytu namiotu pojawiły się kłęby dymu.

Malerick wpatrywał się w ten straszny widok szeroko rozwartymi oczami.

388

Kłęby dymu gęstniały, krzyki były coraz rozpaczliwsze.

Malerick całą siłą woli walczył z tym, by nie uśmiechać się nienaturalnie. Odmówił modlitwę dziękczynną; nie, nie wierzył w żadne bóstwo, któremu należałyby się słowa podziękki, zwrócił się więc do ducha Harry'ego Houdiniego, jego wzoru, świętego patrona iluzjonistów.

Usłyszał krzyki ludzi znajdujących się obok niego, w tym odległym zakątku parku, biegnących ku namiotowi, być może po to, by pomóc ludziom, być może po to, by po prostu się pogapić. Malerick odczekał jeszcze kilka chwil, ale wiedział, że wkrótce pojawią się tu setki policjantów. Przybrał zatroskany wyraz twarzy, wyciągnął telefon komórkowy i przyłożył go do ucha, jakby wzywał straż pożarną. Wolnym krokiem przeszedł na chodnik.

Powinien iść dalej, jednak przystanął. Obejrzał się; gęsty dym nie zasłonił jeszcze wielkich flag przed namiotem. Na jednej z nich Arlecchino, Arlekin, wyciągał rękę ku widzowi.

Szacowni widzowie, jak widzicie, moja dłoń jest pusta.

Tylko że wzorem specjalistów od zręcznej ręki, dłoń Arlekina wcale nie była pusta. Ukrył w niej coś, bardzo zgrabnie, pod palcem odwróconej dłoni.

I tylko Malerick wiedział, co to jest.

Wiedział, że jest to śmierć.

Część III

Puszczanie farby

Niedziela, 18 kwietnia - wtorek, 22 kwietnia

Prawdziwie wielki iluzjonista przedstawia swą iluzję tak, by ludzie poczuli się nie tylko zmyleni, lecz także głęboko poruszeni.

S.H. Sharp

a West Side Highway camaro Amelii, mknący w stronę Central Parku, osiągnął sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

W odróżnieniu od FDR Drive, drogi szybkiego ruchu o bezkolizyjnych wjazdach, West Side Highway była tu wręcz najeżona światłami drogowymi, a przy Czternastej Ulicy znajdował się garb, po którego pokonaniu uszkodzony chevrolet wpadł w poślizg, zarzucił niebezpiecznie i ze zgrzytem gniecionej blachy otarł się o betonową barierkę.

A więc morderca znów wprowadził ich w błąd kolejną genialną zmyłką. Celem Weira nie była ani śmierć Charlesa Grady'ego, ani uwolnienie Andrew Constable'a. Tym ich tylko zwodził. Weir zamierzał zrobić to, co odrzucili wczoraj jako zbyt oczywiste. Zniszczyć Cirque Fantastique.

Rhyme zadzwonił, kiedy zamierzała sprawdzić jedną z ostatnich możliwych kryjówek w areszcie miejskim. Glocka trzymała wysoko, wyciągnęła nogę, by wykopać drzwi... i w tym momencie odezwała się krótkofalówka. Lon Sellitto i Roland Bell jechali do cyrku, Mel Cooper biegł do parku, kierował się tam także Bo Haumann i kilkunastu funkcjonariuszy zespołu ratowniczego. Potrzebowali wszystkich sił, Lincoln Rhyme kazał jej wracać tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Jadę - powiedziała i wyłączyła radio. Odwróciła się, już miała pobiec korytarzem, ale zawahała się w ostatniej chwili i wykopała drzwi, przed którymi stała.

Na wszelki wypadek.

Pokoik był pusty i cichy... ale wyobraziła sobie, że słyszy kpiący śmiech zabójcy.

393

Pięć minut później siedziała już za kierownicą camaro, wciskając gaz do dechy.

Na skrzyżowaniu z Dwudziestą Trzecią zapaliło się czerwone światło. Na szczęście ruch był niewielki, więc przejechała skrzyżowanie, polegając przede wszystkim na ciągle działającej kierownicy niż zawodnych hamulcach, no i na instynkcie samozachowawczym obywateli, poddających się przecież urokowi wystawionego na dach błękitnego migającego światła.

Przeskoczyła skrzyżowanie, zredukowała bieg, wcisnęła gaz, przyspieszyła do sto pięćdziesiątki. Na siedzeniu pasażera odnalazła motorolę, wezwała Rhyme'a, poinformowała go, gdzie jest, i spytała, czego dokładnie od niej chce.

Malerick wyszedł z parku wolnym krokiem. Od czasu do czasu potracali go ludzie biegnący w przeciwnym kierunku, w stronę pożaru.

Co się dzieje?

Jezu!

Policja... czy ktoś zawiadomił policję?

Słyszycie te krzyki? O, Boże!

Na rogu Central Park West i jednej z poprzecznych ulic zderzył się z młodą Azjatką, patrzącą na park z wyraźnym niepokojem.

-

Nie wie pan, co się tam stało? - spytała.

Malerick pomyślał: tak, wiem, co się stało. Mężczyzna, który zniszczył mi życie... i jego cyrk... właśnie umierają. Ale marszcząc brwi, odparł:

-

Nie wiem. Ale to chyba coś poważnego.

Skinął głową i ruszył na zachód, rozpoczynając niespieszny powrót do mieszkania. Szedł okrężną drogą, dokonał także kilku szybkich zmian; mógł być całkowicie pewien, że nikt go nie śledzi.

Jego plan zakładał spędzenie nocy w domu i wyjazd do Europy następnego dnia. Tam zamierzał ćwiczyć przez kilka miesięcy, a potem wznowić występy... pod nowym nazwiskiem. Poza „szacownymi widzami” nikt przecież nie wiedział, kim jest Malerick.

Malerick dopiero miał stać się sławny. Tylko jednego żałował: nigdy już nie będzie mógł pokazać widzom swego ulubionego numeru, „Płonącego lustra”, związanego z nim tak ściśle, że z pewnością by go zdemaskował. A także wielu innych: bruchomówstwa, mentalizmu i kilku prostszych magicznych sztuczek. Jak wykazały zdarzenia z ostatniego tygodnia, sama różnorodność repertuaru była, jeśli można tak powiedzieć, puszczeniem farby na temat jego tożsamości.

Malerick doszedł do Broadwayu, przystanął, rozejrzał się, po czym zawrócił w stronę mieszkania. Cały czas obserwował okolicę i miał absolutną pewność, że nikt go nie śledzi.

Wszedł do domu, zatrzymał się w korytarzu, przez pięć minut przyglądał się ulicy. Przeszedł nią starszy pan z pudłem, Malerick rozpoznał w nim sąsiada mieszkającego po przeciwnej stronie ulicy, oraz dwie nastolatki liżące lody. Przejechał dzieciak na rolkach. Potem nie pojawił się już nikt. Ulica opustoszała, jutro był poniedziałek, dzień szkoły i pracy, ludzie siedzieli w domach, prasowali ubrania, pomagali dzieciom odrabiać lekcje lub też siedzieli przyklejeni do telewizorów, oglądając raport specjalny CNN o tragicznych zdarzeniach w Central Parku.

Wszedł do mieszkania i zgasił wszystkie światła.

Oto, szacowni widzowie, koniec przedstawienia. Wszystko się kiedyś kończy.

Naturą naszej profesji jest jednak to, że wszystko, co dla dzisiejszych widzów jest stare i zużyte, gdzie indziej, jutro i pojutrze, wyda się nowe i zachwycające dla innej widowni.

Czy wiedzieliście, przyjaciele, że wywołanie przed kurtynę nie służy podziękowaniu występującemu artyście, lecz daje mu szansę, by podziękował wam, szacowni widzowie, którzy byliście tak uprzejmi, że poświęciliście mu czas i uwagę.

Dziś więc to ja, szacowni widzowie, biję wam brawo za łaskę, której udzieliliście mi, obserwując to skromne przedstawienie. Mam nadzieję, że nie znudziłem was i że dobrze się bawiliście. Mam nadzieję, że wniosłem w wasze serca odrobinę radości i że zawiodłem was do krainy cudów, gdzie życie zmienia się w śmierć, śmierć w życie, a to, co rzeczywiste, w to, co nierzeczywiste.

Szacowni widzowie, kłaniam się wam nisko...

Malerick zapalił świecę. Usiadł na kanapie, wpatrując się w płomień nieruchomym wzrokiem.

Wiedział, że dziś zadrży, że przekaże mu wyczekiwaną wieść.

Siedział wyprostowany, radując się dokonaną zemstą. Kiwał się w przód i w tył powoli, w hipnotycznym rytmie. Oddychał płytko.

Płomień drgnął.

395

Tak!

Przemów do mnie.

Drgnij, błagam, drgnij...

I kilka chwil później płomień drgnął. Z pewnością me było to złudzenie.

Ale nie dlatego, że przekazywał wiadomość z zaświatów, od duchów ukochanych, którzy odeszli.

Poruszył go powiew świeżego kwietniowego powietrza, przeciąg wywołany przez kilku policjantów jednostki szturmowej w pełnym umundurowaniu, którzy wywalili drzwi jego mieszkania taranem, rzucili zdumionego Maga na podłogę, po czym rudowłosa kobieta, którą widział w mieszkaniu Rhyme'a, przyłożyła mu do karku lufę pistoletu i spokojnym, pewnym głosem poinformowała go o jego prawach.

Dwaj policjanci jednostki ratowniczej, ciężko posapując, wnieśli po schodach Rhyma oraz jego wózek i troskliwie ustawili go w korytarzu. Stamtąd kryminalistyk pojechał swym silver arrow do mieszkania Maga. Zatrzymał się obok Amelii.

Podczas gdy policjanci przetrząsali mieszkanie, Rhyme przyglądał się Bellowi i Sellitcie, przeszukującym zdumionego iluzjonistę. Sam zasugerował im, by uciekli się do pomocy lekarza wypożyczonego z Wydziału Medycyny Sądowej. Lekarz pojawił się chwilę później i natychmiast udowodnił swą przydatność. Znalazł szereg nacięć na skórze zatrzymanego; wyglądały jak blizny, lecz były w istocie miniaturowymi kieszeniami, w którym znajdowały się niewielkie metalowe narzędzia.

- Odwieźcie go do szpitala w areszcie, niech mu zrobią rentgen - powiedział Rhyme. -

Do diabła, nie rentgen, tylko rezonans magnetyczny. Mają zbadać każdy centymetr kwadratowy faceta.

Magowi nałożono na ręce trzy pary kajdanek, na nogi dwie. Dwaj policjanci unieśli go i posadzili na podłodze. Oczy w brodatej twarzy ze zdumieniem wpatrywały się w kryminalistykę, on tymczasem rozglądał się po pokoju, wypełnionym magicznymi akcesoriami. Maski, fałszywe dłonie i różne lateksowe rekwizyty sprawiały, że wyglądał

trochę niesamowicie, ale Rhyme wyczuwał przede wszystkim smutek i samotność w przedmiotach, które miały rozbawiać dziesiątki tysięcy ludzi, a tymczasem służyły mordercy w jego strasznych celach.

-

Jaki...? - szepnął Mag.

Rhyme zauważył na jego twarzy zdumienie, a także konsternację. Bardzo mu się to spodobało.

Wszyscy myśliwi twierdzą

397

zgodnie, że poszukiwanie zdobyczy to najwspanialsza część polowania, ale żaden myśliwy nie będzie naprawdę wielki, jeśli największej przyjemności nie poczuje, gdy dopadnie ofiary.

Jakim cudem udało ci się to wszystko poskładać? - wydyszał

Mag swym astmatycznych głosem.

Jakim cudem zorientowałem się, że chodzi ci o cyrk? -

Rhyme zerknął na Sachs.

-Nie mieliśmy wielu dowodów, ale te, co były, sugerowały, że...

- Sugerowały? - przerwał jej oburzony Rhyme. - One wręcz do nas wrzeszczały!

- ...sugerowały - powtórzyła niewzruszona Amelia - co na prawdę masz zamiar zrobić. W piwnicach aresztu, w szafce, zna leżliśmy dwie torby z ubraniami i fałszywą raną.

Znaleźliście torby?

Na butach i garniturze zostało trochę zaschniętej czerwonej farby. I włókna z dywanu.

- Założyłem, że ta farba była ci potrzebna jako fałszywa krew. - Rhyme potrząsnął głową. Był na siebie wściekły. - To było logiczne założenie, ale powinienem zbadać także inne możliwości. FBI

zidentyfikowało ją jako farbę samochodową Jenkin Manufacturing. Odcień pomarańczowoczerwony, używany tylko do samochodów pogotowia i straży pożarnej. Tę farbę sprzedaje się wyłącznie w małych puszkach, do poprawek.

Włókna też pochodziły z samochodu: wykładziny, używanej w starych karetkach GMC, które przestano produkować osiem lat temu.

- Więc Lincoln doszedł do wniosku, że ostatnio kupiłeś albo ukradłeś starą karetkę i trochę ją podszykowałeś - podjęła opowieść Sachs. - Być może chciałeś nią uciec, być może potrzebna ci była do kolejnego zamachu na Charlesa Grady'ego? Nagle przypomniałam sobie opiłki mosiądzu i zadałam sobie pytanie: a jeśli rzeczywiście pochodziły z zapalnika czasowego, jak kiedyś myśleliśmy? A ponieważ w domu Lincolna użyłeś chusteczki zamoczonej w benzynie, wydawało się rozsądne założyć, że w karetce masz zamiar umieścić bombę benzynową.

A potem wystarczyło uciec się do logicznego rozumowania...

Grał na wycucie, o to chodzi - zakpił Bell.

Wycucie - oburzył się Rhyme. - Wycucie to nonsens, liczy się wyłącznie logika. To podstawa nauki, a kryminalistyka jest czystą nauką.

398

Sellitto teatralnie przewrócił oczami. Niesubordynacja w szeregach w niczym jednak nie tłumiała entuzjazmu Lincolna Rhyme'a.

- Mówiłem o logice, tak? Aha, Kara powiedziała nam o odwróceniu uwagi widzów i kierowaniu ich spojrzenia tam, gdzie nie chcesz, żeby patrzyli.

Najlepsi iluzjoniści przygotowują sztuczkę tak perfekcyjnie, że w rzeczywistości wskazują na metodę, na to, co i jak chcą osiągnąć, ale my im nie wierzymy. Patrzymy w innym kierunku.

Kiedy to się zdarzy, to koniec. Wy przegraliście, on wygrał.

- Tak

właśnie zrobiłeś... i muszę powiedzieć, że to był błyskośliwy pomysł. A ja nie rzucam komplementami na prawo i lewo, prawda, Sachs? Chciałeś zemścić się na Kadeskim za pożar, który zniszczył ci życie. Zaplanowałeś więc swój występ tak, by do końca zemsty, ale pozostać na wolności. W ten sam sposób postępowaliśmy na scenie: kładłeś kolejne warstwy zmyłek. - Rhyme zmrużył oczy, próbując coś sobie przypomnieć. - Pierwsza zmył-

ka... zmusiłeś... Kara twierdzi, że tak to się nazywa w języku iluzjonistów...

Zabójca milczał.

- Jestem

pewien,

że użyła właśnie tego słowa. W każdym razie

najpierw zmusiłeś nas do przyjęcia założenia, że chcesz zniszczyć cyrk z zemsty. Nie wierzyłem w to, jako zbyt oczywiste. Nasze podejrzania doprowadziły do zmyłki numer dwa: podsunąłeś nam wycinek z gazety z artykułem o Gradym, rachunek z restauracji, przepustkę prasową, klucz hotelowy, żebyśmy myśleli, że chcesz zamordować prokuratora. I kurtka od dresu nad Hudsonem... liałeś zamiar zostawić ją na miejscu, prawda? Kolejny podłożony dowód, który mieliśmy znaleźć. Mag skinał głowę.

Tak, oczywiście. Ale wasi ludzie zaskoczyli mnie, musiałem iciekać... i wyszło lepiej. Bardziej naturalnie.

W tym momencie - kontynuował Rhyme - założyliśmy, że jesteś wynajętym zabójcą, używającym

iluzji, by zbliżyć się do Charlesa Grady'ego i zamordować go. To właśnie podejrzewali-ly... do pewnego stopnia. Mag uśmiechnął się lekko.

Do pewnego stopnia. No tak, kiedy używa się zmyłki, by szukać ludzi... inteligentnych ludzi... oni zawsze pozostają po-iejrzliwi.

W tym momencie przyszedł czas na zmyłkę numer trzy. Mieliśmy trzymać się z dala od cyrku, więc podsunąłeś nam inny pomysł. Dałeś się zatrzymać w taki sposób, żebyśmy pomyśleli, że nie zamierzasz zabić Grady'ego, ale wyciągnąć z więzienia Con-stable'a.

Wówczas zapomnieliśmy już o cyrku i Kadeskym. Ale tak naprawdę Constable i Grady wcale cię nie obchodzili.

Oczywiście. Byli rekwizytami, mieli was ogłupić.

Stowarzyszenie Patriotyczne poczuje się nieszczęśliwe -

mruknął Sellitto. Mag skinął głową. - Owszem. Ale powiedziałbym, że jest to najmniejszy z moich

problemów.

Rhyme za wiele wiedział o Constable'u i stowarzyszeniu, by traktować ich tak lekceważąco.

Bell skinął głową w kierunku Maga i spytał Rhyme'a:

Tylko co mu dawało wystawienie Constable'a i zaplanowa nie tej lewej ucieczki?

Ależ to oczywiste! - wtrącił się do rozmowy Sellitto. - Chciał

nas odciągnąć od cyrku. To mu ułatwiało podłożenie bomby.

- A

właśnie że nie, Lon - powiedział cicho Rhyme. - Był inny powód.

Na te słowa, a może raczej ton, którym zostały wypowiedziane, Mag spojrział na Rhyme'a oczami, w których po raz pierwszy tego wieczora pojawił się niepokój; prawdziwy niepokój, jeśli nie strach.

Mam cię, pomyślał Rhyme, a głośno powiedział:

Rozumiecie, to była czwarta zmyłka.

Czwarta? - zdumiał się Sellitto.

Tak... ponieważ to wcale nie jest Erick Weir - oznajmił

Rhyme. Musiał przyznać, choćby przed samym sobą, że wypadło to przesadnie dramatycznie.

Morderca oparł się plecami o nogę stołu. Westchnął, przy mknął oczy.

To nie Weir? - spytał zdumiony Sellitto.

Właśnie. O to chodziło mu przez cały ostatni weekend.

Chciał zemścić się na Kadeskym i cyrku Hasbro, którym jest dziś Cirque Fantastique. No cóż, łatwo jest wyrzucić zemstę, jeśli nie myśli się o ucieczce. Ale - kryminalistyk skinął głową w kierunku Maga - on chciał uciec, uniknąć więzienia i nadal występować. Więc dokonał szybkiej zmiany tożsamości. Tak pojawił się Erick Weir; po południu dał się aresztować, po czym uciekł, gdy pobrano od niego odciski palców.

Sellitto skinął głową.

No, tak. Zabiłby Kadesky'ego, spalił cyrk i wszyscy szukali by Weira, a nie prawdziwego sprawcy. - Tęgi detektyw zmarszczył

brwi. -Tylko... kim on jest, do cholery?

To Arthur Loesser. Protegowany Weira.

Zabójca westchnął cicho. Oto pozbawiono go resztek anonimowości, a wraz z nimi szans na



ucieczkę.

-

Ale Loesser do nas dzwonił - zaprotestował Sellitto. - Był na zachodzie. W Nevadzie.

-

Nie, nie był. Sprawdziłem bilingi. Na wyświetlaczu mojego telefonu pojawiło się „Brak identyfikacji”, ponieważ zadzwonił

z opłaconego z góry konta rozmów międzystanowych. Ale tak na prawdę telefonował z automatu na Zachodniej Osiemdziesiątej Siódmej Ulicy. Nie ma żony. Informacja na automatycznej sekre tarce była fałszywa.

- Zadzwonił też do tego drugiego asystenta, Keatinga, udając Weira? - spytał Sellitto.

401

- Oczywiście. Pytał o pożar w Ohio, mówił dziwnie, wydawał się groźny. Potwierdził tym nasze przekonanie, że Weir jest w No wym Jorku i że szuka zemsty na Kadeskym. Musiał pozostawić po sobie ślad, żebyśmy byli pewni jednego: Weir wyszedł z kryjówki. Zamówił na jego nazwiska kajdanki Darbys. Kupił broń.

Rhyme spojrział na zabójcę.

Jak tam głos? - spytał kpiąco. - Płuca nie dokuczają?

Przecież wiesz, że nic mi nie jest - warknął Loesser. Nie szeptał już i nie oddychał z trudem. Jego płuca nie zostały uszko dzone. Po prostu udawał, by lepiej upodobnić się do Weira.

Kryminalistyk skinął głową w kierunku sypialni.

- Widziałem tam szkice plakatów. Rozumiem, że to twoje dzie ło. Jest na nich nazwisko „Malerick”. Sam się tak nazwałeś, co?

Zabójca skinął głową.

Powiedziałem ci prawdę. Nienawidzę swojego nazwiska, nie nawidzę swego życia sprzed pożaru. Nie chciałem, żeby coś mi o tym przypominało. Jestem Malerickiem, dla siebie i innych.

Jak się połapałeś?

Rękawiczki. To rękawiczki uświadomiły mi, że coś tu jest nie tak. Amelia znalazła gumowe rękawiczki, które miałeś na rę kach, kiedy uciekałeś z aresztu. Przecież przed chwilą pobrano ci odciski palców! Więc po co rękawiczki? Miałyby sens tylko wte dy, gdyby odciski na karcie różniły się od prawdziwych. No więc bliżej przyjrzałem się dowodom. W areszcie znaleźliśmy z Amelią kolejne ślady magicznej przylepnej parafiny, impregnowanej włóknami białego papieru i kartonu. A także tusz, zwykły, niezni-kający, pasujący do tego, który znaleźliśmy w torbie nad jezioro kiem, gdzie zaatakowałeś Marston. I tu pytanie: czego dotyka łeś? Tuszu, kartonu, papieru... karty odcisków palców, oczywiście!

Zacząłem podejrzewać, że przygotowałeś lewą kartę i ukryłeś ją gdzieś w biurze zatrzymań. Może dostałeś się tam w przebraniu policjanta? Powiedzmy, tydzień przed aresztowaniem przykleiłeś kartę z odciskami Weka pod jakąś półką albo na tylnej ścianie szafki na akta, przyklepiłeś ją gdzieś tą magiczną parafiną. Kiedy cię dopadliśmy, po prostu podmieniłeś karty.

Loesser skinął głową.

- Parę dni temu przyklepiłem kartę pod ladą na stanowisku pobierania odcisków palców. Kiedy technik wziął moje odciski, strąciłem na podłogę wałek. Szukali go, a ja zamieniłem kartę ze swoimi odciskami na tę z odciskami pana Weira. Swoją wyrzuci łem.

Pana Weira, zastanowi! się Rhyme. Ta sama nienawiść połączona z szacunkiem brzmiała w

głosie drugiego asystenta, Kea-tinga.

Morderca się skrzywił.

Znaleźliście kartę, którą wyrzuciłem, i zdjęliście z niej odciski palców?

Oczywiście. Mel znalazł też odciski na gumowych rękawiczkach. Większość ludzi zapomina, że doskonałe odciski zostają na gumie od środka. Figurujesz w bazie danych odcisków od czasu, kiedy zatrzymano cię wraz z Weirem pod zarzutem lekkomyślnego narażenia życia.

Sellitto miał jeszcze wątpliwości.

Ale on musi być znacznie młodszy od Weira!

Oczywiście. I jest. - Kryminalista skinął głową w stronę Loessera. Te jego zmarszczki to lateks. Blizna też. Zwykle fał

szywki. Weir urodził się w 1950 roku. Loesser jest dwadzieścia lat młodszy, musiał się więc postarzeć. Aha! - mruknął bardziej do siebie niż słuchaczy. - Tę sprawę przeoczyłem. Muszę się nauczyć szybciej myśleć. Te kawałki lateksu ze śladami makijażu, które Amelia znalazła chyba na wszystkich miejscach przestępstwa; są dziłem, że to z nakładek na palce. Ale... kto stosuje makijaż na palcach? Natychmiast by się wytarł. Nie, mógł pochodzić wyłącznie z twarzy. - Rhyme bliżej przyjrzał się policzkom i czołu Loesera. - Ta maska musi być bardzo niewygodna - zauważył.

Można się do niej przyzwyczaić.

- Sachs,

sprawdźmy, jak wygląda naprawdę, dobrze?

Policjantka z pewnymi kłopotami usunęła fałszywą brodę oraz zmarszczki pod oczami i na policzku. Prawdziwa skóra pokryta była czerwonymi plamami od kleju, ale bez wątplenia znacznie młodsza. Inny był nawet kształt twarzy. Loesser zupełnie nie przypominał mężczyzny, którym był jeszcze przed chwilą.

Nie przypomina to maski z „Mission Impossible”, co? Ta kiej, co to jednym ruchem się ją wkłada, jednym zdejmuje.

Życie różni się od filmu.

Paluszki też, poproszę. - Rhyme wskazał głową lewą dłoń mordercy.

By kalectwo palców wydało się przekonujące, zostały one ciasno zabandażowane i pokryte grubym lateksem. Po zdjęciu bandażu okazało się, że są pomarszczone, białe i, przynajmniej na razie, bezwładne, lecz poza tym były całkiem zdrowe. Sachs obejrzała je dokładnie.

402

403

a

- Właśnie miałam spytać, dlaczego nie zdjęłeś tego opatrunku na targach, skoro wiedziałeś, że szukamy mężczyzny ze zdeformowaną lewą ręką. Teraz rozumiem. Wyglądają tak dziwnie, że z pewnością by cię wydały.

Rhyme jeszcze raz przyjrzał się dokładnie Loesserowi. - No, to mieliśmy przestępstwo prawie doskonałe. Sprawca omal nie doprowadził do oskarżenia o jego przestępstwa osoby trzeciej.

Weir byłby winny, mielibyśmy pozytywną identyfikację, ale on sam by znikł. Na zawsze.

„Znikający człowiek”. Za to Loesser i jego żona prosperowałiby w najlepsze.

Mimo że morderca wybrał wczoraj swe ofiary tylko po to, by zmylić policję, a nie z głębokiej potrzeby psychologicznej, potwierdziła się teoria Terry'ego Dobynsa: szukał on zemsty za ogień, który zabił ukochaną osobę. Różnica była tylko taka, że to nie Weir mścił się za kres kariery i śmierć

żony, lecz Loesser za

utrata mentora, właśnie Weira.

-

Jest jeszcze jeden problem - nie ustępował Sellitto. - Dla czego mówisz, że Weir „by znikł” i to „na zawsze”? Prędzej czy później byśmy go przecież dorwali.

-

A jak myślisz, Lon - Rhyme uśmiechał się - dlaczego kazałem tym młodym byczkom wnieść mnie po schodach? Po co w ogóle zdecydowałem się odwiedzić to wyjątkowo nieprzyjazne dla inwalidów miejsce? Chciałem osobiście przejść po siatce...

ach, przepraszam, raczej przejechać po siatce. Sprawnie urucho mił wózek i korzystając z touchpada podjechał do kominka. Pod niósł głowę. - Zdaje się, że znaleźliśmy naszego podejrzanego.

-

Patrzył na półkę nad kominkiem i leżące na niej inkrustowane pudełko. -To Erick Weir, prawda? A raczej jego prochy?

- Masz rację - powiedział cicho Loesser. - Wiedział, jak niewiele czasu mu zostało. Bardzo chciał uciec z oddziału poparzeń szpitala w Ohio, umrzeć w swoim mieszkaniu w Las Vegas.

Więc go wykradłem i odwiozłem do domu. Żył zaledwie kilka tygodni. Przekupiłem pracownika kostnicy na nocnej zmianie, żeby skremował zwłoki.

-

A odciski palców? - spytał Rhyme. - Zdjąłeś mu je po śmierci? Żeby przygotować fałszywą kartę?

Morderca skinął głową.

- Planowałeś to od lat?!

-

Tak! - Loesser niemal krzyczał. - Jego śmierć jest jak... jak oparzenie, które ciągle boli!

Ryzykowałeś aż tyle dla zemsty? Za śmierć szefa?

1 404

- Szefa? On był kimś znacznie ważniejszym niż szef! Nic nie rozumiesz. O ojcu myślę kilka razy w roku, a on przecież żyje. A o panu Weirze o każdej godzinie każdego dnia. Od chwili gdy przyszedł na mój występ w sklepie, w Vegas... nazwałem się Młodym Houdinim...

miałem czternaście lat. W życiu nie spotkało mnie nic lepszego! Obiecał, że nada memu życiu sens, że pokaże mi wizję. W piętnaste urodziny uciekłem z domu. Odtąd podróżowaliśmy razem. - Głos mu zadrżał, zabójca zamilkł na chwilę. -Może i pan Weir mnie bił - mówił dalej

- może na mnie wrzeszczał, może i bywało tak, że zmieniał moje życie w piekło, ale znał moje możliwości, widział, co w sobie mam. Troszczył się o mnie, nauczył mnie, jak być iluzjonistą. - Loesser opuścił głowę. - A potem mi go zabrano. Kadesky i ten jego cholerny biznes; to on jest wszystkiemu winien. Zabił Weira, zabił mnie. Arthur Loesser spłonął w tym ogniu. - Spojrzał na inkrustowane pudełko, twarz miał smutną, a jednocześnie tak pełną nadziei i przedziwnej, chorej miłości, że Rhyme poczuł, jak dreszcz przenika jego nieczułe przecież ciało.

Loesser spojrział na niego i zaśmiał się z zimną pogardą.

Dobra. Masz mnie. Ale pan Weir i ja zwyciężyliśmy. Spóźniłeś się. Cyrk spłonął, Kadesky nie żyje. A nawet jeśli jakimś cudem się uratował, jego kariera leży w gruzach.

Ach, oczywiście, Cirque Fantastique i pożar. - Rhyme po trząsnął głową. Wydawał się bardzo poważny. - Mimo wszystko...

Co? O czym ty gadasz?! - Loesser rozejrzał się dookoła w pa nice, nie rozumiał, o co chodzi.

Przypomnij sobie, co się niedawno zdarzyło. Dzisiaj, tylko trochę wcześniej. Jesteś w Central Parku, widzisz płomień, wi dzisz dym, słyszysz rozpaczliwe krzyki... więc decydujesz się odejść, tak będzie lepiej dla ciebie, przecież wkrótce zaczniemy cię szukać. Wracasz do domu. Po drodze ktoś na ciebie wpada; dziewczyna, Azjatka w dresie do joggingu. Wymieniacie kilka słów o tym, co się stało, później ruszacie każde w swoją stronę.

\* - O co ci chodzi!?! - spytał zaniepokojony Loesser.

-

Popatrz na pasek od zegarka.

Brzęknęły kajdanki. Zabójca obrócił ręce dłońmi do góry. Do paska przyczepiony był mały, czarny dysk. Amelia Sachs zdjęła go zręcznie.

-

Nadajnik GPS. Dzięki niemu mogliśmy cię śledzić. Nie zdziwiłeś się, że zapukaliśmy do ciebie, kiedy najmniej się tego spodziewałeś?

- Ale kto...? Zaraz, chwileczkę. Czy to była ta wasza iluzjonistka, Kara? A ja jej nie poznałem!

Cóż, na tym polega iluzja, jeśli się nie mylę - zakpił Rhyme.

- Zauważyliśmy cię już w parku, ale baliśmy się, że znikniesz.

Trzeba przyznać, że dobrze ci to wychodziło. Przewidzieliśmy także, że będziesz wracał do domu okreśną drogą. Poprosiłem więc Karę, żeby odpowiedziała sztuczką na sztuczkę. Dziewczyna jest niesamowita. Nawet ja jej nie poznałem. Zderzyła się z tobą i korzystając z okazji, przyklepiła nadajnik do paska.

Mogliśmy dopaść cię już na ulicy - dodała Amelia - ale tro chę za dobrze uciekasz. Poza tym chcieliśmy dotrzeć do twojej kryjówki.

Przecież... przecież wiedzieliście wszystko przed pożarem!

Owszem - powiedział niedbale Rhyme - chodzi ci o karetę? Saperzy znaleźli ją i rozbroili w niespełną minutę, a potem zamienili na podobną. Nie chcieliśmy, żebyś się zorientował, że cię przyłapaliśmy. Wiedzieliśmy, że zechcesz przyjrzeć się pożarowi. Wprowadziliśmy do parku tylu tajniaków, ilu tylko mieliśmy, każąc im szukać mężczyzny twojej postury, obserwującego po żar, ale odchodzącego, nim ogień się rozprzestrzeni. Paru cię zna łażło, Kara przyczepiła nadajnik i proszę, oto jesteśmy!

Ale ogień... widziałem ogień!

Teraz chyba rozumiesz, co mam na myśli, przeciwstawiając świadków dowodom. Widział ogień, więc musiał być pożar - po wiedział kryminalistyk, zwracając się do Sachs. - Ale pożaru nie było - zwrócił się do Maga.

Do rozmowy znowu włączyła się Amelia. /

Dym pochodził z kilku granatów dymnych Gwardii Narodowej, zamontowanych pod kopułą przy użyciu dźwigu, a płomień -

z palników gazowych ustawionych przy wejściu na scenę, blisko karetki. Kilka innych ustawili na scenie i podświetlili tak, by rzucić cień płomieni na płótno namiotowe.

Słyszałem krzyki - szepnął zdruzgotany Loesser.

Ach, to kolejny pomysł naszej nieocenionej Kary, błyskotliwie zrealizowany przez Kadesky'ego. Ogłosił przerwę w przedstawieniu, a widowni powiedział, że to na prośbę ekipy filmowej, zamierzającej nakręcić scenę pożaru w cyrku. Poprosił wszystkich, by krzyczeli jak najgłośniejsze. Ludzie byli zachwyceni. Mieli zagrać w filmie!

Nie... To przecież była...

...iluzja - dokończył Rhyme. - Oczywiście. Czysta iluzja.

Zręczny umysł Unieruchomionego Człowieka.

Lepiej, żebym teraz zbadała to mieszkanie - powiedziała Amelia, marszcząc brwi.

Oczywiście, oczywiście. Co za bezmyślność z mojej strony.

Siedzimy pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie i zanieczyszczamy nasze miejsce przestępstwa.

Dwaj mundurowi wyprowadzili skutego podwójnymi kajdankami zabójcę. Humor wyraźnie mu nie dopisywał, nie tak, jak podczas pierwszego zatrzymania.

Dwaj potężni policjanci już chwyтали wózek Rhyme'a, gdy odezwała się komórka Łona Sellitto.

Tak, jest tu. - Detektyw zerknął na Amelię. - Chcesz z nią porozmawiać? - Słuchał przez dłuższą chwilę, potrząsnął głową.

Był bardzo poważny. - Dobrze, powtórzę - obiecał i zakończył rozmowę.

To był Marlow - oznajmił.

Szef patrolu. Ciekawe, o co tu chodzi? - pomyślał Rhyme. W każdym razie Lon wyraźnie się czymś martwi. Sellitto tymczasem mówił dalej:

- Chce

zobaczyć cię jutro w śródmieściu, dokładnie o dziesiątej. Chodzi o awans. Ale mówił coś jeszcze... nie mogę sobie przypomnieć... Coś o ocenach z testu. - Zapatrzył się w sufit. Wyglądał na bardzo przygnębionego. - Ale co?

Amelia sprawiała wrażenie nieporuszonej, choć Rhyme dostrzegł, jak palcem wskazującym

zaczyna podważać skórę za paznokciem kciuka. Ale prawie natychmiast zorientowała się, co robi, i przestała.

Tęgi detektyw strzelił palcami.

- Mam!

Przypomniałem sobie. Dostałaś trzecią ocenę w historii departamentu. - Spojrzał na Rhyme'a, i mina mu zrzedła. -

Chyba wiesz, co to znaczy, Lincoln! Niech się Bóg nad nami zlituje, przecież teraz będzie zupełnie nie do życia!

Biegła, oddychając ciężko. Korytarz wydawał się ciągnąć kilometrami. Kara pędziła po szarym linoleum, myśląc nie o Weirze, nie o jego oszalałym asystencie, nie o fenomenalnej iluzji płonącego cyrku, lecz tylko i wyłącznie o tym, czy zdążyła. Czy jest na czas.

Jej szybkie kroki odbijały się echem od ścian mrocznego korytarza. Mijała drzwi, niektóre zamknięte, inne otwarte na oścież. Słyszała fragmenty programów telewizyjnych, strzępy muzyki, głosy odwiedzających żegnających się z bliskimi; godziny odwiedzin się kończyły.

Zatrzymała się, kilka razy głęboko odetchnęła, a kiedy poczuła, że serce bije jej mniej więcej normalnie, weszła do pokoju i powiedziała wesoło:

- Cześć, mamo!

Jej matka odwróciła się od telewizora, uśmiechnęła zaskoczona i wyraźnie zadowolona.

- Kogóż ja widzę!? Dzień dobry, córeczko.

O mój Boże, pomyślała Kara, patrząc w błyszczące, rozradowane oczy. Mama jest przytomna! Naprawdę jest przytomna! Ucisnęła mamę, przysunęła sobie krzesło.

Jak się czujesz?

Doskonale. Ale wieczór mamy dość chłodny.

Kara wstała i zamknęła okno.

Już myślałam, że nie przyjdiesz, skarbie.

Byłam strasznie zajęta. Kiedy ci opowiem, czym się ostatnio zajmowałam, nie uwierzysz.

Nie mogę się doczekać.

Może napijesz się herbaty?

Nie, dziękuję. Nic mi nie potrzeba, kochanie. Mogłabyś wyłączyć telewizor? Wolę porozmawiać z tobą. Mam tu pilota, ale ja koś nigdy nie mogę sobie z nim poradzić. Czasami mam wrażenie, że ktoś wkrada się tu nocami i zmienia przyciski.

Cieszę się, że zdążyłam, nim zasnęłaś.

Czekałabym na ciebie choćby całą noc.

Kara uśmiechnęła się radośnie i wtedy jej matka powiedziała:

- Myślałam o twoim wujku, kochanie. O moim bracie.

Dziewczyna skinęła głową. Nieżyjący brat jej matki był czarną owcą w rodzinie. Była jeszcze dzieckiem, kiedy wyjechał na zachód, zrywając kontakt z bliskimi. Matka i dziadkowie nie chcieli nawet o nim mówić, zakazano wymieniania jego imienia podczas rodzinnych spotkań. Za to plotkom nie było kresu. Mówiono, że był gejem, mówiono, że wcale nie, że ożenił się, ale zdradzał żonę z Cyganką, że zastrzelił kogoś, z kim pokłócił się o kobietę, że nigdy się nie ożenił, że był muzykiem jazzowym i pijakiem..

Kara od zawsze pragnęła dowiedzieć się, jak było naprawdę.

Opowiedz mi o nim. Proszę.

Naprawdę cię to interesuje?

O tak, oczywiście! Nie ma to jak ciekawe historie. - Dziewczyna pochyliła się, oparła dłoń na ramieniu matki.

408

Doskonale... ale... kiedy to było? W maju tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego, może siedemdziesiątego pierwszego. Nie dam głowy za rok - widzisz, co się dzieje z moją pamięcią - ale przy sięgnę na wszystko, że to był maj. Wujek przyjmował przyjaciół

z wojska, którzy właśnie wrócili z Wietnamu.

Był żołnierzem? Nie wiedziałam.

Oczywiście. Bardzo dobrze wyglądał w mundurze. Ale to, co tam przeszli, straszne, po prostu straszne. - Głos matki nagle spoważniał. - Przyjaciela twojego wujka postrzelili, gdy siedł tuż obok niego. Zmarł na jego rękach. Wielki Murzyn. No więc Tom i jeszcze jeden żołnierz poprzysięgli sobie, że założą firmę, by wspomóc jego rodzinę. Pojechali na południe. Kupili łódź. Potra fisz wyobrazić sobie wujka na łodzi? Ja nie. Moim zdaniem to był

chyba najdziwniejszy pomysł na świecie. Łowili krewetki. Tom zarobił fortunę.

-

Mamo... - powiedziała cicho Kara.

Starsza pani uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Potrząsnęła głową.

Łódź... no, w każdym razie ta ich firma odniosła wielki sukces. Ludzie dziwili się, bo Tom nie wydawał się im bardzo bystry.

- Matka spojrzała na nią z błyskiem w oku. - Wiesz, co im mówił?

Co takiego, mamo?

Głupiego poznasz po uczynkach jego.

Bardzo słusznie - szepnęła dziewczyna.

Och, Jenny, pokochałabyś swojego wujka, gdybyś tylko go poznała. Wiesz, że spotkał się z prezydentem? I grał w ping-pon-ga w Chinach?

Matka nie zauważyła nawet, że jej córka płacze. Zachwycona, opowiadała jej film, który oglądała przed chwilą w telewizji, „Forresta Gump”. Jej brat miał na imię Gil, ale teraz stał się Tomem, zapewne dlatego, że tak miał na imię aktor grający tytułową rolę, Tom Hanks.

Ona sama natomiast stała się Jenny, przyjaciółką Forresta.

Nie, nie, nie! - pomyślała zrozpaczona dziewczyna. A jednak się spóźniłam. Matka odeszła, pozostała po niej zaledwie iluzja.

Ale mówiła dalej, choć jej opowieść nie układała się w żadną sensowną całość. Łódź do połowu krewetek w Zatoce Meksykańskiej zmieniała się w łódź do połowu tuńczyka na północnym Atlantyku, zaskoczona przez coś, co starsza pani nazwała „sztormem doskonałym”. Tonął transatlantyk, a wuj, we fraku oczywiście, był członkiem jego orkiestry i grał na skrzypcach aż do końca. Luźne myśli i wspomnienia, wraz z obrazami zaczerpniętymi z kilkunastu filmów, splątały się w węzeł nie do rozwikłania. I w końcu wujek wraz z resztką sensu w tej opowieści zniknął, pozostawiając tylko bełkot, tak odrażająco zimny jak trup w bagnie.

- Jest gdzieś tam, na dworze - zakończyła opowieść starsza pani. - Wiem, że tam jest - powtórzyła i przymknęła oczy.

Kara siedziała nieruchomo z dłonią na ramieniu matki i czekała, aż zaśnie. Przecież była przytomna. Jaynene nie przywołałaby mnie z byle powodu. Co zdarzyło się raz, może zdarzyć się

znowu. Nie zamierzała się poddawać.

Kiedy upewniła się, że mama śpi, wyszła z pokoju. Może mam talent - pomyślała - ale brakuje mi tej najważniejszej umiejętności: magicznego przeniesienia matki w miejsce, gdzie serca, obfite w paliwo miłości, płoną jasnym ogniem przez wszystkie dane im od Boga dni.

Gdzie umysł zachowuje w pamięci każdy szczegół, choćby najbogatszej historii rodzinnej.

Gdzie to, co wydaje się murem wzniesionym między kochającymi się ludźmi, jest w rzeczywistości tylko efektem - krótkotrwałą iluzją.

Gerald Marlow, mężczyzna o gęstych, sztywnych od odżywki włosach, był szefem patrolu policji nowojorskiej. Zachowywał spokój w każdej okoliczności; nauczył się tego podczas patrolowania nowojorskich ulic przez dwadzieścia lat i przez kolejnych piętnaście, które spędził na pracy znacznie ryzykowniej-szej: nadzorowaniu funkcjonariuszy robiących to, co on sam kiedyś robił.

W ten poniedziałkowy poranek Amelia stała przed nim mniej więcej na baczność, całą siłą woli opanowując silny artretyczny ból kolan. Marlow siedział wygodnie w swym gabinecie na wysokim piętrze Wielkiego Gmachu na Police Plaza, w śródmieściu.

Podniósł wzrok znad leżącej na biurku teczki, dokładnie obejrzał idealnie odprasowany mundur Sachs.

Och, przepraszam. Proszę usiąść, funkcjonariuszko. Hmm..

córka Hermana Sachsa?

Tak jest.

Byłem na jego pogrzebie.

Pamiętam.

- Bardzo

uroczysty.

Mierząc skalą pogrzebów.

Marlow siedział za biurkiem wyprostowany, taksując ją stalowym, przenikliwym spojrzeniem.

-

Doskonale. Nie mam zamiaru niczego ukrywać. Macie kłopoty, Sachs.

Te słowa uderzyły ją z siłą ciosu w twarz.

Nie rozumiem.

Sobota, miejsce przestępstwa nad rzeką Harlem. Samochód wpadł do rzeki. Badaliście ją?

411

Mazda Maga. Rozwalony szłaś Carlosa.

Tak jest.

Czy kogoś tam zatrzymaliście?

Ach, to o to chodzi. Nie, właściwie nie zatrzymałam. Jakiś facet wtargnął na ogrodzony przez policję teren. Zacierał ślady. Po leciłam go zatrzymać.

- Zatrzymać, aresztować... w każdym razie oddaliście go pod nadzór policji?

- Oczywiście. Musiałam oczyścić miejsce przestępstwa. Nie zostało jeszcze zbadane.

Amelia Sachs wiedziała już, o co chodzi. Jakiś zatroskany obywatel złożył na nią skargę. Nic wielkiego, takie rzeczy zdarzają się codziennie. Na takie głupstwo nikt tak naprawdę nie zwraca uwagi. Nie ma się czym przejmować.

Jakiś facet, co? Nie nazywał się przypadkiem Victor Ramos?

Chyba tak. Takie nazwisko podał.



A nie był to przypadkiem kongresman Victor Ramos.

Czyli jednak ma się czym przejmować.

Kapitan otworzył dzisiejsze wydanie „New York Timesa”.

Sprawdzimy... gdzie to jest. Aha, mam. - Pokazał jej rozkładówki, na której widniało wielkie zdjęcie mężczyzny w kajdanach z podpisem: „VICTOR WYELIMINOWANY Z GRY”.

Naprawdę poleciłaś „wyeliminować go z gry”?

On przecież...

Tak powiedziałaś?

Tak mi się zdaje.

Czy powiedział, że szuka ofiar pozostałych przy życiu?

Ofiar? - Amelia roześmiała się. - To był szafas trzy na trzy metry, potrącony przez wpadający do rzeki samochód. Zawaliła się ścianka...

Niepotrzebnie się denerwujecie, Sachs.

...i rozerwała plastikowa torba na śmieci. To tyle, jeśli chodzi o zniszczenia. Zespół ratunkowy sprawdził, czy nic się nikomu nie stało, po czym ogrodził miejsce przestępstwa. Ofiarami wypadku mogły być wyłącznie wszy!

Aha. - Jej wybuch wytrącił Marlowa z równowagi. - Ramos twierdzi, że chciał tylko sprawdzić, czy nikomu nic się nie stało.

Właściciele - w głosie Amelii zabrzmiała zupełnie niepożądana ironia - wyszli ze swego domu o własnych siłach. Nikt nie został ranny. Choć, o ile pamiętam, jeden z nich opierał się przy aresztowaniu i dorobił się siniaka na policzku.

412

Aresztowaniu?

Próbował ukraść latarkę jednemu ze strażaków, a potem go obsikał.

No, nie....

Tym zaćpanym po uszy dupkom nic się nie stało. Takich obywateli broni Ramos?

Kapitan, z którego twarzy można było wyczytać ostrożność i więcej niż odrobinę sympatii, nagle spowaźniał. Był już tylko biurokrata wykonującym swe obowiązki.

Czy według posiadanej przez panią wiedzy Ramos zniszczył dowody, mogące doprowadzić do zatrzymania podejrzanego?

Przecież to nie ma żadnego znaczenia, panie kapitanie. Ważna jest procedura. - Amelia Sachs bardzo starała się zachować spokój, mówić normalnym głosem. Marlow był w końcu szefem szefa jej szefa.

- Próbuję rozwiązać trudny problem, funkcjonariuszko Sachs.

Powtórzę pytanie: czy wie pani z pewnością o zniszczeniu jakichś dowodów?

Nie - odparła Amelia z westchnieniem.

A więc jego obecność na miejscu przestępstwa nie miała żadnego znaczenia?

Ja...

Miała czy nie miała?

Nie miała, panie kapitanie. Ale ścigaliśmy mordercę policjanta. Czy to się nie liczy, kapitanie? - spytała z gorącością.

Liczy się. Dla mnie. I dla wielu innych. Dla Ramosa nie.

- Amelia Sachs skinęła głową.

Niech będzie. O jakiej burzy mówimy?

Na miejscu była ekipa telewizyjna. Oglądaliście wieczorne wiadomości?

Też mi pytanie, pomyślała Amelia. Nie, nie oglądałam. Byłam zbyt zajęta łapaniem zabójcy.

Ale głośno powiedziała:

-

Nie, panie kapitanie.

Pokazali Ramosa na samym początku. Skutego i prowadzo nego przez dwóch policjantów.

Przecież wie pan, że zjawiał się tam tylko po to, by go sfilmowali, jak ryzykuje życie dla dobra wyborców. Coś mnie zastana wia, kapitanie. Czy Ramos ma się wkrótce ubiegać o reelekcję?

Samo potwierdzenie czegoś takiego może wysłać człowieka na wcześniejszą emeryturę. Lub pozbawić go emerytury. Marlow milczał.

413

O co właściwie...?

O co właściwie chodzi? - Marlow zacisnął wargi. - Bardzo mi przykro, funkcjonariuszko, ale zdaje się, że Ramos was załatwił.

Sprawdził to i owo, dowiedział się o egzaminie na stopień sierżanta, pociągnął za sznurki. Nie zaliczyliście.

-Co?

Nie zaliczyliście egzaminu. Ramos pogadał z egzaminatorami.

Dostałam trzecią ocenę w całej historii departamentu. -

Amelia roześmiała się gorzko. - A może nie?

Tak. Z testu wyboru i egzaminu ustnego. Ale potrzebny jest jeszcze egzamin praktyczny.

Podobno świetnie się spisałam.

Ocena wstępna wyglądała obiecująca, zgoda. Ale oficjalny raport nie pozostawia żadnych wątpliwości. Oblałaś.

Niemożliwe! Co się stało?

Jeden z egzaminatorów nie chciał cię przepuścić.

Nie chciał...? Ale przecież...

Nie dokończyła. Przypomniała sobie wychodzącego zza śmieciarki przystojnego policjanta ze strzelbą. Tego, któremu przytarła nosa.

Bang, bang.

Kapitan przyglądał się kartce papieru.

Napisał, cytując: „Nie wykazuje należnego respektu wobec osób wyżej postawionych w hierarchii. Lekceważy równych ran gą, co może doprowadzić do sytuacji zagrożenia osobistego i zespołowego”.

Aha! Ramos znalazł kogoś, kto nie miał nic przeciw zała twieniu mnie odmownie i podyktował mu raport. Przepraszam, że pytam, panie kapitanie, ale czy pan naprawdę wierzy, że uliczny gliniarz napisze „może doprowadzić do sytuacji zagrożenia osobistego lub zespołowego”? Niechże pan da spokój, kapitanie.

Widzisz, tatusiu, pomyślała, zwracając się do ojca. Wpadłam między wrony i nie zakrakałam.

Zrobiło jej się bardzo ciężko na sercu.

-

I co jeszcze? - Spojrzała kapitanowi wprost w oczy. - Bo jest coś jeszcze, prawda?

Marlow nie opuścił wzroku. Był twardy, to mu trzeba przyznać.

-

Tak. Jest coś jeszcze. I to coś znacznie gorszego.

No, tatusiu, zaraz się dowiemy, co może być znacznie gorsze.

Ramos próbuje cię zawiesić.

Zawieszenie? A to co za gówno!

414

Chce wewnętrznego śledztwa.

Mściwy... - już miała dodać „fiut”, ale spojrzała na Marlowa i powstrzymała się w ostatniej chwili. Przecież to takie nastawie nie wpędziło ją w kłopoty.

I to nie wszystko. Ramos jest tak wściekły, że zażądał zawieszenia z wstrzymaniem pensji.

Taką karę stosowano wobec funkcjonariuszy oskarżonych o popełnienie przestępstwa.

- Dlaczego?

Marlow nie odpowiedział. Nie musiał. Amelia Sachs doskonale wiedziała dlaczego. By jego oskarżenia okazały się choćby prawdopodobne, Ramos musiał udowodnić, że wykopana na aut policjantka, która ośmieliła się go zawstydzić, jest tak egoistyczna i bezmyślna, że aż zdolna narazić zdrowie i życie zwykłych obywateli.

Kolejny dowód na to, jaki mściwy z niego fiut.

O co dokładnie mnie oskarża?

Niesubordynacja, niekompetencja.

Nie mogę stracić odznaki, panie kapitanie. - Amelia walczyła z ogarniającą ją rozpaczą.

Na obłany egzamin nic nie poradzę, Amelio. Ta sprawa leży w kompetencjach komisji, która już podjęła decyzję. Ale będę walczył z zawieszeniem. Chociaż... nie mogę nic obiecać. Ramos ma długie ręce i wielkie plecy. W całym mieście.

Sachs podniosła rękę, zaczęła drapać się w głowę. Poczwała ból, a kiedy opuszczała dłoń, palce miała śliskie od krwi.

- Czy

mogę mówić szczerze, panie kapitanie?

Marlow zgarbił się w krześle.

-

Jezu, Amelio, oczywiście! Chyba nie muszę przekonywać cię, jak cholernie źle się czuję w związku z tą sprawą. Mów, co ci leży na sercu. I nie musisz stać na baczność. To przecież nie wojsko.

Amelia Sachs odchrząknęła.

-

Panie kapitanie, jeśli Ramos wymusi zawieszenie, natychmiast kontaktuję się z prawnikami Stowarzyszenia Dobroczyńców Policjantów Patrolu. Nagłośnię sprawę. Posunę się tak daleko, jak tylko będzie trzeba.

Nie żartowała. Choć wiedziała, że szeregowi policjanci, walczący z dyskryminacją lub dochodzący swych praw przez stowarzyszenie najczęściej skazywani byli na nieoficjalny ostracyzm. Wielu z nich kierowano na boczny tor, zwichnięto im kariery, choć teoretycznie wychodzili ze sporów jako zwycięzcy.

- Przyjąłem do wiadomości, funkcjonariuszko Sachs - powie dział Marlow, patrząc jej wprost w

oczy.

A więc pójdzie na pięści.

To było powiedzenie jej ojca. Użył go, kiedy tłumaczył córce, co to znaczy być policjantem.

Amie, musisz zrozumieć, że czasami wszystko dzieje się naraz, czasami uda ci się zmienić coś na lepsze, a czasami śmiertelnie się nudzisz. I czasami, dzięki Bogu nieczęsto, trzeba pójść na pięści. Cios za cios. Człowiek jest sam, nie ma nikogo, nikt mu nie pomoże. Nie chodzi tylko o przestępców. Bywa, że idziesz na pięści ze swym szefem. Albo z ich szefem.

Nawet z kumplami. Chcesz być gliniarzem, bądź gotowa walczyć samotnie. Bo są sprawy, których się nie obejdziesz.

Cóż, na razie pełnisz służbę jak zwykle.

Tak jest. Kiedy się czegoś dowiem?

Za dzień, może dwa.

Amelia podeszła do drzwi. Odwróciła się na progu.

- Panie  
kapitanie?

Marlow spojrzał na nią, jakby dziwił się, że ciągle widzi ją w gabinecie.

- Ramos

wtargnął na moje miejsce przestępstwa. Gdyby to

był pan albo burmistrz, albo nawet sam prezydent, postąpiłabym identycznie.

- Wiem.

Jesteś córką swojego ojca. Byłby z ciebie dumny.

- Kapitan

podniósł słuchawkę telefonu. - Miejmy nadzieję, że  
wszystko dobrze się skończy.

Thom wpuścił Łona Sellitto do holu. Lincoln Rhyme siedział na swoim czerwonym wózku inwalidzkim, złoszcząc się na robotników budowlanych, znoszących po schodach gruz i śmieci pozostałe po robotach związanych z remontem uszkodzonej w pożarze sypialni. Bał się, że uszkodzą mu zabytkową stolarkę.

Asystent poszedł do kuchni, nie zapominając po drodze upomnieć pracodawcy.

Daj im spokój, Lincoln. Przecież stolarka nic cię nie obcho dzi.

Chodzi o zasady, a nie jakieś nieważne szczegóły. Dom jest mój, a oni mają wszystko w nosie.

-

Zawsze wpada w taki nastrój, kiedy skończy pracę - wyjaś nił Thom detektywowi. Masz dla niego jakąś smakowitą kradzież albo lepiej morderstwo? To by go uspokoiło.

-

Nie potrzeba mi morderstwa na uspokojenie - warknął

Rhyme, gdy tylko Thom zniknął mu z oczu. - Chcę, żeby ci ludzie uważali na ściany!

- Słuchaj, Linc, musimy pogadać - powiedział Sellitto.

Rhyme'a uderzył ton jego głosu... i wyraz oczu. Współpracowali blisko od lat. Bezbłędnie wyłapywał zmartwienie i niepokój Łona. Ciekawe, o co chodzi? - pomyślał.

- Rozmawiałem z miejscowym szefem patrolu. Chodzi o Amelię. - Sellitto zamilkł, odchrząknął.

Rhyme nie miał wątpliwości, że serce zabiło mu mocniej. Nie mógł poczuć jego bicia, oczywiście, ale czuł gorącą krew napływającą do twarzy.

Kula? Wypadek samochodowy?

-

Mów dalej - powiedział cichym, ale spokojnym głosem.

417

Oblała egzamin na sierżanta.

Co?!

Ano tak.

Rhyme poczuł ulgę, a zaraz potem litość i smutek.

Skąd wiesz?

Radar gliny? A może wyśpiewał mi to jakiś pieprzony pta szek? Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Sachs jest gwiazdą.

Kiedy coś takiego spotyka gwiazdę, ludzie gadają.

Co z jej ocenami?

Oblali ją mimo ocen.

Rhyme poprowadził wózek do laboratorium. Sellitto, zaniedbany bardziej niż zwykle i w bardziej niż zwykle wygniecionym garniturze, poszedł za nim.

- Okazało się, że sprawa była prosta: Amelia to Amelia. Roz kazała komuś opuścić nieprzebadane miejsce przestępstwa, a kiedy ten ktoś nie posłuchał, kazała go skuć.

Ale miała pecha. Bo wpadła na Victora Ramosa.

Kongresmana Ramosa? - Rhyme zupełnie nie interesował

się lokalną polityką, ale o tym polityku słyszał. Victor Ramos był

zwykłym oportunistą. Najpierw porzucił swe środowisko: latyno ską społeczność hiszpańskiego Harlemu, ale wrócił do niej ostatecznie, kiedy się zorientował, że atmosfera politycznej poprawności oraz liczba wyborców może zawieść go do Albany albo nawet do Waszyngtonu.

Mogą tak po prostu dać jej kopniaka?

Daj spokój, Linc. Oni wszystko mogą. Mówi się nawet o za wieszeniu.

Może walczyć o swoje. Będzie walczyć o swoje.

A ty wiesz, co dzieje się z ulicznym gliniarzem, jeśli rzuci wyzwanie szarżom. Nawet jeśli wygra, zesła ją do wschodniego Nowego Jorku. W najlepszym razie, bo mogą przecież zesłać ją za biurko we wschodnim Nowym Jorku.

- Niech

się pieprzą - prychnął kryminalistyk.

Sellitto chodził po pokoju tam i z powrotem, uważając, by nie potknąć się o kable; od czasu do czasu spoglądał na białe tablice, zapisane listami dowodów w sprawie Maga. Wreszcie opadł na krzesło, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. Wcisnął wałek tłuszczu na brzuchu pod pasek spodni; sprawa Maga fatalnie odbiła się na jego diecie.

-

Jest jedna rzecz - powiedział cicho i jakby konspiracyjnie.

-Tak?

418

Znam pewnego faceta. To on oczyścił Osiemnąstkę.

Pamiętam. Heroina i crack miały brzydki zwyczaj znikać im z magazynu dowodów. To było jakieś parę lat temu?

Aha. O tym właśnie mówię. Teraz gość ma Wielki Gmach ob stawiony od piwnic po dach. Sam komisarz go słucha, a on słucha mnie. Jest mi winien przysługę. - Machnął ręką, wskazując zapi sane tablice. - O kurwa, popatrz na to, pomyśl, czego właśnie do konaliśmy. Dorwaliśmy cholernie cwane faceta. Pozwól mi wy konać ten jeden telefon. Dla Amelii chętnie pociągnę za parę sznurków.

Rhyme też przyjrzał się tablicom, potem stojącej w laboratorium aparaturze, stołom laboratoryjnym, książkom. W tym miejscu naukowo analizowano dowody, które w ciągu kilku ładnych lat ich współpracy Amelia Sachs umiała zdobyć na miejscach kolejnych przestępstw albo siłą, albo sprytem.

No, nie wiem... - powiedział z wahaniem.

W czym problem?

Jeśli w ten sposób zdobędzie sierżanta, to... no, to nie ona zdobędzie sierżanta.

- Przecież wiesz, ile znaczy dla niej ten awans.

Wiem. Doskonale wiem, pomyślał Rhyme.

-

No, to mnie posłuchaj. Zagramy według reguł Ramosa. Chce podrzucić jej świnię, to my mu podrzucimy. Zagramy na jednym boisku i według tych samych zasad. - Ten pomysł bardzo spodo bał się tęgiemu detektywowi. - Przecież Amelia nie musi nic wie dzieć - dodał jeszcze. - Poproszę faceta, żeby trzymał język za zę bami. Posłucha mnie.

Przecież wiesz, ile znaczy dla niej ten awans.

-

Co o tym myślisz, Linc?

Rhyme milczał. Szukał odpowiedzi, obserwując otaczający go ze wszystkich stron sprzęt laboratoryjny, który czekał na kolejną sprawę. Wyjrzał za okno. Drzewa w parku pokrywały się zielonymi wiosennymi listkami.

Rysy na boazerii zatarto, wszystkie ślady po pożarze w sypialni zniknęły. Pozostał w niej wprawdzie wyraźnie wyczuwalny zapach dymu, ale Rhyme'owi przypominał zapach dobrej szkockiej whisky, był więc nawet mile widziany.

O północy, w ciemnym pokoju, Rhyme leżał nieruchomo na wysokim ortopedycznym łóżku, wpatrując się w okno. Dostrzegł ruch; to jeden z sokołów, najcichszych, najzręczniejszych ze stworzonych przez Boga myśliwych, właśnie wrócił z polowania. W zależności od światła i stopnia gotowości do lotu sokoły wydawały się zmniejszać lub rosnać. W tej chwili wydawały się większe niż w dzień, prawdziwie wspaniałe, a także groźne. Im także nie podobały się dźwięki dobiegające z rozstawionego w Central Parku namiotu Cirque Fantastique.

Powinni wprowadzić godzinę policyjną - burknął Rhyme do leżącej obok niego Amelii.

Mogę rozstrzelać ich generator - odparła Amelia świeżym, przytomnym głosem; najwyraźniej nie zasnęła ani na chwilę. Jej głowa spoczywała na poduszce przy jego głowie, ustami dotykała jego szyi; czuł delikatny dotyk jej włosów i chłodny nagiej skóry.

Wiedział, że opiera się piersiami o jego pierś, brzuchem o biodro, nogą o nogę; nie czuł tego, ale widział zarys jej ciała, którego bli skość sprawiała mu tyle radości.

Amelia Sachs zawsze i bezwarunkowo stosowała się do jego zasady: badający miejsce zbrodni nie może używać perfum lub wody kolońskiej czy płynu po goleniu, ponieważ upośledzałoby to jego zdolność do odbioru bodźców węchowych, a węch dostarczał wielu dowodów. Tej nocy jednak

Amelia nie była na służbie i przyjemnie pachniała gardenią, jaśminem i syntetycznym olejem silnikowym.

Byli sami. Thom z przyjaciółką wyszli do kina, a wieczór spędzili przy nowych płytach kompaktowych, pięćdziesięciu gramach kawioru Sveruga, krakersach i mnóstwie moeta; bardzo przyjemnie, mimo sporych trudności z piciem szampana przez słomkę. Teraz, w ciemnościach, Rhyme znowu rozmyślał

0

naturze muzyki zdumiony, jak ścisły system porządkujący wysokości dźwięków, ich długości i dzielące je interwały może tworzyć coś aż tak poruszającego ludzką duszę. Fascynujący problem; im dłużej nad nim rozmyślał, tym bardziej nabierał

przekonania, iż wcale nie jest on aż tak trudny do rozwiązania, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Muzyka wywo dziła się przecież z doskonale znanego mu świata nauki, logiki i matematyki.

Jak człowiek zabiera się do tworzenia melodii? Czy ćwiczenia, którym poddawał się co dnia, odniosą skutek, czy będzie kiedyś w stanie nacisnąć klawisze keyboardu?

Nie od razu dostrzegł, że przygląda mu się Amelia.

Słyszałeś o egzaminach? - spytała.

Tak - powiedział po krótkim wahaniu. Unikał tego tematu 420

przez cały wieczór. Oddał inicjatywę Sachs, znał ją... jeśli będzie chciała o czymś porozmawiać, sama zacznie. A póki nie zacznie, temat nie istnieje.

I wiesz, co się stało?

Nie ze szczegółami. Zakładam, że podpada to pod kategorię: skorumpowany, egoistyczny urzędnik państwowy przeciw prze pracowanemu, bohaterskiemu gliniarzowi. Mam rację?

Prawie - odpowiedziała Sachs, śmiejąc się.

Znam to z własnego doświadczenia.

Dobiegająca z cyrkowego namiotu rytmiczna muzyka wdzierała się do sypialni, budząc sprzeczne uczucia. Człowiek wiedział, że powinna go denerwować, taka była nachalna, a jednocześnie nie sposób było oprzeć się jej radosnemu rytmowi.

-

Lon z tobą rozmawiał, prawda? Proponował, że pociągnie za jakieś sznurki? Zadzwoni do kogoś w ratuszu?

Amelia nie musi nic wiedzieć. Poproszę faceta, żeby trzymał język za zębami.

Musiał się roześmiać.

- Jasne,

że tak. Dobrze znasz Łona.

Muzyka ucichła. Rozległy się oklaski, a kiedy ucichły, usłyszeli cichy głos konferansjera.

- Słyszałam, że mógłby załatwić tę sprawę. Wymanewrować Ramosa.

Prawdopodobnie tak. Lon wiele może.

-1 co mu powiedziałaś?

A jak myślisz?

Ja tu zadaję pytania.

Powiedziałem „nie”. Nie pozwoliłem mu.

Naprawdę?

Naprawdę. Powiedziałem mu, że zrobisz to po swojemu albo wcale.

Niech to diabli!

Rhyme spojrział na nią zaniepokojony. Czyżby źle ją osądził?

Jestem wściekła na Łona - oznajmiła Sachs. - Że w ogóle o tym pomyślał.

Miał dobre intencje.

Nie mógł przecież tego poczuć, ale miał wrażenie, że Sachs przytula go mocniej.

To, co mu powiedziałaś... dla mnie jest najważniejsze na świecie, wiesz?

Wiem.

421

Może się zrobić nieprzyjemnie. Ramos chce mnie zawiesić.

Na rok, bez pensji. Nie wiem, co zrobię, jeśli mu się uda.

Zostaniesz konsultantką. U mnie.

Cywil nie może chodzić po siatce. Jeśli będę tylko siedzieć i myśleć, oszaleję.

Kiedy się ruszasz, nie mogą cię dorwać...

Jakoś przez to przejdziemy.

Kocham cię - szepnęła Sachs. Odetchnął głęboko jej słodkim zapachem, zapachem kwiatów i quaker state, i powiedział: Kocham cię.

O Boże, jak tu jasno. - Patrzyła w okno, przez które wdzierał

się blask jasnych światła z terenu cyrku. - Gdzie zasłony?

Spaliły się, nie pamiętasz?

Myślałam, że Thom kupił nowe.

Nawet zaczął je wieszac, ale strasznie poważnie to potraktował, mierzył i tak dalej. W końcu wyrzuciłem go z sypialni. Może pobawić się tym później.

Sachs wyskoczyła z łóżka. Zasłoniła okno zapasowym prześcieradłem, odcinając większość drażniącego ją światła. Potem wróciła, przytuliła się do Rhyme'a i niemal natychmiast zasnęła.

Ale on nie. Leżał, słuchając muzyki i tajemniczego głosu konferansjera, coś przyszło mu do głowy i o śnie nie było już mowy. Leżał z szeroko otwartymi oczami, pogrążony w myślach.

I chyba nie ma nic dziwnego w tym, że myślał o cyrku.

Późnym rankiem Thom wszedł do sypialni Lincolna Rhyme'a i ze zdziwieniem stwierdził, że ma on gościa.

Cześć - powitał Jaynene Williams, siedzącą przy łóżku na jednym z kupionych niedawno krzesel.

Cześć.

Thom, który właśnie wrócił z zakupów, był wyraźnie zdziwiony jej obecnością, choć dzięki komputerowi, systemowi kontroli otoczenia i systemowi kamer wideo Rhyme mógł dzwonić, do kogo mu się podobało, zapraszać i otwierać drzwi.

Czegoś się tak wystraszył? - zakpił kryminalistyk. - Przecież zaprosiłem już kiedyś parę osób.

Przychodzi mi do głowy tylko światło księżycy.

Uważaj, bo zamiast ciebie zatrudnię Jaynene.

Zatrudnij i ją, i mnie, to będziesz mógł się znęcać nad dwie ma osobami za cenę jednej. - Thom uśmiechnął się do pielęg niarki. - Nie martw się, tego bym ci nie zrobił.

422

Miałam już gorszych pacjentów.

Pijasz kawę czy herbatę?



Och, bardzo przepraszam. Gdzie się podziały moje maniery?

- zgorzył się Rhyme. - Już dawno powinienem nastawić wodę.

Kawa w zupełności mi wystarczy - Jaynene uśmiechnęła się.

Dla mnie szkocka - powiedział Rhyme, a kiedy jego opiekun zerknął na zegarek, dodał. - Mała.

Dawka lecznicza.

Kawa dla wszystkich - oznajmił Thom i znikł w kuchni.

Rhyme i Jaynene rozmawiali przez chwilę o urazach kręgosłupa, o pacjentach, o reżimie ćwiczeń i elektrycznej stymulacji, mającej poprawić ich stan. W pewnym momencie jednak Rhyme, niecierpliwy jak zwykle, uznał, że wykazał się już wystarczającą uprzejmością i może wreszcie przejść do rzeczy.

Mam pewien problem - powiedział, zniżając głos. - Coś mnie niepokoi, a ty chyba potrafisz mi pomóc. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Jeśli tylko będę mogła? - Pielęgniarka przyjrzała mu się po dejrzliwie.

Możesz zamknąć drzwi?

Jaynene spełniła jego prośbę, po czym znów przysiadła przy łóżku.

Jak długo znasz Karę? - spytał Rhyme.

Karę? Nieco ponad rok. Od kiedy przywiozła matkę do Stuyvesant.

To dość drogie miejsce, prawda?

Bardzo drogie. Zgroza, ile trzeba płacić. Ale we wszystkich domach takich jak nasz opłaty są mniej więcej takie same.

Matka Kary ma ubezpieczenie?

Zaledwie Medicare. Większość rachunków biedna dziewczyna na reguluje z własnej kieszeni. Jeśli może. W tej chwili jest na bieżąco, ale często ma zaległości.

Rhyme powoli skinął głową.

Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Pomyśl, nim odpowiesz.

Bardzo cię proszę, żebyś była ze mną absolutnie szczerą.

No, cóż... - Pielęgniarka wahała się, wpatrzona w świeżo polakierowaną podłogę. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Minęło południe. W pokoju gościnnym Rhyme i Roland Bell słuchali nowej płyty, którą kryminalistyk kupił przez Internet: fortepianowych nagrań Dave'a Brubecka. Rozmawiali także o sprawie Andrew Constable'a.

423

Charles Grady i sam stanowy prokurator generalny zdecydowali opóźnić sprawę celem włączenia do niej dodatkowych oskarżeń: usiłowania zabójstwa własnego prawnika, spisku mającego na celu dokonanie zabójstwa i morderstwa. Nie zapowiadało się, że sprawa będzie łatwa, wymagała połączenia Constable'a z Barnesem i ze Stowarzyszeniem Patriotycznym, ale jeśli ktoś mógł doprowadzić do skazania przestępcy, to takim człowiekiem był właśnie Grady. Miał on także zamiar doprowadzić do skazania Arthura Loessera na karę śmierci za zamordowanie funkcjonariusza patrolu Larry'ego Burke'a, którego ciało znaleziono wreszcie w alejce na Upper West Side. W tej właśnie chwili Lon Sellitto uczestniczył w jego uroczystym pogrzebie w Queens.

Do pokoju weszła Amelia, bardzo zmęczona po długiej konferencji z prawnikami, załatwionymi jej przez Stowarzyszenie Dobroczyńne Policjantów Patrolu. Omawiano sprawę jej ewentualnego zawieszenia. Powinna zjawić się przed kilkoma godzinami; z wyrazu jej twarzy Rhyme natychmiast

się zorientował, że nie było to owocne spotkanie. Miał jej wiele do powiedzenia, przede wszystkim o rozmowie z Jaynene i o tym, co zdarzyło się później, próbował nawet się do niej dodzwonić, lecz bez skutku. A teraz nie było już czasu na rozmowę, ponieważ pojawił się kolejny gość.

Thom wprowadził do pokoju Edwarda Kadesky'ego.

-

Panie Rhyme - powitał kryminalistykę, uprzejmie skinął jej głową. Zapomniał nazwiska Amelii, ale i jej ukłonił się grzecznie. Potrząsnął dłonią Bella. - Dostałem pańską wiadomość. Podobno poznaliście jakieś nowe fakty?

Rhyme skinął głową.

Dziś rano pogrzebałem trochę w tej sprawie. Próbowałem poukładać nieuporządkowane szczegóły.

Jakie nieuporządkowane szczegóły? - zdziwiła się Amelia.

Szczegóły, o których nie wiedziałem, że nie zostały jeszcze poukładane. Takie, których nie znałem.

Amelia zmarszczyła brwi. Kadesky też sprawiał wrażenie niezbyt szczęśliwego.

Asystent Weira... ten Loesser... chyba nie udało mu się uciec?

Nie, skąd. W tej chwili jest w areszcie.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Thom znikł, by po chwili pojawić się ponownie wraz z Karą.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła, przyglądała krótkie włosy, już nie fioletowe jak poprzednio, lecz ciemnorude, w odcieniu przypominające piegi.

424

Cześć! - przywitała wszystkich. Obecność Kadesky'ego wyraziście ją zdziwiła.

Czym mogę państwu służyć? - spytał Thom, jak zwykle nie naganie uprzejmy.

Mógłbyś zostawić nas na chwilę? Proszę.

Thom spojrzał na Rhyme'a; wyraz twarzy kryminalistykę, podobnie jak jego głos zdradzały, że jest on poważnie zaniepokojony. Skinął głową i wyszedł do kuchni. Tymczasem Rhyme zwrócił się do Kary:

- Dziękuję, że przysłaś. Potrzebuję twojej pomocy. Chciałbym definitywnie zakończyć sprawę.

- Chętnie pomogę.

Nieuporządkowane szczegóły...

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym wieczorze, kiedy to Mag wjechał do namiotu Cirque Fantastique karetką, w której była bomba.

Kara skinęła głową. Stuknęła pomalowanymi na czarno paznokciami.

Chętnie pomogę, jeśli tylko potrafię.

Przedstawienie miało zacząć się o ósmej, czy tak? - Rhyme zwrócił się do Kadesky'ego.

Tak. Punktualnie o ósmej.

Nie był pan obecny w cyrku, gdy Loesser wjechał karetką za bramę?

Nie. Udzielałem wywiadu w radiu.

Ale ty tam byłaś? - Rhyme zwrócił się do Kary.

Oczywiście. Nawet widziałam, jak wjeżdża. Wtedy wcale mnie to nie zdziwiło.

Gdzie dokładnie zaparkował Loesser?

Pod główną trybuną. No, może nie dokładnie pod, ale bardzo blisko.

A więc nie pod najdroższymi miejscami? - Było to pytanie do Kadesky'ego.

-Nie.

Ale blisko głównego wyjścia przeciwpożarowego? Tego, który w razie ewakuacji użyłaby większość ludzi?

Tak jest.

Do czego zmierzasz, Lincoln? - zainteresował się Bell.

Zmierzam do tego, że Loesser zaparkował karetkę tak, by bomba wyrządziła jak największe szkody, lecz jednocześnie w ten sposób, by dać szansę ucieczki osobom zajmującym miejsca w łóżkach. Czym się kierował, wybierając to miejsce?

425

nil

Nie wiem - przyznał producent. - Być może obejrzał namiot wcześniej i wybrał najlepsze miejsce... to znaczy najlepsze z jego punktu widzenia, a najgorsze z naszego.

Oczywiście, to możliwe - powiedział Rhyme tonem głębokiego zastanowienia - ale z drugiej strony zapewne nie chciałby pojawiać się w cyrku wcześniej, by się nie zdradzić... zwłaszcza że ustawiliśmy tam patrole policyjne.

Słuszna uwaga.

Czy nie wydaje się więc prawdopodobne, że ktoś znający rozkład wnętrza namiotu doradził mu tę lokalizację?

Mówi pan o kimś z wewnątrz? Podejrzewa pan, że miał po mocnika? - Kadesky zmarszczył brwi. - Niemożliwe. Nikt z moich pracowników by tego nie zrobił.

-

O co ci chodzi? - Amelia wyraźnie się zaniepokoiła.

Rhyme zignorował ją i następne pytanie zadał Karze.

O której godzinie poprosiłem cię, byś poszła do cyrku spotkać się z panem Kadeskym?

Mniej więcej piętnaście po siódmej.

Czekałaś na niego w łóżku?

Dziewczyna skinęła głową.

Na gorze? Obok wyjścia ewakuacyjnego?

Kara rozejrzała się dookoła. Nerwowo wyłamywała sobie palce.

Chyba... tak, tak mi się zdaje. - Spojrzała na Amelię. - Dla czego on mnie o to wypytuje? Nie rozumiem. O co wam chodzi?

Chodzi o to, że dobrze pamiętam, co sama nam kiedyś powiedziałaś, Karo - wyjaśnił Rhyme. - O ludziach, związanych z występem iluzjonisty. Po pierwsze mamy asystenta i wiemy, że on z iluzjonistą współpracuje. Po drugie z ochotnikiem z widowiska. Po trzecie ze współnikiem. Wspólnicy to ludzie pracujący dla iluzjonisty, ale pozornie niemający z nim nic wspólnego. Udają pracowników fizycznych albo ochotników.

Słusznie - przytaknął Kadesky. - Mnóstwo iluzjonistów korzysta z pomocy współników.

I tym przez cały czas byłaś dla Loessera, prawda? - zaatakował Rhyme, zwracając się do Kary.

Co takiego? - W głosie zdumionego Bella jego południowy akcent zabrzmiał jeszcze wyraźniej niż zazwyczaj.

Kara zadrżała. Bezradnie kręciła głową. Przeżyła szok.

Od samego początku pracowała z Loesserem - wyjaśnił kryminalistyk.

Nie! - zaprotestował Kadesky. - Ona?

Bardzo potrzebuje pieniędzy, a Loesser zapłacił jej za po moc pięćdziesiąt tysięcy górką. Balzac też jest w to wmieszany.

Kara? - szepnęła zdumiona Amelia. - Nie, nie wierzę. Ona by tego nie zrobiła.

Doprawdy? - Rhyme doskonale udał zdumienie. - A co ty o niej wiesz? Nie znasz nawet jej prawdziwego imienia.

Ja... - Policjantka spojrzała na przyjaciółkę, jakby wzrokiem prosiła ją o pomoc. - Nie - przyznała. - Nie znam.

Kara rozpląkała się.

Amelio, tak mi przykro - wyszeptała przez łyzy. - Wiem, że nie zrozumiesz, ale... Pan Balzac przyjaźnił się z Weirem. Przez kilka lat występował z nim i kiedy dowiedział się o jego śmierci w pło mieniach, był zdruzgotany. Loesser powiedział mu, co ma zamiar zrobić, i obaj zmusili mnie do współpracy. Uwierz mi, proszę... nie wiedziałam, że zamierzają krzywdzić ludzi. Pan Balzac twierdził, że to będzie proste wymuszenie, że chcą tylko wyrównać rachunki. Kiedy dowiedziałam się, że Loesser zabija ludzi, było już za późno. Zagroził mi, że jeśli przestanę im pomagać, poda moje prawdziwe nazwisko policji. Że nigdy nie wyjdę z więzienia. I pan Balzac też... - Otarła łyzy. - Nie mogłam mu tego zrobić.

Nie mogłaś tego zrobić swemu mentorowi - stwierdził gorzko Rhyme.

Kara, z paniką w oczach, precyzyjnie się między Sachs i Kadeskym. Pobiegnęła w stronę drzwi.

- Zatrzymaj

ją, Rolandzie! - krzyknął Rhyme.

Bell zachował się niczym rasowy obrońca: skoczył błyskawicznie i przewrócił ją na podłogę.

Potoczyli się w kąt pokoju. Dziewczyna była silna, ale nie miała szans w starciu z policjantem. Została skuta.

Bell wstał zdyszany, podszedł do Rhyme'a, wyjął zza pasa motorolę i na oczach przyglądającej mu się ze zdumieniem Amelii zgłosił konieczność przetransportowania więźniarki do aresztu kobiecego. Pod szczególnym nadzorem.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy odczytał Karze jej prawa.

Rhyme westchnął ciężko.

- Próbowałem cię uprzedzić, Sachs, ale nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Żałuję, że tak się stało... ale już po wszystkim.

Ona i Balzac zaplątali się w tę sprawę od samego początku. Oszuкали nas, tak jak oszukiwali widzów.

- Ja nie rozumiem, jak mogła to zrobić - szepnęła Amelia.

Manipulowała dowodami, okłamywała nas, podsuwała fał

szywe tropy... chodź, Rolandzie, pokażę ci to wszystko na naszych tablicach - powiedział Rhyme.

Kara podsuwała fałszywe dowody? - Amelia Sachs nie po trafiła się z tym pogodzić.

A pewnie. I doskonale jej to wychodziło. Zaczęła od samego początku, nim ją spotkałaś. Przecież sama powiedziałaś, że to ona dała ci znak, byście spotkały się w kawiarni. Ustawili to tak, że lepiej nie można.

Bell stał przy białych tablicach. Miał wskazywać kolejne dowody, a Rhyme wyjaśniać, jak Kara użyła ich przeciwko nim. Ale przeszkodził mu Thom.

Przyszła jakaś policjantka - zawołał.

Wprowadź ją - poprosił kryminalistyk.

Młoda funkcjonariuszka w modnych okularach przekroczyła próg, podeszła do stojących w grupie Sachs, Bella i Kadesky'ego, przyjrzała się im zza modnych okularów, skinęła głową Rhy-me'owi i spytała Bella:

-

To pan dzwonił po eskortę do aresztu kobiecego, detekty wie? - Mówiła z wyraźnym latynoskim akcentem.

Bell skinął głową, wskazując kąt pokoju.

-

Jest tam. Zna swoje prawa.

Policjantka zerknęła na leżący na podłodze nieruchomy kształt.

W porządku, zawiozę ją do śródmieścia - powiedziała. Zawa hała się. - Ale mam jedno pytanie.

Pytanie? - zdziwił się Rhyme.

428

-

A o co chodzi? - spytał równie zdumiony Bell.

Policjantka nie odpowiedziała na ich pytania. Spojrzała na Kadesky'ego.

Dokumenty proszę - powiedziała stanowczo.

Do mnie pani mówi? - zdumiał się producent.

Owszem. Chcę zobaczyć pańskie prawo jazdy.

Legitymujesz mnie? Znowu? Przecież sprawdzaliście mnie wczoraj.

Proszę...!

Zły jak osa Kadesky sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Ale nie znalazł w niej portfela, tylko starą, wygniecioną portmonetkę w czarne i białe paski.

Hej, chwileczkę... - Zawahał się. Nie wierzył własnym oczom. - To nie moje.

Nie pańskie? - zdziwiła się policjantka.

Oczywiście, że nie. - Kadesky bezradnie klepał się po kie szeniach. - Doprawdy nie wiem...

Tego się właśnie spodziewałam. - Policjantka zachowywała się bardzo poważnie i profesjonalnie. - Bardzo mi przykro. Aresz tuję pana pod zarzutem kradzieży kieszonkowej. Ma pan prawo zachować milczenie...

Przecież to bzdura - zaprotestował Kadesky. - Straszna po myłka. - Otworzył portmonetkę, zajrzał do środka i nagle wy buchł pełnym niedowierzania śmiechem. Wyjął prawo jazdy, po kazał wszystkim. Na zdjęciu była Kara.

Z portmonetki wypadła kartka papieru. Złapał ją w powietrzu. Widniały na niej dwa słowa:

„Mam cię”.

-

Czy... - Kadesky przerwał, dokładniej przyjrzał się poli cjanctce. - Przecież to ty!

„Policjantka” roześmiała się, zdjęła okulary, czapkę oraz czarną perukę. Śmiejący się wesoło Roland Bell rzucił jej ręcznik, którym wytarła z twarzy ciemny makijaż. Odkleiła grube brwi i czerwone nakładki z polakierowanych na czarno paznokci. Wreszcie z rąk zdumionego Kadesky'ego wyjęła portmonetkę i oddała mu jego portfel. Producent nie zauważył nawet, że mu go wyjęła z kieszeni, kiedy wpadła na niego i Amelię podczas udawanej „próby ucieczki”.

Amelię zatkało, tylko z podziwem kręciła głową. Oboje ze zdumieniem patrzyli na leżącą w kącie

postać. Kara podeszła do niej. Podniosła lekką konstrukcję, zaledwie przypominającą ludzką postać; jeszcze przed chwilą leżała ona na „brzuchu”, ubrana 429

w coś przypominającego dżinsy i wiatrówkę, które dziewczyna miała na sobie, gdy Bell zakładał jej kajdanki. Lateksowe nadgarstki manekina skute były tymi właśnie kajdankami; uwolniła się z nich w kilka sekund i zdołała jeszcze skuć nimi manekina.

Gdy obecni odwrócili się, złapani na zmyłkę wskazującego tablice Rhyme'a, młoda iluzjonistka zdołała nie tylko uwolnić się, lecz także wymknąć na korytarz i dokonać szybkiej zmiany w policjantkę.

-

No to macie fałszywkę - oznajmił radośnie Rhyme. - Fałszywą Karę.

Dziewczyna złożyła manekin; miał on teraz rozmiar niewielkiej poduszki, bez żadnych problemów wniosła go do domu Rhyme'a pod wiatrówką. Z bliska nikt nie pomyliłby go z człowiekiem, ale leżał w cieniu, uwagę obecnych skutecznie odwrócono i nikt nie zauważył, iż bardzo różni się od Kary.

Kadesky potrząsnął głową z podziwem.

- Wymknęłaś się nam i przeprowadziłaś szybką zmianę w niepełną minutę?

W czterdzieści sekund.

-Jak?

Widział pan efekt. Metodę wolę zostawić dla siebie.

- Czy

myślę się, twierdząc, że przygotowaliście ten żart, bo chcesz przesłuchania?

Kara się zawahała. Zerknęła na kryminalistykę, a on dodał jej odwagi ostrym spojrzeniem.

Myli się pan - powiedziała odważnie dziewczyna. - To było przesłuchanie. Chcę pracy.

Sama twierdziłaś, że nie jesteś jeszcze gotowa.

Nie mnie o tym decydować. A co pan o tym sądzi?

Kadesky spojrzał na nią ostro.

Pokazałaś nam dobrą sztuczkę. Znasz inne?

Wiele.

Ilu zmian dokonywałaś podczas jednego występu?

Czterdziestu dwóch. Trzydzieści postaci. W ciągu pół godziny.

Czterdziestu dwóch w pół godziny? - spytał z niedowierzaniem producent.

Owszem.

Kadesky zastanawiał się, ale zaledwie kilka sekund.

- Zgłoś się do mnie w przyszłym tygodniu. Nie mam zamiaru skracać moim artystom czasu występów, ale zastępstwo przyda się z pewnością. Poza tym dam ci zapewne szansę samodzielnych występów poza sezonem, w zimie, kiedy zatrzymujemy się na Florydzie.

Kara i Rhyme znów wymienili spojrzenia. Kryminalistyk energicznie skinął głową.

-

Zgoda - powiedziała dziewczyna, wyciągając rękę. Kadesky potrząsnął nią energicznie, zerknął na rozkładany sprzęt manekina, który tak ich ogłupił, i spytał:

Sama to wymyśliłaś?

-Tak.

Radzę opatentować.

No proszę, a mnie to nawet do głowy nie przyszło. Dziękuję.

Doskonały pomysł.

Czterdzieści dwie zmiany w trzydzieści minut - powtórzył

Kadesky. Skinął głową Rhyme'owi. Wszedł bez słowa, ale i on, i Kara sprawiali wrażenie rasowych kierowców zachwyconych tym, że udało im się kupić wyścigowy samochód po niewygórowanej cenie.

Amelia nie zdołała zachować powagi.

No, aleście mnie oszukali - powiedziała ze śmiechem. - Ty też - dodała, patrząc na Rhyme'a.

Hej, uważaj. - Roland Bell przekonująco udawał obrażonego go. - Ja też wystąpiłem na scenie. Skułem ją tymi rękami.

Kiedy to wymyśliliście?

Rhyme wyjaśnił jej, że ostatniej nocy, kiedy leżał bezsennie, słuchał cyrkowej muzyki, niewyraźnego głosu konferansjera, oklasków i okrzyków widowni. Przypomniała mu się wówczas Kara i jej wspaniałe przedstawienie w „Dym i Lustra”. Ale dziewczyna była taka nieśmiała i Balzac panował nad nią tak niepodzielnie. No i ten jej problem z matką. Właśnie dlatego zaprosił na rano Jaynene.

Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Pomyśl, nim odpowiesz.

Bardzo cię proszę, żebyś była ze mną absolutnie szczerą. Czy matka Kary kiedykolwiek z tego wyjdzie?

Pytasz o to, czy kiedykolwiek odzyska świadomość?

Właśnie tak. Czy wyzdrowieje.

Nie ma mowy.

Więc Kara nie zabiera jej do Anglii?

Nie, nie, nie! - Pielęgniarka uśmiechnęła się, ale nie był to uśmiech wesoły. - Nigdzie jej nie zabierze.

Kara twierdzi, że nie może rzucić pracy, bo musi płacić raty za prywatny szpital.

430

431

Och, oczywiście, jej matkę trzeba gdzieś umieścić. Ale nie u nas. U nas płaci się za rehabilitację, rekreację, leczenie i interwencje w nagłych wypadkach. Najprościej mówiąc: opieka krótkoterminowa. Tymczasem mama Kary nie wie nawet, który mamy rok. Można ją umieścić wszędzie. Przykro to mówić, ale starszej pani nie da się leczyć, można ją co najwyżej obsługiwać.

Co będzie, jeśli odda się ją do hospicjum?

Będzie się jej pogarszała... aż do śmierci. Dokładnie tak, jak u nas. Tylko że nie doprowadzi córki do bankructwa.

Po rozmowie Jaynene i Thom poszli na lunch, podczas którego niewątpliwie zabawiali się nawzajem opowieściami o szaleństwach ludzi pozostawionych pod ich opieką, Rhyme zaś zadzwonił do Kary, a kiedy przyszła, odbyli zasadniczą rozmowę. Nieco niezręczną, przynajmniej na początku, Rhyme nie za dobrze radzi! sobie ze sprawami osobistymi.

Konfrontacja z bezdusznym seryjnym mordercą była niczym w porównaniu z wkraczaniem z butami w czyjeś prywatne życie.

Wiesz, że nie znam dobrze twojego zawodu - zaczął rozmowę Rhyme. - Ale widziałem cię na scenie w niedzielę wieczorem, w tym sklepie, no i zaimponowałaś mi... a mnie niełatwo zaimpo-

nować. Dobra byłaś.

Jak na uczennicę. - Kara lekceważąco machnęła ręką.

Nie! Jak na artystkę! Czas, byś wyszła na scenę.

-

Nie jestem jeszcze gotowa. Ale kiedyś, oczywiście...

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał kryminalistyk.

Moje wątpliwości budzi to, że niektórzy nigdy na nią nie tra fiają. - Popatrzył na swoje sparaliżowane ciało. - Wszystko może się zdarzyć. A ty? Ty, Karo, zrobiłaś coś bardzo ważnego.

Możesz zmarnować swą jedyną szansę.

Ale pan Balzac...

Pan Balzac ściąga ci cugle. To oczywiste dla każdego.

Chodzi mu wyłącznie o moje dobro.

Nie. Nie sądzę. Nie wiem oczywiście, o czym myśli, ale jed nego jestem pewien, nie myśli o tobie. Przypomnij sobie Weira, Keatinga, Loessera. Pamiętaj też, co sama powiedziałaś: mentor potrafi zaczarować ucznia. Podziękuj Balzacowi za to, co dla ciebie zrobił, obiecaj, że zostanieie przyjaciółmi, wyślij mu zaproszenie do loży na twój pierwszy występ w Carnegie Hall, ale odejdz od niego... póki jeszcze możesz.

Przecież on mnie wcale nie zaczarował! - Kara roześmiała się lekceważąco.

432

Rhyme milczał. Wiedział, że w tej chwili Kara zastanawia się nad tym, jak głęboko wpadła i jaką władzę ma nad nią Balzac.

Kadesky jest nam coś winien... po tym, co dla niego zrobili śmy - powiedział w końcu. - Amelia powiedziała, że kochasz Cirque Fantastique. Moim zdaniem powinni cię przesłuchać.

Może i tak. Ale mam problemy osobiste...

Mamę? - przerwał jej.

-Tak.

Rozmawiałem z Jaynene.

Kara umilkła.

Pozwól, że opowiem ci pewną historię.

Historię?

- Byłem szefem wydziału kryminalistyki tu, w Nowym Jorku.

Jak zapewne dobrze wiesz, była to robota przede wszystkim administracyjna. A ja najbardziej lubiłem badanie miejsca prze stępstwa, dlatego chociaż dostałem awans, wrywałem się w te ren, kiedy tylko mogłem. No i... przed paroma laty mieliśmy w Bronksie seryjnego gwałciciela. Oszczędzę ci szczegółów, w każdym razie to była cholernie obrzydliwa sprawa i bardzo chciałem szybko dopaść faceta. Wyjątkowo mi na tym zależało.

Patrol zawiadomił mnie o kolejnym ataku, za ledwie przed pół

godziną; wyglądało na to, że na miejscu znajdę choć trochę przy zwoitych dowodów. Pojechałem do miasta, żeby przeprowadzić badanie osobiście.

Kiedy znalazłem się na miejscu, dostałem wiadomość, że mój zastępca i dobry przyjaciel dostał ataku serca. Ciężkiego. Bardzo poważnego. To był młody facet w doskonałej formie.

No nk, w każdym razie prosił, żebym do niego przyjechał. - Rhyme przerwał na chwilę. Nie było to mile wspomnienie; musiał się bardzo postarać, żeby je od siebie odsunąć. - Nie przyjechałem.



Musiałem zbadać miejsce, wypełnić karty łańcucha dowodów. Dopiero potem pojechałem do szpitala. Pobitem wszystkie rekordy szybkości, ale i tak się spóźniłem. Zmarł

godzinę wcześniej. Trudno się czymś takim pochwalić, prawda? Tyle lat minęło i ciągle mnie to boli. Ale nie postąpiłbym inaczej. Za żadne skarby.

Chcesz mnie przekonać, że powinnam przenieść matkę do innego zakładu, prawda? - spytała dziewczyna z goryczą w głosie.

-Tańszego. Dopiero wtedy będę szczęśliwa.

Ależ nic takiego. Znajdź jej miejsce, w którym otrzyma od powiednią opiekę, będzie miała towarzystwo. Ważne jest to, cze go ona potrzebuje, a nie to, czego potrzebujesz ty. Centrum rehabilitacji szybko doprowadzi cię do bankructwa... Wiesz, próbuję ci tylko wytłumaczyć, że jeśli jest coś, co chcesz robić w życiu, to wszystko inne musisz temu czemuś podporządkować. Weź tę pracę w Cirque Fantastique albo znajdź sobie jakąś inną, ale musisz zrobić ten krok i to teraz, już.

Wiesz, jak wyglądają niektóre z tych hospicjów?

Prawdopodobnie nie najlepiej i twoim zadaniem jest teraz znalezienie takiego, które będzie się podobało wam obu. Prze praszam za bezpośredniość, ale przecież uprzedzałem cię, że de likatność nie jest moją mocną stroną.

Kara potrząsnęła głową.

- Słuchaj, Lincoln, nawet gdybym się zdecydowała, nigdy nie dostanę pracy w Cirque Fantastique. Do nich przychodzą setki podań tygodniowo!

Na te słowa Rhyme wreszcie się uśmiechnął.

- Wyobraź sobie, że o tym też pomyślałem. Unieruchomiony Człowiek ma pomysł na pewien numer. Sądzę, że warto spróbować.

Tak skończyła się opowieść Rhyme'a.

Nazwaliśmy tę sztuczkę „Uciekającym podejrzanym” - po wiedziała Kara. - Może nawet włączyć ją do swojego repertuaru?

Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytała Rhyme'a urażona Amelia.

Byłaś w śródmieściu. Nie zdążyłem cię złapać. Przepraszam.

No cóż, zapewne wyszłoby lepiej, gdybyście mnie jednak uprzedzili. Przecież mogłeś choćby zostawić wiadomość.

Sachs! Koniec tego dobrego. Przeprosiłem, a wiesz, że nie często mi się to zdarza. Powinnaś to docenić. A skoro zaczęliśmy już o tym rozmawiać, powiem ci szczerze, że nie wiem, jak mogło by „wyjść lepiej”. Zdumienie na twojej twarzy warte było fortunę. Dodało przedstawieniu wiarygodności.

A Balzac? Znał Weira? Był wplątany w tę sprawę?

Wszystko wymyślone. - Rhyme skinął głową, wskazując Karę. - Razem napisaliśmy scenariusz.

Amelia spojrzała na dziewczynę niezbyt przyjaźnie. Westchnęła.

-

Najpierw dajesz się zadźgać na śmierć właśnie wtedy, kiedy ja się tobą opiekuję, a potem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieniasz się w podejrzaną o morderstwo. To będzie bar dzo trudna przyjaźń.

Kara zaproponowała, że pobiegnie do kubańskiej restauracji po jedzenie na wynos, choć Rhyme podejrzewał, że chodzi jej raczej o to, by kupić sobie wielki kubek ich mulistej kawy.

Nim uzgodnili zamówienie, zadzwonił telefon.

-  
Polecenie, przyjmij rozmowę.

Z głośnika rozległ się głos Sellitta.

Linc, zajęty jesteś?

To zależy. O co chodzi?

Głupiego robota kocha. Potrzebna nam pomoc. Mamy dość niesamowite morderstwo.

O ile pamiętam, poprzednio było tylko „dziwne”. Podejrze wam, że przymiotnikami szafujesz tylko po to, by pobudzić moją ciekawość.

- Nie,

naprawdę, nie mam pojęcia, co z tym począć.

- Dobrze

już, dobrze - burknął Rhyme. - Podaj szczegóły.

Szorstkie zachowanie kryminalistyka maskowało oczywiście radość z faktu, że nuda nie będzie mu dokuczać... przynajmniej przez jakiś czas.

Kara przystanąła przed wejściem do „Dymu i Luster”. Zdziwiła się, widząc to, czego nigdy przedtem nie dostrzegą: dziurę w lewym górnym rogu drzwi, zapewne od strzału z wiatrówki, nieudolne graffiti, starą książkę o Houdinim, porzuconą w rogu wystawy, otwartą na stronie pokazującej pleciony sznur, którym ten słynny iluzjonista często posługiwał się w trakcie występów.

Błysnęło światelko, to pan Balzac zapalił papierosa. Kara odetchnęła głęboko. Jeśli masz to zrobić, zrób teraz, pomyślała i weszła do środka.

Balzac był na zapleczu z przyjacielem, Kalifornijczykiem, który przyjechał dać pokaz na prywatnym przyjęciu dobroczynnym. Niewysokiemu mężczyźnie w średnim wieku przedstawił ją jako uczennicę. Przez chwilę rozmawiali o przedstawieniu gościa i o przyjaciółach z miasta, ot, zwykłe plotki, jakże typowe dla ludzi wywodzących się z jednego środowiska. Trwało to krótko; mężczyzna śpieszył się na samolot, a do sklepu wpadł tylko po to, by zwrócić pożyczone rekwizyty. Pożegnał się z przyjacielem, skinął głową Karze i wyszedł.

Spóźniłaś się - powiedział szorstko Balzac. Zdziwił się, widząc, że Kara nie odkłada torby za ladę, jak to zwykle czyniła.

Spojrzał na jej dłonie. Nie trzymała w nich kubka kawy. A to bardzo wiele mówiło.

Co? - spytał krótko, zaciągając się papierosem. - O co chodzi?

435

Odchodzę.

Jak to?

Rozmawiałam z Kadeskym. Dostałam pracę w Cirque Fantastique.

Kadesky? On? Nie, nie, nie! Ty? Przecież to nie magia, tylko...

Ja chcę pracować w Cirque Fantastique.

Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Nie jesteś gotowa. Masz potencjał, ale brakuje ci wielkości.

Przecież to nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko wyjście na scenę. Tylko przedstawienie.

Jeśli postąpisz pochopnie...

Pochopnie? Och, Davidzie, jak możesz. Pochopnie? A kiedy, twoim zdaniem, już nie będzie „pochopnie”? Za rok? Za pięć lat?

-

Zazwyczaj pod jego ciężkim spojrzeniem zawsze spuszczała wzrok, ale dziś miała siłę, by

spojrzeć mu wprost w oczy. - Czy kie dykolwiek wypuściłbyś mnie spod swych opiekuńczych skrzydeł?

Wpatrzony w blat biurka Balzac przekładał papiery z kupki na kupkę.

Kadesky! - prychnął lekceważąco.

- I co niby masz dla niego  
robić?

Będę asystentką, przynajmniej na początku. Zimą, na Flory dzie, zacznę występować samodzielnie. A potem... kto wie?

Jej mentor zdusił papierosa w popielniczce.

To błąd. Zmarnujesz talent. Tam nie pokazują iluzji takich, jakich cię uczyłem.

Dostałam tę pracę dlatego, że mnie uczyłeś.

Kadesky! Nowa magia!

Oczywiście. Ale przedstawię także stare sztuczki. Pamiętasz

„Metamorfozy”, „Stare staje się nowym”?

David Balzac nie uśmiechnął się, choć wzmianka o jego „starych sztuczkach” z pewnością sprawiła mu przyjemność.

Słuchaj - mówiła dalej dziewczyna - ja dalej chcę się u ciebie uczyć. Ilekroć wrócę do miasta, będę do ciebie wracała. Za płacę za lekcje.

Nie sądzę, by to się udało. Nie można służyć dwóm panom

- szepnął Balzac, a kiedy Kara nie odezwała się, dodał: - No cóż, zobaczymy. Nie wiem, czy będę miał czas.

Kara wstała, zarzuciła torbę na ramię.

- A

więc to już? Teraz? - spytał.

-

Tak chyba będzie lepiej.

David Balzac tylko skinął głową.

- Do

widzenia.

Bliska łez, Kara zarzuciła torebkę na ramię. Podeszła do drzwi.

- Chwileczkę. - Jej, były już, mentor wyszedł na chwilę, a kie dy wrócił, wcisnął jej coś do ręki. Pudełko po cygarach, a w nim trzy kolorowe chusteczki Tarbella. - Zatrzymaj je. Podobało mi się, jak robisz tę sztuczkę.

Naprawdę? Pamiętała poprzednią pochwałę. „Ach”.

Kara objęła i mocno przytuliła Balzaca. Zdziwiona pomyślała: Oto nasz pierwszy fizyczny kontakt po tym, jak zaangażował mnie do sklepu i uściskał mi rękę osiemnaście miesięcy temu.

Balzac odwzajemnił jej uścisk niezręcznie, jakby krępowała go ta sytuacja, i szybko cofnął się o krok.

Dziewczyna wyszła. Nim drzwi sklepu się zamknęły, pomachała mentorowi na pożegnanie, ale on już znikł w mroku, rządzącym wszechwładnie jego sklepem. Włożyła pudełko z chusteczkami do torby i ruszyła w stronę Szóstej Alei, która miała doprowadzić Karę do jej mieszkania.

Morderstwo było rzeczywiście niesamowite. A właściwie podwójne morderstwo, którego dokonano w opuszczonej części Roosevelt Island: wąskim pasie domów mieszkalnych, szpitali i upiornych ruin nad East River. Linia tramwajowa prowadzi stąd na Manhattan i kończy się niedaleko budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych, więc nic dziwnego, że mieszka tu wielu pracowników ONZ.

I to właśnie ich znalezione martwych: dwóch młodych przedstawicieli jednego z krajów bałkańskich. Ręce skrępowano im na plecach, po czym obydwóm dwukrotnie strzelono w tył głowy.

Podczas przeszukania miejsca zbrodni Amelia znalazła kilka interesujących dowodów. Popiół z papierosów, których marka nie figurowała ani w stanowych, ani federalnych bazach danych, ślady roślin niewystępujących na terenie miasta oraz odcisk ciężkiej walizki, postawionej na ziemi przy zwłokach i zapewne otwartej.

Najdziwniejsze było to, że obie ofiary straciły prawe buty. Nie znaleziono ich w pobliżu ciał.

-

U obydwu prawe buty, Sachs - powiedział Rhyme, patrząc na czystą białą tablicę, przed którą Amelia chodziła tam i z powrotem.

- I co mamy z tym zrobić?

Odpowiedź na to pytanie musiała poczekać, ponieważ w tej chwili odezwał się telefon komórkowy policjantki. Dzwoniła sekretarka kapitana Marlowa. Zaprosiła ją na spotkanie z szefem. Od zamknięcia sprawy Maga minęły trzy dni, trzy dni temu dowiedziała się o działaniach, które podjął przeciwko niej Ramos. Od tego czasu ani słowem nie wspomniano o zawieszeniu.

-

Kiedy? - spytała Amelia.

438

-

Jak najszybciej - odpowiedziała sekretarka.

Policjantka zakończyła rozmowę. Spojrzała na Rhyme'a. Za ciśnięte wargi skrzywiła w niepewnym uśmiechu.

- Już czas. Muszę iść.

Rhyme tylko skinął głową.

Pół godziny później Amelia Sachs siedziała już w gabinecie kapitana Marlowa, który jak zwykle pogrążony był w lekturze jakichś dokumentów.

- Chwileczkę - powiedział, nie podnosząc wzroku. Od czasu do czasu notował coś na marginesie absorbujących go bez reszty dokumentów.

Amelia siedziała nieruchomo, ale daleko było jej do spokoju. Skubała skórki paznokci.

Wyłamywała palce. Minęły dwie bardzo długie, wypełnione ciszą minuty. O, Chryste, pomyślała i na tym wyczerpała się jej cierpliwość.

-

O co chodzi, panie kapitanie? Odpuścić?

Marlow skrupulatnie zaznaczył miejsce, w którym oderwał się od lektury dokumentu.

Podniósł głowę. -Kto?

-

Ramos. Czy odpuścił sprawę egzaminu na sierżanta?

I ten drugi mściwy fiut - lubieżny glina z egzaminu praktycznego.

- Odpuścił? Ramos? - Marlow wyraźnie zdumiał się jej naiwnością. - Ależ funkcjonariuszko, o tym nie ma mowy!

A więc... mógł być tylko jeden powód tego wezwania. Świadomość ta była jak pierwszy strzał na strzelnicy, ostry, odbierany całym ciałem, które przy kolejnych powoli drętwieje i przestaje cokolwiek odczuwać. Jeden powód: za chwilę Marlow odbierze jej broń i odznakę.

Zawiesili mnie.

Szlag by trafił!

Przygryzła wargę.

Kapitan tymczasem zamknął teczkę i spojrzał na nią z prawdziwie ojcowskim uczuciem, czym skutecznie wyprowadził ją z równowagi; nagle nabrała przekonania, że nowiny są tak straszne, iż uznał za konieczne jakoś je jej osłodzić.

-

Ludzie tacy jak Ramos... z nimi nie da się wygrać, funkcjo nariuszko Sachs. Nie w ich grę, nie na ich boisku. Zwyciężyłaś w bitwie, skułaś faceta, przepędziłaś z miejsca przestępstwa...

ale on wygrał wojnę. Ramosowie tego świata zawsze wygrywają wojny.

439- Ma pan na myśli głupców, prawda? Małostkowych, zawistnych głupców?

Marlow był zawodowym gliniarzem, który zaszedł wysoko, a zamierzał zejść jeszcze wyżej, dlatego po raz drugi udał, że nie

słyszy pytania.

-

Tylko popatrz - powiedział, wskazując blat biurka, w który sam wpatrywał się z obrzydzeniem w oczach. Papiery, papie ry, papiery, notatki, teczki. - I pomyśleć, że kiedy byłem zwy kłym gliną z patrolu, skarżyłem się na nadmiar biurokracji. -

Przejrzał jedną stertę, nie znalazł w niej tego, czego szukał, sprawdził następną, zrezygnował w połowie, znalazł jakieś dokumenty, przeglądał je powoli, ale okazało się, że to jednak nie te, których szukał. Mimo rozczarowania nie ustawał w wy siłkach.

Och, tatusiu, nie sądziłam, że dojdzie do zawieszenia.

I nagle smutek wraz z rozczarowaniem zmieniły się w jej duszy w ciężki, twardy kamień.

Amelia pomyślała: Aha! Chcecie to rozegrać w ten sposób? W porządku. Może pójdę na dno, ale i wy nie wyjdziecie z tego cali i zdrowi. Ramos i małe ramosopodobne fiutki długo będą lizać rany.

Pójdzie na pięści.

- Jest! - ucieszył się Marlow. Znalazł to, czego szukał: dużą kopertę z przyczepioną do niej kartką. Przeczytał to, co było na niej napisane. Zerknął na stojący na biurku zegarek w kształcie koła sterowego. - Och, ależ ten czas leci! - mruknął. - Pora kończyć.

Funkcjonariuszko Sachs, proszę oddać mi odznakę.

Amelia posłusznie sięgnęła do kieszeni. Serce straszliwie biło jej w piersi.

Na jak długo? - spytała cicho.

Rok. Bardzo mi przykro.

Cały rok? A miała nadzieję, że na trzy miesiące! W najgorszym razie.

- Nie

udało mi się załatwić lepszego układu. Rok. Prosiłem o odznakę! - Marlow potrząsnął głową. - Bardzo przepraszam za pośpiech. Za kilka chwil mam ważną naradę. Doprawdy, te nara dy

doprowadzają mnie do szaleństwa. Będziemy dyskutować o ubezpieczeniach. A ludzie myślą, że my nic nie robimy, tylko łą piemy bandytów. A raczej nie łapiemy bandytów, sądząc z tego, co o nas mówią. Hm... hmm... nic nie wiedzą o przekładaniu pa pierów. Wiesz, jak mój ojciec nazywał biurokrację? Biurwokra-cja. Trzydzieści dziewięć lat pracował dla American Standard.

440

Szef działu sprzedaży. BIURWOKRACJA. Doskonały opis naszej roboty. - Wyciągnął rękę.

Zła, zrozpaczona i rozczarowana, Amelia Sachs podała mu wytarty skórzany portfelik ze srebrną odznaką i legitymacją policyjną.

Odnaka numer pięć-osiem-osiem-pięć.

/ co teraz zrobi? Zatrudni się w jakiejś pieprzonej ochronie?

Zadzwoił telefon. Kapitan odwrócił się, podniósł słuchawkę.

-

Mówi Marlow. Tak jest... załatwiliśmy ochronę. - Mówił coś jeszcze, zdaje się, że o procesie Andrew Constable'a i jednocześnie nie położył kopertę na kolanach. Przytrzymując słuchawkę przy uchu ramieniem, prowadził rozmowę, rozwiązywał czerwoną nitkę, którą koperta była przewiązana.

Monotonnym głosem przekazywał informacje o kolejnych oskarżeniach zarówno Constable'a, jak i członków Stowarzyszenia Patriotycznego, o policyjnych nalotach na ich obozy wokół

Canton Falls. Amelia natychmiast zauważyła, że mówi głosem cichym, poważnym, pełnym szacunku; w biurokratyczne gry facet potrafił grać bezbłędnie. Pewnie rozmawiał z burmistrzem albo i gubernatorem?

A może z kongresmanem Ramosem?

Gry biurokratyczne, gry polityczne... czy to jest istota pracy w policji? Ona przecież nie umiała grać, czyżby nie było dla niej miejsca w policji?

Biurwo-kracja.

Myśl ta była nie do zniesienia. Och, Rhyme, co my teraz zrobimy?

Przeżyjemy, pomyślała. Ale życia nie można po prostu przeżyć. Jeśli się je tylko przeżywa, to się przegrywa.

Kapitan nadal mówił do słuchawki językiem biurokracji idealnej. Ale kopertę udało mu się otworzyć. Wrzucił do niej jej odznakę. Schował ją do szuflady, ale też wyjął z niej coś owinięte w papierową chustkę do nosa.

-

...nie ma czasu na ceremonie. Później coś wymyślimy - wy szeptał. Amelia zdumiała się; najwyraźniej mówił do niej!

Ceremonie?

Marlow popatrzył na nią i zakrywając słuchawkę dłonią, powiedział:

-

Ubezpieczenia! Nie wierzę, by ktoś umiał to zrozumieć! A ja muszę nauczyć się wszystkiego o statystyce śmiertelności, doży wotnich rentach i zabezpieczeniu członków rodziny.

441

Rozwinął chusteczkę. Sachs zobaczyła... złotą odznakę! Kapitan kończył rozmowę.

Normalnym, pełnym szacunku głosem powiedział:

-

Tak jest, kontrolujemy sytuację. Tak, mamy swoich ludzi w Bedford Junction. I w Harrisonburgu

też. Tak, cały czas jeste śmy aktywni,

I znów szepnął do niej.

- Zachowałem wasz numer, funkcjonariuszko. - Rzeczywiście, na błyszczącej złotem odznace widniały znajome cyfry: 5885.

Wsunął ją w skórzany futerał. W szufladzie znalazł jeszcze coś: tymczasową legitymację. I ona znalazła się na swoim miejscu.

Zgodnie z legitymacją Amelia Sachs była od dziś detektywem trzeciego stopnia.

Tak jest, słyszeliśmy o tym, według naszej oceny zagrożenia poradzimy sobie z tą sytuacją. Tak, oczywiście. - Marlow odłożył

słuchawkę. Potrząsnął głową. - Wolę proces bigota niż te cuda z ubezpieczeniami, choćbym miał jeden dziennie. W porządku, funkcjonariuszko Sachs, do legitymacji musicie zrobić sobie ak tualne zdjęcie. - Przerwał na chwilę, wyraźnie się nad czymś za stanawiał. - Nie jestem męskim szowinistą, broń Boże, nie odbie raj tego w ten sposób, ale bardziej mi się podoba, kiedy kobiety wiążą włosy z tyłu. Nie nisko, tylko, rozumiesz chyba, z tyłu. Tak będzie... porządniej. Czy to dla was problem, funkcjonariuszko Sachs?

Czyli... mam rozumieć... nie zostałam zawieszona?

Zawieszona? Skąd. Właśnie zostałam detektywem. Nikt cię nie poinformował? O'Connor miał do ciebie zadzwonić... albo je go sekretarka, albo ktoś.

Dan O'Connor, szef Biura Detektywów.

Nikt do mnie nie dzwonił. Z wyjątkiem pańskiej sekretarki.

Aha. No, ale mieli zadzwonić.

Co się właściwie stało?

Przecież powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy. I zrobi łem. Powiedzmy sobie szczerze: nie mogłem dopuścić do zawie szenia. Co bym bez ciebie zrobił? - Z obrzydzeniem spojrzął na zaścielające stół papiery. - By już nie wspomnieć o tym, że nie chciałbym stanąć przeciw tobie w sądzie. Byłoby to doprawdy obrzydliwe.

O tak, panie kapitanie, obrzydliwe. Bardzo obrzydliwe.

Panie kapitanie, ale wspomniał pan coś o roku?

Tak, oczywiście. Chodziło mi o egzamin na stopień sierżanta. Możesz do niego przystąpić najwcześniej w kwietniu przyszłego roku. Podlega on ustawie o służbie cywilnej, na to nic nie mogę poradzić. Ale przeniesienie do Biura Detektywów to sprawa czysto policyjna i Ramós nic nie może na to poradzić. Zameldujecie się u Łona Sellitto, funkcjonariuszko.

Nie wiem, co powiedzieć. - Sachs wpatrywała się w złotą odznakę jak zaczarowana.

Możecie powiedzieć: „Dziękuję panu bardzo, kapitanie Mar low”. Albo coś takiego. Nasza współpraca w patrolu sprawiła mi ogromną przyjemność. Żałuję, że skończyła się po tylu owocnych latach.

Ale...

To był żart, funkcjonariuszko Sachs. Mimo krążących o mnie plotek mam poczucie humoru. Aha, jak pewnie zauważyliście, dostaliście zaledwie trzeci stopień.

Tak jest. - Amelia robiła wszystko, by się głupio nie uśmie chać.

Jeśli chcecie awansu na sierżanta i detektywa pierwszego stopnia, policzcie do dziesięciu i weźcie głęboki oddech, nim aresztujecie... czy też zatrzymacie... każdego, kto się wam nawi nie pod rękę. A także zastanówcie się, co mówicie i komu, To taka ojcowska rada.

Tak jest, panie kapitanie!

A teraz, skoro już skończyliśmy tę pouczającą rozmowę, funkcjonariuszko... aaa, przepraszam, detektywie Sachs, może pozwolicie mi wrócić do pracy. Mam mniej więcej pięć minut, by nauczyć się wszystkiego o ubezpieczeniach.

Amelia Sachs obejrzała ze wszystkich stron zaparkowany na Centre Street camaro, ciężko uszkodzony po zderzeniu z mazdą Loessera. Najbardziej ucierpiał przedni pas, maska i jeden z błotników. Trzeba będzie solidnie się napracować, by doprowadzić biedaka do porządku.

To jej nie martwiło. Amelia doskonale znała się na samochodach. Znała każdą śrubę w swym camaro: główkę, rozmiar, długość. W garażu w Brooklynie miała komplet narzędzi; większości napraw mechanicznych i blacharskich dokonywała samodzielnie.

Ale blacharki nie lubiła. Tę robotę uważała za nudną, tak jak nudne byty dla niej występy na wybiegu i randki z supermęski-mi, superprzystojnymi gliniarzami. Nie lubiła uczonej gadaniny psychiatrów, ale zapewne, w głębi duszy, żywiła nieufność do tego, co powierzchowne, można nawet powiedzieć: kosmetyczne. Dla niej w samochodzie liczyło się serce i dusza: tłoki, paski klinowe, przekładnie i to, co sprawiało, że tona pozornie martwego metalu, szkła, plastiku i skóry zmieniała się w pędzący z wielką prędkością pocisk.

Postanowiła, że odstawi camaro do zakładu w Astorii, w Queens: mieli tam mechaników naprawdę dobrych, mniej lub bardziej uczciwych i ceniących mocne, nietypowe samochody, takie jak jej.

Usiadła za kierownicą, włączyła silnik; jego basowy ryk ściągnął uwagę przechodzących obok parkingu gliniarzy, prawników i biznesmenów. Wyjechała z parkingu i nim włączyła się do ruchu, podjęła kolejną decyzję. Kilka lat temu, po zrobieniu zabezpieczenia antykorozyjnego, pod wpływem chwili zdecydowała się przemalować wóz z fabrycznej czerni na jaskrawą żółć. Bo i co za różnica? Co ma decydować o kolorze samochodu, włosów i paznokci, jeśli nie kaprys?

Mechanicy będą musieli zastąpić przynajmniej jedną czwartą blacharki. Lakierowanie jest koniecznością. A więc: zmieni kolor. Na strażacki czerwony; to była pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy. Miał on dla niej szczególne znaczenie. Po pierwsze, ojciec twierdził, że wszystkie potężne, sportowe samochody powinny być czerwone, po drugie czerwony był też storm arrow Rhyme'a. A on uznałby wprawdzie tego rodzaju sentyment za bezsensowny, lecz jednocześnie cieszyłby się nim w głębi serca.

Tak. Czerwień będzie dobra.

Mogła odstawić samochód do Queens już, zaraz, ale postanowiła poczekać. Nawet takim wrakiem przejeździ jeszcze te kilka dni; jako nastolatka miała o wiele gorsze. W tej chwili chciała tylko wrócić do domu, do Lincolna, powiedzieć mu o cudzie alchemii, transmutacji, która zmieniła jej srebrną odznakę w złotą... i wziąć się do pracy nad najnowszą z długiej serii tajemnic: dwaj zamordowani dyplomaci, nieznanne rośliny, dziwne odciski w błocie i dwa zaginione buty.

Obydwa prawe.

PODZIĘKOWANIE

Zawsze jestem wdzięczny Madelyn Warcholik, która pomogła mi wypełnić tę książkę fabułą i bohaterami. Dziękuję Jane Davis, praktykującej własny rodzaj niezwyklej magii, czyli administrującej moją witrynę, a także siostrze i pisarce jak ja, Julie Reece Deaver.

W pracy nad tą powieścią pomogły mi następujące pozycje: „The Creative Magician's Handbook” Marvina Kaye'a, „The Illustrated History of Magic” Milbourne'a i Maurine Christopher,



„The Magic and Methods of Ross Bertram" Rossa Bertrama, „Magicians and Illusionists" Adama Wooga, „The Annotated Magic of Slydini", Slydiniego i Gene'a Matsuury, „The Tarbell Course in Magic" Harlana Tarbella, „Houdini on Magic" w opracowaniu Waltera B. Gibsona i Morrisa N. Younga, oraz „Magic in Theory" Petera Lamonta i Richarda Wisemana.